

Victoria Holt

W kręgu Księżycowego Blasku

Przełożyła Maja Wiechowicz-Majer

Leśna fantazja

Miałam dziewiętnaście lat, kiedy wydarzyło się coś, co zaczęłam nazywać w myślach Leśną Fantazją. Gdy spoglądałam później wstecz, wydawało mi się to czymś magicznym, nierealnym, czymś, co mogło się przyśnić. Było naprawdę wiele momentów, kiedy niemalże przekonywałam samą siebie, że nie mogło zdarzyć się to w świecie rzeczywistym. Zawsze od najmłodszych lat byłam realistką, osobą praktyczną, niepoświęcającą zbyt wiele czasu marzeniom, ale wtedy nie zdobyłam jeszcze żadnego doświadczenia, miałam dopiero pozostawić za sobą szkolne lata i przeżywałam ostatnie chwile mojego przedłużonego czasu dorastania.

Zdarzyło się to pewnego popołudnia, pod koniec października, w lasach Szwajcarii, niedaleko od granicy z Niemcami. To był ostatni rok mojej nauki w jednej z najbardziej ekskluzywnych szkół w Europie, do której posłała mnie ciotka Patty. Zdecydowała, że powinnam udać się tam, aby, jak to ujęła, zyskać „końcowe szlify”.

– Dwa lata powinny wystarczyć – powiedziała. – Nie jest najważniejsze to, co te lata rzeczywiście dadzą tobie, ale wrażenie, jakie ten fakt wywrze na innych. Jeśli rodzice dowiedzą się, że jedna z nas przeszła proces szlifowania w Schaffenbrucken, będą zdecydowani, żeby posłać do nas swoje dziewczęta.

Ciocia Patty była przełożoną szkoły dla dziewcząt i zaplanowała, że jak tylko ja będę gotowa, przyłączę się do tego przedsięwzięcia. Wobec tego, żeby sprostać zadaniu, musiałam zdobyć kwalifikacje najlepsze z możliwych. To dodatkowe szlifowanie miało sprawić, że stałabym się nieodpartym magnesem dla tych rodziców, którzy chcieli, aby na ich córki spłynął odblask świetności, jaką była edukacja w Schaffenbrucken.

– Snobizm – powiedziała ciocia Patty. – Czysty, niczym nieskalany snobizm. Nie będziemy jednak mieć za złe, jeśli to sprawi, że ekskluzywna Akademia Patience Grant dla Młodych Panien zacznie przynosić zyski.

Ciotka Patty z wyglądu przypominała baryłkę, była niska i bardzo pulchna.

– Lubię jedzenie – zwykła mawiać – dlaczego więc nie miałabym czerpać z tego przyjemności? Uważam, że obowiązkiem wszystkich mieszkańców ziemi jest cieszenie się dobrymi rzeczami, którymi nasz Pan nas obdarzył, a skoro wymyślono pieczeń wołową i pudding czekoladowy, to należy je jeść.

W Akademii Patience Grant dla Młodych Panien karmiono wychowanki bardzo dobrze. Zdecydowanie inaczej niż w wielu placówkach tego typu.

Ciotka Patty nie była mężatką.

– Z tej prostej przyczyny – mawiała – że nikt nigdy mi się nie oświadczył. Czy przyjęłabym takie oświadczenia, to już inna sprawa, niemniej jednak, jako że problem taki nie pojawił się, ani ja, ani nikt inny nie musi się tym przejmować.

Rozwinęła ten temat:

– Od niemowlęstwa byłam materiałem na starą pannę – powiedziała. – Na balach „siałam rutkę” jak rok długi. W tamtych dniach potrafiłam wspinać się na drzewa, dopóki, za przeproszeniem, tusza nie zaczęła mi przeszkadzać, a jeśli jakiś chłopiec ośmielił się pociągnąć mnie za warkocze, musiał szybko zmykać, żeby uniknąć bójk, z której, droga Cordelio, niezmiennie wychodziłam zwycięsko.

Byłam skłonna wierzyć w to i często myślałam, jak niemądrzy są mężczyźni, ponieważ żaden z nich nie miał na tyle rozumu, żeby oświadczyć się ciotce Patty. Byłaby wspaniałą żoną, tak jak była dla mnie wspaniałą matką.

Moi rodzice byli misjonarzami w Afryce. Całkowicie oddawali się tej pracy –

nazywano ich świętymi. Jednak, jak to zwykle ze świętymi bywa, byli tak przejęci ulepszaniem świata jako całości, że nie interesowali się tak bardzo problemami ich małej córki. Ledwo ich pamiętam, bo odesłali mnie do Anglii, kiedy miałam siedem lat. Czasami rzucali mi spojrzenia pełne promieniującego zapału i prawości i wydawało się, że nie byli zupełnie pewni, kim jestem. Zastanawiałam się później, jak w ogóle w życiu tak zapelnionym dobrymi uczynkami znaleźli czas i chęć spłodzenia mnie.

Podjęcie decyzji, że afrykańska dżungla nie jest miejscem odpowiednim dla dziecka, musiało sprawić im niewypowiedzianą ulgę. Powinnam była zostać odesłana do domu, i do kogóż by innego, jak nie do Patience, siostry mojego ojca.

Zostałam zabrana do domu przez kogoś z misji, kto wracał na krótko do kraju. Mgliście pamiętam długą podróż, ale to, co na zawsze utkwilo mi w pamięci, to krągła postać ciotki Patty czekającej na mnie. Pierwszym, co przykuło moją uwagę, był jej kapelusz. Wspaniały, z niebieskimi piórami sterczącymi w górę. Ciotka Patty miała słabość do kapeluszy dorównującą niemalże jej słabości do jedzenia. Czasami nosiła kapelusze nawet w domu. I tak oto objawiła mi się: jej oczy powiększone poza grubymi szklami, twarz niczym księżyc w pełni, błyszcząca od mydła i wody, i *jole de vivre* emanująca spod tego wspaniałego kapelusza o piórach powiewających w chwili, kiedy wzięła mnie w swoje pachnące lawendą ramiona.

– Oto jesteś – powiedziała. – Córka Alana... Chodźmy do domu.

I wtedy, w tych pierwszych chwilach, od razu przekonała mnie, że mam rzeczywiście dom.

Musiało minąć około dwóch lat od mojego przyjazdu, kiedy ojciec zmarł na dyzenterię, a matka z powodu tej samej choroby zmarła dwa tygodnie po nim.

Ciotka Patty pokazała mi artykuł w gazecie religijnej. Mówił o tym, że „oddali oni życie w służbie Bożej”.

Obawiam się, że nie byłam zbyt długo pogrążona w żałobie. Zapominałam o ich egzystencji i myślałam o nich niezwykle rzadko. Byłam całkowicie pochłonięta życiem w Grantley Manor, starym elżbietańskim domu, który ciotka Patty kupiła na dwa lata przed moim urodzeniem za środki, które zwała swoją ojcowizną.

Miałyśmy wspaniały kontakt ze sobą, rozmawiałyśmy wiele. Nigdy nie starała się przemilczeć żadnych spraw. Zastanawiałam się potem wiele razy, jak to się dzieje, że większość ludzi miewa w życiu jakieś sekrety. Zdawało się to nie dotyczyć ciotki Patty. Potok słów płynął z jej ust, nie napotykając nigdy żadnych tam.

– Kiedy wyjeżdżałam do szkoły – mówiła – miałam wiele miłych wrażeń, ale nigdy wystarczającej ilości jedzenia. Kucharze bazowali tam na rozcieńczonym rosolu. W poniedziałki nazywano to zupą, i nie była ona taka zła. We wtorki stawała się trochę mniej esencjonalna, a we środy była już tak mizerna, że zastanawiałam się, jak długo jeszcze utrzyma się, zanim objawi się nam jako zwyczajna H₂O. Pieczywo zawsze było czerstwe. Myślę, że to szkoła zrobiła ze mnie łakomczucha, bo zawsze obiecywałam sobie, że kiedy już ją skończę, będę sobie dogadzać i dogadzać. Mówiłam, że gdybym ja kiedyś miała prowadzić szkołę, będzie to wyglądało inaczej. Gdy więc okazało się, że mam pieniądze, powiedziałam sobie: „Dlaczegoż by nie?” Stary Lucas powiedział: „To ryzykowna gra”. Był moim doradcą prawnym. „I co z tego? – ja na to. – Lubię ryzyko”. I im bardziej odwodził mnie od tego pomysłu, tym bardziej ja byłam za. Taka już jestem. Jeśli tylko usłyszę: „Nie, nie można”, to pewne jest, że za chwilę będę mówić: „Ależ oczywiście można”. Tak więc znalazłam Manor... Tani z powodu remontów, jakie musiały

tu zostać zrobione. Miejsce nadające się właśnie na szkołę. Nazwałam je Grantley Manor. Od słowa „grant” – podwalina, załączek. Wkradła się tu odrobina starego snobizmu. Panna Grant z Grantley. Pomyślałabyś, że osoba taka ma tu korzenie od stuleci, prawda? I nie przyszłoby ci do głowy pytać o to, po prostu tak byś pomyślała. To dobre dla dziewcząt. Zaplanowałam, że Akademia Patience Grant stanie się najbardziej ekskluzywną w kraju, tak jak Schaffenbrucken w Szwajcarii.

To wtedy po raz pierwszy usłyszałam o Schaffenbrucken.

– Wszystko to zostało dokładnie przemyślane – wytłumaczyła mi. – W Schaffenbrucken pieczołowicie dobierają wychowanki, nie jest łatwo tam się dostać. „Pani Smith, obawiam się, że nie mamy już miejsca dla pani córki Amelii. Proszę spróbować w następnym semestrze. Kto wie, może dopisze pani szczęście, w tej chwili wszystkie miejsca są zajęte i mamy listę oczekujących”. Lista oczekujących! Najbardziej magiczne sformułowanie w słowniku przełożonej szkoły. Jest to to, co wszystkie mamy nadzieję osiągnąć... krąg ludzi walczących o to, aby powierzyć twojej szkole swe córki nie w sposób zwykle stosowany, kiedy to ty próbujesz namówić ich do zrobienia tego.

– Schaffenbrucken jest kosztowną szkołą – powiedział przy innej okazji. – Sądzę jednak, że jest warta każdego włożonego pensa. Uczysz się tam francuskiego i niemieckiego od ludzi, którzy władają tymi językami w sposób należyty, ponieważ są to ich języki ojczyste. Uczysz się tańca i dygania z wdziękiem, ćwiczysz chodzenie po pokoju z książką balansującą na czubku głowy. Tak, powiesz: można się tego nauczyć w tysiącach szkół. Prawda, ale nie będzie to postrzegane w taki sposób, jak wtedy, gdy zabłyśniesz polerowaniem w Schaffenbrucken.

Rozmowy z nią zawsze przerywane były wybuchami śmiechu.

– Tak więc, moja droga, będzie to odrobina blasku Schaffenbrucken dla ciebie – powiedziała. – Potem wrócisz tutaj i kiedy obwieścimy, gdzie byłaś, matki będą walczyć o posłanie swoich córek do nas. „Panna Cordelia Grant jest odpowiedzialna za wychowanie panienek. Kształciła się w Schaffenbrucken, rozumie pani”. Kochanie, będziemy im mówić, że mamy listę oczekujących panienek, hałaśliwie domagających się kształcenia w niuansach życia towarzyskiego pod kierunkiem panny Cordelii Grant opromienionej sławą Schaffenbrucken.

– Pewnego dnia – mówiła – ta szkoła będzie twoja, Cordelio.

Wiedziałam, że miała na myśli chwilę, kiedy umrze, i nie umiałam sobie wyobrazić świata, na którym by jej nie było. Stanowiła centrum mojego życia. Ona z jaśniejącą twarzą, wybuchami śmiechu, pełnymi wigoru rozmowami, nadmiernym apetytem i kapeluszkami.

* * *

Po raz kolejny zostałam powierzona pieczy współtowarzyszy podróży. Tym razem były to trzy panie jadące do Szwajcarii. W Bazylei miałam spotkać kogoś, kto mógł dowieźć mnie na miejsce. Podróż była interesująca, a ja przypominałam sobie mój długo trwający powrót do domu z Afryki. Obecne doświadczenie było zdecydowanie inne. Teraz byłam starsza, wiedziałam, dokąd się udaję, i nie towarzyszyło mi pełne obawy oczekiwanie małej dziewczynki w drodze ku niewiadomemu.

Panie, które eskortowały mnie przez Europę, potraktowały opiekowanie się mną bardzo serio i z niejaką ulgą, jak sądzę, przekazały mnie w pieczę Fraulein Mainz, która uczyła w Schaffenbrucken niemieckiego. Była to kobieta w średnim wieku, raczej

bezbarwna. Ucieszyła się, kiedy dowiedziała się, że uczyłam się już trochę niemieckiego. Powiedziała, że mój akcent jest przerażający, ale że da się to naprawić. Zdecydowała, że przez resztę podróży będziemy używać wyłącznie jej rodzimego języka.

Opowiadała mi o świetności Schaffenbrucken i o tym, jak wielkie mam szczęście, że dołączam do tego wybranego w ostrej selekcji grona młodych panien. Była to szablonowa opowieść i pomyślałam sobie, że Fraulein Mainz jest najbardziej pozbawioną humoru osobą, jaką znam. Sądzę, że porównywałam ją z ciotką Patty.

Samo w sobie Schaffenbrucken nie prezentowało się imponująco. Jego otoczenie natomiast zdecydowanie tak. Byłyśmy około półtora kilometra od miasta, a wokół otaczały nas lasy i góry. Madame de Guerin, w połowie Francuzka, w połowie Szwajcarka, była kobietą w średnim wieku i emanowała spokojnym autorytetem z domieszką czegoś, co mogę jedynie określić jako „osobowość”. Zdaję sobie sprawę z tego, jak ważne miejsce zajmowała w tworzeniu legendy Schaffenbrucken. Nie miała zbyt wiele kontaktu z nami, wychowankami. Powierzono nas opiece nauczycielek. Uczono nas tańca, wiedzy o sztuce, francuskiego, niemieckiego i czegoś, co nazywano towarzyską świadomością. Po skończeniu Schaffenbrucken miałyśmy bez najmniejszego problemu wtopić się w życie najwyższych sfer towarzyskich.

Wkrótce włączyłam się w życie szkoły, a dziewczęta okazały się bardzo interesujące. Pochodziły z różnych krajów, a ja oczywiście zaprzyjaźniłam się z Angielkami. Dziewczęta mieszały po dwie w pokojach i zasadą było, że narodowości powinny być mieszane. W pierwszym roku mieszkałam z Niemką, a w drugim z Francuzką. To był dobry pomysł, ponieważ pomagał nam szlifować obce języki.

Dyscyplina nie była zbyt surowa. Nie byłyśmy dziećmi. Dziewczęta wstępowały do szkoły zwykle mając szesnaście lub siedemnaście lat, a kończyły ją mając dziewiętnaście lub dwadzieścia. Nie pojawiałyśmy się tam, aby zdobywać fundamenty wiedzy, ale po to, aby każda z nas została uformowana w *femme comme il faut*, jak to ujęła Madame de Guerin. Ważniejsze było, aby dobrze tańczyć i z gracją prowadzić konwersację, niż znać literaturę czy matematykę. Większość dziewcząt prosto z Schaffenbrucken trafiała na swój debiut towarzyski. Tylko jedna lub dwie były tak jak ja przeznaczone do czegoś innego. W większości były one bardzo miłe, a pobyt w Schaffenbrucken uważały za nieodłączną część procesu edukacji, efemeryczną, ale taką, którą należy się cieszyć, dopóki trwa.

Chociaż życie w klasach toczyło się bezproblemowo, to istniał jednak ścisły dozór, jaki roztaczano nad nami, i byłam przekonana, że gdyby na którąś z dziewcząt padł nawet tylko cień zaangażowania się w jakiś skandal, zostałaaby natychmiast odesłana do domu. Zawsze znalazłby się rodzic, który oddałby wiele, aby jego córka zajęła takie wakujące miejsce.

Jeździłam do domu na święta Bożego Narodzenia i na letnie wakacje. Obydwie z ciotką Patty świetnie się bawiłyśmy, dyskutując o Schaffenbrucken.

– Musimy to zrobić – mówiła ciotka Patty. – Zobaczysz, że kiedy skończysz Schaffenbrucken i wrócisz tutaj, będziemy mieć najwspanialszą pensję w kraju. Daisy Hetherington zzielenieje z zazdrości.

Wtedy to po raz pierwszy usłyszałam nazwisko Daisy Hetherington. Zapytałam od niechcenia, kim ona jest, i w odpowiedzi usłyszałam, że to właścicielka szkoły w Devonshire, która to szkoła jest niemalże tak dobra, jak Daisy sądzi, że jest. Ta informacja mówiła wiele.

Żałuję, że nie zapytałam o to jeszcze później. Niestety, wtedy nie przyszło mi do

głowy, że to może być istotne.

Nadszedł ostatni semestr mojej nauki w Schaffenbrucken. Był koniec października. Jak na tę porę roku, pogodę miałyśmy piękną. Było dużo słońca i dzięki temu wydawało się, że tegoroczne lato trwa bardzo długo. W ciągu dnia było gorąco, ale z chwilą kiedy zachodziło słońce, nagle uświadamiałyśmy sobie, jaką porę roku mamy. Wtedy zbierałyśmy się wokół kominka w sali ogólnej i gawędziłyśmy. Moimi najlepszymi przyjaciółkami w tym czasie były Monique Delorme, z którą dzieliłam pokój, oraz Angielka Lydia Markham i jej współlokatorka Frieda Schmidt. Nasza czwórka zawsze trzymała się razem. Rozmawiałyśmy ciągle i zwykle robiłyśmy wspólne wycieczki do miasta. Czasami szłyśmy tam pieszo, a jeśli bryczka jechała akurat do miasteczka, kilka z nas mogło się nią zabrać. Chodziłyśmy też na spacer do lasu. Mogłyśmy to robić w grupach po sześć lub minimum we cztery. Miałyśmy sporo swobody i nie czułyśmy się ograniczane.

Lydia mawiała, że Schaffenbrucken jest czymś w rodzaju stacji kolejowej, na której czekało się na pociąg, mający nas zawieźć do miejsca, gdzie będziemy już odpowiednio ukształtowanymi, dorosłymi osobami. Wiedziałam, co miała na myśli. Był to zaledwie jeden z przystanków w naszym życiu, odskocznia do innych miejsc.

Rozmawiałyśmy o nas. Monique pochodziła z rodziny szlacheckiej i niemalże natychmiast po szkole miała zawrzeć małżeństwo odpowiednie do jej pozycji społecznej. Ojciec Friedy zbił majątek na wyrobach garncarskich i był człowiekiem interesu o różnorodnych zainteresowaniach. Lydia była dzieckiem rodziny bankierskiej. Ja byłam odrobinę starsza od nich i ponieważ miałam opuścić szkołę przed Bożym Narodzeniem, czułam się w tym gronie seniorką.

Dostrzegłyśmy Elbę niemalże natychmiast, kiedy tylko pojawiła się wśród personelu. Ta niewysoka, śliczna dziewczyna o jasnych, kręconych włosach i niebieskich oczach była pełna życia i sprawiała wrażenie elfa. Nie wyglądała tak jak inne osoby ze służby. Madame de Guerin zatrudniła ją w trybie przyspieszonym, ponieważ jedna ze służących nagle porzuciła pracę, żeby wyjść za mąż za chłopca z miasteczka. Elsa zyskała więc szansę pracy na okres próbny do końca semestru.

Jestem pewna, że gdyby Madame de Guerin wiedziała, jakiego rodzaju osobą jest Elsa, nie pozwoliłaby jej zostać ani chwili. Nie okazywała ona nikomu należnego szacunku i w najmniejszym nawet stopniu nie robiło na niej wrażenia ani Schaffenbrucken, ani nikt z jego mieszkańców. Przyjęła postawę współkoleżeństwa, która sugerowała, że jest ona jedną z nas. Część dziewcząt była tym oburzona; nasza czwórka przyjmowała to raczej z rozbawieniem, być może to dlatego Elsa pojawiała się zawsze w naszych pokojach.

Czasami przychodziła, kiedy wszystkie cztery byłyśmy razem, i potrafiła włączyć się do rozmowy.

Lubiła słuchać opowieści o naszych domach i zadawała wiele pytań.

– Chciałabym pojechać do Anglii – mówiła. – Albo do Francji czy do Niemiec...

Nakłaniała nas do opowiadania i wydawało się, że słuchanie o naszym życiu sprawia jej taką przyjemność, iż nie mogłyśmy sobie odmówić przedstawiania z nią.

Mówiła, że pochodzi z podupadłej rodziny. Tak naprawdę wcale nie była służącą. O nie! Była przekonana, że jej przeznaczeniem będzie w przyszłości całkiem wygodne życie. Jej ojciec był... może niebogaty, ale niczego mu nie brakowało. Zostałaby wprowadzona do towarzystwa.

– Oczywiście nie w taki sposób jak wy, ale bardziej skromnie. Wtedy jednak zmarł

mój ojciec. Ale co tam! – Uniosła ramiona i wzniosła oczy ku górze. – To był koniec świetności małej Elsy. Bez pieniędzy, zdana tylko na siebie. Nie pozostało mi nic innego jak zacząć pracować. A co mogłam robić? Do czego w życiu mnie przygotowywano?

– Nie do tego, żeby być służącą – powiedziała Monique, wykazując się zdrową francuską logiką, co słysząc, wszystkie łącznie z Elsą wybuchnęłyśmy śmiechem.

Siłą rzeczy lubiliśmy ją i zachęcałyśmy, żeby przychodziła do nas na pogawędkę. Była zabawna i знаła wiele niemieckich legend opowiadających o tutejszych lasach, gdzie jak twierdziła, spędziła dzieciństwo, zanim ojciec zabrał ją do Anglii, by po kilku latach przyjechać do Szwajcarii.

– Lubię myśleć o tych wszystkich trollach kryjących się pod ziemią – mówiła. – Zawsze dostaję gęsiej skórki. Znam też opowieści o rycerzach w zbroi pojawiających się, żeby uprowadzać panny do Walhalli... czy gdzieś tam.

– Tam rycerze udawali się po śmierci – przypomniałam jej.

– No cóż, w takim razie gdzieś, gdzie świętowano i gdzie odbywały się bale.

Przyzwyczała się przychodzić do nas prawie każdego popołudnia.

– Co powiedziałyby Madame de Guerin, gdyby wiedziała o tym? – zapytała Lydia.

– Prawdopodobnie wyrzuciłaby nas – dodała Monique.

– Co za gratka dla tych wszystkich z listy oczekujących. Cztery za jednym zamachem.

Elsa uśmiechała się do nas, siedząc na brzeżku krzesła.

– Opowiedz o *chateau* twojego taty – mówiła do Monique.

I Monique opowiadała jej o sztywnych zwyczajach obowiązujących w jej domu i o tym, jak to przyrzeczono jej rękę Henriemu de la Creseuse, który posiadał majątek przylegający do ziem jej ojca.

Z kolei Frieda opowiedziała o swoim surowym ojcu, który z pewnością wyszuka dla niej jako kandydata na małżonka co najmniej barona. Lydia mówiła o swoich dwóch braciach, którzy tak jak jej ojciec będą bankierami.

– Opowiedzcie mi coś o Cordelii – poprosiła Elsa.

– Cordelia to największa szczęściara z nas wszystkich – wykrzyknęła Lydia. – Ma najcudowniejszą ciotkę, która pozwala jej robić to, co Cordelia najbardziej lubi. Uwielbiam słuchać o ciotce Patty. Jestem pewna, że ona nigdy nie będzie chciała zmusić Cordelii do poślubienia jakiegoś barona czy starca dla pieniędzy lub tytułu. Cordelia wyjdzie za tego, kto jej się spodoba.

– I będzie bogata z mocy prawa. Stanie się właścicielką tej starej posiadłości wiejskiej. Pewnego dnia ona będzie twoja, Cordelio, i nie będziesz musiała wychodzić za kogoś, żeby ją zdobyć.

– Nie chcę tego domu, bo to oznaczałoby, że najpierw ciotka Patty musiałaby umrzeć.

– Ale kiedyś to będzie twoje. Będziesz bogata i niezależna.

Elsa chciała usłyszeć o Grantley Manor i opisałam go barwnie. Zastanawiam się, czy nie przesadziłam trochę, podkreślając jego wspaniałość. Na pewno jednak nie przesadziłam, malując słowami ekscentryczny urok ciotki Patty. Nikt tak naprawdę nie jest w stanie opowiedzieć o niej wszystkiego, co dobre. Ale jakże byłam szczęśliwa, mogąc mówić o niej, i jakże dziewczęta, pochodzące z surowych i bardziej tradycyjnych domów niż mój, zazdrościły mi jej.

– Doszłam do wniosku – oznajmiła pewnego dnia Elsa – że wszystkie już wkrótce wyjdziecie za mąż.

– Broń Boże – powiedziała Lydia. – Najpierw chcę nacieszyć się życiem.

– Byłyście kiedyś na górze Pilcher? – zapytała Elsa.

– Słyszałam o niej – powiedziała Frieda.

– To tylko dwie mile stąd.

– Warto to zobaczyć? – zapytałam.

– O, tak. Otoczona jest lasem: to dziwna skała. Opowiadają o niej pewną historię. Zawsze lubiłam takie opowieści.

– Co to za opowieść?

– Jeśli pójdziesz tam określonego dnia, możesz zobaczyć swojego przyszłego kochanka... lub męża.

Skwitowałyśmy to śmiechem, a Monique powiedziała:

– Nie mam szczególnej ochoty na zobaczenie właśnie teraz Henriego de la Creseuse.

Wystarczy, że się to stanie, kiedy wyjadę stąd.

– Ale – odrzekła Elsa – być może to nie on jest ci przeznaczony.

– A ten właściwy mężczyzna pojawi się w tamtym miejscu? Co ma do tego ta góra Pilcher?

– Opowiem wam tę historię. Dawno, dawno temu kochanków złapanych na wiarołomstwie prowadzono na górę Pilcher. Kazano im się wspinać na szczyt i zrzucano ich w dół. Zawsze odbywało się to przy pełni księżyca. Tak wielu straciło tam życie, że ziemia stała się bardzo żyzna od ich krwi i u podnóża góry wyrosło tyle drzew, że w końcu powstał las.

– I mamy tam iść?

– To ostatni semestr Cordelii i powinna zobaczyć to, póki jeszcze może. Jutrzejszej nocy będzie pełnia i w dodatku to także Pełnia Łowców. To dobry moment.

– Pełnia Łowców? – powtórzyła Monique.

– Następuje ona po Pełni Żniwiarzy. To najlepszy czas, gdy trwa sezon łowiecki. Coś takiego zdarza się właśnie w październiku.

– Mamy naprawdę październik? – zapytała Frieda. – Jest tak gorąco.

– Wczoraj w nocy było zimno – odparła Lydia i zadrżała na samo wspomnienie.

– Dni są piękne – powiedziałam. – Powinniśmy wykorzystać je, jak to tylko możliwe.

Dziwnie się czuję, kiedy sobie pomyślę, że nie wracam tu po świętach.

– Będzie ci tego brakować? – zapytała Monique.

– Będę tęsknić za wami.

– No i będziesz z tą wspaniałą ciotką – powiedziała Frieda z zazdrością.

– I będziesz bogata – dodała Elsa – i niezależna, kiedy obejmiesz tę szkołę i posiadłość.

– O nie, jeszcze lata upłyną do tej chwili. To będzie moje po śmierci ciotki, a tego bym wcale nie chciała.

Elsa skinęła głową.

– No cóż – powiedziała – jeśli nie chcesz iść na Pilcher, zaproponujemy to komuś innemu.

– Pójďmy tam – rzekła Lydia. – Czy to jutro jest... pełnia?

– Możemy wziąć bryczkę.

– Powiemy, że chcemy poszukać leśnych kwiatów.

– Myślisz, że pozwolą nam? Leśne kwiaty nie są raczej obiektami rysunków elity. I jakie kwiaty można znaleźć w lesie o tej porze roku?

– Możemy wymyślić coś innego – powiedziała Lydia.

Żadnej z nas jednak się to nie udało, a im więcej o tym myślałyśmy, wycieczka na Pilcher wydawała się coraz bardziej kusząca.

– Wiem – powiedziała w końcu Elsa – pojedziecie do miasta, żeby wybrać parę rękawiczek dla ciotki Cordelii. Ciotce bardzo się podobały te, które Cordelia przywiozła stąd do domu, a oczywiście nigdzie nie potrafią zrobić takich rękawiczek... tak eleganckich, tak dobrej jakości jak w Szwajcarii. To będzie łatwe do zaakceptowania przez Madame. A bryczka zawróci i zamiast do miasta pojedzie do lasu. To tylko dwie mile. Możecie poprosić o wydłużenie czasu nieobecności, ponieważ chcielibyście wstąpić do cukierni na filiżankę kawy i tortowe *gâteaux*, którymi można się rozkoszować tylko w Szwajcarii. Jestem pewna, że uzyskacie zezwolenie, a to da wam czas na dotarcie do lasu, by usiąść pod „dębem kochanków”.

– Cóż to za perfidia! – zakrzyknęłam. – Co by było, gdyby Madame de Guerin dowiedziała się, że szerzysz wśród nas zepsucie moralne? Zostałabyś skazana na tułaczkę po górach zasypanych śniegiem.

Elsa złożyła dłonie niczym do modlitwy.

– Błagam, nie wydawaj mnie. To tylko żart. Chcę jedynie ubarwić wasze życie odrobiną romansu.

Wybuchnęłam śmiechem tak jak i cała reszta.

– Dlaczego właściwie nie miałybyśmy tam pójść? Mów, Elso, co mamy robić.

– Usiądziecie pod dębem. Nie możecie go przeoczyć. Jest poniżej szczytu u podnóża góry. Po prostu usiądziecie tam i będziecie rozmawiać ze sobą... tak zupełnie zwyczajnie, rozumiecie. I wtedy, jeśli będziecie mieć szczęście, pojawi się przyszły mąż.

– Jeden na nas cztery! – wykrzyknęła Monique.

– Może nie tylko jeden... kto wie. Ale jeśli pojawi się nawet tylko jeden, będzie to wystarczający dowód, żeby was przekonać, że w naszych legendach kryje się ziarno prawdy!

– To śmieszne – powiedziała Frieda.

– Będziemy mieć przynajmniej jakiś cel wyprawy – dodała Monique.

– Ostatnia wyprawa przed nadejściem zimy – powiedziała Lydia.

– Kto wie? Zima może zacząć się już jutro.

– W takim razie ominęłoby to Cordelię – przypomniała Lydia. – Och, Cordelio, uprosz ciotkę Patty, żeby pozwoliła ci zostać jeszcze rok.

– Dwa lata to naprawdę wystarczająca ilość czasu, żeby nabrać tu blasku oglądy. Już teraz z pewnością emanuję nim.

Śmiałyśmy się czas jakiś i zdecydowałyśmy, że następnego popołudnia robimy wycieczkę na górę Pilcher.

* * *

Było bezchmurne popołudnie, kiedy wyruszyłyśmy. Grzejące słońce sprawiło, że zrobiło się ciepło jak wiosną, a humory dopisywały nam, kiedy bryczka zawróciła z drogi do miasta i skierowała się w stronę lasu. Powietrze było przejrzyste i rześkie, a na odległych szczytach gór błyszcząły czapy śniegu. Czułam zapach sosen, z których w większości składał się las. Między nimi jednak zdarzały się dęby i to właśnie dębu miałyśmy szukać.

Zapytałyśmy woźnicę o górę Pilcher. Dowiedziałyśmy się, że nie przeoczmy jej na pewno. Pokaże nam ją, kiedy tylko miniemy zakręt. Wtedy objawi się nam, górująca wysoko nad wąwozem.

Sceneria wokół była wspaniała. W oddali widziałyśmy zbocza gór, niektóre z nich

zalesione, tam gdzie graniczyły z dolinami, i o coraz rzadszej roślinności w wyższych partiach.

– Ciekawa jestem, która z nas go zobaczy? – szepnęła Lydia.

– Żadna – odparła Frieda.

Monique zaśmiała się:

– To na pewno nie będę ja. Przecież ja jestem już zaręczona.

Roześmiałyśmy się wszystkie.

– Myślę, że Elsa zmyśla co najmniej połowę z tego, co opowiada – dodałam.

– Wierzysz w to, co mówiła o tym, że pochodzi z podupadłej rodziny?

– Nie wiem – powiedziałam z zastanowieniem. – Elsa ma w sobie coś. Jest jakaś inna. To może być prawdą. Z drugiej jednak strony, mogła to wymyślić.

– Jak na przykład te wizje pod szczytem Pilcher – dodała Frieda. – Będzie się z nas śmiała, kiedy wrócimy.

Stukot kopyt końskich działał kojąco. Jechaliśmy, kołysząc się lekko. Będzie mi brakować tych wycieczek, kiedy wyjadę. Oczywiście będzie równie wspaniale być w domu z ciotką Patty.

– To jest ta góra – powiedział woźnica, wskazując ją batem.

Spojrzałyśmy wszystkie w tamtą stronę. Robiła imponujące wrażenie. Wyglądała jak stara, poorana zmarszczkami twarz... brązowa, pofałdowana, wroga.

– Ciekawe, czy taki właśnie miał być Pilcher? – zapytała Monique. – I kim w ogóle był Pilcher?

– O to musimy zapytać Elbę – powiedziałam. – Ona jest, zdaje się, kopalnią informacji na takie tematy.

Teraz byliśmy już w lesie. Bryczka pięła się pod górę i woźnica powiedział:

– Poczekam tutaj, a panienki muszą iść tą ścieżką. Prowadzi ona prosto do podnóża skał. Stoi tam wielki dąb zwany Dębem Pilchera.

– Tam chcemy dotrzeć – oznajmiła Monique.

– To mniej niż pół mili stąd. – Spojrzał na zegarek. – Będę gotów, żeby zabrać panienki z powrotem za półtorej godziny. Przykazano mi, że macie wrócić punktualnie.

– Dziękujemy – powiedziałyśmy i ruszyłyśmy wśród nierówności terenu ku wielkim skałom.

– Tu musiały występować silne zjawiska wulkaniczne – zauważyłam. – Czyli że góra Pilcher została uformowana i dopiero dużo, dużo później wyrósł dąb. Najpewniej dzięki ziarenku upuszczonemu przez ptaka. Większość drzew wokół to sosny. Czyż nie pachną wspaniale!

Dotarłyśmy niemal do dębu rosnącego tuż przy skałce.

– To musi być tu – powiedziała Lydia i wyciągnęła się na trawie. – Czuję się senna od tego zapachu.

– Ta cudna, aromatyczna woń – dodałam, wciągając z rozkoszą powietrze. – Tak, jest w niej coś prowokującego sen.

– I co teraz, kiedy już tu jesteśmy? – zapytała Frieda.

– Siadaj... patrz i czekaj.

– To niemiędrze – powiedziała Frieda.

– Przecież to wycieczka. Wybrałyśmy się gdzieś. Wmawiamy sobie, że kupujemy rękawiczki ciotce Patty. Chcę je kupić dla niej przed wyjazdem.

– Przestań mówić o wyjeździe – powiedziała Lydia. – To nie jest przyjemne.

Frieda ziewnęła.

– Tak – zauważyłam. – Ja też mam na to ochotę.

Wyciągnęłam się na trawie i reszta poszła w moje ślady. Leżałyśmy z dłońmi podłożonymi pod głowy i spoglądałyśmy w górę poprzez konary dębu.

– Myślę o tym, jak to było, kiedy zrzucano ludzi w dół. – Ciągnęłam dalej: – Wyobraźcie sobie tylko. Zabierają was na szczyt i wiecie, że zrzucą was w dół... albo każą skakać. Może ktoś spadł właśnie tutaj.

– Cierpie mi skóra, jak ciebie słucham – powiedziała Lydia.

– Proponuję – wtrąciła Frieda – żebyśmy wróciły do bryczki i jednak pojechały do miasta.

– Te ciasteczka z kolorowym kremem są wyśmienite – powiedziała Monique.

– A miałybyśmy dosyć czasu? – zapytała Frieda.

– Nie – odpowiedziała Lydia.

– Uciszcie się – zakomenderowałam. – Dajmy temu, co ma się stać, szansę.

Zamilkłyśmy i właśnie wtedy on ukazał się pomiędzy drzewami.

Był wysoki i od razu zwróciłam uwagę na jego oczy. Bardzo niebieskie i było w nich coś niezwykłego. Wydawało się, że patrzy ponad nami, dostrzega miejsca, których my nie możemy zobaczyć... a może tylko wymyśliłam to sobie później. Nosił ciemne ubranie, co podkreślało jego jasną karnację. Odznaczało się ono eleganckim krojem, ale nie było uszyte według najnowszych kanonów mody. Jego płaszcz miał aksamitny kołnierz i złote guziki. Do tego kapelusz czarny, wysoki i lśniący.

Kiedy się zbliżał, milczałyśmy wszystkie, zdumione, wykazując absolutny brak ogłady właściwej Schaffenbrucken.

– Dzień dobry – powiedział po angielsku. Skłonił się i ciągnął dalej: – Usłyszałem śmiech i nie mogłem oprzeć się pokusie zobaczenia pań.

W dalszym ciągu milczałyśmy, a on pytał:

– Proszę powiedzieć, jesteście panie ze szkoły, prawda?

– Tak, zgadza się.

– Na wycieczce na górę Pilcher?

– Odpoczywałyśmy przed drogą powrotną – odrzekłam, ponieważ reszta, jak się zdawało, w dalszym ciągu trwała w oniemieniu.

– To bardzo ciekawe miejsce – ciągnął. – Czy wolno mi porozmawiać z paniami przez chwilę?

– Ależ oczywiście – odpowiedziałyśmy jednocześnie, co sugerowało, że reszta doszła już do siebie po szoku.

Usiadł niedaleko nas i wyciągnął swoje długie nogi.

– Pani jest Angielką – powiedział, patrząc na mnie.

– Tak... ja i panna Markham. To panna Delorme i Fraulein Schmidt.

– Międzynarodowe towarzystwo – zauważył. – Wasza szkoła to europejska szkoła dla młodych panien. Zgadza się?

– Tak, to ta szkoła.

– Proszę powiedzieć, dlaczego wybrałyście się dzisiaj na Pilcher? To raczej nie letnia wycieczka?

– Pomyślałyśmy, że dobrze byłoby zobaczyć to miejsce – powiedziałam. – A to prawdopodobnie ostatnia okazja dla mnie. Wracam do domu z końcem roku. Uniósł brwi.

– Doprawdy? A inne młode damy?

– Będziemy tu, jak sądzę, jeszcze rok – poinformowała Monique.

– I potem wraca pani do Francji?

– Tak.

– Wszystkie jesteście takie młode... takie wesołe. Miło było usłyszeć wasz śmiech. Przyciągnął mnie. Poczułem, że muszę dołączyć do was i dzielić z wami tę spontaniczność.

– Nie wiedziałyśmy, że jesteście tak pociągające – powiedziałam, na co wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Rozejrzał się wokół.

– Co za przyjemne popołudnie. Jest taki spokój w powietrzu, czujecie to panie?

– Tak, czuję to – powiedziała Lydia.

Spojrzał w niebo.

– Babie lato – rzekł cicho. – Wszystkie wróćcie do domu na Boże Narodzenie, prawda?

– To jedyne święta, które wszystkie spędzamy w domach. Te i letnie wakacje. Natomiast Wielkanoc, Zielone Świątki i inne...

– To za daleko – dokończył za mnie. – A wasze rodziny czekają na was – ciągnął. – Będą urządzać wam bale i uczyty i wszystkie wyjdziecie za mąż, i będziecie żyły długo i szczęśliwie, co jest przeznaczeniem czekającym każdą piękną młodą pannę.

– I co nie zawsze się staje... lub niezbyt często – powiedziała Monique.

– Mamy wśród nas cynika. Proszę powiedzieć – patrzył na mnie. – Wierzy pani w to?

– Myślę, że życie jest takie, jakim je sobie stwarzamy – cytowałam ciotkę Patty. – To, co dla jednych jest nie do zaakceptowania, dla innych jest całkowicie satysfakcjonujące. Zależy, z jakiego punktu widzenia patrzy się na to.

– Rzeczywiście uczą was czegoś w tej szkole.

– Tak mawia moja ciotka.

– Nie ma pani rodziców. – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

– Nie, zmarli w Afryce. Zawsze zajmowała się mną ciotka.

– To wspaniała osoba – powiedziała Monique. – Prowadzi szkołę. Tak różni się od Madame de Guerin, jak to tylko możliwe. Cordelia ma szczęście. Będzie pracować razem z ciotką, poprowadzą razem szkołę, która pewnego dnia będzie należeć do niej. Może pan sobie wyobrazić Cordelię jako przełożoną szkoły?

Uśmiechał się wprost do mnie:

– Cordelia może być, kimkolwiek tylko zechce. Potrafię to sobie wyobrazić. Tak więc to ona jest kobietą majątną?

– Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że jest szczęśliwsza niż większość z nas – odparła Monique.

W dalszym ciągu patrzył na mnie, nie spuszczać wzroku.

– Tak – powiedział. – Sądzę, że Cordelia rzeczywiście może być bardzo szczęśliwa.

– Dlaczego mówi pan „może być”? – zapytała Frieda.

– Ponieważ to będzie zależeć od niej samej. Od tego, czy jest ostrożna. Czy rozważa wszystko, czy chwytą okazje, skoro tylko się pojawiają?

Dziewczęta spojrzały po sobie i na mnie.

– Myślę, że będzie szczęśliwa – powiedziała Monique.

– Czas pokaże – odparł.

Miał dziwną wymowę, trochę staroświecką. Być może dlatego, że mówił po angielsku, który to język, chociaż mówił nim płynnie, mógł nie być jego ojczystą mową. Wydawało mi się, że wychwyciłam u niego cień niemieckiego akcentu.

– Zawsze musimy czekać na to, co czas pokaże – powiedziała Frieda z rozdrażnieniem.

– W takim razie, czego byś chciała, młoda damo? Zerknąć w przyszłość?

– To byłoby zabawne – odezwała się Monique. – W miasteczku jest wróżbita. Madame de Guerin umieściła tę atrakcję poza naszym zasięgiem... myślę jednak, że niektóre z dziewcząt były u niego.

– To może być bardzo absorbujące – powiedział.

– Myśli pan o... spojrzeniu w przyszłość? – To znów odezwała się Monique.

Wychylił się i ujął jej dłoń. Zakrzyknęła lekko:

– Och... to pan może przepowiadać przyszłość?

– Przepowiadać przyszłość? Kto to potrafi? Czasami jednak można mieć wizje.

Ucichłyśmy wszystkie. Czulałam, jak serce bije mi dziko. W tym spotkaniu było coś bardzo niezwykłego.

– Pani, mademoiselle – powiedział, spoglądając na Monique – pani przejdzie przez życie, śmiejąc się. Wróci pani do rodzinnego *chateau*. – Puścił jej dłoń i przymknął oczy.

– Jest położony na wsi. Otaczają go winnice. Ma wysokie sięgające nieba wieże z kopułami. Twój ojciec jest człowiekiem, który postępuje godnie, w sposób najlepszy dla rodziny. Jest dumnym mężczyzną. Wyjdiesz za mąż zgodnie z jego życzeniem?

Monique wyglądała na trochę wytrąconą z równowagi.

– Myślę, że powinnam poślubić Henriego... nawet całkiem go lubię, naprawdę.

– A twój ojciec nigdy nie pozwoliłby, żeby stało się inaczej. A pani, Fraulein, czy pani jest tak posłuszna jak przyjaciółka?

– Trudno powiedzieć – odparła Frieda, jak zwykle rzeczowo. – Czasami myślę, że powinnam robić to, co mi sprawia przyjemność, a potem kiedy jestem w domu... staje się inaczej.

Uśmiechnął się do niej.

– Pani nie oszukuje się, a to wielki kapitał w życiu. Zawsze będzie pani wiedzieć, dokąd pani zmierza i dlaczego, aczkolwiek nie zawsze będzie to ścieżka życiowa, którą pani wybierze.

Z kolei zwrócił się ku Lydii.

– A jak przedstawia się pani przypadek?

– Bóg raczy wiedzieć – powiedziała Lydia. – Myślę, że mój ojciec będzie bardziej zajmował się moimi braćmi. Są o wiele starsi niż ja, a zawsze uważa się, że chłopcy są ważniejsi.

– Będzie pani miała dobre życie. Lydia zaśmiała się:

– To brzmi tak, jakby pan nam wróżył.

– Same będziecie sprawczyniami tego, co się zdarzy w waszym życiu – odparł. – Ja tylko posiadam pewną zdolność... jak by to ująć... wyczuwania niektórych spraw.

– Teraz kolej na Cordelię – powiedziała Monique.

– Kolej Cordelii? – zapytał.

– Jej jeszcze nic pan nie powiedział... o tym, co się wydarzy.

– Mówiłem – odpowiedział łagodnie – że będzie to zależec od niej samej.

– Ale nie ma pan jej nic do powiedzenia?

– Nie – odparł. – Cordelia sama będzie wiedziała... kiedy nadejdzie czas.

Panowała niczym niezmacona cisza. Odbierałam całą sobą spokój lasu i górowanie przed nami groteskowych formacji skalnych, którym wyobraźnia łatwo mogła nadać kształty wzbudzające strach.

Monique była tą, która się odezwała.

– Jest tu trochę niesamowicie – powiedziała i zadrżała.

Nagle w panującą ciszę wdarł się dźwięk. Był to dosyć melodyjny głos woźnicy. Zdawało się, że odbijał się od gór i powracał echem przez las.

– Dziesięć minut temu powinniśmy być ruszyć w drogę powrotną – powiedziała Frieda. – Musimy się pospieszyć.

Zerwałyśmy się wszystkie.

– Do widzenia – powiedziałyśmy do nieznajomego. Ruszyłyśmy ścieżką. Po kilku sekundach zerknęłam do tyłu. Mężczyzna zniknął.

* * *

Nasz powrót do szkoły był spóźniony, ale nikt nic nie powiedział i nikt nie chciał oglądać rękawiczek, które miałyśmy kupić w mieście.

Po kolacji do naszego pokoju przyszła Elsa. Była to pora, kiedy miałyśmy pół godziny do rozpoczęcia modlitwy, po czym następowała cisza nocna.

– I cóż – zapytała. – Widziałyście coś? – Jej oczy błyszczały ciekawością.

– Widziałyśmy... coś – przyznała Frieda.

– Coś...

– No cóż, mężczyznę – dodała Monique.

– Im więcej o nim myślę – dodała Lydia – tym dziwniejszy mi się wydaje.

– Opowiedzcie – wykrzyknęła Elsa. – Opowiedzcie.

– Siedziałyśmy tam...

– Leżałyśmy – skorygowała Frieda, która lubiła dokładność.

– Leżałyśmy pod drzewem – ciągnęła zniecierpliwiona Lydia – kiedy nagle on się tam znalazł.

– To znaczy, zjawił się?

– Można tak powiedzieć.

– Jak wyglądał?

– Był przystojny. Był inny...

– Mów dalej, mów...

Milczałyśmy, próbując go sobie dokładnie przypomnieć.

– Co się z wami wszystkimi dzieje? – zapytała nerwowo Elsa.

– Cóż, jeśli się nad tym zastanowić, wydaje się to raczej dziwne – powiedziała Monique. – Nie uderzyło was to, że on wiedział coś o każdej z nas? Opisał *chateau*, winnice i wieże.

– Wiele *chateaux* we Francji ma przyległe winnice i wieże z kopułami – stwierdziła Frieda.

– Tak – powiedziała Monique – ale mimo wszystko...

– Moim zdaniem, był najbardziej zainteresowany Cordelią – obwieściła Lydia.

– Dlaczego tak myślisz? – zapytałam. – Mnie niczego nie powiedział.

– Ale patrzył na ciebie w szczególny sposób.

– Nic mi tutaj nie opowiadacie – poskarżyła się Elsa. – To ja was tam wysłałam, nie zapominajcie o tym. Mam prawo wiedzieć.

– Opowiem ci, co się zdarzyło – powiedziała Frieda. – Byłyśmy na tyle głupie, że pojechałyśmy do lasu, podczas gdy mogłyśmy pojechać do miasta na te wspaniałe tortowe ciasteczka... i ponieważ byłyśmy aż tak głupie, próbowałyśmy sprawić, aby coś

się wydarzyło. Wszystko to doprowadziło do tego, że pojawił się mężczyzna. Powiedział, że z przyjemnością słuchał naszego śmiechu, i porozmawiał z nami chwilę.

– Tylko Frieda umie wszystko tak ślicznie spłaszyc – orzekła Lydia. – Ja jednak uważam, że było w tym coś więcej.

– O ile pamiętam, ma on być mężem którejś z was – powiedziała Elsa. – Tak mówi legenda.

– Jeśli w to wierzysz, dlaczego ty nie pójdziesz poznać swojego męża? – zapytałam.

– Jak mogłabym się stąd wyrwać? Obserwują mnie. Posądziliby mnie o zaniedbywanie obowiązków.

– Bądź spokojna – powiedziała Frieda – że te podejrzania wkrótce znajdą potwierdzenie.

Elsa śmiała się razem z nami.

Przynajmniej ona była zachwycona tą wycieczką.

* * *

Przez cały październik snułyśmy plany związane z powrotem do domu. Dla mnie był to czas naznaczony smutkiem.

Wiedziałam, że będzie mi bardzo trudno pożegnać się z nimi wszystkimi; z drugiej jednak strony cieszyłam się na myśl o powrocie do domu. Wszystkie trzy: Monique, Frieda i Lydia, mówiły, że musimy utrzymywać kontakt ze sobą. Lydia mieszkała w Londynie, ale jej rodzina miała wiejską posiadłość w Essex. Lydia spędzała tam większość wakacji, nie dzieliłaby nas więc aż taka odległość.

Przez kilka dni po tym spotkaniu w lesie wiele o nim rozmawiałyśmy. Wydarzenie to nazywałyśmy naszą przygodą pod górą Pilcher. Szybko przekształciłyśmy ją w bardzo tajemnicze zdarzenie, a nieznajomego wyposażyłyśmy w wiele różnego rodzaju osobliwych cech. Według Monique miał przenikliwe oczy, które lśniły niezwykłym blaskiem. Wyolbrzymiła to, co jej powiedział, i zaczęła wierzyć, że z niebywałą dokładnością opisał *chateau* jej ojca. Lydia twierdziła, że w jego obecności czuła ciarki przechodzące wzdłuż kręgosłupa, i była pewna, że nie był on istotą z tego świata.

– To nonsens – powiedziała Frieda – właśnie przechadzał się po lesie, kiedy poczuł ochotę na odbycie małej konwersacji z grupą rozchichotanych dziewcząt.

Ja nie byłam pewna, co o tym myśleć. Zdawałam sobie sprawę, że spotkanie to zostało w wielkim stopniu upiękkszzone, niemniej jednak wywarło ono na mnie duże wrażenie.

Semestr skończył się pod koniec pierwszego tygodnia grudnia. Ponieważ większość z nas miała przed sobą bardzo długą drogę do przebycia, Madame de Guerin wolała wyprawić nas, zanim opady śniegu sprawią, że drogi będą nieprzejezdne.

Siedem dziewcząt z Anglii miało podróżować razem. Fraulein Mainz wsadziła nas wszystkie do pociągu, a w Calais miał nas odebrać przedstawiciel jednej z agencji podróży i dopilnować umieszczenia nas na statku. Nasze rodziny miały czekać w Dover.

Odbywałam tę podróż już kilka razy wcześniej, ale tym razem, ponieważ miało to być po raz ostatni, czułam się inaczej niż zwykle.

Miałyśmy dla siebie oddzielny przedział i tak jak to bywało w czasie poprzednich podróży, tylko najmłodsze z nas tkwiły przy oknach, podziwiając majestatyczną górską scenerię i obserwując wspaniałe wiejskie regiony Szwajcarii. Starsze, między innymi Lydia i ja, pozostały obojętne wobec takich widoków.

Podróż wydawała się nie mieć końca; prowadziłyśmy rozmowy, czytałyśmy, grałyśmy w gry i drzemałyśmy.

Większość z nas była już na wpół śpiąca, a ja leniwie spoglądałam przez okno, kiedy nagle zobaczyłam mężczyznę. Szedł korytarzem. Mijając nasz przedział, zerknął do środka. Zamarłam. Wydawało mi się, że spojrzął na mnie, ale nie byłam pewna, czy mnie rozpoznał. Trwało to zaledwie kilka sekund.

Odwróciłam się do siedzącej obok mnie Lydii. Spała.

Zerwałam się i ruszyłam korytarzem. Nie było ani śladu tego mężczyzny.

Wróciłam na swoje miejsce i trąciłam Lydię.

– Ja... widziałam go – powiedziałam.

– Widziałaś kogo?

– Mężczyznę... tego mężczyznę z lasu...

– Chyba ci się przyśniło – mruknęła Lydia.

– Nie. Jestem pewna. Zniknął szybko.

– Dlaczego nie odezwałaś się do niego?

– Przeszedł zbyt szybko. Wyszłam za nim, ale już zniknął.

– Przyśniło ci się – stwierdziła Lydia i zamknęła oczy. Byłam bardzo poruszona. Czy mogła to być zjawą? To stało się tak szybko. Był tam i w następnej chwili przepadł bez śladu. Musiał przejść ten korytarz bardzo szybko. Czy ten mężczyzna pojawił się tu rzeczywiście, czy tylko to sobie wymyśliłam?

Może Lydia miała rację.

Wypatrywałam go bezskutecznie przez resztę drogi do Calais.

Z powodu śnieżycy pociąg miał opóźnienie i do Calais przybyliśmy osiem godzin później, niż przewidywano. Zaczyliło to, że będziemy musiały płynąć innym promem i dopiero około drugiej nad ranem wsiadłyśmy na statek.

Lydia nie czuła się dobrze; było jej zimno i zbierało jej się na wymioty. Pod pokładem znalazła miejsce, gdzie mogła się okryć i poleżeć.

Czułam potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza i powiedziałam, że pójde na pokład. Dostałam kocyk i znalazłam leżak. Rzeczywiście było zimno, ale czułam się dobrze pod kocem i byłam pewna, że Lydia lepiej by zrobiła, gdyby przyszła tu ze mną, zamiast tkwić w pozbawionej świeżego powietrza części statku.

Na czystym nocnym niebie widniał sierp księżycy i niezliczona ilość gwiazd. Z niewielkiej odległości dobiegały mnie głosy załogi i z przyjemnością poddawałam się łagodnemu kołysaniu statku. Nie było wiatru i sądziłam, że będziemy mieć spokojną przeprawę.

Myślałam o przyszłości. Z ciotką Patty będzie zawsze przyjemnie. Mogłam sobie wyobrazić długie, miłe wieczory spędzane przed kominkiem w jej salonie, kiedy to będzie piła gorącą czekoladę i pogryzała swoje ulubione makaroniki. Omawiałybyśmy ze śmiechem wydarzenia dnia. Zawsze znalazłoby się coś wesołego. Cieszyłam się na myśl o tym wszystkim.

Przymknęłam oczy. Byłam śpiąca. Podróż mnie zmęczyła, a zaokrętowanie na statek nie było takie proste. Nie mogłam zasnąć mocno, ponieważ musiałam odnaleźć Lydię, zanim statek zawinie do portu.

Poczułam obok siebie nieznaczny ruch. Otworzyłam oczy. Leżak sąsiedni został cicho przysunięty i teraz stał obok mojego, a ktoś go zajmował.

– Czy mogę się przysiąść?

Serce zaczęło mi bić gwałtownie. Ten sam głos. Ta sama aura, jakby nie z tego świata.

To był mężczyzna z lasu.

Przez chwilę byłam zbyt zaskoczona, żeby coś powiedzieć.

– Pan... był w pociągu?

– Tak, byłem.

– Widziałam pana w korytarzu. – Tak.

– Jedź pan do Anglii?

Nie było to zbyt mądre pytanie. Gdzie indziej mógłby się udawać, skoro był na tym parowcu?

– Tak. Miałem nadzieję, że w czasie mojego pobytu tutaj będę mógł panią zobaczyć.

– Naturalnie. Byłoby bardzo miło. Musi nas pan odwiedzić. Mieszkamy w Grantley Manor, Canterton, Sussex. Niedaleko Lewes. Nietrudno nas znaleźć.

– Zapamiętam – powiedział. – Na pewno pojawię się.

– Pan wraca do domu?

– Tak – odpowiedział.

Czekałam, ale nie powiedział mi, dokąd jedzie. Było w nim coś wyniosłego, coś, co ostrzegało mnie, żeby nie zadawać pytań.

– Cieszy się pani na spotkanie z ciotką.

– Bardzo.

– Zdaje się, że jest ona raczej pobłażliwą osobą.

– Pobłażliwą? Tak. Sądzę, że tak. Ma wielkie serce i jest kochana. Nie myślę, żeby kiedykolwiek komuś źle życzyła. Jest pełna wigoru i opowiada zabawne historie, ale nigdy nikogo nie skrzywdziła... jeśli ktoś nie skrzywdził jej lub jej bliskich. Wtedy reaguje mocno. Jest wspaniałą istotą.

– Pani oddanie jej rzuca się w oczy.

– Była dla mnie jak matka, kiedy tego potrzebowałam.

– Rzeczywiście wyjątkowa osoba.

Na chwilę zapadła cisza, po czym powiedział:

– Proszę mi opowiedzieć o sobie.

– Pan o sobie nie mówi zbyt wiele – zauważyłam.

– Dojdziemy i do tego. Teraz pani kolej.

Zabrzmiało to jak rozkaz i nagle, wbrew swojej woli, zaczęłam opowiadać o swoim dzieciństwie, o rzeczach, których do tej pory wydawało mi się, że nie pamiętam. Przypomniałam sobie wydarzenia z Afryki. Niekończące się godziny spędzane w holu misji, śpiewanie hymnów, modlitwy, ciągłe modlitwy, małe Murzyniątka bawiące się w kurzu, wielobarwne korale pobrzękujące na ich szyjach i wokół bioder. Dziwne owady, wyglądające jak laski i przerażające niczym węże, które wiły się wśród traw i na które mieliśmy bardzo uważać.

Najwięcej jednak opowiadałam o ciotce Patty, o Manor, o samej szkole i o tym, jak bardzo chciałabym już uczestniczyć w tym wszystkim.

– Jest pani w pełni wykwalifikowaną osobą – powiedział.

– O tak, ciotka Patty zadbała o to. Uczylałam się wielu przedmiotów i potem oczywiście byłam w Schaffenbrucken, gdzie, jak mówi ciotka, nabrałam szlifów.

– To kosztowna szkoła. Ciotka Patty musi być bardzo bogatą osobą, skoro mogła posłać tam swoją bratanicę.

– Sądzę, że potraktowała to jako dobrą inwestycję.

– Proszę opowiedzieć o Manor – powiedział.

Zaczęłam więc opowiadać. Opisywałam pokój po pokoju, mówiłam o terenach

okalających dom. Rozciągały się one na przestrzeni dwudziestu akrów.

- Widzi pan, mamy wybieg dla koni, stajnie i tereny rekreacyjne.
- To brzmi zachęcająco.
- Cieszymy się dobrą renomą. Ciotka Patty stara się ją umacniać.
- Podoba mi się pani ciotka Patty.
- Wszyscy są pod jej urokiem.
- Zawsze lojalna panna Cordelia.

Ułożył się wygodnie i przymknął oczy. Uznałam to za znak, że chce pomilczeć przez chwilę. Zrobiłam więc to samo. Kołysanie statku było kojące. Ponieważ był to środek nocy i czułam się bardzo zmęczona, zdrzemnąłam się lekko. Obudziłam się nagle, czując wokół siebie ruch. W oddali dostrzegłam zarys wybrzeża.

Zwróciłam się w stronę mojego towarzysza. Nie było tam nikogo. Nie było również ani leżaka, ani koca.

Wstałam i rozejrzałam się dookoła. Na pokładzie było niewiele osób i z pewnością ani śladu po nim.

Zeszłam na dół, żeby odnaleźć Lydię.

* * *

Ciotka Patty czekała w porcie, żeby mnie powitać. Wyglądała jeszcze bardziej okrągło, niż pamiętałam. Miała wspaniałą kapelusz: zwoje niebieskiej wstążki i kokarda były upięte tak szeroko jak zarys jej własnej postaci.

Przytuliła mnie z dumą. Udało mi się przedstawić Lydię, która nie wytrzymała i powiedziała:

- Jest dokładnie taka, jak mówiłaś.
- Były opowiadki o mnie w szkole, co? – spytała ciotka Patty.
- To, co opowiadała, było wspaniałe – powiedziała Lydia. – Wszystkie miałyśmy ochotę uczyć się w pani szkole.

W pośpiechu zostałam przedstawiona kobiecie, która odbierała Lydię. Zorientowałam się, że była to, zdaje się, gosposia, i znowu poczułam radość, że ciotka Patty zjawiła się osobiście, żeby mnie powitać.

Ciotka i ja, ciągle rozmawiając, wsiadliśmy do pociągu.

Rozglądałam się, szukając nieznanego, ale nigdzie go nie zauważyłam. Wokół było tyle osób, że trzeba by cudu, abym go dostrzegła. Zastanawiałam się, dokąd mógł jechać.

Na stacji Canterton, na której pociąg zatrzymywał się zaledwie na chwilę, czekała na nas dorożka i wkrótce dotarliśmy do domu. Jak zwykle po dłuższej nieobecności, pierwsze spojrzenie na Grantley Manor poruszyło mnie bardzo. Mury z czerwonej cegły, okna podzielone drewnianymi obramowaniami na kratki, wszystko to wyglądało bardziej malowniczo niż okazałe, ja w tym jednak widziałam przede wszystkim dom.

– Stare kochane kąty – powiedziałam.

– Tak czujesz?

– Ależ oczywiście. Pamiętam, kiedy zobaczyłam ten dom po raz pierwszy... ale wtedy już wiedziałam, że wszystko będzie dobrze, bo poznałam ciebie.

– Kochane dziecko. Pamiętaj jednak, że cegły i zaprawa murarska nie tworzą domu. Dom znajdziesz tam, gdzie będą ludzie, którzy ci go stworzą.

– Tak jak ty to dla mnie zrobiłaś, kochana ciociu. Dziewczeta tak lubiły słuchać o tobie... o makaronikach, kapeluszach i wszystkim. Zawsze mówiły o tobie „ciotka

Patty”, jakbyś była też ich ciotką. Często chciałam powiedzieć: „Hola, uspokójcie się. Ona jest moja”.

Wspaniale było wejść do holu, poczuć jak zwykle unoszącą się znad mebli woń pszczelego wosku i terpentyny, które mieszały się z zapachami gotowania, docierającymi z innych części domu.

– To nie najlepsza pora na przyjazd. Właśnie minęło południe. Jesteś zmęczona?

– Właściwie nie, jestem tylko podekscytowana tym, że już tu jestem.

– Później poczujesz zmęczenie. Lepiej odpocznij teraz, a potem chcę z tobą porozmawiać.

– Oczywiście. Jest po temu okazja. Pożegnałam się z Schaffenbrucken.

– Cieszę się, że tam byłaś, Cordelio. Stanie się to dla nas błogosławieństwem.

– Dzięki temu zgłoszenia będą do nas płynąć nieprzerwanym strumieniem.

Zakasłała lekko i powiedziała:

– Będzie ci jednak brakować dziewcząt, prawda, i gór, i wszystkiego?

– Ciebie, ciociu Patty, brakowało mi tam najbardziej ze wszystkiego.

– Mnie ciebie także – powiedziała, głęboko czymś poruszona.

Gdybym nie była lekko rozkojarzona spotkaniem z człowiekiem, którego nazywałam Nieznajomym, dostrzegłabym może, że ciotka Patty zmieniła się w jakimś sensie. Było to niemalże niedostrzegalne, ale znałam ją przecież tak dobrze. Może zadałabym sobie pytanie, czy nie była odrobinę mniej entuzjastyczna niż zwykle.

Violet Barker dała mi to lekko do zrozumienia. Była gospodynią, współtowarzyszką i oddaną przyjaciółką ciotki Patty już wtedy, wiele lat temu, kiedy tu przyjechałam po raz pierwszy. Jako osoba koścista i szczupła stanowiła całkowite przeciwieństwo ciotki Patty. Rozumiały się jednak świetnie. Violet nie miała nic wspólnego z uczeniem dziewcząt, ale domostwo prowadziła ze znanstwem i była bardzo istotną częścią całego przedsięwzięcia.

Violet spojrzała na mnie z taką rezerwą, że uznałam, iż ciotka tak serio opowiadała o oglądzie, jaką dawało Schaff enbrucken, że Violet zdecydowała sama upewnić się naocznie, czy to rzeczywiście prawda.

I wtedy niespodziewanie powiedziała:

– Chodzi o dach. Powiedzieli, że w ciągu najbliższych dwóch lat musi zostać naprawiony. A to jeszcze nie wszystko. Należałoby wzmocnić zachodnią ścianę. Mieliśmy jak dotąd wilgotną zimę. Ciotka martwi się tym, mówiła ci?

– Nie, ale dopiero wróciłam do domu.

Violet skinęła głową i mocno zacisnęła usta. Powinnam się była zorientować, że coś jest nie bardzo w porządku.

Ciotka powiedziała mi o tym dopiero po kolacji, około siódmej trzydzieści, kiedy siedziałyśmy w jej saloniku.

Zamarłam i nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Powiedziała:

– Cordelio, sprzedałam Manor.

– Ciociu Patty, jak mam to rozumieć?

– Powinnam była cię ostrzec. Przygotować na to. Przez ostatnie trzy lata sprawy nie układały się zbyt pomyślnie.

– Och, ciociu.

– Drogie dziecko, nie bierz tego tak tragicznie. Jestem pewna, że wszystko obróci się na dobre. Przykro mi, że stawiam cię wobec faktów dokonanych. Ale nie było innego wyjścia, prawda, Violet? Omawialiśmy to ciągle i nagle pojawiła się ta oferta. W dom trzeba by włożyć fortunę. Od kilku lat nie wiodło mi się najlepiej. Mam niespłacone długi.

Spodziewałam się tego. Wiedziałam o co najmniej trzech wychowankach, których rodzice rzadko kiedy płacili czesne. „To zdolne dziewczęta, wszystkie trzy – zwykła mawiać ciotka Patty. – To kapitał dla szkoły”. Czasy były trudne, niesprzyjające Grantley. Zawsze zastanawiałam się, jak ciotka sobie radzi, utrzymując tak niskie czesne dla wychowanek. Nigdy jednak nie wspominała o tym i sądziłam, że sprawy miały się dobrze.

– Co zrobimy? – zapytałam.

Ciotka wybuchnęła śmiechem.

– Odsuniemy nasze kłopoty na stronę i będziemy cieszyć się życiem. Racja, Violet?

– Jeśli tak twierdzisz, Patty.

– Tak – powiedziała ciotka Patty – prawda wygląda tak, że od jakiegoś czasu myślałam o tym, żeby przejść na emeryturę. Powinnam była zrobić to dawno temu, ale ze względu na... – spojrzała na mnie, a ja dodałam:

– Na mnie. Utrzymałaś to ze względu na mnie.

– Miałam nadzieję, że to będzie twoja przyszłość. Myślałam, że przejdę na emeryturę i będę tylko doradcą, kiedy byłoby to potrzebne, czy coś w tym rodzaju. To miałam na myśli, planując dla ciebie Schaffenbrucken.

– I posłałaś mnie do tak kosztownej szkoły, kiedy już miałaś problemy finansowe.

– Wybiegałam myślą w przyszłość. Problem w tym, że sprawy posunęły się trochę za daleko. Należałoby wydać olbrzymie kwoty na remont. To byłoby dla nas zgubne. No, może niecałkowicie, ale mogło uniemożliwić jakikolwiek inny ruch. Tak więc pojawiła się okazja i postanowiłam sprzedać Manor.

– Będzie tu w dalszym ciągu szkoła?

– Nie. Przejmie to jakiś milioner, który chce odrestaurować wszystko i być panem na włościach.

– A co z nami, ciociu Patty?

– Wszystko zostało zaaranżowane, moja droga. W sposób wysoce zadowolający. Mamy uroczy dom w Moldenbury... niedaleko Nottingham. To miła wioska w samym sercu kraju. Oczywiście dom nie jest tak duży jak Grantley i mogę zabrać tylko Mary Ann. Mam nadzieję, że reszta personelu pozostanie, żeby pracować dla nowego właściciela. Wszyscy rodzice zostali powiadomieni. Zamykamy z końcem semestru. Wszystko jest już ustalone.

– A ten dom, jak to się nazywa, Moldenbury?

– Ustalam ostatnie szczegóły na jego temat. Wkrótce zostanie przekazany w nasze ręce. Wszystko zostało przygotowane w sposób satysfakcjonujący dla nas obydwu. Będziemy mieć wystarczającą ilość środków do życia, być może nie na tak wysokim poziomie jak dotychczas, ale wszystkie nasze potrzeby zostaną zaspokojone. Będziemy się mogły oddać przyjemnościom wiejskiego życia i robić wszystko to, na co nigdy nie miałyśmy czasu. Dostosujemy się bez przeszkód, co zawsze powtarzam Violet.

Zerknęłam na Violet. Nie wyglądała na tak optymistycznie nastawioną jak moja ciotka, ale to nigdy nie było cechą jej charakteru.

– Kochana ciociu – powiedziałam – powinnaś mi była już dawno o tym powiedzieć. Nie powinnaś pozwolić na moją dalszą naukę w Schaffenbrucken. Koszta musiały być aż śmiesznie wysokie.

– Skoro już położyłam rękę na sterze, nie miałam zamiaru rozbić statku z byle powodu, a jeśli warto coś robić, to trzeba robić to dobrze. Żadne inne maksymy nie przychodzą mi na myśl, ale jestem pewna, że znalazłabym coś jeszcze na poparcie tego.

W twoim przypadku, Cordelio, zrobiłam dobrą rzecz. Schaffenbrucken nigdy nie pójdzie na marne. Później opowiem ci resztę. Pokażę ci też dokumenty i zorientujesz się, jak sprawy się mają. Chciałabym także porozmawiać z tobą o naszym nowym domu. Pojedziemy go obejrzyć, zanim rozpocznie się kolejny semestr. Będzie ci się podobać. To najmiłsze miejsce. Poznałam już proboszcza. Wydaje się, że to czarujący dżentelmen. Ma żonę, która wita nas bardziej niż wylewnie. Sądzę, że będzie to dla nas zabawne.

– I zupełnie inne niż wszystko dotychczas – dodała smętnie Violet.

– Zmiany są zawsze stymulujące – powiedziała ciotka Patty. – Myślę, że za długo tkwiłyśmy w jednym miejscu. To będzie, Cordelio, nowe życie. Wyzwanie. Będziemy pracować dla dobra naszej nowej społeczności... Przyjęcia, jarmarki, komitety, właśnie rodzinne. Wyobrażam sobie, jak będzie ciekawie.

Wierzyła w to i było to w niej wspaniałe. Wszystko dla niej było zabawne, ekscytujące i pełne wyzwań. Mnie zawsze potrafiła przekonać, nawet jeśli nie udawało jej się to z Violet. Ale przecież wiedziałyśmy obydwie z ciotką, że Violet lubuje się w nieszczęściach.

Położyłam się spać zdezorientowana. Chciałam zadać setki pytań. W tej chwili przyszłość rysowała się trochę niejasno.

* * *

Nazajutrz dowiedziałam się więcej od ciotki Patty. Od jakiegoś czasu, jak powiedziała, interesy w szkole były trochę niestabilne. Być może czesne było zbyt niskie; doradca finansowy ciotki stwierdził, że miała zbyt duże wydatki na jedzenie i opał, i że koszty na te rzeczy były nieproporcjonalnie duże w porównaniu z wpływami.

– Nie chciałam zrobić ze swojej szkoły Dothegirls Hall, tak jak pan Dickens opisał to w swojej wspaniałej książce. Tego nie chciałam na pewno. Pragnęłam, żeby moja szkoła była... dokładnie taka, jak chciałam, a skoro nie mogła być taka, wołałam, żeby w ogóle nie istniała. Tak to teraz wygląda, Cordelio. Siebie mi nie żal. Tobie chciałam to wszystko przekazać. Nie ma jednak sensu przekazywać czegoś, co chyli się ku bankructwu. Powiedziałam sobie: przerwij to. I teraz właśnie to robię. Będziemy mogły przez chwilę odetchnąć w naszym nowym domu i zaplanujemy, co zrobimy dalej.

W jej ustach brzmiało to wszystko jak nowa ekscytująca przygoda, którą właśnie rozpoczynałyśmy. Jej entuzjazm porwał mnie.

Po południu, kiedy lekcje w klasach już trwały, poszłam na spacer. Wyszłam około drugiej i miałam wrócić przed zmrokiem, co mogło nastąpić krótko po czwartej. Zajęcia kończyły się w przyszłym tygodniu, a potem czekał nas już tylko jeden semestr. Będzie temu towarzyszyć wyjazdowy rozgardiasz. Nauczycielki będą wyprawiały uczennice, odprowadzały je do pociągu, dokładnie tak, jak się to działo w Schaffenbrucken. Sądzę, że wiele nauczycielek obawiało się tego, co przyszłość przyniesie, myślały o nowych posadach i o tym, że z pewnością nie znajdą wielu pracodawców tak łatwych w obejściu jak ciotka Patty.

Wyczuwałam nastrój smutku otaczający całe domostwo. I uczennice, i nauczycielki doceniały atmosferę, jaka panowała w Grantley Manor.

Bez ciotki Patty upewniającej mnie o tym, jak wspaniale będzie, ja też zaczynałam popadać w depresję. Próbowałam sobie wyobrazić swoją przyszłość. Nie mogłam ot tak, po prostu przeżyć życia w małej wiosce, nawet jeśli byłaby ze mną ciotka Patty. Nie sądzę też, żeby ona sama w to wierzyła. Dostrzegłam pełne spekulacji spojrzenia, jakie mi

rzucała; były tajemnicze, jakby chowała coś w zanadrzu, coś, co w odpowiedniej chwili przedstawi wszystkim zdolnym to sobie uświadomić.

Zawsze lubiłam pierwszy spacer po powrocie do Grantley. Zwykle chodziłam do małego miasteczka o nazwie Canterton, odwiedzałam sklepy i zatrzymywałam się, żeby porozmawiać z ludźmi, których znałam. To sprawiało mi przyjemność. Tym razem jednak było inaczej. Nie czułam tej samej potrzeby prowadzenia rozmów. Teraz zastanawiałam się, jak wiele wiedzą o przeprowadzce ciotki Patty, a prawdę mówiąc, nie potrafiłam rozmawiać o czymś, o czym sama jak dotąd wiedziałam tak niedużo.

Idąc wzdłuż lasu, zauważyłam, że w tym roku było dużo jagód ostrokrzewu. Dziewczęta wkrótce zaczną je zrywać, ponieważ ostatni tydzień semestru zostanie przeznaczony na świąteczne przygotowania. Już teraz udekorowały choinkę w sali ogólnej i położyły pod nią prezenty, które kupiły sobie nawzajem. Potem z kolei w kaplicy odbędzie się koncert i śpiewanie kolęd. Po raz ostatni... jakie to smutne sformułowanie.

Błede zimowe słońce wyglądało co jakiś czas zza chmur. W powietrzu czuło się chłód, ale jak na tę porę roku, było dosyć ciepło.

W okolicy nie widać było ludzi. Odkąd wyszłam z Manor, nie spotkałam nikogo. Spojrzałam w stronę lasu i zastanawiałam się, czy dziewczęta znajdą w tym roku dużo jemioli. Zwykle musiały urządzać na nią polowania. Z tego powodu zdobycze te uchodziły za bardzo cenne i wielkim wydarzeniem było zawieszanie ich w miejscach, gdzie dziewczęta mogły być schwytane i pocałowane, jeśli oczywiście w pobliżu pojawił się jakiś męski osobnik, który mógłby być skłonny to uczynić.

Na skraju lasu zatrzymałam się niezdecydowana. W końcu postanowiłam, że pójde obrzeżem aż do wysokości miasta i zawrócę. Usłyszałam za sobą odgłos kroków. Poczulałam przyływ emocji i już potem uświadomiłam sobie, że jeszcze zanim się odwróciłam, wiedziałam, kto to jest.

– Skąd! – wykrzyknęłam. – Pan... tutaj?

– Tak – odparł z uśmiechem. – Powiedziała mi pani, że mieszka w Canterton, postanowiłem więc rzucić okiem na tę okolicę.

– Czy... zatrzymał się pan gdzieś tutaj?

– Jestem przejazdem – odpowiedział.

– W drodze do...?

– Innego miejsca. Pomyślałem, że odwiedzę panią, korzystając z tego, że jestem w pobliżu. Miałem jednak nadzieję, że wcześniej panią spotkam i zapytam, czy mogę to zrobić. Przechodziłem koło Manor. To piękny, stary dom.

– Powinien pan być wejść do środka.

– Przed wszystkim wolałem się upewnić, że ciotka pani nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Ależ będzie zachwycona pańską wizytą.

– Jednak – ciągnął – nie zostaliśmy przedstawieni sobie formalnie.

– Spotkaliśmy się już cztery razy, licząc nasze spotkanie w pociągu.

– Tak – powiedział – mam wrażenie, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. Rozumiem, że została pani gorąco powitana w domu.

– Ciotka Patty to taka kochana osoba.

– Jest najwyraźniej bardzo pani oddana. – Tak.

– Tak więc był to szczęśliwy powrót do domu. Zawahałam się.

– Nie było tak?

Milczałam przez chwilę, aż spojrzał na mnie zaniepokojony, po czym powiedział:

– Możemy iść przez las? Moim zdaniem jest piękny o tej porze roku. Nie sądzi pani, że drzewa bez liści wyglądają bardzo ładnie? Proszę popatrzeć, jak piękne wzory tworzą na tle nieba.

– Tak, zawsze tak myślałam. Jest nawet piękniejszy zimą niż latem. Trudno to co prawda nazwać lasem, raczej to zagajnik... taka tylko grupa drzew, która nie ciągnie się dalej niż na milę.

– Mimo wszystko przejdźmy się wśród pięknych drzew i opowie mi pani, dlaczego w domu nie czekało panią takie powitanie jak zwykle.

Zawahałam się jednak, a on spojrzał na mnie z lekką naganą:

– Może mi pani zaufać. Dochowam tajemnicy. Proszę mi powiedzieć, co panią niepokoi.

– Wszystko potoczyło się tak inaczej, niż tego oczekiwałam. Ciotka Patty zupełnie mnie na to nie przygotowała.

– Nie przygotowała na co?

– Na to, że wszystko nie było tak... tak jak powinno. Ona... sprzedała Grantley Manor.

– Sprzedała ten wspaniały dom? A co z kwitającym interesem?

– Najwyraźniej już nie tak kwitającym. Byłam zaskoczona. Sądzę, że rzeczy tego typu bierze się za coś pewnego. Nie było powodów, dla których miałam podchodzić do tego inaczej. Ciotka Patty nigdy nawet nie dała mi do zrozumienia, że nie powodzi się nam już tak dobrze.

Wydawało się, że od strony lasu powiało chłodem. Zatrzymał się i spojrzał na mnie z czułością.

– Moje biedne dziecko – powiedział.

– Och, nie jest aż tak źle. Nie umrzemy z głodu. Ciotka Patty uważa, że wszystko obróci się na dobre.

– Proszę o tym opowiedzieć... jeśli pani chce.

– Nie wiem, dlaczego rozmawiam z panem w ten sposób... chyba dlatego, że wydaje się pan tym zainteresowany. Pojawia się pan nagle, najpierw w lesie, potem na statku i teraz... jest pan dosyć tajemniczy.

Zaśmiał się.

– Dzięki temu jest pani łatwiej ze mną rozmawiać.

– Sądzę, że tak. Miałam zamiar uniknąć pójścia do miasteczka, ponieważ nie chciałam rozmawiać z ludźmi, którzy nas znają od lat.

– W takim razie proszę porozmawiać ze mną.

Opowiedziałam mu więc, że ciotka Patty musiała sprzedać Manor, ponieważ jego utrzymanie było zbyt kosztowne, i że przenosimy się do mniejszego domu w innej części kraju.

– Jakie ma pani plany?

– Sama nie wiem... Ten nowy domek leży gdzieś w środkowych rejonach kraju. Niewiele jeszcze wiem o nim. W relacji ciotki Patty nie jest on taki... taki zły, ale widzę, że Violet, przyjaciółka ciotki, która mieszka z nami, jest bardzo zaniepokojona.

– Potrafię to sobie wyobrazić. To musi być dla pani potworny cios! Proszę przyjąć moje najgłębsze wyrazy sympatii. Była pani tak radosna wtedy w lesie, kiedy widziałem panią z przyjaciółkami. Wydawało się, że one trochę pani zazdrościły.

Szliśmy przez zeszłoroczną trawę, a spoza nagich gałęzi drzew przeświecało zimowe słońce. W powietrzu unosił się zapach mokrej ziemi i liści, a ja nie mogłam pozbyć się

wrażenia, że stanie się coś niezwykłego, ponieważ on był ze mną.

Powiedziałam:

– Mówiliśmy o mnie. Proszę opowiedzieć teraz o sobie.

– Nie byłoby to nic interesującego.

– Niemożliwe. Ma pan zwyczaj... pojawiać się niespodziewanie. To naprawdę intrygujące. Sposób, w jaki znalazł się pan przy nas wtedy w lesie.

– Po prostu przechadzałem się.

– Wydawało się to takie dziwne, że był pan tam, a potem znowu w pociągu, na statku... i teraz tutaj.

– Jestem tu, ponieważ zorientowałem się, że to będzie po drodze, i pomyślałem, że wpadnę, żeby panią zobaczyć.

– Po drodze dokąd?

– Do mojego domu.

– Więc mieszka pan w Anglii?

– Mam dom w Szwajcarii, ale można by powiedzieć, że mieszkam w Anglii.

– I teraz jest pan w drodze tam. Nie znam nawet pana nazwiska.

– Nie wymieniałem go nigdy?

– Nie, nawet w lesie...

– Wtedy byłem tylko przechodniem, prawda? Nie byłoby to *comme il faut**, żeby wymienić bilety wizytowe.

– A potem na statku... był pan właśnie tam.

– Pani była wtedy senna, jak sądzę.

– Skończmy z tą zagadkowością. Jak się pan nazywa?

Zawahał się i miałam wrażenie, że nie chciał mi powiedzieć. Musiał być po temu jakiś powód. Z pewnością był tajemniczym człowiekiem.

Wtedy odezwał się:

– Nazywam się Edward Compton.

– W takim razie jest pan Anglikiem. Zastanawiałam się nad tym. Gdzie pan mieszka?

– W Compton Manor.

– Och... czy to daleko stąd?

– Tak. W Suffolk. W małej wiosce, o której nigdy pani nie słyszała.

– Co to za wioska?

– Croston.

– Rzeczywiście nie słyszałam o niej. Czy to daleko od Bury ST Edmunds?

– Cóż... to najbliższe miasto.

– I jedzie pan tam teraz?

– Tak. Jak tylko stąd wyjadę.

– W takim razie zostanie pan jakiś czas w Canterton?

– Taki miałem zamiar.

– Jak długo?

Spojrzał na mnie znacząco i powiedział:

– To zależy...

Poczułam, że się lekko czerwienię. Sugerował, że to zależy ode mnie. Dziewczęta mówiły, że to mną był zainteresowany, a ja od momentu naszego pierwszego spotkania w lesie wiedziałam o tym.

– Musiał się pan zatrzymać w zajeździe „Pod Trzema Piórami”. Jest niewielki, ale podobno wygodny. Mam nadzieję, że pan też tak uważa.

– Jestem zadowolony – powiedział.

* właściwe, w dobrym tonie (fr.)

– Musi pan przyjść i poznać ciotkę Patty.

– Z przyjemnością.

– Będę musiała już wracać. Tak szybko robi się ciemno.

– Pójdę z panią do Manor.

Ruszyliśmy w kierunku drogi. Przed nami widać było Manor. Wyglądało pięknie w zapadającym zmroku.

– Widzę, że podziwia pan dom – powiedziałam.

– To smutne, że trzeba go sprzedać – odparł.

– Jeszcze nie przyzwyczałam się do tej myśli, ale jak mówi ciotka Patty, dom tworzą nie cegły i zaprawa murarska. Nie mogłybyśmy być tu szczęśliwe, wiedząc, że nie stać nas na takie życie, a jej zdaniem remont należy przeprowadzić już teraz, bo inaczej wszystko zaczęłoby się rozpadać.

– To przygnębiające.

Zatrzymałam się i uśmiechnęłam się do niego.

– Tutaj się pożegnaj, jeśli nie zechce pan wejść ze mną do środka.

– N... nie. Sądzę, że może lepiej będzie zrobić to następnym razem.

– Jutro. Proszę przyjść na herbatę. O czwartej. U ciotki Patty herbata to rytuał. Tak samo jak i inne posiłki. Proszę przyjść tuż przed czwartą.

– Dziękuję – powiedział.

Nie odwracając się, pobiegłam w stronę domu. Czulałam się podekscytowana. Było w nim coś bardzo intrygującego. Teraz przynajmniej wiedziałam, jak się nazywał. Edward Compton z Compton Manor. Próbowałam sobie wyobrazić to miejsce... czerwona cegła, całość raczej w stylu Tudor niż takim jak nasz dom. Nic dziwnego, że interesuje się Grantley i że jest szokowany tym, że musimy je sprzedać. Rozumie, co to znaczy opuszczenie wspaniałej starej siedziby, długo będącej domem.

Jutro zobaczę go. Napiszę do wszystkich dziewcząt o tym spotkaniu. Nie miałam okazji, żeby na statku powiedzieć Lydii o tym, że widziałam go tam znowu. Nie sądzę, żeby poświęciła temu zbyt wiele uwagi. Tak bardzo chcieliśmy się już znaleźć na stałym lądzie i spotkać się z tymi, którzy po nas przyjechali.

Może niebawem będę miała jej więcej do opowiedzenia. Byłam zafascynowana tajemniczym nieznanym.

* * *

Po powrocie do domu zastałam ciotkę Patty bardzo podnieconą.

– Daisy Hetherington właśnie potwierdziła swój przyjazd do nas. Zjawi się pod koniec tygodnia, jadąc na święta do swojego brata. Zostanie przez kilka dni.

Wielokrotnie słyszałam, jak wspominała Daisy Hetherington i zawsze mówiła o niej z wielkim respektem. Była ona właścicielką jednej z najbardziej ekskluzywnych szkół dla dziewcząt w Anglii. Ciotka Patty mogła opowiadać o niej bez końca.

– Ciociu – powiedziałam – przydarzyło mi się coś wyjątkowego. W Schaffenbrucken poznałam pewnego mężczyznę i okazało się, że przypadkiem zjawił się on w Canterton. Zaprosiłam go jutro na herbatę. Nie masz nic przeciwko temu?

– Ależ nie, moja droga, powiadasz, mężczyzna? – Myśli najwyraźniej ciągle miała

zaprzątnięte Daisy Hetherington. – To miło – ciągnęła dalej nieobecny tonem: – Powiedziałam, żeby przygotowali dla Daisy pokój z gobelinami. Sądzę, że to najładniejszy pokój w całym domu.

– Z pewnością ma wspaniały widok z okna... ale tak jest we wszystkich pokojach.

– Będzie chciała usłyszeć o naszej przeprowadzce. Zawsze chce wiedzieć wszystko, co się dzieje w świecie nauczania. Być może, to dlatego odnosi takie sukcesy.

– Ciociu Patty, zabrzmiało to tak, jakbyś była trochę zazdrosna. To do ciebie niepodobne.

– Nie, moja droga, nie jestem zazdrosna. Nie zamieniłabym się z Daisy Hetherington, chociażby w grę wchodziła sama Akademia Colby Abbey. Nie. Jestem zadowolona z tego, co mam. Cieszę się, że kończę z tym. Nadszedł już czas. Jednego tylko żałuję i wiąże się to z tobą. Przyznaję, że chciałam przekazać ci wspaniały, kwitnący interes... – Jej oczy zaczęły błyszczeć. – Nigdy jednak nie wiemy, jakie możliwości się pojawiają. Sądzę, Cordelio, że w tej naszej wiejskiej osadzie byłoby dla ciebie zbyt spokojnie. Byłaś w Schaffenbrucken i jesteś osobą w pełni wykwalifikowaną. Widzisz, prowadzona przez Daisy Hetherington Akademia Colby Abbey dla Młodych Panien, jeśli użyć jej pełnej nazwy, ma reputację, jakiej nasza szkoła nigdy nie miała. Colby jest odpowiednikiem Schaffenbrucken... no, niemalże. Zastanawiałam się...

– Ciociu, czy to ty zaprosiłaś Daisy Hetherington, żeby się tutaj zatrzymała, czy ona sama chciała przyjechać?

– No cóż, wiem dobrze, jak bardzo nie lubi zatrzymywać się w zajazdach. Zaproponowałam, że przez kilka dni może zatrzymać się u nas, zwłaszcza że jest jej to niemalże po drodze. Mam kilka rzeczy, które być może przydałyby się jej. Na przykład to biurko z zasuwaną górą i niektóre biurka dziewcząt, książki. Była tym dosyć zainteresowana, no i chciałyby poznać ciebie. Opowiadałam jej o tobie tak wiele.

Dobrze znałam ciotkę. Rozpoznałam te tajemnicze błyski w jej oczach, które pojawiały się, kiedy coś planowała.

– Prosiłaś ją o znalezienie dla mnie pracy w jej szkole?

– Cóż, nie prosiłam o to dosłownie. I w każdym razie to i tak ty musiałabyś zdecydować. Powinnaś to dokładnie przemyśleć, Cordelio. Czy odpowiadałoby ci wiejskie życie? Koncentrujące się wokół kościoła życie w małej wiosce. To dobre dla takich starych ptaków jak Violet i ja, ale nie dla młodej, wykształconej dziewczyny z perspektywami wykorzystania tego doświadczenia. No cóż, tak jak powiedziałam, to ty będziesz musiała zdecydować. Jeśli spodobaś się Daisy... Wiem, że twoje kwalifikacje będą jej odpowiadały. Daisy to dobra kobieta... trochę surowa, odrobinę wyniosła i bardzo, ale to bardzo dystyngowana. Prawdę mówiąc, całkowite przeciwieństwo twojej ciotki „P”, ale to prawdziwa kobieta interesu, taka, która wie, co chce osiągnąć. Sama zobaczysz. Jeśli cię przyjmie, z czasem możesz sobie wyrobić tam bardzo dobrą pozycję. Myślę o wspólnym prowadzeniu szkoły. Pieniądze? No cóż, nie jestem aż tak biedna i będę mogła żyć wygodnie z tego, co mam, i z tego, co dostanę za Grantley. Uzyskujemy bardzo dobrą cenę. W Colby Abbey zaczynają przerwę świąteczną tydzień wcześniej niż my... Zaprosiłam ją więc. To nie jest zły pomysł, że przyjedzie akurat wtedy, kiedy dziewczęta będą się rozjeżdżać na święta. Uniemożliwi jej to krytykowanie naszych metod nauczania, co, jestem pewna, zrobiłaby. Będziesz pełna podziwu dla niej. Ma wszystkie te dobre cechy, których mnie brak.

– Z pewnością akurat za to nie będę jej podziwiała.

– Och, będziesz. Ja nie jestem typem kobiety, która może z powodzeniem prowadzić

szkołę. Powiedzmy to sobie. Żadna z dziewcząt w najmniejszym nawet stopniu nie podziwia mnie.

– One cię kochają.

– Są chwile, kiedy bardziej liczy się respekt. Teraz widzę swoje błędy... patrząc wstecz. Sądzę, że nie jest to dla mnie wielki plus. Przynajmniej przyznaję się do tych błędów i wyciągam z nich jakąś naukę. Mój plan jest następujący, Cordelio. Masz możliwość wyboru... gdyby Daisy Hetherington zrobiła tak, jak chciałabym, żeby zrobiła. Jeśli zaproponuje ci pracę w swojej szkole i jeśli w ciągu pięciu, sześciu lat umocnisz swoją pozycję u niej, a biedna Daisy nie będzie stawała się coraz młodsza, ja zaś będę miała odłożony mały kapitał... wiesz... do czego zmierzam? To dlatego wizyta Daisy jest dla mnie taka ważna. Mamy tutaj właśnie ciebie, świeżo po Schaffenbrucken. Tak się składa, że wiem, iż w tej chwili nie ma tu nikogo z tak szczególnym znamieniem jakości. Jeśli spodobaś się jej, a nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby się tak stać, jest szansa. I, droga Cordelio, chcę, żebyś bardzo poważnie zastanowiła się nad przyjęciem takiej propozycji. To jedyna rzecz, dzięki której mogłam zaakceptować to, co się stało. Wiem, że jeśli uda się to zrealizować zgodnie z moim planem, wszystko, co się zdarzyło, będzie w istocie błogosławieństwem.

– Jesteś niepoprawnym spiskowcem, ciociu Patty. Przypuśćmy, że polubi mnie i zgodzi się mnie przyjąć... wtedy nie będę z tobą.

– Moja kochana, ten mały domek będzie czekał na ciebie. Ferie szkolne to będą same czerwone kartki w naszym kalendarzu. Kochana, stara Vi będzie dodatkowo czyścić swoje mosiądze, jest przeczulona na ich punkcie. Ja będę żyła w podnieceniu. Wyobraź sobie tylko nasze spotkania w domu! Mogę dokładnie przewidzieć taką sytuację o tej porze w przyszłym roku. Wszystkie pójdziemy do kościoła na śpiewanie kolęd. Proboszcz to taki sympatyczny człowiek. W rzeczywistości to bardzo miłe miejsce.

– Och, ciociu Patty – powiedziałam – tak liczyłam na to, że będę z tobą. Przecież tak mało widywałyśmy się w ciągu ostatnich trzech lat.

– Kiedy znajdziesz się w Devon, będziemy się spotykać częściej. Nie tylko w czasie Bożego Narodzenia i latem. Stacja kolejowa jest o trzy mile od domu, a będziemy miały mały powozik. Będę wyjeżdżać po ciebie. Och, tak się na to cieszę. A jeśli znajdziesz się w takiej szkole jak Colby Abbey, dokąd, wierz mi, swoje córki posyłają wielcy tego świata, wejdiesz w odpowiednie kręgi... rozumiesz, co mam na myśli. My mamy tutaj córki kilku utytułowanych szlachciców, ale niech mi będzie wolno powiedzieć: u Daisy Hetherington są córki lordów i córka zdziwaczałego księcia.

Zaśmiałyśmy się, gdyż w towarzystwie ciotki Patty było to zawsze tak naturalne. Miała ona niepowtarzalny dar sprawiania, że każda, nawet najtrudniejsza, sytuacja stawała się zabawna i można było ją znieść.

W moich myślach panował chaos. Chciałam uczyć. Prawdę mówiąc, czułam, że mam do tego specjalne powołanie: od lat byłam wychowywana w oczekiwaniu na to. Jednak to, co się teraz działo, było dla mnie trudne do ogarnięcia: opuszczenie Grantley, perspektywa zamieszkania w nowym domu z ciotką Patty i Violet, i w końcu pojawienie się możliwości zrobienia kariery w wybranym przeze mnie zawodzie, z nadzieją na posiadanie kiedyś swojej własnej szkoły! Nadrzędną pozycję w moich myślach zajmował jednak Edward Compton. Człowiek, który miał zwyczaj pojawiania się w moim życiu w sposób bardzo tajemniczy i wreszcie zaczynał nabierać bardziej rzeczywistych cech.

Do tej pory był czymś w rodzaju zjawy bez nazwiska, bez domu, do którego mogłabym go przypisać. Teraz już wiedziałam. To był Edward Compton z Compton

Manor i jutro po południu miał przyjść do nas na herbatę. Kiedy będzie siedział z ciotką Patty i Violet, straci tę aurę bajkowości, a ja chciałam, żeby tak się stało.

Ekscytował mnie. Był taki przystojny. Miał twarde rysy twarzy i intrygujący wygląd człowieka nie z tej epoki. Stracił go w pewnym stopniu w moich oczach w lesie, kiedy podał mi swoje nazwisko, z ociąganiem, jakby wcale nie chciał go zdradzić. Zaczęłam postrzegać go dzięki temu prawie jako zwyczajną ludzką istotę. Zastanawiałam się, dlaczego podawał mi je tak niechętnie. Być może zdawał sobie sprawę z tego, że pojawieniem się nam najpierw w lesie, a potem mnie samej na pokładzie statku wykreował wokół siebie atmosferę tajemnicy i teraz chciał ją utrzymać.

Zaśmiałam się. Cieszyłam się na spotkanie z nim bardziej, niż chciałam się do tego przyznać ciotce Patty. Tak bardzo zdominował moje myśli, że usuwał nawet w cień przyjazd Daisy Hetherington i skutki, jakie ten fakt mógł mieć dla mojej przeszłości.

* * *

Następnego dnia, kiedy Edward Compton nie pojawił się, byłam tak gorzko rozczarowana, że zorientowałam się, jak bardzo pozwoliłam sobie zaangażować moje uczucia w tę znajomość.

Ciotka Patty i Violet, gotowe, czekały na niego. Spodziewałam się, że przyjdzie przed godziną czwartą, ponieważ o tej porze podawano herbatę. Kiedy nie pojawił się do czwartej trzydzieści, ciotka Patty zdecydowała, że zaczniemy bez niego. Tak też zrobiliśmy.

Przez cały czas oczekiwałam jego przyjazdu i nieobecna myślami, udzielałam ciotce Patty i Violet niejasnych odpowiedzi na pytania dotyczące wizyty Daisy Hetherington, gdyż ten temat omawiały bezustannie.

- Być może – powiedziała ciotka Patty – musiał nagle wyjechać.
- Powinien przysłać wiadomość.
- Może zrobił to i została ona skierowana gdzie indziej.
- Kto mógłby pomylić Grantley Manor.
- Przeróżne rzeczy mogły się wydarzyć – powiedziała ciotka Patty. – Mógł mieć wypadek w drodze tutaj.

- Usłyszałybyśmy o tym – odparłam.
- Może zmienił zdanie i nie chciał przyjść – zasugerowała Violet.
- Sam poprosił o zaproszenie – wyjaśniłam – i działa się to załedwie wczoraj.
- Mężczyźni – powiedziała Violet, wykazując się ogromną ignorancją – czasami potrafią się zachowywać bardzo zabawnie. Przyczyną mogło być wszystko... z mężczyznami nigdy nic nie wiadomo.

- Musi być jakiś powód – stwierdziła ciotka Patty, smarując bezę dżemem poziomkowym i oddając się z lubością przyjemności zjedzenia jej. – Powiem wam, co zrobimy – obwieściła po zjedzeniu przekąski. – Możemy posłać Jima pod „Trzy Pióra”. Będą wiedzieli, czy zdarzył się jakiś wypadek.

Jim był stajennym, który powoził bryczką i doglądał koni.

- Czy nie będzie to wyglądało tak, jakbyśmy były nim zainteresowane? – zapytała Violet.

- Moja droga Vi, my jesteśmy zainteresowane.
- Oczywiście, ale ponieważ on jest mężczyzną...
- Nieszczęśliwe wypadki zdarzają się zarówno kobietom, jak i mężczyznom. A to, że

zapowiedział się i nie przyszedł, wydaje mi się dziwne.

Rozmawialiśmy chwilę o Edwardzie Comptonie i opowiedziałam, jak razem z dziewczętami spotkałyśmy go w lesie i jak potem dziwnym zbiegiem okoliczności był on też na statku płynącym do Anglii i z kolei pojawił się tutaj.

– Podejrzewam, że został nagle odwołany – powiedziała ciotka Patty. – Zostawił wiadomość, która miała być doręczona, ale wiecie, jak to jest z ludźmi spod „Trzech Piór”. Są mili... lecz zdarza im się, że nie o wszystkim pamiętają. Przypominasz sobie, Vi, kiedy jedna z matek chciała zatrzymać się tam na noc? Zarezerwowałyśmy miejsce, a pani White zapomniała zanotować tego. Musiałyśmy ulokować ją w szkole.

– Pamiętam dokładnie – odrzekła Violet – a jej spodobało się to tak bardzo, że chciała zostać na jeszcze jeden dzień i noc, i powtórzyć to znowu w przyszłości.

– Widzisz więc – powiedziała ciotka Patty i powróciła do omawiania przygotowań do wizyty Daisy Hetherington.

Godzinę później Jim wrócił z zajazdu „Pod Trzema Piórami”. Żaden pan Compton nie zatrzymał się u nich. W tej chwili mieszkały tam tylko dwie starsze panie.

To było dziwne. Może nie powiedział, że zatrzymał się w „Trzech Piórach”... czy wyobraziłam sobie to tylko?

Nie byłam tego pewna. Kiedy podał mi swoje nazwisko, poczułam, że znika jego aura tajemniczości. Teraz pojawiła się znowu.

W mężczyźnie z lasu było coś dziwnego.

* * *

Nie było wiadomości od Edwarda Comptona i poszłam spać pełna domysłów i rozczarowana. Mimo wszystko, sam wyraził przecież ochotę na złożenie wizyty. Byłam pewna, że zdarzyło się coś niespodziewanego.

Noc miałam niespokojną, pełną chaotycznych snów, w których on pojawiał się na przemian z Daisy Hetherington. W jednym z nich, niemalże koszmarze, śniłam, że byłam w Akademii Colby Abbey wyglądającej jak wielkie, ponure, gotyckie zamczysko i szukałam tam Edwarda Comptona. Kiedy go odnalazłam, okazało się, że jest on potworem: w połowie mężczyzną, w połowie kobietą, czyli sobą i Daisy Hetherington. Próbowałam uciec.

Bez tchu usiadłam na łóżku, zorientowałam się, że krzyczałam przez sen.

Położyłam się, próbując uspokoić myśli.

Tyle rzeczy wydarzyło się w tak krótkim czasie, że nie należało się dziwić, że miałam kłopoty ze snem. Co do Edwarda Comptona, to jeśli zdecydował, że nie ma ochoty nas odwiedzić, i nie był na tyle dobrze wychowany, żeby nas o tym powiadomić, to nie jest wart myślenia o nim. Nie wierzyłam jednak, żeby tak się to przedstawiało. To, co uderzało w nim, to atmosfera niemalże staroświeckiej rycerskości.

Wszystko to było zagadkowe. Wkrótce prawdopodobnie rzecz się w jakiś sposób wyjaśni. Może nawet teraz wiadomość jest już w drodze. *

Kiedy zesłam na dół, było już po śniadaniu, a dziewczęta rozchodziły się na lekcje. W tym okresie, kiedy ferie były tuż-tuż, a wszędzie panował już świąteczny nastrój, lekcje były traktowane w sposób mniej rygorystyczny niż zwykle.

Rano poszłam do miasta. Panna Stoker, właścicielka małego sklepiku tekstylnego, stała na ulicy, oceniając wygląd swojego okna wystawowego. Umieściła w nim serwetki i obrusy, udekorowane tu i ówdzie gałązkami ostrokrzewu, mającymi przyciągnąć oko

klientów robiących świąteczne zakupy.

Przywitała się ze mną miło, mówiąc, jak jej przykro z powodu naszego wyjazdu.

– Bez szkoły nie będzie już tu tak samo – powiedziała. – Była tu od tak dawna. Proszę wybaczyć, ale kiedy dowiedzieliśmy się, że będzie tu szkoła... wiele lat temu... nie wszyscy byli z tego zadowoleni. Ale panna Grant stała się naszą ulubienicą... tak jak i dziewczęta. Dobrze było widzieć je w mieście. Teraz to już nie będzie to samo.

– My wszystkie też będziemy za wami tęsknić – odrzekłam.

– Życie toczy się naprzód, zawsze to powtarzam. Nic nie trwa w miejscu zbyt długo.

– Teraz w mieście nie ma wielu ludzi? – zagadnęłam. – Nie, któż by tu przyjechał o tej porze roku?

– Zauważyłaby pani kogoś obcego, prawda?

Patrzyłam na nią wyczekująco. Panna Stoker znana była z tego, że wiedziała o wszystkim, co dzieje się w mieście.

– „Pod Trzema Piórami” są znowu panny Brewer. Były tu w ubiegłym roku. Lubią sobie zrobić przerwę w podróży do kuzynów, gdzie jeżdżą co roku na święta. Wiedzą, że „Pióra” to dobry zajazd. Są tam mile witane. W zimie nie ma zbyt wielu gości. Tom Carew mówił mi, że mają duży ruch na wiosnę, latem i jesienią, ale zima to martwy sezon.

– Tak więc teraz mieszkają tam tylko panny Brewer?

– Tak... a oni cieszą się, że przyjechały.

Miałam już podwójne potwierdzenie. Jeśli ktokolwiek inny zatrzymałby się tam, panna Stoker wiedziałaby o tym.

Mimo wszystko, kiedy udało mi się jej wyrwać, poszłam pod „Trzy Pióra”, żeby przekazać państwu Carew życzenia świąteczne. Przyjęli mnie mile i nalegali, żebym wypila szklaneczkę soku jabłkowego.

– Ośłupieliśmy, kiedy dowiedzieliśmy się, że panna Grant sprzedała Manor – powiedziała pani Carew. – To był prawdziwy szok, prawda?

Tom potwierdził:

– Daję słowo, to prawda. Bez dwóch zdań, wszyscy byliśmy wstrząśnięci.

– To trzeba było zrobić – odparłam i przytaknęli.

Zapytałam, jak idą interesy.

– Coraz gorzej – powiedział Tom. – Mamy dwoje gości. To panny Brewer. Były u nas już przedtem.

– Tak, słyszałam o tym od panny Stoker. To jedyni goście?

– Tak, tylko one dwie.

Już bardziej nie mogłam się upewnić.

– Był tu Jim od państwa. Sądził, że może mieszka u nas pań znajomy...

– Myślałyśmy, że może tu przyjedzie. To niejaki pan Compton.

– Może zjawi się później. Jeśli przyjedzie, możemy zaoferować mu naprawdę ładny pokój.

Wyszłam z „Trzech Piór” niepokieszona. Spacerowałam po mieście i wtedy przypomniałam sobie o małym zajęździe „Nag’s Head”. Był naprawdę niewielki. Mieli tam jeden czy dwa pokoje, które wynajmowali czasami.

Poszłam tam, żeby porozmawiać z Joe Brackettem, którego nie znałam zbyt dobrze. Przywitał się ze mną i wyraził żal, że wyjeżdżam z miasta. Przeszłam wprost do rzeczy i zapytałam, czy pan Compton wynajmował u niego pokój.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie tutaj, panno Grant. Może „Pod Trzema Piórami”...

– Nie – powiedziałam – tam też nie.

– Jest pani pewna, że zatrzymał się w naszym mieście? Nie wiem, gdzie indziej mógłby zamieszkać, no, chyba że u pani Shovell. Ona czasami wynajmuje pokój... daje tylko nocleg ze śniadaniem. Ale cały ostatni tydzień chorowała... ma nieraz takie okresy.

Pożegnałam się i ruszyłam do Manor. Myślałam, że może czeka na mnie jakaś wiadomość.

Niestety, nic takiego się nie wydarzyło.

Po południu pomogłam dziewczętom w dekorowaniu sali ogólnej, a później przyjechała Daisy Hetherington.

* * *

Daisy Hetherington zdecydowanie zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Była bardzo wysoką, szczupłą, kościstą kobietą. Musiała mieć ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Ja sama byłam wysoka, ale w jej obecności czułam się niemal jak karzełek. Miała bardzo żywe, zimne, niebieskie oczy i śnieżnobiałe włosy. Ubierała się elegancko. Jej bladość i klasyczne rysy twarzy robiły wrażenie wyciosanych z kamienia. Czuło się w niej silną osobowość i jednocześnie arystokratyczną szlachetność. Była modelową przełożoną. Zorientowałam się od razu, ponieważ wzbudzała wokół podziw i respekt. Wymagałaby wszystkiego, co najlepsze, i całe otoczenie dawałoby to z siebie, wiedząc, że nie zaakceptuje niczego innego. Emanowała perfekcją i żądała jej w zamian.

Jedyną rzeczą niepasującą do niej było jej imię. Daisy – stokrotka – sugeruje delikatność małego kwiatka, ukrytego gdzieś pośród traw. Ona powinna nosić królewskie imię: Elżbieta, Aleksandra, Eleonora czy Wiktoria.

Nikt nie mógł wyglądać mniej niepozornie w jej obecności niż ciotka Patty, która teraz wydawała się jeszcze bardziej zaokrąglona, bardziej przystępna i bardziej lekkomyślnie kochana.

Ciotka Patty przysłała do mojego pokoju jedną ze służących z wiadomością, że panna Hetherington przyjechała już i że siedzą w salonie przed pójściem na kolację. Prosiła, abym dołączyła tam do nich.

Zesłam na dół. Pamiętam, że miałam na sobie niebieską aksamitną sukienkę z białym żabotem. Włosy, gęste, proste, lekko kasztanowate, upięłam wysoko, żeby dodać sobie wzrostu i, miałam nadzieję, powagi. Wyczuwałam, że w obecności Daisy Hetherington będę potrzebowała całego zasobu pewności siebie, jaki tylko potrafię zmobilizować. Przyjrzałam się swemu odbiciu w lustrze. Na pewno nie byłam ładna. Jasnobrązowe oczy rozstawione były trochę zbyt szeroko, usta też były za szerokie, czoło zbyt wysokie, by sprostać obecnym kanonom urody; nos, jak to Monique zwykła mówić, był „wszędobylski”, co znaczyło, że był lekko zadarty na końcu. Dodawało to mojej raczej poważnej twarzy lekkiego odcienia żartobliwości. Zastanawiałam się, dlaczego Edward Compton zdawał się bardziej zainteresowany mną niż na przykład Monique, która była bardzo ładna, czy całkiem atrakcyjną Lydią. Frieda wyglądała poważnie, ale była ujmująco bezpośrednia. Ja miałam świeżość młodości, ale na pewno nie byłam najbardziej atrakcyjną z nas czterech. Wydawało się dziwne, że to mnie miał wybrać Edward Compton. Jeśli oczywiście nasze spotkania nie były całkowicie przypadkowe. To w lesie wyglądało na takie, również to na statku. Przedsięwziął jednak wyprawę do Canterton, a było to już tylko po to, żeby zobaczyć się ze mną. Dlaczego więc umawiał się na herbatę i nie pojawił się?

Było tylko jedno wytłumaczenie. Po spotkaniu w lesie zapomniał o mnie aż do chwili, kiedy spotkaliśmy się znowu na statku. Będąc w pobliżu, zatrzymał się w Canterton. Przypomniał sobie wtedy, że mieszkam tu. Spotkaliśmy się przypadkowo i być może to ja wmanewrowałam go w przyjęcie zaproszenia, robiąc to tak, że odmowa mogła się wydać niegrzeczna. W każdym razie przemyślał sprawę dokładniej i postanowił wymknąć się po cichu.

Musiałam przestać o nim myśleć. Dużo ważniejsze było, abym dobrze zaprezentowała się Daisy Hetherington.

Ciotka Patty wyglądała na zachwyconą. Poderwała się, podeszła do mnie i wzięła mnie pod rękę.

– Oto Cordelia, Daisy, moja bratanica. Cordelia Grant. Cordelio, to panna Hetherington, właścicielka jednej z najświetniejszych instytucji nauczających w kraju.

Daisy ujęła moją rękę w swoją, zaskakująco ciepłą dłoń. Spodziewałam się, że będzie zimna... jak kamień.

– Jestem zachwycona, mogąc panią poznać – powiedziałam.

– To przyjemność zawrzeć znajomość z tobą – odparła. – Ciotka tyle mi o tobie opowiadała.

– Usiądź – poprosiła ciotka Patty. – Kolacja będzie za dziesięć minut. Czyż to nie wspaniała rozrywka gościć u nas pannę Hetherington!

Uśmiechnęła się do mnie i mrugnęła porozumiewawczo. Wydawało się, że „rozrywka” było dziwnym słowem do użycia w jakimkolwiek związku z panną Hetherington, poza tym przypadkiem, kiedy wymawiała je ciotka Patty, w obecności której wszystkie przejawy życia dały się wciągnąć do tej kategorii.

Usiadłam, świadoma badawczego spojrzenia wwiercających się we mnie niebieskich oczu. Czułam, że każdy szczegół mojego wyglądu został odnotowany i że wszystko, co zostanie powiedziane, będzie ocenione i użyte jako dowód za lub przeciwko mnie.

– Jak wiesz, Cordelia wróciła właśnie z Schaffenbrucken – powiedziała ciotka Patty.

– Tak zrozumiałam.

– Była tam przez dwa lata. Niewiele osób zostaje tam dłużej.

– Dwa lub trzy lata to zwykły okres pobytu tam – powiedziała Daisy. – Musiało to być korzystne doświadczenie.

Przytaknęłam.

– Opowiedz panie Hetherington o tym – poprosiła ciotka Patty.

Siedziała, uśmiechając się i aprobująco kiwając głową. Była tak dumna ze mnie, że stawało się to trochę żenujące i czułam, że muszę zrobić, co w mojej mocy, żeby na tę dumę zasłużyć.

Zaczęłam opowiadać o Schaffenbrucken: o rozkładzie dnia, lekcjach, wydarzeniach towarzyskich... o wszystkim, co tylko mogłam sobie przypomnieć w odniesieniu do szkoły. Mówiłam, dopóki Violet nie przerwała mi lekkim kasznięciem i zaproszeniem nas na kolację.

Kiedy podano rybę, Daisy Hetherington poruszyła temat, wokół którego lawirowała aż do tego momentu.

– Moja droga Patience – powiedziała – mam nadzieję, że robisz dobrze, wycofując się.

– Nie mam co do tego wątpliwości – odrzekła radośnie ciotka Patty. – Takiego samego zdania są i moi prawnicy, i bank... a oni rzadko się mylą.

– Jest więc aż tak źle?

– Aż tak dobrze – odparowała ciotka Patty. – Nadchodzi taki moment, kiedy kobieta chce się wycofać. To właśnie ten moment dla mnie. Chcemy spokojnego życia... wszystkie, i będziemy to miały. Violet pracowała o wiele za ciężko. Teraz będzie hodować pszczoły, prawda?

– Zawsze czułam do tego pociąg – powiedziała Violet – specjalnie, odkąd mój kuzyn Jeremy został zażądłony na śmierć, gdyż rozdrażnił pszczelą królową.

Ciotka Patty wybuchnęła śmiechem.

– Miałaś na pieńku z kuzynem Jeremym.

– Nic podobnego, Patty. Chociaż to mu się należało. Zawsze się wtrącał. Moja mama mawiała: „Daj spokój pszczole, a ona da spokój tobie”.

– Hodowla pszczół może być interesującym hobby – wtrąciła Daisy – jeśli jednak liczyście na profit...

– Liczymy tylko i wyłącznie na odrobinę wspaniałego miodu – powiedziała ciotka Patty. – Jest doskonały w plastrze.

Znałam dobrze ciotkę Patty. Celowo nadawała rozmowie lekki ton; bardzo jej zależało, żeby Daisy nie zorientowała się, jak poważny cel chce osiągnąć.

– Violet, Cordelia i ja – ciągnęła – cieszymy się perspektywą spokojnego życia.

Daisy Hetherington spojrzała na mnie. Czułam niemalże, jak sonduje mój mózg.

– Czy nie ogranicza to zbyt pani możliwości działania, panno Grant? W pani wieku, z pani edukacją i po pobycie w Schaffenbrucken... wydaje się to marnotrawstwem.

– Pobyt w Schaffenbrucken nigdy nie będzie czasem zmarnowanym – wtrąciła ciotka Patty. – To zostaje na całe życie. Zawsze żałuję, że sama tam nie byłam, a ty, Daisy, nie żałujesz tego?

– Uważam, że to idealne zakończenie procesu edukacji – powiedziała Daisy – to i inne instytucje tego typu.

– Takie jak na przykład Akademia Colby Abbey dla Młodych Panien – powiedziała dość tajemniczo ciotka Patty – ciesząca się ogromną renomą! W głębi serc jednak wiemy, że nic... po prostu nic... nie da się porównać z Schaffenbrucken.

– Tym bardziej twoja bratanica nie powinna zmarnować tego, zaszywając się na wsi.

– Cordelia sama musi zdecydować, co zrobi. Ona naprawdę kształciła się po to, aby uczyć, prawda?

Potwierdziłam jej słowa. Daisy zwróciła się do mnie:

– Rozumiem, że ma pani powołanie do tego zawodu?

– Lubię mieć do czynienia z młodymi ludźmi. Zawsze sądziłam, że tak będzie wyglądać moje życie.

– Ależ oczywiście, oczywiście – powiedziała Daisy. – Patience, korzystając z okazji, chętnie rozejrzałabym się tu.

– Naturalnie. To nasz ostatni tydzień przed przerwą. Panuje już świąteczny nastrój. To nie zwykły, szkolny rozkład zajęć, kiedy zbliża się Boże Narodzenie i radość... i ponieważ będą to ostatnie święta tutaj...

– Co stanie się z twoimi dziewczętami, kiedy zamkniesz szkołę... pod koniec następnego semestru, prawda?

– Sądzę, że część rodziców wzięłaby pod uwagę Colby Abbey, jeśli powiem im, że jesteś moją przyjaciółką. Ludzie lubią wykorzystywać powiązania. Wielu rodziców było bardzo zainteresowanych tym, że Cordelia była w Schaffenbrucken. Oczywiście, mieli nadzieję, że będzie tutaj uczyć.

– Tak, tak – powiedziała Daisy i nawet ona nie mogła ukryć błysku spekulacji,

czającego się w jej wzroku.

Moja kandydatura została wzięta pod uwagę i, co dziwne, intrygowało mnie to. W pewnym sensie byłam zainteresowana Daisy Hetherington. Stanowiła dla mnie wyzwanie. Wiedziałam, że była kobietą, którą mogłabym podziwiać. Potrafiła być twarda; nie mogłabym sobie wyobrazić, żeby dała powodować się sentymentem. Dobrą pracę oceniałaby sprawiedliwie i potrafiłaby ją docenić. Nie wydawało się prawdopodobne, aby była skłonna tolerować jakiegokolwiek inne działania.

Myślałam o długich dniach wiejskiego życia... niewypełnionych właściwie niczym konkretnym; słuchanie o pszczołach Violet, branie udziału w wiejskich uroczystościach, prowadzenie stoisk na jarmarkach, żartowanie z ciotką Patty... i co jeszcze? Robienie tylko tego do chwili, kiedy wyjdę za mąż? Za kogo? Za syna wikarego, jeśli ten go ma? Nie. Pomimo że mogłabym mieszkać z ciotką Patty, chcę czegoś więcej. Ciotka Patty pierwsza zrozumie to. Nie powinniśmy pozwolić, aby znudzenie popsło nasze wyjątkowe stosunki. Wie, że powinnam włączyć się w życie, i dała mi jasno do zrozumienia, że widzi szanse rozpoczęcia tego procesu właśnie poprzez Daisy Hetherington.

Daisy opowiadała nam o swojej szkole i w miarę, jak mówiła, zdawało się, że nikt nie jej twarda powłoka; lekki rumieniec zabarwił jej policzki, niebieskie oczy złagodniały. Jasne było, że szkoła jest istotą jej życia.

– Nasza szkoła jest dosyć niezwykle usytuowana. Stanowi ona część klasztoru. Stwarza to nietypową atmosferę. Uważam, że ta otoczką jest bardzo ważną rzeczą. Rodzice są pod wrażeniem, kiedy widzą szkołę po raz pierwszy.

– Kiedy ja zobaczyłam ją po raz pierwszy, uznałam, że robi trochę niesamowite wrażenie – powiedziała ciotka Patty. – Violet miała nocne koszmary w pokoju, w którym ją umieściłaś.

– To z powodu sera, który zjadłam na kolację – wyjaśniła Violet. – Zawsze tak się dzieje.

– Ludzie potrafią sobie wyobrazić wszystko i wszędzie – powiedziała Daisy, zamykając ten temat. Zwróciła się do mnie: – Jak mówiłam, jest to nad wyraz interesujące umiejscowienie. Wielka część starego klasztoru została zburzona w czasach Wielkiego Rozłamu, ale dosyć duża część pozostała: budynek refektarza i dom zgromadzenia siostr. Dom, który teraz zajmujemy, został odbudowany w XVI wieku przez jednego z Verringerów. W tym samym czasie zbudowali dwór, używając kamieni pozostałych po klasztorze. Jest on w tej chwili domem rodziny Verringerów, właścicieli klasztoru i większości ziem, rozciągających się na wiele mil wokół. To bardzo bogaci i wpływowi ziemianie. Mam u siebie ich dwie dziewczynki... to takie dla nich wygodne i jednocześnie dobre dla szkoły. Byłam pewna, że Jason Verringer nie pośle ich nigdzie indziej. Tak, to niezwykle miejsce.

– Brzmi to bardzo interesująco – powiedziałam. – Ruiny klasztoru są wszędzie dookoła?

– Ludzie przyjeżdżają, żeby je zwiedzać. Ukazują się publikacje na ich temat, co jednocześnie kieruje uwagę ku szkole. Chciałabym wykupić ten teren, ale Jason Verringer nie zgadza się. Sądzę, że to naturalne. Ziemie klasztoru należą do ich rodziny, odkąd Henryk VIII przekazał im je, kiedy klasztor został częściowo zburzony.

– Cieszę się, że Grantley było moją własnością – powiedziała ciotka Patty.

– Miałaś wiele szczęścia! – odparła krótko Daisy. – Dzięki temu jesteś w dobrej sytuacji w chwili, kiedy szkoła podupadła.

– Nie nazwałabym tego podupadnięciem – powiedziała ciotka Patty. – Po prostu zdecydowałam zaniechać tej działalności.

– A tak, wiem... zgodnie z radą twojego prawnika i bankiera. Bardzo rozsądnie. Jestem pewna. Ale to przykre. Może jednak wiejskie życie będzie miało dla ciebie swój urok.

– Mam zamiar sprawić, żeby tak się stało – powiedziała ciotka Patty. – Wszystkie na to liczymy. Prawda, Cordelio... Violet? Droga Vi, ty marzysz o tym. Słyszysz brzęczenie pszczoł, jestem tego pewna. Już cię widzę w jednym z tych nakryć głowy, jakie należy założyć, żeby uchronić się przed użądleniem; wychodzącą, żeby opowiedzieć im wszystkie miejscowe ploteczki. Wiedziałaś, Daisy, że tak trzeba postępować z pszczołami... inaczej to przynosi pecha albo coś jeszcze gorszego? Nie lubią tego, odlatują w wielkim zdenerwowaniu i mogą być tak rozdrażnione, że najpierw użądla kilka razy. Wiedziałaś, że po użądleniu zostawiają żądla w ciele ofiary, a to je zabija? Co za nauczka dla nas. Nie należy sobie pozwalać na wybuchy gniewu.

Daisy zwróciła się do mnie:

– Sądzę, że z twoim wykształceniem i po pobycie w Schaffenburg chciałabyś wykorzystać swoje kwalifikacje.

– Tak – odparłam. – Sądzę, że tak.

Zaczęła mówić wprost do mnie: o Akademii Colby Abbey, o tym, ile nauczycielek zatrudnia, o przedmiotach, jakie są wykładane, o tym, jak to ona sama koncentruje się na pracy ze starszymi dziewczętami.

– Większość naszych uczennic opuszcza szkołę w wieku siedemnastu lat. Niektóre z nich udają się właśnie do Schaffenburg lub podobnego typu szkół na kontynencie. Dlaczego ludzie sądzą, że aby poznać tajniki zachowań w towarzystwie, należy w tym celu wyjechać za granicę? Moja szkoła jest z pewnością najlepszym w kraju promotorem wiedzy z tego zakresu. Chcę, żeby ludzie uświadomili to sobie. Myślałam o tym, żeby zorganizować dodatkowe zajęcia dla starszych dziewcząt... powiedzmy osiemnasto-, dziewiętnastoletnich: tańce, konwersacje, dyskusje.

– O tak, w Schaffenburg miałyśmy zajęcia tego rodzaju.

Skinęła głową.

– Znalazłyśmy już nauczyciela tańca i śpiewu. Niektóre dziewczęta mają wspaniałe głosy. Mademoiselle Dupont i Fraulein Kutcher uczą francuskiego i niemieckiego i są osobami bardzo po temu odpowiednimi. Zawsze muszą to być osoby właściwych narodowości.

Słuchałam z uwagą. Zaszczepiła we mnie chęć zobaczenia szkoły Abbey.

Miałam uczucie, jakby ochota wyruszenia z domu była brakiem lojalności w stosunku do ciotki Patty. Jednak naprawdę wierzyłam, że nie powinnam chcieć być z nią przez cały czas, a powroty do domu na wakacje byłyby wspaniałe. Niemalże słyszałam brzęczenie pszczoł Violet i widziałam oczami wyobraźni ciotkę Patty siedzącą pod drzewem w ogromnym kapeluszu, przy białym stole, na którym stały ciasteczka, bezy i dżem poziomkowy. Przyjemne... domowe... niosące komfort. Nie mogłam jednak przestać myśleć o szkole Abbey, o pełnych duchów ruinach będących w pobliżu i o oddalonej o kilka mil siedzibie wszechwładnych Verringerów.

Myślałam o tym ciągle, kiedy poszłam wieczorem do mego pokoju. Nie byłam tam dłużej niż pięć minut, kiedy zjawiła się ciotka Patty. Opadła na fotel, emanując energią i zadowoleniem.

– Myślę, że połknęła haczyk – powiedziała. – Sądzę, że złoży propozycję. Zawsze

podejmuje szybkie decyzje. Jest z tego dumna. Widziałam, jak Schaffenbrucken przeważała szalę.

– Ja byłam zaintrygowana.

– Widziałam. Przedstawi ci propozycję. Sądzę, że powinnaś ją przyjąć. Jeśli nie będzie ci się tam podobać, a ona spróbuje postępować niewłaściwie, możesz odejść natychmiast. Ale nie robi tego. Niech chociaż jeden dzień poobserwuje, jak pracujesz, a będzie cię hołubić. Dobrze ją znam. Ale, jak powiedziałam, jeśli cokolwiek będzie nie tak, to ja i Violet czekamy tu na ciebie. Wiesz o tym.

– Zawsze wszystko tak mi ułatwiasz – powiedziałam wzruszona. – Nigdy nie zapomnę, jak wtedy w porcie zobaczyłam cię w tym kapeluszu z niebieskimi piórami.

Ciotka Patty otarła łzy. Były to łzy spowodowane rozczuleniem, ale był to też śmiech przez łzy.

– Ach, ten kapelusz. Jeszcze gdzieś go mam. Zdaje się, że pióra są już trochę sfatygowane. Mogę zastąpić je nowymi. Dlaczegoż by nie.

– Ciociu Patty – powiedziałam. – Jeśli Daisy Hetherington zaoferuje mi posadę, a ja ją przyjmę... zrobię to nie dlatego, że nie chcę być z tobą.

– Oczywiście. Musisz mieć własne życie. To nie dla młodych zakopywanie się razem ze starymi ludźmi. Vi i ja mamy własne zainteresowania. Twoje życie dopiero się zaczyna. Musisz wyjść w świat i jak powiedziałam, rozegraj dobrze tę grę, a może któregoś dnia... kto wie. Ona nie jest właścicielką tego budynku. Sądzę, że tylko go dzierżawi. Najpewniej od tych Verringerów, o których tyle mówi. Dobrze jej tam. Chciałabym, żebyś weszła z nią w spółkę. Czuję dla niej wielki respekt. W najlepszym razie może to doprowadzić do czegoś wielkiego, a w najgorszym może stać się cennym doświadczeniem.

Uścisnęłyśmy się. Wyszła cichutko, wyglądając na szczęśliwą konspiratorkę, a ja położyłam się i spałam spokojnie, bez chaotycznych snów, takich jak poprzedniej nocy.

* * *

Następnego dnia odbyłam długą rozmowę z Daisy Hetherington. W jej wyniku zaproponowała, że jeśli mam ochotę, to będzie jej bardzo miło móc na początku letniego semestru włączyć mnie do grona pracowników jej szkoły. Mogłabym wdrożyć program zajęć podobny do tego, jaki miałam w Schaffenbrucken, a dodatkowo prowadzić zajęcia dyskusyjne i lekcje konwersacji, mogłabym też uczyć dziewczęta dobrych manier i angielskiego.

Był to intensywny plan, a jako że już podsyliła moją ciekawość opisem szkoły będącej częścią klasztoru, byłam bardzo skłonna zaakceptować tę propozycję.

Niemniej jednak zawahałam się. Niepokoiłam się o ciotkę Patty, bo wiedziałam, że nalegała, żebym zrobiła to raczej dla mojego własnego niż jej dobra.

– Muszę znać twoją odpowiedź zaraz po świętach – powiedziała Daisy i tak to zostawiłyśmy.

Ciotka Patty była rozpromieniona.

– Właściwe podejście do sprawy. Nie wykazałaś zbytnej gorliwości. Daisy wyjedzie zaraz po koncercie kolęd. Została, żeby go usłyszeć, ot tak, dla samej przyjemności powiedzenia nam, że kolędnicy z Akademii Colby Abbey dla Młodych Panien mają o wiele większe osiągnięcia w tej dziedzinie niż nasi.

W odpowiednim momencie Daisy opuściła nas, z gracją dziękując za naszą gościnność i z poleceniem, aby moja odpowiedź dotarła do niej przed pierwszym

stycznia.

Nadszedł czas wyjazdu dziewcząt. Pożegnałyśmy je ze smutkiem. Poza tym święta upłynęły właściwie tak samo jak zwykle. Tradycyjnie serwowano gęś i świąteczny pudding. W czasie tych dwóch dni odwiedziło nas wielu sąsiadów. Przyszedł miejscowy skrzypek i w holu odbyły się tańce. Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że są to nasze ostatnie święta tutaj, a to niosło za sobą pewną dozę smutku.

Byłam zadowolona, kiedy się to już skończyło, i wtedy musiałam podjąć decyzję, którą, jak sądzę, już właściwie znałam. Napisałam do Daisy Hetherington, że akceptuję jej propozycję i że będę gotowa rozpocząć u niej pracę na początku wiosennego semestru.

Czekało mnie jeszcze pakowanie i obejrzenie nowego domu. Prezentował się przyjemnie, był właściwie nawet uroczy, ale oczywiście raczej niepozorny, jeśli chciałoby się go porównać z Manor.

Nie miałam wiadomości od Edwarda Comptona. Byłam zaskoczona i zabolalo mnie to. Oczekiwałam jakiegoś wytłumaczenia. Wszystko to było takie niezwykle. Czasami zaczynałam podejrzewać, że wymyśliłam sobie całą tę historię. Patrząc wstecz, uświadomiłam sobie, że poza spotkaniem, kiedy byłam razem z przyjaciółkami, sama widziałam go w pociągu, na statku i w tutejszym lesie. Były chwile, kiedy udawało mi się przekonać siebie, że wyobraziłam sobie te spotkania. W końcu było w nim coś, dzięki czemu wydawał się inny niż wszyscy ludzie.

Przekonałam się wtedy, że bardzo niewiele wiem o mężczyznach. Większość dziewcząt dużo wcześniej ma o wiele więcej doświadczenia w tych sprawach. Młodzi mężczyźni po prostu nie pojawiali się w moim życiu. Monique poznała Henriego i wiedziała, że kiedyś go poślubi. Być może Frieda nie zetknęła się z większą liczbą mężczyzn niż ja. Lydia ma braci, a oni mają przyjaciół, których czasami zapraszają do domu. Opowiadała o nich po powrocie z pobytów na wakacjach. Ja jednak żyłam w otoczeniu zdominowanym przez kobiety. Był oczywiście nowy wikary naszego pastora. Miał dwadzieścia lat i był nieśmiały. Doktor miał syna, który studiował w Cambridge. Żaden z nich nie był zbyt romantyczny. I w tym rzecz. Edward Compton zdecydowanie był romantykiem. Rozbudził we mnie nowe zainteresowania. Może to dlatego, że dosyć wyraźnie okazywał, że mnie lubi... że nawet przedkłada mnie nad inne. Zaczyna się odczuwać zadowolenie, jeśli jest się tak preferowaną wśród trzech na pewno atrakcyjnych dziewcząt.

Tak, czułam teraz gorzkie rozczarowanie. Zaczynało to być takie romantyczne... i po prostu ulotniło się!

Być może to stało się jednym z powodów, dla których sięgałam ku nowej przygodzie. Chciałam podjąć wyzwanie, rozpocząć na nowo w nowym otoczeniu.

Z pewnością będzie mi to dane, jeśli pojedę do Akademii Colby Abbey.

Kiedy ciotka Patty pokazała mi przysły dom w Moldenbury, okazałam większy entuzjazm, niż naprawdę czułam, tylko po to, żeby zrobić jej przyjemność. Obejrzałyśmy dosyć duży ogród i zdecydowałyśmy, gdzie będzie letnia altanka ciotki Patty, gdzie pasieka Violet, który pokój będzie przeznaczony dla mnie i jak będzie umeblowany.

W drodze powrotnej do domu musiałyśmy czekać na dworcu w Londynie na pociąg do Canterton. Zauważyłam tam wyszczególnione pociągi do Bury St Edmunds.

Sądzę, że wtedy zaczęła dojrzywać we mnie pewna myśl.

* * *

Wiedziałam, że to zrobię, chociaż nie byłam jeszcze pewna, jak się zachowam, kiedy tam dotrę.

Być może nie powinnam była szukać go. Chyba chciałam tylko upewnić się, że naprawdę istniał, że nie był to tylko sen i nie wymyśliłam sobie tego wszystkiego.

Im więcej czasu upływało od tamtych wydarzeń, tym bardziej zagadkowe to się wydawało. Był zupełnie inny niż którykolwiek ze znanych mi do tej pory ludzi. Bardzo przystojny. Jego rysy twarzy, niczym wykute przez rzeźbiarza, przypominały mi trochę twarz Daisy Hetherington. Co do niej jednak nie miałam żadnych wątpliwości, że była jak najbardziej rzeczywistą postacią! Spotkanie go w lesie, kiedy byłam razem ze swoimi trzema przyjaciółkami, było wystarczająco realne. Czy jednak nie zaczęłam mu przypisywać w wyobraźni pewnych nadnaturalnych cech?

Można by to złożyć na karb opowieści Elsy o mistycyzmie legend niemieckich, co sprawiło, że czasami w moich myślach on stawał się ich częścią. Czy mogłam sobie tylko wyobrazić, że widziałam go w pociągu, na statku i tutaj w Canterton? Czy wymyśliłam sobie to wszystko? Nie. To śmieszne. Nie byłam typem marzycielki, ale bardzo racjonalną, młodą kobietą. Trochę niepokojąca była myśl, że mogłam wyobrazić sobie pewne rzeczy aż do tego stopnia, by nie być absolutnie przekonaną, czy one rzeczywiście się wydarzyły.

Chciałam strząsnąć to wszystko z siebie. To dlatego po zobaczeniu napisów informujących o pociągach do Bury St Edmunds pomyślałam o zrobieniu wyprawy odkrywającej prawdę. Wymieniłam Bury St Edmunds jako jedyne miasto, które znam w Suffolk, a on potwierdził, że owszem... mieszka w jego pobliżu.

Croston. To była nazwa, którą wymienił. Małe miasteczko w pobliżu Bury St Edmunds. Założmy, że pojedę tam i odnajdę Compton Manor. Oczywiście nie wejdę tam. Z pewnością nie mogłabym tego zrobić. Mogę jednak przekonać się, że jest on po prostu źle wychowanym młodym człowiekiem, a ja sensowną młodą kobietą, która nie dała się ponieść wyobraźni, żeby potem zastanawiać się, czy to się naprawdę wydarzyło, czy nie.

I wtedy pojawiły się okoliczności sprzyjające temu zamierzeniu.

Działo się to pomiędzy semestrami. Negocjacje w sprawie nowego domu zostały zakończone. Ciotka Patty miała opuścić Grantley na początku kwietnia. Wtedy ja już powinnam być w drodze do szkoły Colby Abbey.

Wiele działań było już w toku. Ciotka Patty znalazła się w swoim żywiole. Miałyśmy dużo mebli i dobytku, o których przeznaczeniu należało zdecydować, a ciotka chciała wprowadzać w nowym domu pewne modyfikacje, tak że ruch był ciągły. Violet była rozdrażniona tym i mówiła, że czuje się całkowicie oszołomiona. Ciotka Patty promieniała.

Musiała jechać do Moldenbury, żeby spotkać się z architektem, i zdecydowała, że skoro będzie w Londynie, gdzie należało przesiąść się do innego pociągu, zostanie tam przez kilka dni, żeby zrobić zakupy i dopilnować sprzedaży mebli, pozostających w Grantley; potem ruszy dalej do Moldenbury. Postanowiono, że będę jej towarzyszyć.

Powiedziałam, że chciałabym zostać trochę dłużej w Londynie, żeby móc zrobić zakupy dla siebie. Ustaliliśmy, że kiedy ona pojedzie do Moldenbury, ja zatrzymam się w małym, wygodnym hotelu o nazwie „Smith”, gdzie panowała domowa atmosfera i gdzie znano dobrze ciotkę Patty. Zawsze mieszkała tam, będąc w Londynie. Po jej powrocie z Moldenbury pojedziemy razem do Grantley.

W ten oto sposób okazało się, że jestem sama, i wiedziałam, że jeśli kiedykolwiek mam przedsięwziąć tę wyprawę wywiadowczą, muszę to zrobić teraz.

Wyjechałam wcześniej rano. Podczas gdy pociąg wiozł mnie w stronę Bury St Edmunds, zadawałam sobie pytanie, czy nie działam zbyt impulsywnie. Co, jeśli stanę oko w oko z nim? Czym będę tłumaczyć fakt, że go poszukuję? Jednak on przyjechał do Canterton. Tak, ale to było czymś innym. Teraz okazał dosyć wyraźnie, że nie chce kontynuować znajomości... przyjaźni... czy jakkolwiek to nazwać. W takiej sytuacji poszukiwanie go nie było w dobrym tonie.

Zgadza się. Nie miałam jednak zamiaru wstępować do Compton Manor, jeśli je znajdę. Pójdę tylko do najbliższego zajazdu i zadam kilka dyskretnych pytań. Jeśli ludzie w Suffolk lubią ploteczki tak samo jak ci z Sussex, dowiem się być może tego, co chcę wiedzieć. Zapewniałam sobie samą, że powoduje mną jedynie chęć dowiedzenia się, czy istnieje mężczyzna o nazwisku Edward Compton. Chciałam w ten sposób pozbyć się absurdalnego wrażenia, że uległam jakiejś niewytłumaczalnej halucynacji.

Był pogodny, zimowy, rześki poranek. W miarę jak zbliżałam się do miejsca przeznaczenia, byłam coraz bardziej podekscytowana. Dotarliśmy na stację bez opóźnienia i byłam mile zaskoczona, kiedy po zadaniu pytania o drogę do Croston dowiedziałam się, że mają tu lokalną linię kolejową obsługującą ten rejon co trzy godziny i jeśli się pospieszę, zdążę złapać następny pociąg.

Udało mi się to i pogratulowałam sobie szczęścia, kiedy posuwaliśmy się wolno poprzez przyjemnie wyglądające, ale raczej nizinne tereny.

Croston było zaledwie małym przystankiem. Zobaczyłam mężczyznę, który wyglądał na pracownika kolei, i podeszłam do niego. Był to staruszek o siwej brodzie i wyblakłych oczach. Patrzył na mnie z zaciekawieniem i uświadomiłam sobie, że jak się zdaje, nie widuje tu zbyt wielu obcych ludzi.

– Czy Compton Manor leży w pobliżu? – zapytałam. Spojrzał na mnie dziwnie i skinął głową. To ponownie dodało mi ducha.

– Czego pani chce od Manor? – zapytał.

– Chcę... chcę pójść w tamtym kierunku.

– Ach tak – podrapał się w głowę. – Musi pani trzymać się ścieżki. Zawiozę panią do Croston. Tam musi pani przejść ulicę i kierować się na prawo.

Na razie wszystko układało się bardzo pomyślnie.

Croston była to jedna krótka ulica złożona z krytych strzechą domków, wiejskiego sklepu, kościoła i zajazdu. Ruszyłam tą ulicą, trzymając się prawej strony.

Nie uszłam daleko, gdy zobaczyłam stary drogowskaz. Połowa była odłamana. Przyjrzałam mu się dokładnie. Przeczytałam: „Compton Manor”.

W którą jednak iść stronę? Chyba w górę drogi, ponieważ jedyny inny kierunek to tam, skąd przyszłam. Zrobiłam tak i kiedy minęłam zakręt, zobaczyłam dwór.

Z przerażenia zaparło mi dech. Niemożliwe, żeby to było to miejsce. Jednak widziałam drogowskaz...

Podeszłam bliżej. Były to tylko ruiny. Kamienne mury były szerniałe. Przez wolną przestrzeń wszłam między wypalone ściany. Tam, gdzie kiedyś były pokoje, wśród traw rosło zielsko. Pożar miał więc miejsce dawno temu.

Niemożliwe, żeby to było Compton Manor. Ono musi leżeć jeszcze dalej.

Wyszłam ze szerniałych ruin i odnalazłam drogę. Przede mną rozciągały się tylko bezkresne pola. Teren był płaski, widziałam więc na wiele mil wokół. Z pewnością nie było tam żadnego domostwa..

Usiadłam na trawie, na skraju drogi. Byłam sfrustrowana. Próbując rozwikłać zagadkę, zabrnęłam w nią jeszcze bardziej. Nie pozostało mi nic innego, jak wrócić na

stację. Na następny pociąg do Bury St Edmunds będę musiała czekać dwie godziny.

Powoli dotarłam do miasta. Moja wyprawa była bezowocna. Poszłam w stronę kościoła. Była to wiekowa budowla, w stylu normandzkim, jak sądziłam. W zasięgu wzroku znajdowało się zaledwie kilka osób. Pójście tam nie było chyba zbyt rozsądne z mojej strony:

Weszłam do kościoła. W oknach były piękne witraże, zdumiewające, jak na tak mały kościółek. Podeszłam do ołtarza i mój wzrok padł na mosiężną tablicę z wygrawerowanymi słowami: „Dla upamiętnienia sir Gervaise’a Comptona, baroneta Compton Manor”. Rozejrzałam się i zobaczyłam, że było więcej tablic poświęconych pamięci rodziny Comptonów.

W pewnym momencie za plecami usłyszałam odgłos kroków. Do kościoła wchodził mężczyzna. Niósł kłęczniki.

– Dzień dobry, piękny poranek. Lub raczej popołudnie.

– Dzień dobry – odparłam.

– Ogląda pani nasz kościół?

– Tak, jest bardzo interesujący.

– Nie mamy zbyt wielu zwiedzających, chociaż jest to jeden z najstarszych kościołów w kraju.

– Tak też myślałam.

– Interesuje się pani architekturą?

– Niewiele o niej wiem.

Wyglądał na rozczarowanego. Najpewniej chciał mi zrobić wykład na temat różnic między stylami normandzkim a gotyckim. Musiał być strażnikiem, kościelnym lub kimś związanym z kościołem.

Powiedziałam:

– Oglądałam ten spalony dom przy drodze. Możliwe, żeby to było Compton Manor?

– O tak, madam. To było Compton.

– Kiedy był pożar?

– To musiało być około dwudziestu lat temu.

– Dwadzieścia lat temu?

– Straszna tragedia. Pożar rozpoczął się w kuchni. Zostały tylko mury. Dziwię się, że nie odbudowali tego. Ściany są nadal mocne. Zbudowane tak, że mogłyby przetrwać tysiące lat. Mówiło się o tym, ale nikt nigdy nic z tym nie zrobił.

– A rodzina Comptonów?

– To był ich koniec... zginęli w pożarze. Chłopiec i dziewczynka. Tragiczne. Ludzie ciągle o tym mówią. Byli też sir Edward i lady Compton. Oni również zginęli. Faktycznie cała rodzina została starta w proch. To była wielka tragedia dla wszystkich tutaj, bo w tamtych czasach Croston to byli Comptonowie. Od tamtej pory nigdy nie było tu już jak dawniej. Zabrakło wielkiej rodziny, która wzięłaby na służbę dziewczęta, dbała o interesy wioski...

Ledwo go słyszałam. Mówiłam sobie: „Jak on mógł być Edwardem Comptonem z Compton Manor? Przecież oni wszyscy nie żyli”.

– Odnaleziono większość ciał. Wszyscy są pochowani tutaj, koło kościoła... w specjalnych kwaterach Comptonów. Pamiętam pogrzeb. Często go wspominamy. Nazywamy ten dzień „crostońskim dniem żałoby”. Jest pani zainteresowana tą rodziną, madam?

– Widziałam ten dom... i to bardzo smutna historia.

– Tak. Oni tworzyli Croston, to prawda. Proszę się rozejrzeć po kościele. Wszędzie zostawili coś po sobie. Tam z przodu to ich ławka. Nikt tam do tej pory nie siada. Jeśli zechce pani wyjść na zewnątrz, pokażę pani groby.

Poszłam za nim. Drżałam lekko.

– Zrywa się przenikliwy wiatr – powiedział. – Mamy tu dokuczliwe wiatry. Kiedy wieją ze wschodu, potrafią kęsać zimnem.

Idąc wśród nagrobków, dotarliśmy do odosobnionego rogu przykościelnego terenu. Ta ścieżka była zadbane, obsadzona drzewkami różanymi i wawrzynem. W lecie musiało to wyglądać pięknie.

Wtedy powiedział:

– To grób sir Edwarda. Widzi pani datę? Tak, minęło już ponad dwadzieścia lat. Te wszystkie groby to groby ofiar pożaru. Tu leży lady Compton, a tutaj mały Edward i jego siostra Edwina. Biedne kruszynki. Nie pożyli sobie. Człowiek zamyśla się nad czymś takim. On miał dwa lata, a Edwina pięć. Przyszli na ten świat i zaraz zostali z niego zabrani. Człowiek się zastanawia, czy oni mogą spojrzeć tam z góry i zobaczyć, jak by to mogło być...

– Dziękuję, że pokazał mi pan to miejsce – powiedziałam.

– Zrobiłem to z przyjemnością. Nie mamy tu zbyt wielu zainteresowanych. Widzę jednak, że panią to ciekawi.

– To prawda – powiedziałam. – Bardzo dziękuję.

Chciałam zostać sama. Chciałam móc pomyśleć. W najmniejszym stopniu nie spodziewałam się znaleźć tego, co mi pokazał.

Byłam zadowolona, że czeka mnie daleka droga powrotna. Będę miała czas, żeby rozważyć to, czego się dowiedziałam, i próbować zrozumieć, co to może oznaczać. Kiedy jednak dotarłam do Londynu, nie byłam ani o krok bliżej rozwiązania zagadki. Czy to możliwe, żeby człowiek, którego widziałam, był widmem... duchem z przeszłości?

Taka teoria tłumaczyłaby wiele, ale nie mogłam jej zaakceptować. Jedno było pewne: nie istniał Edward Compton z Compton Manor. Nie istniał od ponad dwudziestu lat!

Kim w takim razie był ten dziwny człowiek, który zrobił na mnie takie wrażenie, który patrzył na mnie... tak, teraz przyznaję: z podziwem i czymś, co mogło wskazywać na możliwość nawiązania się między nami bliższych stosunków i co sugerowało, że on miał na to nadzieję.

Jak mogłam wyobrazić sobie całą tę sytuację? On naprawdę był w lesie. Czy możliwe, żeby w tym lesie zachodziły niewytłumaczalne zjawiska? Lydia zawsze mówiła o nim, że był odrobinę niesamowity, zresztą tym samym słowem ciotka Patty określiła całą szkołę Abbey.

Muszę zapomnieć o tym wydarzeniu. Nie mogę pozwolić, aby ciągle zaprzętało moje myśli. Było to jedno z dziwnych doświadczeń, jakie niesie ze sobą życie. Od czasu do czasu zdarza się coś takiego. Czytałam o tego typu rzeczach i nigdy nie były one jednoznacznie wytłumaczone.

Byłam przekonana, że najrozsądniej będzie, jeśli postaram się nie myśleć o całej tej sprawie.

Nie było to jednak możliwe. Kiedy przymykałam oczy, widziałam ten nagrobek: sir Edward Compton... i drugi, małego chłopca, też Edwarda.

Było to zagadkowe... trochę przerażające.

Tak, z pewnością, muszę starać się nie myśleć o tym.

Opactwo

Przybyłam na stację Colby Abbey pięknego, wiosennego dnia. Byłam oczarowana wiejskim krajobrazem, który widziałam z okien pociągu. Bujne, zielone łąki, zalesione wzgórza, żyzna, czerwona gleba Devonshire, a wśród tego od czasu do czasu przeblysku jacy skrawek morza.

Słońce grzało mocno, ale w powietrzu wyczuwało się cień zimna, jakby dla przypomnienia, że lato jeszcze nie nadeszło. Przy pożegnaniu z ciotką Patty i Violet przeważał radosny nastrój. Było też trochę łez i ciągle przypomnienia, że w czasie letnich wakacji znowu będziemy razem. Wszystko to było podniecające, tak jak zwykle bywa, kiedy zaczyna się nowy rozdział życia. Wielkim szczęściem było to, że miałam ciotkę Patty. Jej ostatnie, zdecydowane polecenie dla mnie brzmiało:

– Wiesz, co masz zrobić, jeśli madam Hetherington nie będzie traktować cię z należyтым respektem. Sądzę, że postara się zachowywać przyzwoicie. Wie, że nie może tobą komenderować tak jak tymi biednymi dziewczętami, które nie mogą się wychylić ani odrobinę, bo inaczej nie byłyby pewne, czy za chwilę będą miały wziąć co do ust.

– Zawsze byłaś dla mnie bastionem w życiu – powiedziałam.

– Mam nadzieję, że nie zostanie to zrozumiane zbyt dosłownie, moja droga. Wiem, że nadmiernie lubię dobre jedzenie, ale bastion... nie, to nie brzmi dobrze.

W taki oto sposób rozstałyśmy się. Obydwie z Violet odwiozły mnie do Londynu i pożegnały na dworcu. Z okien pociągu widziałam ją uśmiechniętą, chociaż wiedziałam, że łzy były tuż-tuż.

I tak dotarłam na miejsce. Kiedy wysiadłam z pociągu, podszedł do mnie mężczyzna w liberii i zapytał, czy jestem panną Grant, bo jeśli tak, to przyjechał, aby zawieźć mnie do Akademii Colby Abbey, gdzie mnie oczekiwano.

– Dwukółka czeka na dziedzińcu, panienko. To pani bagaż? Mamy nie dalej niż parę kroków stąd.

Minęliśmy barierki dworcowe i zobaczyłam to, co nazywał dwukółką. Był to zgrabny powóz na dwóch kołach, ciągnięty przez siwego konia.

Moje walizki zapakował do schowka.

– Proszę mi wierzyć, będzie pani wygodnie ze mną na górze.

– Dziękuję – odparłam, kiedy pomógł mi się tam dostać.

– Ładny dzień na przyjazd – powiedział. Miał czarną brodę i czarne, kręcone włosy. Był przysadzistym mężczyzną w średnim wieku i mówił dialektem, do którego z czasem powinnam się przyzwyczaić.

Okazał się bardzo rozmownym człowiekiem. Kiedy popędził konia, powiedział:

– Młode panienki przyjeżdżają w przyszły wtorek. Będzie pani miała czas, żeby się rozgościć. Jak wszystkie panienki tu już są, to jest trochę inaczej. Są też takie, które o tej porze zostają w szkole. Tylko na Boże Narodzenie i latem jest zupełnie pusto. Dla niektórych to za daleko, żeby jechać do domu, rozumie pani?

– Tak – odpowiedziałam.

– Zna panienka trochę Devon?

– Niestety, nie.

– To czeka panią prawdziwa niespodzianka. To kraina wybrana przez Boga. Kawalek rajy na ziemi.

– Miło to usłyszeć.

– To prawda, panienko. Taki sir Francis Drake. To człowiek oddany Devon. Mówią,

że uratował Anglię przed Hiszpanami. To było dawno temu. Mówi się: „Sławetne Devon”. Devonshire słynące ze śmietany i jabłeczniaka... układają o tym pieśni.

– Słyszałam niektóre z nich.

– Zaraz zobaczy pani wielki dwór. Do Abbey jeszcze dobre trzy mile.

– To tu mieszkają Verringerowie?

– Tak. To Dwór. Proszę spojrzeć, koło kościoła jest cmentarz.

Właśnie w tym momencie rozległo się bicie dzwonów.

– Dzisiaj odbywa się pogrzeb. Dziwna pora na przyjazd, wybacz panienka, że tak powiem, ale to tak, jakby jej lordowska mość odchodziła, a pani przychodziła.

Jego broda drżała. Wydawało się, że było to dla niego bardzo śmieszne.

– Mówi pan, że czyj to pogrzeb?

– Lady Verringer.

– Och... czy była to leciwa dama?

– Nie. To żona sir Jasona. Biedulka. Nie nażyła się. Była kaleką od dziesięciu lat, a może i dłużej. Spadła z konia. Nie mają za wiele szczęścia ci Verringerowie. Zostali przeklęci. Pamiętam, ludzie mówili.

– Tak?

– To się ciągnie od bardzo dawna. I Abbey, i to wszystko. Opowiadają o tym historie. Ludzie mówili, że miało być tak: albo Abbey, albo Verringerowie, a to chyba jednak powinno być Abbey.

– Brzmi to tajemniczo.

– Stara historia.

Skręciliśmy w tak wąską alejkę, że gałęzie krzaków ocierały o boki dwukółki. Nagle mój woźnica zatrzymał się. W naszym kierunku zbliżał się powóz.

Woźnica powozu też się zatrzymał. Nie miał innego wyjścia. Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

– Musisz się cofnąć, Emmet – powiedział woźnica powozu.

Mój woźnica, najwyraźniej o nazwisku Emmet, uparcie tkwił w miejscu.

– Ty masz bliżej, żeby się cofnąć, Tomie Craddock.

– Ja się nie cofnę – odpowiedział Tom Craddock. – Uważaj, Emmet. Wiozę dziedzica.

Usłyszałam, że ktoś zakrzyknął:

– Co się tu dzieje, na Boga?

Z okienka wychyliła się głowa i dostrzegłam czarne włosy i ciemne rozeźlone oczy.

– To Nat Emmet, sir Jasonie. Wiezie do szkoły nową panienkę i blokuje drogę.

– Wycofaj się natychmiast, Emmet – rozległ się arogancki okrzyk i twarz zniknęła.

– Dobrze, dobrze, sir Jasonie. Właśnie to robię...

– Ruszaj się żwawo.

Emmet zsiadł z kozła, zaczęliśmy się wycofywać i w końcu dotarliśmy do szerokiej drogi.

Powóz minął nas szybko, a woźnica rzucił Natowi Emmetowi zwycięski uśmiech. Próbowałam zobaczyć twarz mężczyzny w powozie, ale był poza zasięgiem mojego wzroku.

Ponownie odezwały się dzwony pogrzebowe.

– Właśnie wracał z pochówku żony – powiedział Emmet.

– A więc to sir Jason we własnej osobie. Jest dosyć pobudliwy.

– Co to takiego, panienko?

– Szybko się denerwuje.

– Dziedzic nie lubi, kiedy coś mu zawadza... tak jak jego biedna żona. Są tacy, co powiadają, że mu zawadzała. To tak między nami mówiąc. Pewnych rzeczy ludzie nie przemilczą. I dlaczego mieliby to robić?

Szybko pokonywaliśmy alejkę.

– Nie chcę znowu natknąć się na kogoś – powiedział Emmet. – Nie, żebym miał się drugi raz cofać... zrobiłem to tylko dla dziedzica, a jego już na pewno nie spotkamy, prawda?

Jechaliśmy szybkim truchtem, a on robił uwagi, które niezbyt mnie interesowały. Myślałam o dziedzicu i kobiecie, która była mu zawadą i dla której posępnie biły dzwony.

– Kiedy wyjedziemy z za zakrętu, zobaczy panienka po raz pierwszy Abbey – powiedział mi Emmet.

Czekałam na to w napięciu.

Opactwo wyłoniło się przede mną. Potężne, imponujące, tragiczne. Mury będące otoczką minionej świetności. Widziałam promienie słońca przenikające wspaniałe kamienne łuki otwarte ku niebu.

– To ono – powiedział Emmet, wskazując batem. – Niezły widok, prawda? Nawet jeśli to nic więcej jak stara ruina... poza częścią, która nią nie jest. Ludzie poświęcają wiele myśli naszemu opactwu. Nie pozwolą go tknąć. Dobrze, że trochę je odbudowali w dawnych czasach.

Zaniemówiłam i trwałam w zachwycie. To był rzeczywiście wspaniały widok. Jak okiem sięgnąć, aż do wzgórz drzewa obsypane były kwiatami, słońce odbijało się w strumieniu wijącym się poprzez łąki.

– Proszę spojrzeć na prawo od wieży, panienko, a zobaczy pani stawy rybne. To tam mnisi łapali ryby na swoje wieczerze.

– To piękne. Nie wyobrażałam sobie, że będzie to takie... imponujące.

– Są ludzie, którzy po zmroku nie podejda do tego miejsca. Panna Hetherington... ona nie lubi, jak mówimy o tym, ale to prawda. Myśli, że młode panienki przestraszą się i będą chciały, żeby rodzice zabrali je stąd. Ale niektórzy mówią, że o pewnych porach w nocy słychać bicie dzwonów i pieśni mnichów.

– Można w to uwierzyć.

– Panienka widzi to w słońcu. Ale zobaczyłaby panienka to w świetle księżyca albo jeszcze lepiej, kiedy ledwie kilka gwiazd rozświetla wszystko.

– Przypuszczam, że chciałabym to wtedy zobaczyć – powiedziałam.

Zbliżaliśmy się do celu naszej podróży.

– W szkole będzie panience wygodnie. Nie będzie panienka wiedziała, gdzie jest. Panna Hetherington... ona robi cuda. W środku wszystko wygląda tak jak w normalnej szkole... a kiedy usłyszysz się śmiechy panienek, zapomina się o tych mnichach, co dawno nie żyją.

Dwukółka wtoczyła się na dziedziniec. Emmet zeskoczył na dół i pomógł mi zsiść.

– Wezmę walizki panienki – powiedział.

Stałam przed drzwiami w szarym kamiennym murze. Emmet pociągnął za sznur dzwonnka i drzwi zostały natychmiast otwarte przez dziewczynę w uniformie.

– Proszę wejść, panno Grant. Pani jest panną Grant, prawda? Panna Hetherington powiedziała, żeby zaprowadzić panią do niej na górę, jak pani przyjedzie. Właśnie podano herbatę.

Znajdowałam się w obszernym holu o wysokim sklepieniu. Wyglądało to jak pomieszczenie klasztorne; w powietrzu czuło się chłód, wyraźny dla mnie po ciepłe

słońca grzejącego na zewnątrz.

– Jak minęła droga, proszę panienki? – zapytała dziewczyna. – Pociąg przyjechał chyba o czasie.

– Tak, dziękuję, miałam dobrą podróż.

– Inne panie nauczycielki jeszcze nie przyjechały. Będą jutro, ale dopiero kiedy młode panienki tu są... wtedy jest prawdziwe życie. – Odwróciła się do mnie, zwróciła oczy ku sufitowi i podkreśliła ten ruch gestem podbródka.

– Proszę tędy, panienko. Uwaga. Te schody mogą być niebezpieczne. Jeśli potknie się panienka odrobinę na tym zężeniu... Szczególnie schodząc w dół, może panienka spaść. Trzeba się trzymać tej liny. Tak jakby to była poręcz. Tak mieli to mnisi, dlatego i u nas musi tak być.

– To zabytkowy budynek.

– Odbudowany z części ruin. Ciągłe to słyszymy... jak to musimy to doceniać i wszystko to, że musi tak być, bo mnisi tak mieli. Ja wolałabym mieć raczej ładną drewnianą poręcz.

Znalazłyśmy się w długim korytarzu. Miał takie samo wysokie sklepienie jak to w holu. Prowadziły z niego wejścia do pokoi.

– Proszę tędy, panienko. – Dziewczyna zapukała do drzwi i natychmiast odezwał się głos. Rozpoznałam go jako głos Daisy Hetherington: „Proszę wejść”.

– Jesteś już.

Wstała. Była wyższa, niż pamiętałam, i tutaj w tym pomieszczeniu wyglądała jeszcze bardziej jak wykuta z kamienia.

– Tak miło cię widzieć. Musisz być zmęczona po podróży. Grace, przynieś jeszcze jedną filiżankę i więcej gorącej wody. Najpierw napijesz się herbaty, jest świeżo zaparzona, a potem rozlokujemy cię. Mam nadzieję, że miałaś dobrą podróż. Jesteś bardzo punktualna.

– Pociąg przyjechał zgodnie z rozkładem.

– Zdejmij płaszcz. O, tak, i proszę, usiądź. Miło mi cię widzieć, Cordelio. Będę mówić do ciebie panno Grant, z wyjątkiem chwil, kiedy będziemy same. Nie chcę wprowadzać żadnych różnicowań.

– Rozumiem, oczywiście.

– Przypuszczam, że Abbey zrobiło na tobie wrażenie.

– O tak. Widziałam jak dotąd niewiele, to tylko pierwsze wrażenie, ale jest naprawdę poruszające.

– Wiem, jaki wywołuje efekt. Obawiam się, że my, żyjący wśród tych starożytnych kamieni, mamy skłonność do zapominania, co one sobą reprezentują.

– Z pewnością jest to bardzo niezwykle usytuowanie.

– Tak sędzę. Ma ono swój wpływ na nas. Myślę, że dziewczęta, mieszkając w takim miejscu, lepiej rozumieją przeszłość. Lektury historii są u nas na wysokim poziomie. Ale oto i gorąca woda. Pozwól, że ci naleję. Ze śmietanką czy z cukrem?

– Bez niczego, dziękuję.

– Jesteś inna niż ciotka. Ona zawsze mnie szokuje ilością cukru używanego do herbaty.

– Kocha słodkości.

– I cierpi za to.

– Jest szczęśliwa taka, jaka jest, i udaje jej się uszczęśliwiać wszystkich wokół.

– Ach, Patience. Ale wróćmy do ciebie. Po herbacie sama cię oprowadzę, zanim się ściemni. Lubię pokazywać ludziom wszystko tu po raz pierwszy. Jestem z tego dumna. Z pewnością jest to wyjątkowe. Naprawdę wspaniałe, co udało się elżbietańskim budowniczym wznieść z ruin. Powinno to nosić nazwę Phoenix, zawsze powtarzam.

– Co to za część klasztoru?

– To Budynek Zgromadzenia Sióstr, Bursa Mnichów i Bursa Braci Świeckich, a także ich biblioteka, pomieszczenia kuchenne i izba chorych. Ta część została niemalże nietknięta, kiedy nadeszli niszczyciele. Najbardziej zbezczeszczone zostały wieże i kaplice.

– Czyli, jak sądzę, wygląda to niemalże tak samo jak wtedy, gdy to zbudowano.

– Tak, w połowie jedenastego wieku. Mnisi wznieśli to swoimi własnymi rękoma. Pomyśl, jaką to ogromną pracę musieli wykonać. Musieli znieść tu kamienie... i potem budować. Oczywiście, była to praca płynąca z serca. Czuje się to... szczególnie w nawie głównej i w nawach bocznych, pomimo że są otwarte ku niebu.

– Tak się cieszę, że zobaczę wszystko.

– Wiedziałam, że tak będzie. Wyczułam, że jest w tobie taka wrażliwość. Jednym ludziom jest to dane, innym nie.

Podala mi talerzyk, na którym leżały cienkie kromki chleba z masłem.

– Cieszę się, że mogłaś przyjechać, zanim wszyscy zjawią się jutro... wszyscy lub prawie wszyscy. Mademoiselle Dupont i Fraulein Kutcher są tutaj. Nie wyjeżdżają na krótsze przerwy. Jeżdżą do domów tylko dwa razy w roku. Podróże na kontynent są kosztowne. Obydwie są dobrymi nauczycielkami. Dla Jeannette Dupont utrzymanie dyscypliny to trudna sprawa, ale dziewczęta lubią ją bardzo i pomimo że jej sposób nauczania jest mało rygorystyczny, ma efekty. Fraulein Kutcher jest całkowicie inna. To wspaniała nauczycielka. Ma w sobie pewien dystans i godność konieczne, kiedy uczy się dziewczęta. One muszą czuć respekt, rozumiesz. Mam nadzieję, że znajdziesz w sobie tę cechę. Wkrótce się przekonasz. Wiesz, że ryzykuję trochę... jeszcze nigdy nie uczyłaś.

– Jeśli nie będzie pani ze mnie zadowolona, musi pani powiedzieć mi o tym natychmiast. Sądzę, że ciotka Patty byłaby raczej z tego zadowolona. Chciałaby, żebym była razem z nimi.

– Z twoim wykształceniem nie chciałabym cię widzieć grzęznącej w wiejskim życiu. Nie, do tej pory nigdy jeszcze nie pomyliłam się w swoich osądach i nie sądzę, aby stało się tak teraz. Jeździsz konno?

– W Grantley jeździłam, i to nawet dużo.

– Świetnie. Mamy nauczyciela konnej jazdy, który trzy razy w tygodniu daje dziewczętom lekcje. Jeżdżą grupami, ale chciałabym, żeby była z nimi nauczycielka. Jeśli chcesz, w wolnych chwilach możesz korzystać z konia. Jesteśmy tutaj raczej odizolowani i jedynym sposobem dotarcia gdziekolwiek jest pójście piechotą, jeśli nie jeździsz konno. Do miasteczka mamy trzy mile. Dwór jest tuż za nami.

– Mijałam go, jadąc tutaj.

– A, tak. Dzisiaj jest pogrzeb. Zmarła biedna lady Verringer. Niektórzy mówią, że nareszcie się uwolniła. Fi ona i Eugenia brały w nim udział. Sądzę, że powinniśmy pozwolić im przez kilka miesięcy nosić żałobę zamiast szkolnych mundurków. To takie uciążliwe. Nikomu innemu nie pozwoliłabym na to. Zważywszy jednak na to, kim są... i tak blisko szkoły... nie widzę możliwości zrobienia czegokolwiek innego.

– Sądziłam, że to zmarła ich matka. Widziałam ich ojca.

– Nie, to nie matka. To ciotka. Widziałas Jasona?

– Tak, w powozie. Spotkaliśmy się w alei.

– Widocznie wracał z pogrzebu. Jest wujkiem dziewcząt. On i lady Verringer nie mieli dzieci. Wiem, że smuciło ich to bardzo. Fiona i Eugenia są wychowaniami sir Jasona. To dzieci jego brata. Straciły obydwójce rodziców, kiedy były małe. Hall zawsze był ich domem... nawet kiedy żyli ich rodzice. Ich ojciec był młodszym bratem sir Jasona. Oczywiście to nie to samo, co mieć własne dzieci i bezpośredniego dziedzica. Hall był własnością Verringerów, odkąd został wybudowany w połowie piętnastego wieku. Cała ziemia opactwa przeszła w ich władanie po przejściu przez państwo dóbr klasztornych.

– Rozumiem. Byłam przekonana, że dziewczęta są jego córkami.

– Uczą się u mnie od trzech lat, odkąd Fiona skończyła czternaście. To ona jest starsza, chociaż tylko trochę. Między nią a Eugenią jest osiemnaście miesięcy różnicy. Tak, musiała mieć wtedy czternaście lat, bo teraz ma siedemnaście, ale wkrótce zacznie osiemnasty, więc Eugenia będzie miała szesnaście.

– W tym wieku dziewczęta w większości kończą naukę, prawda?

– Między czternastym a osiemnastym rokiem. Sądzę, że wygląda to podobnie w Schaffenbrucken.

– Tak, rzeczywiście.

– Moim zamiarem jest wypuszczenie w świat dziewcząt umiejących sprostać wymaganiom najbardziej wyrafinowanych kręgów towarzyskich. To jest, moim zdaniem, najważniejsze. Przejdziemy jednak do bardziej praktycznych zagadnień. Będziesz uczyć angielskiego. Włączając w to oczywiście literaturę. Dziewczęta będą przyswajając sobie klasykę pod twoim kierunkiem. Chcę też, abyś koncentrowała się na ich edukacji towarzyskiej. Konwersacje... dyskusje na temat bieżących wydarzeń. Mamy nauczyciela tańca... tańca balowego. Przychodzi trzy razy w tygodniu, ale codziennie odbywają się ćwiczenia taneczne. Będziecie za to odpowiedzialne, ty i być może jeszcze jedna z nauczycielek. Jest też muzyka. Raz w tygodniu pan Maurice Crowe daje lekcje całej szkole. Gry na fortepianie i na skrzypcach uczy te dziewczęta, które mają ochotę. Generalnie, koncentrujemy się na muzyce i sztuce. Nauczycielką sztuk pięknych jest Eileen Eccles. Może przyjedzie już dzisiaj wieczorem. Rozmawiałam z nią. Chcę, żebyście razem przygotowały wystawienie sztuki teatralnej. Robiliśmy to już z wielkim sukcesem. Rodzice lubią oglądać recytujące dzieci. Ostatnio mogliśmy zaprezentować się we Dworze. Mają tam piękną salę balową, idealną do tych celów.

– To brzmi bardzo interesująco.

– Jestem pewna, że będzie ci się to podobać. Jeśli chodzi o zakwaterowanie... Z konieczności pokoje są małe; były to kiedyś cele sypialne braci świeckich, a nam nie wolno w żaden sposób naruszać struktury budowli. Sir Jason wyraził co prawda zgodę na jedną czy dwie modyfikacje dla dobra szkoły. Dla przykładu: podzieliliśmy jeden z pokoi, ponieważ był dwukrotnie większy niż pozostałe, i otrzymaliśmy dwie sypialnie. Nie jest łatwo rozlokować tak wiele osób. Jedna duża sypialnia byłaby lepszym rozwiązaniem. W tej sytuacji mamy po dwie dziewczynki w każdym pokoju, ponieważ rozmieszczone są one w sekcjach, jedna nauczycielka ma nadzór nad czterema sypialniami, czyli ośmioma dziewczętami. Twój pokój jest tuż obok podległych ci pokoi. Masz sprawdzać, czy są wieczorem u siebie, czy wstają, kiedy odzywa się dzwon, i czy zachowują się w odpowiedni sposób.

– To coś w rodzaju kierowniczkich bursy.

– Dokładnie, tylko tyle, że my wszyscy jesteśmy pod jednym dachem i inne sekcje są

niedaleko. Twoje dziewczęta to bardzo miłe istoty, łatwe do prowadzenia. Gwendolina Grey mieszka razem z Jane Everton. Gwendolina jest córką profesora, a ojciec Jane jest fabrykantem. Nie dorównuje ona klasą Gwendolinie, ale jej rodzina ma dużo pieniędzy. Dobieram dziewczęta pieczołowicie. Jane nauczy się wiele od Gwendoliny, a być może i Gwendolina nauczy się czegoś od Jane. W następnym pokoju jest szlachetnie urodzona Charlotta Mackay. Jej ojcem jest lord Blandore. Mieszka ona z Patrycją Cartwright, pochodzącą z rodziny bankierskiej. Ojciec Caroline Sangton jest importerem, a mieszka ona z Teresą Hurst. Tak na marginesie: Teresa spędza większość wakacji w szkole. Jej ojciec zajmuje się hodowlą czegoś w Rodezji... tytoniu, zdaje się. Czasami udaje się nam wysłać ją do kuzynki jej matki, jednak nie zawsze. Wydaje mi się, że ci kuzyni, jak tylko mogą, wymigują się od przyjmowania tego dziecka.

– Biedna Teresa – powiedziałam.

– Tak, to prawda. Daję ci też dziewczęta Verringerów. Zajmują kolejny z podległych ci pokoi. Tak oto przedstawia się twoja rodzinka, jak ja to nazywam. Jestem pewna, że zorganizujesz sobie wszystko wspaniale. A teraz, czy skończyłaś już herbatę? Sama pokażę ci twój pokój. Twoje bagaże zostaną tam wstawione, a jeśli nie jesteś zbyt zmęczona i miałabyś ochotę rozejrzeć się dookoła, oprowadzę cię. A może chciałabyś odświeżyć się po podróży? Jeśli jesteś gotowa, pójdziemy do twojego pokoju. Możesz się odświeżyć, przebrać i powiesić swoje suknie. Potem oprowadzę cię po opactwie.

– Dziękuję, to będzie bardzo interesujące.

– Chodź więc.

Ruszyłam za nią po kamiennej posadzce, potem w górę schodami, bardzo podobnymi do tych, które widziałam wcześniej. Były niebezpiecznie strome aż do podestu, a potem trochę szersze, z liną zamiast balustrady.

W końcu dotarliśmy do sypialni. Moja była mała, o kamiennych grubych ścianach. Wydawało się, że bije od nich chłodem. Okno było długie i wąskie. Umeblowanie stanowiły łóżko, szafa, krzesło i stół.

– Sądzisz, że urządzony jest po spartańsku? – powiedziała Daisy. – Mój wygląda tak samo. Pamiętaj, że to opactwo. Podkreślałam w rozmowach z dziewczętami, że dostępujemy przywileju, mogąc być tutaj. Teraz pokażę ci, gdzie się myjemy. Uzyskałam zezwolenie na podzielenie tego pomieszczenia na kabiny... zapewniam cię, że to wielkie ustępstwo. Bracia świeccy myli się w korycie, które biegnie przez całą długość tej sekcji. Jednakże zobaczysz, że to, co mamy, jest bardziej w zgodzie ze współczesnością. Zainstalowałam też lustra. Teraz, skoro już widziałaś swój pokój i pokoje twoich dziewcząt, przyślę po ciebie za pół godziny. Jedna ze służących przyprowadzi cię do mojego gabinetu i możemy zacząć naszą wyprawę rozpoznawczą.

Umyłam się, przebrałam i powiesiłam swoje rzeczy w szafie. Właściwie nie byłam pewna swoich odczuć. Byłam podekscytowana wszystkim, co widziałam. Czulałam, że rozumiem Daisy Hetherington, darzę ją respektem i będę potrafiła dogadać się z nią zupełnie dobrze. Z drugiej strony, chociaż otoczenie wzbudzało moje wielkie zainteresowanie, były chwile, kiedy odrzucało mnie ono. Być może działo się tak dlatego, że przeszłość była tu zbyt blisko; dominowała wszędzie. Ale czegoż należało oczekiwać, będąc wśród ścian opactwa!

Byłam gotowa i czekałam na wezwanie. Wyobrażałam sobie, jak będę o tym opowiadać ciotce Patty, kiedy spotkamy się razem w lecie. To wyraźnie poprawiło mi nastrój.

Zostałam doprowadzona przed oblicze mojej pracodawczyni.

– Jesteś! – Jej niebieskie, zimne oczy zlustrowały mnie. Zrozumiałam, że zaaprobowała moją białą bluzkę i ciemnoniebieską spódnicę. – Najpierw oprowadzę cię po naszej szkole. Jeśli będziemy miały czas, zorientuję cię z grubsza w naszym otoczeniu, ale z nim bardziej szczegółowo będziesz się mogła zapoznać później. Mam tu rysunek przedstawiający Abbey, tak jak wyglądało przed Rozłamem. Został on sporządzony na początku tego wieku, ale jest to świetnie zrobiona rekonstrukcja, a nie było to takie trudne, biorąc pod uwagę istniejący zarys. Wymagało to zaangażowania tylko odrobiny wyobraźni. Nasi mnisi byli cystersami i opactwo jest wybudowane właśnie w tym stylu. Widzisz, że jest zbudowane po obydwu stronach strumienia wpadającego do stawów rybnych. One z kolei mają ujście do rzeki. Jesteśmy oddaleni o około ośmiu mil od morza. Są trzy stawy rybne rozlokowane jeden za drugim. Można tam złapać całkiem dobre ryby. Emmet i inni łowią w nich często i większość ryb podawanych u nas w piątce pochodzi ze stawów. To bardzo ważny element zachowania tradycji. Tutaj jest nawa główna i transept, nawa poprzeczna. To kaplica o sześciu ołtarzach. To Dom Zgromadzenia Sióstr, to Strażnica i Budynek Główny... Dom Opatów, refektarz, spiżarnia, stołówka. Wszystko znajdziesz na planie. A tutaj jesteśmy my. Cóż... możemy iść?

Wyszliśmy na świeże powietrze, gdzie odniosłam wrażenie, że jest gorąco. Szłyśmy, a Daisy komentowała jednocześnie. Było to fascynujące przeżycie. Zdawałam sobie sprawę, że nie ogarniam wszystkiego, co powinnam zobaczyć; byłam jednak głęboko świadoma atmosfery zadumy, jaką emanowało Abbey. Szczególnie odnosiło się to do tej części, nad którą nie było dachu. Świętokradztwem wydawało się chodzenie po tych kamieniach, ocieranie się o filary, które teraz straciły na świetności, jako że podtrzymywały ściany i łuki będące ruiną, przez którą przeświecało niebo. Zrozumiałam, że ludzie obdarzeni bujną wyobraźnią mogli po zmroku słyszeć dźwięki dzwonów i modlitwy mnichów. Musiałam jeszcze kiedyś zobaczyć to miejsce nieoświetlone przez promienie słoneczne. Oczywiście wyobraźni widziałam, że w ciemnościach mogło to wyglądać niesamowicie i po raz pierwszy zastanowiłam się, czy Daisy Hetherington dobrze zrobiła, adaptując część starego opactwa na szkołę. Czy nie lepiej byłoby, gdyby wokół rozciągał się rozległy wiejski krajobraz lub gdyby była ona umiejscowiona nad morzem, gdzieś na południu.

To otoczenie sprawiało jednak, że szkoła miała niepowtarzalny charakter, i na to liczyła Daisy.

– Zamilkłaś, Cordelio – powiedziała. – Rozumiem, że przytłoczyło cię to wszystko. Tak odbierają to wrażliwi ludzie.

– A dziewczęta... co one sądzą o tych otaczających je zewsząd reliktach minionych czasów?

– Większość z nich to beztroskie istoty, raczej nieświadome tego.

– A nauczycielki?

– Och, sądzę, że część z nich jest w pierwszej chwili zaskoczona. Z czasem dojrzewa to w nich i zdają sobie sprawę, że być w tym otoczeniu to przywilej.

Milczałam. Dotknęłam szorstkiej, kamiennej ściany i spojrzałam ku niebu poprzez normandzki łuk. Daisy Hetherington uspokajająco poklepała mnie po ramieniu.

– Chodźmy do środka – powiedziała. – O siódmej trzydzieści jemy kolację.

Podano ją w Refektarzu Braci Świeckich. Prawdopodobnie wyglądał on teraz mniej więcej tak samo, jak wyglądał siedem wieków wcześniej, z wysokim sklepieniem i długimi, wąskimi szparkami okien.

Daisy zasiadała u szczytu stołu i wyglądała, jakby sama była przeoryszą klasztoru. Jedzenie było wyśmienite.

– Wszystko to u nas wyhodowane – informowała mnie. – Jest to jeden z charakterystycznych rysów tego miejsca. Na przykład stare ogrody warzywne. Dobrze je wykorzystujemy. Mam dwóch ogrodników pracujących w pełnym wymiarze godzin. Emmet pomaga im, tak samo zresztą jak i pozostali chłopcy stajenni.

Teraz dopiero widziałam, jak wielkie to było przedsięwzięcie. W porównaniu z tym Grantley Manor wydawało się tylko amatorszczyzną.

Przy kolacji zostałam przedstawiona mademoiselle Jeannette Dupont, Fraulein Irmie Kutcher i Eileen Eccles, nauczycielce sztuk pięknych, która właśnie przyjechała. Rozmawiałam z nimi po francusku i po niemiecku, co spotkało się z zachwytem nie tylko moich rozmówczyń, ale też i Daisy. Ona, pomimo że sama nie wychylała się poza angielski, lubiła podkreślać fakt, że ja mówiłam biegle w obu tych językach.

Jeannette Dupont miała, jak sądzę, około dwudziestu pięciu lat i była raczej bardzo ładna. Irma Kutcher nie była o wiele starsza, ale sprawiała takie wrażenie, ponieważ wyglądała na osobę surową i byłam przekonana, że traktowała swoje obowiązki bardzo poważnie.

Eileen Eccles była typową wykładowczynią sztuk pięknych: włosy miała w nieładzie, a ciemne oczy były pełne ekspresji. Ubrana była w luźną suknię w kolorze będącym mieszaniną różnych odcieni brązu i delikatnej domieszki purpury. Prezentowała się jak artystka w każdym calu.

Nasza rozmowa toczyła się wokół spraw szkolnych. Odnosiłam wrażenie, że nie będzie mi trudno włączyć się w działanie grona współpracownic Daisy. Teraz najwięcej mówiła ona sama i dotyczyło to głównie szkoły i nietypowych cech niektórych uczennic. Miałam wrażenie, że zaczynam naprawdę orientować się we wszystkim.

Po kolacji przeszliśmy do gabinetu Daisy i tu rozmowa toczyła się dalej w tym samym duchu, aż do chwili, kiedy zdecydowała, że jestem już na pewno zmęczona i chciałabym się położyć.

– Reszta nauczycielek przyjedzie jutro lub pojutrze. A we wtorek wrócą te dziewczęta, które były w domach.

Mademoiselle zapytała, czy siostry Verringer wrócą we wtorek.

– Oczywiście – powiedziała Daisy. – Dlaczego miałyby być inaczej.

– Sądziłam, że – odparła mademoiselle – miały śmierć w rodzinie... i że zostaną w domu z powodu żałoby.

– Sir Jason nie chciałby tego. Lepiej, jeśli będą w szkole. Dołączą do nas we wtorek. Charlotta Mackay przyjedzie z nimi. Spędzała ferie we Dworze. Goszczenie jej tam w tak szczególnym czasie musiało być trochę niezręczne. Te rodziny jednak utrzymują bliski kontakt ze sobą. Sądzę, że panna Grant jest już bardzo zmęczona. Panno Eccles, może pani zaprowadzi pannę Grant do jej pokoju. Z pewnością już wkrótce pozna pani rozkład pomieszczeń, ale w pierwszej chwili może pani być trochę dezorientowana.

Panna Eccles wstała i ruszyła przodem.

Kiedy byłyśmy na schodach, odwróciła się do mnie i powiedziała:

– Daisy może czasami być trochę przytłaczająca. Nie jest to takie dokuczliwe, kiedy jest nas więcej.

W odpowiedzi uśmiechnęłam się tylko lekko, a ona ciągnęła dalej:

– Trzeba trochę czasu, żeby przyzwyczać się do tego miejsca. Trudno mi powiedzieć, jak wiele razy w czasie mojego pierwszego semestru byłam bliska spakowania się

i pojechania do domu. Przewyciężyłam to jednak i choć to dziwne, ale przyzwyczałam się. Teraz byłoby mi raczej smutno, gdybym musiała wyjechać.

– Mademoiselle i Fraulein wyglądają na bardzo miłe.

– Są miłe. Tak samo jak i Daisy na swój sposób jest miła. Musi pani tylko trzymać się w szyku i pamiętać, że ona, niczym sam Pan Bóg, wie wszystko, wszystko widzi i ma zawsze rację.

– Nie jest to zbyt skomplikowane, ale brzmi trochę niepokojąco.

– Kiedy pani postępuje tak, jak należy, ona jest w porządku. Uczyła pani już kiedyś? Ach nie, pamiętam, że właśnie skończyła pani Schaffenbrucken. Nie powinnam była zapomnieć. Daisy mówiła nam o tym dziesiątki razy.

– Robią taki szum wokół tego.

– To jest *nec plus ultra*.

Roześmiałam się.

– Tak właśnie to wygląda w oczach Daisy – ciągnęła. – Będzie pani uczyć, jak sądzę, ogłady towarzyskiej.

– Tak, muszę sobie wypracować metody wdrożenia tych nauk.

– Proszę robić to, co robiono w Schaffenbrucken, a wszystko pójdzie dobrze.

– To chyba wielka przyjemność uczyć sztuk pięknych, kiedy trafi się na talent!

– Obawiam się, że nie mamy tu Rubensów czy Leonardów. A przynajmniej nie odkryłyśmy ich jeszcze, jeśli takowi są. Do szczęścia wystarczy mi, jeśli one potrafią wyprodukować krajobraz przypominający rzeczywistość. Dotarliśmy. To jest pani pokój. Ma pani pod swoimi skrzydłami ważne Verringerówny. Daisy prawdopodobnie sądzi, że one nawet we śnie mogą przyswajać sobie ducha Schaffenbrucken. Jest trochę chłodno. Jak zawsze. Łatwo można sobie wyobrazić, że jest się mnichem. Daisy lubi, żebyśmy postępowały zgodnie z regułami klaszornymi tak bardzo, jak to tylko możliwe. Ale proszę się nie obawiać, jeszcze nam nie przygotowują kwefów zakonnych. Musi pani po prostu zapomnieć, że to budynek klasztoru, i dobrze się wyspać. Do zobaczenia rano. Dobranoc.

Odpowiedziałam tym samym. Polubiłam ją. Rozbawiła mnie i dobrze było wiedzieć, że mam tak sympatyczne towarzyszki jak te, poznane dzisiejszego wieczoru.

Wyszczotkowałam włosy i szybko rozebrałam się. Na stoliku stało lusterko i było ono, jak sądzę, jednym ze współczesnych elementów, o których Daisy tyle mówiła. Wypróbowałam łóżko. Było wąskie, odpowiednio do rozmiarów mojego pokoju, przypominającego celę klaszorną, ale wydawało się, że jest wygodne.

Położyłam się i określiłam się kołdrą. Trudno było mi zasnąć. Miniony dzień był zbyt ekscytujący, a wszystko wokół mnie takie niezwykle. Leżałam z kołdrą naciągniętą po czubek nosa, rozmyślając o tym wszystkim, zastanawiając się i, tak, zgadza się, oczekując z przyjemnością na to, co przyniesie przyszłość.

Przed wszystkim chciałam poznać dziewczęta.

Czas mijał, a ja byłam coraz dalsza od zaśnięcia. Zawsze trudno jest zasnąć w nowym miejscu, a jeśli w dodatku jest to stare opactwo, pełne powiewów minionych wieków, bezsenność jest stanem raczej naturalnym. Odwróciłam się do ściany i wpatrywałam się w nią. Przez wąskie okno wpadała wystarczająca ilość światła pozwalająca mi dojrzeć żłobienia w szarym kamieniu. Zastanawiałam się, jak wielu mnichów tu leżało, patrząc na te ściany w czasie długich nocy, pełnych medytacji i modlitw.

I wtedy, nagle, coś mnie zaniepokoiło. Usłyszałam niewyraźny odgłos. Dochodził on gdzieś z bliska. Wydawało się, że to było gwałtowne nabranie powietrza i tłumiony

szloch. Nasłuchiwałam. Cisza, a potem... tak. Znowu to słyszałam. Gdzieś niedaleko ktoś płakał, starając się wytłumić te odgłosy.

Wstałam, odnalazłam kaptcie i założyłam szlafrok. Dźwięk dobiegał z pokoju po prawej stronie... z jednego z tych, za które odpowiadałam.

Wyszłam na korytarz. Moje kaptcie dawały lekki odgłos w zetknięciu z kamienną posadzką.

– Kto to? – zapytałam spokojnie.

Usłyszałam szybkie zaczerpnięcie powietrza. Odpowiedź nie padała.

– Czy wszystko w porządku? Odpowiedz.

– T... tak – usłyszałam przerażony głos.

Zlokalizowałam ten pokój i otworzyłam drzwi. W przyćmionym świetle zobaczyłam dwa łóżka. Na jednym z nich siedziała dziewczyna. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyłam, że ma długie, jasne włosy i duże, przerażone oczy. Musiała mieć szesnaście lub siedemnaście lat.

– Co się stało? – zapytałam. – Jestem nową nauczycielką. – Skinęła głową i usłyszałam, że szczęka zębami.

– To nic... nic się nie stało – zaczęła.

– Musiało się coś stać – powiedziałam. Podeszłam do jej łóżka i usiadłam na brzegu.

– Z jakiegoś powodu jesteś nieszczęśliwa, prawda? – Spojrzała na mnie poważnie tymi wielkimi, wystraszonymi oczami. – Nie musisz się mnie bać – ciągnęłam. – Wiem, co to znaczy tęsknota za domem. To o to chodzi, tak? Ja musiałam wyjechać do szkoły... do Szwajcarii... kiedy byłam w twoim wieku.

– T... tak? – zająknęła się.

– Widzisz więc, że wiem coś na ten temat.

– Nie tęsknię za domem... bo nie można tęsknić za czymś, czego nie ma, prawda?

Przypomniałam sobie.

– Chyba wiem, kim jesteś. Jesteś Teresa Hurst i zostałam w szkole w czasie przerwy.

Widać było, że z ulgą przyjęła, że wiem aż tyle.

– Tak – powiedziała. – A pani jest panną Grant. Wiem, że miała pani przyjechać.

– Będę się opiekowała tą sekcją.

– Kiedy reszta wróci, nie będzie tak źle. W nocy, kiedy panuje taka cisza, jest przerażająco.

– Tak naprawdę, to nie ma się czego bać. Twoi rodzice są w Afryce, zgadza się?

Skinęła potwierdzająco.

– W Rodezji – dodała.

– Wiem, jak musisz się czuć, bo żeby było śmieszniej, moi rodzice też byli w Afryce. Byli misjonarzami i nie mogli się mną opiekować. Zostałam więc odesłana do kraju, do mojej ciotki Patty. I było cudownie.

– Moi kuzyni, tak naprawdę, nie chcą mnie. Zawsze wykręcają się w czasie świąt. Mówią, że dzieci mają różyczkę albo że muszą gdzieś wyjechać... i zostają w szkole. Chyba nawet wolę to. Tyle tylko, że w nocy...

– Teraz ja już tutaj będę, a dziewczęta przyjeżdżają we wtorek.

– Tak będzie o wiele lepiej. Czy do swojej ciotki Patty jeździ pani z przyjemnością?

– Uwielbiam to. To najlepsza ciotka, jaką ktokolwiek kiedykolwiek miał, a ja ciągle jeszcze mam ją.

– To musi być wspaniale.

– O, tak. Ale teraz jestem tutaj. Śpię tuż obok. Jeśli coś cię przestraszy, przyjdź

i powiedz mi. Tak będzie dobrze?

– Cudownie.

– Powiem ci teraz dobranoc. Dobrze się już czujesz?

– Tak. Będę wiedziała, że pani jest obok. Dziewczeta czasami śmieją się ze mnie. Uważają, że jestem dziecinna.

– Jestem pewna, że tak nie jest.

– Widzi pani. One jeżdżą do domów i nigdy nie mają ochoty wracać do szkoły. Uwielbiają wakacje i święta. Ja tego nienawidzę i taka jest między nami różnica.

– Rozumiem. Wszystko na pewno ułoży się dobrze. Zostaniemy przyjaciółkami i zawsze będę tutaj gotowa ci pomóc.

– To bardzo zabawne, że i pani rodzice też byli w Afryce.

– Prawda, to niezwykle! Najwyraźniej było nam przeznaczone stać się przyjaciółkami.

– Cieszę się – powiedziała.

– Okryję cię. Sądzisz, że teraz uda ci się zasnąć?

– Chyba tak. I wcale nie będę się przejmować, jeśli zobaczę jakieś cienie. Będę wiedziała, że mogę pójść do pani. Mówiła to pani poważnie, prawda?

– Jak najbardziej. Nie sądzę jednak, żeby to było konieczne, bo teraz już wszystko będzie w porządku. Dobranoc, Tereso.

– Dobranoc, panno Grant.

Wróciłam do swojego pokoju. Biedne, samotne dziecko. Dobrze, że ją usłyszałam i mogłam pocieszyć. Będę nad nią czuwać i dopilnuję, żeby nie działa jej się krzywda.

Dużo czasu upłynęło, zanim zagrzałam się na tyle, żeby zasnąć, ale sądzę, że to drobne zdarzenie uspokoiło mnie w tym samym stopniu co Teresę Hurst. W końcu rzeczywiście zasnęłam. Sny miałam jednak przedziwne. Śniło mi się, żejechałam powozem przez nawę kościoła i byłam świadoma potężnych kolumn po obu stronach powozu i błękitu nieba nade mną. Nagle drogę zablokował inny powóz. Zobaczyłam, że wysiada z niego mężczyzna. Zajrzał przez okienko mojego powozu, spojrzał na mnie i krzyknął: „Cofnij się, stoisz mi na drodze”. Twarz miał dziką i ponurą. Zmieniła się ona nagle i była to już twarz Edwarda Comptona.

Obudziłam się z przykrym uczuciem i nie mogłam się zorientować, gdzie jestem.

To tylko sen, wmawiałam sobie. Teraz miewałam sny o wiele częściej niż dawniej. Nasiliło się to od chwili, kiedy spotkałam nieznajomego w lesie.

* * *

Obudziłam się, usiadłam w łóżku i spojrzałam na puste kamienne ściany, na skąpe umeblowanie. Poczułam dreszcz emocji.

Umyłam się i ubrałam. Zajrzałam do pokoju Teresy Hurst. Jej łóżko zostało porządnie zasłane i nie było jej już w pokoju. Zastanawiałam się, czy nie zasnęłam.

Odnalazłam drogę do sali, w której jadłyśmy kolację. Daisy siedziała przy stole, a mademoiselle Dupont i Fraulein Kutcher były razem z nią.

– Dzień dobry – powiedziała Daisy. – Mam nadzieję, że dobrze pani spała.

Podziękowałam za troskę i potwierdziłam. Przywitałam resztę grupy, a Daisy skinęła, żebym zajęła miejsce.

– W przerwach międzysemestralnych śniadanie mamy między siódmą trzydzieści a ósmą trzydzieści – powiedziała. – W trakcie semestru obowiązuje godzina siódma

trzydzieści i dwie nauczycielki nadzorują przebieg śniadania w jadalni głównej, gdzie jedzą dziewczęta. Potem w holu odbywa się modlitwa i zwykle jedna z nas mówi parę słów, nie trwa to dłużej niż pięć minut. Ma to być coś dodającego ducha... rodzaj myśli przewodniej dnia. Po kolei robimy to wszystkie. Lekcje zaczynają się o dziewiątej. Proszę, niech pani sobie nakłada. Wszystko stoi na bocznym kredensie. Przy śniadaniu zachowujemy się swobodnie.

Kiedy nakładałam zimną szynkę z Yorku i nalewałam kawę, weszła Eileen Eccles.

Usiadłam przy stole i zaczęłyśmy rozmawiać o szkole. Głównie mówiła Daisy, reszta słuchała. Ponieważ byłam nowicjuską, wiele z uwag kierowanych było do mnie.

– Wszystkie nauczycielki powinny tu wrócić do poniedziałku rano. Wtedy będziemy gotowe na przyjęcie dziewcząt. W poniedziałek po południu w moim gabinecie odbędzie się spotkanie nas wszystkich. Przejrzymy plan pracy na ten semestr. Mam nadzieję, że pani będzie chciała przygotować jakiś temat do przedyskutowania dla nas... no i oczywiście zwiedzić okolicę. – Uśmiechnęła się, patrząc po obecnych: – Jestem pewna, że znajdzie pani chętne do opowiedzenia wszystkiego, o czym tylko będzie pani chciała wiedzieć.

Eileen Eccles powiedziała:

– Powinnam zaraz jechać do miasta. Chcę kupić jedną czy dwie rzeczy. Nie mam kartonów i pędzli. Pojechałaby pani ze mną? Miałaby pani okazję rozejrzeć się.

– Dziękuję – odparłam. – Chętnie.

– Jeździ pani konno, prawda? To jedyny sposób, żeby się tam dostać.

Potwierdziłam.

Daisy uśmiechnęła się aprobująco.

Poranek był piękny. Eileen zabrała mnie do stajni i pokazała filigranową, gniadą klacz.

– Polubi ją pani – powiedziała. – Ma werwę, ale łatwo dać sobie z nią radę. – Sama Eileen wzięła siwego konia. – Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi – powiedziała, klepiąc go po boku. Stuknęła kopytem, jakby dla potwierdzenia, że się z nią zgadza.

Wkrótce byłyśmy w drodze do miasta.

– Te konie to dar od Boga. To na szczęście niedaleko, ale dzięki nim mamy szansę na oderwanie się od czasu do czasu od szkoły. Dzięki Bogu, umiejętność jazdy konnej jest jednym z nieodzownych atutów dobrze wychowanych młodych panien.

Przejeżdżałyśmy w pobliżu stawów lśniących w świetle wczesnego poranka. Spojrzałam na ruiny i po raz kolejny pomyślałam, jakie są wspaniałe. W porannym słońcu nie prezentowały się już tak niesamowicie.

– Przyzwyczaj się pani do nich – powiedziała Eileen. – Teraz ledwo już je dostrzegam. Na początku miałam zwyczaj zerkania do tyłu, oczekując, że wyskoczy na mnie jakaś postać ubrana w czarne szaty. Tak było, dopóki się nie dowiedziałam, że oni nosili białe habity. Wydaje mi się, że to jeszcze bardziej upiorna wersja, przynajmniej w świetle księżyca. Nie sądzi pani?

– Myślę, że bez względu na kolor, takie spotkanie przeraziłoby każdego!

– Proszę się nie obawiać. Oni wszyscy dawno już odeszli i są pogrzebani. Nawet jeśli ich dusze krążą gdzieś tutaj, Daisy z pewnością ma ich przychylność. To ludzie tacy jak Verringerowie powinni mieć się na baczności.

– Cóż, myślę, że jeśli Verringerowie nie przyjęliby tej ziemi, zrobiłaby to jakaś inna rodzina.

– Nie w tym rzecz, droga panno Grant. Verringerowie zrobili to.

Wjechałyśmy w aleję i byłam zaskoczona bujnością i pięknnością wszystkiego wokół. Zielona trawa, czerwień ziemi, kasztanowce i wiśnie obsypane kwieciami, nagły wybuch świergotu turzycy, dobiegający gdzieś znad stawu.

Powiedziałam:

– W nocy poznałam Teresę Hurst. Biedne dziecko. Wydaje się, że jest bardzo samotna. Rozumiem, jak się czuje. Ja mogłam się znaleźć w podobnej sytuacji. – I już opowiadałam jej o ciotce Patty.

– Jeśli pozwoli pani – powiedziała Eileen. – Teresie brakuje ducha. Pozwala, żeby jej trudne położenie przytłaczało ją, zamiast zwalczać te przeciwności.

– Będę ją częściej widywała. Porozmawiałyśmy chwilę w nocy. Myślę, że dobrze się rozumiemy.

Eileen skinęła głową.

– Ona całkiem dobrze maluje i w przeciwieństwie do innych wie, jaka jest różnica między oliwkową zielenią a pruskim błękitem.

Skierowała się w stronę pól, poklepała bok konia i pocałowałyśmy naprzód.

– To skrót – rzuciła przez ramię.

W następnej chwili spoglądałam z góry na miasto.

– Piękne w tym oświetleniu, prawda? – powiedziała Eileen. – Typowe małe miasteczko w Devon. Niektóre sklepy są nawet na dobrym poziomie, a to lepsze niż nic. Mają tu bardzo dobry zajazd „Drake’s Drum”. Mogłybyśmy się tam spotkać. Zakupy zajmą mi co najmniej godzinę. To byłoby dla pani trochę nużące, a ja lubię być sama, kiedy kupuję. Może pani pozwiedzać okolicę wokół miasta. Krajobraz wiejski jest piękny. Może pani też zostawić konia na dziedzińcu zajazdu. W każdym razie spotkajmy się tam za godzinę. Dobrze? Wypijemy po szklaneczce jabłecznika. To ich specjalność.

Powiedziałam, że odpowiada mi taki plan.

Miałam zamiar przejechać przez miasto, rozejrzeć się po wiejskich terenach wokół i potem znowu wjechać w miasto i zwiedzić je dokładniej. Było bardzo małe i nie sądziłam, że bym na zwykłe rozejrzenie się musiała mieć więcej niż pół godziny.

Pokazała mi zajazd. Kolorowy szyld przedstawiał sir Francisa z jego bębniem. Ona wjechała na dziedziniec, a ja ruszyłam dalej.

Jako że miasto składało się właściwie z jednej głównej ulicy, szybko znalazłam się na wiejskich drózkach. Były piękne, wąskie i kręte, tak że zbliżanie się do każdego z zakrętów wywoływało we mnie podniecenie i zaniepokojenie, co też kryje się poza nim.

Jechałam chyba dwadzieścia minut, kiedy pomyślałam, że należałoby już zawrócić do miasta. Jadąc w tę stronę, mijałam wiele wąskich, wijących się alei i nie poświęciłam zbyt wiele uwagi temu, w jakim kierunku posuwam się. Nie przyszło mi do głowy, że mogę mieć kłopot ze znalezieniem drogi powrotnej. Zawróciłam i jechałam wolnym kłusem mniej więcej przez pięć minut, zanim dotarłam do skrzyżowania. Nie pamiętałam, abym je mijała, a nie było tam żadnego drogowskiego znaku. Próbowałam zdecydować, którą z czterech dróg powinnam wybrać.

Kiedy stałam, pełna wątpliwości, zobaczyłam jeźdźca zbliżającego się jedną z dróg, mężczyznę na siwym koniu. Postanowiłam, że muszę zapytać go o właściwy dla mnie kierunek.

Zobaczył mnie i jechał w moją stronę. Kiedy podjeżdżał, zorientowałam się, że jego twarz nie jest mi obca. Już wiedziałam, kto to jest. Widziałam go co prawda tylko przez chwilę, kiedy wychylał się z okna powozu, ale jego twarz należała do tych, których się nie zapomina, kiedy zobaczy się ją chociaż raz.

Z mieszaniną niechęci i podekscytowania pomyślałam: wielki sir Jason we własnej osobie.

Kiedy się zbliżył, zdjął kapelusz.

– Zgubiła się pani – powiedział niemalże triumfująco.

– Miałam zamiar zapytać pana o drogę do Colby.

– Do miasta, Dworu czy Abbey?

– Do miasta. Może pan mi wskazać właściwy kierunek?

– Mogę zrobić nawet więcej. Sam się tam właśnie udaję. Mogę panią eskortować.

– To bardzo miło z pana strony.

– Nonsens, to pani będzie miła w stosunku do mnie, jeśli pozwoli mi to zrobić.

Szacował mój wygląd dosyć bezceremonialnie, w taki sposób, że czułam się nieswojo. Pomyślałam, że jego zachowanie teraz różniło się nieco od tego, które zaprezentował rozwścieczony pasażer powozu.

– Dziękuję. Jestem pewna, że to niedaleko. Zupełnie nie rozumiem, jak mogłam się zgubić.

– Łatwo jest stracić orientację. Drogi wiją się tak bardzo, że po wielu zakrętach nie wiadomo, w którą stronę jest się zwróconym. To bardzo miły poranek, nie sądzi pani?

– O, tak.

– Czy myśli tak pani w dalszym ciągu?

Nic nie odpowiedziałam.

– Przedstawię się – powiedział. – Jestem Jason Verringer ze Dworu.

– Wiem – odparłam.

– W takim razie jesteśmy dobrymi znajomymi, ponieważ ja również wiem, kim pani jest. Zetknęliśmy się już. W alei. Emmet wioził panią. Prawda?

– Tak, i pan ostro zarządził, żebyśmy się cofnęli.

– To było, zanim zobaczyłem panią.

Próbowałam wysunąć się naprzód, co nie było zbyt mądre, jako że to on pokazywał mi drogę. Niemniej i tak zaraz znalazł się tuż obok mnie, a jego styl bycia niewątpliwie niepokoił mnie.

– Gdybym wiedział, że Emmet wiezie do Akademii tak utytułowaną nauczycielkę, kazałbym, aby to mój woźnica się cofnął.

– To nic ważnego – odpowiedziałam.

– Jest to rzecz jak najwyższej wagi. To było nasze pierwsze spotkanie, a muszę powiedzieć, że szalenie mi miło, że panią poznałem. Tyle o pani słyszałem od panny Hetherington.

– Och, czy omawia ona z panem sprawy swoich pracowników?

– Droga młoda damo, jeśli taki klejnot wpada jej w ręce, omawia tę sprawę ze wszystkimi. Zrozumiałem, że posiada pani zasób talentów i umiejętności zaaplikowanych przez jakąś zagraniczną uczelnię!

– Z pewnością przesadza pan.

– W najmniejszym stopniu. Z wielką przyjemnością odkrywam, że osoba o tak wspaniałych kwalifikacjach ma jedną, drobną słabość. Słabą orientację w terenie.

– Mam wiele słabych punktów – zapewniam pana.

– To mnie cieszy. Mogę mieć nadzieję, że poznam je?

– Nie sądzę. Chyba nie tędy przyjechałam.

– Nie, rzeczywiście nie. Co sądzi pani o wsi? To bardzo żywna kraina... niektórzy mówią, że najżyźniejsza w całej Anglii. Mieliśmy z niej pożytek przez całe wieki.

– I z pewnością dalej będziecie działać, by tak zostało.

– Bez wątpienia. Pozna pani moje wychowawice... dokładniej mówiąc, dwie bratanice. Uczą się w Akademii. Z satysfakcją przyjmuję fakt, że będą uczone przez kogoś tak utalentowanego.

Byłam zirytowana. Wiedziałam, że drażni się ze mną, wypominając ciągle moje wykształcenie. Powiedziałam:

– Wierzę, że będzie pan usatysfakcjonowany. Cieszę się, że je poznam. Z tego, co mówiła panna Hetherington, zrozumiałam, że zjawią się w szkole we wtorek.

– Tak zostało ustalone.

– Musi im być miło, że są w szkole położonej tak blisko domu. Wzruszył ramionami.

– Być może słyszała pani, że nasza rodzina poniosła ostatnio stratę.

– Tak, bardzo mi przykro. Pogrzeb był wczoraj, w dniu mojego przyjazdu.

– To dziwne, prawda?

– Dziwne?

– Że wracałem z pogrzebu mojej żony, kiedy nasze powozy spotkały się.

– Z pewnością nie nazwałabym tego czymś dziwnym. Nasze powozy po prostu znalazły się w tym samym miejscu i w tym samym czasie. Te alejki są bardzo wąskie. Takie spotkanie się pojazdów musi być zwykłym zdarzeniem.

– Nie tak częstym, jak pani myśli – powiedział. – Nie mamy tutaj zbyt wielkiego ruchu. Proszę przyjąć przeprosiny za zawrócenie pani powozu.

– Proszę zapomnieć o tym. To nic ważnego.

– Uważa mnie pani za... aroganta?

– Rozumiem, że w takich okolicznościach można nie być sobą.

– W takim razie jesteśmy przyjaciółmi?

– No, cóż... może to zbyt mocno powiedziane... – Spojrzałam do przodu. – Zdaje się, że do miasta jest raczej daleko.

– Pomyliła pani drogę.

– Jest już prawie dziesiąta piętnaście. O jedenastej mam się spotkać z panną Eccles w „Drake’s Drum”.

– To bardzo dobry zajazd. Mają duży ruch w dni targowe.

– Jak daleko od miasta jesteśmy?

– Dotrze pani tam na jedenastą.

– To jeszcze tak daleko?

Wzniósł brwi z dezaprobatą i skinął potwierdzająco głową.

W uśmiechu, który błakał się gdzieś wokół jego ust, było coś, co mnie niepokoiło. Żałowałam, że sama nie próbowałam znaleźć właściwego kierunku. Byłam pewna, że prowadzi mnie okrężną drogą.

– Mam nadzieję, że będę panią widywał częściej, panno...

– Grant.

– Tak, panno Grant. Spodziewam się, że będzie pani bywać we Dworze. Od czasu do czasu miewamy koncerty, na które przychodzi panna Hetherington i zezwala na uczestniczenie w nich niektórym swoim nauczycielkom, a nawet uczennicom. Są też okazje, kiedy to ja jestem zapraszany do szkoły. Sądzę więc, że mamy przed sobą wiele możliwości zetknięcia się. Przez kilka chwil milczałam, po czym zapytałam:

– Jest pan przekonany, że to właściwa droga?

– Mogę panią o tym zapewnić.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu i w końcu z ulgą zobaczyłam przed nami

miasto.

Popędziłam konia. Galopowaliśmy razem, aż dotarliśmy na przedmieścia.

– Widzi pani – powiedział – dowiozłem panią całą i zdrową. Sądziła pani, zdaje się, że prowadzę panią złą drogą.

– Wydawało mi się, że jechaliśmy długo.

– Mnie czas minął bardzo szybko.

– Teraz już wiem, gdzie jestem. Dziękuję za pomoc.

– Dla mnie była to ogromna przyjemność.

Towarzyszył mi aż do „Drake’s Drum”. Eileen Eccles już tam była. Stała na ganku, wypatrując mnie niecierpliwie.

– Zgubiłam się – powiedziałam.

Jason Verringer zdjął kapelusz, uklonił się nam i odjechał. Zwróciłam się do Eileen:

– Spotkałam go, kiedy zastanawiałam się, którą drogą jechać, a on pokazał mi, jak wrócić. Gdzie mogę zostawić konia?

– Pokażę pani.

Zaprowadziła mnie na dziedziniec, a potem wróciłyśmy do zajazdu.

– Szybko odkrył pani istnienie – powiedziała.

– Zgubiłam się. Tak się złożyło, że pojawił się i zaoferował, że pokaże mi powrotną drogę. Miałam wrażenie, że była to bardzo długa trasa.

– Już on o to zadbał. Chodźmy do środka. Zamówię dla pani jabłecznik. Zaczynałam się już trochę niepokoić.

– Ja też. Myślałam, że już nigdy tu nie dotrę. Nie byłam pewna co do drogi, ale sądzę teraz, że sama na pewno równie łatwo bym ją znalazła.

– Tak więc była pani eskortowana przez wdowca w żałobie.

– Prawdę mówiąc, nie wydawało mi się, żeby szczególnie to przeżywał.

– Z tego, co słyszałam, to raczej świętuje.

Podano jabłecznik. Był chłodny i orzeźwiający.

– Są z niego znani w tej części świata – powiedziała Eileen. – Czyli właściwie nie obejrzała pani miasta. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby było tu tak wiele do oglądania. Musimy ruszać z powrotem, jak tylko Skończy pani jabłecznik.

– Teraz żałuję, że nie zostałam w mieście.

– Odkryły pani wcześniej czy później. Cieszy się złą sławą z racji zdobywania dam znajdujących się w zasięgu jego działań.

– Ale... przecież w tej chwili jest w żałobie. Dopiero wczoraj pochował żonę.

– Jestem pewna, że raczej nie bił się w piersi, nie darł szat i nie posypywał sobie głowy popiołem.

– Był jak najbardziej daleki od tego.

– Przynajmniej jest szczery. Najpewniej miałby ochotę na zabicie ofiarnego cielęcia.

Nie, to zła analogia. W każdym razie, tak czy inaczej, jest zadowolony...

– To było aż tak źle?

– Na jego temat krąży masa plotek. Jest to jedyna rzecz, w jakiej Verringerowie nigdy nie zawiedli: zawsze dostarczali sąsiadom wiele powodów do gadania. Jak wieść niesie, poślubił swoją żonę... żonę z wcześniej zaplanowanego kontraktu małżeńskiego... dlatego, że wniosła mu w posagu ogromną posiadłość ziemską. Jednak wkrótce po ślubie uległa wypadkowi w czasie polowania. W efekcie została kaleką, co było równoznaczne z tym, że Verringerowie nie będą mieli następcy. Stało się to przyczyną zgryzoty całej rodziny, gdyż zawsze mieli oni następców gdzieś od piętnastego wieku, kiedy to

Verringerowie przejęli ziemie opactwa. Sir Jason był ostatni w linii, ponieważ jego młodszy brat, ojciec dwóch dziewczynek, zmarł. Czy posiadłość miałaby przejść w ręce kobiety? Horror, jak kraj długi i szeroki! I w tej sytuacji, co innego jak nie morderstwo mogło dać sir Jasonowi jeszcze jedną szansę?

– Morderstwo?

– Takim słowem nie szafuje się wśród zwyczajnych ludzi, ale w stosunku do Verringerów? Kto wie? W każdym razie żona, zgodnie z oczekiwaniami, zmarła i właśnie, jak pani przyjechała, pogrzebowe dzwony były dla niej.

– Brzmi to makabrycznie.

– Jak mi powiedziano, Verringerom można przypinać różne łatki i często się tak dzieje. No cóż. Kobieta zmarła i krąży na ten temat różne pogłoski...

– Sądziłam, że już od dawna była chora.

– Była kaleką. Bezużyteczną dla celów reprodukcyjnych. Nie była to jednak choroba, która mogła się skończyć najgorszym, rozumie pani. I wtedy na scenie pojawiła się Marcia Martindale, urodziła niemowlę, a lady Verringer zmarła.

– To wszystko zaczyna bardzo wciągać.

– Ma pani tutaj mieszkać. Musi się pani dowiedzieć czegoś o tutejszych mieszkańcach, a tymi najbardziej malowniczymi, ekscytującymi i pełnymi dramatyizmu, może należałoby powiedzieć, melodramatyizmu, są właśnie Verringerowie. Jeśli chodzi o Jasona, to zawsze był kobieciarzem. To rodzinna cecha, a przy żonie niefunkcjonującej jak należy, czegoż można by się spodziewać po dzentelmenie tak pełnym męskości i żądzy? Niedaleko Abbey znajduje się pewien dom. Nazywany jest „Rook’s Rest” – „Gawronią Przystań”. „Gawronią”, prawdopodobnie dlatego, że wokół rosną wiązy, na których gawrony wiją gniazda. To niewielki domek w stylu królowej Anny. Elegancki. Przez wiele lat mieszkała tam jedna z ciotek Verringerów. Potem zmarła i przez kilka miesięcy dom stał pusty. Zdaje się, że osiem miesięcy temu zainstalowano tam Marcie Martindale. Była uderzająco piękna i niewątpliwie ciężarna. To sir Jason umieścił ją tam i tak już zostało. To trochę obcesowe, ale człowiek z pozycją sir Jasona nie przejmuje się tym, co ludzie powiedzą. Jest w końcu potężnym panem. Jego własnością jest cała ziemia wokół i wszystkie domy, w których mieszkają okoliczni ludzie. Oni nie mogą zbyt surowo osądzać tak niewielkich grzeszków. Mogą zachichotać, zawsze po uprzednim dyskretnym przysłonięciu ust dłonią, a dozwolone jest niewiele więcej niż wzruszenie ramionami czy wzniesienie oczu ku niebu.

– W każdym razie wydaje się, że wokół tego człowieka pojawia się wiele skandali.

– Moja droga panno Grant... czy mogę mówić: Cordelio? „Panno Grant” to brzmi dosyć formalnie, a będziemy przecież widywać się bardzo często.

– Ależ oczywiście... Eileen.

– Więc to już ustalone. Co mówiłam? Aha, o małej Mirandzie. Nikt nie ma wątpliwości, kto ją spłodził. To oczywiste. Sir Jason gardziłby sobą za ukrywanie jakiegokolwiek swojego działania, uznałby to za słabość. Tu w okolicy on stanowi prawo. Plotka głosi, że miał jedno dziecko, a może mieć ich więcej. Kto wie, następny może to być ten tak bardzo upragniony chłopiec. Dekoracje są rozstawione. I co się dzieje? Umiera lady Verringer.

– To brzmi diabolicznie. W jaki sposób umarła?

– Mówi się, że przyczyną było przedawkowanie opium. Miała bóle i zawsze to lekarstwo brała. Oto i cała historia. Ty zjawiłaś się na zakończenie aktu, żeby usłyszeć dzwony pogrzebowe, żegnające odchodzącą bohaterkę. Teraz kurtyna znowu się

uniesie... i co zobaczymy?

– W twoich ustach to brzmi jak melodramat.

– Mówię prawdę, Cordelio. Co ci powiedziałam? Gdzie tylko pojawia się ten mężczyzna, tam rozgrywa się melodramat. Teraz już zaznajomiłam cię z naszym największym skandalem, a co ważniejsze, wypijaś już jabłecznik. Czas na nas.

Zapłaciłyśmy za jabłecznik, pogratulowałyśmy właścicielowi jego wyrobu i wyszłyśmy w słońce dnia.

* * *

Zgodnie z zapowiedzią Daisy, w czasie weekendu zaczęły nadjeżdżać nauczycielki.

Przyjechała panna Evans, która uczyła geografii; panna Barston, specjalizująca się w robótkach ręcznych, ze szczególnym uwzględnieniem haftowania, panna Parker, przeprowadzająca z dziewczętami ćwiczenia gimnastyczne. Matematyki uczył mężczyzna, James Fairley, który tak jak panowie uczący tańca, jazdy konnej i muzyki, nie mieszkał na terenie szkoły. Daisy uważała, że nie byłoby w dobrym tonie, aby mężczyźni mieszkali pod jednym dachem z dziewczętami. Była pewna, że rodzicom by się to nie podobało.

Eileen skomentowała:

– Tak jakby nie mogli użyć sobie tylko znanych sposobów, bez spania pod klasztornym dachem. Ale liczy się tylko to, co widać z wierzchu.

Wszystkie nauczycielki wydawały się miłe i byłam pewna, że moje stosunki z nimi ułożą się pomyślnie.

Z wielką niecierpliwością natomiast oczekiwałam pojawienia się dziewcząt.

Zaczęły przyjeżdżać w poniedziałek. Wiele z nich porannym pociągiem, reszta popołudniowym. Atmosfera tego miejsca zmieniła się natychmiast. Opactwo stało się szkołą. Rozbrzmiewały podekscytowane głosy, przyjaciółki witały się, opowiadano pełnymi emocjami słowami o wakacyjnych zdarzeniach.

W poniedziałek o siódmej wieczorem wszystkie zebrały się w holu, który kiedyś był izbą chorych braci świeckich na, jak to Daisy określiła: apel. Z ciekawością przypatrywałam się zgromadzonym dziewczętom. Najstarsze z nich musiały mieć osiemnaście, a najmłodsze czternaście lat. Czułam się trochę niepewnie ze względu na mój młody wiek raczej niż na brak doświadczenia. Zastanawiałam się, co powiedzą niektóre z tych młodych kobiet w chwili, kiedy będą pouczane przez kogoś niewiele starszego od nich samych.

Byłam zdecydowana za wszelką cenę zachować dystans i dyscyplinę. Z moich doświadczeń w Schaffenbrucken wiedziałam, że kiedy raz coś w tej materii zawiedzie, mogą pojawić się problemy.

Na końcu holu było podwyższenie, na którym zasiadła panna Hetherington w otoczeniu swego personelu. Wygłosiła krótką mowę do dziewcząt, powitała je u progu, jak miała nadzieję, produktywnego semestru.

– Chciałabym też powitać w naszych szeregach pannę Grant. Ogromnie nam miło, że jest z nami, i jestem pewna, że odniesiecie olbrzymią korzyść z tego, czego was nauczy. Ona sama wróciła niedawno ze Szwajcarii, z Schaffenbrucken, o którym to miejscu wszystkie słyście.

Zauważyłam, że jedna z dziewcząt zaszepotała do drugiej, przysłaniając usta dłonią, na co tamta odpowiedziała stłumionym śmiechem. Szepotała wysoka dziewczyna o włosach w kolorze piasku, splecionych w warkocz i upiętych wokół głowy. Wyczuwałam w niej coś

agresywnego. Zdawałam sobie sprawę z tego, że jeśli pojawi się ona kiedykolwiek w bezpośredniej bliskości mnie, mogę być zmuszona do starcia z nią.

– A teraz, dziewczęta – ciągnęła Daisy – udamy się na kolację i potem spokojnie rozejdziecie się do swoich pokoi. Wiele z was zajmuje te pokoje, w których mieszkaliście w ubiegłym roku, ale są też pewne zmiany. Zorientujecie się w tym z ogłoszenia na tablicy. Możecie się rozejść.

Jadłyśmy razem. Nauczycielki przy jednym stole, dziewczęta przy drugim. Panna Parker odmówiła modlitwę dziękczynną: zorientowałam się, że jest to nauczycielka odpowiedzialna za sprawy religijne.

Po kolacji poszłyśmy do swoich pokoi. Byłam z tego zadowolona. Chciałam zaznajomić się z dziewczętami powierzonymi mojej pieczy.

Zauważyłam, że nie było wśród nich dziewcząt Verringerów, i przypomniałam sobie, że miały wrócić we wtorek. Wiedziałam, że wszystkie już obecne były w swoich pokojach i nasłuchiwały. Pomyślałam, że to dobra okazja, żeby zajrzeć do nich i z każdą chwilę porozmawiać. Przypomniałam sobie, co mówiła o nich Daisy. Znałam oczywiście Teresę Hurst i wiedziałam, że mieszka z Caroline Sangton. Nie oczekiwałam kłopotów ze strony Teresy. Od czasu naszego pierwszego zetknięcia zostałyśmy przyjaciółkami i wiedziałam już, że mnie lubi. Opowiedziała mi nawet trochę o dziewczętach z mojej sekcji. Caroline Sangton była córką handlowca i reszta, pod wodzą Charlotty Mackay, patrzyła na nią z góry, ponieważ usłyszały gdzieś, że zajmowanie się „handlem” to coś degradującego. Caroline odznaczała się najwyraźniej stoickim spokojem i niewiele przejmowała się tym, co inne o niej myślały. I ona, i Teresa rozumiały się bardzo dobrze, chociaż nie nawiązała się między nimi wielka przyjaźń.

Większość dziewcząt szalała na punkcie koni i niecierpliwie czekały na lekcje jazdy, specjalnie Charlotta Mackay, która była najlepszą amazonką. Teresa nic nie mówiła, ale wywnioskowałam, że nie była zbyt zwolenniczką koni i bała się ich trochę.

Poszłam najpierw do Teresy, która przedstawiła mi Caroline. Była dumna, że już mnie знаła. Miło mi było widzieć, że czuła się przy mnie zrelaksowana. Jeśli wszystkie dziewczęta można byłoby zrozumieć tak łatwo jak Teresę, moje zadanie nie byłoby trudne.

– Cieszymy się, że pani tu jest, panno Grant – powiedziała Caroline. – Teresa opowiadała mi o pani, a mój tata jest zadowolony, że będziemy miały szkolenia w zakresie życia towarzyskiego.

– Jestem pewna, że wiele z tego wyniesiesz, Caroline – powiedziałam swoim najlepszym nauczycielskim tonem. – Proszę, abyście utrzymywały porządek w swoim pokoju i żadnych rozmów po zgaszeniu świateł. Już wyjaśniałam to Teresie.

– Oczywiście, panno Grant.

– W takim razie, dobranoc, Caroline, Tereso. Na pewno cieszysz się, że twoja współlokatorka jest już z tobą.

– Tak, panno Grant – powiedziała Teresa, uśmiechając się nieśmiało.

Wiedziałam, że w Teresie mam sprzymierzeńca.

Następne spotkanie nie upłynęło już w tak harmonijnej atmosferze. Byłam niemile zaskoczona, kiedy stwierdziłam, że szepcząca dziewczyna była jedną z moich podopiecznych. Co gorsza, była to szlachetnie urodzona Charlotta Mackay, wysoka, raczej niezręczna, chociaż mogąca wyrosnąć na pełną gracji kobietę. Miała włosy koloru piaskowego, dużą liczbę piegów i ledwo widoczne brwi i rzęsy. Jej towarzyszką była Patrycja Cartwright, córka bankiera. Patrycja była niewysoka i ciemnowłosa.

Zrozumiałam, że w pojedynkę nie sprawiałaby kłopotów, ale może być bardzo podatna na wpływ Charlotty Mackay.

Żadna z dziewcząt nie leżała jeszcze w łóżku. Patrycja Cartwright siedziała przy toalecie i szczotkowała włosy. Charlotta Mackay, całkowicie ubrana, leżała na łóżku.

Nie wstała, kiedy weszłam, chociaż Patrycja, zawstydzona, zrobiła to.

– Witam – powiedziałam. – Charlotta Mackay i Patrycja Cartwright. Chciałam zajrzeć do was wszystkich, zanim położycie się spać. Jestem pewna, że dojdziemy do porozumienia, jeśli będziecie utrzymywać porządek w swoich pokojach i pamiętać, że po zgaszeniu świateł obowiązuje zakaz rozmawiania.

– Mademoiselle nigdy się na nas nie skarżyła – powiedziała Charlotta Mackay. Najwyraźniej, to mademoiselle Dupont zajmowała mój pokój w ubiegłym semestrze.

– W takim razie jestem pewna, że ja też nie będę miała do tego powodów.

Charlotta i Patrycja wymieniły ukradkowe spojrzenia. Irytowało mnie to, ponieważ miałam wrażenie, że konspirują przeciwko mnie.

– Dobranoc – powiedziałam zdecydowanie.

– Och, panno... – zaczęła Charlotta.

Zdawałam sobie sprawę, że powinnam jej powiedzieć, żeby wstała, zwracając się do mnie, nie byłam jednak pewna, czy naleganie na to na tym etapie byłoby rozsądnym krokiem. Ostatnie, z czym mogłam się zdradzić, to niepewność. Nie chciałam jednak od razu na początku deklorować wojny dziewczętom, których zachowanie zdradzało ich agresywne nastawienie w stosunku do starszych.

– Tak, Charlotta?

– W poprzednim semestrze mieszkałam z Eugenią Verringer.

– Ach tak. W tym semestrze ona mieszka ze swoją siostrą.

– Chciałyśmy być razem. Planowałyśmy to.

– Jestem pewna, że będzie ci się bardzo dobrze mieszkać z Patrycją.

– Patrycja mieszkała z Fioną.

– No cóż, tym razem będzie trochę inaczej.

– Panno Grant, ja chcę być z Eugenią, a Patrycja chce być z Fioną.

Przenosiłam wzrok z jednej na drugą. Patrycja nie patrzyła mi w oczy i wiedziałam, że została wmanewrowana w to wszystko przez Charlotte Mackay.

– Nie widzę żadnego powodu, dla którego miałyby to być zmienione – ciągnęła Charlotta.

– Bez wątplenia panna Hetherington go widzi.

– To pani jest odpowiedzialna za nas, panno Grant. To pani powinna zdecydować. To nie ma nic wspólnego z panną Hetherington.

Byłam zdenerwowana. Wiedziałam, że atakowała mnie w taki sposób, jak to robią niektórzy młodzi ludzie, kiedy sądzą, że mają przed sobą kogoś słabego. Rozumiałam, dlaczego Teresa czuła się tak nieswojo, kiedy mówiła o Charlotte. Nie miałam wątpliwości, że Charlotta wykonywała działania zaczepne, a ja nie miałam zamiaru pozwolić na zaczepianie mnie, kiedy to ja dowodziłam.

– Byłabyś uprzejma wstać lub usiąść porządnie, kiedy zwracasz się do mnie? To niegrzeczne rozkładać się w ten sposób na łóżku.

– W Schaffenbrucken tak nie robią – powiedziała Charlotta, uśmiechając się przebiegle.

Podeszłam do niej, chwyciłam ją za ramię i zmusiłam, żeby usiadła. Tak ją tym zaskoczyłam, że zrobiła to.

– A teraz – powiedziałam – chciałabym, żebyś coś zrozumiała. Jeśli będziesz się zachowywać poprawnie, zrozumiemy się i staniesz się w końcu młodą damą. Będziesz mieszkać w pokoju, który wyznaczyła ci panna Hetherington, jeśli jej życzeniem nie będzie, aby to zmienić. Zrozumiałaś? Dobranoc i pamiętajcie, żadnych rozmów po zgaszeniu świateł.

Z uczuciem, że wygrałam pierwszą potyczkę, wkroczyłam do pokoju zajmowanego przez Gwendolinę Grey i Jane Everton. Siedziały w łóżkach i najwyraźniej nasłuchiwały. Oczy miały okrągłe ze zdziwienia.

– Gwendolino, Jane – powiedziałam. – Powiedzcie mi, która jest którą. Aha, już wiem. Zaglądam do was, żeby się zapoznać, ponieważ będziemy razem w tym semestrze. Jestem pewna, że wszystko ułoży się pomyślnie, jeśli zapamiętacie podstawowe zasady. No cóż, dobranoc, dziewczęta.

– Dobranoc, panno Grant – odpowiedziały.

Miłe dziewczynki. Obydwie, pomyślałam, ale w dalszym ciągu czułam się nieswojo po starciu ze szlachetnie urodzoną Charlottą.

Poszłam do swojego pokoju i położyłam się do łóżka. Była dziewiąta, godzina wyznaczona przez pannę Hetherington jako czas gaszenia świateł.

Leżałam i czekałam. Właściwie spodziewałam się, że usłyszę głosy z pokoju Charlotty. Ku mojemu zdziwieniu, panowała cisza; jednak pomyślałam: wojna nie jest jeszcze wygrana.

* * *

Następnego poranka przyjechały dziewczęta Verringerów. Panna Hetherington przysłała po mnie, abym poznała je u niej w gabinecie. Uznałam to za nierozsądne i byłam zaskoczona, że Daisy to zrobiła. Dziewczęta musiały z tego powodu poczuć się specjalnie wyróżnione.

– Panno Grant – powiedziała Daisy, kiedy weszłam – oto Fiona i Eugenia Verringer. Właśnie przyjechały.

Fiona podeszła do mnie i wzięła mnie za rękę. Była wysoką, piękną dziewczyną o złotych włosach i orzechowych oczach; miała ujmujący uśmiech i polubiłam ją. Zaskoczyło mnie to, gdyż po kimś związanym z Jasonem Verringerem oczekiwałam wszystkiego, co najgorsze.

– Dzień dobry, panno Grant – powiedziała Fiona.

– Dzień dobry – odparłam. – Cieszę się, że w końcu cię poznałam, Fiono.

– A to Eugenia – dodała Daisy.

Poczułam się zaalarmowana. Była tak podobna do niego. Miała bardzo ciemne włosy i duże, pełne życia brązowe oczy. Oliwkowa cera nadawała jej gładkość młodości. Pociągła twarz przypominała młodego żrebaka. Było w niej coś buntowniczego, emanowało to z jej ciemnych, sprężystych włosów, szeroko rozstawionych oczu i zdecydowanie zarysowanego podbródka. Mogła uchodzić raczej za jego córkę niż bratanicę.

– Dzień dobry, Eugenio – powiedziałam.

– Dzień dobry, panno Grant.

Obydwie ubrane były na czarno. Fiona wyglądała dobrze z jej jasnymi włosami, natomiast dla Eugenie bardziej odpowiednie byłyby żywe kolory.

– Dołączają do nas później – wyjaśniła Daisy – ze względu na smutne wydarzenie,

które miało miejsce we Dworze.

– Wiem o tym – zwróciłam się do obu dziewcząt. – Jest mi bardzo przykro.

– Nie ma powodu, żeby wyrażać żal, panno Grant – powiedziała Eugenia. – To było, jak to się mówi, szczęśliwe wyzwolenie się.

– Śmierć zawsze niesie ze sobą żal – odparłam.

Daisy skrzywiła się z dezaprobatą. Nie lubiła, jeśli rozmowa stawała się zbyt mało konwencjonalna.

– No cóż, moje drogie – powiedziała – możecie iść do swego pokoju. Mamy w tym semestrze pewne zmiany. Mieszkacie razem.

– Razem! – wykrzyknęła Eugenia. – Ostatnio mieszkałam z Charlottą Mackay.

– Wiem. W tym semestrze mieszkasz z Fioną.

– Panno Hetherington, ja nie chcę mieszkać z Fioną.

– Ależ moja droga, to niezbyt grzeczne z twojej strony, prawda?

Fiona była trochę zdezorientowana, ale Eugenia ciągnęła dalej:

– Proszę, panno Hetherington! Charlottą i ja tak dobrze się rozumiemy.

– Wszystko zostało już ustalone, moja droga – powiedziała chłodno Daisy, a w jej oczach zabłysło coś, co powinno być dla Eugenii bardzo zrozumiałe. Ona jednak była nieustraszona i nie bała się wyrazić swojej opinii:

– No cóż, tu chyba nie obowiązują prawa Macedończyków i Persów?

Daisy uśmiechnęła się bardzo chłodno.

– Widzę, że uważasz na lekcjach panny Parker. Będzie z tego zadowolona. Ty jednak zamieszkaż w tym semestrze z siostrą. A teraz idźcie do swojego pokoju, a panna Grant zostanie tu jeszcze ze mną, ponieważ mam jej coś do powiedzenia.

Dziewczęta wyszły, a ja pomyślałam: tak należy traktować pannę Eugenię. Daisy zwyciężyła.

Kiedy drzwi za nimi zamknęły się, Daisy spojrzała na mnie, unosząc brwi.

– Z Eugenią zawsze są problemy – powiedziała. – Fiona to takie dobre dziecko. Eugenię i Charlotte Mackay musisz trzymać krótko. Miałaś jakieś kłopoty wczoraj wieczorem?

– Niewielkie. Charlotta była dosyć agresywna.

– Wszyscy Mackayowie są tacy. Są szlachcicami od dwóch pokoleń. Ta rodzina właściwie jeszcze nie przyzwyczaiła się, że są członkami najwyższej warstwy, i na każdym kroku muszą przypominać o tym ludziom. Należałoby oczekiwać, że teraz już przywykli do tego. Co się stało?

– Chodziło o tę sprawę wspólnego mieszkania z Eugenią Verringer.

– Obydwie sprawiają kłopoty. Ostatnio, kiedy mieszkały razem, mademoiselle nie była w stanie utrzymać spokoju. To dlatego odebrałam jej tę sekcję.

– I dała ją pani mnie... nowicjuszce!

– Sądziłam, że ty, po swoim szkoleniu w Schaffenbrucken, dasz sobie z nimi radę.

– To tłumaczy wiele.

– Oczywiście. To z tego powodu znalazłaś się tu. Jestem przekonana, że ty będziesz wiedziała, jak sobie poradzić z tymi nieprzewidywalnymi dziewczętami. Mademoiselle była beznadziejna. Zawsze taka jest, jeśli chodzi o zachowanie dyscypliny. W czasie jej lekcji panuje kompletny rozgardiasz. Ona jest śliczną, łagodną istotą i dziewczęta bardzo ją lubią. Nigdy nie pozwoliłyby, żeby te sprawiające kłopoty wystąpiły zbyt otwarcie przeciwko mademoiselle. Należy zacząć trzymać krótko pannę Eugenię i Charlotte. To konieczne. Niech zobaczą, że całkowicie jesteś panią sytuacji, a ujarzmisz je. Tak

naprawdę, są jak zwierzątka: wiadomo, jak powinno się je tresować. Niestety, Eugenia należy do rodu Verringerów, a jak wiesz, wszystko jest ich własnością. To i tytuł ojca Charlotty sprawia, że mamy do czynienia z dwiema upartymi rebeliantkami. Ty sobie z nimi poradzisz. Bądź nieugiętą i nigdy nie pozwól, żeby były górą.

– Czy mam pani zezwolenie na podjęcie wszelkich koniecznych działań?

– Tak, rób wszystko to, co zrobiono by w Schaffenbrucken.

– Nie przypominam sobie stamtąd żadnych tego typu sytuacji. Tamtejsze dziewczęta nie ekscytowały się szaleńczo tytułami czy posiadłościami ziemskimi. Większość z nich pochodziła z rodzin mających to wszystko od wielu pokoleń, tak że nie było to niczym nadzwyczajnym.

Daisy skrzywiła się lekko i powiedziała:

– Oczywiście, oczywiście. Rób to, co uznasz za stosowne.

– Dobrze. Będę działać zdecydowanie i wymagać przestrzegania dyscypliny.

– Wspaniale – powiedziała Daisy.

* * *

W pokoju dziennym, który zgodnie z życzeniem Daisy nazywany był kalefaktorium, a w którym cały personel zbierał się przed wieczornym posiłkiem, wszyscy przyjęli mnie mile i powiedzieli mi, jakie procedury obowiązywały na terenie szkoły.

Eileen wyjaśniła mi zdecydowanie Daisy, byśmy nigdy nie zapominały o tym, że znajdujemy się na terenie opactwa i że to dlatego mamy kalefaktorium zamiast pokoju dziennego.

– Możesz, jeśli chcesz, używać określenia „kalefaktorium”. Obydwa terminy są dopuszczalne. Jest to pomieszczenie, którego mnisi używali, kiedy chcieli się trochę ogrzać. Biedacy, musieli marznąć przez większość czasu. Pod tym pomieszczeniem przechodziły przewody kominowe, które dawały trochę ciepła... Możesz sobie wyobrazić ich wszystkich spieszących tutaj, kiedy tylko mieli kilka wolnych chwil, tak samo jak robimy to i my. Widzisz więc, że historia lubi się powtarzać.

– Zapamiętam to sobie – powiedziałam.

Ponieważ inni rozmawiali o lekcjach i wychowankach, miałam okazję zamienić kilka słów z mademoiselle Dupont.

– Ach! – wykrzyknęła, wyrzucając ramiona w górę. – Co za szczęście, że nie muszę już być z tymi okropnymi dziewczętami. Charlotta Mackay... Eugenia Verringer... rozmawiają... śmieją się... a podejrzewam, że urządzają u siebie w pokoju uczy. Inne przychodzą tam. Słyszałam, jak się śmiały i szeptały... a ja naciągałam kołdrę na uszy, żeby ich nie słyszeć.

– Chce pani powiedzieć, że pozwalała im pani na to!

– Ach, panno Grant, to jedyne wyjście. Charlotta... to ona narzuca swoją wolę... a Eugenia to druga taka.

– Jeśli pozwoliłoby się, żeby to kontynuowały, opanowałyby całą sekcję.

– Tak to było – powiedziała ze smutkiem mademoiselle.

Wyraz jej twarzy sugerował, że współczuła mi, ale nie potrafiła ukryć radości z tego powodu, że jej udało się tego uniknąć.

Czułam się nieswojo, ale jednocześnie nie odmówiłam sobie lekkiego dreszczyku emocji, jaki poczułam. Zdaje się, że lubiłam wyzwania. Ciotka Patty zawsze twierdziła, że tak jest, ale przy niej i Violet nigdy nie miałam okazji zmierzyć się z czymś takim. Jednak

raz czy dwa mój bojowy duch objawił się.

– Zdecydowana chęć wygrania to dobry sprzymierzeniec, pod warunkiem, że jest używana wtedy, kiedy to konieczne – mawiała ciotka Patty. – Nie zapominaj jednak, że tacy sprzymierzeńcy mogą stać się wrogami. Tak dzieje się na przykład z ogniem.

Pamiętałam jej opinię. A tym dziewczętom miałam zamiar dać szkołę, inną niż nauki zdobywane w czasie lekcji.

Schemat był ten sam: wspólne zbieranie się, modlitwa, kolacja, a potem hasło do rozejścia się. Z kolei następował szum w łazienkach, rozejście się do pokojów i gaszenie światła.

Zdecydowałam, że regułą staną się moje wizyty u dziewcząt na zakończenie dnia, życzenie im dobrej nocy i upewnienie się, że wszystkie znajdują się tam, gdzie być powinny, i są gotowe do snu.

Kiedy weszłam do pokoju Teresy, wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Wyglądała na nieszczęśliwą i zorientowałam się, że ja jestem tego przyczyną. Caroline leżała w łóżku i miała bardzo niepewną minę. Powiedziałam im dobranoc.

Gwendolina Grey i Jane Everton też były w łóżkach, ale chociaż leżały spokojnie, prawie niewinnie, wyczuwało się w nich aurę oczekiwania.

Poszłam do pokoju Charlotty, gdzie spodziewałam się kłopotów. I nie myliłam się! W jednym z łóżek leżała Charlotta, w drugim Eugenia.

Głosem, który było dobrze słyszeć w pozostałych pokojach, powiedziałam:

– Eugenio, natychmiast wstań z tego łóżka i idź do swojego.

Eugenia energicznie usiadła na łóżku. Zdawałam sobie sprawę ze złości, jaka czała się w jej oczach.

– To jest moje łóżko, panno Grant. To było moje łóżko w ubiegłym semestrze.

– Ale nie w tym – powiedziałam. – Wstań natychmiast.

Charlotta wpatrywała się w nią, sugerując rebelię.

– Gdzie jest Patrycja? – zapytałam. Zajrzałam do sąsiedniego pokoju. Leżała w jednym łóżku, a Fiona w drugim. Obydwie były zaniepokojone.

Powiedziałam:

– Wstawaj z tego łóżka, Patrycjo. Zrobiła to natychmiast.

– Załóż kapcie i szlafrok.

Posłuchała niepewnie. Poszłam razem z nią do sąsiedniego pokoju.

– A teraz, Eugenio, wstań z łóżka Patrycji i wróć do swojego.

– Mademoiselle... – zaczęła Charlotta.

– Mademoiselle nie ma tu nic do powiedzenia. Ona nie jest już za was odpowiedzialna. Ja natomiast jestem i będziecie mnie słuchać.

– Tak naprawdę, pani sama nie jest jeszcze dorosła.

– Nie bądź arogancka. Słyszałaś, co do ciebie mówiłam, Eugenio?

Spojrzała na Charlotte i nie patrząc mi w oczy, powiedziała niewyraźnie:

– Nie pójdę.

Miałam ochotę wyciągnąć ją stamtąd siłą. Jeśli Charlotta ruszyłaby jej na pomoc, obydwie mogły mnie pokonać; w żadnym razie przemoc nie wchodziła w grę.

Przypomniałam sobie coś, o czym powiedziała mi Teresa. One uwielbiały konną jazdę, szczególnie Charlotta.

– Sądzę, że pójdiesz – powiedziałam. – Od tej chwili zaczynam odliczać i im dłużej zostaniesz w tym łóżku, tym dłuższa będzie twoja kara. W tym semestrze przerabiamy „Makbeta” i za każdą minutę pozostawania w łóżku będziecie musiały nauczyć się

odpowiedniej liczby linijek tekstu tej sztuki. Odbywanie tej kary będzie miało miejsce w czasie lekcji konnej jazdy i żadna z nieposłusznych dziewcząt nie będzie brała w nich udziału.

Charlotta usiadła gwałtownie w łóżku.

– Pani nie może tego zrobić – powiedziała.

– Zapewniam cię, że mogę.

– Panna Hetherington...

– Panna Hetherington upoważniła mnie do przedsięwzięcia wszelkich środków, jakie uznam za konieczne. Zaczynam odliczanie. Jeśli nie wstaniecie natychmiast, oboje rozpoczniecie odbywanie kary jutro w czasie lekcji konnej jazdy.

To była poważna sprawa. Czułam narastające napięcie. Teraz musiałam działać zdecydowanie albo mogłam przegrać batalię. Zastanawiałam się, co Daisy powie na ograniczenie trwania lekcji, za które rodzice zapłacili sówicie.

Stałam i patrzyłam na nie.

Miłość Charlotty do koni sprawiła, że odniosłam zwycięstwo.

Spojrzała smętnie na Eugenię i powiedziała:

– Chyba będziesz musiała iść... na razie...

Eugenia wstała z łóżka. Ograniczenie czasu jazdy konnej byłoby dla niej taką samą tragedią jak dla Charlotty.

Kiedy przechodziła koło mnie, powiedziałam:

– Na razie... i przez cały semestr, jeśli chcesz korzystać z jazdy konnej. A teraz, Patrycjo, połóż się do łóżka i żebym nie słyszała więcej rozmów. Dobranoc, dziewczęta.

W sąsiednim pokoju Eugenia leżała z twarzą zwróconą do ściany, a Fiona, mówiąc dobranoc, rzuciła mi przepaszające spojrzenie.

Poszłam do swojego pokoju. Odniosłam zwycięstwo, ale cała drżałam.

Marcia

Byłam zaskoczona, że zwyciężyłam tak łatwo, ale nigdy w czasie wieczornego obchodu nie miałam już tego typu problemów. Dziewczęta leżały w swoich łózkach i pomimo że Charlotta ignorowała mnie, a Eugenia była trochę obrażona, pozostałe były bardzo sympatyczne. Teresa pozostała mi całkowicie oddana. To było jasne.

Wiedziałam, że Charlotta naśmiewała się z niej. Mówiła, że Teresa podlizuje mi się. Eugenia jasno dawała jej do zrozumienia, że nią gardzi, ale co dziwne, Teresa, być może dzięki temu, że miała moje poparcie, dzielnie stawiała temu czoło i wydawało się, że radzi sobie z ich zaczepkami.

Lekcje były dla mnie wytchnieniem. Uczylałam przedmiotu bardzo bliskiego memu sercu: literatury angielskiej. Z wielkim zainteresowaniem czytałam moją ulubioną Jane Austen czy sztuki Szekspira, poświęcając im teraz o wiele więcej uwagi niż kiedyś. Czytałam je razem z dziewczętami, analizując je, doszukując się ukrytych znaczeń. Miałam cztery takie lekcje w tygodniu i obejmowałam nimi w pewnym momencie wszystkie dziewczęta ze szkoły równocześnie. Oznaczało to, że Charlotta i Eugenia uczestniczyły w dwóch takich zajęciach. Charlotta absolutnie nie chciała współpracować, a Eugenia, młodsza o rok czy dwa, była pod jej wielkim wpływem i próbowała zachowywać się tak samo. Zauważyłam jednak z rozbawieniem że naprawdę lubiła literaturę i nie udawało jej się całkowicie ukryć zainteresowania nią. Teresa była na posterunku starając się ze wszystkich sił zadowolić mnie. Czerpałam z tego naprawdę wiele satysfakcji.

Według mnie, mniejsze sukcesy odnosiłam w zajęciach z zakresu życia towarzyskiego. Dyskutowaliśmy na wiele różnorodnych tematów, a dziewczęta miały się też nauczyć, jak chodzić z gracją i zachowywać się w ten sam sposób, jak tego uczono mnie w Schaffenbrucken. Wszystko to było raczej zabawne.

Spotkania w kalefaktorium były także bardzo przyjemne. Czasami zjawiała się tam też Daisy. Oczywiście byłyśmy bardziej swobodne, kiedy jej nie było. Dowiedziałam się, że szlachetnie urodzona Charlotta, jak ją ironicznie nazywano, była postrzegana jako uniwersalna *bete noire*.

– To kłoda rzucona nam pod nogi – mawiała panna Parker, która chlubiła się tym, że mówi, co myśli. – Z wielką przyjemnością zobaczyłabym szlachetną Charlotte w tej roli.

Teresę określały jako szarą myszkę: głupią, nieśmiałą dziewczuszkę. Broniałam jej i podkreślałam, że przyczyną mogła być jej przeszłość.

Zdaniem panny Parker Eugenia była przerażająca.

– Pochodzi z Verringerów, a to niemalże najgorsza łatka, jaką można komuś przyczepić. Jednak Fiona to miła i sympatyczna osobka.

Matt Greenway, nauczyciel konnej jazdy, który był wtedy obecny, powiedział, że trudno uwierzyć, iż pochodzą z jednej „stajni”.

– Są zupełnie różne i z wyglądu, i z charakteru – dodała Eileen Eccles. – To zadziwiające. I mówi się o cechach dziedzicznych. Według mnie, czynnikiem decydującym jest wpływ otoczenia.

– One wychowywały się w tym samym otoczeniu – wytknęłam jej. – Obydwie wyrosły we Dworze.

– Mówią, że ich matka była delikatna i słaba. Fiona jest podobna raczej do niej. Jeśli chodzi o Eugenię, to ona ma w sobie coś diabelskiego tak jak wszyscy Verringerowie.

Lubiłam te ploteczki. Pomagały mi poznać dziewczęta, a był to niebagatelny atut

w kontaktach z nimi. Eileen Eccles być może bardziej niż inni interesowała się ludźmi i dostarczała mi wielu informacji.

– Zdaje się, że będziemy tego lata znowu mieli Teresę – oznajmiła. – Jej kuzyni napisali, że wyjeżdżają na kilka miesięcy.

– Biedna mała – powiedziałam. – Musi się tu nudzić sama przez całe lato.

– Trudno oczekiwać, żeby rodzice zabrali ją do Rodezji. Ledwo by dojechała, a już musiałyby ruszać w drogę powrotną. Żal mi tej dziewczyny.

Wiele myślałam o Teresie. Kiedy wychodziłam z lekcji, często kręciła się w pobliżu, żeby pomóc mi odnieść książki. Widziałam pogardliwe spojrzenia, jakie rzuciła jej Charlotta, ale wydawało się, że Teresa nie przejmuje się nimi, chociaż, jak rozumiałam, w przeszłości bała się Charlotty.

Usłyszałam też plotki na temat dziewcząt Verringerów.

– Eugenia – powiedziała mademoiselle, ze zgrozą wyrzucając w górę ręce – to niedobra dziewczyna.

Fraulein Kutcher była zdania, że Verringerównom okazuje się zbyt wiele względów. To je izoluje.

– Sądzę, że coś w tym jest – oświadczyła Eileen Eccles. Matt Greenway zauważył:

– Eugenia będzie prawdziwą amazonką.

Zabrzmiało to tak, jakby mogło to zrekompensować jej niepowodzenia w innych dziedzinach.

– One obydwie będą kiedyś bardzo bogate – powiedziała Eileen.

– Niedobrze dla nich, że wiedzą o tym – wtrąciła mademoiselle.

– Ale tak jest – obstawała przy swoim Eileen – i wydaje się, że pannie Eugenii uderzyło to do głowy.

– Jak bardzo są bogate? – zapytałam.

– Niewyobrażalnie – odparła Eileen ze śmiechem. – Słyszałam coś o tym, że wujek miałby ochotę położyć rękę na ich pieniądzach.

– Wujek? Masz na myśli sir Jasona?

– Owszem, moja droga, jeśli już musisz użyć jego pełnego tytułu.

– Czy on w takim razie nie jest bogaty?

– Jak Midas czy Krezus, jeśli wolisz. Ale rozumiesz, że czasami pieniądze tak działają na niektórych ludzi. Im więcej mają, tym więcej chcą. Pomnażają dobra od czasu, kiedy spadły na nich królewskie łaski i kiedy dostali ziemie Abbey. To samo dotyczy naszych dwóch dziedziczek. Kiedy dojdą do pełnoletności i wyjdą za mąż, majątek brata zostanie podzielony między nie. A gdyby Fiona zmarła, wszystko dostanie się Eugenii, gdyby zaś Eugenia odwiedziła to miejsce, z którego nie ma powrotu, wszystko zgarnie Fiona.

– No cóż – powiedziałam – zgadzam się, że nie jest dobrze, jeśli młodzi ludzie wiedzą, że są bogaci. Wydaje mi się jednak, że Fiona to bardzo miła i skromna dziewczyna.

– Wydaje ci się tak dlatego, że porównujesz je. Większość ludzi w porównaniu z Eugenią robiłaby wrażenie miłych i skromnych.

Zaśmialiśmy się wszyscy.

– Jestem przekonana, że Fiona jest taka – oświadczyłam.

Tak dni mijały w przyjemnym nastroju. Zorientowałam się, że mogę bez problemu robić to, czego oczekiwano po mnie. Daisy była usatysfakcjonowana moim wkładem w działalność szkoły. Nabrała przekonania, że moje zajęcia z dnia na dzień coraz bardziej przypominały Schaffenbrucken.

Bardzo lubiłam czas poświęcony na jazdę konną. Dziewczęta przejmowały entuzjazm Matta Greenwaya, tym bardziej że większość z nich wykazywała naturalną przyjemność, jaką zwykle młode dziewczęta znajdują w obcowaniu z końmi.

Zawsze, kiedy wybierałam się na przejażdżkę, oczekiwałam, że miło spędzimy czas. Nawet szlachetnie urodzoną Charlotte dało się tolerować, kiedy dosiadała konia. Wydawało się, że w końcu znalazła coś, na czym zależało jej bardziej niż na niej samej. Uwielbiała swojego konia, a Eugenia była niemalże taką samą fanatyczką swojego. Gdy byliśmy kiedyś w kalefaktorium, zwróciłam uwagę na to, jak bardzo szlachetnie urodzona Charlotta zmieniała się, kiedy znalazła się na grzbiecie konia. Zyskiwała wiele ludzkich cech.

Bardzo często dwie z nas wyjeżdżały z dziewczętami. Daisy uważała, że tak będzie lepiej, ponieważ wtedy ktoś pilnował przodu i tyłu grupy.

Były to miłe ćwiczenia i uczestniczyłam w nich, zdaje się, dwa razy w tygodniu, ponieważ dziewczęta jeździły codziennie. W końcu Daisy pozwoliła, abym jeździła, kiedy tylko będę miała ochotę, jeśli nie będzie to kolidowało z lekcjami konnej jazdy dziewcząt. Bardzo mi to odpowiadało.

Napisałam do ciotki Patty, że zaczynam się zadomawiać i że lubię swoją pracę. Miałam zamiar opowiedzieć jej wszystko, kiedy przyjadę do domu na wakacje.

* * *

Kiedy miałam wolną godzinę czy dwie między lekcjami, nabrałam zwyczaju siodłania konia i zwykle jeździłam, zwiedzając okolicę.

Lubiłam przechadzki, ale pieszo można było pokonać tylko niewielki dystans. Jeżdżenie dawało mi o wiele większe możliwości.

Kiedy spacerowałam w obrębie terenu opactwa, nigdy nie mogłam pozbyć się wrażenia, że wkraczam w przeszłość. Nawet w świetle dnia ta atmosfera przytłaczała mnie. Przyłapywałam się na tym, że wyobrażałam sobie, iż słyszę odgłos kroków podążających za mną po kamiennych podłogach. Pewnego razu myślałam, że dochodzą do mnie słowa odmawianej modlitwy. Wytłumaczyłam sobie, że musiało to być zawrodozenie wiatru. Bywało, że czułam nieodpartą chęć znalezienia się wśród tych ruin. W takich chwilach oczekiwałam, że naprawdę zobaczę materializację zjaw z przeszłości.

Eileen Eccles zrobiła kilka rysunków ruin i mówiła, że też ma takie odczucia. Na niektórych ze swoich rysunków umieściła ubrane na biało sylwetki.

– Po prostu w pewnym momencie zorientowałam się, że rysuję je tam – powiedziała.
– Miałam uczucie, jakby powinny się tam znaleźć.

Wydawało mi się to dziwne, ponieważ uważałam ją za nieskomplikowaną osobę.

Prawdą było jednak, że bez względu na to, jak bardzo mocno stąpało się po ziemi, przebywanie w bliskości takich zabytków wpływało na każdego.

Eileen bardzo często zabierała dziewczęta w czasie swoich lekcji do różnych części opactwa. Zwykłą rzeczą było natknięcie się na nie siedzące w jakimś miejscu z blokami rysunkowymi w dłoniach. Panna Hetherington chciała, aby dziewczęta umiały docenić otoczenie, w jakim się znalazły, ponieważ to ono sprawiało, że Akademia tak różniła się od innych szkół tego typu.

Tego dnia pierwsze zajęcia miałam dopiero o trzeciej trzydziści, a ponieważ popołudniowy posiłek skończył się o drugiej, zostało mi półtorej godziny na przejażdżkę.

Dzień był piękny. Sam środek czerwca i z trudnością mogłam uwierzyć, że już tak

długo jestem w szkole, choć rzeczywiście czułam się tak, jakbym znała to wszystko od bardzo dawna. O minionym tygodniu mogłam myśleć z satysfakcją. Powierzoną mi pracę wykonywałam bez zarzutu. Tak jak się spodziewałam, moje lekcje angielskiego odniosły sukces. Miałam dwie uczennice, które wykazywały ogromne zainteresowanie tym przedmiotem. Ku mojemu zdumieniu, jedną z nich była Eugenia Verringer. Szlachetnie urodzona Charlotta w dalszym ciągu starała się przysparzać mi problemów i zrażała mnie do siebie na sto sposobów: szeptała w czasie lekcji, podjudzała innych do nieposłuszeństwa, uprzykrzała życie Teresie Hurst. Prawdę mówiąc, była nieznośna i miała też innych popleczników, nie tylko Eugenię. To były jednak drobne nieprzyjemności i problemy nieuniknione dla kogoś, kto zajmuje się uczeniem. Nauczycielka czasem musi pogodzić się z tym, że jest celem ataków, zwłaszcza jeśli nie jest o wiele starsza niż jej uczennice.

Najwyraźniej w rozgrywce z Charlotta znalazłam właściwy sposób na utrzymanie się o kilka kroków w przodzie i byłam wdzięczna losowi, że miała takie zamiłowanie do koni. Uzbrajało mnie to w oręż przeciwko niej. Zawsze mogło jej się przydarzyć niezrobienie czegoś, co mogło pozbawić ją chwil spędzanych z ukochanymi końmi.

O tym myślałam, kiedy wyjeżdżałam tego czerwcowego popołudnia. Przypomniałam sobie też o tym, jak zgubiłam się w czasie swojej pierwszej wycieczki i że nie może się to już powtórzyć. Zawsze starałam się dobrze zapamiętać trasę, którą jechałam. Tym razem może się zdarzyć, że nie będzie nikogo, kto wskaże mi drogę powrotną. Oczywiście, nie twierdziłam, że sir Jason był mi wielką pomocą poprzednio. Teraz, kiedy sama poznałam już okolicę, potwierdziłam swoje podejrzenia, że prowadził mnie wtedy do miasta bardzo okrężną drogą.

Zastanawiałam się, dlaczego to zrobił. Wiedział, że spieszyłam się. Powodem była jego przekora? Fakt, że wiedział, iż zależało mi na szybkim powrocie? Chciał, żebym czuła się zagubiona i uzależniona od niego? Tak naprawdę, nie był miłym człowiekiem i miałam nadzieję, że nie będę musiała widywać go zbyt często. Żałowałam, że szkoła była tak blisko Dworu.

Wyjechałam daleko poza miasto drogą, której jeszcze nie znałam. Jadąc, zwracałam uwagę na charakterystyczne elementy krajobrazu, żeby łatwo trafić z powrotem. Minęłam drzewo z gałęziami zupełnie pozbawionymi liści, które stało wśród innych, całych pokrytych zielenią. Musiało być kiedyś uderzone piorunem lub uszkodzone w jakiś inny sposób. Było niestety martwe, ale jednak bardzo piękne! Co dziwne, wyglądało w pewnym sensie trochę upiornie, niesamowicie i groźnie nawet, z nagimi konarami uniesionymi ku niebu.

Był to bardzo przydatny drogowskaz.

Ruszyłam dalej aleją i dotarłam do domu. Wokół rosły wysokie wiązy, a kiedy spojrzałam w górę, dostrzegłam gniazda gawronów.

W moim umyśle zabłysło coś, co ktoś kiedyś powiedział. Słyszałam już o tym miejscu.

Przed sobą miałam dom: prosty, ale piękny. Zbudowano go najwyraźniej w czasach, kiedy w architekturze było wiele elegancji. Nieskomplikowany, z podłużnymi oknami umieszczonymi symetrycznie w bryle budynku. Brak ornamentów sprawiał, że drzwi z szybkami w kształcie półokręgów i doryckie wysmukłe kolumny prezentowały się szczególnie ładnie. Cały dom był wykończony kunsztownymi elementami mosiężnymi, które wyglądały jak koronka i stanowiły idealne obramowanie dla tej uroczej posesji.

Nie mogłam się powstrzymać, zatrzymałam się pełna podziwu. Kiedy już miałam zamiar odjechać, drzwi się otworzyły i wyszła przez nie kobieta. Trzymała za rączkę

dziecko.

– Dzień dobry – zawołała. – Dalej nie da się pojechać. To ślepa uliczka.

– Dziękuję bardzo – odparłam. – Poznawałam okolicę i zatrzymałam się zachwycona pani domem.

– Prezentuje się przyjemnie, prawda?

– Bardzo.

Podeszła do balustrady.

– Pani jest ze szkoły, prawda?

– Tak, skąd pani wie?

– Znam z widzenia większość osób stamtąd, ale pani jest nowa.

– Przyjechałam tu na początku semestru.

– W takim razie musi pani być panną Grant.

– Zgadza się.

– Wiele się słyszy w miejscu takim jak to – powiedziała. – Jak podoba się pani szkoła?

Teraz stała już tuż przy ogrodzeniu. Była uderzająco piękna. Miała liliową, muślinową suknię. Wysoka, smukła, nosiła się z niemalże wystudiowaną gracją. Obfite kasztanowe włosy upinała w kok. Oczy miała ogromne, jasnobrązowe, ocienione gęstymi rzęsami.

Dziecko obserwowało mnie z wielkim zainteresowaniem w bystrych oczach.

– To Miranda – powiedziała kobieta.

– Dzień dobry, Mirando – zagadnęłam dziecko.

Miranda w dalszym ciągu obserwowała mnie, nie mrugając nawet okiem.

– Miałaby pani ochotę wejść do środka? Oprowadzę panią po domu. Jest bardzo interesujący.

– Niestety, nie mam czasu. O trzeciej trzydzieści zaczynam lekcję.

– Może innym razem. Jestem Marcia Martindale.

Marcia Martindale! Kochanka sir Jasona. W takim razie to jego dziecko. Mimo woli poczułam niechęć. Miałam nadzieję, że nie zauważyła tego. Zrobiło mi się jej żal. To musi być bardzo nieprzyjemne znaleźć się w jej położeniu. Oczywiście, sama musiała doprowadzić do tego, ale w jakich okolicznościach się to stało? W tym momencie poczułam, że jeszcze bardziej nie lubię sir Jasona. Jakiego rodzaju człowiekiem trzeba być, żeby sprowadzić kochankę tak blisko swojego domu i nie zważając na nic, umieścić ją tam razem z ich dzieckiem? Usłyszałam siebie mówiącą:

– Dziękuję, może innym razem...

– Będzie mi bardzo miło gościć panią w „Gawroniej Przystani”.

Spojrzałam w górę na wysokie wiązy.

– Czy krakanie ptaków nie bardzo pani przeszkadza?

– Można się do tego przyzwyczaić. Bez nich brakowałoby czegoś.

– To piękny dom. Wygląda tak surowo... i tak bezosobowo, że sprawia wrażenie niemal nowoczesnego w porównaniu z opactwem czy Dworem w stylu Tudor.

– Jest bardzo wygodny i jestem z niego dumna.

– Chyba mieszka pani tu już bardzo długo?

– Nie. Przyjechałam tu na krótko przed urodzeniem Mirandy. Wie pani, że mieszkamy na terenie posiadłości Verringerów. Większość ziemi wokół należy do nich.

– Tak – potwierdziłam chłodno.

– Proszę przyjść jeszcze kiedyś. Tak chciałabym usłyszeć o szkole. Proszę przyjść, kiedy będzie pani miała więcej czasu. Chętnie poczęstuję filiżanką herbaty czy

szklaneczką czegoś innego... na co tylko będzie pani miała ochotę. Słyszałam, że świetnie pani sobie radzi w szkole.

– Gdzie pani to usłyszała?

– Słyszysz się to i owo... – Zwróciła się do dziecka: – Nie sądzę, Mirando, żebyśmy namówiły panią na wstąpienie do nas – powiedziała.

Miranda w dalszym ciągu obserwowała mnie bez ruchu.

– Ona przynajmniej wydaje się mną bardzo zainteresowana – zauważyłam.

– Miranda jest ciekawa wszystkiego wokół, a szczególnie ludzi. Proszę obiecać, że odwiedzi mnie pani. Tak lubię spotykać się z ludźmi, a tak mało mam po temu okazji.

– Dziękuję za zaproszenie. Chętnie skorzystam. Zaczekam, aż będę miała wolne popołudnie. Nie zdarza się to często, ale co jakiś czas...

– Proszę to zrobić.

– Do widzenia – powiedziałam.

Stała, machając mi ręką na pożegnanie i unosząc rączkę małej, żeby zrobiła to samo.

Szybko wyjechałam z alejki. Minęłam uschnięte drzewo w rozpaczy wyciągające do nieba swoje konary – tak to teraz odbierałam.

Jaka to miła kobieta! – pomyślałam. – Jest naprawdę piękna. Jak mogła się tak upodlić? Być jego kochanką... Urodzić jego dziecko... może w nadziei, że skoro się to stanie, ożeni się z nią, kiedy będzie wolny. No cóż, i teraz był wolny.

Moja niechęć do niego rosła z każdą minutą. Wiedziałam, że był arogancki. Czy to prawdopodobne, żeby był mordercą? Sprawia wrażenie, jakby był przekonany, że ma prawo wziąć wszystko, na co tylko ma ochotę, bez względu na to, się stanie z tymi, którzy staną mu na drodze.

Czułam się bardzo przybita, kiedy myślałam o tej kobiecie. Żałowałam, że moja wycieczka, która miała być relaksem, zawiodła mnie do „Gawroniej Przystani”.

* * *

Czerwiec właściwie już minął, a z końcem lipca rozpoczynaliśmy wakacje. Niecierpliwie czekałam na spotkanie z ciotką Patty. Ciekawa byłam, jak urządziła się w nowym domu. Oczywiście pisała do mnie często i wiedziałam wiele o jej nowych przyjaciółkach, o wybrykach i porażkach, które dla niej stawały się wspaniałymi przygodami.

Tego popołudnia miałam zabrać dziewczęta na przejażdżkę. Towarzyszyć miała mi panna Barston. Wolałabym, żeby była to Eileen Eccles lub panna Parker, ponieważ panna Barston nie jeździła najlepiej, a według mnie na koniu stawała się o wiele bardziej zdenerwowana niż kiedykolwiek.

Zdarzało się już, że wycofywała się z przejażdżek i nie byłam zaskoczona, kiedy tuż przed wyjazdem Daisy wezwała mnie do swojego gabinetu.

– Panna Barston mówi, że ma wiele do zrobienia, jeśli chce zdążyć z przygotowaniem pomocy naukowych na lekcje. Miała zamiar zrobić to dziś po południu. Żadna z pozostałych pań nie ma wolnej chwili.

– Nie szkodzi – powiedziałam. – Poradzę sobie. Zabieram starsze dziewczęta, a większość z nich dobrze jeździ.

Daisy odetchnęła z ulgą.

– Cieszę się, że jeździectwo jest jedną z twoich mocnych stron.

– Daje mi dużo zadowolenia – powiedziałam.

I tak oto doszło do tego, że zaplanowałyśmy to popołudnie tylko z jedną nauczycielką odpowiedzialną za grupę: ze mną.

Miałam pod opieką dziesięć dziewcząt. Wśród nich była też Teresa. Wiedziałam, że będzie się trzymała blisko mnie. Nie wyzbyła się całkowicie nerwowości, ale byłam, zdaje się, dla niej czymś w rodzaju talizmanu. Kiedy znajdowała się blisko mnie, traciła wiele z napięcia, mogącego się przemieścić na konia, a to mogło oznaczać problemy.

Charlotta, razem z dziewczętami Verringerów, była także w tej grupie.

Przemierzałyśmy alejki w zwartym szyku. Charlotta z Fioną i Eugenią pilnowały tyłów. Bałam się, że jeśli Charlotta znalazłaby się na przodzie, próbowałaby w jakiś sposób podkreślać swoją wyższość i wywołać problemy. Była absolutnie zdolna do sprawienia, żeby niektóre z dziewcząt, niemające takich umiejętności jak ona, podjęły niepotrzebne ryzyko. Przestrzegłam ją przed tym, używając jedynej groźby, jaka mogła w jej przypadku poskutkować: jeśli znajdzie jakiegokolwiek uchybienie w jej zachowaniu, nie będzie jeździła tak często, jak by chciała.

Teresa jechała obok mnie. Widać było, że nie czuje się zbyt pewnie, jak zwykle, kiedy dosiadała konia. Zrobiła jednak wielkie postępy. Z czasem na pewno pozbędzie się nerwowości.

Rozmawiałyśmy o drzewach i roślinach. To temat, który Teresę bardzo interesował i w którym była z pewnością bardzo dobra. Była zachwycona, kiedy mogła podawać mi nazwy roślin, o których nigdy nie słyszałam.

Daleko przed nami widziałam Dwór. Był to wyjątkowo imponujący dom, jak na budowlę w stylu Tudor. Wydawało się, że pochodził z dużo wcześniejszego okresu, ponieważ nie zbudowano go ze zwykłych dla tego stylu czerwonych cegieł, ale z szarych kamieni, tak jak opactwo. Większość kamieni pochodziła stamtąd, co nadawało mu niepowtarzalny charakter. Dostrzegałam szeroki, niski łuk budowli z wysokimi ośmiokątnymi wieżami na obu krańcach. Wiele spadzistych szczytów i wieżyczek przyciągało oko, a nad tym wszystkim dominował wysoki budynek Gate House.

Kiedy zbliżyliśmy się do niego, na drodze pojawił się nagle lekki powóz. Zaprzężony był w dwa wspaniałe siwe konie i posuwał się naprzód z niebezpieczną prędkością. Wydawało się, że jechał wprost na nas. Zawołałam do dziewcząt, żeby zwolniły i zjechały na pobocze.

Powóz był już blisko. Usłyszałam krzyk Teresy i zobaczyłam, jak jej koń ruszył do przodu. Wyskoczył tuż przed powozem, przeciął drogę i pogalopował w stronę Dworu.

Spięłam swojego konia i ruszyłam za nią.

– Nie bój się, Tereso – krzyknęłam.

Oczywiście nie usłyszała mnie.

Zrównałam się z nią w chwili, kiedy wyrzucona z siodła spadła na trawę przed Dworem. Zeskoczyłam z konia i podbiegłam do niej. Leżała bez ruchu i była bardzo blada.

– Tereso... – zawołałam. – Tereso...

Na szczęście otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Dziękowałam Bogu, że żyje.

Powóz był już blisko nas, a z siedzenia woźnicy zeskakiwał mężczyzna i biegł ku nam. Był to Jason Verringer. Uczuciem, które wtedy dominowało we mnie, była złość.

– A więc to pan – wykrzyknęłam. – Pan jest szalony... To dziecko...

Nie zwracał na mnie uwagi, tylko nachylił się nad Teresą.

– Koń zrzucił cię z siodła. Każdemu z nas zdarza się to od czasu do czasu. Jesteś cała? Zobaczmy, czy możesz wstać.

Teresa odsunęła się od niego.

– Panno Grant – szepnęła.

– Już dobrze, Tereso – powiedziałam. – Jestem tu i zajmę się tobą. Chyba nie jesteś poważnie ranna. Zobaczmy, czy możesz wstać.

Jason Verringer pomógł jej. Było pewne, że mogła wstać bez bólu.

– Wydaje się, że wszystkie kości są raczej całe – powiedział. – Wezwę lekarza, żeby zbadał ją natychmiast. Teraz wniosę cię do środka – zwrócił się do Teresy.

Spojrzała na mnie z przestraszeniem.

– Będę z tobą – powiedziałam. – Nie bój się, zostanę z tobą.

Wtedy uświadomiłam sobie, że jestem odpowiedzialna za całą grupę. Spojrzałam na dziewczęta siedzące na koniach. Obserwowały nas, przerażone tym, co się stało.

Mój koń spokojnie skubał trawę. Konia Teresy nie widziałam nigdzie w pobliżu.

Podeszłam do dziewcząt i powiedziałam:

– Widziałyście, co przytrafiło się Teresie. Wezwą do niej lekarza. Nie sądzę, żeby była poważnie ranna. Chciałabym, żebyście wróciły do szkoły i powiedziały pannie Hetherington, co się stało. – Spojrzałam na Charlotte i ciągnęłam dalej: – Charlotta, ty będziesz odpowiedzialna za wszystkich.

Jej policzki zaróżowiły się lekko. Zobaczyłam, jak zaskoczona uniosła głowę, a na jej twarzy pojawił się wyraz dumy.

– Jesteś dobrą amazonką i jeździsz najlepiej z nich wszystkich. Uważaj na nie. Pilnuj, żeby trzymały się ciebie. – Obrzuciłam wzrokiem całą grupę i upewniłam się, że wszystkie były obecne. – Doprowadź dziewczęta jak najszybciej do szkoły i powiedz pannie Hetherington, że Teresa jest we Dworze i że ja zostanę z nią, dopóki nie będzie mogła jechać z powrotem. Czy to jasne?

– Tak, panno Grant – odpowiedziała poważnie Charlotta.

– A teraz jedźcie. Jedźcie wszystkie za Charlotta i róbcie, co powie. Nie bójcie się, Teresa nie jest poważnie kontuzjowana.

Patrzyłam, jak odjeżdżają, po czym zwróciłam się w stronę Dworu.

Nagle mój strach przeszedł w gniew. To on to zrobił. To on przejechał bezmyślnie tak szybko i w tak szaleńczy sposób. Spłoszył konie i Teresa straciła panowanie nad swoim. A była pod moją opieką!

Weszłam spiesząco do Dworu. Nad drzwiami wejściowymi widniał ornament z ramion wykutych pieczołowicie w kamieniu. Znalazłam się w obszernym holu o wysokim sklepieniu. Ściany zdobiła broń, a nad kominkiem wykute było drzewo genealogiczne całego rodu. W pomieszczeniu tym znajdowało się kilka osób i wszyscy wyglądali na przestraszonych.

– Dziewczynka, panienko, jest w niebieskiej sypialni – powiedział mężczyzna, który najwyraźniej był w tym domostwie kimś, w swoim pojęciu ważnym, jak sądziłam kamerdynerem lub majordomusem. – Posłano już po lekarza, a sir Jason prosi, aby zechciała pani możliwie jak najszybciej pójść na górę. Służąca zaprowadzi panią.

Skinęłam głową i rzeźbionymi schodami poszłam za dziewczyną. Słupki balustrady tych schodów ozdobione były różami Tudorów i innymi motywami kwiatowymi.

Teresa leżała na łóżku w sypialni, w której zasłony były koloru niebieskiego, a cały pokój zawierał wiele elementów dekoracyjnych w tym samym odcieniu. Ulga, jaką poczuła na mój widok, łatwo dała się zauważyć.

Kiedy weszłam, Jason Verringer zwrócił się w moją stronę.

– Doktor powinien tu dotrzeć za pół godziny. Wie, że jest tu pilnie potrzebny. Jestem

przekonany, że nic jej nie jest, ale w takich wypadkach rozsądnie jest wezwać lekarza. Na pewno nie ma żadnych złamań. Mogła doznać niewielkiego szoku...

– Proszę tu zostać ze mną, panno Grant.

– Oczywiście.

– Panna Grant zostanie tak długo, jak ty tu będziesz – powiedział łagodnym głosem Jason Verringer i wydawało się, że brzmienie tego głosu zupełnie do niego nie pasuje.

Byłam na niego taka zła, że nie mogłam patrzeć w jego stronę. To była jego wina. Nie miał prawa jeździć wąskimi alejkami z taką prędkością.

Przyniósł krzesło, żebym mogła usiąść przy łóżku.

– Panno Grant – szepnęła Teresa. – Gdzie jest reszta dziewcząt?

– Wróciły do szkoły. Kazałam Charlotte je poprowadzić. Jeździ najlepiej. Da sobie radę.

– Ja nie chcę już jeździć... nigdy. Nigdy tego nie lubiłam. Tak się bałam.

– Teraz się tym nie martw. Po prostu leż spokojnie.

Weszła jedna ze służących. Powiedziała:

– To gorąca osłodzona herbata. Panna Keel mówi, że jest najlepsza w takiej sytuacji.

– Zaszкодzić nie może – dodał Jason Verringer.

– Możesz to wypić, Tereso? – zapytałam.

Zawahała się. Objęłam ją ramieniem i uniosłam lekko. Wypiła herbatę drobnymi łyżkami i policzki delikatnie jej się zaróżowiły.

Mijały minuty, a wydawało się, że mijają godziny do momentu, kiedy pojawił się lekarz.

– Lepiej, żeby pani tu była w czasie badania, panno Grant – powiedział Jason Verringer i wyszedł, zostawiając mnie z Teresą i doktorem.

Badanie wykazało, że Teresa jest bardzo potłuczona, ale kości ma całe. Miała szczęście. Przeżyła jednak wielki szok. Zauważyłam, jak bardzo drżały jej ręce.

– Proszę tu leżeć – powiedział doktor – a wkrótce wszystko będzie w porządku. Łóżko to najlepsze lekarstwo.

Wyszłam razem z nim z pokoju. Jason Verringer czekał w korytarzu.

– I cóż? – zapytał.

– Nic jej nie jest – stwierdził lekarz. – Przeżyła jednak wielki szok. To nerwowa dziewczynka, prawda?

– Tak – odparłam – jest nerwowa.

– Mogła mieć lekki wstrząs mózgu. Uważam, że to bardzo prawdopodobne. Nie powinna ruszać się z łóżka przez dzień czy dwa. W każdym razie na pewno nie dzisiaj.

– To żaden problem – powiedział Jason Verringer. – Może tu zostać.

– Byłoby to najbardziej rozsądne – potwierdził doktor, patrząc na mnie.

– Sądzę, że wolałaby znaleźć się w szkole – zauważyłam. – To niedaleko.

– To zupełnie niepotrzebne – wtrącił Jason Verringer. – Będzie jej tu bardzo dobrze.

Nie powinna być ruszana. Prawda, doktorze?

Lekarz zawahał się.

– Prawda? – powtórzył Jason Verringer.

– Wolałbym, żeby jej nie ruszać – odpowiedział.

Zmarszczyłam brwi.

– Dziewczynka chce być razem z panną Grant – powiedział Jason Verringer. Uśmiechnął się. – Nie ma powodu, dla którego nie miałyby się tak stać. Dwór jest wystarczająco duży, aby pomieścić i ją, i pannę Grant.

Doktor uśmiechnął się do mnie przepraszająco. Moja niechęć do pozostania we Dworze musiała ze mnie emanować.

– Nie chciałbym, żeby denerwowała się w tym stanie – powiedział. – Rozwiązanie zaproponowane przez sir Jasona wydaje się najkorzystniejsze w tej sytuacji.

Byłam bardzo zdenerwowana. Ulgę, że Teresa nie jest poważnie ranna, odczułam w tej właśnie chwili, kiedy pojawił się nowy problem. Wiedziałam, że nie mogę zostawić Teresy samej. Z drugiej jednak strony myśl o spędzeniu nocy pod tym dachem była mi bardzo niemiła.

Im mniej niepokoiłam się o Teresę, tym bardziej byłam zła na sir Jasona Verringera. To on był sprawcą wypadku, a teraz jeszcze właściwie sugerował doktorowi, jakie ma wydać zalecenia.

Miałam wrażenie, że myśl o tym, iż mogę spędzić noc pod jego dachem, bawiła go. Był tak samo zdecydowany, żeby doprowadzić do tego, jak ja, żeby tego uniknąć.

Głosem, który, jak miałam nadzieję, brzmiał mocno i pewnie, powiedziałam:

– Panna Hetherington powinna być poinformowana o tym.

– Na pewno już wie o tym incydencie. Poślę kogoś natychmiast do niej i przekażę, co powiedział doktor. Dziękuję panu bardzo, doktorze. Sądzę, że niczego więcej nie możemy zrobić?

– Przyślę dla niej płyn do nacierania. – Spojrzał na mnie. – Proszę zastosować to raz... i tylko ten jeden raz. Jest to zbyt silny lek, żeby stosować go często. Powinien pomóc na potłuczenia. Potem przyślę coś na uspokojenie. Jeśli miała wstrząs mózgu, może się to nie objawić od razu. Proszę też pilnować, żeby miała spokój. W ciągu tygodnia... lub szybciej, powinna dojść do siebie, jeśli założymy, że nie nastąpią nieprzewidziane komplikacje.

Jason Verringer odszedł razem z lekarzem, a ja wróciłam do Teresy. Powitała mnie z wielką ulgą i zapewniłam ją, że wszystko ułoży się dobrze.

Teresa przymknęła oczy i wydawało się, że śpi. Około pół godziny później zjawiała się służąca, żeby mnie zawiadomić, że panna Hetherington jest na dole. Poszłam tam najszybciej, jak tylko mogłam.

Schodząc, zerknęłam przez okno i zobaczyłam szkolny powóz z Emmetem na koźle.

Daisy Hetherington siedziała przy stole z Jasonem Verringerem.

– A oto i nieoceniona panna Grant – powiedział Jason.

– Och, Cordelio. – Daisy zapomniała w takiej chwili o zachowaniu sztywnych form. – Mam nadzieję, że dziecku nic się nie stało.

– Śpi teraz. Myślę, że to głównie szok.

– Że też musiało się to przydarzyć jednej z naszych dziewcząt!

– Takie rzeczy zdarzają się, kiedy ludzie powożą swoimi zaprzęgami po drogach z prędkością, która wystrasza wszystkich wokół.

Daisy wyglądała na trochę zszokowaną i zaniepokojoną.

– Wypadki się zdarzają – powiedziała niewyraźnie.

Trudno mi było opanować złość. Tylko dlatego, że zrobił to on, my miałyśmy nie zwracać na to uwagi i traktować jako zwykłą rzecz, zdarzającą się bardzo często. Rzucił mi spojrzenie pełne triumfu.

Daisy ciągnęła, jakby nie usłyszała tego, co powiedziałam.

– Sir Jason mówi mi, że doktor zabronił ruszać ją dzisiaj.

– Tak powiedział.

– Jak to miło z pana strony, sir Jasonie, że tak szybko posłał pan po doktora

i zaoferował gościny.

– Chociaż tyle mogłem zrobić – powiedział Jason Verringer.

– Rzeczywiście – zaczęłam ze złością, nie zważając na obecność Daisy i wyraz jej twarzy przypominający mi, że powinniśmy być miłe dla naszych moźnych i wszechmocnych gospodarzy.

Daisy szybko zaczęła mówić:

– Teresa musi tu zostać na noc, a ponieważ jest taką pobudliwą dziewczynką, a ty jesteś jedyną osobą, która może ją ukoić, sir Jason był tak miły, że zaprosił też ciebie, abyś została z nią.

Poczułam się jak w pułapce:

– To byłoby... – zaczęłam.

– To idealne rozwiązanie – przerwał mi. – Jestem pewien, że Teresa będzie tym uszczęśliwiona. Odpocznie w spokoju, wiedząc, że pani jest w pobliżu.

– Dziękuję bardzo, sir Jasonie. – Daisy zwróciła się teraz do mnie: – Każę dostarczyć wam tutaj wszystko, czego mogłybyście potrzebować. Teraz chyba już muszę iść. Wiem, Cordelio, że mogę spokojnie zostawić Teresę pod twoją opieką. Muszę wracać, żeby upewnić się, że w szkole życie wróciło do normy. Wszyscy są tym wydarzeniem bardzo poruszeni.

– Mam nadzieję, że Charlotta Mackay bezpiecznie doprowadziła dziewczęta – powiedziałam.

– O tak, i najwyraźniej cieszyła się każdą chwilą, kiedy to ona była u steru. Jeszcze nie widziałam Charlotty tak zadowolonej. Była bardzo uprzejma i posłuszna. Zrobiłaś, co było najlepsze w tamtej sytuacji. Teraz przyślę te rzeczy, a jutro, jak tylko dostanę od ciebie wiadomość, Emmet przyjedzie i przywiezie was.

Wszystko zostało więc ustalone.

Jason Verringer i ja odprowadziliśmy Daisy do powozu.

– Nie ma się czym niepokoić – powiedział do niej. – Dziewczynka jest po prostu w szoku, a panna Grant, jak widzę, jest bardzo sensowną młodą damą.

Wiedziałam, że Daisy próbuje nie okazywać, jak niezręcznie się czuje. Wyczuwałam, że zostawia mnie we Dworze równie niechętnie, jak ja tu zostaję. Byłyśmy jednak w niefortunnej sytuacji i Daisy nie znajdowała dyplomatycznego wyjścia z niej. Zachowanie dobrych stosunków z sir Jasonem było niezbędne dla funkcjonowania szkoły, a szkoła była dla Daisy najważniejsza.

– Przyślę Emmeta ze wszystkim, co będzie wam potrzebne. – Były to jej ostatnie słowa przed odjazdem, a ja stałam niepoczyna, patrząc w ślad za jej powozem.

Jason Verringer zwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Cieszę się na wspólną kolację zjedzoną razem z panią, panno Grant – powiedział.

– Sądzę, sir Jasonie, że nie ma potrzeby, żeby zachowywać zbędny ceremoniał. Będziemy całkowicie usatysfakcjonowane, jeśli każe pan przysłać na górę coś dla Teresy i dla mnie.

– Ja jednak byłbym całkowicie nieusatysfakcjonowany. Jest pani moim gościem honorowym i chcę, żeby wiedziała pani o tym.

– W najmniejszym stopniu nie czuję się uhonorowana. To wszystko nie powinno się było w ogóle wydarzyć.

– Daje mi pani jasno do zrozumienia, że wini mnie pani za to.

– Jak mógł pan jechać w taki sposób! Powinien pan wiedzieć, że spłoszy pan konie. To tylko młode dziewczęta... niektóre z nich z bardzo małą praktyką. To była

bezmąsłość... a nawet więcej, to było... przestępstwo.

– Jest pani dla mnie bardzo surowa. Przyznaję, że zachowałem się lekkomyślnie. Powoziłem tymi siwkami kilka razy w tygodniu, ale nigdy wcześniej nie natknąłem się na kawalkadę dziewcząt jadących konno alejkami. Być może, gdybym chciał odeprzeć pani oskarżenia, mógłbym powiedzieć, że nie powinny były znaleźć się na tym odcinku drogi. Nie zrobię jednak tego, ponieważ nie chcę zdenerwować pani.

– Może pan powiedzieć, cokolwiek pan chce. Dziewczęta zawsze jeżdżą alejkami. Dlaczego ta droga jest taka wyjątkowa?

– Ta akurat jest drogą dojazdową do mojego domu.

– Mam przez to rozumieć, że to pana prywatna droga?

– Miła panno Grant, jest pani nowa w Colby, bo inaczej wiedziałaby pani, że większość ziemi wokół to moja własność.

– Czy to znaczy, że żadna z nas nie ma prawa przebywać tu?

– Oznacza to, że jesteście tu za moim przyzwoleniem, a gdybym miał ochotę, mógłbym zamknąć każdą drogę w pobliżu.

– Dlaczego nie robi pan tego? Wtedy przynajmniej wiedziałybyśmy, gdzie możemy bezpiecznie spacerować i jeździć.

– Wejdźmy do środka. Kazałem przygotować pokój dla pani, jeden z naszych najlepszych, i jest stamtąd wystarczająco blisko do niebieskiego pokoju.

Poczułam się nagle zaalarmowana. Wyczuwałam w nim coś szatańskiego. Wyglądał też na bardzo z siebie zadowolonego. Nie zwracałam jednak na to uwagi, jak też i na brak szacunku w jego spojrzeniu. Wydawało się, że miał jakieś plany i był przekonany, że je zrealizuje.

– Dziękuję – powiedziałam chłodno – ale wolałabym zostać w pokoju Teresy.

– Na to nie możemy pozwolić.

– Obawiam się, że ja nie mogę pozwolić na nic innego.

– W niebieskim pokoju jest tylko jedno łóżko.

– Ale za to bardzo szerokie. Jestem pewna, że Teresa będzie bardziej zadowolona, jeśli będę spała razem z nią.

– Prosiłem już o przygotowanie pokoju dla pani.

– Będzie gotowy dla następnego gościa.

– Widzę – powiedział – że jest pani zdecydowana, by wszystko było tak, jak pani chce.

– Zostałam tu po to, żeby doglądać Teresy, i to jestem zdecydowana robić. Przeżyła wielki szok dzięki...

Spojrzał na mnie z wyrzutem, a ja ciągnęłam dalej:

– Nie chciałam, żeby obudziła się w środku nocy, nie wiedząc, gdzie jest. Może być przerażona. Poza tym nie można wykluczyć jakichś efektów ubocznych tego upadku. Powinnam być z nią.

– Teresa ma szczęście, że jest przy niej tak wspaniały i wierny obrońca.

– Będzie nam bardzo wygodnie. Dziękuję, że pozwolił nam pan ulokować się w niebieskim pokoju.

– To jedyne, co mogłem zrobić.

– O, tak.

Uśmiechał się, kiedy wchodziliśmy do środka.

– Oczywiście, kolację zje pani ze mną – powiedział prawie pokornie.

– To bardzo miłe z pana strony, ale sędzę, że powinnam być z Teresą.

– Ona musi odpocząć. Kiedy przywiozą środki uspokajające, lekarz kazał, żeby je od razu zażyła.

– Nie zostawię Teresy samej. Skłonił się, pochylając głowę. Poszłam do Teresy. Była bardzo senna.

– Jak to dobrze, że pani jest ze mną – powiedziała.

– Zostanę z tobą. To łóżko jest wystarczająco duże dla nas obu. Jest wielkie, prawda? Inne niż te w szkole.

Uśmiechnęła się łagodnie, zadowolona, i przymknęła oczy. Już wkrótce Jason Verringer był znowu przy drzwiach.

– Doktor to przysłał – powiedział. – To płyn do nacierania, a to lekarstwo uspokajające. Załączył notatkę, żeby ten lek podać zaraz po natarciu płynem, wtedy mała prześpi noc. Tego potrzebuje najbardziej.

– Dziękuję – odparłam i odprowadziłam go do drzwi.

– Proszę nacisnąć dzwonek, kiedy zaśnie – powiedział. – Przyślę kogoś, żeby sprowadził panią na dół. To nie będzie formalna kolacja, tylko małe *tete-d-tete*.

– Dziękuję, nie. Sądzę, że Teresa nie powinna zostać sama.

Podeszłam do Teresy i posmarowałam maścią potłuczone miejsca. Pomyślałam, że miała szczęście, i znowu poczułam przyływ gniewu.

– Będzie pani tu spała, panno Grant, prawda? – poprosiła.

– Oczywiście.

– Nie chciałabym zostać sama. Ciągle o tym myślę. Słyszę konie galopujące tuż obok... i wiem, że staruszka Cherry Ripe nie lubi tego... wiem też, że ona nie lubi również mnie. Wiedziałam, że zepnie się i nie uda mi się jej utrzymać.

– Przestań o tym myśleć. To już minęło.

– Tak, i pani jest tutaj ze mną, a ja nigdy, ale to nigdy już nie wsiądę na konia.

– Zobaczymy, co będziesz o tym myśleć później.

– Nie muszę czekać, żeby się przekonać. Wiem to już teraz.

– Zaczynasz się denerwować, Tereso. Nie powinnaś tego robić. Zróbmy to smarowanie. Co za zapach! Chociaż właściwie jest przyjemny. Czy to piecze? To znaczy, że działa. Doktor mówi, że to bardzo pomaga. Za dzień lub dwa będziesz miała siniaki we wszystkich kolorach tęczy.

Zakorkowałam butelkę i odstawiłam ją.

– Teraz dostaniesz to lekarstwo. Zaśniesz po nim i zapomnisz o wszystkim. Masz pamiętać tylko o tym, że jestem tutaj, i jeśli będziesz czegoś chciała, wystarczy, że mi powiesz.

– Tak się cieszę, że pani jest ze mną. Czy pani Hetherington jest na mnie zła?

– Ależ nie. Niepokoi się tak jak wszyscy.

– Charlotta będzie się teraz wyśmiewać ze mnie, prawda?

– Zachowywała się naprawdę dobrze. To ona zaprowadziła dziewczęta z powrotem do szkoły. Jestem pewna, że nie chciała, żebyś zrobiła sobie krzywdę.

– To dlaczego zawsze robi mi przykrości?

– Tak naprawdę nie chce zrobić nic złego. To tylko zwykłe przekomarzanie się, małe uszczypliwości.

– Już się nią nie przejmuję tak jak dawniej. Jest inaczej, odkąd pani tu przyjechała. To dlatego, że pani też była w Afryce, a potem przyjechała pani do ciotki Patty.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Była to służąca. Przyniosła walizeczkę, która została przysłana ze szkoły. Otworzyłam ją. W środku była karteczka od Daisy,

mówiąca, że przesyła kilka rzeczy, które mogą się nam przydać. Były tam moja koszula nocna i koszula Teresy. Ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłam, że przysłała też jedną z moich sukien. Najlepszą, jedwabną.

Chciałam dać Teresie lekarstwo uspokajające i zapytałam, czy mogłabym jej pomóc przebrać się w koszulę nocną. Byłoby jej wygodniej niż w bieliźnie. Strój do konnej jazdy zdjęła, kiedy badał ją lekarz. Pomogłam więc jej się przebrać, po czym powiedziałam:

– Wypij to, a poczujesz się senna.

Tak się też stało. Przez chwilę mówiła trochę niezrozumiale, a jej głos stawał się coraz bardziej i bardziej senny. Środek uspokajający zaczynał działać.

– Tereso – powiedziałam cicho. Już nie odpowiedziała.

Leżąc, wyglądała bezbrinnie i pomyślałam, jakie to smutne, że jej rodzice są tak daleko, a krewni mieszkający w Anglii nie chcą jej. Zastanawiałam się, czy jej mama i tata tęsknią za nią. Po raz kolejny pomyślałam o ciotce Patty i o tym wszystkim, o czym jej opowiem, kiedy znowu ją zobaczę.

Usłyszałam delikatne pukanie do drzwi. Podeszłam do nich na palcach i otworzyłam je. To Jason Verringer stał tam znowu. Tym razem była z nim kobieta w średnim wieku.

– Jak się ma Teresa? – zapytał.

– Śpi. Środek uspokajający zadziałał szybko.

– Tak jak mówił doktor. To pani Keel, moja nieoceniona gospodyni. Popilnuje Teresy, kiedy my będziemy jedli kolację. Gdyby Teresa się obudziła, zawoła panią natychmiast.

Uśmiechnął się do mnie, trochę triumfalnie. Zawahałam się. Wiedziałam, że nie mogę odmówić. Pani Keel uśmiechała się miło.

– Proszę mi zaufać – powiedziała. – Umiem opiekować się chorymi.

Na to nie znalazłam wymówki. Musiałam się poddać. Nie mogłam odmówić wobec jego gospodyni. Uraziłabym ją, gdybym zasugerowała, że nie jest osobą odpowiednią do zaopiekowania się Teresą, która, tak czy inaczej, spała. Mimo wszystko musiałam jednak zjeść z nim kolację. W duchu przyznawałam, że ta perspektywa nie była mi tak niemiła, jak mogło się wydawać. Sprawiało mi przyjemność dawanie mu do zrozumienia, że w żadnym stopniu nie robi na mnie wrażenia. A byłam pewna, że próbuje tego. Z tego, co słyszałam o jego reputacji, był uznawany lub uznawał sam siebie za mężczyznę, któremu kobiety nie mogły się oprzeć. To mogło być zabawne i raczej stymulujące pozwolić mu przekonać się, że istniała kobieta uodporniona na jego męskie wdzięki.

– To miło z pani strony – powiedziałam do pani Keel. – To bardzo wrażliwa dziewczynka i gdyby się obudziła...

– Nie sądzę, żeby tak się stało – powiedział Jason Verringer. – Jeśli jakimś cudem obudzi się, pani Keel sprowadzi panią natychmiast. Wszystko zostało więc ustalone. Pani Keel przyjdzie tu za pół godziny. Jeśli będzie pani gotowa, od razu siądziemy do kolacji.

Nie chciałam znaleźć się w niezręcznej sytuacji, tłumacząc, że słyszałam o jego nie najlepszej reputacji, i nie sądzę, aby jego towarzystwo było odpowiednie dla mnie. Nie widziałam więc innego wyjścia, jak tylko zaakceptować z wdziękiem to zaproszenie i próbować uciec stamtąd tak szybko, jak to możliwe.

Skinęłam więc potwierdzająco głową, podziękowałam pani Keel i powiedziałam, że będę gotowa za pół godziny.

Założyłam niebieską, jedwabną suknię i zrobiło mi się miło, ponieważ Daisy przysłała tę, w której wyglądałam najlepiej.

Wyszczotkowałam włosy tak, żeby błyszczały. Policzki miałam lekko zaróżowione, co

nie zdarzało się często, a co uwydatniało kolor moich oczu. Tak naprawdę było, pomyślałam. Oczekiwałam tej kolacji nawet z przyjemnością, chociażby dla samej satysfakcji uświadomienia mu, że nie wszystkie kobiety są tak pod jego wrażeniem, jak sobie to wyobraża.

Pani Keel cicho zapukała do drzwi. Weszła i stałyśmy obok siebie, patrząc na śpiącą Teresę.

– Mocno zasnęła – szepnęłam. Pani Keel skinęła głową.

– Zawołam panią natychmiast, jeśli się obudzi.

– Dziękuję – powiedziałam.

Jedna ze służących czekała na zewnątrz, żeby zaprowadzić mnie na dół. Znalazłam się w niewielkim pokoju, którego drzwi otwierały się na patio. On czekał tam już na mnie. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

– Pomyślałem, że zjemy tutaj – powiedział – a potem, jeśli nie miałyby pani nic przeciwko temu, wypijemy na patio kawę, porto, brandy czy coś innego. W letnie wieczory jest tam bardzo miło. Często siadamy tam, kiedy mam gości.

– To brzmi zachęcająco.

– Jest pani na pewno głodna, panno Grant.

– Sądzę, że to, co działo się dzisiejszego dnia, mogłoby pozbawić apetytu każdego.

– Zmieni pani zdanie, kiedy spróbuje pani naszych wyśmienitych kaczek. Z pewnością pochwali pani naszego kucharza. Jestem szczęściarzem. Mam dobrą służbę. To efekt starannego doboru... i przeszkolenia. Wierzę, że dobrze jadacie w tej ekskluzywnej szkole dla młodych panien?

– Tak. Panna Hetherington dba o to. Większość produktów pochodzi z ogrodów opactwa.

– Ciągłe podtrzymuje stare tradycje mnichów. Ach, tradycje, panno Grant. Jak bardzo rządzą one życiem ludzi takich jak my. Proszę usiąść. O tutaj... naprzeciwko mnie, tak żebym mógł panią widzieć. Lubię bardzo takie kameralne kolacje, o wiele bardziej niż te w wielkiej sali. Ten pokój pomieściłby cztery osoby, ale dwoje to bardziej odpowiednia liczba.

Było to czarujące wnętrze. Wyłożone dębem, z malowidłami na suficie, na których pulchne kupidyny figlują na kłębiastych chmurkach, podczas gdy anioł zerka na nie łagodnie.

Zobaczył, że przyglądam się temu.

– Stwarza to prawdziwie niebiański nastrój, nie sądzi pani?

Spojrzałam na niego i uderzyła mnie myśl, że on sam wygląda jak Lucyfer wypędzony z nieba. To była śmieszna myśl, dziwaczna i daleka od realiów życia. Było pewne, że on nie pozwoliłby się wypędzić z żadnego miejsca, w którym chciałby być.

– Tak – przyznałam. – To stwarza taki nastrój. Nie jestem jednak pewna, co kupidyny robią tam wysoko w chmurach.

– Szukają łatwowiernego serca, żeby przebić je strzałą miłości.

– Musiałyby mieć bardzo pewną rękę, jeśli miałyby zamiar trafić kogoś na ziemi... nawet jeśli chmury byłyby nisko.

– Ma pani, panno Grant, bardzo praktyczny umysł. Podoba mi się to. Ale oto mamy zupę. Wierzę, że będzie pani smakować.

Dyskretnie zachowujący się służący wniósł wazę, z której serwował nam zupę. Następnie zaprezentował butelkę wina i nalał go do kieliszków.

– Mam też nadzieję, że i wino będzie pani smakować – powiedział Jason Verringer. –

Wybrałem je pieczołowicie. Pochodzi z dobrego rocznika... jednego z najlepszych w stuleciu.

– Nie powinien się pan tak trudzić z mojego powodu – odparłam. – Nie jestem koneserką i nie potrafię właściwie go docenić.

– Czy w tej szwajcarskiej szkole dla wybranych nie uczono rozpoznawania dobrego wina? Jestem zdziwiony. Powinna pani skończyć taką francuską szkołę... zapomniałem, jak się nazywa. Jestem pewien, że umiejętność szacowania win byłaby w jej programie.

Posmakował wina i uniósł oczy ku górze w wyrazie przesadzonej ekstazy.

– Wspaniałe – powiedział. – Pani zdrowie, panno Grant, i zdrowie tej dziewczynki na górze.

Wypiłam razem z nim.

– I za nas – dodał. – Za panią... za mnie... i za naszą zacieśniającą się przyjaźń, która zaczęła się w okolicznościach raczej dramatycznych.

Wypiłam kolejny łyk i odstawiłam kieliszek. On mówił dalej:

– Musi pani przyznać, że wszystkie trzy nasze spotkania należały do niezwykłych. Najpierw utknięcie w ciasnej alei; potem pani zagubiła się, a ja ocaliłem panią; teraz zaś to wydarzenie ze spłoszeniem konia, co sprawiło, że jesteśmy tu razem.

– Być może należy pan do osób, którym przydarzają się dramatyczne wypadki.

Rozważał to.

– Sądzę, że od czasu do czasu dramatyczne rzeczy zdarzają się większości ludzi. A jak się to przedstawia u pani?

Milczałam. Moje myśli powędrowały do tamtego wydarzenia w lasach i mojego niezwykłego, jak to teraz się wydaje, spotkania z mężczyzną, który, zgodnie z nagrobkiem z Suffolk, od dawna nie żyje. Co dziwniejsze, siedzący przede mną mężczyzna, którego najbardziej uwidaczniającą się cechą była jego żywotność i mocne trzymanie się realiów życia, przypominał mi wyraziście tamto moje dziwne doświadczenie. Od dosyć dawna już nie miałam takiego wrażenia.

Pochylił się ku mnie.

– Zdaje się, że rozbudziłem w pani jakieś wspomnienia. W niepokojący mnie sposób potrafił penetrować moje myśli.

– Ponieważ byłam zaangażowana w wydarzenia, które pan określił mianem dramatycznych, sądzę, że uzna pan, iż także doświadczyłam ich. Dramatyzm, tak jak wszystko inne, jest postrzegany przez tych, którzy biorą udział w takich zdarzeniach. Według mnie te incydenty, abstrahując od tego, co przydarzyło się Teresie, nie są dramatyczne.

– Proszę skosztować jeszcze zupy.

– Dziękuję bardzo. Była wyśmienita, ale jestem zbyt niespokojna o Teresę, żeby móc docenić zalety tego posiłku, tak jak na to zasługuje.

– Być może kiedyś w przyszłości zrekompensuje mi pani tę odmowę.

Zaśmiałam się, a on skinął na kamerdynera, żeby podawał kaczkę.

Zapytał mnie o swoje bratanice, o to, czy moim zdaniem odnoszą korzyść, uczęszczając do Akademii. Z lojalności w stosunku do Daisy zapewniłam go, że korzyści płynące z tego są dla nich ogromne.

– Fiona to spokojna dziewczynka – powiedział. – Jest podobna do matki. Ale czasami spokojni ludzie potrafią zaskakiwać. Pani, z pani doświadczeniem, wie o tym.

– Nauczyłam się tego, że bardzo mało wiemy o innych. Ludzki charakter zawsze kryje niespodzianki. Ludzie mówią jedno, a potem niektórzy postępują inaczej w sposób

nieprzewidziany. Ale tak naprawdę to wcale tak nie jest. Oni postępują wtedy zgodnie z pewnymi cechami charakteru, których aż do tej chwili nie ujawniali światu.

– To prawda. Możemy więc spodziewać się, że pewnego dnia Fiona zaskoczy nas wszystkich.

– Być może.

– Inaczej jest z Eugenią. Nic, co ona zrobi, nie może mnie tak naprawdę zaskoczyć. Pani też jest tego zdania, panno Grant?

– Eugenia jest dziewczynką o jeszcze nieuformowanym charakterze. Jest podatna na wpływ innych. Raczej niefortunnie taki wpływ na nią ma teraz Charlotta Mackay.

– Znam ją. Była tu w czasie wakacji. Znam też jej ojca.

– Charlotta zabiega bardzo o to, żeby nikt nie zapomniał o jej tytule, a nie wie, że o wiele korzystniej dla niej byłoby, gdyby starała się nie eksponować tego faktu.

– Popiera pani takie ukrywanie, panno Grant?

– W tym wypadku.

Skinął powoli głową i spróbował napełnić ponownie mój kieliszek. Nakryłam go dłonią, żeby mu to uniemożliwić. Byłam pewna, że zrobiłby to nawet pomimo mojej odmowy.

– Jest pani abstynentką.

– Powiedzmy, że nie przywykłam do picia dużych ilości alkoholu.

– Może to niepokój, że ta wyjątkowa ostrość reakcji mogłaby zostać trochę stonowana?

– Mogę pana zapewnić, że nie stałoby się tak. Uniósł swój kieliszek.

– Proszę mi opowiedzieć o swoim domu.

– Ciekawi to pana?

– Bardzo.

– Nie ma w tym nic interesującego. Moi rodzice zmarli. Byli misjonarzami w Afryce.

– Podziela pani ich przekonania?

– Obawiam się, że nie.

– Należałoby sądzić, że rodzice misjonarze wydadzą na świat potomka, gotowego kontynuować zbożne dzieło.

– Wręcz przeciwnie. Moi rodzice gorąco wierzyli w to, co robili. Pomimo że byłam bardzo mała, kiedy rozstałam się z nimi, zdawałam sobie z tego sprawę. To było czynienie dobra. Żyli w niedostatku. W rzeczywistości, można powiedzieć, że w końcu zginęli za swoje przekonania. Sądzę, że tak wygląda najwyższe poświęcenie. Potem wróciłam do domu, do ukochanej ciotki, i poznałam inny rodzaj czynienia dobra. Jeśli mogłabym wybierać między tymi dwoma rodzajami, wybrałabym to, co robiła ciotka.

– Pani głos inaczej brzmi, kiedy mówi pani o niej. Bardzo ceni pani tę ciotkę.

Skinęłam głową. Miałam łzy w oczach i wstydziłam się tego. Choć go tak nie lubiłam, umiał jednak grać na moich uczuciach. Nie byłam pewna, co było tego przyczyną: słowa, jakich użył, intonacja głosu, wyraz jego oczu. Co dziwniejsze, wyczuwałam, że był w nim jakiś smutek, mimo że wydawało się to absurdalne. Był arogantem w najwyższym stopniu, wywyższającym się ponad ludzką miarę. Był panem nad wieloma, a chciał upewnić się w mniemaniu, że jest panem wszystkich.

– Zostałam wysłana, żeby z nią zamieszkać – ciągnęłam – i to była najlepsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła lub kiedykolwiek przydarzy, jak sądzę.

Uniósł kieliszek i powiedział:

– Przepowiem coś: jeszcze przydarzą się pani równie dobre rzeczy. Proszę mi

opowiedzieć o pani ciotce.

– Prowadziła szkołę. Nie przynosiło to oczekiwanych zysków. Miałam pracować razem z nią. Musiała jednak sprzedać wszystko i ja przyjechałam tutaj.

– Gdzie jest teraz?

– Mieszka w małym domku na wsi. Ma przyjaciółkę, która mieszka razem z nią. Pojadę do niej, jak tylko skończy się rok szkolny.

Skinął głową.

– Wydaje mi się, panno Grant – powiedział – że jest pani bardzo szczęśliwą młodą damą. Została pani wysłana do tej szkoły w Szwajcarii, kiedy pani ciotka była w lepszej sytuacji finansowej, czy to może rodzice zabezpieczyli pani przyszłość?

– Wszystko, co mieli, włożyli w misję. To ciotka posłała mnie do szkoły. Jestem pewna, że z trudem mogła sobie na to pozwolić, ale nalegała, żebym ją skończyła. A to umożliwiło mi przyjechanie tutaj.

– Panna Hetherington nie mówi o niczym więcej, jak tylko o pani talentach i schaffenbruckizacji jej szkoły.

Zaśmiałam się, a on mi wtórował.

– A oto i suflet. Musi pani zjeść co do okruszka, inaczej wywoła pani rebelię w kuchni.

– Czy ktoś ośmieliłby się wywołać rebelię przeciwko panu?

– Nie – odpowiedział. – To byłaby osobista rebelia. W każdym razie, oni wiedzą, że ja nigdy nie posunąłbym się do czegoś takiego, jak niedocnienie wspaniałej pracy ich rąk. To na panią spadłoby ich potępienie.

– Zrobię w takim razie wszystko, żeby tego uniknąć.

– Jestem pewien, że pani zawsze robi wszystko, jak najlepiej potrafi.

Suflet był rzeczywiście przepyszny i musiałam przyznać, że zjadłam wspaniały posiłek, bardzo różniący się od prostego, aczkolwiek bardzo dobrego jedzenia, jakie podawano nam w opactwie.

Mój gospodarz opowiadał mi o szkole, o historii opactwa i o tym, jak to się stało, że po Wielkim Rozłamie te ziemie trafiły do jego rodziny.

– Mój przodek przysłużył się królowi... gdzieś za granicą, jak sądzę, i w zamian za to pozwolono mu wykupić ziemie opactwa za symboliczną sumę. Zdaje się, że było to dwa tysiące funtów... chociaż w tamtych czasach to właściwie nie była tak symboliczna kwota. Wybudował Dwór i osiadł tu jako pan tych ziem. Wiodło mu się dobrze, ale okoliczni ludzie nigdy nie sprzyjali rodzinie. Uważali nas za uzurpatorów. Opactwo zawsze robiło wiele dla biednych. Każdy wędrowiec dostał tam coś do zjedzenia i miejsce do spania. Kiedy zakon upadł, drogi były pełne żebraków, a rabunki szerzyły się. Tak więc widzi pani, że Verringerowie byli kiepskim zastępstwem zamiast mnichów.

– Zastanawiam się, dlaczego nie starali się jeszcze przewyższyć mnichów?

– Uważa pani, że powinno tak być, sądząc po działaniach potomków tych starych rodów. No cóż, byli pochłonięci utwierdzeniem swojej pozycji jako lordowie tych ziem, a to niekoniecznie oznacza stawanie się dobroczyńcami. Mamy wśród nas farbowane lisy. Muszę pokazać pani galerię portretów. Nasze łotrństwo wypisane jest na naszych twarzach i sądzę, że przewyższa zalety. Powinna to pani zobaczyć i osądzić sama.

Skończyliśmy jeść suflet i powiedziałam:

– Myślę, że powinnam upewnić się, czy z Teresą jest wszystko w porządku.

– I śmiertelnie obrazić panią Keel! Gorliwie strzeże dziewczynki. Jeśli pójdzie pani na górę, pomyśli, że nie ufa jej pani. Przenieśmy się na patio. To miłe miejsce, kiedy robi

się ciemno i świece są zapalone. Umieszczamy je w zagłębieniach wykutych w murze. Nie mamy tu zbyt wielu wieczorów, kiedy możemy usiąść na zewnątrz, dlatego chcemy wykorzystywać je jak najpełniej.

Wstałam, a on był już u mojego boku. Ujął mnie pod łokieć i poprowadził mnie do drzwi.

Na zewnątrz ustawiono biały stolik i dwa krzeselka, na których położono poduszki.

Powietrze było nieruchome i panowała cisza. Poczulałam podniecenie. Pomyślałam o szkole. Wkrótce dziewczęta skończą kolację i pójdą niebawem do łóżek. Gdybym tam była, właśnie zaczynałabym swój codzienny obchód i zastanawiałabym się, czy Charlotta lub Eugenia spowodują jakieś kłopoty.

– Jeśli miałyby pani ochotę, napijmy się kawy i może odrobinę porto...

– Proszę o kawę, ale za wino już dziękuję.

– Musi być coś, na co miałyby pani chęć, może brandy?

– Wystarczy kawa, dziękuję. Usiedliśmy i przyniesiono nam napoje.

– Teraz nikt już nam nie będzie przeszkadzał.

– Nie odniosłam wrażenia, aby przedtem ktoś nam przeszkadzał.

– Żyjemy otoczeni przez służbę – powiedział. – Nie należy sądzić, że są rasą detektywów, ale trzeba też mieć się przed nimi na baczności.

– Może tak jest wtedy, gdy ktoś ma coś do ukrycia.

– A kto nie ma czegoś do ukrycia? Swoje sekrety mogą mieć nawet wspaniałe młode damy z Schaffenbrucken.

Milczałam, a on nalał sobie wina.

– Chciałbym, żeby spróbowała pani odrobinę – powiedział. – Jest to...

– Porto najwyższej klasy, jestem tego pewna.

– Jesteśmy dumni z naszych piwnic, ja i mój kamerdyner.

– A ja jestem pewna, że są one bardzo zasobne w to, z czego możecie być dumni.

– I lubimy dzielić się naszymi skarbami z innymi. Proszę, tylko odrobinę.

Uśmiechnęłam się. Napełnił mój kieliszek do połowy.

– Teraz możemy wznieść wspólnie toast.

– Już to robiliśmy.

– Pomyślności nigdy za wiele. Za nas, panno Grant... Cordelio. Wygląda pani wyniośle. Nie chce pani, żebym używał imienia nadanego pani na chrzcie?

– Sądzę, że to raczej... niekonieczne.

– Uważam, że to najodpowiedniejsze dla pani imię. Jest pani Cordelią od stóp do głów. Nie mogę sobie pani wyobrazić z innym imieniem i mam zamiar go używać nawet bez pani pozwolenia. Czy nie sądzi pani, że powietrze w Devon jest wspaniałe?

– Tak.

– Cieszę się, że nasze opactwo jest umiejscowione w Devon. Mogło to być któreś na niegościnnej północy. Mają tam opactwa, nawet dość znaczne. Fountains, Rievaulto i inne.

– Słyszałam o nich.

– Nie sądzę, aby którekolwiek z nich było wspanialsze od naszego... lub choćby mu dorównywało. Ale może przemawia przeze mnie duma posiadacza. To tylko ruiny, prawda... tak samo jak tam, ale my jesteśmy też Akademią dla młodych dam. Kto może konkurować z czymś takim?

– Może się wydawać, że to dziwne miejsce na szkołę.

– Wśród tych wszystkich antyków. Jakże może być lepsze miejsce dla młodych osób,

żeby poznawać przeszłość?

– Panna Hetherington zawsze tak mówi.

– To wspaniała kobieta. Podziwiam ją. Cieszę się, że ma tu tę szkołę. To takie wygodne ze względu na moje wychowawce. No i bez niej nie siedziałbym tu, ciesząc się jednym z najwspanialszych wieczorów w moim życiu.

Zaśmiałam się lekko.

– Jest pan mistrzem w używaniu przesadnych zwrotów. Pochylił się ku mnie i powiedział szczerze:

– Mówię poważnie.

– W takim razie – odparowałam – nie miał pan zbyt ekscytującego życia.

Milczał przez chwilę, po czym rzekł:

– Robi się ciemno. Nie zapalajmy jeszcze świec. Proszę popatrzeć. Pokazują się gwiazdy. Dlaczego ludzie mówią, że gwiazdy pokazują się, kiedy przecież są tam przez cały czas?

– To dlatego, że oni akceptują tylko to, co widzą.

– Nie są tak dociekliwi jak pani, Cordelio. Dla pani i dla mnie nie wszystko musi być tak oczywiste, prawda?

– Do czego pan nawiązuje?

– Do życia – powiedział. – Nie będzie mnie pani osądzać na podstawie tego, co powiedzą pani o mnie inni, prawda?

– Nie do mnie należy osądzanie.

– Może źle to ująłem. Nie będzie pani szacować mojego charakteru na podstawie plotek, które pani może usłyszeć?

– Powtarzam, że nie do mnie należy ocenianie.

– Ale robi się to... nawet nie wiedząc o tym. Usłyszy się coś o jakiejś osobie i jeśli nikt temu nie zaprzeczy, przyjmuje się to za pewnik przeciwko niemu albo niej.

– Co stara się pan mi powiedzieć?

– To, że wiem, iż krąży o mnie wiele skandalicznych plotek. Nie chcę, żeby uwierzyła pani w nie wszystkie. Chciałbym, żeby pani przynajmniej zrozumiała, jak do tego doszło.

– Dlaczego miałyby to mnie obchodzić?

– Ponieważ po dzisiejszym wieczorze zaprzyjaźnimy się. Prawda?

– Przyjaźń to nie jest coś, co ot tak raptem się pojawia. To się rozwija... narasta. To coś, co musi sprawdzić się w życiu.

– Ona się rozwinie – powiedział. – Sprawdzi się.

Milczałam przez chwilę.

– Ośmielę się powiedzieć – ciągnął – że w swoim życiu zrobiłem wiele rzeczy, których pani by nie pochwaliła. Chciałbym, żeby zrozumiała pani pewne sprawy w odniesieniu do mojej rodziny. Czy wie pani, że mówią, iż wywodzimy się od diabła?

Zacząłam się śmiać.

– Aha – ciągnął. – Więc uważa pani, że to bardzo prawdopodobne, tak?

– Wręcz przeciwnie. Sądzę, że to bardzo mało prawdopodobne.

– Szatan może przybierać różne kształty. Nie musi być zjawą z kopytami, rozumie mnie pani?

– Proszę opowiedzieć, jak to diabeł stał się jednym z pana przodków.

– Chętnie. Działo się to za trzeciej generacji Verringerów. Stara królowa zmarła i na tronie zasiadł James ze Szkocji. Wie pani, że przekleństwem naszej rodziny było to, że nie mogliśmy doczekać się męskiego potomka? To często jest obsesją w wielu rodzinach,

które ich nie mają. Wiem o tym, ale to był właśnie nasz osobisty problem. W tamtych czasach, kiedy rodzina miała świeży tytuł szlachecki, musiała być budowana na solidnych fundamentach. Widzi pani, nawet teraz ja nie mam syna, który poszedłby w moje ślady, a mój brat ma dwie córki. Wszyscy wolą bezpośrednie pokrewieństwo i rodowe nazwisko, które należy się, a nie takie, które istnieje dzięki temu, że jedna z córek zobligowała swojego męża do przyjęcia go. Cóż, Verringer, pan na Colby Hall, o którego chodzi, miał tylko córkę. Była ona najbardziej niepozorną istotą, jaką kiedykolwiek widziano w Devonshire... tak niepozorną, że pomimo jej bogactwa, nie można było znaleźć dla niej męża. Musiała jednak urodzić dziecko, a żeby tego dokonać, musiała wyjść za mąż, a mąż musiał przyjąć uświęcone nazwisko Verringerów. Czas uciekał. Miała już trzydzieści lat i wraz z mijającym czasem nie stawała się ani trochę bardziej atrakcyjna. Jej ojciec był zdesperowany i pewnego dnia wysłał do lasu oddział uzbrojonej służby. Kazał im się tam ukryć i pojmać jakiegokolwiek podróżnego, co byłby w miarę przystojny, zdrowy i wyglądałby na takiego, który byłby w stanie spłodzić dzieci.

– Wymyśla pan to wszystko.

– Przysięgam, że to jedna z naszych rodzinnych legend. Chce pani usłyszeć, co się stało?

Skinęłam głową.

– Cóż, wreszcie sprowadzono młodego człowieka. Jechał samotnie przez las. Był przystojny, pełen wigoru i wyjątkowo atrakcyjny z wyglądu. Udało im się go pokonać tylko dlatego, że był sam, a ich było tak wielu. Kiedy mój przodek zobaczył go, był uszczęśliwiony. Tak samo jak i jego brzydka córka. „Ożeń się z moją córką – powiedział ojciec – a ziemia i majątek będą twoje”. „Mam już ziemię i majątek i nie mam ochoty na żeniactwo z twoją córką” – odrzekł młody człowiek. Ojciec był bardzo rozeźlony i kazał wrzucić go do lochu. Tak, mamy ich kilka. Są teraz używane jako spiżarnie. Mieli go tam trzymać, dopóki się nie zgodzi. Tygodnie jednak mijały, a młody człowiek nie wyrażał zgody. Nikt też nie przychodził mu na ratunek. Mój przodek nie pozwolił, żeby go głodzono lub torturowano. Chciał, żeby mógł wyprodukować zdrowe dziecko. Ale ponieważ młodzieniec nie dawał się przekupić majątkiem, wydawało się, że plan się nie powiedzie. Verringerowie zawsze byli znani ze swojej wytrwałości. Więźnia wyciągnięto z lochu i umieszczono w jednej z najlepszych sypialni. W pokoju tym był kominek, a dostarczono mu najlepsze jedzenie i dużo wina. Verringerowie zawsze mieli dobrze zaopatrzone piwnice. Mój przodek zorientował się, że błędem było umieszczenie młodzieńca w lochu. Wygodne życie o wiele bardziej sprzyja uwiedzeniu. I któreś nocy, kiedy młody człowiek nadużył bardzo dobrych rzeczy, które podstępny Verringer dostarczył na jego stół, do jego wina dosypano afrodyzjaku wzmagającego potencję. Stał się bardzo śpiący, a gdy położył się, do jego łóżka wślizgnęła się córka. Tej nocy poczęła dziecko.

– Opowiada mi pan to, żeby uświadomić mi, jak bardzo przedsiębiorczymi ludźmi są Verringerowie?

– Po części, ale nie tylko dlatego. Proszę posłuchać dalszego ciągu historii. To dziwne, ale kiedy młodzieniec dowiedział się, że dziewczyna jest za jego sprawą ciężarna, zgodził się ją poślubić i we Dworze zapanowała wielka radość. W odpowiednim czasie urodziło się dziecko: chłopiec. Silny, zdrowy i tak ładny jak jego ojciec. Wtedy to zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Nad kołyską dziecka widziano ogień, chociaż w rzeczywistości nic się nie paliło. Dziecko śmiało się tak, jak żadne nowo narodzone dziecko się nie śmieje. Chwytał też w rączki wszystko, co znalazło się w jego zasięgu. Chciano, żeby chrzciny odbyły się

z pompą, i kaplica została przygotowana do tego wydarzenia. Ale w przeddzień młodzieniec udał się do swojego teścia i powiedział „Chrześcijańska ceremonia nie może się odbyć. Pan nie wie, kim jestem. Sądził pan, że igra pan ze mną, a w rzeczywistości to ja igrałem z panem. Byłem świadom pańskich planów. Dałem się złapać i przywieźć tu, żeby móc wprowadzić swoje nasienie do pana rodziny. Domyśla się pan, kim jestem?”

– Wieść niesie, że mój przodek w przerażeniu padł na kolana. Nie był w stanie patrzeć w twarz młodego człowieka. Kiedy próbował, jaśniała ona niczym słońce i prawie go oślepiła. „Jestem Lucyferem, synem poranka – powiedział młodzieniec. – Zostałem wygnany z niebios. Jestem ambitny. Chcę przewyższyć samego Boga. Ty też jesteś ambitny. Doprowadzisz do tego, że staniesz się potężniejszy niż ktokolwiek inny. Próbowałeś mnie wykorzystać, żeby osiągnąć ten cel. Dałem ci więc syna. Lucyfera. I w przyszłych generacjach każdy męski potomek twojego rodu będzie miał w sobie coś ze mnie”. I w taki oto sposób Verringerowie są rzeczywiście nasieniem szatana.

– Świetnie pan opowiada – powiedziałam. – Czułam się, jakbym rzeczywiście tam była. Oczyma wyobraźni widziałam tego młodzieńca i cały rozwój sytuacji.

– Czy jest to dla nas jakimś usprawiedliwieniem?

– Z pewnością nie.

– Sądziłem, że jeśli mamy w sobie diabelską krew, moglibyśmy liczyć na niewielką taryfę ulgową.

– Podejrzewam, że tego typu legendy ma wiele rodzin, które tak daleko wstecz potrafią odtworzyć losy swoich przodków. Wydaje mi się, że coś podobnego przypisuje się Angevinom, jednej z linii rodziny królewskiej, z której pochodzi tak wielu naszych królów.

– Ta historia jest przekazywana z pokolenia na pokolenie.

– I niewątpliwie wszyscy czujecie się w obowiązku żyć tak, aby się jej nie sprzeniewierzyć.

– Wydaje się, że nie musieliśmy zbytnio pracować nad tym. Chciałbym, żeby pani zrozumiała, iż jeśli postępujemy źle, to nie jest to zawsze tylko i wyłącznie nasza wina.

Co on przez to chciał powiedzieć? Że był zdolny do brutalnych czynów? Do morderstwa? Nie mogłam przestać myśleć o tej niechcianej żonie, leżącej w pościeli, o mężu trzymającym w ręku butelkę, zawierającą fatalną dawkę opium. Czy to on ją jej podał?

– Zamyśliła się pani – powiedział. – Nad tym, że nie akceptuje pani moich wymówek.

– Ma pan rację – odpowiedziałam. – Nie akceptuję ich.

Westchnął.

– Wiedziałem, że tak będzie. Chciałem jednak, żeby usłyszała pani te wyjaśnienia. Co za boska noc! W powietrzu czuć zapach kwiatów, a pani, Cordelio, wygląda ślicznie, siedząc tu.

– To dzięki temu, że jest prawie ciemno.

– Dla mnie i w świetle dziennym pani zawsze wygląda pięknie.

– Sądzę, że już czas, żebym życzyła panu dobrej nocy i podziękowała za wspaniałą kolację.

– Jeszcze nie teraz – powiedział. – To taka piękna noc. Panuje taki spokój. Nie ma nawet śladu wietrzyka. Coś takiego to wielka rzadkość i byłoby wstyd nie wykorzystać tego. Pani odrzuca moje fantazje. Wiele osób doznaje takich wrażeń w swoim życiu. Czy pani przydarzyło się coś takiego?

Milczałam. Sprawił, że znowu zaczęłam myśleć o cmentarzu w Suffolk. Zanim

zdążyłam się powstrzymać, już mówiłam:

- Pewnego razu... przydarzyło mi się coś dziwnego.
- Tak? – Nachylał się ku mnie, chętny, żeby usłyszeć o tym.
- Nie opowiadałam o tym wiele, nawet ciotce.
- Proszę opowiedzieć to mnie.

– Wydaje się to takie absurdalne. Zdarzyło się to jeszcze w Schaffenbrucken. Było nas cztery i dowiedziałyśmy się, że jeśli usiądziemy pod drzewem... pewnym konkretnym drzewem... w lesie, o określonej porze... to miało mieć coś wspólnego z pełnią księżyca, a wtedy była nawet księżycowa Pełnia Łowców, wyjątkowo korzystny moment... Cóż, usłyszałyśmy, że jeśli usiądziemy pod tym dębem, możemy zobaczyć mężczyznę, którego jedna z nas poślubi. Wie pan, jakie dziewczęta potrafią być głupiutkie.

– Nie sądzę, żeby to było głupie. Uważam, że gdyby nie chciały poznać przyszłego partnera, wskazałyby, że mają umysły osób letargicznych i nieciekawych życia.

– Cóż, zrobiłyśmy to i był tam mężczyzna...

– Wysoki, ciemnowłosy i przystojny.

– Prawdę mówiąc, wysoki, jasnowłosy i przystojny. Wydawał się nam dziwny, nierealny, może z powodu tej historii. Rozmawialiśmy z nim przez chwilę i wróciliśmy do szkoły.

– To wszystko?

– Nie, zobaczyłam go znowu. W pociągu, kiedy wracałam do Anglii, do domu... trwało to zaledwie ułamek sekundy, był tam i zniknął. Potem spotkałam go na statku płynącym do Anglii. Byłam na pokładzie, na pół śpiąca. Działo się to w nocy i wtedy... wydawało się, że nagle pojawił się obok mnie. Rozmawialiśmy i jak sądzę, byłam bardzo senna, ponieważ kiedy otworzyłam oczy, już go nie było.

– Rozwiązał się w obłoczku dymu?

– Nie... po prostu odszedł w zwykły sposób. Zobaczyłam go znowu w pobliżu Grantley Manor, gdzie mieszkaliśmy. Rozmawiał ze mną i poznałam jego nazwisko. Powiedział, że odwiedzi nas, ale nie przyszedł. Potem... i to jest naprawdę dziwne, pojechałam tam, gdzie, jak powiedział, mieszka. Znalazłam dom. Był spalony. Spłonął ponad dwadzieścia lat temu. Zobaczyłam jego nazwisko na nagrobku. Nie żył od ponad dwudziestu lat. Nie sądzi pan, że to tak samo dziwne jak doświadczenia pana rodziny z diabłem?

– Nie sądziłem aż do momentu, kiedy opowiedziała pani o odwiedzeniu miejsca, gdzie jakoby mieszkał. To jest bardzo dziwne, zapewniam panią. Reszta daje się łatwo wytłumaczyć. Przypadkiem znalazł się w lesie. Przypisały mu panie szlachetne i w pewnym sensie supernaturalne cechy, ponieważ byłyście panie młode i wrażliwe i wierzyłyście w legendę. Zrobiła pani na nim wrażenie, co nie dziwi mnie wcale. Zobaczył panią w czasie podróży. Usiadł obok pani i rozmawialiście, a potem poczucie winy zadziało. Miał żonę i szóstkę dzieci czekających na niego w domu. Wymknął się więc niezauważony. Z kolei nie mógł oprzeć się chęci zobaczenia pani i zaczął się na panią. Miał złożyć wizytę pani i pani ciotce, i wtedy po raz kolejny lepsze cechy wzięły w nim górę i wrócił do domu, do rodziny.

Zaśmiałam się.

– To brzmi prawdopodobnie w pewnym sensie, ale nie tłumaczy napisu na nagrobku.

– Wybrał przypadkowe nazwisko. Nie chciał podać pani prawdziwego w obawie, że jakieś wieści o jego przygodach dotrą do uszu czekającej na niego ukochanej i wiernej żony. A teraz jeśli ja zaakceptuję pani opowieść o spotkaniu z mistycznym nieznanym,

pani musi zaakceptować opowieść o moich diabelskich przodkach.

– Nie wiem, dlaczego opowiadam panu o tym. Nikomu dotąd o tym nie mówiłam.

– To ta noc... noc zwierzeń. Czuje pani to? Wraz z narastaniem ciemności coraz łatwiej odczytuję pani myśli, a pani moje.

– Ale jak można to wszystko wytłumaczyć?

– Rozmawiała pani z duchem lub z mężczyzną, który zachowywał się jak duch. Wie pani, że ludzie potrafią robić różne dziwne rzeczy.

– Jestem przekonana, że można znaleźć logiczne wytłumaczenie pana historii i mojej też.

– Być może uda się nam znaleźć wytłumaczenie pani historii. Moja sięga zbyt daleko w przeszłość, żeby móc udowodnić coś poza tym, że nasze czyny są żywym świadectwem istnienia naszych antenatów.

Zorientowałam się, że się śmieję. Pomyślałam, że porto jest bardzo mocne. Byłam świadoma przyjemnego rozleniwienia i mojej pewności, że nie mam ochoty, by ten wieczór już się zakończył.

Jakby czytając w moich myślach, powiedział:

– Jestem bardzo szczęśliwy dzisiejszego wieczoru. Chciałbym, żeby nigdy się nie skończył. Nieczęsto się zdarza, żebym był tak szczęśliwy, Cordelio.

– Zawsze uważałam, że prawdziwe szczęście osiągamy przez służenie innym.

– Widzę, że pani misjonarscy przodkowie dochodzą do głosu.

– Wiem, że to brzmi mentorsko, ale jestem pewna, że to prawda. Najszczęśliwszą osobą, jaką kiedykolwiek znałam, jest moja ciotka. A jeśli się nad tym zastanowię, to ona zawsze nieświadomie robi coś dla dobra kogoś innego.

– Chciałbym ją poznać.

– Wątpię, żeby miał pan kiedykolwiek po temu okazję.

– Oczywiście, że będę ją miał – powiedział – ponieważ my dwoje będziemy przyjaciółmi.

– Tak pan sądzi? Ja uważam, że ta sytuacja jest nietypowa. Siedzimy tutaj w ciemności. Mamy gwiazdy ponad głowami, powietrze przesycone jest zapachem kwiatów i wpływa to na nas. Mówimy zbyt dużo... zbyt swobodnie... Być może jutro będziemy żałować tego, co powiedzieliśmy dzisiejszego wieczoru.

– Ja nie będę żałował niczego. Z chwilą kiedy zostawiłaś za sobą okres misjonarski, życie układało się pani gładko. Dobra wróżka-ciotka wyposażyła panią w suknię, dzięki czemu mogła pani pójść na bal; dynię zamieniła w karetę, a szczury w rumaki. Kopciuszek-Cordelia udaje się na bal. Właśnie spotyka Księcia i nie jest on efemerycznym duchem, będącym niczym innym jak tylko nazwiskiem na nagrobku. Wie pani o tym, Cordelio, prawda?

– Pana metafory przybierają tak niezwykle kształty, że rozbudzają mnie i przypominają, że już czas, bym powiedziała dobranoc.

– Widzi pani – ciągnął uparcie – ja nie spotkałem dobrej wróżki. Moje dzieciństwo było bardzo trudne. Przez cały czas musiałem być lepszym od innych. Nie okazywano mi czułości... nigdy. Nauczyciele, którzy musieli wykazywać się efektami nauczania mnie. Ciągłe nagany... głównie fizyczne. Byłem w więzieniu jak ten przystojny młodzieniec, który okazał się diabłem. Rosłem dziko, żądny przygód, często niegodziwy, zawsze szukający czegoś, sam nie wiedziałem czego. Wydaje mi się jednak, że zaczynam rozumieć czego. Potem zacząłem studiować na Oksfordzie.

Żyłem rozpustnie, bo sądziłem, że to tego szukałem. Ożeniłem się bardzo wcześnie...

z odpowiednią dla mojej pozycji młodą panną, która wiedziała o życiu równie mało jak ja. Miałem do wypełnienia obowiązek taki sam jak moja brzydka przodkini – spłodzić chłopca. Mój brat też ożenił się młodo. Miał dwie dziewczynki, jak pani wie. Dla mnie by to nie było nic ważnego, ale moja żona w trzy miesiące po ślubie miała wypadek w czasie jazdy konnej i w jego efekcie nie mogła już mieć dzieci. Nie powiem, że byłem tym zdruzgotany, ale sfrustrowany, owszem, i zawsze... nieusatisfakcjonowany. Ona zmarła. Pochowaliśmy ją tego dnia, kiedy pani przyjechała tu do szkoły.

– Wiem – powiedziałam łagodnie. – Wracał pan z pogrzebu.

– Musiałem uciec stamtąd. Nie mogłem już tego znieść. I wtedy zobaczyłem panią w alei.

– I zmusił mnie pan do wycofania się – przypomniałam mu.

– Widziałem panią przez chwilę, kiedy nasze powozy mijaly się. Wyglądała pani wspaniale. Inaczej niż wszystkie znane mi osoby. W tym powozie wyglądała pani jak heroina z przeszłości.

– Jak Boadicea? – zasugerowałam lekko.

– Od tego momentu chciałem panią poznać. A kiedy spotkałem panią zagubioną...

– Zabrał mnie pan na długą przejażdżkę wokół miasta.

– Chciałem móc rozmawiać z panią tak długo, jak to tylko możliwe. A teraz... to...

W tej chwili pomyślałam o ładnej kobiecie i dziecku, widzianych w ogrodzie „Gawroniej Przystani”, i powiedziałam:

– Zdaje się, że poznałam pańską przyjaciółkę. – Tak?

– Panią Marcie Martindale. Ma śliczną małą córeczkę. Milczał i pomyślałam, że nie powinnam była wspominać o tym. Zaczynam być nieostrożna i mówię bez zastanowienia. Jak mogłam mu w ogóle opowiedzieć historię o nieznanym z lasu? Co się ze mną dzieje?

Nagle wystraszyłam się, kiedy nad moją głową przemknął ciemny kształt. To było niesamowite i pomyślałam, że ten stary dom musi być zamieszkały przez nieznaną spokoju duchy, dusze tych, którzy nie zmarli w sposób naturalny. Może duch jego żony...

– Co to było? – wykrzyknęłam.

– To tylko nietoperz. Latają nisko dzisiejszej nocy. Zadrżałam.

– To nieszkodliwe małe stworzonka – ciągnął. – Nie wiem, dlaczego ludzie się ich boją.

– Dlatego, że zaplątują się ludziom we włosy, i mówi się o nich, że są szkodnikami.

– Nie zrobią krzywdy, jeśli my ich nie krzywdzimy. O... znowu nadleciał. To musi być ten sam. Jest pani naprawdę zaniepokojona. Sądzę, że uważa je pani za wysłanników diabła. Tak jest, prawda? Myśli pani, że przywołałam je, aby wykonały moje rozkazy.

– Uważam, że to tylko nietoperze – powiedziałam. – Ale nie oznacza to, że je lubię.

Mówiłam sobie, że muszę już iść, ale coś we mnie przemawiało za tym, żeby pobyć trochę dłużej. Chciałam zostać tu wśród tej magicznej nocy i dowiedzieć się więcej o tym mężczyźnie, a ujawniał o sobie wiele. Uważałam go za zuchwalca i aroganta. Był kimś takim, ale było w nim też coś innego: smutek, nawet bezbronność, coś, co w pewnym sensie poruszyło mnie.

I wtedy... nagle nie byliśmy już sami. Ona pojawiła się na patio. Miała na sobie strój do konnej jazdy i była bez kapelusza. Jej piękne rudawe włosy były podpięte w rodzaj wężła.

Rozpoznałam ją natychmiast.

– Jasonie! – zawołała przyduszonym głosem, w którym brzmiał smutek, desperacja

i gorzkie przygnębienie.

Wstał. Widziałam, że był bardzo niezadowolony.

– Co pani tu robi? – zapytał agresywnie.

Zadrżała i cofnęła się odrobinę. Białe dłonie, na których nosiła kilka pierścieni, miała skrzyżowane na piersi, ciężko falującej pod wpływem emocji.

– Usłyszałam, że wydarzył się wypadek. Bałam się, że to tobie, Jasonie, coś się stało. Szalałam z niepokoju.

Wyglądała wspaniale i udawało jej się jednocześnie wyglądać patetycznie. Zdaje się, że miałam przed sobą dawniej hołubioną kochankę, która już nie zadowalała tak jak kiedyś, a zdawała sobie z tego sprawę i miała z tego powodu złamane serce.

Przyciszonym głosem powiedział:

– Powinienem przedstawić panią pannie Grant, która jest z akademii dziewcząt.

– Już się poznałyśmy – odparłam. – Państwo wybaczą, ale muszę iść do Teresy. – Spojrzałam wprost na Marcie Martindale. Wydawało się, że emanuje z niej jednocześnie udręka, żal i rozpacz. – Jedna z naszych dziewcząt spadła z konia. To dlatego tu jestem. Spędza tu noc, a ja zostałam z nią, żeby jej doglądać.

Zobaczyłam ulgę na twarzy kobiety. Z pewnością była to jedna z najbardziej pełnych ekspresji twarzy, jakie kiedykolwiek widziałam. Jej uczucia każdy mógł z niej odczytać.

– Mam nadzieję... – zaczęła.

– Och, to nic poważnego – powiedziałam szybko. – Lekarz obawiał się wstrząsu mózgu i wydawało się, że będzie lepiej, jeśli zostanie tutaj na noc. Pani Keel pilnuje jej, dopóki ja nie pójdę na górę. Cóż, pożegnam się, a panu, sir Jasonie, dziękuję za gościnność.

Pospiesznie wróciłam do budynku, próbując znaleźć drogę do niebieskiego pokoju. Moje niedawne ożywienie przekształciło się w depresję.

Co stało się ze mną tam na zewnątrz? Ta noc miała w sobie coś magicznego. Było ciemno, to jedzenie, wino... jego osobowość, może moje niedoświadczenie... sposób, w jaki mówił, wszystko to było dla mnie takie pobudzające. Musiałam być kompletnie otumaniona, żeby chociaż przez chwilę wyobrazić sobie, że był innym człowiekiem, niż to wynikało z tego, co o nim słyszałam.

Teraz musiał tłumaczyć się kochance, którą zaniedbał, żeby spędzić wieczór z kimś dopiero poznanym.

Czegoś takiego mogłam się po nim spodziewać!

Ta kobieta zburzyła coś. I dobrze się stało. Sprowadziła mnie z powrotem na ziemię. Miałam nadzieję, że nie byłam zbyt niedyskretna. Usiłowałam sobie przypomnieć, co mówiłam. Jak udało mu się wciągnąć mnie w to? Prawie zaczęłam go lubić.

Na schodach spotkałam służącą i poprosiłam, żeby zaprowadziła mnie do niebieskiego pokoju.

Kiedy weszłam, pani Keel wstała z krzeselka.

– Śpi twardo. Przez cały czas nie poruszyła się nawet – powiedziała. – Czy pani tu teraz zostaje?

– Tak – odparłam. – Będę spała na połowie łóżka. Jest wystarczająco szerokie. Nie będę jej przeszkadzać, a jeśli się obudzi, zobaczy, że jestem przy niej.

– Oczywiście – powiedziała pani Keel. – Dobranoc.

Zamknęła cicho drzwi. Ciągle jeszcze czułam się ożywiona.

To przez jedzenie i wino, przekonywałam się. Nie ma to nic wspólnego z nim.

W zamku, w drzwiach tkwił klucz.

Przekręciłam go, zamykając nas.

Poczułam się bezpiecznie. Jutro, jeśli Teresa będzie się czuła wystarczająco dobrze, a wiedziałam, że tak się stanie, wrócimy do szkoły, a ja będę musiała, tak jak i Teresa, zapomnieć o naszej małej przygodzie.

* * *

Leżałam obok Teresy, ale sen nie przychodził. Byłam podekscytowana. Zastanawiałam się, o czym rozmawiają tam na dole sir Jason i Marcia Martindale. Mogłam sobie wyobrazić te oskarżenia. Chciałabym, żeby wiedziała, że nie musiała spędzać bezsennej nocy z mojego powodu. Nie należałam do tych, które mogły być zawojowane przez uznanego kobieciarza. Jednak kiedy rozmawiałam z nim, pomimo że miałam się na baczności i byłam przekonana, że z łatwością widzę go na wylot, muszę przyznać, że odrobinę mnie fascynował. Był zblazowany, bezwzględny, taki jak typowy „człowiek światowy”. Zorientowałam się, a i on był tego świadom, że mam mało doświadczeń z tego typu ludźmi. Nie miałam wątpliwości, że podkreślał swoje zainteresowanie mną. Nie byłam jednak na tyle niewinna, żeby nie zdawać sobie sprawy z tego, że człowiek taki jak Jason Verringer będzie w ten sposób zainteresowany jednocześnie wieloma kobietami.

Jaka niemądra byłam, sądząc nawet przez krótką chwilę, że on żywi do mnie jakieś szczególne uczucia. Zastanowiło mnie to, że opowiedziałam mu moją przygodę z nieznanym z lasu, podczas gdy nie mówiłam o tym nawet ciotce Patty. Stało się tak dlatego, że siedzieliśmy tam i robiło się coraz ciemniej i ciemniej, a nad głowami fruwały nietoperze. Gdyby był środek dnia, nigdy nie mówiłabym aż tyle.

Ale cóż, to było już poza mną. Gwałtowne zakończenie sceny nastąpiło z chwilą dramatycznego pojawienia się jego kochanki.

Zapomnij o tym mężczyźnie, podpowiadał mi mój zdrowy rozsądek. Zaśnij.

Zamknęłam oczy i spróbowałam. Drzwi zamknęłam dlatego, że podejrzewałam, iż może przyjść do sypialni pod pretekstem na przykład wytłumaczenia nagłego pojawienia się Marcu Martindale. Ale była tu Teresa, śpiąca przyzwoitka. Drzwi były zamknięte, a ona leżała obok mnie uśpiona.

W końcu zdrzemnęłam się.

Było ciemno, kiedy się przebudziłam. Przez chwilę nie mogłam się zorientować, gdzie jestem, aż w końcu wspomnienia napłynęły.

– Tereso! – powiedziałam miękko.

– Tak, panno Grant.

– Obudziłaś się już. – Wyczułam jej niepokój i ciągnęłam dalej: – Nie jesteś poważnie ranna. Za dzień lub dwa będziesz normalnie chodzić.

– Wiem.

– W takim razie, spróbuj po prostu zasnąć. Jest środek nocy. Nie masz się czego obawiać. Zostaniemy tu do rana i wtedy przyjedzie Emmet i zabierze nas.

– Chciałabym, żeby to nie było lato – powiedziała.

– Dlaczego nie! Ależ to najwspanialsza pora roku. Pomyśl o cudownym słońcu, spacerach, piknikach, wakacjach...

Urwałam. Jakaż byłam głupia, jaka nietaktowna. Przez chwilę panowała cisza, po czym zapytałam:

– Co będziesz robić w czasie wakacji, Tereso?

– Zostanę w szkole. – Jej głos brzmiał kompletnie bezbarwnie. – Sądzę, że panna

Hetherington będzie musiała zgodzić się na to, chociaż *to* dla niej uciążliwe. Jestem jedyną, która zostaje.

Nagle pod wpływem impulsu powiedziałam:

– Tereso, przypuśćmy... tylko przypuśćmy, że byłoby możliwe, bym zabrała cię ze sobą do domu na wakacje.

– Panno Grant!

– Cóż, sądzę, że mogłabym. Ciotka Patty nie miałaby nic przeciwko temu i Violet też. Musiałabym uzyskać zgodę panny Hetherington.

– Och, panno Grant... Zobaczą ciotkę Patty i pszczoły Violet. Och, panno Grant. Chcę tam pojechać... tak bardzo.

Wpatrywałam się w ciemność. Być może, zanim powiedziałam o tym, powinnam była lepiej to przemyśleć. Ale biedna Teresa! Była taka nieszczęśliwa i taka przygnębiona po tym incydencie. Musiałam to zaproponować i im więcej o tym myślałam, tym lepiej to się przedstawiało. Teraz Teresa nie zaśnie. Będzie chciała rozmawiać o ciotce Patty i jej domu na wsi.

– Sama nie wiem o nim jeszcze zbyt wiele. Nie byłam tam, kiedy to miejsce stało się już domem. Dla mnie to były zawsze po prostu puste wnętrza. One przeprowadziły się tam dopiero po moim przyjeździe do Colby. Znam go więc tylko z listów ciotki Patty.

– Proszę mi opowiedzieć o ciotce Patty. O tym, jak przysła panią powitać po pani powrocie z Afryki. W tym kapeluszu z piórem.

Opowiedziałam jej więc, jak to już wcześniej robiłam, i usłyszałam, jak zadowolona śmieje się. Wiedziałam, że perspektywa letnich wakacji odnawia jej siły bardziej, niż zrobiłoby to cokolwiek innego.

* * *

Następnego dnia przyjechał Emmet, żeby zabrać nas do szkoły. Pani Keel odprowadzała nas razem z dwiema służącymi i kiedy już miałyśmy wsiadać do powozu, pojawił się sir Jason.

Powiedziałam:

– Dziękujemy za pana gościnność. Tereso, podziękuj, proszę, sir Jasonowi.

– Dziękuję – powtórzyła posłusznie Teresa. Jej oczy ciągle błyszczały radością oczekiwania na letnie wakacje.

– Była to dla mnie wielka przyjemność – oświadczył – tak jak i nasza wspólna kolacja.

– Kulinarne arcydzieło – odparłam. – Jeszcze raz dziękuję panu i wszystkim. Wsiadajmy, Tereso.

– Mam nadzieję, że spotkamy się niebawem – powiedział, patrząc na mnie.

Uśmiechnęłam się lekko i pomogłam wsiąść Teresie, po czym zajęłam miejsce obok niej. Emmet pognął konie i odjechaliśmy. Sir Jason patrzył wprost na mnie, jak mi się wydawało, prosząco i znowu poczułam ukłucie litości dla niego; jestem pewna, że gdyby o tym wiedział, rozbawiłoby go to.

Daisy Hetherington czekała na nas. Przywitała się ze mną i jej wzrok pobiegł natychmiast ku Teresie.

– Nie wyglądasz gorzej po tej przygodzie – powiedziała. – Wejdźcie do środka. Co powiedział lekarz, panno Grant? Czy Teresa musi odpocząć przez jakiś czas?

– Tak. Dzisiaj. Zaprowadzę ją do pokoju. Dzisiaj powinna poleżeć w łóżku, a co

będzie jutro, zobaczymy.

– Kiedy już ją pani ulokuje, proszę przyjść do mojego pokoju, panno Grant. Chciałabym porozmawiać z panią.

– Oczywiście – odpowiedziałam.

Zaprowadziłam Teresę do pokoju i pomogłam jej się położyć.

– Poprosi pani teraz pannę Hetherington? – szepnęła konspiracyjnie.

– Tak – powiedziałam. – Przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– I powie mi pani od razu?

– Obiecuję.

Kiedy szłam do panny Hetherington, spotkałam Charlotte i dziewczęta Verringerów. Powiedziałam do nich:

– Teresa jest już z powrotem. Może być jeszcze trochę zszokowana. Chcę, żebyście wszystkie były bardzo ostrożne. Nie wspominajcie o tym incydencie, jeśli ona tego nie zrobi. Czy to jasne?

– Tak, panno Grant. Tak, panno Grant. Tak, panno Grant. Nawet ze strony Charlotty padło pełne zrozumienia potwierdzenie. Odrobina autorytetu działała cuda.

– Wy trzy jeździec bardzo dobrze – ciągnęłam. – Tak się złożyło, że jesteście wyjątkowo dobrymi amazonkami. – Patrzyłam na Charlotte, która aż poczerwieniała z radości. – Musicie zrozumieć, że nie wszyscy będą radzić sobie z tym tak dobrze, ale mogą być utalentowani w innych kierunkach.

Poszłam dalej. Miałam nadzieję, że Charlotta nie zarzuci Teresie tchórzostwa, jeśli ta nie będzie chciała jeździć przez jakiś czas. Wierzyłam, iż rzeczywiście udało mi się do niej dotrzeć, wykorzystując jej miłość do koni, może jeszcze w niewielkim stopniu, ale to już był początek. Zaczęłam wtedy myśleć o tym, że wiele osób postępuje źle, dlatego że czuje potrzebę samopotwierzenia się. Kiedy już ich sukcesy zostają uznane, ta potrzeba przestaje istnieć. To było coś, co chciałam przedyskutować. Na pewno nie z Daisy Hetherington, ale z Eileen Eccles, ciotką Patty i interesujące też mogło być usłyszenie zdania sir Jasona.

Daisy czekała na mnie.

– Proszę usiąść, panno Grant. Co za niefortunne wydarzenie! I to właśnie tam...

– Lepiej tam niż gdzieś na pustkowiu – zauważyłam. – Przynajmniej Teresa otrzymała szybką pomoc.

– Zrozumiałam, że to tylko potłuczenia.

– Nie ma żadnych złamań. Miała szczęście. Oczywiście jest w szoku.

– Czasami myślę, że lepiej by było, gdybym nigdy nie przyjęła Teresy Hurst.

– To bardzo miła dziewczynka.

– Zdaje się, że wyjątkowo sobie ciebie upodobała, Cordelio. Bądź ostrożna. Takie obsesje czasami mogą być bardzo uciążliwe.

– Problemem Teresy jest to, że jest samotna. Czuje się niechciana z powodu swojej sytuacji rodzinnej. A przy okazji: jest bardzo przygnębiona z powodu nadchodzących wakacji. Może zbyt pochopnie, ale obiecałam jej, że jeśli wszyscy się na to zgodzą, zabiorę ją ze sobą do domu.

– Zabierzesz ją do siebie do domu! – wykrzyknęła Daisy. – Moja droga Cordelio!

– W środku nocy, kiedy mała była tak przygnębiona, wydawało mi się to dobrym pomysłem, i po tym, co się stało, obiecałam jej...

Daisy powoli uśmiechnęła się.

– To wyjątkowo szlachetne z twojej strony i jestem pewna, że Patience nie będzie

miała nic przeciwko temu.

– Czy w takim razie mam pani zgodę?

– Moja droga Cordelio, nic nie ucieszy mnie bardziej niż możliwość ulokowania tego dziecka gdzieś w czasie wakacji. To dodatkowy kłopot, jeśli one zostają w szkole i niewart ceny, jaka jest za to płacona. Wyobraź sobie to dziecko tutaj, przez cały czas bez towarzystwa w swoim wieku. I ta odpowiedzialność. Jeśli o mnie chodzi, całym sercem podpisuję się pod tym. Masz moje tak. Ale są jeszcze rodzice.

– Przebywają w Rodezji.

– Myślę o opiekunach, którzy są tutaj. O kuzynach... napiszę do nich z prośbą o zgodę na to, żeby Teresa spędziła wakacje z tobą. Napiszę im, że twoja ciotka, u której się zatrzymacie, jest moją dobrą przyjaciółką i że mogę zagwarantować, że Teresa będzie w najlepszych rękach, skoro nie może być razem z własnymi rodzicami.

– Och, dziękuję, panno Hetherington. Nie ma pani nic przeciwko temu, żeby od razu powiedziała o tym Teresie? Czeka z wielką niecierpliwością.

– Oczywiście. Jest jeszcze jedna sprawa, Cordelio. Czułam się bardzo nieswojo, zostawiając cię na noc we Dworze.

– Wiem o tym i cenię pani troskę o mnie.

– Czuję się na równi odpowiedzialna za mój personel, jak i za dziewczęta. Czy jadłaś kolację razem z sir Jasonem?

– Tak.

– Ma reputację raczej bezpośredniego w kontaktach z kobietami.

– Potrafię sobie to świetnie wyobrazić.

– Mam nadzieję, że nie narzucił się w żaden sposób.

– Nie. Prawdę mówiąc, po kolacji pojawiła się Marcia Martindale. Odeszłam wtedy i wróciłam do Teresy, zwalniając panią Keel, która była tak miła, że zaoferowała, że będzie czuwać przy Teresie, kiedy ja będę jadła.

Wyraźnie było widać ulgę na twarzy Daisy. Poszłam stamtąd prosto do Teresy.

– Pierwsze przeszkody pokonane – powiedziałam. – Panna Hetherington jest całym sercem za. Teraz pozostają jeszcze kuzyni. Napisze do nich dzisiaj.

– Odpowiedzą: „Tak, proszę bardzo”. Nie mamy się czego obawiać z ich strony. Och, panno Grant, spędzę wakacje z panią i ciotką Patty!

Letnie interludium

Kuzyni Teresy odezwali się i byli zachwyceni naszą propozycją. Zapewnili, że skoro panna Grant jest tak rekomendowana przez pannę Hetherington, są przekonani, że dobrze zaopiekuje się Teresą.

– Tak jakby ich to obchodziło – powiedziała Daisy. – Z każdego ich słowa sączy się ulga.

Ciotka Patty napisała, że to pomysł godny pochwały i że Teresę ulokujemy w pokoju przyległym do mojego. Zrobiła zasłonki z niebieskiego muślinu wyszywanego w listki. Narzutę na łóżko dobrała w tym samym kolorze. Są bardzo piękne, ale Violet twierdzi, że nie wytrzymają wielu prań. Gdyby wierzyć we wszystko, co mówi Violet! Nie może się doczekać chwili, kiedy odbierze nas ze stacji.

Pokazałam ten list Teresie, która od tej chwili śniła o pokoju z niebieskimi muślinowymi zasłonami wyszywanymi w listki.

Od czasu wypadku nie siadła na konia. Wszyscy uważali, że powinna, ale powiedziałam pannie Hetherington, że Teresa przeżyła wielki szok i że za każdym razem, kiedy ten temat jest poruszany, dziewczynka drży, a jeszcze nie znamy do końca konsekwencji jej upadku. Zdecydowałyśmy więc, że pozwolimy Teresie zrobić tak, jak chce.

Charlotta i jej popleczniczki nie nękały jej, jak się tego obawiałam. Być może to moje słowa odniosły skutek, a może dziewczęta były zbyt podekscytowane zbliżającymi się wakacjami.

Sir Jason nie pokazał się. Słyszałam, że wyjechał do Londynu. Zaczęłam sobie uświadamiać, że nasze spotkanie nie było w żadnym sensie znaczące. Był gotów uznać je za tak zwaną przygodę, ot, potraktowany lekko flirt. Jako że nie zareagowałam na sytuację entuzjastycznie, on, preferując łatwiejsze zdobycze, uznał plan za niewart zabiegów już w trakcie jego realizacji. Było mi wstyd przed samą sobą, że tak wiele myślałam o nim. Musiałam przestać to robić. Incydent na patio muszę wymazać z pamięci, tak jak to próbowałam robić w przypadku nieznanego z lasu. Należy umieć akceptować dziwactwa innych, nie próbując ich tłumaczyć, skoro wiadomo, że nikt nie może wiedzieć, co dzieje się w ludzkich umysłach. Przyzwolenie, aby człowiek pokroju Jasona Verringera chociaż w najmniejszym stopniu zakłócił moją równowagę wewnętrzną, byłoby wysoce niemądre. Muszę zapomnieć o nim kompletnie.

Reszta semestru minęła szybko i z początkiem lipca dziewczęta nie mówiły o niczym więcej jak tylko o letnich wakacjach, tych najdłużej trwających i najbardziej wyczekiwanych.

Nadszedł dzień, kiedy nasz pociąg zatrzymał się na stacji. Powitała nas ciotka Patty, w nakryciu głowy koloru piaskowego ozdobionym niebieskożółtymi kwiatami. Widziałam, jak oczy Teresy błyszczały podnieceniem, i byłam przekonana, że ciotka Patty sprosta wizerunkowi, jaki wykreowałam.

– Jesteście. – Znalazłam się w pachnących lawendą objęciach, co przywołało wspomnienia. – A to Teresa?

Teresa też została uściśnięta.

– No i jesteśmy wszyscy w Moldenbury. Violet jest przy powozie. Nie chciała zostawiać konia. Tom weźmie wasze bagaże. Tutaj, Tomie – powiedziała do pracownika stacji.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. To było takie typowe dla ciotki Patty: nawiązać

przyjacielskie stosunki ze wszystkimi w rekordowo szybkim tempie. Wydawało się, że już czuła się tutaj jak w domu, tak jak to było w Grantley.

– Vi, Vi, możesz zostawić konia i przywitać nasze dziewczęta.

Violet wyglądała dokładnie tak jak zawsze: z ciemnoblond włosami wymykającymi się spod brązowego kapelusika, który w porównaniu ze wspaniałością kreacji ciotki Patty prezentował się bardzo niepozornie.

– Dziewczęta są tutaj, Violet. To jest Teresa.

– Witaj, Tereso – powiedziała Violet, tak jakby znały się od lat. – I ty, Cordelio. – Uścisnęłyśmy się gorąco. Bardzo lubiłam Violet i wiedziałam, że ona też mnie lubi.

Violet powoziła, a Teresa i ja siedziałyśmy naprzeciwko ciotki Patty, podczas gdy pokonywałyśmy drogę, podskakując na jej nierównościach. Ciotka Patty mówiła bez przerwy.

– Dom będzie się wam podobał. To oczywiście nie Grantley. Zanim się przeprowadziłyśmy, miałyśmy wielki dom, Tereso. To taka duża zmiana, ale na lepsze. Małe domy mają coś w sobie... są ciepłe i przytulne. Pamiętasz, Cordelio, jak wiatr świszczal w tych oknach w Grantley? Boże mój, człowiek się czuł, jakby zaraz miał ulecieć pod obłoki. Tutaj w Moldenbury nic takiego się nie dzieje, nawet jeśli wiatr zawodzi, a jest tak czasami, jesteśmy cieplutkie jak świeże tosty. Lubisz tosty, Tereso? Ja jestem ich wielbicielką. Nie ma nic lepszego niż porcja tostów dobrze przesiąkniętych masłem. Zawsze trzymamy je nad naczyniem z parującą wodą. Prawda, Cordelio? Tak jak robiła to moja babcia. Lubię stare tradycje, Tereso. Stare sposoby są najlepsze, tak mawiała moja babcia. Sądzę, że chyba miała rację.

Ciotka Patty gawędziła przez całą drogę, aż w końcu wygramoliłyśmy się z powozu i weszłyśmy do domu.

Był to początek idealnych wakacji dla Teresy i dla mnie. Jej wszechobecna radość powodowała, że wszystko cieszyło podwójnie. Byłam taka dumna z ciotki Patty, która miała dar rozsiewania radości wokół siebie. Jak śmiałyśmy się, widząc Violet, zerkającą sponad swoich okularów, unoszącą wzrok ku niebu i proszącą nas ciągle, abyśmy uważały na to, do czego znowu zmierza nasza ciotka Patty.

Violet była wspaniałą oponentką dla ciotki Patty: zawsze widzącą tylko ciemne strony życia, ciągle podającą w wątpliwość wszechwiedzę ciotki Patty, zawsze przerażoną jej impulsywnością, ale kochającą ją tak samo mocno jak i my.

Teresa nigdy wcześniej nie przebywała w tego typu domostwie. Dokonywały się w niej zmiany. Straciła swoją nieśmiałość. Bo czegoż miała się tutaj obawiać? Zawsze było tyle rzeczy do zrobienia, a co dziwne, Teresa spędzała więcej czasu z Violet niż którakolwiek z nas.

Szybko została zauważone jej zamiłowanie do kwiatów i roślin, a jako że to Violet zajmowała się ogrodem, Teresa wkrótce już zaczęła jej pomagać. Rozmawiały ciągle o warzywniku i o grządkach z kwiatami. Ja i ciotka Patty nie odzywałyśmy się w takich razach, tylko spoglądałyśmy w milczeniu. Ale nawet Teresa śmiała się razem z nami, kiedy Violet mówiła, że osy zjedzą większość śliwek, a plaga zielonych muszek zniszczy najpiękniejsze róże.

Teresa chodziła z Violet do ogrodu po warzywa potrzebne do obiadu i obydwie rozmawiały o sadzeniu i pieleniu tak, jakby Teresa miała być z nami zawsze.

Ciotka Patty szybko stała się dobrze znana mieszkańcom wioski i zaangażowała się głęboko w różnego rodzaju działalność tej społeczności. To było to, co zawsze chciała robić w Grantley, a na co nigdy nie miała czasu. Ta nowa rola bardzo jej służyła. Była

urodzoną organizatorką i miała odegrać ważną rolę w przygotowaniu fety, zaplanowanej w czasie tych wakacji. Wszyscy zostali do tego wciągnięci. Violet i Teresa miały poprowadzić stoisko z kwiatami. Ja i ciotka Patty też dostałyśmy swoje zadania i przygotowania do tego wydarzenia trwały już od wielu dni.

Byłam zdumiona entuzjazmem Teresy.

W wiosce mieszkał emerytowany major, który prowadził stadninę koni wierzchowych. Udało mi się namówić Teresę, żeby spróbowała ponownie dosiąść konia. Myślę, że zgodziła się dlatego, że chciała okazać mi swoją wdzięczność. Opowiedziałam majorowi, co spotkało Teresę, i wtedy zaprezentował mi klacz o imieniu Śnieżyczka. Wyjaśnił mi, że miała już swoje lata, a pysk niczym skórka z powodu ciągłego mocnego ściągnięcia wodzy.

– Wszyscy początkujący zaczynają u mnie na Śnieżyczce – powiedział. – Potrafi być uparta jak muł, ale bezpiecznie na niej jak u mamy.

Zabrałam więc Teresę na przejażdżkę i po tym pierwszym poranku była gotowa znowu zacząć jeździć. Uznałam to za wielkie osiągnięcie.

Mijały tygodnie. Dni były długie, pełne słońca, ponieważ było to ładne lato. A kiedy padało, zawsze było coś do zrobienia w domu. Zastanawiałam się, czym zajmiemy Teresę w takie dni, ale niepotrzebnie się niepokoiłam. Chodziły razem z Violet do przechowalni nasion, a wieczorami ślęczały wspólnie nad katalogami nasiennymi.

– Zawsze chciałam mieć chociaż skrawek ogródka tylko dla siebie – powiedziała Teresa.

– Łatwo można to zaaranżować – oznajmiła ciotka Patty. – Na pewno gdzieś w tym wielkim ogrodzie znajdzie się takie miejsce.

Violet zastanowiła się nad tym poważnie i powiedziała:

– Co powiecie o tym kawałku przy ogródku skalnym? Nigdy nie udało nam się go zagospodarować. Tak, to dobra myśl. Co chciałabyś tam posadzić?

Razem z Teresą zaczęły się zagłębiać w dyskusję na ten temat, aż w końcu Teresa zakrzyknęła:

– Ale ja jestem tu tylko przez te wakacje.

Violet nie znajdowała pocieszenia w tym momencie, ale ciotka Patty była przygotowana na taką ewentualność:

– Ależ, moja kochana, ten skrawek ziemi będzie twój tak długo, jak tylko zechcesz. Mam nadzieję, że nie dajesz nam do zrozumienia, iż nie przyjedziesz już do nas.

Teresa tak się wzruszyła, że niemalże zaszlochała.

– Przyjadę. Tak. Nie zniósłabym tego, gdybym nie mogła.

– Więc to już ustalone – powiedziała ciotka Patty. – Jak nazwiemy ten ogródek? Marzenie Teresy, Skarb Teresy?

– Sądząc po jakości tej ziemi, to będzie Udręka Teresy – powiedziała Violet. – Ma dużo ługu.

Wszystkie zaczęłyśmy się śmiać i rozpoczęło się planowanie ogródka Teresy. Dobrze znałam Teresę i wiedziałam, że myśli nie tyle o planowaniu ogródka, ile o tym, że znowu tu przyjedzie.

Ciotka Patty była oczywiście bardzo zainteresowana szkołą i przez pierwsze dni wakacji wiele mówiła o tym. Działo się to, kiedy Teresa była w ogrodzie z Violet, ponieważ nie o wszystkich sprawach mogłam mówić w obecności jednej z wychowanek.

Ciotka Patty słuchała z wielkim zainteresowaniem. Chciała wiedzieć, jak Daisy Hetherington prowadzi swoją szkołę. Była pełna podziwu dla niej i w żaden sposób nie

czuła zazdrości, ponieważ Daisy odniosła sukces tam, gdzie jej się nie udało. Prawdę mówiąc, ciotka Patty wcale nie uważała, że jej się nie udało.

– Podoba mi się tutaj, Cordelio – powiedziała. – Tego zawsze chciałam. Sprzedałam wszystko w odpowiednim momencie. Mam dosyć, aby żyć wygodnie... bez wielkich luksusów oczywiście, ale co znaczy luksus w porównaniu z dobrym samopoczuciem? Jesteśmy tu bardzo szczęśliwe, szczęśliwsze nawet, niż byliśmy w Grantley. Tam miałyśmy wiele dokuczliwych problemów. Niektórzy rodzice potrafili być trudni i, mój Boże, wychowanki też.

Opowiedziałam jej o buntowniczej szlachetnie urodzonej Charlotcie i jej przybocznej, Eugeniu Verringer, bratanicy człowieka, który jest właścicielem Dworu i szkoły też, i większości ziem w okolicy.

– Ma dwie bratanice, Fionę i Eugenię, obydwie uczęszczają do szkoły. Eugenia to ta sprawiająca kłopoty.

Chciała, żebym opowiedziała o wypadku Teresy, i zrobiłam to, nie wspominając o mojej kolacji *tete-d-tete* z sir Jasonem. Tak samo nie miałam ochoty mówić o tym jak o tamtej mojej przygodzie.

Ciotka Patty zapytała:

– Czy miałaś jakiś kontakt z dziewczętami, które były z tobą w Schaffenbrucken? Kiedyś tak wiele o nich opowiadałaś. To znaczy, o tych, z którymi przyjaźniłaś się najbardziej.

– Nie. Obiecywałyśmy, że będziemy pisać do siebie, ale nic z tego nie wyszło. Czasami ma się zamiar... a potem dzieje się coś takiego, że zapominasz o tym. Dni mijają i wszystko to wydaje się teraz takie dalekie.

Rozbudziła tym pytaniem moje wspomnienia. Myślałam o tym, jak leżałyśmy wszystkie w lesie na trawie, opierając głowy na splecionych rękach... kiedy nagle pojawił się on.

– Któraś musi napisać pierwsza – powiedziała ciotka Patty. – Masz ich adresy?

– Tak, wszystkie wymieniłyśmy się adresami.

– Jak one się nazywały? Próbuję sobie przypomnieć. Jedna z nich była Niemką, była też Francuzka i Angielka.

– To prawda. Lydia Markham była Angielką. Kolejna to Monique Delorme i Frieda Schmidt. Ciekawa jestem, co teraz robią.

– Napisz do nich. Może się dowiesz.

I tak też zrobiłam.

Dni mijały z niesamowitą prędkością. Tak wiele się działo. Urządziłyśmy piknik. Zabrałyśmy ze sobą dwukólkę i jeździłyśmy z turkotem po drózkach. Violet przygotowała koszyk z jedzeniem i narzekała na turkotanie dwukółki, które jej zdaniem skwasi mleko. Okazało się to doskonałym dowcipem, kiedy tak się rzeczywiście stało.

Rozłożyłyśmy się na środku łąki, zagotowałyśmy wodę w kociołku i wypiliśmy herbatę, bez mleka niestety. Byłyśmy napastowane przez muchy i niepokojone przez osy. Grałyśmy też w zgadywanki.

– Macie swój piknik – powiedziała Violet, kiedy znalazłyśmy mrówki rojące się na biszkopcie.

I byłyśmy takie szczęśliwe tego dnia.

Rozleniwione słońcem wróciłyśmy z turkotem do domu. Wyciągnęłyśmy się na trawie w ogrodzie i rozmawiałyśmy o innych naszych piknikach. Opowieści ciotki Patty były pełne humoru, a historie Violet charakterystycznie dla niej smętne. Byłam

zdziwiona, obserwując Teresę: w jednej chwili skoncentrowaną, słuchającą zachłannie, a w drugiej turlającą się w niepohamowanej wesołości.

Zdarzały się też takie letnie wieczory, kiedy było na tyle ciepło, że jadłyśmy kolację w ogrodzie. To były wspaniałe dni. Kiedy myślę o nich, widzę ciotkę Patty w kapeluszu przystrojonym makami, siedzącą w ogrodzie z miską na kolanach i bardzo sumiennie wyłuskującą groszek, który wrzuca do niej. Widzę Teresę leżącą na trawie. Oczy ma półprzymknięte; słyszę brzęczenie pszczoł Violet. Przypominam sobie wieczory przepojone zapachami nocy i doskonały spokój.

Bardzo się ucieszyłam listem, jaki nadszedł od Friedy. Należało się spodziewać, że ona pierwsza odpisze. Zawsze była obowiązkowa. Napisała, że miło jej, że się odezwałam. Ma przed sobą jeszcze jeden semestr, zanim opuści Schaffenbrucken. Bardzo im mnie brakowało, zwłaszcza że Lydia musiała wyjechać wcześniej, niż się tego spodziewała. Czytając list Friedy, poczułam się, jakbym była znowu z nimi, i najwyraźniej szkoła nie zmieniła się od tamtej pory.

Nie wiedziałam, że Lydia wyjedzie tak szybko. Sądziłam, że będzie tam jeszcze przez rok. Musiało się coś stać. Wolałabym mieć jakąś wiadomość od niej samej.

– No i proszę – powiedziała ciotka Patty. – Każda z was czekała, aż ta druga napisze. Ktoś musi zrobić pierwszy krok. Macie życie przed sobą. Tamte też się odezwą. Lydia mieszka niedaleko stąd, prawda?

– Nie, w Essex... i w Londynie oczywiście.

– To całkiem blisko nas. Być może wpadnie, żeby się z tobą zobaczyć. Byłoby miło. Ją chyba najbardziej lubiłaś.

– Miałyśmy wiele wspólnego. Myślę, iż to dlatego, że jest Angielką.

– To mogło być to. Odezwą się, zobaczysz.

Tydzień później dostałam list od Monique.

Ona też miała opuścić szkołę z końcem następnego semestru, tak samo jak Frieda. „Cieszę się, że chociaż ona jest ze mną. Przynajmniej nie jestem zupełnie sama. To dziwne, że ty teraz uczysz. Było mi przykro, kiedy usłyszałam o Grantley. Zawsze wydawało mi się takie wspaniałe. Myślę, że poślubię Henriego zaraz po powrocie z Schaffenbrucken. Mimo wszystko. Będę już wtedy dostatecznie dorosła. Cudownie było usłyszeć coś od ciebie. Napisz znowu, Cordelio”.

– No widzisz – powiedziała ciotka Patty. – A nie mówiłam?

Co dziwne, nie miałam odpowiedzi od Lydii. Nie myślałam o tym aż do momentu, kiedy znalazłam się w Akademii i napisałam do ciotki Patty, żeby przesłała mi list od Lydii, gdyby nadszedł. To było nietypowe, żeby nie odpisała mi właśnie ona, która mieszkała najbliżej i z którą przyjaźniłam się najbardziej.

Pod koniec wakacji zapomniałam o Lydii, bowiem wydarzyło się coś, co wyparło z mojego umysłu myśli o dawnej przyjaciółce.

Pewnego popołudnia byłam u siebie w pokoju i czytałam, kiedy weszła do mnie podekscytowana Violet.

– Jest tu pewien pan. Przyjechał zobaczyć się z tobą. Jest w ogrodzie z Patty.

– Pan? Kto taki?

– Sir Jakiśtam Jakiśtam – powiedziała Violet. – Nie zapamiętałam dobrze jego nazwiska.

– Sir Jason Verringer?

– Tak, to chyba tak brzmiało. Twoja ciotka powiedziała do mnie: „Violet, to jest sir Jakiśtam Jakiśtam. Przyjechał, żeby zobaczyć się z Cordelią. Pójdź, proszę, do jej pokoju

i powiedz, że czeka na nią”.

– Mówisz, że jest w ogrodzie?

Spojrzałam na swoje odbicie w zabytkowym lustrze, które zawsze podziwiałam, kiedy było w pokoju ciotki Patty, a teraz zostało przeniesione do mnie.

Rumieńce na moich policzkach zintensywniały.

– Co on tu robi, na Boga!

Zerknęłam z ukosa na Violet. To nie było mądre z mojej strony. Tak jakby ona mogła wiedzieć. Powiedziałam:

– Już schodzę.

Kiedy się pojawiłam, ciotka Patty zerwała się z fotela, na którym siedziała. Miała na głowie olbrzymi kapelusz, którym chroniła się od słońca w ogrodzie i w którym wyglądała jak dorodna pieczarka.

– Ach – zawołała. – Oto i moja bratanica.

– Panno Grant... Cordelio – powiedział, podchodząc do mnie i wyciągając ku mnie ramiona.

– To pan... pan pojawił się, żeby nas odwiedzić – zająknęłam się otumaniona.

– Tak, wracałem z Londynu i ponieważ byłem niedaleko...

Był niedaleko? Co przez to rozumiał? Moldenbury nie było po drodze z Londynu do Devon.

Ciotka Patty obserwowała nas, przekrzywiając głowę lekko na jedną stronę, co wskazywało na jej wyjątkowe zaabsorbowanie.

– Może napiłby się pan herbaty? – zapytała. – Zajmę się tym. Usiądź na moim miejscu, Cordelio. Ty i pan, pan...

– Jason Verringer – podpowiedział.

– Możecie porozmawiać – dokończyła ciotka Patty i zniknęła.

– Jestem zaskoczona pana zjawieniem się tutaj – zaczęłam.

– Czy moglibyśmy usiąść, jak sugerowała pani ciotka? Odwiedziłem panią, żeby się pożegnać. Wyjeżdżam za granicę i nie będzie mnie w Colby przez kilka miesięcy. Czuję, że muszę to pani wyjaśnić.

– Ach tak.

– Jest pani zaskoczona. Nie chciałem wyjechać bez słowa.

Patrzyłam wprost na grządki lawendy, w widoczny już sposób przetrzebione, gdyż Violet zebrała większość, aby zrobić wonne saszetki do szaf ciotki Patty.

– Jestem zaskoczona, że uznał pana za konieczne pojawić się tu.

– Cóż, uważam, że przyjaźnimy się w sposób szczególny i zważywszy wszystko, co zaszło, chciałem powiadomić panią o swoim wyjeździe. Tak niedawno owdowiałem, a to wielkie przeżycie stracić kogoś, z kim żyło się przez tyle lat... nawet jeśli można było się spodziewać tej śmierci. Poczuję, że muszę natychmiast wyjechać. Na kontynencie mam kilku dobrych przyjaciół, których mogę odwiedzić. Chcę zrobić wielką turę... Francja, Włochy, Hiszpania... pomyślałem, że powinienem powiedzieć *au revoir*.

– Mogę tylko powtórzyć, że jestem zaskoczona, iż przyjechał pan aż tutaj, by się pożegnać. Po powrocie do szkoły usłyszałabym o tym w zwykły sposób, jeśli wolno mi zauważyć.

– Ależ ja jak najbardziej chciałem, by pani wiedziała, że wyjeżdżam, a szczególnie to, jak bardzo będę czekał na zobaczenie pani po powrocie.

– Jestem zaszczyczona zupełnie nieoczekiwanie. Już za chwilę będziemy mieć herbatę. Napije się pan z nami?

– Byłbym zachwycony. To taka wielka przyjemność rozmawiać z panią.
– Kiedy pan wyjeżdża? – zapytałam.
– W przyszłym tygodniu.
– Mam nadzieję, że to będzie interesująca podróż. Tego typu wyprawy bywają zwykle punktem przełomowym w życiu młodego człowieka.
– Nie jestem już ani taki młody, ani nie szukam punktów przełomowych.
– Po prostu po takiej stracie czuje pan potrzebę podróżowania. Rozumiem.
– Kiedy ktoś umiera, ma się różne wątpliwości.
– Myśli pan o... sumieniu?
– Hm. Sądzę, że trzeba sobie z tym poradzić.
– Mam nadzieję, że nie okaże się ono zbyt potężnym przeciwnikiem.
Zaczął się śmiać, a ja nie wytrzymałam i zaśmiałam się razem z nim.
– Jak dobrze być z panią – powiedział. – Droczy się pani ze mną, prawda?
– Przepraszam. Nie powinnam... zwłaszcza w tym kontekście.
– Wiem o plotkach, jakie krążą o mnie. Chciałbym, żeby pani pamiętała jednak, że na plotkach nie zajędzie się daleko... bardzo często.
– Och, nie zwracam uwagi na plotki.
– Nonsens. Każdy zwraca uwagę na plotki.
– Ale pan z pewnością nie musi przejmować się nimi.
– O tyle tylko, o ile nie wywierają one efektu na osobach, na których chce się zrobić dobre wrażenie.
– Czy mam przez to rozumieć, że próbuje pan zrobić na mnie dobre wrażenie?
– Tak... i to bardzo żarliwie. Chcę, żeby wzięła pani pod uwagę to, że mogę nie być aż tak czarnym charakterem, jakim mnie przedstawiają, chociaż ostatnie, czego bym chciał, to to, żeby uważała mnie pani za świętego.
– Niech pan będzie spokojny, nie przyszłoby mi to łatwo.
Znowu śmialiśmy się.
– Z przyjemnością wspominam wieczór, który spędziliśmy razem – powiedział ze smutkiem.
– Miło było z pana strony, że pozwolił pan mnie i Teresie zostać we Dworze. Teresa jest teraz u nas.
– Tak, słyszałem, że zabrała ją pani ze sobą.
– Już zaraz wszystkie przyjdą na herbatę.
– Chciałbym móc rozmawiać z panią jeszcze i jeszcze. Jest tyle rzeczy, które chciałbym powiedzieć.
– A oto i Teresa – ciągnęłam. – Mamy gościa, Tereso. Znasz sir Jasona Verringera.
– Oczywiście – odpowiedziała Teresa. – To wujek Fiony i Eugenii.
Jason zaśmiał się.
– W oczach Teresy jestem znaną postacią – powiedział. – Wujek Fiony i Eugenii! Spada na mnie oczywiście tylko odblask sławy.
– To cenne być rozpoznawalnym, bez względu na to, jaki jest tego powód – odparłam.
Pojawiły się ciotka Patty i Violet i podano herbatę.
Rozmowa toczyła się wokół życia wioski, a to, co mówiła o nim ciotka Patty, było trafne i zabawne. Teresa częstowała wszystkich, jak robiłaby to córka gospodyni, i po raz kolejny dziwiłam się zmianie, jaka w niej zaszła. Prezentowaliśmy sobą klasycznie miłą scenkę. Herbatka serwowana na trawniku przed domem i gość, który będąc w pobliżu,

zaszedł na chwilę.

Nie mogłam jednak przejść do porządku dziennego nad faktem, że on pojawił się tu, i zastanawiałam się, jakie mogły być prawdziwe motywy tego kroku. Zobaczyć się ze mną oczywiście. Ale dlaczego? To pytanie ekscytowało mnie bardzo i byłam z tego powodu niezadowolona z siebie. Violet zapytała, czy przyjechał pociągiem o trzeciej trzydzieści, i potwierdził to.

– W takim razie będzie pan wracał tym o szóstej.

– Jeśli – weszła jej w słowo ciotka Patty – nie zostaje pan tu na dłużej. Gdyby to było w Grantley, mogłybyśmy pana przenocować. Tutaj jednak mamy zbyt mało pokoi. Oczywiście w samym Moldenbury jest „King’s Arms”.

– Słyszałam, że jedzenie jest tam kiepskie – powiedziała Violet.

– Ale pieczeń wołową robią wspaniałą – dodała ciotka Patty. – Są z tego znani.

– Umówiłem się z dorożkarzem, że przyjedzie po mnie za piętnaście szósta – powiedział.

– Nie ma pan już w takim razie wiele czasu, prawda? – oświadczyła ciotka Patty. – Cordelio, może pokazałabyś ogród sir Jasonowi.

– To wspaniały pomysł – powiedział.

– Ogród nie prezentuje się teraz najpiękniej – wtrąciła Violet. – Wczesna wiosna to najlepszy czas. Obecnie kwiaty nie mają już takiej świeżości. Słońce grzeje w tym roku wyjątkowo mocno.

– Jestem przekonana, że Cordelia znajdzie coś przyjemnego do pokazania naszemu gościowi – powiedziała ciotka Patty. – Chodź, Tereso, pomóż mi zabrać tacę. Violet zajmie się resztą.

– Musi pani pozwolić, żebym ja to zrobił – zaprotestował Jason.

– Co też pan opowiada – powiedziała ciotka Patty. – Gdyby pan wiedział, jakie ilości tac przeniosłam w swoim życiu...

– Astronomiczne, jak sądzę – rzekł Jason, biorąc tacę. – Teraz, bez dalszych utarczek, proszę pokazać mi, dokąd ją zanieść.

Ciotka Patty drobnym kroczeniem ruszyła przodem. Uśmiechając się, patrzyłam, jak znikają w głębi domu. Już po chwili był u mego boku.

– Jaką czarującą damą jest pani ciotka! Taka radosna i taka taktowna.

– Chodźmy więc, pokażę panu ogród.

Przez kilka sekund siedł, milcząc. Powiedziałam:

– Teresa zajmuje się tą częścią ogrodu. Nastąpiła w niej wielka zmiana. Biedactwo, czuła się niechciana.

– Będzie mi pani brakować – powiedział.

– Brakować. To zabrzmiało tak, jakby widywał mnie pan codziennie. Spotkaliśmy się zaledwie kilka razy... i kiedy to widziałam pana ostatni raz?

– Miałem wrażenie, że z jakiegoś powodu nie była pani ze mnie zadowolona.

– Nie byłam zadowolona? Kilka razy dziękowałam panu za gościnność w stosunku do mnie i Teresy.

– Nasz miły wieczór został przerwany raczej gwałtownie.

– Ach tak... kiedy to zjawiała się pana przyjaciółka. To dla mnie zupełnie zrozumiałe.

– Nie sądzę, aby tak było.

– Cóż, to nie jest takie ważne. Zjedliśmy już kolację i była najwyższa pora, żebym wróciła do Teresy.

Westchnął.

– Tak wiele rzeczy chciałbym pani wyjaśnić.
– Nie ma powodu, żeby miał pan to robić.
– Jest po temu powód. Musimy się spotkać, kiedy wrócę. Bardzo chcę, żebyśmy byli dobrymi przyjaciółmi. Chciałbym opowiedzieć pani o wielu rzeczach.
– Cóż, mam nadzieję, że będzie pan miał miłą podróż. Dorożka zaraz tu będzie. Nie może się pan spóźnić na pociąg.

Położył dłoń na moim ramieniu.

– Po powrocie chciałbym z panią porozmawiać poważnie. Wie pani, że tak mało czasu upłynęło od... po... i są pewne sprawy, które powinny zostać załatwione. Cordelio, wrócę i wtedy...

Unikałam jego wzroku.

– Och, jest Violet – powiedziałam. – Chyba szuka pana. To znaczy, że dorożka już przyjechała. – Zawołałam: – Już idziemy, Violet. Dorożka przyjechała, tak?

Ruszyliśmy razem przez trawnik. Mocno trzymał mnie za rękę i próbował mi coś powiedzieć. Prosił, żebym czekała, aż wróci i będzie w odpowiedniej pozycji, aby kontynuować naszą znajomość. Był to sposób, w jaki postąpiłby z każdą młodą panną. Dziwiło mnie jednak, iż nadłożył taki szmat drogi, żeby powiedzieć, że wyjeżdża.

Stałyśmy, machając na pożegnanie, aż dorożka zniknęła z pola widzenia.

Ciotka Patty była zamyślona. Kiedy zostałyśmy same, powiedziała:

– Co za interesujący człowiek! Miło z jego strony, że odwiedził nas, by ci powiedzieć, że wyjeżdża. – Spojrzała na mnie z uwagą. – Chyba uważa cię za kogoś wyjątkowego... skoro przyjechał tak daleko.

– Och, zdaje się, że był właśnie w pobliżu. Spotkałam go tylko kilka razy. Jest w pewnym sensie panem na włościach i najpewniej sądzi, że powinien się interesować wszystkimi poddanymi.

– Wiesz, nawet go polubiłam.

Zaśmiałam się.

– Sądząc z tonu twojego głosu, jesteś tym raczej zaskoczona.

Patrzyła daleko przed siebie.

– Uprzejmie z jego strony, że przyjechał – powiedziała. – Nie mam wątpliwości, że miał po temu powody.

Gawronia Przyszań

Po powrocie do szkoły szybko weszłam w stare tryby i poczułam, jakbym wróciła do domu. W kilka dni później nawet dziewczęta okrzepły. Teresa zmieniła się bardzo; niemalże straciła wyraz strachu, jaki miała przedtem w spojrzeniu. O wiele łatwiej było jej nawiązywać kontakty z innymi dziewczętami.

Daisy Hetherington chciała wiedzieć, jak Teresa zachowywała się w czasie wakacji, i z wielką przyjemnością powiedziałam jej, że Wszystko przebiegało naprawdę dobrze.

– Problemem Teresy było to, że czuła się samotna i niechciana – wyjaśniłam. – Kiedy tylko zorientowała się, że gościmy ją z przyjemnością, zmieniła się i stała się normalną, szczęśliwą dziewczynką.

– Byłoby dobrze, żeby wszystkie nasze problemy dawały się rozwiązywać tak łatwo – stwierdziła Daisy, ale była wysoce zadowolona i uśmiechała się. Powiedziałam, że jeśli nie będzie sprzeciwów, zapraszamy Teresę także na święta.

– Obawiam się, że ci kuzyni będą w czasie Bożego Narodzenia tak samo gotowi wypełniać swoje obowiązki jak w lecie – skomentowała Daisy.

Rozpoczęła potem dyskusję na temat prac przewidzianych w semestrze.

– W czasie świąt urządzimy małe przedstawienie – powiedziała. – Wiem, wydaje ci się, że to jeszcze bardzo odległe w czasie, ale będziesz zaskoczona, jak wiele trzeba przygotować. Poza tym, to da dziewczętom zajęcie i odwróci ich uwagę od nostalgicznego rozpamiętywania letnich wakacji. Pomyślałam, że ty, panna Eccles i panna Parker zjednoczycie siły. No i oczywiście panna Barston zajmie się kostiumami. Jednego wieczoru wystawiamy to przedstawienie w refektarzu, a następnego dnia byliśmy zwykle zapraszane, aby powtórzyć je we Dworze, gdzie przychodzili ludzie z wioski, żeby nas obejrzeć. Tego roku, jak zrozumiałam, sir Jasona nie będzie, a skoro nie powiedział nic na temat udostępnienia nam Dworu, sądzę, że nie będziemy mieć obecnie tej możliwości. Mówił mi, że ma zamiar wyjechać na jakiś czas.

Powiedziałam, że skonsultuję się z panną Eccles i panną Parker, a efekty naszych konsultacji przedstawimy jej do zaakceptowania.

Skinęła z gracją głową i powtórzyła, że bez występu we Dworze to nie będzie już to samo.

– Dla okolicznej ludności nieobecność dziedzica odgrywa wielką rolę.

W miarę jak tygodnie mijały, zaczęłam przychylić się do jej zdania. Od czasu do czasu przejeżdżałam koło Dworu i przypominałam sobie dzień, kiedy wydarzył się wypadek Teresy i miało miejsce to skąpane w szarzejącym świetle *tete-a-tete* na patio. Nie mogłam przestać o nim myśleć i zastanawiałam się, dlaczego zadał sobie trud przyjechania do Moldenbury po to tylko, żeby pożegnać się ze mną.

Domyślałam się, że kiedy wróci, Marcia Martindale będzie oczekiwała, że ożeni się z nią. Przeszło mi przez myśl, że być może chciał wyjechać po to, żeby mieć czas na zastanowienie się, jak ma postąpić. Mówił coś o tym, że musi dojść do ładu ze swoim sumieniem. Myślał o śmierci żony czy o swoich zobowiązaniach w stosunku do Marcii Martindale? W grę mogło wchodzić albo jedno, albo drugie... lub obydwie sprawy. Moja obecność niepokoiła go, tak samo jak jego obecność niepokoiła mnie.

Teraz, kiedy go tutaj nie było, mogłam o nim zapomnieć. Czułam się wolna. Z przyjemnością oddawałam się pracy; moje stosunki z Daisy i innymi nauczycielami układały się jak najlepiej, a wydawało mi się, że posuwałam się także naprzód w kontaktach z dziewczętami.

Daisy powiedziała mi, że w tym semestrze ma chętnych na listach oczekujących.

– Mam więcej podań niż miejsc – stwierdziła z zadowoleniem w głosie. – Sądzę, iż zaczynają sobie uzmysławiać, że oferuje im się tutaj szlify z Schaffenbrucken. A oczywiście, wielu rodziców nie chce wysłać dzieci za granicę, jeśli mogą uzyskać pożądany efekt poprzez kształcenie w Anglii.

Daisy sugerowała, że moja obecność przynosiła korzyść szkole, a mnie trudno było ukryć mało skromne uczucie satysfakcji.

Dni semestru mijały. Wypełniały je lekcje angielskiego, zachowania, manier towarzyskich, tańczenie walców i kotylionów, zabieranie dziewcząt na przejażdżki konne. Każdy dzień miał swoje małe, trzymające w napięciu wydarzenia, jak na przykład: kto zostanie wybrany na Królewicza, a kto na Kopciuszkę; czyj rysunek zostanie uznany za najlepszy w miesiącu; kogo wybierze pan Bathurst jako partnerkę do walca, którego uczył. Pan Bathurst, młody, przystojny człowiek o urodzie Włocha, był ulubieńcem większości dziewcząt i w dni, kiedy przychodził do szkoły na swoje lekcje tańca, panowało podekscytowanie, owocujące wieloma romantycznymi spekulacjami. Na jego wizyty oczekiwano z niecierpliwością. Był zazdrośnie obserwowany i starsze dziewczęta rywalizowały między sobą, żeby zostać wybraną przez niego do demonstracji tanecznych kroków.

Nastała jesień. Nadszedł czas Księżycy Łowców. Upłynął pełny rok, odkąd spotkałam w lesie nieznanego! Wydawało się, że minęło więcej czasu. Sądzę, że to dlatego, iż tak wiele się wydarzyło. Zaczynałam podejrzewać, że wszystko to sobie wymyśliłam; chciałam móc spotkać się z Monique, Friedą i Lydią, by się upewnić, że rzeczywiście wszystkie byłyśmy tego dnia razem w lesie.

Fiona Verringer zgodnie została wybrana na odtwórczynię roli Kopciuszkę, a Charlotta miała zagrać Królewicza. Taki wybór stał się nieunikniony, jako że Fiona była tak śliczna, a Charlotta wysoka. Charlotta była tym zachwycona i dawało się nią o wiele łatwiej kierować, kiedy absorbowala ją rola.

Próby odbywały się przez cały listopad, a pan Crowe, nauczyciel muzyki, napisał kilka piosenek, które dziewczęta miały zaśpiewać. Wielki ruch panował też na lekcjach panny Barston, gdzie przygotowywano kostiumy.

Pewnego poranka pojechałam do miasta i w sklepie tekstylnym stanęłam twarzą w twarz z Marcia Martindale. Teraz zupełnie nie przypominała kobiety o złamanym sercu, którą spotkałam wtedy na patio. Emanowała łagodnością i była bardzo przyjacielska. Prosiła, żebym ją odwiedziła.

– Byłoby mi bardzo miło – powiedziała. – Nie spotykamy się tu z wieloma ludźmi i byłoby to dla nas wielkim wydarzeniem. Może będzie pani miała kiedyś kilka wolnych godzin?

Odpowiedziałam, że we środę mam wolne popołudnie, jeśli coś się nie wydarzy, na przykład niedyspozycja którejś z nauczycielek. W takim wypadku musiałabym ją zastąpić.

– Możemy więc się umówić na środę? Byłabym szczęśliwa, gdyby pani przyszła.

Przyznaję, że ochoczo przyjąłam to zaproszenie. Bardzo chciałam dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Próbowałam udawać sama przed sobą, że nie interesuje mnie jej znajomość z Jasonem Verringerem i że tylko chcę jej wyjaśnić okoliczności, jakie sprawiły, że jadłam z nim kolację, bo w takiej sytuacji zastała nas tamtego wieczora, kiedy była tak wyraźnie zdenerwowana.

Poszłam więc na herbatę do Marcii Martindale.

Popołudnie to przebiegło bardzo nietypowo. Drzwi otworzyła mi niska kobieta o ciemnej twarzy i ostrych rysach, przypominających raczej twarz inteligentnej małpy. Włosy miała prawie czarne, sztywne i szorstkie, sterczące *en brosse* wokół jej drobnej twarzy; oczy małe i bardzo ciemne; wydawało się, że docierają wszędzie i nic nie ujdzie ich uwagi.

Powiedziała:

– Proszę wejść. Czekamy na panią. – W tym momencie uśmiechnęła się, ukazując wielkie białe zęby. Jej mina sprawiała wrażenie, jakby moje przyjscie było straszliwym żartem.

Zaprowadziła mnie do salonu urządzonego wdzięcznie meblami w stylu królowej Anny, które były bardzo odpowiednie dla tego domu.

Marcia Martindale wstała z kanapy i wyciągnęła do mnie obie dłonie. Ubrana była w jedwabny peniuar w kolorze pawiego błękitu. Włosy miała rozpuszczone, a jej czoło okalała aksamitna opaska ozdobiona kilkoma pięknie szlifowanymi kamieniami. Mogły to być diamenty. Tego samego typu opaskę miała wokół szyi. Prezentowała się niezwykle teatralnie, jakby za chwilę miała odegrać jakąś tragiczną rolę: lady Makbet czy księżnej Malfi. Zupełnie nie przypominała tym razem kobiety, którą spotkałam tak niedawno w sklepie tekstylnym.

– Przyszła pani jednak – powiedziała przyciszonym głosem i trochę głośniejsze dodała:

– Proszę usiąść. Maisie, wypijemy teraz herbatę. Możesz powiedzieć pani Gittings?

– Dobrze – odparła kobieta, która najwyraźniej miała na imię Maisie. W jej plebejsko brzmiącym głosie bardziej wyczuwało się ochoczość niż respekt. Słysząc też było w nim usilną sugestię równości. Stanowiła uderzający kontrast w stosunku do Marcii Martindale. Wychodząc sprawiała wrażenie, jakby z trudem przychodziło jej ukrycie rozweselenia.

– Moi znajomi z czasem przyzwyczajają się do Maisie – powiedziała Marcia. – Była moją garderobianą. One zwykle spoufalają się bardzo.

– Pani garderobianą?

– Tak. Zanim przyjechałam tutaj, występowałam w teatrze.

– Rozumiem.

– Maisie pamięta dawne czasy. To miło, że pani przyszła. Zwłaszcza że ma pani tak niewiele wolnego czasu.

– Jesteśmy teraz bardzo zajęte. Na Boże Narodzenie przygotowujemy przedstawienie.

– Przedstawienie świąteczne? – Jej oczy zabłyśły, po czym stały się lekceważące. – Zaczynałam od tego – ciągnęła dalej. – To do niczego nie prowadzi.

– Uważam to za bardzo interesujące, że była pani aktorką.

– To na pewno coś zgoła innego niż bycie nauczycielką.

– Dwa przeciwne bieguny – przyznałam. Uśmiechnęła się do mnie.

– Musi pani brakować teatru – ciągnęłam. Skinęła głową.

– Do niepracowania trudno się przyzwyczać. Zwłaszcza gdy...

Wzruszyła ramionami i w tej chwili rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Przysadzista kobieta w średnim wieku wciągnęła zaopatrzonego w kółka stolik do kawy. Były na nim też kanapki, ciasta i wszystkie akcesoria potrzebne do wypicia herbaty.

– Tutaj, pani Gittings – powiedziała Marcia raczej głośniejszym tonem. Po czym dodała już ciszej: – Świetnie. Dziękuję.

Pani Gittings zerknęła na mnie, skinęła głową i wyszła. Marcia zmierzyła stolik takim

wzrokiem, jakby to była co najmniej podana na półmisku głowa Jana Chrzciciela. Nie wiem, dlaczego miałam tego typu skojarzenia. Może po prostu dlatego, że nic tutaj nie wydawało się naturalne. Szkoda, że nie było ze mną Eileen Eccles. Jestem przekonana, że bawiłybyśmy się świetnie, śmiejąc się później z tego wszystkiego.

– Proszę mi powiedzieć, jaką herbatę pani pije. Naprawdę uważam, że to bardzo miło, że pani przyszła. Nie uwierzy pani, co to za przyjemność gościć kogoś, z kim można porozmawiać.

Powiedziałam, że pijam słabą herbatę z odrobiną mleka i bez cukru. Wstałam i wzięłam od niej filiżankę, po czym usiadłam. Obok miejsca, gdzie siedziałam, stał mały stolik, na którym postawiłam filiżankę.

– Proszę poczęstować się kanapką. – Wydawało się, że płynie w moją stronę, wyciągając talerz. Nawet temu, zdawałoby się, zwykłemu ruchowi nadawała wiele dramatyzmu. – Jestem bardzo zadowolona z pani Gittings. Mam szczęście. Tęsknię jednak za teatrem.

– Potrafię to zrozumieć.

– Wiedziałam, że pani jest taką osobą. Spodziewałam się, że będzie się pani zastanawiała, dlaczego zakopałam się na wsi. Cóż, jest moja maleńka. Musi pani zobaczyć Mirandę przed wyjściem.

– Pani dziewczynkę? O tak, z przyjemnością.

– To dla niej to robię. – W geście rezygnacji odchyliła głowę do tyłu. – Inaczej nie byłoby mnie tutaj. Dzieci wpływają na karierę matek. Trzeba dokonywać wyborów.

Miałam wiele pytań, które chciałam jej zadać, wydawały mi się jednak one zbyt osobiste. Zaczęłam z wielką pieczołowitością mieszać herbatę.

– Musi mi pani opowiedzieć wszystko o sobie – powiedziała.

Powiedziałam krótko, że mieszkałam z ciotką i że tutaj dostałam pierwszą posadę. Wyczuwałam jednak, że tak naprawdę nie słuchała mnie.

– Jest pani bardzo młoda – rzekła w końcu. – Nie, żebym ja była o wiele od pani starsza... biorąc lata pod uwagę.

Westchnęła i uznałam, że myślała tu o swoich wyjątkowych doświadczeniach życiowych. Czulałam, że najpewniej miała rację.

– A więc – powiedziała, przystępując do omawiania tematu, a byłam pewna, że stanowił on powód, dla którego tak bardzo chciała, bym ją odwiedziła – już zaprzyjaźniła się pani z Jasonem Verringerem.

– Cóż, trudno to nazwać przyjaźnią. Wydarzył się wypadek i musiałam zostać we Dworze z dziewczynką, która spadła z konia. Przypomina pani sobie, przyjechała pani, kiedy byłam tam.

Nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Ach tak, Jason zadał sobie wiele trudu, żeby to wyjaśnić. Bardzo się kajał. Oczywiście powiedziałam, że w tej sytuacji musiał panią zabawiać.

– Nie było żadnej konieczności zabawiania mnie. Byłabym absolutnie usatysfakcjonowana, gdyby przyniesiono mi tacę z posiłkiem do pokoju chorej.

– Powiedział, że to absolutnie nie wchodziło w grę... Gość w jego domu, rozumie pani.

– Wydaje się, że dosyć gruntownie zagłębił się w wyjaśnienia.

– Z pewnością było mu przyjemnie w pani towarzystwie. Lubi inteligentne kobiety... jeśli są jednocześnie ładne, co w pani przypadku bez wątpienia ma miejsce, panno Grant.

– Dziękuję.

– Świetnie rozumiem Jasona. Prawdę mówiąc, kiedy wróci... Cóż, są pewne zaszłości, jak pani wie. Jest dziecko, oczywiście i jego biedna żona... Teraz to już skończone.

Rozumiałam, że dawała mi w ten sposób do zrozumienia, bym nie myślała poważnie o zainteresowaniu, jakim darzył mnie Jason Verringer. Chciałam jej powiedzieć, żeby się nie martwiła. Z pewnością nie zamierzałam być dla niej zagrożeniem i naprawdę mało mnie obchodziły plany, jakie miała w stosunku do tego okropnego człowieka.

Powiedziałam chłodno:

– Jestem zaabsorbowana pracą zawodową. W pewnym momencie miałam zamiar prowadzić interesy razem z moją ciotką, nic z tego jednak nie wyszło. Abbey jest szalenie interesującą szkołą, a z panną Hetherington pracuje mi się wspaniale.

– Tak się cieszę, że jest pani szczęśliwa. Różni się pani od innych.

– Od jakich innych?

– Od innych nauczycielek.

– Zna je pani?

– Widywałam je. Wyglądają na nauczycielki. Pani niezupełnie.

– Jednak jestem nią. Proszę mi opowiedzieć o rolach, jakie pani grała.

Nie była powściągliwa. Jej największym sukcesem była rola lady Isabel w sztuce „Wschodnie Lynne”. Wstała, ukryła twarz w dłoniach i wyrecytowała: „Nie żyje. Nie żyje. I nigdy już nie nazwie mnie Matką”.

– To była scena przy łożu śmierci – powiedziała. – Zwykle dawano to na początek. Cała widownia płakała. Grałam też rolę Pinero w sztuce „Dwieście lat”. Uroczę. Dramaty lubiłam najbardziej. Nic jednak nie mogło dorównać „Wschodniemu Lynne”. To z pewnością był sukces.

Potem przedstawiła mi małe próbki innych ról, które grała. Wydawała się zupełnie inną kobietą niż ta, którą po raz pierwszy widziałam na trawniku z dzieckiem, czy ta, którą spotkałam w sklepie tekstylnym. Prawdę mówiąc, miałam wrażenie, że zmieniała osobowość co kilka minut. Raz była spokojną matką, dumną ze swojego dziecka, raz osamotnioną kobietą błagającą o odwiedzenie jej, raz zrozpaczoną kochanką z ogrodowej sceny, to znowu czarującą panią domu. Teraz zaś wszechstronnie uzdolnioną aktorką. Z wielką łatwością przeskakiwała z roli w rolę.

Rozmawialiśmy też o „Kopciuszku”, którego miałyśmy wystawiać w szkole. Kiedyś brała udział w takim przedstawieniu.

– To była moja pierwsza rola – zakrzyknęła podniecona, uderzając dłońmi o kolana i stając się na chwilę małą dziewczynką. – Byłam Paziem. Musicie mieć dobrego Pazia. To mała rola, ale dająca pole do popisu. – Uniosła wzrok ku górze w podziwie dla wyimaginowanego Kopciuszka. – Byłam bardzo dobrym Paziem. To dzięki tej roli ludzie zaczęli sobie uświadamiać, że mam przed sobą przyszłość.

Drzwi otworzyły się i weszła pani Gittings, prowadząc za rękę małą dziewczynkę.

– Podejdz, Mirando, i przywitaj się z panną Grant – powiedziała Marcia, z łatwością wchodząc w rolę dumnej rodzicielki.

Powiedziałam dzień dobry małej, która przyglądała mi się poważnie. Była bardzo ładna i bardzo podobna do matki.

Rozmawialiśmy o niej i Marcia próbowała nakłonić ją, aby odezwała się do mnie. Dziewczynka jednak nie dała się namówić, a ja po chwili zerknęłam na zegarek i powiedziałam, że za pół godziny powinnam być w szkole. Było mi przykro, że musiałam tak szybko wyjść, ale myślę, że zrozumiała to.

Zachowała się, jak na miłą panią domu przystało:

– Musi pani odwiedzić mnie znowu – poprosiła, a ja obiecałam, że to zrobię.

Wracając do opactwa, myślałam o tym, jak nierealne to wszystko się wydawało. Najwyraźniej Marcia Martindale przez cały czas grała jakąś rolę.

Być może należało tego oczekiwać, ponieważ była aktorką. Zastanawiałam się, dlaczego Jason Verringer zakochał się w niej i jaką rolę mógłby odgrywać w takim domu. Wyczuwałam, że w całej tej sprawie jest coś bardzo nieprzyjemnego, i chciałam zapomnieć o nich obojgu.

* * *

Ten semestr upłynął jeszcze szybciej niż poprzedni. Być może działo się tak dlatego, że zaczynałam już być tak dobrze zaznajomiona ze szkołą. Lekcje, próby, ploteczki w kalefaktorium, pogawędki z Daisy... Wszystko to bardzo mnie zajmowało.

Nie było wątpliwości, że stałam się faworytką Daisy. Wiedziała, że gratulowała sobie pomysłu sprowadzenia do swojej szkoły wytworu Schaffenbrucken. Zaczynałam wierzyć, że rzeczywiście z moją obecnością wiąże wzrastającą prosperity szkoły.

Zapraszała mnie do swojego saloniku i przy herbacie mówiła o szkole i wychowankach. Była zachwycona zmianą, jaka dokonała się w Teresie Hurst. Z ulgą myślała o tym, że może liczyć, iż zdejmę z jej barków ciężar opieki nad dziewczynką w czasie ferii, jeśli jej kuzyni znowu zawiodą.

W miarę jak semestr zbliżał się ku końcowi, głównym tematem rozmów stało się świąteczne przedstawienie.

– Rodzice przyjadą, żeby je obejrzeć, i dlatego tak ważny jest jego odpowiedni poziom – mówiła Daisy. – Oni nie są zbyt obiektywni, jeśli chodzi o ich własne córki, i skłaniają się ku zdaniu, że to przyszłe Sary Bernhardt. W stosunku do innych jednak potrafią być wysoce krytyczni. Chcę, żeby dostrzegli, jak dobrze podają tekst wszystkie dziewczęta, że poruszają się z wyjątkową gracją i że kiedy wchodzi do pokoju, nie przydarzają im się żadne gafy. Wiesz, o co mi chodzi. Sądzę, że większość rodziców przyjedzie, żeby obejrzeć to przedstawienie. Oczywiście, będą musieli sami zadbać o swoje zakwaterowanie. Hotel w Colby będzie pełny, ale część z nich będzie musiała przenocować w pobliskim Bantable. Mają tam kilka dużych hoteli. Potem będą mogli już razem z córkami wrócić do domów. Nigdy nie mieliśmy tak wielu gości jak na Festiwalu Abbey w ubiegłym roku. Urządzimy go znowu w roku przyszłym. Powinien się odbyć w czerwcu. Noc świętojańska jest najkorzystniejsza. W ten wieczór jest długo widno i oczywiście uroku wszystkiemu dodają ruiny. To takie wspaniałe otoczenie. Robiło ogromne wrażenie... prawdę mówiąc, niezwykle. Najstarsze dziewczęta były w białych długich szatach. Naprawdę, można było pomyśleć, że to mnisi ożyli. Śpiewane były uroczyste pieśni i litanie. To było wielkie wydarzenie. Zdaje się, że tamte kostiumy zostały gdzieś odłożone. Muszę zapytać pannę Barston.

– Festiwal Abbey z dziewczętami przebranymi za mnichów. To musiało być rzeczywiście ekscytujące!

– Ależ było. Habity cystersów... i przypominam sobie, że mieliśmy też ognie sztuczne. Byłam nimi przerażona, ale muszę przyznać, że dodały uroku widowisku. Dziewczęta potrafią jednak być takie nieostrożne. Mało brakowało, a wydarzyłby się wypadek. Byłoby lepiej, gdybyśmy mogły urządzić to przy pełni księżyca. Ale to przyszłość. Teraz skoncentrujmy się na „Kopciuszk”. Mam nadzieję, że Charlotta nie będzie się popisować. Rodzicom innych dziewcząt nie podobałoby się to.

– Jestem przekonana, że zachowa się bardzo dobrze. A Fiona Verringer będzie czarującym Kopciuszkim.

I dalej rozmawialiśmy w tym tonie.

Dni semestru mijały, a ja nie widziałam w tym czasie Marcii Martindale, ale dwukrotnie spotkałam panią Gittings wożącą jej córeczkę wózek po alejkach. Zatrzymałam się i rozmawiałam z nią. Sprawiała wrażenie bardzo oddanej dziecku i polubiłam ją. Była swojsko wyglądającą kobietą o różowych policzkach i szczerym zachowaniu. Stanowiła dający się zauważyć kontrast w stosunku do pretensjonalnej aktorki i jej zadziornej, plebejskiej garderobianej.

Rozmawiałam z nią i przyznaję, że wyraziłam ciekawość tym, jak ktoś taki jak ona może odnaleźć się w tego typu domu. Nie należała do kobiet, które mówią zbyt wiele o swoich pracodawcach, ale jedna czy dwie uwagi wymknęły się jej.

– Pani Martindale jest aktorką przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tak że nigdy się nie wie, czy coś się dzieje naprawdę, czy ona właśnie gra jakąś rolę, jeśli rozumie pani, o co mi chodzi. Kocha małą, ale czasami zapomina o niej... a tak nie można z dziećmi.

A o Maisie powiedziała:

– Ta jest taka inna. Powinno się ją postawić obiema nogami na ziemi. Sama nie wiem. To tak, jakby się pracowało w jakimś teatrze... nie, żebym, panno Grant, za przeproszeniem, kiedyś w jakimś pracowała. Ale mówię sobie: „Jane Gittings, to żaden teatr. To prawdziwy dom dla ludzi i prawdziwe życie dla dziecka. I jeśli one o tym zapominają, ty nie możesz tego zrobić. Pilnuj się”.

Innego razu, kiedy ją spotkałam, a było to już bliżej ferii świątecznych, powiedziała mi, że święta spędzi ze swoją siostrą.

– Pani jedzie do Londynu i zabiera ze sobą Maisie. Dzięki temu ja mogę zabrać ze sobą małą. Moja siostra umie postępować z dziećmi. To prawdziwa szkoda, że nie ma swoich własnych.

Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić Marcii Martindale jako pani na Dworze. Nie była to jednak moja sprawa, a wtedy moje myśli zaprzętało wiele innych problemów.

„Kopciuszek” był ciągłym przyczynkiem paniki i radości. Fiona bardzo dobrze śpiewała, a dobrałyśmy też pełną wigoru, niegodziwą macochę i dwie siostry brzydule, o trudnych do okiełznania charakterach, które ku rozpacz Eileen Eccles były zdecydowane niestety odcisnąć własne piętno na rolach.

Z kolei, kostium Charlotty nie leżał na niej tak, jak by tego chciała panna Barston, i z tego powodu rozpełtało się pandemonium.

– Na miłość boską! – zawołała Eileen. – Gorzej nie mogło być nawet na Drury Lane!

Mówiło się też o dekoracji szkoły i o zainstalowaniu skrzynki pocztowej, żeby dziewczęta mogły wysyłać kartki świąteczne do siebie nawzajem. Rano w dniu wystawienia „Kopciuszka” odbyło się rozdanie poczty. Dwie młodsze dziewczynki dostały czapki listonosza i z powagą otworzyły wystawioną w refektarzu skrzynkę, po czym karty zostały dostarczone do poszczególnych klas. Odczytywaniu kart towarzyszyły „achy” i „ochy”, uściski i wiele wyrazów z serca płynących podziękowań.

Rekordowa liczba rodziców przybyła, żeby obejrzeć „Kopciuszka”. Bili szaleńczo brawa i deklarowali, że przedstawienie było urocze i o wiele lepsze niż ubiegłoroczny „Dick Whittington”. I najmniejszego znaczenia nie miało to, że jedna z brzydkich sióstr przewróciła się i z impetem wylądowała na scenie, a jej but poszybował w stronę publiczności, wymierzając razy, ani też to, że druga brzydka siostra zapomniała tekstu,

a głos suflerki był tak głośny, że dawał słyszeć się w całym holu.

Wszyscy mówili, że było wspaniale. Daisy przyjmowała gratulacje.

– Pani dziewczęta mają tak doskonale manieri – mówił jeden z ojców.

– Cieszę się, że pan to zauważył – odpowiedziała Daisy, uśmiechając się. – Przykładamy wielką wagę do lekcji w tym zakresie. Wierzę, że kładziemy na nie większy nacisk, niż to robią te modne ostatnio pensje.

To rzeczywiście był triumf.

Dziewczęta wyjechały, a ja z Teresą następnego dnia miałyśmy udać się do Moldenbury. Skończył się kolejny semestr. Był on bardzo interesujący i miły, a po części należało to zawdzięczać nieobecności Jasona Verringera. Ten fakt nadawał wszystkiemu wokół aurę spokoju.

* * *

Święta Bożego Narodzenia udały się wspaniale. Teresa tak bardzo czekała na nie, że bałam się, iż być może spodziewała się zbyt wiele i rozczaruje się.

Ale tak się nie stało. Wszystko wypadło idealnie.

Przyjechałyśmy na tydzień przed świętami. Byłam zadowolona, ponieważ dawało to Teresie możliwość cieszenia się z oczekiwania na nie i uczestniczenia we wszystkich przygotowaniach, które w moim odczuciu sprawiały więcej radości niż same święta.

Mogła pomóc Violet w przygotowaniu puddingu i świątecznego ciasta. Wszystko to oczywiście, jak twierdziła Violet, już dawno powinno być zrobione. Tym razem jednak była tu Teresa, siedząca na krześle, przebierająca rodzynki, łuskająca orzechy i obserwująca Violet, która niczym pełna poświęcenia kapłanka kręciła pudding i zwoływała wszystkich, aby też przez chwilę pokręcili. Zaszczytu tego dostąpił nawet mężczyzna, który trzy razy w tygodniu pomagał w ogrodzie.

– Każdy musi zakręcić – powiedziała tajemniczo Violet. – Inaczej...

Nie dokończyła zdania, ale cisza była tu bardziej wymowna niż jakiegokolwiek słowa.

Potem z kolei był zapach, który przenikał cały dom, kiedy pudding bulgotał w miedzianym kociołku w małym pokoiku pralni. Teresa była tam, kiedy Violet, uzbrojona w długi patyk, używany zwykle do wyciągania pościeli z wody, z maestrią wetknęła jego koniec w otwór w pokrywce puddingu i triumfalnie zdjęła ją. My wpatrywałyśmy się w to z podziwem. Był tam też mały, bardzo ważny, próbny pojemnik, zawierający zaledwie cztery porcje. Po kolacji miałyśmy dokonać degustacji i wydać bezstronny werdykt.

Wspaniale było oglądać Teresę ucieszoną tymi drobnymi wydarzeniami. Miała bardzo poważny wyraz twarzy, kiedy jej porcja znalazła się przed nią. Wsmakowywałyśmy się, wpatrzone w Violet, koneserkę świątecznego puddingu.

– Trochę za dużo cynamonu – powiedziała. – Domyślałam się tego.

– Nonsens – odparła ciotka Patty. – Jest idealny.

– Mógłby być lepszy.

– To najlepszy pudding, jaki kiedykolwiek jadłam – zadeklarowała Teresa.

– Nie jadłaś ubiegłorocznego – powiedziała Violet.

– Nie mogę nic zarzucić temu – upierała się ciotka Patty. – Chciałabym tylko, żeby przyszłoroczny był chociaż w połowie tak dobry jak ten.

– Ja też mam na to nadzieję – powiedziała Teresa.

Tu nastąpiła chwila ciszy, którą natychmiast zatuszowała ciotka Patty. Teresa trafiła

do tego domu i została przyjęta serdecznie. Myślę, że i moja ciotka, i Violet były zadowolone i uradowane, że taką przyjemność sprawiało jej bycie z nami. Zdawałyśmy sobie jednak z tego sprawę, że w każdej chwili kuzyni lub nawet rodzice mogą przysłać po nią.

Miałam nadzieję, że Teresa nie dostrzegła tej krótkiej pauzy, i kontynuowałyśmy dalej śledztwo, dotyczące próbki puddingu.

Nastąpiło też dekorowanie domu. Ciotka Patty zostawiła to dla nas, żeby Teresa mogła w tym uczestniczyć. Zebrałyśmy jemiołę i gałęzie choinek i wszystko to powiesiłyśmy w pokojach. Uplotłyśmy też wieniec do powieszenia na drzwiach wejściowych. Byłyśmy na śpiewaniu kolęd w kółku kościelnym i na pasterce w wieczór wigilijny. Po powrocie z niej dostałyśmy przy kuchennym stole po talerzu zupy, a kiedy go skończyłyśmy, ciotka Patty zapakowała nas do łóżek.

– Jeśli nie położycie się zaraz, będziecie chciały dłużej spać – powiedziała – a to skróci dzień Bożego Narodzenia.

Pomimo tego późnego pójścia spać, świątecznego poranka wszystkie wstałyśmy wcześniej. Prezenty leżały pod choinką i miały zostać rozdane dopiero po obiedzie, który postanowiłyśmy zjeść o godzinie pierwszej. Ciotka Patty, Teresa i ja poszłyśmy do kościoła. Violet została, żeby upiec gęś. Po mszy wiele osób zebrało się w kruchcie kościelnej, żeby złożyć sobie życzenia świąteczne, po czym my ruszyłyśmy przez pola do domu, nucąc „Pójdźmy wszyscy do stajenki”.

Wszystkie uznałyśmy, że gęś została upieczona idealnie. Wszystkie, z wyjątkiem Violet, która upierała się, że była ona w piekarniku o pięć minut za długo. Pudding nie zawiódł oczekiwań, ustalonych w trakcie testowania, i zaczęło się rozpakowywanie prezentów. Ciotka Patty miała dla Teresy wełniane rękawiczki, a prezentem Violet dla niej był pasujący do rękawiczek szalik. Ja kupiłam jej pędzle i farby, ponieważ ku naszemu zdziwieniu zaczęła więcej uwagi poświęcać malowaniu. Zgodnie z tym, co mówiła Eileen Eccles, nie była aż tak dobra jak Eugenia Verringer, ale zrobiła wyraźne postępy. Sprawiała nam wielką przyjemność, bo przygotowała dla nas rysunki, które dała do oprawienia w Colby. Violet dostała wazon z fiołkami, jak zdecydowałyśmy, bardzo odpowiedni dla osoby o tym imieniu. Dla ciotki Patty była scena w ogrodzie z dziewczyną siedzącą na fotelu, w ogromnym kapeluszu zasłaniającym jej twarz, co było dobrodziejstwem, ponieważ byłam pewna, że Teresa nie poradziłaby sobie z czymś tak skomplikowanym. Dla mnie zaś miała krajobraz z widocznym w dali domem, który wyglądał trochę jak dwór Colby.

Po południu ciotka Patty i Violet zdrzemnęły się, a ja i Teresa poszłyśmy na spacer. Krążyłyśmy po lesie, gdzie blade słońce przebłyskiwało poprzez gołe gałęzie drzew. Poszłyśmy też ścieżką przez pola. Wdychałyśmy zapach wilgotnej ziemi i obserwowałyśmy kawki i gawrony, szukające pożywienia wśród skib ziemi.

Nie rozmawiałyśmy wiele, ale emanowałyśmy obydwie zadowoleniem.

Wieczorem miałyśmy gości. Ciotka Patty zawarła liczne znajomości w wiosce. Graliśmy w śmieszne, dziecięce gry, posilając się kanapkami, pasternakiem Violet i winem imbirowym.

Następnego dnia starym zwyczajem przychodzili listonosz i kominiarz po swoje bożonarodzeniowe datki. Z powagą wręczano im zalakowane koperty z napisem na wierzchu: „Wesołych Świąt”. Po południu odwiedziliśmy plebanię, gdzie podawano bułeczki, herbatę i świąteczne ciasto z lukrem.

Violet została w pewnym stopniu usatysfakcjonowana, ponieważ lukier był trochę za

twardy. Zastanawiała się, czy powiedzieć gospodyni pastora, żeby w przyszłym roku dodała do niego odrobinę gliceryny, niedużo, tyle, żeby był delikatniejszy.

Ten problem zaprzętał jej myśli przez całą drogę do domu. Powinna czy nie powinna? Wszystkie wypowiadałyśmy się na ten temat, chociaż, jak sędzę, nikt poza Violet nie przejmował się tym, która opcja zwycięży.

Tak to jednak było. Znajdowałyśmy tyle radości i przyjemności w najprostszyc rzeczach. Obserwowałam ożywioną twarz Teresy i poczułam zawstydenie. Przeżyłam tak wiele podobnych do tych świąt Bożego Narodzenia, ale tak naprawdę nigdy wcześniej ich nie doceniałam.

Ferie zimowe skończyły się i oto patrzyliśmy na ciotkę Patty w kapeluszu z podskakującymi na nim wiśniami, machającą nam na pożegnanie, i słyszałyśmy Violet, mówiącą, że jest pewna, iż kanapki, które zapakowała nam na podróż, będą zeschnięte, zanim je zjemy.

– Do zobaczenia na Wielkanoc – zawołała ciotka Patty.

– Do czasu wielkopiątkowych bułeczek – dodała Violet.

Spojrzałam na Teresę. Uśmiechała się, najwyraźniej ciesząc się na myśl o Wielkanocy i pieczeniu wielkopiątkowych bułeczek z krzyżykiem.

* * *

Ten semestr wydawał się nudny w porównaniu z poprzednimi. Pierwszy był ekscytujący, może dlatego, że dopiero zadomawiałam się i następowały moje spotkania z Jasonem Verringerem. W czasie semestru, który kończył się świętami, byłam zajęta próbami i wszystkim, co z tym związane. Teraz miałam to już poza sobą i ten semestr wydawał się przykrym kontrastem. Na szczęście, Jason Verringer był w dalszym ciągu nieobecny. Fiona i Eugenia spędziły święta oczywiście we Dworze. Starsi kuzynostwo przyjechali, aby zająć się nimi. Z tego, co mówiła Teresa, wywnioskowałam, że dziewczęta w większości robiły to, co chciały, a kuzyni raczej zarzucili kontrolowanie ich.

Kiedy zapytałam je, jak spędziły święta, Eugenia zaśmiała się i powiedziała z nieprzyjemnym błyskiem w oczach:

– Było bardzo interesująco, panno Grant. A Fiona nieśmiało dodała:

– Dziękujemy, spędziłyśmy je bardzo przyjemnie. Stosunki moje i Eugenii można by określić jako zbrojną neutralność. Oczywiście Charlotta Mackay sekundowała jej w zachowaniu tej pozy. Nigdy nie przebaczyły mi tego, że uniemożliwiłam im wspólne mieszkanie. Wiedziałam, że jeśli tylko nadarzy się okazja, będą się starały mnie denerwować. Teraz jednak chyba respektowały mój autorytet i gdyby zachowywały się niepoprawnie, miałam oczywiście w zanadrzu w stosunku do nich groźbę ograniczenia czasu ich jazdy konnej.

Z Fioną było inaczej. Była spokojną dziewczynką, bardzo ładną, łatwą w prowadzeniu i z pewnością nie sprawiałaby kłopotów, gdyby nie wpływ tamtych. Teresa była moim dzielnym sprzymierzeńcem, a pozostałe dziewczęta z mojej sekcji to zwyczajne, miłe istoty, które mogły być sprowadzane na manowce przez inne, ale były naprawdę pełne dobrych chęci i preferowały posłuszeństwo. Sędzę, że wszystkie były pod wrażeniem zmiany, jaka dokonana się w Teresie. Byłam ciekawa, jak Teresa opisała im dom ciotki Patty. Podejrzewałam, że w jej wersji zabrzmiało to jak wycieczka do Ziemi Obiecanej.

Coraz bardziej zaczynałam sobie zdawać sprawę z tego, że miałam specjalny dar pozyskiwania sobie respektu moich wychowanek. Odbywało się to bez specjalnego

wysiłku z mojej strony, co jest jednym z podstawowych wymogów, jakie powinien spełniać ktoś, kto chce uczyć.

Tak więc semestr upływał gładko, być może zbyt gładko, i tak samo jak Teresa, czekałam na powrót do Moldenbury.

W połowie stycznia spadł śnieg i pomimo solidnego palenia w kominkach, trudno było utrzymać ciepło w pokojach. Dokuczliwy wiatr z północy przenikał nawet grube mury Abbey, a ruiny, białe pod śnieżną czapą, były fantastycznie piękne. W świetle księżycy wyglądały może jeszcze bardziej niezwykle niż zawsze. Dziewczęta wykorzystywały tę aurę. Urządzały konkursy w lepieniu bałwanów. Odbływały bitwy na śnieżki i zjeżdżały na sankach po łagodnym zboczu, powyżej którego stało Abbey. Drogi były niebezpieczne i przez ponad tydzień żaden pojazd nie mógł do nas dotrzeć. Daisy oczywiście była przygotowana na taką okoliczność, a dziewczęta napawały się uczuciem odcięcia od świata i wiele z nich miało nadzieję, że oblodzenie dróg utrzyma się dłużej. Niektórzy służący mówili, że takiej pogody jeszcze nigdy nie było w Devon, i dodawali: „Do czego to ten świat zmierza?”

– Do katastrofy – skomentowała to ironicznie Eileen Eccles. – Jeśli w Devonshire temperatura spada poniżej zera, świat zmierza ku końcowi. Należałoby niektórych z nich przetransportować do północnej Szkocji. Wtedy przekonaliby się, jak wygląda zima.

Przed końcem miesiąca nadeszły roztopy i pojechałam do miasta. Pani Baddicombe, pracownica poczty, opowiedziała mi najnowsze ploteczki, ponieważ nikogo poza mną nie było w sklepie, w którym sprzedawano warzywa i wiele innych rzeczy, poza tym jeszcze, że był on i poczta.

Eileen ostrzegała mnie, że pani Baddicombe była, jak ją nazywała, „miejskim kronikarzem” w zakresie wszystkiego, co wiedziała, że się wydarzyło. Jej misją życiową było szerzenie wieści wśród społeczności w możliwie jak najszybszym tempie.

Była ona wysoką, kościstą kobietą o bezbarwnych nijakich oczach i obfitych siwych włosach, które upinała wysoko. Mówiła nieustannie, ważąc paczki, sprzedając znaczki pocztowe czy zajmując się sprawami sklepu.

– Ach, panno Grant, jak to miło panią widzieć. Jak sobie dawaliście radę w szkole w tę okropną pogodę? Mówiłam do Jima (Jim był jej mężem, który czasami pomagał w sklepie, a który był znany ze swojej wielkiej milkliwości. „To jego ucieczka przed tym potokiem mowy”, mówiła Eileen), że pogoda jest okropna. Przez wiele dni nie widziałam żywej duszy w sklepie.

Powiedziałam, że jakoś dawałyśmy sobie radę, ale panna Hetherington chciałaby, żeby uzupełnić zapasy najszybciej, jak się da, i że mam tu od niej listę zakupów.

– Jim przywiezie je, jak tylko będzie miał chwilę czasu. Teraz wszyscy chcą nowych dostaw. Wszystko zużyli. Kto by pomyślał, że będziemy mieć tu w Devon taką pogodę. Mówią, że to najgorsza zima od pięćdziesięciu lat. Ta z „Gawroniej Przystani” przysłała zamówienie dziś rano. Nie przyszła sama... o nie, za wielka pani. Przysłała tę kobietę z Londynu. Nie mam do niej cierpliwości. Wygląda, jakby się śmiała z ciebie cały czas. To chyba przez ten Londyn. Myśli, że jest mądrzejsza niż my. O nie! Madam prawie nigdy sama nie przychodzi. Można by sądzić, że już jest dziedziczką.

– Och... ma pani na myśli Marcie Martindale.

– Tak, ją. – Pani Baddicombe nachyliła się ku mnie i zniżyła głos. – Myślę, że niedługo nastanie we Dworze. Hm... no cóż, im mniej słów, tym szybsza złego naprawa. Jaśnie pani to była wspaniała dama. Ostatnio niewiele ją widywałam, ale żeby tak skończyć... i tamta w „Gawroniej Przystani”, w jego domu... wszystko do dyspozycji

madam, na życzenie. I wtedy urodziła to dziecko i wszystko. Uważam, że to naprawdę haniebnie. Oczywiście, wie pani, że oni mają w sobie diabła.

Nie powinnam była tego słuchać. Bardziej odpowiednio byłoby przeprosić i wyjść, ale, prawdę mówiąc, trudno było mi się oprzeć pokusie dowiedzenia się czegoś nowego.

– Cóż, pani, panno Grant, jest tu od niedawna, a ta panna Hetherington to miła dama, zamawia u mnie regularnie i nigdy nie ma problemu z zapłatą... To lubię. Nie, żeby rachunki ze Dworu nie były płacone, nie powiem tego. Ale to, co się tam wyprawia! Zawsze byli dzikim rodem... mają w sobie diabła. Cóż, on wyjechał, żeby zachować przyzwoity odstęp czasu. Nie mógłby się z nią od razu ożenić, prawda? Nawet on musi poczekać rok dla przyzwoitości. Przewiduję, że na Wielkanoc będą dla nich bić kościelne dzwony. Na ślub, a ostatni raz były na pogrzeb.

– Pani Baddicombe, lepiej już pójdę...

Była to słaba próba odwrotu, a pani Baddicombe nie była osobą, którą łatwo można było zniechęcić. Wychyliła się jeszcze dalej poza ladę.

– A jak umarła jaśnie pani? To się stało ładnie i w odpowiednim momencie, prawda? Madam urodziła małego bękartą, a jaśnie pani wzięła za dużo laudanum. Ale to kraj Verringerów i dyskutować tego nie można. Rzeczy, które się dzieją, i dwie panienki odesłane do szkoły. Panna Eugenia ma w sobie dużo z Verringerów. Myślę, że będzie wiele kłopotów, jak on się z nią ożeni. Ludzie zniosą tylko tyle, ile zniosą, nie więcej. Sądzę, że powinni jeszcze ostatni raz przyjrzeć się jaśnie pani.

Ktoś wszedł do sklepu i pani Baddicombe cofnęła się.

Była to panna Barston, która chciała kupić znaczki i nici do szycia.

Poczekalam, aż zostanie obsłużona, pożegnałam się z panią Baddicombe i obydwie z panną Barston wyszłyśmy ze sklepu.

– Ta kobieta jest złośliwą plotkarką – powiedziała panna Barston. – Zawsze ją zniechęcam, kiedy próbuje mnie w to wciągnąć.

Byłam trochę zawstydzona. Powinnam była zrobić to samo, ale bardzo chciałam dowiedzieć się, czego się da, o Jasonie Verringerze i Marcii Martindale.

Po roztopieniu się śniegów pogoda zaczęła sprzyjać i nastąpiła prawie wiosna. Spotkałam w mieście Marcie Martindale. Zatrzymała się i rozmawiałyśmy chwilę. Opowiedziała mi, jak okropnie się czuła odcięta od świata przez śnieg. Miała też żal, że nie odwiedziłam jej. Umówiliśmy się, że to zrobię w następną środę, jeśli nie spadną na mnie żadne niespodziewane obowiązki.

Pojechałam tam. Był to wilgotny dzień. Słońce niechętnie wychylało się co jakiś czas zza chmur. Spojrzałam w górę na gniazda wśród gałęzi wiązów i weszłam na ganek ze złotym jaśminem wijącym się w górę. Zadzwoiłam do drzwi.

Otworzyła je Maisie, która powiedziała:

– Proszę wejść, panno Grant. Czekamy na panią.

Marcia Martindale wstała, żeby mnie powitać. Ubrana była w czarną suknię, miękką, przylegającą do ciała. Miała wspaniałą figurę, a jej szyję ozdobił ciężki, złoty naszyjnik. Nosiła też złote bransolety, po trzy na każdym nadgarstku.

Wyglądała jak postać ze sztuki, ale nie mogłam sobie uświadomić, z jakiej. Ujęła obydwie moje dłonie.

– Panno Grant, jak to miło, że pani przyszła.

– Moja pani potrzebuje trochę rozweselenia – powiedziała Maisie, śmiejąc się do mnie. – Dzisiaj jest w żałobie.

– W żałobie? – zapytałam, a moje serce zabiło z przestrawieniem. Pomyślałam, że coś

stało się Jasonowi Verringerowi. – Po kim?

Maisie zrobiła oko.

– Opłakuje przeszłość – powiedziała.

– Och, Maisie, jesteś niemądra – odparła Marcia. – Zabieraj się stąd i powiedz pani Gittings, żeby przyniosła nam herbatę.

– Już ją przygotowuje – powiedziała Maisie. – Słyszała, że panna Grant przyszła.

– Proszę usiąść, panno Grant. Przepraszam, że zastała mnie pani w tym smutnym nastroju. To z powodu rocznicy.

– Droga pani, może wolałaby pani, żebym przyszła innym razem?

– Ależ nie. To takie podnoszące na duchu gościć panią. Nie cierpię być odizolowana, a było tak z powodu tego śniegu. Tęskniłam za Londynem. Tutaj jest raczej spokojnie; i to ciągle czekanie.

Odpowiedziałam, że śnieg był uciążliwy, ale że dziewczęta cieszyły się nim. Westchnęła.

– To stało się pięć lat temu.

– Och?

– Wielka tragedia. Opowiem pani o tym, jak przyniosą herbatę.

– Jak się miewa mała?

Wyglądała na nieobecna duchem.

– Ach... Miranda. Bardzo dobrze. Pani Gittings tak świetnie sobie z nią radzi.

– Tak myślałam. Spotkałam je raz czy dwa w alejkach. Zabrała ją nawet na święta, prawda?

– Tak. Ja byłam w Londynie. Musiałam wziąć ze sobą Maisie. Kobieta potrzebuje służącej. A pomimo wszystkich swoich uchybień Maisie jest bardzo dobra, jeśli chodzi o czesanie i ubiory. Jest mi oddana, chociaż może czasami wydawać się, że tak nie jest. A pani Gittings po prostu uwielbia być z Mirandą. Zabiera ją do rodziny w Dartmoor. Mówi, że powietrze na wrzosowiskach jest dobre dla dzieci.

– Jestem pewna.

– Ale oto mamy herbatę.

Pani Gittings wtoczyła stolik z herbatą, jak to zrobiła poprzednim razem, skinęła głową w moją stronę, a ja zapytałam, jak się czuje i czy miło spędziła święta.

– Było pięknie – odpowiedziała. – Mirandzie bardzo się podobało, a żeby pani zobaczyła moją siostrę! Ona kocha dzieci. Ciągle pyta, kiedy znowu przyjedziemy.

– Obiecałam pannie Gittings, że niedługo będzie mogła zabrać tam Mirandę – powiedziała Marcia.

Pani Gittings uśmiechnęła się i wyszła.

– To taka dobra dusza – zauważyła Marcia. – Mogę jej absolutnie zaufać, jeśli o Mirandę chodzi.

Nalała nam herbaty i powiedziała:

– Cóż, zastała mnie pani w żałobie. Przepraszam, jeśli trochę zasmucam panią. To było takie tragiczne.

– Tak?

– Dzisiaj mija pięć lat, odkąd pożegnałam Jacka.

– Jacka?

– Jacka Martindale.

– Czy to był pani...

– Mój mąż. Byliśmy tacy młodzi... bardzo, bardzo młodzi... próbowaliśmy się przebić

obydwoje. Ja miałam już swoje osiągnięcia. Spotkaliśmy się we „Wschodnim Lynne”. Grał Archibalda, a ja Isabel. Szczenięca miłość to raczej piękna rzecz, nie sądzi pani, panno Grant?

– Nie znam tego z własnych doświadczeń, ale mam nadzieję, że tak jest.

– Och, musi pani należeć do tych, które późno zaczynają.

– Prawdopodobnie tak.

– Cóż, moja droga, bądź wdzięczna za to. Kiedy jest się młodym, bywa się tak impulsywnym. Ale między Jackiem a mną od samego początku wszystko układało się dobrze. Pobraliśmy się. Miałam zaledwie siedemnaście lat. To była idylla. Graliśmy razem w wielu sztukach. Do naszych ról wnosiliśmy coś nowego. Wszyscy to przyznawali. Wtedy zaczęłam go przewyższać. Jack kochał mnie szaleńczo, ale trochę go to zabolalo. Widzi pani, widzowie przychodzili po to, żeby właśnie mnie zobaczyć. On beze mnie w ogóle nie umiał przyciągnąć publiczności.

Wstała i stanęła na tle okna. Ręce skrzyżowała na piersiach. Wyglądała bardzo dramatycznie.

– Tak więc odszedł ode mnie. Nie próbowałam go zatrzymać. Wiedziałam, że musi odnaleźć swoją własną drogę. Nadarzyła się okazja wyjazdu do Ameryki. Tylko dla niego samego. Jakiś dyrektor go zobaczył...

– I nie chciał też pani? Rzuciła mi lodowate spojrzenie.

– Szukał odtwórcy męskiej roli.

– Ach, rozumiem.

– Pani nie zrozumie teatru, panno Grant. – W dalszym ciągu głos jej brzmiał raczej chłodno. – W każdym razie Jack wyjechał.

Przez chwilę stała nieruchomo. Wyglądało to, jakby miał nastąpić koniec aktu, kiedy kurtyna ma za moment opaść i nadchodzi czas wypowiedzenia ostatniej kwestii.

– Statek wpadł na górę lodową... o trzy dni drogi z Liverpoolu.

Opuściła dłonie i podeszła do stolika z herbatą.

– To bardzo smutna historia – powiedziałam, mieszając herbatę.

– Nie może mieć pani o tym pojęcia, panno Grant. Skąd miałyby pani je mieć... żyjąc tak spokojnie jak pani... ucząc...

Inie może pani sobie wyobrazić, co czuje artystka zamknięta tutaj... po przeżyciu takiej tragedii. – Doskonale potrafię sobie wyobrazić, jak czułby się ktokolwiek po takiej tragedii. Niekoniecznie trzeba być artystą, żeby móc zrozumieć smutek. – Straciłam Jacka. Musiałam pracować dalej. Tego nic nie mogło zmienić. I wtedy. O... to musiało być dwa lata później, zaprzyjaźniłam się z Jasonem. Miał bardzo miły dom w Londynie na St James... i interesował się też teatrem. Często przychodził na moje przedstawienia. To bardzo ekscytujący mężczyzna... jeśli się go dobrze pozna. Szalał za mną. Cóż, może się pani domyślić, jak to się skończyło. Oczywiście nigdy nie zapomnę Jacka, ale Jason jest tutaj i ten dom jest taki atrakcyjny. Wydaje się, że on sam jest też w pewnym stopniu tragiczną postacią. Ta jego rodzina od stuleci mieszkająca w tym Dworze, brak męskiego spadkobiercy i to jego okropne małżeństwo. Mają tylko dwie dziewczynki. Rozumie pani, co mam na myśli. Oczywiście, dla mnie było to poświęcenie. Dziecko tak ogranicza możliwości. Tyle czasu czeka się, aż się narodzi, nie wspominając o innych uciążliwościach. Potem, z kolei, kiedy już się urodzi... ale zrobiłam to dla Jasona... i sądzę, że będę mogła być szczęśliwa, kiedy wszystko się unormuje.

– Myśli pani o chwili, kiedy poślubi pani sir Jasona?

Uśmiechnęła się do mnie.

– To oczywiście nie może się stać już teraz. Trzeba zachować odpowiednią przerwę w czasie. Ludzie w miejscach takich jak to... rozumie pani, są tacy dziwni. Mówią wiele słów, które mogą ranić. Powiedziałam Jasonowi: „Co nas to obchodzi?”.

Ale wyjaśnił, że musimy postępować rozważnie. Wie pani, że mówiono wiele i w większości bardzo nieprzyjemnie.

– Plotki mogą wyrządzić wiele szkody – powiedziałam w poczuciu winy wywołanym moimi ostatnimi doświadczeniami z panią Baddicombe.

– Mogą zrujnować – odparła. – Grałam kiedyś w sztuce, mówiącej o mężczyźnie, którego żona zmarła... podobnie jak lady Verringer. Była też ta druga kobieta.

– Sądzę, że nie jest to taka niezwykła sytuacja.

– Mężczyźni są tylko mężczyznami.

– A kobiety kobietami – powiedziałam, być może trochę chłodno.

– Zgadza się, zgadzam. – Wstała od stolika i podeszła do okna. Stała tam przez kilka chwil, a kiedy się odwróciła, grała już nową rolę. Już nie była osobą przeżywającą śmierć męża. Stała się przyszlą żoną innego mężczyzny.

– Cóż – powiedziała, zwracając się do mnie z uśmiechem. – Życie toczy się dalej. Teraz muszę uszczęśliwić Jasona. On nie widzi świata poza Mirandą.

– Naprawdę?

– Kiedy jest tutaj. Oczywiście, wyjechał na tak długo. Ale po powrocie pobierzemy się. Czekanie jest takie irytujące. On jednak musiał wyjechać. To nie takie proste, kiedy ja jestem tutaj... tak blisko... a ludzie mówią.

– Tak, sądzą, że to niełatwe.

– Być może nawet udam się do niego, zanim wróci. Potrafi bardzo nalegać i próbuje mnie skłonić, żebym pojechała do niego.

– Jedyne, co mogę zrobić, to życzyć, aby wszystko ułożyło się dobrze.

– Będą okropne plotki, ale trzeba to jakoś przeżyć, prawda?

– Sądzą, że tak.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła pani Gittings z Mirandą.

– Podejdz tutaj, kochanie – powiedziała Marcia, teraz oddana matka.

Dziecko podeszło, ale jak zauważyłam, w dalszym ciągu trzymając kurczowo dłoń pani Gittings.

– Moja kruszynko, podejdz i przywitaj się z panną Grant.

– Dzień dobry, Mirando – powiedziałam. Ciemne oczy zwróciły się ku mnie.

– Mam kukurydzianą lalkę.

– Co takiego, kochanie? Pani Gittings wyjaśniła:

– Wisi na ścianie w domku mojej siostry. Miranda zawsze mówi, że to jej lalka.

– Ile mała ma lat? – zapytałam.

– Prawie dwa – powiedziała pani Gittings. – Jesteś całkiem dużą dziewczynką, prawda, pieszczoszku?

Miranda zaśmiała się i przyłgnęła do sukni pani Gittings.

Było jasne, kogo Miranda darzy uczuciem w tym domu.

Czułam wielką ochotę, żeby już stamtąd wyjść. Byłam zmęczona słuchaniem o Jasonie Verringerze i jego miłośkach. Wszystko to było raczej niesmaczne, a w tym domu panowała atmosfera takiego braku powiązania z rzeczywistością, że nigdy nie chciałam spotkać już nikogo z nich, może z wyjątkiem pani Gittings i dziecka.

Po chwili Miranda została zabrana, a ja wyszłam. Wytłumaczyłam się tym, że muszę

wracać do szkoły. W drodze powrotnej myślałam o tym, jaka to szkoda, że szkoła jest tak blisko Dworu i że praktycznie jest jego częścią. Utrudniało to odizolowanie się. Byłam jednak pewna, że nie będę się spieszyć z ponownym odwiedzeniem „Gawroniej Przystani”.

Zdaje się, w dwa tygodnie później natknęłam się w mieście na panią Gittings z Mirandą. Jej zaróżowiona twarz rozjaśniła się radością na mój widok.

– Ależ to panna Grant – powiedziała. – Piękny dzień, prawda? Nadchodzi wiosna. Przyjechałam razem z Mirandą dwukółką. Ona to uwielbia, prawda, Mirando? Musimy zrobić małe zakupy, zanim wyjedziemy.

– Wyjeżdżacie?

– Zabieram Mirandę do mojej siostry.

– Będzie pani tam dobrze. Mirandzie też.

– Tak. Zobaczmy swoją kukurydzianą lalkę, prawda, malutka? I ciocię Grace. To moja siostra, bardzo przywiązana do Mirandy, a Miranda do niej. Na wrzosowiskach będzie pięknie. Wychowałam się tam. Mówią, że człowiek zawsze chce wracać w rodzinne strony.

– Jak poradzą sobie bez pani w „Gawroniej Przystani”?

– Nikogo tam nie będzie. Dom ma być zamknięty do chwili, aż będę miała powiedziane, żeby wrócić.

– W takim razie pani Martindale jedzie do Londynu, tak?

– Mówi, że jeszcze dalej. Raczej niewiele o tym mówi, ale czasami coś jej się wymknie. Jedzie do niego.

– Do niego?

– Do sir Jasona. Gdzieś na kontynent. Maisie jedzie z nią.

– Myśli pani, że pobiorą się tam... gdziekolwiek to jest.

– Na to chyba ma nadzieję.

– Ach tak.

– Nie mogę się doczekać wyjazdu na wrzosowiska. Miło było panią widzieć, panno Grant. Wydaje mi się, że bardzo spodobała się pani Mirandzie.

Pożegnałam się. Czuję się odrobinę przygnębiona. Co za wstrętna sprawa, pomyślałam, jadąc z powrotem do Abbey.

* * *

Teresa przyszła do mnie bardzo zdenerwowana.

– To przez kuzynów – powiedziała. – Chcą, żebym pojechała do nich na Wielkanoc. Panna Hetherington wezwała mnie do swojego gabinetu. Oznajmiła mi, że właśnie się o tym dowiedziała. Mówiłam, że nie chcę jechać, ale panna Hetherington twierdzi, że muszę.

– Och, Tereso, ciotka Patty i Violet będą takie rozczarowane.

– Wiem. – W jej oczach błyszczały łzy. – Violet miała mnie nauczyć pieczenia wielkopiątkowych bułeczek.

– Może uda mi się coś zrobić w tej sprawie – powiedziałam. – Pójdę do panny Hetherington.

Daisy smętnie pokręciła głową.

– Często zastanawiałam się, czy to rozsądne z twojej strony zabierać Teresę ze sobą do domu. Znam Patience i Violet i wiem, jakie wrażenie mogą zrobić na dziewczynce

takiej jak Teresa. Biedne dziecko, była prawie jak oszalała, kiedy jej o tym powiedziałam.

– Z pewnością dałoby się to im wytłumaczyć – powiedziałam.

– Nie sądzę, żeby zmienili decyzję. To nie kwestia tego, że chcą ją mieć u siebie. Potrafię czytać między wierszami. Uważają, że w oczach jej rodziców może to wyglądać, jakby zaniechali swoje obowiązki. Mieli się przecież nią opiekować, a jej nieobecność u nich dwa razy z rzędu w czasie ferii to trochę za dużo. Będzie musiała pojechać tam na Wielkanoc. Potem być może uda się zaaranżować, żebyś zabrała ją ze sobą latem, a to najdłuższe wakacje.

– Będzie nam tak smutno. Widzi pani, ona szybko stała się częścią naszej rodziny.

– I to jest problem. Należy być ostrożnym z dziewczętami takimi jak Teresa. Bywają bardzo uczuciowe. Angażują się zbyt mocno i zbyt szybko.

– To były tylko wakacje spędzone z nami w małym, zwyczajnym domu.

– Moja droga Cordelio, żaden dom, w którym jest Patience, nie jest zwyczajnym domem.

– Wiem. To zupełnie wyjątkowa istota. Tak się cieszyłam, że Teresa mogła zaznać tego wszystkiego.

– Jesteś zbyt sentymentalna. Wyślijmy do kuzynów Teresę na Wielkanoc, a jestem pewna, że lato ułoży się po naszej myśli.

– Nie możemy im tego wytłumaczyć?

– Wyjaśnienia tylko pogorszyłyby sprawę. Czuliiby się jeszcze bardziej winni. Robią ten gest dla wywarcia dobrego wrażenia na jej rodzicach. Musimy im na to pozwolić tym razem. A być może Teresa tak da im się we znaki, że nieprędko będą chcieli ją gościć ponownie. – Daisy uśmiechnęła się smętnie. – Ależ, Cordelio, to wcale nie jest takie tragiczne. Tylko ten jeden raz. Teresa musi się nauczyć, że życie to nie pasmo przyjemności. To jej się przyda, a później jeszcze bardziej doceni Moldenbury.

– Już teraz je sobie ceni.

Daisy wzruszyła ramionami.

– Będzie musiała tam jechać – powiedziała zdecydowanie. Biedna Teresa miała złamane serce, a jej żal dawało się odczuć przez resztę semestru.

Kiedy na dzień przed moim odjazdem machałam jej na pożegnanie razem z dziewczętami, obydwie mało się nie rozpląkałyśmy.

* * *

W Moldenbury było bardzo smutno. Teresa byłaby zadowolona, gdyby zobaczyła, jak bardzo nam jej brakowało. Ciotka Patty powiedziała:

– Trudno. Będzie tutaj w lecie, a to najdłuższe wakacje.

– Możemy jej już nigdy nie zobaczyć – prorokowała Violet.

Ludzie z wioski pytali, gdzie ona jest. Nie zdawałam sobie sprawy, że stała się tak ważną częścią naszego domostwa. Udekorowałyśmy kościół żonkilami i czułam żal, myśląc, jak bardzo Teresa cieszyłaby się tym wszystkim. Wielkopiątkowe bułeczki nie były aż takim wydarzeniem, jakim by były przy Teresie.

– Tak lubiła tu być – powiedziałam. – Dzięki niej zrozumialiśmy, jakie to szczęście, że mamy siebie nawzajem.

– Ja zawsze zdawałam sobie z tego sprawę – odparła ciotka Patty, tym razem poważnie.

Chodziłam na długie spacerunki i myślałam o Marcii Martindale i Jasonie Verringerze.

Wyobrażałam sobie ich na weneckich kanałach, spacerujących w pobliżu Arno we Florencji, jeżdżących po Champs Elysees, zwiedzających Koloseum w Rzymie... we wszystkich miejscach, o których zobaczeniu marzyłam.

Myślałam trochę złośliwie: są warci jedno drugiego i z pewnością znajdą szczęście, na jakie zasługują.

Było to następnego dnia po wielkanocnym poniedziałku. Siedziałam po południu w salonie i czytałam, kiedy usłyszałam stuk zamykanej furtki. Wstałam i wyjrzałam przez okno. Ścieżką szła Teresa. Niosła walizkę.

Wybiegłam na zewnątrz.

– Tereso! – zawołałam.

Podbiegła do mnie i uścisnęłyśmy się.

– Co ty tu robisz? – zapytałam.

– Po prostu przyjechałam – odpowiedziała. – Wsiadłam do pociągu i przyjechałam. Nie mogłam już dłużej tego wytrzymać.

– Ale co z kuzynami?

– Zostawiłam im karteczkę. Będą zadowoleni. Byłam dla nich takim utrapieniem.

– Och, Tereso – wykrzyknęłam, starając się, żeby zabrzmiało to surowo, ale nie udało mi się ukryć radości.

Stałam u podnóża schodów i zawołałam:

– Ciociu Patty, Violet. Zejdźcie zaraz na dół.

Przybiegły natychmiast. Przez kilka sekund wpatrywały się w Teresę. Aż w końcu ona rzuciła się do nich i wszystkie trzy stworzyły jeden kłębek radości, a ja stałam, patrzyłam na nie i śmiałam się. Powiedziałam:

– To wszystko jest raczej okropne. Właśnie uciekła od kuzynów, zostawiając im liścik. Ciotka Patty próbowała się nie śmiać, ale nawet Violet uśmiechała się.

– Cóż, ja czegoś takiego nigdy nie zrobiłam – oświadczyła ciotka Patty.

– Po prostu spakowała walizkę i przyjechała.

– Sama z tak daleka – powiedziała Violet zszokowana.

– Ma prawie siedemnaście lat – przypomniałam im.

– Znałam drogę – powiedziała Teresa. – Najpierw musiałam pojechać do Londynu. To było najtrudniejsze. Ale konduktor mi pomógł. Pokierował mną.

– Co z kuzynami? – zapytała Violet. – Będą szaleć z niepokoju.

– Poczują ulgę – powiedziała Teresa.

– A ty zostawiłaś im kartkę – dodałam.

Teresa skinęła głową.

– Natychmiast napiszę do nich i wyjaśnię, że dotarłaś bezpiecznie. Poproszę, żeby pozwolili ci zostać u nas do końca ferii.

– Nie wróciłabym, gdyby powiedzieli nie – oświadczyła zdecydowanie Teresa. – Nie mogłam znieść myśli o tym, że jadłyście wielkopiątkowe bułeczki beze mnie. – Zwróciła się do Violet: – Jak się udały w tym roku?

– Nie były tak dobre jak w ubiegłym – odpowiedziała Violet, jak się tego można było spodziewać. – Niektóre z nich wyszły po upieczeniu bez krzyżyków.

Teresa była poważnie zatroskana, a Violet ciągnęła dalej:

– Możemy upiec drugą porcję. O ile wiem, nie ma prawa zabraniającego jedzenia ich w inne dni poza Wielkim Piątkiem.

– Och, zróbmy to – powiedziała Teresa.

Była znowu z nami. To cudownie i wszystkie czułyśmy się tym uszczęśliwione.

Zgodnie z oczekiwaniami dostałam list od kuzynów Teresy, dziękujący za moje zainteresowanie nią. Wiedzieli, jak bardzo podobały jej się wakacje spędzone w moim domu. Jednak nie chcieliby się narzucać i gdyby się okazało, że mam już dość Teresy, powinnam ją natychmiast odesłać z powrotem do nich. Prosiłam ich także o pozwolenie, aby Teresa mogła spędzić u nas letnie wakacje; zgodzili się na to uprzejmie i, jak to odebrałam, bardzo chętnie.

Kiedy pokazałam list Teresie, była szczęśliwa.

Poszliśmy do wioski, gdzie niemal wszyscy powitali ją gorąco, a niektórzy pytali, dlaczego nie było jej na wielkanocnych mszach.

Aż się zaróżowiła z radości.

W efekcie to były miłe ferie. Wkrótce jednak nadszedł czas powrotu do szkoły i to był koniec spokojnych dni.

Kolczyk z rubinem

Od momentu, kiedy wysiadłam z pociągu, byłam świadoma jego obecności. Emmet czekał, żeby nas zawieźć do szkoły, ale kiedy przeszliśmy na dziedziniec stacji, zobaczyłam powóz Verringerów i jego stojącego obok.

Podszedł do nas, trzymając kapelusz w dłoni.

– Panno Grant, jak miło panią zobaczyć. Tak dawno się nie widzieliśmy.

Byłam zaskoczona. Nie spodziewałam się, że zobaczę go tak szybko. Muszę jednak przyznać, że zastanawiałam się, czy wrócił już podczas naszej nieobecności.

– A więc... wrócił pan – powiedziałam i pomyślałam, jak niemądrze musi dla niego brzmieć stwierdzenie tak oczywistego faktu, wiedziałam, że to oczywiście uwydatnia moje zakłopotanie.

– Mam tu mój powóz. Proszę mi pozwolić na przyjemność odwiezienia pani do Akademii.

– To bardzo miłe z pana strony – odparłam – ale Emmet przyjechał szkolną bryczką, żeby nas zawieźć.

– To jakaś stara terkotka, prawda? Będzie pani wygodniej w moim powozie.

– Będzie nam dobrze z Emmetem, dziękuję.

– Nie mogę na to pozwolić. Emmet, możesz wziąć bagaże i pannę...

Patrzył na Teresę, która odpowiedziała mu przekornym spojrzeniem.

– Chciałem zapytać, czy wyświadczyłaby mi pani uprzejmość pojechania moim powozem – ciągnął z lekkim odcieniem ironii w głosie.

– Ja pojedę z panną Grant – oświadczyła Teresa.

– To świetny pomysł. Emmet, zabieram obie panie.

– Dobrze, sir Jasonie – powiedział Emmet.

Czułam złość, ale nie chciałam doprowadzić do zamieszania. Wyglądałoby śmiesznie, gdybym robiła z tego problem. Nadawałabym znaczenia czemuś, co tak naprawdę wcale nie było istotne. Miałam jednak uczucie, że ważne było wszystko, co powodowało mój kontakt z nim. Byłam na siebie wściekła, że nie potrafiłam odmówić grzecznie i chłodno, ale z zachowaniem form, a jednocześnie w taki sposób, by dać mu do zrozumienia, że nie chcę mieć w stosunku do niego żadnych zobowiązań.

– To wielka przyjemność – powiedział. – Obydwie panie możecie usiąść obok mnie. Jest tu dużo miejsca i będzie to najlepszy sposób, żeby podziwiać krajobraz. Dla mnie zaś to wielka przyjemność móc paniom zaprezentować, jak poczynają sobie moje gniadosze. Jestem z nich dumny.

Tak też się stało. Siedziałyśmy obok niego, wyjeżdżając sprzed stacji i kierując się ku alejkom. Powiedziałam:

– Wierzę, że miał pan przyjemną podróż.

– Cóż, człowiek zaczyna się czuć trochę zmęczony, kiedy przebywa długo poza domem. Tęskni się, tak sędzę. Rozmyśla się o tym, co zostało poza nami. Tak było też i z panią, i panną...

– Hurst – podpowiedziałam mu.

– Tak, panną Teresą, teraz sobie przypominam. Czy miło spędziły panie święta?

– Bardzo miło, prawda, Tereso?

– Szczególnie końcówkę – odpowiedziała Teresa.

– Ach tak, dopiero końcówkę?

Teresa wyjaśniła:

– Końcówkę spędziłam z panną Grant, a początek z kuzynami. To była ta część, która wcale mi się nie podobała.

– Potrafię zrozumieć, jak przyjemnie może być spędzać czas w towarzystwie panny Grant. Zazdroszczę ci.

Patrzyłam wprost przed siebie.

– Mam nadzieję, że nie spotkamy innego powozu nadjeżdżającego tą alejką – powiedziałam.

– Ach, powracają wspomnienia. Jeśli tak się stanie...

– Pan zażąda, żeby to on się wycofał.

– Ależ oczywiście. Mam nadzieję, że w tym semestrze będę miał możliwość widywania pani. Panna Hetherington mówiła, że jest planowane letnie widowisko. Być może będzie ono wymagać współdziałania i nas ze Dworu, i was ze szkoły, ponieważ dotyczyć będzie Abbey.

„Nas?” – pomyślałam. Kim są ci my? Czy ma na myśli siebie i Marcie Martindale? Czy ona już została lady Verringer?

– Pamiętam jedno jedyne, ostatnie. Odbyło się kilka lat temu. Miało ono coś upamiętniać. Chowaliśmy gdzieś jakieś kostiumy. Byli u nas wtedy aktorzy tego spektaklu i zostawili jakieś rzeczy. Mnisie habity. Muszę przypomnieć o tym pannie Hetherington.

– To ciekawa wiadomość – powiedziałam chłodno.

Przebrnęliśmy przez wąską alejkę.

– Jesteśmy bezpieczni – powiedział, zerkając na mnie spod oka. – Poczula pani ulgę, że się zawstydzilem pani pokazem arogancji i egoizmu.

Gwałtownie ściągnął wodze.

– Chcę, żeby mogła pani podziwiać ten widok przez chwilę. Prezentuje się wspaniale, prawda? Sześćset lat temu musiało to wyglądać bardzo podobnie. Trudno się domyślić z tego miejsca, że to ruiny, prawda?

– Widzę szkołę – powiedziała Teresa.

– To nie ruina, dzięki Bogu. Nie wiem, co byśmy zrobili bez naszej panny Hetherington, jej pupilek i jej wspaniałych nauczycielek.

– Nie pomyślałabym, że to w jakikolwiek sposób wpływa na was we Dworze.

– Ależ wpływa. Dodaje to kolorytu życiu. A proszę tylko pomyśleć, jakie to dogodne dla moich wychowanek. Gdzież indziej mogłyby otrzymać tak wspaniałą edukację? Gdzież indziej zaczerpnęłyby tego powiewu kultury? Musiałyby zostać wysłane za granicę. O ile wygodniej dla nich być w niewielkiej odległości od domu.

– Panna Hetherington będzie zadowolona z pańskiego komentarza.

– Mówiłem jej to wiele razy. – Zerknął na mnie. – Nigdy jednak nie odczuwałem tego tak silnie jak ostatnio.

– Przypuszczam, że takie sentymentalne myśli opadły pana, kiedy pan wyjechał. Mówi się, że serce staje się bardziej wrażliwe na odległość.

– Przyznaję, że ze mną tak było.

– Możemy już jechać? Panna Hetherington będzie się zastanawiać, co się z nami stało, kiedy Emmet wróci sam.

– Sądzi pani, że już dojechał?

– Pojechał na skróty – powiedziała Teresa. – Pan, sir Jasonie, pojechał okrężną drogą.

Ruszyliśmy i wkrótce dotarliśmy do szkoły. Panna Hetherington wyszła, żeby nas

przywitać. Wyglądała na trochę zaniepokojoną.

– Jest już pani, panno Grant. Niepokoiłam się. I Teresa...

– Byłem na stacji – powiedział Jason Verringer. – Zobaczyłem panie i pomyślałem, że okazałbym się nieuprzejmym, gdybym nie zaproponował podwiezienia. Teraz, kiedy już dowiozłem panie bezpiecznie, pożegnaj się: *au revoir*. A przy okazji, panno Hetherington, mamy we Dworze jakieś kostiumy mnichów. To pozostałość po ostatnim przedstawieniu. Każę komuś je przejrzeć lub któryś z pani pracowników zajmie się tym. Może pani uzna, że przydadzą się.

– Dziękuję. Z pewnością skorzystam z pańskiej oferty, sir Jasonie. Czy jest pan pewien, że nie wstąpi pan do nas?

– Nie teraz, ale przyjadę innym razem. Życzę paniom miłego dnia.

Eleganckim gestem uniósł kapelusz i jego konie ruszyły drobnym klusem.

– Tereso – powiedziała panna Hetherington – idź do swojego pokoju. Rozumiem, że spotkałaś pannę Grant na stacji?

Teresa milczała, a ja powiedziałam szybko:

– Wyjaśnię to. Ty już idź, Tereso.

– Emmet zaniósł wasze bagaże na górę – rzekła Daisy. – Chodź do gabinetu.

Ruszyłam za nią i kiedy drzwi zostały zamknięte, opowiedziałam jej o Teresie.

– Wyjechała od nich i podróżowała sama! Nie pomyślałabym, że Teresa będzie miała tyle odwagi.

– Ostatnio bardzo wydorosła. Najwyraźniej u kuzynów było jej bardzo źle. Napisałam do nich i załagodziłam sprawę. Przyjęli to wszystko raczej z ulgą. To było oczywiste. Uzyskałam też ich zgodę, żeby Teresa mogła spędzić z nami letnie wakacje.

Daisy skinęła głową.

– Za jej podróżowanie na własną rękę nie możemy brać odpowiedzialności – powiedziała. – Mam nadzieję, Cordelio, że Teresa nie przywiąże się do ciebie za bardzo. Musisz być ostrożna z takimi wrażliwymi dziewczętami.

– Właściwie, myślę, że Teresa bardziej przywiązała się do Violet niż do mnie. To zadziwiające, jak dobrze się rozumieją.

Skinęła ponownie głową i powiedziała:

– I sir Jason... byłam zaskoczona, widząc cię w jego powozie... siedzącą obok niego.

Wyjaśniłam:

– Było tak, jak powiedział. Spotkałyśmy go na stacji. Nalegał bardzo. Gdybym odmówiła, mogłoby to zostać uznane za niegrzeczność... brak ogłady.

– Rozumiem, ale bądź z nim ostrożna. Jest niebezpiecznym człowiekiem.

– Niebezpiecznym... w jakim sensie?

– Myślę o tym, że byłoby to nierozsądne dla młodej kobiety w twojej sytuacji, gdybyś zaprzyjaźniła się z nim za bardzo.

– Nie zrobię tego.

– Mam nadzieję.

– Czy poślubił już Marcie Martindale, czy to dopiero ma nastąpić?

– Jak dotąd nie było ślubu... jeszcze. Wiele się na ten temat spekuluje, tak jak się to działo od chwili, kiedy pani Martindale pojawiła się w „Gawroniej Przystani”.

– Jest tam teraz?

– O tak. Wróciła już trzy tygodnie temu. Tak jak i on. Ludzie czekają na rozwój wydarzeń. Generalnie panuje opinia, że się pobiorą. W dalszym ciągu podtrzymywane są nieprzyjemne plotki, że pomógł żonie zejść z tego świata, aby móc ożenić się z panią

Martindale. Nie podoba mi się, że tego typu opowieści dotyczą kogoś tak blisko związanego ze szkołą. Żałuję, że należy do niego i że on wykazuje zainteresowanie nami. Jestem przekonana, że wszystkie te plotki to czysty nonsens. Można mu przyczepiać różne łątki, ale nie jest typem człowieka, który morduje żonę. Boję się jednak, że te plotki będą się utrzymywać, dopóki się nie ustatkuje i nie ożeni. Aż do tego momentu najlepiej będzie, jeśli my wszyscy zachowamy możliwie jak największą rezerwę.

– Przyznaję rację – powiedziałam. – A to z pewnością i ja zamierzam zrobić.

Daisy była zadowolona.

– To nie jest takie proste – ciągnęła. – Jest naszym gospodarzem i istnieją powiązania między Dworem i opactwem.

Później zobaczyłam, że Eileen Eccles jest w kalefaktorium, i weszłam tam, żeby z nią porozmawiać.

– Witam w kieracie – powiedziała. – Udane ferie?

– Bardzo, dziękuję. A twoje?

– Wspaniale. Będziemy musiały długo czekać do letnich wakacji. Zawsze wydaje mi się, że ten semestr jest najbardziej uciążliwy. Myślę, że to dlatego, iż tęsknota za wyjazdem stąd jest bardziej dotkliwa niż zwykle.

– Miej litość – zaśmiałam się. – To się jeszcze nawet na dobre nie zaczęło.

– Sądzę, że będzie niewesoło. Pomyśleć tylko, że mamy zrobić tę świętojańską imprezę. Byłam tu, kiedy ostatnio to się odbywało. Dopóki się tego nie przeżyje, trudno sobie wyobrazić, jakie to okropne. Muzyczne interludia, śpiewy w cieniu wielkiej nawy, snucie się dookoła w bieli, habity naszych fundatorów... wystawianie małego przedstawienia... być może sztuki; akt pierwszy: budowanie opactwa, akt drugi: czas Rozłamu i akt trzeci: powstanie Feniksa z popiołów, czyli naszej drogiej Akademii dla Młodych Panien.

– W każdym razie można się z tego śmiać.

– Śmiać się, moja droga Cordelio. Trzeba albo się śmiać, albo płakać.

– Przypuszczam, że będziemy mieć więcej tego pierwszego podczas naszych działań.

– A potem: wspaniała wolność. Miej to przed oczyma przez te wszystkie tygodnie harówki i konfliktów. Pamiętaj o światełku w tunelu. A przy okazji: wróciłaś w wielkim stylu.

– Więc wiesz już o tym?

– Moja droga Cordelio, wszyscy o tym wiedzą. Wszyscy widzieli, jak siedziałas obok niego. To nie tylko kraina śmietanki i jabłeczniaka, ale też skandali i plotek. A to dwa główne przemysły tutaj.

– Zapewniam cię, że nie potrzebuję żadnych skandali dotyczących mnie.

– Cieszę się. Nie chciałabym, żeby cię zasztyletowano, a twoje przerażające szczątki pochowano pod zrujnowanym prezbiterium albo żeby którejś ciemnej nocy twoje ciało wrzucono do stawów rybnych. Madam Martindale wygląda na taką, która może zastosować metody Borgiów albo Medyceuszy, jeśli będzie akurat w nastroju.

– Rzeczywiście wydaje się, że jest postacią trochę dramatyczną.

– I zdeterminowaną, żeby osiągnąć wyznaczony cel, czym, droga Cordelio, jest Dwór i idący z nim w parze tytuł. Jest gotowa dla tych korzyści wziąć również sir Jasona, a nieszczęście może się także przydarzyć z tego powodu każdej rywalce do tej wymarzonej partii.

– Opowiadasz takie głupstwa – powiedziałam ze śmiechem. – Mogę cię zapewnić, że przejazdka powozem nie jest równoznaczna z propozycją małżeństwa czy chociażby taką

intencją.

– Niemniej myślałam, że mógł mieć na ciebie oko. Nie jesteś osobą pozbawioną uroków osobistych.

– Och, dziękuję! Powiedziałaś, że tu wszyscy specjalizują się w plotkach i skandalach. Ja myślę, że niektórzy tu cierpią na nadmiar wyobraźni. Miałam mało kontaktów z Jasonem Verringerem, a i z tych nie wyniosłam zbyt pozytywnych wrażeń.

– Tak trzymaj, Cordelio. Bądź rozsądną dziewczicą.

Śmiałyśmy się razem. Dobrze było być znowu tutaj.

* * *

Pomimo zapewnień, jakie sobie czyniłam, że Jason Verringer w najmniejszym stopniu mnie nie obchodzi, w czasie następných dni przekonywałam się coraz bardziej, że tak nie jest. Kiedy tylko wyjeżdżałam poza teren szkoły, wypatrywałam go. Pewnego razu, gdy zobaczyłam, że wychodzi ze Dworu, odwróciłam się i pogalopowałam, jak tylko mogłam najdalej od tego miejsca. Wydaje mi się, że mnie widział, ale ponieważ był pieszko, nie miał szans dogonienia mnie... jeśli miałby zamiar to zrobić.

Natomiast, kiedy wyjeżdżałam poza teren szkoły w czasie wolnym, bardzo często go spotykałam. Wiedziałam, że planował te spotkania. W moim zawodzie było naturalne, że takie wyjście następowało w regularnych porach. Szybko zorientował się, kiedy ma to miejsce.

To mnie niepokoiło i intrygowało. Jeśli chciałam być ze sobą szczerą, musiałabym przyznać, że byłam daleka od obojętności w stosunku do niego, a o taki stan ducha właśnie walczyłam.

Ingerował nie tylko w moje wolne popołudnia, ale także w moje myśli. Zawsze, kiedy wymieniane było jego nazwisko, udawałam, że nie jestem tym zainteresowana, podczas gdy przez cały czas starałam się zbierać jak najwięcej informacji o nim. Zdarzało się to często, gdyż nie dało się wejść do sklepu, żeby nie usłyszeć czegoś o dziedzicu lub jego sprawach.

Bardzo niewiele wiedziałam o świecie i o mężczyznach. Jedyne moje doświadczenia wiązały się z Edwardem Comptonem, a im więcej czasu mijało od tamtych chwil, tym bardziej wydawało mi się, że było to tylko senne marzenie. Być może, gdybym była lepiej obeznana z życiem, bardziej niepokoiłabym się sytuacją. Faktem było, że dawałam się wciągnąć w orbitę oddziaływania Jasona Verringera, a on, człowiek znający świetnie moją płć, rozumiał moje odczucia i był zdecydowany wykorzystać je.

Był mną zainteresowany od chwili, kiedy zobaczył mnie jadącą z Emmetem. A nie należał do mężczyzn, którzy odmawiali sobie przyjemności zdobycia obiektu, jeśli leżał w kręgu ich zainteresowań.

Tak więc teraz zdobywał mnie.

Chłód w moim zachowaniu w najmniejszym stopniu go nie zniechęcał. Wręcz przeciwnie, gdybym była bardziej rozsądna, wiedziałabym, że to sprawia, iż mężczyzna staje się jeszcze bardziej zdecydowany.

Takie awanse ze strony człowieka, będącego o krok od ożenienia się z inną kobietą, były godne ubolewania. Nie akceptowałam tego i mówiłam sobie, że zachowuje się w stosunku do mnie tak samo, jak zachowywałyby się w stosunku do każdej kobiety, która byłaby młoda i w miarę ładna. Nie należy szukać w tym nic wyjątkowego.

Ale oczywiście nie było tak.

Pewnego razu wyjeżdżałam na swoją popołudniową wycieczkę, a on pojawił się, galopując obok mnie.

– Co za miła niespodzianka – powiedział z ironią, ponieważ było jasne, że czekał na mnie. – Jestem pewien, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu, żebym pojechał z panią.

– Prawdę mówiąc, wolę jeździć sama – odparłam. – Mogę wtedy jechać w swoim własnym rytmie.

– Dostosuję swój rytm do pani. Co za wspaniałe popołudnie! Tym piękniejsze dla mnie, że spotkałam panią.

Pominięłam to milczeniem i powiedziałam, że w istocie zaraz będę musiała wracać do szkoły.

– Jest tak wiele do zrobienia – dodałam.

– Jaka szkoda. Czy powodem jest świętojańska orgia? Wbrew sobie zaśmiałam się.

– Nie sądzę, żeby panna Hetherington była zadowolona, słysząc to określenie.

– Chcę, żeby ktoś przejrzał kostiumy, które mam. Trzeba sprawdzić, czy przydadzą się do czegoś. Czy może pani przyjechać do Dworu? Chciałbym je pani pokazać.

– To dział panny Barston. Ona jest nauczycielką prac ręcznych.

– Nie trzeba ich robić. Są już gotowe.

– Być może wymagają odświeżenia czy dopasowania dla dziewcząt, które je będą nosić. Przekażę pani Hetherington, że chce pan, żeby panna Barston przyjechała do pana.

– Miałem nadzieję, że to pani przyjedzie. W końcu to kwestia tego, jak te kostiumy mają być noszone... i temu podobne.

– Zastanawiam się, na ile sposobów można nosić habity cystersów?

– Pani by wiedziała. To dlatego chcę, żeby to pani przyjechała.

– Tak naprawdę, potrzebuje pan panny Barston.

– Nie potrzebuję panny Barston, potrzebuję panny Grant.

Spojrzałam na niego lodowato, zaskoczona.

– Tak – ciągnął. – Dlaczego jest pani taka wyniosła? Boi się pani mnie?

– Boję się pana! Dlaczego miałabym się bać?

– Cóż, jestem przecież przedstawiany jako ogromny wilkołak, nieprawdaż?

– Tak? A ja myślałam, że jest pan wdowcem, który ma się niebawem ponownie ożenić.

Wybuchnął śmiechem.

– A więc to to! – powiedział. – Historyjki, jakie opowiadają o mojej rodzinie, są naprawdę zabawne. Teraz zostałem już tylko ja, na mnie się wszystko skrupia. Kiedyś część przypadała na mojego brata.

– Pańskie życie jest bardzo malownicze, jak sądzę. Z pewnością dostarcza pan sąsiedztwu tematów do rozmów.

– Rzeczywiście, mam swoje dziwactwa. Cordelio, dlaczego nie możemy być... przyjaciółmi?

– Z przyjaźnią nie jest tak, że nagle człowiek decyduje się na nią. Przyjaźń to coś, co narasta.

– Cóż, proszę dać szansę naszej przyjaźni, żeby narosła, zgodzi się pani?

Moje serce biło szybciej, niż powinno. Rzeczywiście robił na mnie potężne wrażenie.

– Szansa dana jest wszystkiemu i wszystkim – powiedziałam.

– Czyli nawet ja mam taką szansę u pani?

Spięłam swojego konia i ruszyłam galopem. Skręciłam w bok i popędziłam przez pole.

Przez cały czas dotrzymywał mi kroku. Kiedy dotarliśmy do drogi, musiałam się zatrzymać.

– Ekscytujące – powiedział.

Zgadzałam się z tym.

– Muszę teraz wracać. Nie mogę się spóźnić. Za godzinę mam lekcję. Muszę wrócić i się przebrać.

Skinał głową i jechał obok mnie. Nie podjechał ze mną aż do samej szkoły. Zastanawiałam się, czy zdawał sobie sprawę z plotek i nie chciał, żeby Marcia Martindale usłyszała o tym. Lub może myślał, że mogły one nie spodobać się mnie i nie zgodziłabym się na kolejną przejażdżkę z nim.

Weszłam do budynku, przebrałam się w bluzkę i spódniczkę i pospieszyłam do swojej klasy.

Nie mogłam jednak przestać o nim myśleć.

* * *

Dwa dni później nie pojechałam na przejażdżkę w czasie przerwy popołudniowej. Byłam przekonana, że gdybym to zrobiła, na pewno znowu bym go spotkała. Poszłam więc na spacer do ruin opactwa.

Było tam cicho i spokojnie, ale jednocześnie miałam się na baczności; byłam świadoma tego uczucia jak zawsze, kiedy znalazłam się sama pośród ruin. Myślę, że przyczyniała się do tego atmosfera zadumy nad starożytnością, uświadomienie sobie, że kiedyś żyło tu kwitnące społeczeństwo ludzi oddanych Bogu, zajmujących się swoją pracą... i wtedy nagle spadł na nich cios – w miejscu takiej spokojnej piękności i świętości zostały tylko ruiny. Oczywiście, w dalszym ciągu było tu pięknie. Czegoś takiego nie da się kompletnie zniszczyć. Rzeczy piękne są jakością trwającą wiecznie, nawet jeśli wandale zrobili wszystko, co w ich mocy, żeby je zniszczyć. Ale jak wiele pozostało z Abbey i jak wielkie wrażenie robiło opactwo tymi kamiennymi ścianami bez dachów, sięgającymi ku niebu!

Przeszłam przez nawę główną i boczną, patrząc do góry w błękitne niebo nade mną. Przeszłam przez zachodnią część bazyliki i przecinając kaplicę i Dom Opata, wyszłam z ruin. Dotarłam do stawów rybnych.

Przez chwilę stałam, obserwując wodę przepływającą z jednego stawu do drugiego. Było ich trzy. Każdy położony niżej niż poprzedni. W miejscach, gdzie wpadały jeden do drugiego, tworzyły się wodospady. To było bardzo efektywne, a jednocześnie wyglądało pięknie.

Stałam nad wodą, głęboko zamyślona, kiedy usłyszałam kroki. Odwróciłam się gwałtownie i zobaczyłam Jasona Verringera.

Podszedł, uśmiechając się. Kapelusz trzymał w ręku.

– Dlaczego pan tu przyszedł? – zapytałam ostro i uświadomiłam sobie, jak szalone i impertynenckie było takie pytanie. W końcu ziemie opactwa należały do niego. Mógł chodzić tam, gdzie chciał.

W dalszym ciągu się uśmiechał.

– Proszę zgadnąć – powiedział. – Tylko raz, nie jak zwykle do trzech razy sztuka...

ponieważ odpowiedź jest oczywista. Powiem pani. Żeby panią zobaczyć.

– Ale skąd pan wiedział?

– To było doprawdy bardzo proste. Nie jeździła pani, była więc szansa, że poszła pani na spacer. Dokąd by pani poszła? Cóż, ruiny są miejscem, któremu trudno się oprzeć, prawda? Przywiązałem więc konia niedaleko stąd i szedłem wśród ruin, aż zobaczyłem panią podziwiającą stawy. Są godne uwagi, czyż nie?

– O, tak. Wyobrażałam sobie mnichów siedzących tu i łowiących ryby.

– Jak to robi też, jak sędzę, nieoceniony Emmet, zaopatrując wasze stoły w ryby.

– To prawda.

– Jest to jeden z przywilejów, jakie uzyskała ode mnie panna Hetherington.

– Jestem pewna, że bardzo to docenia.

– Tak się wydaje. Jestem jej doprawdy oddany. Kiedy szkoła jest zamknięta, staje się tu wyjątkowo nudno.

– Z pewnością nie, z całą posiadłością i pana aktywnością.

– Mimo wszystko, czegoś brakuje... czegoś bardzo atrakcyjnego.

Zaśmiałam się.

– Przesadza pan oczywiście. W każdym razie i tak był pan za granicą prawie przez całą zimę.

– Tego roku tak, zgadza się. Sytuacja była raczej nietypowa.

– Oczywiście. Czy łowi pan czasami w tych stawach?

Pokręcił przecząco głową.

– Wiem, że niektórzy moi ludzie to robią. Ryby są, jak mnie zapewniają, znakomite i od czasu do czasu trafiają na nasz stół.

Przytaknęłam i spojrzałam na zegarek przypięty do mojej bluzki.

– Jeszcze nie czas – powiedział. – Dlaczego, kiedy się spotkamy, pani zawsze staje się bardzo zainteresowana chwilą, kiedy mamy się rozstać?

– Życie nauczycielki upływa zgodnie ze wskazaniem czasomierzy. Musi pan o tym wiedzieć.

– Życie mnichów upływało w rytm bicia dzwonów. Pani żyje jak oni.

– Tak, sędzę, że to prawda. A wolny czas po południu mam między kolejnymi lekcjami.

– Co sprawia, że łatwo jest się zorientować, kiedy jest pani wolna. Powinna pani przyjść któregoś wieczoru na kolację do Dworu.

– Sędzę, że panna Hetherington uznałaby to za niestosowne.

– Nie pytam o zgodę panny Hetherington. Czy ona kieruje pani życiem?

– Przełożona w szkole tego typu ma wielki wpływ na postępowanie swojego personelu.

– Na wybór ich przyjaciół? Na decydowanie, czyje zaproszenie przyjmą? Ależ jesteście w opactwie, wiem, ale to tylko ruiny opactwa. Nie jest pani zakonnica, która składała śluby zakonne.

– To bardzo miło, że pan mnie zaprosił, ale niestety nie mogę przyjąć tego zaproszenia.

– Może znaleźć się na to sposób.

– Ja nie widzę żadnego.

Szliśmy brzegiem stawów i nagle zatrzymał się, odwrócił się do mnie i położył dłonie na moich ramionach.

– Cordelio – powiedział – przypuśćmy, że panna Hetherington zgodziłaby się. Czy

wtedy przyszedłaby pani, żeby zjeść ze mną kolację?

Zawahałam się, a on zapytał:

– Przyszedłaby pani?

– Nie... nie... nie sądzę, żeby to było właściwe. Poza tym nie mam powodu, żeby to roztrząsać, ponieważ nie wchodzi to absolutnie w rachubę.

– Zaczyna mi raczej zależeć na pani, Cordelio.

Milczałam przez chwilę i zaczęłam iść. Wziął mnie pod rękę. Wolałabym, żeby mnie nie dotykał. Byłam zawstydzona i czułam się nieswojo.

– Przypuszczam, że zależy panu na wielu osobach – odparłam.

– To świadczy o mojej wrażliwości. Teraz jednak myślę, że na pani zaczyna mi zależeć w szczególny sposób.

Odsunęłam się od niego i powiedziałam:

– Już czas, żebym wracała. To miał być tylko krótki spacer wśród ruin.

– Wiem, że słyszała pani o mnie różne opowieści, ale nie może pani pozwolić, żeby wpływało to na panią. Trwa to już od stuleci. W tej chwili ja jestem tutaj i to ja stałam się centralną postacią wszystkich skandali. Moi przodkowie doświadczali tego samego. Nikczemne monstra. Oto, co z nich wszystkich robiono. Zawsze śmialiśmy się z krążących o nas opowieści. Zwykle mawialiśmy: pozwólmy ludziom rozweselić się naszym kosztem. Ich życie jest nudne. Niech zaznają prawdziwego życia poprzez nas. Jest nawet historia mówiąca o tych stawach. Czy już pani słyszała o tym, że mój praprapradziadek zamordował mężczyznę i wrzucił jego ciało do nich właśnie?

Spojrzałam na nie i zadrżałam.

– Stawy wpadają do rzeki – ciągnął – i w tym miejscu jest szybki prąd z powodu naporu wody ze stawów. Pokażę to pani. Proszę podejść tutaj do końca. Rzeką do morza jest tylko kilka mil... tak więc biedna ofiara została poniesiona przez wody i teraz jego kości spoczywają gdzieś na dnie oceanu.

Doszliśmy do ostatniego stawu i udowodnił to, co mówił. W tym miejscu rzeka była rzeczywiście bystra, spiesząc ku morzu.

– Ten niegodziwy Verringer chciał żony innego mężczyzny. Przyprowadził go więc nad stawy, uderzył w głowę, wrzucił go do wody i pozwolił, żeby jego ciało spłynęło stawami, a potem do morza. Niefortunnie dla niego był świadek tego fatalnego czynu. Stąd wiemy, jak się to odbyło. Niewiele się tym przejmował. Poślubił swoją wybraną i stała się ona jedną z nas. Widzi pani, jesteśmy nikczemnym klanem.

– Pan akurat ma zarejestrowane dzieje rodziny, nawet jeśli jest to tylko przekaz słowny. Być może, gdybyśmy wszyscy mogli prześledzić historię naszych rodzin aż tak daleko wstecz, odkrylibyśmy też różne przykre tajemnice.

– To bardzo łaskawa myśl. Miło jest pomyśleć sobie, że nie jesteśmy jedynymi łotrami.

Z góry dobiegł jakiś odgłos. Odwróciłam się i zobaczyłam Teresę. Stała na stoku prowadzącym w dół do stawów.

– Szukasz mnie, Tereso? – zapytałam.

– Tak, panno Grant – odparła. – Pannę Barston boli głowa i prosi, żeby pani posiedziała z jej klasą, jeśli jest pani wolna. Mówi, że nie musi pani robić nic więcej, tylko popilnować dziewcząt. Zadała im już pracę.

– Tak, oczywiście. Zaraz wracam. Do widzenia, sir Jasonie. Ukłonił się Teresie, ujął moją dłoń i pocałował ją.

– Było to dla mnie bardzo miłe popołudnie – powiedział. Dołączyłam do Teresy.

– Widziałam, że nie pojechała pani na przejażdżkę, domyśliłam się więc, że spaceruje pani po ruinach.

– Zeszłam w stronę stawów i spotkałam sir Jasona.

– Musiałam pani przeszkodzić. Panna Barston powiedziała...

– Ależ oczywiście, Tereso.

– Mam nadzieję, że nie gniewa się pani.

– Oczywiście, że nie. Prawdę mówiąc, próbowałam odejść stamtąd. Skinęła ze zrozumieniem i wyglądała na zadowoloną z siebie.

* * *

Jego pogoń za mną stała się widoczna. Ludzie dostrzegli to. Miał czelność przyjść do szkoły i zasugerować pannie Hetherington, żebym to ja przyjechała do Dworu przejrzyć kostiumy. Powiedziała mi, że kiedy przypomniała mu, że to zadanie raczej dla panny Barston, odparł, że ważne jest, żeby dziewczęta, które będą nosić te kostiumy, zostały nauczone, jak robić to w należyty sposób. Z tego to powodu właśnie ja, z moimi specjalnymi umiejętnościami, powinnam być osobą, która je przejrzy.

– To było tak naciągane – powiedziała Daisy. – Wiedział o tym i wiedział, że ja też o tym wiem. Nie mogłam powstrzymać śmiechu, do którego zresztą się przyłączył. Powiedziałam zdecydowanie: „Nie. To musi być panna Barston”. Wtedy odpowiedział, że da mi znać, kiedy będzie to można przeprowadzić. Wydaje mi się, że już więcej o tym nie usłyszymy. Nie wiem, co ci powiedzieć, Cordelio. On z pewnością w jakimś sensie jest tobą zainteresowany. Jesteś młoda i ładna, a on, mówiąc wprost, jest rozpustnikiem. Ale doprawdy powinien mieć swoje kobiety, a nie szukać ich w przyzwyczajonych miejscach. Umieścił tę kobietę w „Gawroniej Przystani” i z pewnością wie, że gdyby nie jego pozycja, wystarczyłoby to, żeby wykluczyć go z naszego kręgu. Niefortunnie dla nas jest naszym gospodarzem. Może nas stąd wyrzucić w każdej chwili, jeśli tylko przyjdzie mu na to ochota. Co więcej, mamy stamtąd dwie uczennice. Biorą wszystkie dodatkowe zajęcia, co jest bardzo dla nas opłacalne. To bardzo drażliwa sytuacja. Czy sądzisz, że możesz temu podolać? Jesteś sensowną, młodą kobietą.

– Sądzę, że tak. Czasami wyczekuje na mnie, kiedy jadę konno, a któregoś dnia spotkałam go nad stawami.

– O Boże! Oczywiście, ma pełne prawo tam być. Nie możemy go przepędzać z jego własnej posesji.

Czułam, że jestem podekscytowana. To zaczynało przypominać batalię, w którą byłam bardzo zaangażowana. Nie mogłam tak zupełnie szczerze powiedzieć, że jego ciągle poszukiwanie mnie było mi nie mile. Pochlebiali mi to w najwyższym stopniu. Musiałabym być bardzo nietypową kobietą, gdybym była nieczuła na pochlebstwa.

Kiedy następnym razem poszłam do miasta, pani Baddicombe przyparła mnie do muru.

– Przewiduję, że ślubne dzwony odezwą się już wkrótce – powiedziała konfidencjonalnie. – Słyszałam, że w „Gawroniej Przystani” przygotowują się do tego. Wczoraj była tu pani Gittings... wyjeżdża dzisiaj. Zabiera małą do swojej siostry na wrzosowiska. Była naprawdę zadowolona. To lubi najbardziej i wiadomo dlaczego. Tam w „Przystani” to musi być bardzo dziwne domostwo.

– Wiem, że pani Gittings zawsze lubiła odwiedzać siostrę.

– Podejrzewam, że nie pracowałyby w „Przystani”, gdyby nie mała. Ona żyje dla tego

dziecka. Biedna mała myszka. To dobrodziejstwo, że ktoś się o nią troszczy. Myślę, że nie chcą, żeby była zawadą na ślubie. Takie jak ona mają swoje powody... mała powinna była się pojawić po ceremonii, a nie wcześniej.

– Sądzi pani, że wyjazd pani Gittings z dzieckiem oznacza...

– Ależ oczywiście, moja droga. Będzie ślub, nie myślę się. Parsonowi się nie będzie podobać udzielenie ślubu, na pewno. Ale co ma zrobić. Nie chciałby stracić chleba, prawda?

– Nie można mieć pewności, że to z powodu ślubu – zaczęłam.

– A z jakiego innego? I jeśli teraz nie nadszedł czas, to kiedy nadejdzie? Mija rok, odkąd ta święta biedaczka odeszła. Odczekał, ile należało, i niech pani pamięta: jak dotąd Verringerowie nie mają jeszcze męskiego spadkobiercy. Muszą o tym myśleć. Pani zapamięta moje słowa, to wszystko do tego zmierza.

Wysłałam ze sklepu przygnębiona. Czy to możliwe, że pani Baddicombe ma rację? Z pewnością, gdyby miał zamiar się żenić, nie okazywałby mi takiego wyraźnego zainteresowania.

Kilka dni później wezwała mnie do siebie panna Hetherington.

– Mam tutaj wiadomość od sir Jasona – powiedziała. – Chce, żebyś przyjechała do Dworu przedyskutować postępy w nauce Fiony i Eugenii.

– Iść do Dworu... ja! Na pewno chciałby rozmawiać o tym z panią.

– Tak sądziłam, ale dalej pisze, że myśli o tym, by Fiona została wprowadzona do towarzystwa. Odbędzie się to w przyszłym roku, kiedy to Fiona ma nas opuścić. Uważa, że po twoim przygotowaniu z Schaffenbrucken może omówić z tobą te problemy i sprawę ewentualnych zajęć dodatkowych, jakich by wymagała.

– Ale ja nic nie wiem o wprowadzaniu angielskich dziewcząt do towarzystwa.

– Został pokonany, jeśli chodziło o kostiumy mnichów, ale się nie poddaje. Zastanawiam się, co mu odpowiedzieć.

– Myślę, że mogę tam pójść.

– Moja droga Cordelio, nie wiem, czy to rozsądne.

– Sądzę, że wszystko będzie w porządku. Zrozumiałam, że jego ślub odbędzie się lada moment.

– Doprawdy?

– Zgodnie z tym, co mówi pani Baddicombe.

– Jest świetną agencją informacyjną – powiedziała Daisy – ale nie sądzę, żeby zawsze rozsyłała prawdziwe wiadomości.

– Według niej, pani Gittings wyjechała z dzieckiem, którego obecność mogła być niewygodna w tych okolicznościach.

Daisy wzruszyła ramionami.

– Naprawdę chciałabym, żeby on zachowywał się w bardziej respektowany sposób. Ale jak długo nie odbija się to ujemnie na szkole, uważam, że to nie nasza sprawa.

– Nie wiem, jak szkoła mogłaby ucierpieć w wyniku jego działań. Przypuśćmy, że pójdę tam i wezmę ze sobą dziewczęta. Będą przyzwoitkami.

– Hm – westchnęła Daisy. – To naprawdę niepoważne. Denerwujące jest to, że on o tym wie i na pewno śmieje się z nas.

– Sądzę, że drażni się z nami – powiedziałam. – Mimo wszystko myślę, że ożeni się wkrótce i wtedy się zmieni.

– Bardzo oponowałabym przeciwko takiemu stwierdzeniu. Mówi się, że lampart nigdy nie rezygnuje ze zdobyczy.

– Mówi się też, że nawróceni łajdacy to najlepsi mężowie.
– Moja droga, to naprawdę absurdalne. Sądziś, Cordelio, że poradziś sobie z tym?
– Tak. Wezmę ze sobą dziewczęta i będę nalegać, żeby towarzyszyły nam przez cały czas.

– Jestem pewna, że w jakiś sposób będzie się starał cię przechytryć.
– Zrobił to raz czy dwa razy, ale myślę, że zniechęci się, kiedy dam mu wyraźnie do zrozumienia, że nie chcę przebywać w jego towarzystwie.

Patrzyła na mnie, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Okażesz mi to, Cordelio?

– Ależ oczywiście.

– Mówią, że to bardzo przystojny mężczyzna. Ja sama niewiele wiem o tych sprawach, ale niektóre źródła podają, że rozpustnicy są uważani za bardzo atrakcyjnych.

– To romantyczna fikcja, panno Hetherington. To nie ma zastosowania w prawdziwym życiu.

– Wydaje mi się, że jesteś bardzo tego pewna.

– W jego wypadku jestem.

– Idź więc tam razem z dziewczętami i zobaczymy, co z tego wyniknie. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie mógł rozmawiać na temat ich przyszłości ze mną.

W taki oto sposób doszło do tego, że pewnego majowego popołudnia znalazłam się we Dworze. A okazało się to tak bardzo ważne dla przeszłości.

Wczesnym popołudniem wyruszyliśmy konno razem z Fioną i Eugenią i już wkrótce pokonałyśmy odległość dzielącą szkołę od Dworu.

Fiona zachowywała się z rezerwą, ale była urocza. Eugenia natomiast jak zwykle skwaszona, może też trochę rozdrażniona, ponieważ traciła popołudniową przejażdżkę w gronie dziewcząt, wśród których byłaby Charlotta Mackay.

Kiedy dotarliśmy do Dworu, ruszyliśmy wprost do stajni. Był tam Jason Verringer. Wydawało się, że czekał tam na nas niecierpliwie.

Pomógł mi zsiąść z konia.

– Jesteście punktualne – powiedział. – Lubię punktualność i sądzę, że panna Grant jest osobą tego samego pokroju.

Jeden ze stajennych podszedł, żeby zabrać konie. Eugenia poklepała swojego i powiedziała chłopcu, jak ma się nim zająć.

– Mam dwa nowe konie – powiedział Jason do Eugenii. – Jestem z nich dumny. Pokażę ci je, Eugenio, zanim wyjedziesz.

– Byłoby cudownie, gdybym mogła je zobaczyć – wykrzyknęła Eugenia, wyglądając nagle pięknie, bardzo ożywiona.

– Pokażę ci je.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że coś leży na kamiennej posadzce, i zatrzymałam się, żeby to podnieść. Był to kolczyk: bardzo duży, raczej dziwaczny, z kamieniem, który mógł być rubinem wielkości ziarna grochu, otoczonego diamentami.

– Popatrzcie na to! – wykrzyknęłam.

Trzymałam go w wyciągniętej dłoni i dziewczęta podeszły, żeby go obejrzeć.

– Wiem, czyj on jest – powiedziała Eugenia. – Widziałam, jak go nosiła. Należy do pani Martindale. – Było coś przewrotnego w jej wzroku, co nie wyglądało dobrze u kogoś tak młodego. – To jej, prawda, wujku Jasonie?

– Sądzę, że może być jej – odrzekł.

– Nie chciałyby go stracić – zauważyła Fiona. – Do czego może się przydać jeden bez

drugiego?

– Mogę ci go podać, wujku Jasonie, żebyś go jej oddał? – powiedziała Eugenia z niemądrym uśmiechem. – Albo ja mogę jej oddać. Z łatwością go tam jutro podrzucę, kiedy będę przejeżdżała obok.

– Zrób to – zgodził się Jason Verringer. – Jeśli naprawdę do niej należy, ucieszy się, że go odzyska.

– Nie wiem, do kogo innego mógłby należeć – stwierdziła Eugenia. – A pani, panno Grant?

– Oczywiście, że nie wiem – powiedziałam. – Z pewnością nigdy przedtem go nie widziałam.

Eugenia włożyła go do kieszeni.

– Wujku Jasonie, proszę pokazać nam konie.

Spojrzał na mnie i wzruszył ramionami.

– O, jest pani Keel. Pani Keel, proszę zaprowadzić pannę Grant do salonu. Czy są tam te książki z biblioteki?

– Tak, sir Jasonie.

– Dobrze. Dojdziemy tam za chwilę. Dziewczęta niecierpliwia się, żeby obejrzeć nowe gniadosze.

Zaczął biec przez dziedziniec, a dwie dziewczynki tuż za nim. Chciałam iść za nimi, ale pani Keel powiedziała do mnie:

– Panna Eugenia jest szalona na punkcie koni. Zawsze taka była. Zechce pani pójść ze mną, panno Grant.

Czułam się głupio. Domyśliłam się, że dokładnie tak to zaplanował. Niemniej jednak dziewczęta poszły tylko obejrzeć konie, a ja mogłam zrobić wyłącznie jedno: pójść za panią Keel do środka.

Weszłyśmy do głównego holu, przez który przechodziłam tamtego pamiętnego razu, kiedy jadłam z nim kolację, a potem siedzieliśmy na oblanym szarzącym światłem patio.

Pani Keel poprowadziła mnie w górę wspaniałymi schodami, z pięknie rzeźbionymi słupkami balustrady eksponującymi róże Tudorów i *fleur-de-lys* w tle.

Zostałam wprowadzona do wyłożonego boazerią pokoju, z grubym, czerwonym dywanem na podłodze i czerwonymi, aksamitnymi zasłonami w oknach. Pod jednym z nich, witrażowym, stał duży rzeźbiony stół. Leżało na nim kilka książek. Na mniejszym stoliku stała srebrna taca z filiżankami i talerzykami do herbaty.

– Proszę usiąść, panno Grant. Oni zaraz wrócą, a ja przyniosę herbatę, jak tylko usłyszę dzwonek.

– Dziękuję – powiedziałam, a ona wyszła, zostawiając mnie. Czułam się nieswojo. Oto zaledwie w chwilę po przyjeździe byłam sama w tym domu.

Rozejrzałam się po pokoju. Było to jego sanktuarium. Na ścianach wisiały dwa piękne obrazy. Jeden z nich przedstawiał kobietę, najwyraźniej należącą do rodu Verringerów. Wyglądał na dzieło Gainsborougha. Jego niepowtarzalny styl dawało się od razu rozpoznać. Drugie płótno było krajobrazem. W pokoju stała również biblioteczka z oszklonymi drzwiczkami. Spojrzałam na książki. Część z nich to były poezje. Coś nadzwyczajnego! Trudno było mi go sobie wyobrazić czytającego poezje. Pozostałe książki to pozycje głównie historyczne.

– Ocenia pani moje upodobania literackie?

Nie słyszałam, kiedy wszedł do pokoju. Odwróciłam się i ku mojemu rozczarowaniu

zobaczyłam, że był sam.

– Gdzie są dziewczęta? – zapytałam ostro.

– Obawiam się, że zirytuje się pani odrobinę. Proszę nie mieć im za złe. Wie pani, jakie one są, jeśli chodzi o konie.

– Myślałam, że są tu po to, żeby przedyskutować...

– To pani miała to robić. Ja w ogóle nie sugerowałam, żeby one przyjeżdżały. Prawdę mówiąc, uważam, że lepiej, iż ich tu nie ma. Możemy o nich swobodniej rozmawiać. Eugenia bardzo chciała wypróbować nowe konie i zabrała ze sobą Fionę. Powiedziałem, że mogą je wziąć i pojeździć na nich w padoku przez pół godziny. Przyjdą na herbatę.

Patrzył na mnie, uśmiechając się z odrobiną żartobliwości w oczach.

Tak więc wygrał po raz kolejny.

Byłam zdecydowana nie okazać gniewu. Szczerze mówiąc, byłam zadowolona, że pozbyłam się dziewcząt. Eugenia potrafiła być naprawdę niemiła. Fiona natomiast miała inklinacje do przyjmowania manieri tych, z którymi przebywała sama, i chociaż była łagodną dziewczynką, w towarzystwie Eugenii czy Charlotty Mackay nie była już taka sympatyczna.

– Co chciał pan przedyskutować?

– Proszę usiąść. Czy życzyłyby sobie pani obejrzeć moje książki? Mam tu coś ciekawego. Przyniosłem je z biblioteki. Sądziłem, że tutaj będzie nam wygodniej; mam jeszcze inne pozycje w kolekcji i pomyślałem, że również przyniosę je tu. Chciałem je pani pokazać, ponieważ tak się pani interesuje wszystkim, co dotyczy Abbey.

– Oczywiście, chętnie je obejrzę, ale najpierw załatwmy sprawę, która jest powodem mojego przyjazdu tutaj. Czego się pan obawia, jeśli chodzi o Fionę?

– Obawiam się? Z pewnością niczego się nie obawiam. Chcę po prostu prosić o pomoc, to wszystko.

– Ale myślał pan o czymś konkretnym? Spojrzał na mnie znacząco.

– Mój umysł aż roi się od pomysłów.

– Proszę więc opowiedzieć mi o nich, a ja zobaczę, czy jest coś, co możemy zrobić w szkole, żeby pomóc.

– To jest dla mnie problem mieć pod opieką dwie dziewczynki. Szczególnie teraz, kiedy dorastają.

– Doskonale to rozumiem.

– Mężczyzna... samotny... to nie takie proste.

– Rozumiem, że byłoby to o wiele mniej kłopotliwe, gdyby żyła pańska żona.

– Ona niewiele mogłaby zrobić. Od lat była inwalidką, wie pani o tym.

– Tak.

– Nie mam wątpliwości, że poznała pani moje kompletne dossier od tej starej, niegodziwej listonoszki. Dziwię się sobie, że jeszcze jej nie wyrzuciłem.

Byłam zdumiona, że pani Baddicombe potrafi być tak złośliwa w stosunku do niego, podczas gdy to dzięki niemu ma zapewniony byt, jak zresztą i większość ludzi w okolicy.

– Czy nie mógłby pan... – zaczęłam.

– Wyznaczyć nową listonoszkę. Oczywiście. To jest takie małe królestwo, Cordelio. Panują tu tak feudalne stosunki jak w czasach, kiedy moi przodkowie kupowali ziemie opactwa. Te ziemie ciągną się aż do krańców miasta, które rozwinęło się zaledwie sto lat temu, zdaje się. Mój pradziadek był bardzo zaangażowany w projekty jego budowy. Dzierżawił te tereny i powiększał swój stan posiadania. Wiem, że ta stara, złośliwa kobieta sprzedaje plotki razem ze swoimi znaczkami.

– Wie pan o tym i pozwala pan na to?

Zaśmiał się.

– Pozwólmy jej cieszyć się życiem. To biedna stara kobieta. Verringerowie dodają smaczku jej nudnemu życiu. Proszę zauważyć, że ma z czego czerpać pomysły, a co do reszty... ma płodną wyobraźnię.

– Skąd pan wie o tych wszystkich plotkach?

– Pani myśli, że jestem beztróskim „nic dobrego”. Że interesują mnie tylko przyjemności, którymi, jak sobie pani wyobraża, jest chodzenie na bale, do klubów hazardowych i zażywanie rozkoszy w towarzystwie chętnych do tego pań. Jest wiele rodzajów przyjemności, Cordelio. Zarządzanie majątkiem jest jedną z nich, badanie przeszłości kolejną. Widzi pani, mój charakter ma wiele twarzy. Potrafię je błyskawicznie zmieniać. Można się dowiedzieć o mnie wielu rzeczy. Zapewniam panią.

– Nigdy w to nie wątpiłam. Czy możemy przejść do spraw, dla których tu przyjechałam? Proszę mi powiedzieć, o jakich dodatkowych lekcjach dla Fiony pan myślał?

– Chcę, żeby opuściła progi Akademii jako młoda dama, gotowa do wejścia w towarzystwo.

– Sądzi pan, że możemy tego dokonać?

– Sądzę, że pani może.

– W jaki sposób?

– Chcę, żeby stała się dokładnie taka jak pani.

Poczułam, że się czerwienię.

– Doprawdy? Nie rozumiem...

– Zrównoważona, potrafiąca pięknie się wyrażać, chłodna, wzbudzająca zainteresowanie. Mająca poczucie humoru i prawdę mówiąc, szalenie atrakcyjna.

Zaczęłam się śmiać, ale wiedziałam, że oczy mi błyszczą. Powiedziałam, że lubię pochlebstwa, i była to rzeczywiście prawda.

– Dlaczego pani się śmieje?

– Ponieważ to pan śmieje się ze mnie.

– Ja jestem śmiertelnie poważny. Gdybym to panią miał wprowadzać do towarzystwa, uznałbym, że to proste zadanie.

– Nie zgodzę się z tym. Nauczycielka bez grosza przy duszy nie zasłaby daleko w pańskich kręgach towarzyskich.

Podszedł do mnie. Wziął moją rękę i pocałował ją. Powiedziałam:

– To absurdalne. Jeśli będzie się pan tak zachowywał, będę musiała odjechać natychmiast.

Spojrzał na mnie przebiegle.

– Będzie pani musiała poczekać na dziewczęta. Schowałam ręce za siebie, ponieważ drżały lekko.

– Sądziłam, że wezwał mnie pan tu w poważnym celu.

– Ja jestem poważny.

– W takim razie pana zachowanie jest bardzo dziwne.

– Sądziłem, że jest bardzo powściągliwe.

– Mam na myśli pana absurdalne komplementy i insynuacje. Proszę ich zaprzestać. Uważam, że są obraźliwe.

– Mówiłem tylko prawdę. Czy to nie tego uczy pani swoje wychowanki?

Usiadłam z godnością.

– Podejrzewam, że cała ta sprawa z ukierunkowywaniem przyszłości Fiony to czysty nonsens.

– Muszę wyznać, że rzeczywiście nie uważam, aby ten temat był zbyt interesujący.

– Po co więc prosił pan, żebym tu przyszła?

– Ponieważ chciałem z panią porozmawiać.

– Dlaczego nie przedstawił pan swoich właściwych powodów?

– Gdybym to zrobił, moje życzenie nie zostałoby spełnione.

– Skłamał pan więc.

– To było tylko kłamstwo w dobrej wierze. Kto w swoim życiu nie musiał uciec się czasami do czegoś takiego? Być może nawet i pani.

– Proszę mi powiedzieć, z jakiego powodu pan to zrobił?

– Zrobiłem to po to, żeby być z panią.

– Ale dlaczego?

– Chyba się pani orientuje, że jestem pod pani nieodpartym urokiem.

– Czy to w taki sposób powinien przemawiać przyszły pan młody do obcej kobiety?

Żal mi pani Martindale...

– Niepotrzebnie. To kobieta, która jest zdecydowanie w stanie zadbać o siebie. Myśli pani, że ona i ja mamy się pobrać. Tak to wygląda? Najnowsza wiadomość od niezmordowanej pani B. z poczty. Cordelio, nie mam zamiaru i nigdy nie zamierzałem poślubić pani Martindale.

– Ale co z dzieckiem...

– Myśli pani o jej córce. Och, czy mówi się, że to moje dziecko? Znowu pani B. Powinna pisać książki.

– Cóż... To nie jest moja sprawa. Oczywiście, to, co mówię, może pan uznać za impertynencję. Proszę mi wybaczyć.

– Z jak największą przyjemnością.

– Nie ma pan nic do powiedzenia co do Fiony. Jest pan zadowolony z zajęć, jakie ma w tej chwili?

– Wydaje mi się, że jest trochę bezbarwna, ale to nie jest wina szkoły. Ona po prostu taka jest. A Eugenia ma inklinacje do bycia agresywną. Obydwie nie są osobami odznaczającymi się urokiem, ale prawdopodobnie porównuję je z... z innymi osobami. Naprawdę, chciałem porozmawiać o Abbey i zbliżających się uroczystościach. Nie chodzi mi tak bardzo o kostiumy. Sądziłem, że może być pani zainteresowana pewnymi historycznymi faktami dotyczącymi Abbey i że może będzie pani chciała przekazać coś z tego dziewczętom. Byłem przerażony ignorancją w tym zakresie i Fiony, i Eugonii. A ma się przecież odbyć to przedstawienie. Poszperałem w archiwach i znalazłem to. Mamy tutaj wiele dokumentów, dotyczących najwcześniejszych dni. Najwyraźniej wiele z nich nie zostało nawet ruszonych od czasu, kiedy moi przodkowie weszli w posiadanie tego wszystkiego, łącznie z dokumentami, które nie uległy zniszczeniu i zostały złożone tu w bibliotece. Uznałem, że pani może być zainteresowana zobaczeniem ich.

– Jak najbardziej byłabym tym zainteresowana.

– Podejźmy więc do stołu, a pokażę pani stare plany tego miejsca. Mamy tu dosyć dobre rysunki zrobione przez mnichów około stu lat przed Wielkim Rozłamem.

Przysunął do stołu dwa krzesła. Usiadłam, a on przybliżył do nas potężną księgę.

– Co pani wie o mnichach z Colby? – zapytał.

– Wiem, że byli cystersami i niewiele więcej.

– W takim razie trochę pani dopowiem. Pojawili się około dwunastego wieku, a nasze

opactwo zostało zbudowane w roku 1190. Wie pani, skąd pochodzi nazwa ich zakonu?

– Nie.

– Od nazwy Cîteaux. Był to odludny i niemalże całkowicie niedostępny las na granicy Szampanii i Burgundii. Tu jest stara mapa. Pokażę pani. Święty Bernard, założyciel, był opatem Clairvaux, jednego z pierwszych klasztorów.

Zerknęłam na niego. Naprawdę wyglądał inaczej. Jego zainteresowanie opactwem było oczywiste. Zrzucił manierę zblazowanego światowca i rozentuzjasmowany, wyglądał o wiele młodziej, niemalże chłopięco.

– Była to grupa ludzi szlacheckiego pochodzenia – powiedział. – Założyli sobie całkowite poświęcenie się religii. Być może byłoby lepiej iść w świat i próbować go ulepszać niż zamknąć się w odosobnieniu i oddać się medytacjom i modlitwom. Co pani o tym sądzi?

– Zgadzam się, uważam, że bardziej odważnie byłoby iść w świat. Ale tak niewielu ludziom rzeczywiście udaje się poprawić świat, choć mają taki zamiar. Umiłowanie władzy staje pomiędzy nimi a ich ambicjami.

– Ambicja – powiedział. – To z powodu tego grzechu upadli aniołowie. Lucyfer był dumny i ambitny, a jak pani mówiłem, uznaje się go za członka naszej rodziny. Pani Baddicombe potwierdzi.

Zaśmiałam się.

– Proszę mówić dalej. To fascynujące.

– Dążeniem cystersów było życie w sposób możliwie jak najprostszy. Wszystko miało być nieskomplikowane. Zawsze budowali w odludnych miejscach, z dala od miast. Musiały to być odizolowane tereny. Może pani to sobie wyobrazić? Stawiali mocne mury i zawsze blisko wody. Niektóre z nich były budowane po obu stronach strumienia. My tutaj mamy w pobliżu rzekę, co umożliwia istnienie tych ważnych stawów rybnych. Mnisi musieli mieć zapasy świeżego jedzenia. W tych murach zewnętrznych mieli wieże obserwacyjne. Sądzę, że musieli strzec się rabusiów. Proszę spojrzeć, tu jest mapa. Rozpozna pani większość zabudowań. Tu są stodoły, spichlerze, składziki, pracownie. To jest rejon wewnętrzny, a to zewnętrzny.

– O tak – powiedziałam. – Rozpoznaję.

– Tu jest Dom Opatów. Obok jest domek dla gości. Ludzie zawsze przychodzili do opactwa i nikt, kto potrzebował jedzenia i schronienia, nie był odprawiany z niczym. Proszę spojrzeć na nawę. Miała jedenaście wnęk. Widać to wyraźnie na mapie. Widzi pani, wchodzimy przez główne wejście, a tu jest transept, nawa poprzeczna. Proszę spojrzeć na stalle, kiedyś przedzielone ścianą... mnisi po jednej stronie, a *fratres coiversi* po drugiej. To byli nowicjusze... Właśnie w części ich kwater umieszczono Akademię. Nie były tak bardzo zniszczone jak reszta opactwa.

– Wspaniała mapa!

– Przedstawiająca wszystko tak, jak było w tamtych dniach. Mam też inną, pokazującą, jak to wyglądało po Wielkim Rozłamie. Tę kazał zrobić ktoś z mojej rodziny. Proszę spojrzeć. Tu jest kalefaktorium, pokój dzienny.

– I nasz pokój dzienny teraz. Zwrócił się do mnie i powiedział:

– Cieszę się, że tak się pani tym interesuje.

– Uważam, że to fascynujące.

– Tak wielu ludzi rozkoszuje się teraźniejszością i nie ma ochoty spojrzeć w przeszłość. A tymczasem często dzięki poznawaniu tego, co działo się dawno, łatwiej potrafimy dać sobie radę z obecnymi problemami.

– Tak. Sądzę, że to prawda. Dzięki Bogu, że żadni rabusie nie pojawią się teraz, by zniszczyć naszą szkołę.

– Chciałbym zobaczyć tego, który by zadarł z Daisy Hetherington u steru.

Roześmiałam się.

– To wspaniała kobieta.

– Weźmiemy się razem za to przedstawienie i dodamy mu wiele autentyczności.

– Sądzę, że powinien pan skonsultować to z panną Hetherington.

Spojrzał na mnie z przerażeniem i obydwójce znowu zaczęliśmy się śmiać.

– To było bardzo pouczające – powiedziałam.

– A pani jest zaskoczona, że ja mogę wykazywać zainteresowanie tak poważnym tematem.

– Jestem przekonana, że potrafi pan być bardzo poważnym człowiekiem. Na terenie posiadłości musi być wiele pracy.

– Wymaga ciągłej uwagi.

– A mimo wszystko mógł pan sobie pozwolić na tak długą nieobecność.

– Prawda? Nie robię tego często. Mam dobrych ludzi, jednego specjalnie dobrego. Nazywa się Gerald Coverdale. Powinna go pani poznać.

– Nie sądzę, abyśmy znaleźli wspólne tematy do rozmów.

– Mogłaby pani usłyszeć wiele interesujących rzeczy o posiadłości. To mała zamknięta społeczność, jak miasto... może nawet więcej niż miasto, raczej jak królestwo.

– A pan jest królem.

– „Niepokój gości w głowie, która nosi koronę”.

– Jestem pewna, że to uczucie nigdy nie będzie pana udziałem.

– Przypisuje mi pani nieprawdziwe cechy. Musi się pani o mnie jeszcze wiele nauczyć. Zaklasyfikowała mnie pani jako mężczyznę frywolnego, amoralnego, oddającego się przyjemnościom. To tylko pewna część mnie. Jeśli się nad tym zastanawiam, widzę, że mam wiele pozytywnych cech.

– Mówi się, że dobre cechy w nas odkrywają inni, nie my sami.

– Kto tak mówi? Założę się, że panna Cordelia Grant. To brzmi jak jedna z nauk, które wygłasza pani swoim wychowankom.

– Rzeczywiście, mówi się, że nauczyciela można rozpoznać zawsze i wszędzie.

– Może coś w tym jest.

– Mamy skłonności, żeby brzmieć mentorsko i robić wrażenie, że wszystko wiemy.

– Czasami to bywa czarujące.

– Widzę, że jest pan dzisiaj zdecydowany, by mi schlebiać. Proszę opowiedzieć o posiadłości. O tym małym królestwie i o królu z „niepokojem w głowie”.

– Posiadłość musimy utrzymywać w ciągłym rytmie pracy. Mamy tu farmy i jest też fabryka.

– Fabryka. Jakiego rodzaju fabryka?

– Fabryka, zakład produkcji jabłeczniaka. Zatrudniamy w niej większość okolicznej ludności.

– W takim razie ich codzienny byt uzależniony jest od pana?

– Zawdzięczają go raczej posiadłości niż mnie. Ja tylko ją odziedziczyłem, tak się złożyło. Verringerowie zawsze brali poważnie swoje obowiązki względem posiadłości i pomimo że mówię to ja o swojej własnej rodzinie, byliśmy zawsze dobrymi gospodarzami. Dbanie o naszych ludzi uważaliśmy za swoją powinność. To dlatego ponad sto lat temu została uruchomiona produkcja jabłeczniaka. Mieliśmy kilka złych lat

z rządu. Zbiory były kiepskie i farmerzy nie dawali sobie rady. Wyglądało na to, że pracy nie starczy dla wielu ludzi. Wybudowanie fabryki jabłecznika wydawało się dobrym pomysłem. Większość z nich robiła go w swoich domach. Zaczęliśmy więc produkcję i daliśmy zatrudnienie około stu osobom w okolicy.

- W pewnym sensie jesteście tu dobroczyńcami.
- Zawsze lubiliśmy myśleć o sobie w ten sposób.
- Ludzie powinni być wam wdzięczni.
- Wdzięczni. Tylko głupcy oczekują wdzięczności.
- Widzę, że znowu pojawił się cynizm.

– Jeśli prawda jest cynizmem, to nigdy nie odbiega się zbyt daleko od niego. Zawsze lubiłem stawiać czoło faktom. Ludzie zwykle nie kochają tych, którzy im pomagają. Jest to szczególna właściwość ludzkiej natury.

– Ależ nie.

– Ależ tak, droga Cordelio. Proszę się nad tym zastanowić. Kto zawsze był największym wrogiem Verringerów? Nasi własni ludzie w posiadłości. Kto obdarzył nas satanistycznymi przymiotami? Ci sami. Nie twierdzą, że nie posiadamy tych diabelskich przyzwyczajęń, ale to nasi ludzie są naszymi najbardziej zażartymi krytykami i kiedy nasze wyczyny nie są dostatecznie zaskakujące, wyolbrzymiają je. Faktem jest, że ludzie nienawidzą zawdzięczania komuś czegoś. Przyjmują tę pomoc, ale nienawidzą siebie za to, że muszą z niej korzystać. A jako że najtrudniejszą rzeczą na ziemi jest nienawidzenie siebie samego, ta nienawiść zostaje przeniesiona na tego, kto udziela pomocy.

Milczałam. Pomyślałam o pani Baddicombe, która swoje środki do życia zawdzięcza temu, że Verringerowie dali jej pracę listonoszki, ale kiedy mówi o nich, nie może ukryć zjadliwości w głosie.

– Być może ma pan rację w niektórych przypadkach – powiedziałam. – Ale nie we wszystkich.

– Nikt nie ma racji we wszystkich przypadkach. Muszą istnieć wyjątki.

Uśmiechnęliśmy się do siebie i poczułam przypływ radości. Byłam zadowolona, że dziewczęta poszły wypróbować konie, i miałam nadzieję, że nie wrócą tak szybko.

– Tak miło móc porozmawiać z panią racjonalnie, poważnie. Nasze dotychczasowe dyskusje to były bitwy słowne. Oczywiście zabawne i stymulujące, ale ta rozmowa sprawia mi wielką przyjemność. Chcę pomówić z panią o posiadłości. O tym, jak chcę ją ulepszyć. O tym, jakie mam plany związane z nią.

– Wątpię, żebym mogła je zrozumieć.

– Dlatego właśnie chcę z panią porozmawiać, żeby pani zrozumiała... chcę też powiedzieć pani o moim życiu i o mnie samym. Wie pani, dzisiejsze popołudnie jest jednym z najszcześniejszych, jakie kiedykolwiek przeżyłem.

Roześmiałam się. Czar prysł. On to spowodował.

– To posuwa się za daleko – powiedziałam.

– Śmieje się pani. Ale to tak nie jest. Miewałem w przeszłości momenty, kiedy byłem szczęśliwy. Ale szczęście to właśnie tylko momenty, prawda? Od chwili kiedy wszedłem do tego pokoju i zastałem tu panią, jestem szczęśliwy. To trwa już chyba dwadzieścia minut. To pokażny odcinek czasu.

– Mnie się wydaje, że to bardzo krótko.

– Wiedziałem, że będzie mi się z panią dobrze rozmawiać. Wiedziałem, że pani zrozumie. Dzięki pani mogę patrzeć na życie w inny sposób. Chciałbym, żebyśmy mogli się częściej spotykać.

– To nie będzie takie proste. Panna Hetherington będzie bardzo temu przeciwna.

– Na Boga, dlaczego?

– Zatrudnia mnie i nie byłoby w dobrym tonie, aby jedna z jej nauczycielek nawiązała zbyt bliskie kontakty towarzyskie z osobą płci przeciwnej, mieszkającą w sąsiedztwie, a szczególnie...

– Z mężczyzną o mojej reputacji. Wątpię, żeby zaakceptowała to też pani Baddicombe. Ale, z drugiej strony, jaka to dla niej sensacja!

Znowu śmialiśmy się.

– Cordelio – powiedział poważnie – wie pani, że zaczynam zakochiwać się w pani.

Wstałam, ale on był tuż obok. Objął mnie i pocałował. Usiłowałam zmusić się do stawienia mu oporu, do uwolnienia się z jego objęć. Próbowałam nie akceptować faktu, że chciałam pozostać tak blisko niego.

– Tak nie można – zaczęłam.

– Dlaczego nie?

– Dlatego, że nie jestem...

– Kocham cię, Cordelio. Zaczęło się to od chwili, kiedy zobaczyłem cię siedzącą obok Emmeta.

– Muszę już iść. Och, gdzie są te dziewczęta?

Jakby w odpowiedzi na moje pytanie usłyszałam ich głosy. Odsunęłam się od niego i podeszłam do okna. Powiedziałam:

– Już idą.

– Porozmawiamy o tym jeszcze. Potrząsnęłam przecząco głową.

– Myśl o mnie – dodał.

– Trudno by mi było tego uniknąć.

– Spróbuj mnie zrozumieć. Chcę mieć szczęśliwe życie rodzinne. Nigdy tego nie zaznałem. Moje frustracje i moje rozczarowania sprawiły, że jestem tym, kim jestem. Chcę się zmienić. – Mówił teraz szczerze. – Chcę tutaj spędzić swoje życie, z żoną i dziećmi, które możemy mieć. Chcę, żeby ta posiadłość stała się najlepszą w kraju, a nade wszystko chcę żyć w spokoju.

– Sądzę, że tego typu pragnienia są rzeczą bardzo naturalną, ale...

– W takim razie pomóż mi je zrealizować. Wyjdź za mnie!

– Wyjść za pana! Ależ jeszcze chwilę temu był pan gotów poślubić Marcie Martindale.

– Nie. To była wersja Baddicombe.

– Nie mówi pan poważnie. Zabawia się pan moim kosztem.

– Mówię całkowicie poważnie.

– Nie... nie z panią Martindale, żyjącą tuż obok... Wiem bardzo dobrze, że pan i ona...

Do pokoju wpadły dziewczęta. Eugenia promieniała:

– Są wspaniałe, wujku Jasonie – wykrzyknęła. – Jeździłam na obydwu.

– Byłyśmy za długo? – zapytała Fiona.

– Nie. Mogłyście zostać dłużej – powiedział ironicznie.

– Mam okropną ochotę na herbatę – oświadczyła Eugenia.

– To zadzwoń po nią – odpowiedział.

Zrobiła to i przyniesiono ją. Fiona nalala wszystkim. Eugenia przez cały czas mówiła o koniach, ale ja jej nie słuchałam. Byłam pewna, że on też nie.

W drodze powrotnej do szkoły byłam szaleńczo ożywiona i przerażająco sceptyczna. Eugenia w dalszym ciągu opowiadała o koniach i mówiła, że ma zamiar zaprosić

Charlotte Mackay, żeby je obejrzała.

W „Diabelskiej Kwaterze”

Spędziłam bezsenną noc, próbując przypomnieć sobie wszystko, co powiedział. Czy mówił naprawdę poważnie? Ciągłe widziałam przed oczyma jego rozjaśnioną entuzjazmem twarz. Myślałam o sposobie, w jaki unosił lekko końce brwi, o tym, jak jego ciemne włosy spadały z dosyć wysokiego czoła, jak błyszczały jego oczy, kiedy mówił o miłości.

Co czułam? Trudno to ująć. Byłam zbyt oszołomiona. Jednego byłam pewna, tego, że chcę być z nim. Nigdy w całym moim życiu nie byłam tak poruszona jak wtedy, kiedy siedziałam blisko niego i słuchałam jego entuzjastycznych opowieści o Abbey. Wykazałam się też zupełnym nieprzygotowaniem na jego pocałunek.

On miał za sobą doświadczenia; wiedział, jaki efekt to wywrze na mnie. Podczas gdy ja nigdy przedtem nie doznałam takich przeżyć.

Byłam w stanie stawić mu czoło w naszych słownych potyczkach, ponieważ klarowne wyrażanie moich emocji zawsze przychodziło mi z łatwością. W końcu, czyż nie byłam nauczycielką angielskiego? Stawałam się nowicjuszka dopiero, kiedy w grę wchodziło zrozumienie tych emocji.

Musiałam powściągnąć swoje uniesienie. Powinnam przypominać sobie o tym, że on prawdopodobnie tak jak do mnie przemawiał do każdej kobiety, którą miał zamiar uwieść. Świetnie zdawałam sobie sprawę z jego intencji i musiałam postępować rozważnie.

Następnego dnia Daisy wezwała mnie do swojego gabinetu i zapytała, jak poszło tamto spotkanie.

– Nie miałam okazji rozmawiać z tobą wczoraj wieczorem – powiedziała – ale uznałam, że wszystko odbyło się bez problemów.

– O tak. On rzeczywiście chce pomóc w przygotowaniu widowiska o Abbey. Pokazał mi kilka interesujących map i z pewnością wiele wie o historii opactwa. Uważam, że chce upewnić się, że będziemy w zgodzie z prawdą historyczną.

– Powiedział coś o kostiumach?

– Zdaje się, że wspomniał o nich. Sądzę, że chętnie je nam wypożyczy.

– Czyli że tak naprawdę źle go oceniliśmy.

– Cóż, dziewczęta wyszły, żeby obejrzeć konie.

– Więc byłaś z nim sam na sam?

– Nie trwało to długo. To wtedy pokazał mi mapy i księgi.

– Skinęła głową.

– A przy okazji – powiedziała – wydarzyło się coś dosyć interesującego. Wiesz, że szukałam służącej, odkąd Lizzie Garnett odeszła w ubiegłym semestrze.

– A tak. Znalazła pani kogoś?

– Znalazłam i co dziwne, ona pracowała w Schaffenbrucken.

– Och!

– To dlatego zdecydowałam się na nią. Miałam oprócz niej jeszcze jedną czy dwie do wyboru. Wiesz, że dałam ogłoszenie w „Przyjaciółce”. Nie miałam zbyt wielu zgłoszeń. Większość chętnych, nawet gdyby chciała, nie umiałaby utrzymać pióra w ręku. Być może, te, które to potrafią, niekoniecznie muszą okazać się lepszymi służącymi. Niemniej jednak ten list spodobał mi się, jak i to, że ona pracowała w Schaffenbrucken. Muszę przyznać, że to mnie zainteresowało i przemówiło na jej korzyść. Ciekawa jestem, czy ją znasz.

- Jak się nazywa?
- Elsa jakaśtam. Tak... Elsa Kracken.
- Elsa – powtórzyłam. – Była tam służąca o imieniu Elsa. Ale to bardzo popularne imię. Chyba nigdy nie słyszałam jej nazwiska.
- Byłoby zabawne, gdybyś ją znała z Schaffenbrucken.
- Czy to Angielka?
- Pisała po angielsku. Nazwisko nie brzmiało zupełnie...
- Elsa – powiedziałam. – Tak... była dosyć rozmowną dziewczyną... niezbyt dobrą służącą, ale wszyscy ją lubili.
- Dobrze napisała ten list.
- Kiedy przyjeżdża?
- Pod koniec tygodnia.

Zamyśliłam się. Ta rozmowa rozbudziła moje wspomnienia o Schaffenbrucken. To Elsa opowiedziała nam legendę o górze Pilcher i o tym, że jeśli tam pójdziemy w porze Księżyca Łowców, spotkamy naszych przyszłych mężów.

Byłby to dziwny zbieg okoliczności, gdyby to rzeczywiście była ona. Równie dobrze może to jednak być jakaś inna Elsa.

* * *

Już wkrótce spotkałam ją. Wchodziłam po schodach, a ona schodziła na dół.

– Elsa! – wykrzyknęłam. – A więc to ty.

Zbladła tak, iż myślałam, że zemdleje. Trzymała się kurczowo poręczy i patrzyła na mnie, jakbym była duchem.

– Cordelia Grant. Poznałyśmy się w Schaffenbrucken.

– Cordelia Grant – wyszeptała moje nazwisko. – Ależ oczywiście.

– Przyznaję, że nie jestem tak zaskoczona jak ty – powiedziałam. – Panna Hetherington mówiła mi, że przyjmuje kogoś o imieniu Elsa i że ta osoba pracowała w Schaffenbrucken. Pomyślałam o tobie, ale tak naprawdę nie sądziłam, że to możliwe.

Jej policzki zaczęły nabierać normalnej barwy. Uśmiechała się i wyglądała już bardziej jak znana mi, pełna radości dziewczyna.

– Cóż, i kto by pomyślał. Czasy cudów nie minęły. Co panienka tu robi?

– Pracuję – powiedziałam. – Uczę.

– Och, ale sądziłam...

– Wszystko się zmieniło. Po skończeniu szkoły musiałam znaleźć pracę. Moja ciotka знаła pannę Hetherington i przyjechałam tutaj.

– No cóż, ja jej nie znałam! Zaczęła się śmiać.

– W Schaffenbrucken to były dobre czasy – powiedziała.

– Tak. Pamiętasz dziewczęta...

– Pani przyjaciółki. Była ta Francuzka i Niemka, i Lydia... tak miała na imię?

– Tak. Frieda i Monique skończą, zdaje się, w tym roku. Najpewniej już stamtąd wyjechały. Napisałam do Lydii, ale nie dostałam odpowiedzi.

– Podejrzewam, że jest zbyt zajęta swoimi sprawami.

– Zrozumiałam, że wyjechała z Schaffenbrucken zaraz po mnie.

– Naprawdę?

– Ale skąd ty się tutaj wzięłaś, Elso?

– Przyjechałam do Anglii. Odeszłam ze służby zaraz po tym, jak pani wyjechała.

Dostałam pracę, nie byłam tam długo, a potem złożyłam podanie o to miejsce. Co za życie!

– Panna Hetherington jest dosyć pedantyczna. Będziesz musiała dobrze wykonywać swoje obowiązki.

– Uważa pani, że w Schaffenbrucken tak nie było?

– Pamiętam tylko, że mówiłaś o wiele więcej niż ktokolwiek.

– Och, to stare dzieje. Nie ma pani pojęcia, jak się cieszę, że panią widzę.

– Przed chwilą wyglądałaś, jakbyś zobaczyła ducha.

– Jak to się mówi, osłupiałam. To była taka niespodzianka. Teraz już wiem, jaka miła.

– Cóż, do zobaczenia, Elso.

– Cieszę się na poznanie dziewcząt. To was, dziewczęta, lubiłam w Schaffenbrucken.

– Panna Hetherington nie będzie chciała, żebyś zaprzyjaźniała się z nimi zbyt.

Elsa mrugnęła do mnie i ruszyła na dół.

* * *

Sir Jason przysłał do szkoły wiadomość, że odnalazł pewne interesujące informacje, które mogą, jego zdaniem, być bardzo pomocne w opracowywaniu narracji do przedstawienia. Jeśli panna Grant miałaby ochotę przyjechać, z przyjemnością pokaże je.

Daisy wezwała mnie do swojego gabinetu, żeby mi o tym powiedzieć. Natychmiast odnotowała moje zażenowanie.

Powiedziała:

– Uważam, że powinnaś tam pójść, ale zabierz ze sobą pannę Barston. Sądzę, że on próbuje nawiązać zbyt przyjacielskie stosunki. Należy być ostrożnym. Nie mówiłam ci o panie Lyons, prawda? Działo się to kilka lat temu. Była śliczną, filigranową osobką. Uczyła tańca, zanim nastał pan Bathurst. Sir Jason dostrzegł ją. Nie wiem, co się wydarzyło. Uganiał się za nią trochę, a biedne dziecko zupełnie nie znało życia. Widocznie wierzyła we wszystko, co jej mówił. Kiedy zorientowała się, na jakiego rodzaju znajomości mu zależy, była bardzo nieszczęśliwa. Oczywiście, jego zainteresowanie nią było tylko przejściowe. Ty i ja wiemy, jakiego rodzaju ludźmi są tacy mężczyźni, ale biedna Hilda Lyons wierzyła w piękne romanse. Wpadła w depresję i miała niemalże skłonności samobójcze. Musiałam ją stąd odesłać, i to w środku semestru! Ty to inna „para kaloszy”. – Uśmiechnęła się z rzadkim u niej humorem. – Nie, żebyś rzeczywiście chciała cię porównywać z tym przydatnym przedmiotem. Ta metafora oddaje moje myśli. Wiem, że będziesz bardzo ostrożna. Upodobał sobie ciebie, ale ty nie jesteś w najmniejszym stopniu taka jak biedna Hilda... albo ta pani Martindale, jeśli już o tym mówimy. Najwyraźniej on lubi urozmaicenie i zarzuca wszystkie wędki jednocześnie... jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Sądzę, że rozumiem panią bardzo dobrze – powiedziałam. – Ja też uważam, że potrafię sobie poradzić z sir Jasonem.

– Denerwujące w tym wszystkim jest to, że musimy, jak to się mówi, obchodzić się z nim jak z jajkiem. Jeśli stałby się złośliwy... wyobraź sobie, co mógłby zrobić.

– Pomimo wszystkich jego wad, nie sądzę, żeby mógł się posunąć do tego.

– Dlaczegoż to?

– Myślę o tych plotkach krążących o nim po mieście, z powodu śmierci jego żony i jego związków z panią Martindale. Wie o nich, a mimo wszystko jest wyrozumiała

w stosunku do tych ludzi. Sądzę, że gdyby chciał, mógłby napędzić im strachu.

– Hm – powiedziała Daisy. – Cóż, moja droga. Nie możesz odmówić pójścia tam, a panna Barston będzie dobrą przyzwoitką.

– Załatwię to dzisiaj po południu.

– Bardzo dobrze. Jeśli pojedziesz około drugiej, będziesz mogła być z powrotem na czwartą. Zdaje się, że masz lekcję o czwartej trzydzieści.

– Tak, ostatnią dzisiaj.

Sprawa była zamknięta, jeśli chodzi o Daisy. Musiałam przyznać, że nie byłam tak zupełnie niezadowolona z tego, że jechałam do Dworu, chociaż codziennie dowiadywałam się czegoś nowego o Jasonie, i były to głównie rzeczy nieprzynoszące mu chluby. Teraz na scenie pojawiła się filigranowa, piękna Hilda Lyons.

Powitała nas pani Keel. Bez wątplenia została poinstruowana w tym względzie.

– Mam zaprowadzić panią do pokoju, który sir Jason chce szczególnie pani pokazać. Dołączy do pani za pięć, dziesięć minut.

– Dziękujemy, pani Keel.

– Ucieszy się, że panna Barston też przyszła. Ma jej do pokazania coś wyjątkowego. Jest to w bibliotece. Zaprowadzę panią tam, panno Barston, a po obejrzeniu tego dołączy pani do panny Grant.

– Miło mi będzie obejrzeć, cokolwiek to jest – powiedziała panna Barston.

Pani Keel zaprowadziła nas do biblioteki, gdzie przygotowanych było kilka starych manuskryptów. Panna Barston natychmiast zagłębiła się w nich.

– Zaprowadzę pannę Grant na górę i przyjdę po panią później, panno Barston, kiedy już przejrzy pani te dokumenty. Są tam rysunki kostiumów z ubiegłego wieku. Sir Jason mówił, zdaje się, coś takiego. Zechce pani pójść ze mną, panno Grant?

Wysłałam za nią z biblioteki. Poszłyśmy korytarzem i dotarłyśmy do kamiennych schodów.

– Nie wiem, czy była już pani, panno Grant, w tej części domu.

Powiedziałam, że nie.

– Ta klatka schodowa prowadzi do kilku apartamentów, których nie używamy. Sir Jason mówi, że mają one historyczne znaczenie.

– To interesujące.

Pani Keel otworzyła drzwi. Znalazłam się w długim, niskim pokoju z ciężkimi belkami u sufitu. Okna były niewielkie, ale jak to w górnej części domu, było wystarczająco widno.

– To piękny apartament – powiedziała pani Keel. – Trochę odseparowany od reszty domu. Przyprawdę tu pannę Barston, kiedy skończy oglądać rysunki.

Wyszła, a ja poczułam się trochę nieswojo. Panna Barston przyszła tu jako moja przyzwoitka, a już zostałam od niej odseparowana.

Co też on może chcieć mi tu pokazać?

Obeszłam pokój. Było to coś w rodzaju salonu z misternie rzeźbionymi krzesłami i ławą. Zobaczyłam jeszcze jedne drzwi. Prowadziły do sypialni. Stało tam wielkie łóżko, wytworna szafa i kilka krzeseł. Zaskoczona, zobaczyłam, że w oknach są kraty. Z ich powodu wyglądało to jak więzienie.

Pomyślałam, że pójdę na dół do panny Barston i to, co jest tu do obejrzenia, obejrzymy razem.

Wysłałam z sypialni i zobaczyłam go. Uśmiechał się do mnie.

Najspokojniej, jak tylko mogłam, powiedziałam:

– Dzień dobry. Pani Keel przyprowadziła mnie tu.
– Wiem. Zobaczyłem, że nadjeżdżasz ze swoją towarzyszką, i zaaranżowałem, żeby zaprowadzono ją do biblioteki.

– Co takiego chciał mi pan tutaj pokazać?

– Zauważyłaś tu coś nietypowego?

– Tylko to, że okna w tamtym pomieszczeniu są okratowane.

– Kiedyś było tu coś w rodzaju więzienia. Proszę usiąść.

Poprowadził mnie do ławy i usiedliśmy obok siebie. Byłam świadoma jego obecności blisko mnie. Wytwarzało to zauważalne napięcie. Jaka byłam niemądra, żeby pozwolić się odseparować od panny Barston. Weszłam wprost do pułapki, przez cały czas świadoma, że została ona na mnie zastawiona. W pani Keel było coś tak zwyczajnego, że wszystko wokół nabierało cech normalności. Już raz zrobiła coś podobnego.

– W jakim celu pan mnie tu przyprowadził?

– Wiedziałem, że chciałybyś to zobaczyć. Byłaś taka zainteresowana, kiedy opowiadałem ci tę historię.

– Co to była za historia?

– O naszych diabelskich antenatach. Mówi się, że to jest apartament, w którym był przetrzymywany nasz szatański przodek, kiedy to nikczemny Verringer próbował go zmusić do poślubienia swojej córki. Jest on nazywany „Diabelską Kwaterą”.

– Bardzo interesujące – powiedziałam. – Czy to wszystko, co chciał mi pan pokazać?

– Jest jeszcze wiele rzeczy, które chciałbym ci pokazać.

– Jestem w takim razie pewna, że panna Barston też byłaby tym zainteresowana. Może pan ją kazać tu przyprowadzić?

– Nie chcesz pozbawić jej przyjemności zaznajomienia się z tymi wspaniałymi rysunkami. Te pokoje są używane tylko w określonych okolicznościach. Chciałybyś, żebym ci o tym opowiedział?

– Tak.

– Mówi się, że odznaczają się pewną właściwością... że panuje w nich pewna aura. Być może wyczuwasz to.

Rozejrzałam się po pokoju. Jedno, czego byłam z pewnością świadoma, to izolacja, a te kraty w oknie sypialni tworzyły w pewnym sensie złowieszczą atmosferę.

– Mówi się, że nastrój w tych pokojach wpływa na ludzi jak afrodyzjak... to coś zostało tu od czasu, kiedy diabeł zaszczyił nas swoją obecnością.

Zaśmiałam się, żeby ukryć zakłopotanie. Byłam zażenowana tym, że mówił do mnie w ten sposób. Domyślałam się, że do czegoś zmierzał. Miałam się na baczności, a jednocześnie podniecało mnie to. Było w nim coś innego, odróżniającego go od wszystkich, których znałam do tej pory. Niepokoiło mnie to, ale i fascynowało.

– Historia miała swój ciąg dalszy w przeszłości – kontynuował. – Mówiono, że jeśli bezdzienna para spędzi tu noc, z pewnością... staną się płodni. Tak ważna persona jak diabeł nie mógł żyć gdzieś przez chociażby krótki okres bez zostawienia czegoś po sobie, prawda?

– Sądzę, że to bardzo interesujące, jeśli wierzy się w tego rodzaju rzeczy.

– Ty w nie wierzysz, prawda?

– Nie wierzę.

– A co z nieznanym z lasu? Widzisz, czasami wszyscy przeżywamy dziwne, niewytłumaczalne zdarzenia. Pani Keel przychodzi tu zawsze ze służącymi, kiedy sprzątają. Mówi, że głupie dziewczęta wymyślają różne rzeczy. Jedna z nich powiedziała,

że widziała diabła i że on zmusił ją, żeby poszła z nim do łóżka. Okazało się, że zabawiała się z jednym z chłopców stajennych i ponieważ on nie chciał mieć z tym nic wspólnego, diabeł okazał się dobrym substytutem.

– Widzi pan, ludzie przekształcają te legendy tak, żeby odpowiadały ich celom.

– Mój brat i ja przychodziliśmy tu czasami. Którejś nocy zostaliśmy tu... ot po prostu, żeby udowodnić, że się nie boimy. Potem założył się ze mną, że nie prześlę tu sam.

– I oczywiście zrobił pan to i zobaczył diabła.

– Tak i nie. Spałem tu, ale Jego Szatańska Wysokość nie pojawił się tej nocy.

– Jestem pewna, że panna Barston chciałaby to zobaczyć. Możemy iść do niej na dół?

– Wydałem pani Keel instrukcje co do panny Barston.

– Wydaje się, że nie ma tu już nic więcej do oglądania – powiedziałam. – Jeśli nie bierze się pod uwagę legendy, może to być zupełnie zwyczajny apartament.

– Jest tyle rzeczy, które chciałbym, żebyś zobaczyła.

– Proszę mi je pokazać w takim razie.

– To kwestia zrozumienia. Wiesz, jak bardzo jestem tobą zainteresowany.

– Odnotowałam, że ma pan inklinację do raczej częstego pojawiania się.

– Jak inaczej mogę sprawić, byś zorientowała się, jaki to ze mnie wspaniały typ?

– Nie musi pan pojawiać się tak często, żebym była o tym poinformowana. Słyszę o panu bezustannie. Jak już uprzednio powiedzieliśmy, jest pan głównym tematem rozmów w sąsiedztwie. Ale to pańskie osaczanie mnie i preparowane spotkania, takie jak to, są dla mnie zenujące. Musi pan naprawdę zrozumieć, że nie jestem jedną z pańskich pań Martindale czy panien Lyons.

– Dobry Boże! – powiedział. – To sięga daleko w przeszłość.

– Może pan być pewien, że wszystko zostaje należycie odnotowywane, kiedy tylko ma to miejsce.

– Najwyraźniej. Hilda Lyons, śliczna osóbką, ale raczej małomówna.

– Była nauczycielką, jak słyszałam. To zrozumiałe, że brakowało jej świetności kogoś takiego jak pani Martindale.

– Niekoniecznie. Weźmy na przykład taką pannę Grant.

– Jej przyszłość jest tym, co interesuje mnie najbardziej.

– I mnie też – powiedział nagle z wielką powagą. Wstałam, ale był tuż obok mnie. Objął mnie.

– Proszę, niech mnie pan nie dotyka.

Położył mi ręce na ramionach i odwrócił mnie twarzą do siebie.

– Twoje usta drżą – powiedział. – Zdradzają cię.

Wtedy pocałował mnie. Wystraszyłam się. Miałam uczucie, że mnie rozgniecie. Był to tak gwałtowny uścisk. Próbowałam mu się wyrwać.

– Jest pan nieznośny... – rzuciłam przerywanym głosem.

– Co jest raczej przyjemne, prawda?

– Proszę nie używać ze mną tej taktyki.

– Wiem, że nie jesteś panią Martindale czy też panną Lyons. Jesteś o wiele bardziej atrakcyjna... o wiele więcej w tobie namiętności... jesteś o wiele bardziej godna pożądania niż każda z nich.

– Nie interesują mnie pańskie dawne kochanki.

– Zawsze mówisz prawdę, zgadza się? Sądziłem, że nauczycielki powinny. Powiem ci coś. One interesują cię i to w najwyższym stopniu.

– Zawsze pan mówi ludziom, co mają myśleć i co mają robić?

– Zawsze.
– Nie w tym przypadku.
– Zdaję sobie sprawę, że nad tym muszę poważnie popracować.
– Nie uzyskując żadnych efektów. Schodzę teraz na dół. I proszę nie sprowadzać mnie już tu z wymyślonych powodów. Nie przyjadę. Może pan się mścić, jak tylko pan chce. Nie będę się tu zjawiać na skinienie.
– Będę w takim razie musiał się uciec do próśb.
– Nic mnie nie zmusi do ponownego przyjścia tu.
– Nie podejmuj, Cordelio, pochopnych postanowień. Jesteś osobą, której bardzo trudno byłoby łamać takie postanowienia. Podejdz i usiądź. Obiecuję, że nie będę cię całował, dotykał ani robił niczego, co by zakłóciło naszą rozmowę.
– Niech pan mówi, co ma pan powiedzieć, i niech pan to zrobi szybko.
– Jesteś bardzo atrakcyjną dziewczyną. Masz wszelkie przymioty towarzyskie. Czy w końcu nie spędziłaś paru lat w tym miejscu w Szwajcarii? Być może, podziałało ono na ciebie w pewien sposób. Sam nie wiem. Prawdopodobnie zawsze miałaś tę niezłomność charakteru, tę niezachwianą chęć robienia tego, co należy. Jedyne, co oni tam zrobili, to przekształcili cię w młodą damę, która byłaby ozdobą każdego środowiska.

– Tak?
– Nawet takiego jak to.
– Czyżby? – powiedziałam z sarkazmem.
– Mówię to poważnie.
– Jestem w takim razie doprawdy zaszczycona i odnotowując to, pozwolę sobie odejść.

– Jeszcze nie skończyłem, a zgodnie z naukami, jakie pobrałaś w tym cudownym miejscu, którego nazwa umknęła mi w tej chwili, młode damy nie odchodzą, gdy gospodarz domu rozmawia z nimi. One zostają, słuchają i wyglądają na ożywione; co więcej, sprawiają wrażenie, że obchodzi je to, chociaż ich myśli krążą gdzieś daleko. Czy to się zgadza?

– Tak.
– W takim razie postępuj zgodnie z zasadami wyniesionymi ze szkoły. Być może nawet się z tobą ożenię.

– Doprawdy, sir, pańska łaskawość przytłacza mnie. Niestety jednak musiałabym odmówić.

– Dlaczego?
– Sądzę, że to oczywiste, a uprzejme młode damy nigdy nie mówią o przykrych sprawach.

– Rozejrzyj się wokół. Byłabyś w swoim żywiole. W końcu, do czego miało cię przygotować Schaffenbrucken, jak nie do zajęcia miejsca u szczytu stołu jakiegoś bogatego mężczyzny?

– A jednak przypomniał pan sobie tę nazwę. Tak się cieszę. Taki jest rzeczywiście cel Schaffenbrucken. Ale zawsze zdarzają się tam wychowanki, których przeznaczeniem jest coś innego.

– Masz na myśli nauczanie?
– W niektórych przypadkach z pewnością tak.
– Nie bądź niemądra, Cordelio. Nie będziesz przez całe życie uczyć głupiutkich dziewcząt, prawda? Masz zamiar być drugą panną Hetherington?

– Panna Hetherington jest wspaniałą damą. Gdybym stała się podobna do niej, uznałabym, że mi się powiodło.

– Nonsens. W głębi duszy nie jesteś typem nauczycielki. Nie myśl, że nie znam się na kobietach.

– Uważam, że zna je pan bardzo dobrze... od strony fizycznej. Jeśli chodzi o ich psychikę, wyobrażam sobie, że wie pan bardzo mało. Z pewnością należy uznać, że o mnie wie pan niewiele.

– Zaskoczyłbym cię. W tej chwili jesteś początkującą nauczycielką, sztywną, trzymającą się zasad, kompletnie nieznaną światu. Moja droga Cordelio, pod płaszczykiem tej nauczycielki kryje się namiętna kobieta, chętna do ucieczki... do prawdziwego życia.

Zaśmiałam się i on śmiał się razem ze mną, po czym powiedział z udawaną wymówką:

– Uważasz, że jestem zabawny?

– Bardzo. I wiem, że pańskie zainteresowanie mną jest ukierunkowane tylko na zdobycie jednego celu.

– Masz rację.

– I tym celem jest uwiedzenie. Ma pan przygotowane receptury postępowania? Ta dla Marcii Martindale. Ta dla panny Lyons. A tutaj dla Cordelii Grant. Który numer dla niej?

– Jesteś bardzo cyniczna. Nie możesz założyć, że są we mnie jakieś głębsze uczucia?

– Nie.

– Moja droga dziewczyno, zachwycasz mnie, wiesz o tym. Naprawdę, ożenię się z tobą.

– Niech się pan aby zbyt nie spieszy. Nauczycielka bez grosza przy duszy...

– Nie potrzebuję pieniędzy.

– Ja też nie. Jestem zadowolona z tego, co mam. Widzi więc pan, że nie ma sensu, żeby mnie pan tu przyprowadzał i w zwykły sobie, szatański sposób przedstawiał mi bogactwa, które stałyby się moim udziałem.

– Wszyscy lubią bogactwa.

– Można zrobić wiele, mając pieniądze, to prawda. Ale w tym wypadku proszę pomyśleć o cenie, jaką należałoby zapłacić za bycie lady Verringer i zdobienie pańskich salonów. Pan!

– Nie jesteś przekonująca. Drżysz z podniecenia na samą myśl o tym.

– To nie podniecenie – odparowałam. – To wściekłość.

Wstałam, ale uchwycił mocno moje ramię i zmusił, żebym usiadła.

– Znasz mój problem. Potrzebuję spadkobiercy. Syna...

– O tym także słyszałam.

– Chcę syna. Poślubię cię, jeśli dasz mi syna. Patrzyłam na niego z niedowierzaniem i powiedziałam:

– Ach... teraz już rozumiem. Chce pan dowodu, zanim się pan zdeklaruje. Jakież to rozsądne! Inni ludzie pobierają się, żywiąc nadzieję, że będą mieć dzieci. Ale to nie metody postępowania Verringerów. Mam rację? – Wybuchnęłam śmiechem. – Nie mogę się powstrzymać – ciągnęłam. – Właśnie sobie wyobraziłam pańskie wybranki... trzymane w „Gawroniej Przystani” aż do chwili, kiedy udowodnią, na co je stać. Jak w haremie albo może jak w grze w wypożyczanki. Już to widzę.

Próbował zachować powagę, ale nie wytrzymał i przez chwilę daliśmy się ponieść

rozweseleniu.

Powiedziałam:

– To byłoby bardzo zabawne. W chwili obecnej ma pan tam tylko jedną. To bardzo wstrzemięźliwe. Mogę sobie wyobrazić je wszystkie, każdą w innym stadium. Która wyprodukuje chłopca i zdobędzie główną nagrodę? Biedna Marcia. Ona ma tylko dziewczynkę. Jaki wstyd.

Skorzystałam z okazji i ruszyłam w stronę drzwi. Był tam przede mną i oparł się o nie plecami, stając twarzą do mnie.

– Cordelio, pragnę cię. Za każdym razem, kiedy się spotykamy, jestem w tobie coraz bardziej zakochany. To dla mnie ważne.

– Chciałabym pójść do panny Barston.

Odsunął się, a ja spróbowałam otworzyć drzwi. Były zamknięte.

Odwróciłam się do niego; uśmiechał się do mnie, a ja pomyślałam: oni rzeczywiście są synami diabła. Teraz byłam naprawdę przestraszona, ponieważ widziałam zamysł w jego twarzy i byłam pewna, że był zdolny... do tego.

– I cóż? – powiedział z kpiną. – I co teraz?

– Otworzy pan te drzwi – odparłam. Próbowałam, żeby zabrzmiało to stanowczo, ale obawiam się, że nie byłam przekonująca.

– Nie, panno Grant, nie zrobię tego.

– Natychmiast proszę mnie stąd wypuścić.

– Nie, panno Grant.

– Zwabił mnie pan tu.

– Przyszłaś tu z własnej woli razem z moją gospodynią.

– Kim ona jest... kimś w rodzaju stręczycielki?

– Jest posłuszna moim życzeniom tak jak i reszta służby. Nie jesteś już teraz taka spokojna, prawda, Cordelio? Czy wyczuwam jakieś drżenie, spowodowane oczekiwaniem? Pokażę ci, co jest ci przeznaczone. Wywołamy tę wspaniałą, namiętą kobietę. Pozwolimy, żeby dominowała nad sztywną nauczycielką.

– Wypuści mnie pan stąd natychmiast.

Potrząsnął przecząco głową.

– Chcę cię już od tak dawna. Chcę, żebyś była ze mną... z własnej woli.

– Z własnej woli? Czy pan myśli...?

– Tak, gdy tylko przekonasz się, jaka możesz być ze mną szczęśliwa. Ale ty jesteś raczej uparta, prawda? Ta nauczycielska poza jest doprawdy wyśmienita. Zaczynam rozumieć, że powinienem ci pomóc ją przełamać.

Drżącymi dłońmi odwróciłam zegarek przypięty do mojej bluzki.

– Zawsze ten czas! – powiedział. – Co nas może obchodzić czas w chwilach takich jak ta?

– Już powinnam wracać.

– Jeszcze nie teraz.

– Czy pan nie zdaje sobie sprawy...

– Z jednego zdaję sobie sprawę. To mnie opętało. Chcę cię i jeśli jesteś tak uparta, żeby wzgardzić tym, co dla ciebie najlepsze, muszę przywołać cię do rozsądku.

– Nienawidzę pana – powiedziałam. – Nie widzi pan tego? Spodziewa się pan, że wszystkie kobiety padną panu w ramiona. Ale ta nie. I jeśli śmie mnie pan tknąć, uznam, że postępuje pan jak przestępca, i dopilnuję, żeby pan został za to ukarany.

– Co za ogień! – kpił. – Jaka wściekłość! Cordelio, ty i ja jesteśmy kochankami...

– Wrogami, jeśli o mnie chodzi – wyrzuciłam z siebie.

– Jeśli już musisz walczyć... walcz. Ale wkrótce zobaczysz, o ile jestem silniejszy niż ty. Proszę, pozwól mi wziąć twoje okrycie. Jesteś zarumieniona i jest ci za gorąco. Moja kochana Cordelio, będziesz taka szczęśliwa... Obydwoje będziemy.

Usiłował zdjąć ze mnie płaszcz. Odepchnęłam go, a on zaczął się śmiać.

– Jest pan naprawdę zdolny do tego? – zająknęłam się. – Nie jestem pana służącą, wie pan. Ani jednym z pana dzierżawców bojących się panu przeciwstawić. Moja rodzina zemści się tak jak i ja. Gwałt, Jasonie Verringer, nie jest sankcjonowany prawem, nawet dla takich ludzi jak pan. Chwył mnie za ramiona i śmiał się.

– Będę się upierał, że przyszłaś tu z własnej woli, że mnie sprowokowałaś, kusiłaś, co jest prawdą.

– Jest pan szatanem.

– Ostrzegłem cię co do moich wspaniałych przodków.

W pewnym momencie, wykorzystując jego nieuwagę, wyrwałam mu się i podbiegłam do okna. To nie było okratowane. Stał tuż za mną, a ja w desperacji uderzyłam gołymi dłońmi w szybę.

Rozbiła się na drobne kawałki. Krew ściekała wzdłuż moich przedramion aż w rękawy sukni, plamiąc jej stanik.

– O mój Boże – wykrzyknął. To go otrzeźwiło. – Och, Cordelio – ciągnął niemalże ze smutkiem. – Tak bardzo mnie nienawidzisz?

Czułam się oszołomiona. Moje emocje stanowiły taką mieszaninę, że nie wiedziałam, co naprawdę czuję. Tak, bałam się go, ale jednocześnie pragnęłam z nim być. Tej myśli nie dopuszczałam do siebie, ale jakaś cząstka mnie chciała, żeby zaniósł mnie do pokoju z kratami w oknach. I mimo tego, podjęłam tę bezowocną próbę ucieczki, usiłując wybić szybę. Stałam oko w oko z faktem, że zupełnie nie znałam samej siebie.

Patrzył na moje krwawiące dłonie i jego nastrój zmienił się. Teraz cały emanował czułością. Powiedział:

– Och, Cordelio, moja droga Cordelio! – I przez kilka sekund przytulał mnie do siebie.

Odsunęłam się od niego. Czułam łzy na policzkach. Chciałam, żeby objął mnie mocno i powiedział, że w pewnych sprawach zna mnie lepiej niż ja samą siebie. Nie byłam praktyczną nauczycielką, za jaką chciałam uchodzić. Istniała część mnie, która walczyła, żeby się wyzwolić.

Wziął moje dłonie w swoje ręce.

– Natychmiast należy je opatryć – orzekł.

Objął mnie ramieniem i poprowadził do drzwi. Wyjął klucz z kieszeni i otworzył je.

Zeszliśmy na dół. Pani Keel wyszła z biblioteki, a za nią pojawiła się panna Barston.

Panna Barston powiedziała:

– Spóźnimy się, panno Grant. Och... – Zobaczyła moje rany.

– Wydarzył się wypadek – powiedział Jason Verringer. – Panna Grant skaleczyła dłonie o szybę. Pani Keel, proszę dać coś do przyłożenia... jakieś bandaże... Ma pani jakieś płyny...

– Tak, sir Jasonie.

Usiadłam na krześle. Byłam świadoma baczego spojrzenia panny Barston. Jason był zupełnie spokojny. Byłam tym zdziwiona i moja złość na niego powróciła.

– Nie wygląda pani dobrze, panno Grant – stwierdziła panna Barston. – Bardzo się pani pokaleczyła...

– Sądę, że w rzeczywistości nie jest tak źle, jak to wygląda – powiedział Jason. – Po wytarciu krwi zobaczymy, co się naprawdę stało. Skaleczenia nie wyglądają na bardzo głębokie. Najważniejsze to oczyścić rany. Pani Keel zna się na tego rodzaju rzeczach. Tego typu wypadki często zdarzają się w kuchni i zawsze sobie z nimi radzi. Jak się pani czuje, panno Grant? Teraz wygląda pani już lepiej. Pani Keel zaraz tu będzie. – Zwrócił się do panny Barston. – Pokazywałem pannie Grant jeden z apartamentów związany z naszą rodzinną legendą... Mówiliśmy, że pani także byłaby zainteresowana obejrzeniem go. I wtedy to się stało. Poślę kogoś do panny Hetherington z wiadomością, że trochę opóźnicie swój powrót. Będzie pani mogła poczekać i wrócić powozem razem z panną Grant. Panna Grant z pewnością jest trochę wytrącona z równowagi po tym wszystkim. Chłopiec stajenny odprowadzi wasze konie, kiedy pojedzie z wiadomością do panny Hetherington.

Jak gładko wszystko wyjaśnił i jak lekko nadał całemu wypadkowi elementy normalności. Podziwiałam go i jednocześnie ubolewałam nad faktem, że z taką maestrią wybawił nas z kłopotliwej sytuacji. Bez wątpienia miał w tej dziedzinie praktykę. Nienawidziłam go za sugestie, jakie robił, i za próbę przemocy, ale byłam raczej zdziwiona, że na widok mojej krwi tak szybko zrezygnował ze swoich zamiarów. Nienawidziłam go, zapewniałam się gwałtownie... o wiele zbyt gwałtownie.

* * *

Byłam wstrząśnięta tym przeżyciem i nie mogłam się zmusić do mówienia na ten temat. Na pytania odpowiadałam najbardziej zdawkowo, jak tylko mogłam. Sir Jason pokazywał mi jeden z apartamentów. Bezmyślnie wyciągnęłam dłonie i stłukłam szybę, raniąc się. Doprawdy, czułam się w najwyższym stopniu zażenowana. Nie wiem, czy była to szczególnie cenna szyba. Tak, musiałam wyciągnąć dłonie z pewną siłą. Nie, sir Jason nie wyglądał na zirytowanego. Był bardzo przejęty krzywdą, jaką sobie wyrządziłam. Jego gospodyni zabandażowała rany po ich dokładnym umyciu i posmarowaniu czymś, a sir Jason odesłał nas z powrotem swoim powozem.

Daisy spojrzała na mnie dziwnie, ale nie naciskała. Pomyślałam, że przypuszczała, iż nie należy wchodzić w szczegóły, i uznała, że rozsądniej będzie nie tykać tej sprawy.

Zostałam zwolniona z lekcji, jakie zostały mi jeszcze tego dnia.

– To trochę szokujące przeżycie – powiedziała Daisy.

Leżałam więc sama w swoim pokoju i przypomiinałam sobie wszystko, co zaszło. Ten człowiek był potworem. To było jasne. Już nigdy nie mogę zostać z nim sam na sam. Uniknęłam „losu gorszego niż śmierć”, jak to jest nazywane. Zawsze chciało mi się śmiać z tego frazesu. Teraz jednak widziałam to w trochę innych kategoriach. Moja wyobraźnia nie dawała mi chwili wytchnienia. Ciągle myślałam o tym, co by się stało, gdybym nie wybiła tej szyby. Rozważałam z przerażeniem... a może nie?

Co też on powiedział o sztywnej nauczycielce? Czy rzeczywiście byłam kimś takim? Podejrzewam, że do pewnego stopnia tak. Moja praca sprawiała, że taka byłam, i z każdym dniem powinnam jeszcze bardziej nabierać tego typu cech. Oczywiście wyobraźni widziałam siebie kiedyś w przyszłości: siwe włosy, dystygowana, tak jak Daisy... i działająca tak skutecznie jak ona. Mogłam być tego pewna, pomimo że miewałam chwile zapomnienia. Czy Daisy kiedykolwiek...?

Sama ze swoimi myślami, mogłam sobie pozwolić na chwilę szczerości. On miał rację. Pod płaszczykiem nauczycielki kryła się inna kobieta. Wiedział, że ona tam jest,

i zrobił wszystko, żeby ją we mnie wyzwolić. Ale pomimo tego w swojej determinacji powstrzymał się na widok odrobiny krwi. Była w nim troska, czułość... Och, ależ to niemądre. Próbowałam go tłumaczyć.

Przestań o nim myśleć, strofowałam się. I nigdy więcej nie stwórz mu takiej okazji.

Było to trzy dni po wypadku. Moje szybko opatrzone rany goiły się dzięki płynowi, który dała mi pani Keel. Byłam spokojniejsza. Wzięłam się w garść, tłumacząc sobie, że uległam niemądrym emocjom, ponieważ byłam przemęczona.

Teraz widziałam go takim, jakim był: aroganckim, zmysłowym łajdakiem, uważającym, że może zdobyć każdą kobietę, na którą miał ochotę.

Ale nie tę, powiedziałam sobie zdecydowanie.

Poszłam do miasta i wstąpiłam na pocztę, żeby kupić znaczki. Pani Baddicombe obsługiwała właśnie kogoś, ale ucieszyła się na mój widok.

Kiedy skończyła, odczekała, aż zabrzmiał dzwonek nad drzwiami po wyjściu klienta.

– Miło panią widzieć, panno Grant. Jak tam ręce? Słyszałam o pani wypadku. To okropne, prawda?

Zarumieniłam się lekko. Czy ta kobieta wiedziała o wszystkim?

– Jest już lepiej – powiedziałam. – To nie było nic wielkiego.

– A u panienek wszystko w porządku? Słyszała pani wielką nowinę?

– Nowinę? Jaką nowinę?

– Nie ma jej... zniknęła... zupełnie.

– Kto taki?

– Oczywiście ta pani Martindale.

– Gdzie wyjechała?

– To chcielibyśmy wiedzieć.

– Zdaje się, że często wyjeżdżała do Londynu.

– Tym razem wyjechała na dobre.

– Skąd pani wie?

– Zamknęli dom zupełnie, a pani Keel ze Dworu posłała tam służące, żeby posprzątały. Mówią, że ma się tam wprowadzić Gerald Coverdale. Jego dom nie jest wystarczająco duży teraz, kiedy ożenił się i ma dwójkę dzieci. Mówią, że już od jakiegoś czasu miał ten dom na oku. To może tylko oznaczać, że ona wyjechała na dobre.

– Ale jak może być pani tego pewna?

– Była u mnie dzisiaj rano ta, która służy u Coverdale'ów. Mówiła, że sir Jason powiedział im, że mogą się wprowadzić, kiedy zechcą. Zastanawiam się, co się stało z nią... tą panią Martindale.

– Nie sądzę, żeby wyjechała ot tak, po prostu. Pani Baddicombe wzruszyła ramionami.

– Tego nie dowiemy się. Pozbyto się jej i to szybko.

W badawczym spojrzeniu małych oczek pani Baddicombe kryły się domysły. Czulałam, że nie powinnam dłużej zostawać w jej sklepie. Chciałam wyjść i przemyśleć to, co powiedziała. Co sugerowała?

Szybko i spokojnie powiedziałam:

– Sądzę, że z czasem dowiemy się wszystkiego. Chciałam tylko kupić znaczki, pani Baddicombe. Muszę zaraz wracać do szkoły.

Wyszłam w światło dnia. Nagła obawa przeszła mnie. Dlaczego? Z pewnością Marcia Martindale mogła chcieć wyjechać nagle. Nie było w tym nic, czym mogłabym się niepokoić.

* * *

Panna Hetherington zwołała konferencję, aby przedyskutować, jak to górnolotnie nazwała, „żywy obraz”. Przypomniała nam, że czasu jest mało, a najdogodniej byłoby, gdyby rzecz się odbyła w noc świętojańską. To dawało nam mniej niż miesiąc na przygotowania. Nie było to długo, ale ona wolała, żeby przygotowania nie były zbyt rozciągnięte w czasie, ponieważ zwykle kolidowały one z zajęciami szkolnymi, tak jak to dało się ostatnio zauważyć przy wystawieniu „Kopciuszka”.

– Mamy część kostiumów – powiedziała. – Te, które były używane w poprzednich pokazach. Sir Jason obiecał, że wypożyczy nam pozostałe. Oczywiście musimy mieć mnichów... i te role wezmą na siebie najstarsze dziewczęta. Mniejsze dziewczynki wyglądałyby dziwacznie w habitach. Musimy przygotować jak zwykle trzy akty. Początek prowadzący do Wielkiego Rozłam; okres elżbietański i odrodzenie; oraz czasy obecne ze szkołą. Wszystkie dziewczęta mają uczestniczyć w śpiewaniu pieśni szkolnych itd. Jeśli będzie ciepło i pogodnie, odbędzie się to wszystko na powietrzu, przy pełni księżyca, co jest idealne. Ruiny będą świetnym tłem. Mam nadzieję i będę się modlić, żeby nie padało. Gdyby pogoda nie dopisała, musiałyby się to odbyć w holu refektarza lub, być może, sir Jason udostępniłby nam salę balową we Dworze. To byłoby bardzo korzystne, ale powinnam poczekać, aż on wystąpi z tą propozycją. Panie Crowe, pan może przystąpić do prac nad pieśniami. Powinno ich być dużo, tak żeby wszyscy mogli wziąć udział w śpiewaniu. Panno Eccles, pani zajmie się oprawą całości, a panna Grant oczywiście wybierze fragmenty do recytacji i przygotuje aktorów. Panno Parker, sądzę, że w części końcowej można by zaprezentować kilka atrakcyjnych ćwiczeń gimnastycznych. Panie Bathurst, powinniśmy przygotować kilka tańców ludowych. To ma być interesujący wieczór. Jeśli przedstawienie się uda, powtórzymy jego główne elementy tuż przed feriami, kiedy przyjadą rodzice. Niewielu z nich zdecyduje się na przyjazd w środku semestru, nawet po to, żeby zobaczyć swoje latorośle na scenie. Ważne, żeby teraz bez zwlekania przystąpić do działania. Jakies pytania?

Było ich kilka. W szkole nie mówiło się o niczym innym, jak tylko o przedstawieniu. Z werwą rzuciłam się w wir pracy, próbując zapomnieć o tych zatrważających, a jednocześnie podniecających chwilach w „Diabelskiej Kwaterze”. Zdawałam sobie sprawę z tego, że był na krawędzi potraktowania mnie w sposób barbarzyński. Ciągle też byłam zdziwiona tym, że widok moich ran podziałał na niego tak natychmiast i pozwolił dojść do głosu tej odrobinie przyzwoitości, która gdzieś się w nim tliła. Być może, aż do tamtej chwili naprawdę sądził, że chciałam, żeby zawładnął mną, żeby mnie posiadał, czym wyraźnie groził. A może tego chciałam?... Mimo wszystko jednak zrobiłam ten desperacki krok, niemalże nie myśląc, ponieważ ucieczka przez okno byłaby w rzeczywistości zupełnie niemożliwa.

Nie mogłam o tym zapomnieć. Było to ciągle w moich snach.

A teraz dowiadywałam się, że Marcia Martindale wyjechała. Co to mogło oznaczać?

Jason Verringer przyjechał do szkoły i konferował na osobności z panną Hetherington w jej gabinecie. Zostałam tam wezwana razem z Eileen Eccles. Usiłowałam, na ile to było możliwe, uniknąć patrzenia na niego. Zapytał o moje dłonie i powiedziałam, że szybko dochodzą do siebie. Rozmawialiśmy o przedstawieniu i zachowywałam się, jak sądzę, dosyć chłodno i wyniośle. Usiłował sprawić, żebym na niego spojrziała, i wyglądało to tak, jakby prosił o przebaczenie.

Daisy odprowadziła go do bramy, a w ciągu następnych dni nie wyjeżdżałam samotnie na przejażdżki. Bałam się, że go spotkam. Ciągle upominałam siebie, że nigdy więcej nie mogę zostać z nim sam na sam.

Od Teresy dowiedziałam się, że nowa służąca Elsa została uznana przez większość dziewcząt za „bardzo wesołą”. Nie była taka jak inne. Nigdy nie skarżyła się na nieporządek w pokojach i kiedy wiedziała, że panna Hetherington miała przyjść na inspekcję, spieszyła do pokoju Charlotty, żeby wszystko uładzić. Uważały, że to było „bardzo równe”.

Upodobała sobie zwłaszcza tę trójkę i zawsze plotkowała z Fioną, Eugenią i Charlottą. Byłam zaskoczona, ponieważ Charlotta nie należała do osób rozmawiających ze służbą. Ale najwyraźniej i ona została podbita przez Elbę.

– Dobrze ją pamiętam – powiedziałam Teresie. – W Schaffenbrucken też tak się zachowywała. Była wielką ulubienicą dziewcząt.

Musiało upłynąć około tygodnia od wyjazdu pani Martindale, kiedy zaczęły krążyć plotki. Pani Baddicombe, tego byłam pewna, podtrzymywała swoje komentarze na temat niezwykłości całej sytuacji i kiedy chłopiec dostarczający pieczywo z piekarni na pocztę powiedział jej, że przejeżdżając koło „Gawroniej Przystani” widział kobietę z dzieckiem na ręku, stojącą przy drzwiach, pani Baddicombe była zdecydowana nadać temu faktowi tak wiele dramatyzmu, jak tylko się dało.

Kobietą widzianą przez chłopca była najpewniej pani Coverdale. Miała ona małe dziecko i było rzeczą całkiem oczywistą, że mogła stać przy drzwiach, trzymając najmłodsze dziecko na ręku.

Jednakże pani Baddicombe nie akceptowała tak prostego wyjaśnienia.

– Biedny Tom Yeho! Oszupiał. Powiedział, że włosy stanęły mu dęba. Otaczało ją mgliste światło i wyciągała dłonie, jakby wołając o pomoc.

– Mam nadzieję, że nie upuściła dziecka – powiedziałam. – I dlaczego Tom Yeho nie podszedł, żeby jej pomóc albo przynajmniej dowiedzieć się, o co jej chodzi?

– Ale, na Boga, panno Grant, czy nigdy nie stanęła pani oko w oko z czymś nadnaturalnym?

– Nie – przyznałam.

– Gdyby się to pani przydarzyło, zrozumiałaby pani. Biedny Tom tylko zaciął batem konia i odjechał, jak mógł najszybciej.

– Ale państwo Coverdale wprowadzili się już, prawda?

– Nie, jeszcze nie. Tak jakby nie chcieli wiedzieć.

– O czym pani myśli, pani Baddicombe?

– Cóż, wyjechała dosyć nagle, prawda?

– Pani Baddicombe – powiedziałam poważnie. – Powinna pani być ostrożna.

Wyprostowała się i spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Ostrożna? A nie jestem przez cały czas ostrożna?

– Chciałabym wiedzieć, do czego pani zmierza.

– To jasne jak słońce, panienko. Przyjechała tu... a kiedy jest już niepotrzebna... odchodzi.

– Niepotrzebna?

Pani Baddicombe uśmiechnęła się krzywo.

– Czytam między wierszami... – powiedziała.

– I komponuje pani cały wiersz – dodałam rozzłoszczona. Spojrzała na mnie bez wyrazu.

– Do widzenia, pani Baddicombe – powiedziałam.

Kiedy wyszłam przed sklep, drżałam. Pomyślałam, że nie było to zbyt mądre. Teraz będę odcięta od jej informacji. Pomimo że połowa z tego nie była prawdą, chciałam wiedzieć, co się mówiło.

Rozmiar mojej głupoty objawił się, kiedy Eileen Eccles spotkała mnie w kalefaktorium i powiedziała:

– Cordelio, zostałam zamieszana w dramaty rodem z Colby. Sybilla z poczty szepnęła mi, że myśli, iż „kochasz się” w sir Jasonie Verringerze, a on już od jakiegoś czasu ma cię na oku i czy to nie zabawne, że biedna pani Martindale, która tak długo łudziła się, zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kiedy nie jest już potrzebna.

– Co za nonsens! – powiedziałam, czerwieniąc się.

– Z tego rodzaju opowieściami jest ten problem, że zwykle jest w nich coś z prawdy. Przychyłam się do zdania, że nasz zmysłowy sir Jason ma na ciebie oko, a nie ulega też wątpliwości, że w pewnym momencie pani Martindale była jego dobrą przyjaciółką. To tyle faktów. Na tych mglistych podstawach pani Baddicombe zbudowała swoje fantazje. To nonsens, w porządku, ale oparty na pewnych faktach i to jest problem.

– Ostrzegasz mnie? – zapytałam.

Przechyliła głowę i spojrzała na mnie lekko kpiąco, ale i poważnie.

– Sama wiesz najlepiej, jak chcesz postąpić – powiedziała. – Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że on ma pewnego rodzaju reputację. Były plotki na temat śmierci jego żony. Teraz krążą plotki o, jak to nazywają, zniknięciu jego przyjaciółki. On jest obiektem plotek, a w naszej profesji plotki mogą położyć kres karierze zawodowej. Radziłabym... ale spodziewam się, że ty wiesz równie dobrze jak ja, że rad udziela się z własnej inicjatywy, a są one przyjmowane tylko wtedy, kiedy odpowiadają zamiarom adresata. Trzymałabym się z dala od niego, a po wakacjach wszystko może się wyciszyć.

Spojrzałam z czułością na Eileen. Była dobrą przyjaciółką i wrażliwą kobietą. Chciałam jej powiedzieć, że niepotrzebne mi są ostrzeżenia. Zdecydowałam, że nigdy więcej nie zostanę sam na sam z Jasonem Verringerem.

* * *

Panna Hetherington wezwała mnie do swojego gabinetu. Wydawała się tak poruszona, że nie mogła tego całkowicie ukryć. Była odrobinę mniej opanowana niż zwykle.

– Co za haniebne zachowanie! – powiedziała. – Wezwałam cię, Cordelio, ponieważ Teresa jest twoją protegowaną.

– Teresa? Co zrobiła?

– Zaatakowała koleżankę.

– Zaatakowała!

– Ależ tak. Fizycznie... zaatakowała!

– Którą koleżankę? Dlaczego?

– Koleżanka, o której mowa, to Charlotta Mackay. Powodów nie chce wyjawiać żadna z nich. Podejrzewam, że to jakieś zwykłe nieporozumienie, ale żeby moja wychowanka uciekła się do przemocy...

– Nie mogę w to uwierzyć. Teresa jest raczej łagodną dziewczynką.

– Ostatnio jest bardziej apodyktyczna. Rzuciła butem w Charlotte Mackay. Trafiała ją w czoło. Rana jest dosyć głęboka. Dziewczęta przestraszyły się, kiedy zobaczyły krew, i wezwały pannę Parker, która akurat tamtędy przechodziła.

– Gdzie są teraz?

– Charlotta leży. Na szczęście oko nie zostało uszkodzone. Bóg raczy wiedzieć, co się mogło stać. Ale, szczęśliwie to tylko skaleczenie. Teresa została zamknięta w pokoju kar. O tym, w jaki sposób będzie ukarana, zadecyduję później. Najbardziej jednak szokuje mnie to, że takie zachowanie miało miejsce tutaj. Mam tylko nadzieję, że rodzice się o tym nie dowiedzą.

– Czy mogę iść do Teresy?

– Jest bardzo posępna i odmawia powiedzenia czegokolwiek. Siedzi tam z zaciśniętymi ustami i twierdzi, że Charlotta zasłużyła sobie na to.

– Charlotta potrafi być oczywiście trochę denerwująca. Nie ma zbyt łatwego charakteru i wiem, że w przeszłości bardzo dokuczała Teresie.

– Nigdy przedtem jej nie zaatakowała.

– Nie...

– Jest o wiele bardziej pewna siebie, niż była dotychczas, i sądziłam, że to jest dobre. Teraz... nie jestem tego taka pewna. Tak, pójdz do niej i spróbuj poznać przyczynę tego tak wyjątkowego i niewybaczalnego czynu.

Otworzyłam drzwi do pokoju kar. Było to małe pomieszczenie, wyglądające jak cela, które służyło braciom świeckim za składzik. Ta trochę odpychająca nazwa była odpowiednia dla tego miejsca. Stały tam trzy biurka, stół i krzesła. Dziewczęta były tam posyłane z poleceniem uczenia się albo pisania zadanych tekstów, kiedy ich występki zostawały uznane za wyjątkowo naganne.

Teresa siedziała przy jednym z biurek.

– Tereso – wykrzyknęłam.

Wstała niepewnie i spojrzała na mnie prawie hardo.

– Opowiedz mi o wszystkim – powiedziałam. – Jestem przekonana, że można to wytłumaczyć.

– Nienawidzę Charlotty Mackay – oświadczyła.

– Tak naprawdę to nie jest tak. Jest po prostu głupią, arogancką dziewczyną.

– Nienawidzę jej – powiedziała. – Jest niegodziwa.

– Powiedz mi dokładnie, co się stało. Milczała.

– Wiesz, że panna Hetherington chce usłyszeć wyjaśnienia. W dalszym ciągu milczała.

– Musiał być jakiś powód. Może to było coś nieistotnego, a ty, pamiętając jej poprzednie...? Czy była to tak zwana ostatnia kropla?

»

– To nie było nieistotne.

– Co to w takim razie było? Ponownie milczała.

– Być może, jeśli to wyjaśnisz, panna Hetherington zrozumie. Wiesz, że jest sprawiedliwa. Jeśli miałaś ważny powód, uzna, że w tamtej chwili straciłaś nad sobą kontrolę. Wszyscy wiemy, jak trudna potrafi być Charlotta.

Ale nic nie powiedziała. Próbowałam kilka razy i chociaż byłam pewna, że jest mi oddana, niczego z niej nie wyciągnęłam.

– Jest nikczemna. – Było to jedyne, co mówiła. – Jest nikczemną kłamczucha i nienawidzę jej. Cieszę się, że to zrobiłam.

– Nie mów tego panie Hetherington. Musisz okazać skruchę, powiedzieć, że jest ci przykro i że już nigdy nie zrobisz czegoś takiego. Podejrzewam, że będziesz musiała po

tym wszystkim przepisywać trochę za karę. Podejrzewam, że cały jutrzejszy dzień spędzisz tutaj na odbywaniu swojej pokuty.

– Wszystko mi jedno. Cieszę się, że ją uderzyłam.

Westchnęłam. To nie była właściwa postawa i obawiałam się, że Teresa nawet mnie nie powie, co zaszło.

Musiałam pójść do Daisy i przyznać się do porażki.

* * *

Najgorsze dni minęły. Charlotta wykorzystywała swoją kontuzję, jak tylko mogła. Kiedyś weszłam do jej sypialni i zastałam tam też Fionę i Eugenię razem z Elsą. Siedziały na łóżkach i śmiały się.

Trudno było mi je upomnieć. Pamiętałam, że jeszcze nie tak dawno sama mogłam uczestniczyć w tego typu scenie w Schaffenbrucken.

W dalszym ciągu starałam się unikać Jasona Verringera, ale czasami wyjeżdżałam samotnie na przejażdżki. Kiedy jechałam do miasta, wybierałam okreśną drogę, tak żeby nie jechać w pobliżu Dworu. Zawiodło mnie to do „Gawroniej Przystani”. Widziałam panujący wokół niej ruch i domyśliłam się, że Coverdale’owie wprowadzają się.

Nie miałam ochoty chodzić na pocztę, ale w końcu musiałam to zrobić i nadszedł moment, kiedy odważnie weszłam tam. Pani Baddicombe była uszczęśliwiona, widząc mnie. Nie była urażona dystansem w moim zachowaniu w czasie naszego ostatniego spotkania. Kazała mi czekać, aż obsłuży dwóch innych klientów, a potem obrzuciła mnie tym ożywionym, pełnym zaciekawienia spojrzeniem i w geście zażyłości pochyliła się nad kontuarem.

– Miło panią widzieć, panno Grant. Słyszę, że macie w szkole dużo zamieszania w związku z tym pokazem.

– O tak – odpowiedziałam. – To rocznica wybudowania Abbey. Wyjątkowa okazja.

– Trudno to sobie wyobrazić! Te wszystkie minione lata. Dzisiaj rano mówiłam do pani Taylor, jak była tutaj, że zastanawiam się, jak się miewa mała Miranda. Założę się, że całkiem dobrze. Ta Jane Gittings dba o nią, tak samo jak i Ada Whalley.

– Kim jest Ada Whalley?

– To siostra Jane. Whalleyowie mieszkali w Colby przez wiele lat. Stary Bill Whalley prowadził zakład produkcji jabłecznika. Dobrze sobie radził. Wychował się na wrzosowiskach. A kiedy dziewczynki były małe, mieszkały tam z babcią. Bill po przejściu na emeryturę przeniósł się do domku na wrzosowiskach. Jego matka nie żyła już wtedy. Jane wyszła za Gittingsa, a Ada pojechała z ojcem, żeby mu prowadzić dom. To było w Bristonleigh, zaraz na skraju wrzosowisk. Zawsze mówili o wrzosowiskach ci Whalleyowie. Kiedyś Percy Billings kochał się w Adzie, ale nic z tego nie wyszło, bo ona musiała się opiekować ojcem i wtedy Percy niespodziewanie ożenił się z Jenny Markey.

– Mała saga rodzinna.

– Tak to jest, moja droga. Ada byłaby bardzo dobrą matką. Pamiętam, że opiekowały się małą Mirandą, ona i Jane Gittings. Jane też nie miała dzieci. Jakie to dziwne, jedni je mają, a inni nie... i częściej mają je te, które ich nie chcą. Taka Sophie Prestwick. Od razu widać, co się święci. Tam się zanosi na szybki ślub, niech pani zapamięta moje słowa. Sophie figlowała i wpadła... a tacy, którzy chcą, nie mogą mieć dziecka. Taki sir Jason, na przykład...

Patrzyła na mnie chytrze.

Powiedziałam jej, jakich znaczków potrzebuję, a ona niemal niechętnie wyciągnęła

folder i dała mi je.

– Zobaczymy, jak się sprawy potoczą, teraz, kiedy dama, o którą chodzi, jak by to można określić, odeszła.

– Odeszła?

– Nie wiemy dokąd, prawda? Jedyne, co wiemy, to to, że nie ma jej już wśród nas. Powiem pani coś, panno Grant. Nic nie trwa wiecznie, prawda? Życie toczy się dalej. Często sobie mówię: ciekawe, co wydarzy się jeszcze?

– Wydaje się, że pani jest dobrze poinformowana o wszystkim, co się dzieje – powiedziałam z ironią.

– Taka to jest natura pracy na poczcie, można powiedzieć. Zawsze mówię do Baddicombe'a: niewiele jest z tej pracy... pracujesz ciężko i niewiele z tego masz... ale mówię mu: tu są ludzie... i dla nich warto to robić.

Wzniosła oczy ku niebu i z miną zbawczyńni ludzkości włożyła folder ze znaczkami z powrotem do szuflady.

Wyszłam, czując ulgę, że nie okazała w żaden sposób niezadowolenia. Zastanawiałam się, czy w czasie naszego ostatniego spotkania zorientowała się, że nie aprobowałam tego, co mówiła.

Po południu poszłam na spacer do ruin. Miałam się na baczności przed Jasonem Verringerem, gdyby zdecydował się na spacerowanie w tym samym miejscu. Mogło się to zdarzyć, ponieważ podejrzewałam, że próbował mnie spotkać, i prędzej czy później uda mu się to.

Dotarłam do stawów i spoglądałam na wodę tworzącą wodospady wtedy, kiedy osiągały one niższy poziom. Ten dźwięk wodospadów bardzo uspokajał i poszłam wzdłuż nich aż do rzeki. Zaczęłam iść jej brzegiem.

Zorientowałam się, że będę musiała już wracać, by się nie spóźnić. Przyspieszyłam i kiedy doszłam do stawów, zobaczyłam Teresę.

Zawołałam do niej, a ona podbiegła ku mnie.

– Też jesteś na spacerze? – zapytałam.

– Tak. Zobaczyłam, że pani idzie w tę stronę.

– Musimy już wracać. Nie mogę się spóźnić na lekcję i ty też nie. Udało ci się nauczyć zadanego tekstu?

– Tak.

– Czy to dosyć długi urywek?

– Większość już umiem.

– Och, Tereso, tak mi przykro, że to się wydarzyło. Na pewno nie chcesz o tym porozmawiać?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Myślałam, że będziesz mogła mi zaufać.

W dalszym ciągu milczała, a na jej twarzy pojawił się wyraz upartej zawziętości. Słyszmy w milczeniu.

– Grasz jakąś rolę w pokazie? – zapytałam.

– Nie. Właściwie tylko na końcu... biorę udział w ćwiczeniach i śpiewaniu szkolnych pieśni. Panno Grant... jest coś, o co chciałabym panią zapytać.

Pomyślałam z ulgą: teraz powie mi, co zrobiła Charlotta, że tak bardzo ją to uraziło.

– Co takiego, Tereso?

– Trudno mi to powiedzieć, bo wydaje mi się, że pani go lubi... Myślę, że lubi go pani i to nawet bardzo.

– Kogo? O kim myślisz?

– Chodzi o panią Martindale.

Czułam, że głos mi lekko drży, kiedy zapytałam:

– A co w związku z nią?

– Ja... ja myślę, że ona nie żyje. Ja... ja myślę, że została zamordowana.

– Tereso, jak możesz mówić coś takiego. Naprawdę nie powinnaś.

– Nikomu innemu nie powiedziałam.

– Mam nadzieję.

Zatrzymała się, włożyła rękę do kieszeni, po czym wyciągnęła ją do mnie. Kiedy rozchyliła palce, zobaczyłam kolczyk. Był tak krzykliwy i kolorowy, że natychmiast go rozpoznałam.

– Ona takie miała – powiedziała. – Widziałam, jak je nosiła.

– I co z tego?

– Znalazłam go tutaj... przy stawach... Musiał jej wypaść... w szamotaninie.

– Moja droga Tereso, masz zbyt bujną wyobraźnię. Jak pani Baddicombe.

– To jej kolczyk. Wiem, ponieważ jeszcze nie tak dawno Eugenia miała go, żeby jej oddać. Pokazywała nam wtedy. Znalazłam go... tam przy wodzie... Musiał jej wypaść.

– Dobrze, wypadł jej. Zgubiła go. Ludzie gubią kolczyki, a fakt, że ten zgubiła też już wcześniej, sugeruje, że musiał być uszkodzony.

– Myślę, że ten wypadł, kiedy ją wrzucono do rzeki.

– Teresa! Co się z tobą dzieje? Najpierw atakujesz Charlotte Mackay, a teraz rzucasz te dziwaczne oskarżenia... o kim myślisz, Tereso?

– O nim. Boję się, że pani go lubi, panno Grant. Wiem, że to się zdarza kobietom. Ale proszę tego nie robić... Ja... ja... nie przeżyłabym tego, że on mógłby rozmawiać z panią i wciągnąć panią w to. To by wszystko zepsuło... tę radość, jaką miałyśmy razem z ciotką Patty i Violet. Panno Grant, proszę, niech pani nie zwraca na niego uwagi. To nikczemny człowiek. Eugenia mówi...

– Rozmawiałaś z kimś na ten temat, Tereso? Gwałtownie pokręciła głową.

– Obiecuj, że tego nie zrobisz. Potwierdziła skinieniem.

– To nonsens – ciągnęłam. – Krąży wiele niegodziwych plotek. Pani Martindale wyjechała, bo znudziła się wiejskim życiem.

– To dlaczego nie powiedziała, że wyjeżdża?

– A dlaczego miałyby mówić? To była tylko jej sprawa. Bez wątplenia powiedziała o tym temu, kogo to mogło dotyczyć.

– Och, panno Grant, ale proszę nie uczestniczyć w tym. Proszę pozwolić, żeby robili to, co chcą, a my żebyśmy trzymały się od tego z daleka. Proszę pomyśleć o lecie, o kwiatach, o kapeluszach ciotki Patty i szarlotkach Violet.

– Uspokój się, Tereso – powiedziałam. – Wyobraziłaś sobie to wszystko. Nie zdziwiłabym się, gdyby pani Martindale wróciła.

– Nie wróci. Nie przyjąłby jej. Teraz już z nią skończył. On taki jest. Odsuwa ludzi, kiedy z nimi skończy... i zabija ich. Jego pierwsza żona na przykład.

– To wszystko tylko plotki.

– To prawda.

– Nie.

– To jest prawda – powiedziała Teresa – i boję się. Nie chcę, żeby pani...

Objęłam ją ramieniem.

– To nie są moje sprawy – odparłam uspokajająco. – Ten człowiek nie ma z nami nic

wspólnego. Tak się zdarzyło, że jest właścicielem ziemi opactwa. To tyle. Wszystko jest tak jak dawniej. Na wakacje jedziesz ze mną do domu i będziemy się świetnie bawić.

– O, tak... tak.

– Nie zrób niczego, co by zdenerwowało pannę Hetherington. Mogłaby chcieć cię ukarać przez zostawienie na lato w szkole.

Teresa zbladła. Szybko powiedziałam:

– Nie robi tego. Ale nie przeciągaj struny. I, Tereso, ani słowa o tym do nikogo. To nie jest prawda... lecz nie należy o tym mówić. Nie robiłaś tego, zgadza się?

– O, nie, nie.

– A ten kolczyk...

Wyciągnęła dłoń. Leżał tam rubin, jaskrawoczerwony, błyszczący wyraźnie w słońcu.

Zastanawiałam się, co należało z nim zrobić i co by się stało, gdyby ludzie się dowiedzieli, że został znaleziony przy stawach.

Nie musiałam długo zaprzętać tym myśli. Teresa uniosła dłoń i rzuciła kolczyk do wody.

Zaskoczona, odwróciłam się do niej.

– Teresa! – wykrzyknęłam. – Dlaczego to zrobiłaś?

– To już skończone – powiedziała. – Nie mówmy o tym już nigdy. Ja nie będę... jeśli pani też nie będzie.

Byłam bardzo poruszona, a jednocześnie czułam ulgę, że nie będę musiała nic robić w sprawie tego kolczyka.

W milczeniu wróciłyśmy do szkoły. Teresa wydawała mi się spokojniejsza i szczęśliwsza, niż była od chwili zdarzenia z Charlottą.

Noc świętojańska

Prześladowały mnie wątpliwości. Nie mogłam spać. Jak to się stało, że koleczyk znalazł się przy stawach? Mogło się to zdarzyć tylko, jeśli jego właścicielka tam była.

Mogła pójść na spacer nad stawy. To było dosyć daleko od „Gawroniej Przystani” i nigdy nie widywałam jej spacerującej. Nie należała do osób zarządzających długie piesze wycieczki po wiejskich drózkach.

Przypuśćmy tylko, że nie żyła. Że została zamordowana. Co stało się z Maisie? Gdzie była? Czy plotkarze sugerowali, że ona też została zamordowana? Być może myśl o wrzuceniu do wody jednego ciała dała się jakoś zaakceptować. Ale dwóch? Wtedy przypominałam sobie opowieść Jasona Verringera o tym, jak to jego przodek zabił kiedyś rywała i pozbył się jego ciała przez wrzucenie go do stawu. „Rzeka płynie szybko, a do morza jest tylko kilka mil” – powiedział coś takiego.

Z kolei jest dziecko. Co z małą? Była pod opieką pani Gittings w Dartmoor, ale bez jakichś ustaleń nie mogła pozostawać tam w nieskończoność.

To był stek nonsensów. Miały one swoje korzenie w urzędzie pocztowym, a urosły do tych rozmiarów za sprawą innych twórców tajemnic. Ale Jason Verringer był bezwzględny. Wystarczająco wyraźnie dał mi tego dowody. Inni ludzie byli dla niego ważni tylko wtedy, jeśli mogli mu dać to, czego chciał. Brał pod uwagę gwałt. Dlaczegoż by nie morderstwo? Marcia Martindale w pewnym momencie podobała mu się na pewno, skoro zaoferował jej dom w „Gawroniej Przystani”. I było też dziecko. W stosunku do małej zachowywał się z pewnością dosyć obojętnie. Ale przynajmniej dał im dom.

Myślałam o tym dziecku i byłam coraz bardziej przekonana, że muszę dowiedzieć się możliwie jak najwięcej. Jeśli udałoby mi się porozmawiać z panią Gittings, która wydawała się osobą bardzo rozsądną i praktyczną, dowiedziałabym się z pewnością wiele. Jeśli odkryłabym, że wszystko to jest tylko nonsensem, postarałabym się, żeby wszyscy w okolicy dowiedzieli się o tym. To położyłoby kres złośliwym plotkom.

Im więcej o tym myślałam, tym bardziej prawdopodobne mi się to wydawało. Słyszałam nazwę miejscowości, w której mieszkała siostra pani Gittings. Zapamiętałam te szczegóły może dlatego, że posunięcie tego typu czaiło się w zakamarkach mojego umysłu. Siostra pani Gittings nazywała się Ada Whalley i mieszkała w Bristonleigh w Dartmoor. Nie było to daleko stąd, najpewniej tylko około piętnastu mil.

Dlaczegoż by nie? Im więcej o tym myślałam, tym ten pomysł wydawał mi się coraz lepszy.

Powiedziałam do Daisy:

– Chciałabym w niedzielę odwiedzić przyjaciół, którzy mieszkają w Dartmoor, ale nie jestem pewna nazwy miejscowości.

– Sądzę, że niedziela jest dniem, kiedy spokojnie możesz pojechać. Jestem przekonana, że uda ci się zaaranżować, by twoje ewentualne obowiązki tego dnia przejęła któraś z koleżanek.

– Tak, z pewnością będę mogła to zrobić. Zastanawiam się, czy ma pani może mapę? Chciałabym sprawdzić dokładnie, gdzie to jest.

– Mam ich kilka. Pokażę ci je.

Bristonleigh nie było zaznaczone na pierwszej z nich, ale miała też mapę Dartmoor i okolic i tam je znalazłam. Najwyraźniej była to mała wioska, zaraz na skraju wrzosowisk. Zapamiętałam nazwę najbliższego miasta.

Będę musiała dojechać tam i znaleźć jakiegoś rodzaju pojazd, który dowiezie mnie na miejsce.

– Jeździ tam tylko jeden pociąg, który odchodzi stąd o dziesiątej trzydzieści – powiedziała Daisy. – A powrotny będziesz miała dopiero o czwartej. To da ci możliwość spędzenia kilku godzin z przyjaciółmi.

– Spróbuję. To będzie eksperyment.

I tak oto doszło do tego, że w ten niedzielny poranek przemierzałam żyzne wiejskie tereny Devon.

Podróż trwała tylko pół godziny. Po dotarciu na miejsce zapytałam pracownika stacji, jak mogę dojechać do Bristonleigh. Zastanawiał się tylko przez chwilę.

– To trzy mile stąd... trochę pod górę. Ale przypuszczam, że Dick Cramm nie będzie miał nic przeciwko zarobieniu paru dodatkowych groszy w niedzielę. Powinien już być na nogach. Lubi się trochę powylegiwać w niedzielny poranek. Ale jest gotowy zawsze na wypadek, gdybyśmy go wezwali, co nie zdarza się często.

– Gdzie go znaleźć?

– Proszę iść przez podwórze. Potem skrócić w prawo. Zobaczy pani jego dom. „Zagrodę pod Dziką Jabłonią”. Tuż obok niego rośnie wielka dzika jabłoń. To od niej wziął nazwę dom.

Podziękowałam mu i poszłam odnaleźć Dicka Cramma, który na moje szczęście już wstał, świeżo po niedzielnym „poleżeniu”, i był też całkiem gotów, żeby mnie zawieźć do Bristonleigh.

– Chcę odwiedzić pannę Adę Whalley.

– O, to szacowna dama, panna Ada Whalley.

– Zna ją pan więc?

– Czy ją znam? Kto by tutaj nie znał panny Ady Whalley! Uprawia najlepsze warzywa w okolicy. Moja żona też ich trochę ma... tak jak i inni. Część z nich jest wywożona do Londynu. Zabieram je od niej i odwożę na pociąg. O tak, znam pannę Adę Whalley.

To był wspaniały zbieg okoliczności. Już wyobrażałam sobie, jak przemierzam ulice Bristonleigh w poszukiwaniu panny Ady Whalley.

– Mieszka z nią teraz jej siostra – ciągnął. – To dobrze dla niej. Mówiła to nie dalej jak wczoraj, kiedy zabierałam od niej porcję warzyw. Powiedziała: „Dobrze, kiedy moja siostra jest ze mną”. Biedaczka. Przypuszczam, że przedtem czuła się samotna.

Dojechalśmy do Bristonleigh. To była piękna wioska. Typowa dla Anglii, a szczególnie dla Devon, gdzie roślinność była bardziej bujna niż gdziekolwiek indziej w kraju. Był tam stary kościół, wiejski park, kilka domostw, głównie osiemnastowiecznych, poza elżbietańskim Manor House na placu. Kiedy wjechalśmy tam, kościelny zegar wybił akurat dwunastą.

– Dom panny Whalley leży nieco na uboczu. Ma wokół trochę ziemi dla swoich upraw. Będziemy tam za kilka minut.

– Muszę zdążyć na powrotny pociąg. Odjeżdża o trzeciej trzydzieści, zgadza się?

– Tak jest, panienko.

– Może pan przyjechać po mnie i odwieźć mnie na stację?

– Tak zrobię. Przypuszczam, że mogę być tuż przed trzecią. Odpowiada to pani?

– Bardzo. Dziękuję serdecznie. Tak się cieszę, że trafiłam na pana.

Podrapał się w głowę i patrzył prosto przed siebie, ale widziałam, że był zadowolony.

– To ten dom. Lepiej poczekam, aż się pani upewni, że są. Nie, żebyśmy mogli nie wiedzieć, gdyby wyjechały.

Pomyślałam wtedy, że ludzie w wioskach wiedzą o sobie nawzajem prawie wszystko. Oczywiście, czasami nadają nieprawidłowe znaczenie niektórym sytuacjom, ale nikt nie mógłby ich posądzić o obojętność w stosunku do tego, co się dzieje z sąsiadami.

Zapłaciłam mu i dodałam niewielki napiwek, czym był zażenowany, ale co go niemniej jednak bardzo zadowoliło.

– Był pan mi wyjątkowo pomocny – powiedziałam.

– Ale to nic takiego. O, jest pani Gittings z małą.

– Panna Grant! – wykrzyknęła.

Ruszyłam ku niej szybko. Byłam świadoma, że woźnica obserwuje nas uważnie, odwróciłam się więc do niego i powiedziałam:

– Dziękuję. Czekam na pana przed trzecią.

W odpowiedzi dotknął batem czapki i zawrócił konie.

– Muszę pani wszystko wyjaśnić – powiedziałam.

– Och, panno Grant. Jaka jestem zaskoczona, że panią widzę. Przyjechała pani taki kawał drogi, żeby zobaczyć się ze mną i z Mirandą?

– Usłyszałam, że jest pani u siostry, a pani Baddicombe powiedziała mi, jak ona się nazywa i gdzie mieszka. A więc to tutaj zawsze przyjeżdża pani z Mirandą?

– Tak. Czy chciała pani...

– Porozmawiać z panią.

Miranda patrzyła na mnie z ciekawością.

– Mała wygląda świetnie – powiedziałam.

– Służy jej pobyt tutaj. Jest tu szczęśliwa.

Pani Gittings musiała się domyślić, że nie chcę rozmawiać przy dziecku. Mogłaby pojąć pewne sprawy, a nie chciałam powiedzieć niczego, co mogło ją zdezorientować.

– Proszę pójść z nami. Pozna pani moją siostrę. Jemy obiad wcześniej z powodu Mirandy. Potem mała śpi przez kilka godzin. Moja siostra ucieszy się, że panią pozna. Potem... będziemy mogły porozmawiać.

Zorientowałam się, że ma na myśli moment, kiedy Miranda pójdzie spać, i byłam wdzięczna, że jest tak taktowna.

Panna Ada Whalley wyszła przed dom, słysząc odgłosy rozmowy. Chciała się dowiedzieć, kto przyjechał. Była dobrze zbudowaną kobietą o muskularnych ramionach i twarzy opalanej słońcem.

– Ado, to panna Grant ze szkoły – powiedziała panna Gittings. – Wiesz... ze szkoły z opactwa.

– O, to miło – powiedziała Ada.

– Przyjechała, żeby porozmawiać... – Skinęła w stronę Mirandy, a Ada też skinęła w odpowiedzi.

– Przypuszczam – dodała panna Gittings – że pannie Grant przydałaby się porcja obiadu.

– Przepraszam, że przyjechałam bez zapowiedzi – tłumaczyłam się. – Nie wiedziałam, co robić, i pomyślałam, że być może pani Gittings będzie mogła mi pomóc.

– Ależ nic nie szkodzi – powiedziała Ada. – Ludzie z wioski często wpadają do nas, jesteśmy do tego przyzwyczajone. Mówią, że chcą poprobować moich warzyw. Nie mam nic przeciwko temu. Wszystko sama wyhodowałam.

– Nawet świnkę – wtrąciła pani Gittings.

– To mały Piggy Porker – oświadczyła Miranda.

– Nie, kochanie, mały Piggy Porker jest gdzieś ze swoją mamą i objada się. To

najbardziej żarłoczny z całego miotu.

Miranda zachrzękała, naśladując świnkę, a na mnie spojrzała nieśmiało, oczekując zachwyty.

– Och – zauważyła Ada. – To brzmi tak, jakby Piggy Porker dostał się gdzieś tutaj.

Miranda chrząknęła, a Ada udawała, że rozgląda się zaniepokojona. Miranda najwyraźniej uważała, że to wspaniały dowcip. Jedno stało się natychmiast oczywiste: z tymi dwoma paniami Miranda nie będzie tęsknić za matką.

– Zaprowadzę pannę Grant, żeby umyła ręce – powiedziała Ada.

Poszłam za nią schodami w górę do pokoju, w którym na drewnianym stole stała miska i dzbanek. Wszystko błyszczało czystością.

– Z tej strony ma pani dobry widok na ogród – wskazała Ada i wyjrzałam na rzędy rosnących warzyw. Były tam też dwie szklarnie i kompostownik.

– I zajmuje się pani tym wszystkim sama?

– Mam pracownika do pomocy. Będę musiała mieć jeszcze jednego, jeśli interesy będą szły tak dobrze. Teraz Jane tu jest i pomaga mi. Robi wiele prac domowych. A pani przyjechała, żeby porozmawiać z Jane. Mam nadzieję, że nie będzie jej pani zachęcać do odjazdu. Tak mi dobrze mieć ją tutaj. Zawsze chciałam, żebyśmy byli razem.

– Nie przyjechałam po to, żeby ją zabierać od pani. Chcę po prostu porozmawiać z nią. Może wyjaśni to kilka zagadek.

Kiedy umyłam ręce, zeszyliśmy na dół. Pani Gittings nakrywała do stołu, a Miranda robiła wielki pokaz z pomagania jej. Z kuchennego piekarnika docierał wspaniały zapach pieczonej wieprzowiny, a w maleńkim pokoju, w którym zasiadliśmy do posiłku, panowała atmosfera najwyższego zadowolenia. Warzywa były przepyszne.

– Prosto z grządki – powiedziała Ada. – Tak powinno się je jadać.

– Jeśli ma się tyle szczęścia, że istnieją po temu warunki – dodałam.

– Panno Grant, bardzo proszę dołożyć sobie ziemniaków. Mieliśmy dobre zbiory w tym roku, a muszę przyznać Jane, że umie gotować. Ja zawsze mało się do tego przykładalam. Jane taka nie była. Ona jest jak wyćwiczony żołnierz, prawda, kruszynko?

Miała zwyczaj żartobliwego szukania potwierdzenia u Mirandy, na co mała zareagowała poważnym skinieniem głowy.

Miranda siedziała w wysokim krześle, zabezpieczona wielkim śliniaczkiem, i jadła sama, czego efekt nie był bardzo katastrofalny. Kiedy jedzenie nie trafiało do jej buzi, Ada śmiała się i nakładała je prawidłowo.

– Ta odrobina nie trafiła do celu. Nie wiedziała, że musi iść równo z czerwoną linią, prawda, kruszynko?

– Nie wiedziała, prawda? – powiedziała uradowana Miranda.

W swoim czasie posiłek dobiegł końca i Miranda została zabrana na drzemkę. Ada taktownie powiedziała, że musi zajrzeć do szklarni i dzięki temu zostałam sam na sam z Jane Gittings.

– Mam nadzieję, że nie gniewa się pani, iż pojawiłam się tu tak nagle. To właściwie najście – powiedziałam.

– To przyjemność. Ada lubi gości. To dla niej radość widzieć, że ludziom smakuje to, co wyhodowała.

– Widzę, że to wspaniała osoba. Pani Gittings, po Colby krąży wiele plotek. Ludzie opowiadają przedziwne rzeczy.

– To ta kobieta z poczty.

– Myślę, że to rzeczywiście od niej wychodzi. To była zagadkowa sprawa, prawda?

Chcę położyć kres tym plotkom, ale nie wiem jak. Jeśli mogłabym się dowiedzieć, co się naprawdę stało... albo gdzie jest pani Martindale i spowodować, żeby wróciła i pokazała się wszystkim...

– Jest mi trudno powiedzieć cokolwiek na ten temat, ponieważ wiem niewiele więcej od pani.

– Ale jest przecież mała.

– Sir Jason wziął to na siebie.

– W takim razie, sir Jason...

– Zawsze taki był. Zapytał, czy mogę wziąć dziecko do mojej siostry i zajmować się nim. Będzie mi płacił za dogłądanie jej i utrzymanie... chciał tylko, żebyśmy przyjechały do mojej siostry. Wiedziała, co Ada by na to powiedziała. Zawsze chciała, żebym odeszła stamtąd i przysłała do niej. No i kocha Mirandę. Powiedziałam sir Jasonowi, że ze strony Ady nie będzie żadnych problemów.

– Poprosił więc, żeby ją pani zabrała. To musiało być na kilka dni, zanim pani Martindale wyjechała.

– Tak to było. Kiedy wyjeżdżała, zawsze brałam Mirandę do Ady. To było zrozumiałe samo przez się. Tak też się działo w dzień po tym, jak odeszła Maisie.

– Po tym, jak odeszła Maisie...? – powtórzyłam.

– Tak, odeszła. Było okropne zamieszanie... i następnego dnia Maisie odeszła. Wzięła ze sobą większość rzeczy pani Martindale, sukni i tym podobnych. Po jej odejściu niewiele już zostało. Nie wiedziałam, dlaczego tak się stało, a nie jestem też osobą, która przykłada uszy do dziurek od kluczy. Jedyne, co wiedziałam, to to, że pokłóciły się. Potem Maisie odeszła, a sir Jason poprosił mnie, żebym wzięła Mirandę do Ady. Miałam okropne przeczucia.

– Czyli Maisie odeszła, a potem odjechała i pani.

– Zgadza się. Widzi więc pani, że nie umiem powiedzieć, co się stało dalej. Byłam bardzo zadowolona, że stamtąd odchodzę. Pani Martindale i ta Maisie potrafiły się okropnie kłócić. Zawsze bałam się, że Miranda je usłyszy. Och, cieszyłam się, że wyjeżdżam. Pani Martindale nigdy nie przeszkadzało, że wyjeżdżałam. Z wioski przychodziła dziewczyna, żeby wykonać najcięższe prace. Ja i tak nigdy niczego takiego nie robiłam. Opiekowałam się dzieckiem, chociaż pomagałam też w domu. Nigdy nie należałam do tych, co stoją z boku i patrzą, kiedy jest coś do zrobienia.

Nie słuchałam jej. W mojej głowie krążyła ciągle jedna myśl. Maisie wyjechała, a potem on poprosił panią Gittings, żeby zabrała dziecko.

Trochę nieobecna myślami usłyszałam, że mówię:

– Coverdale'owie... pamięta ich pani... Mieszkają już w „Gawroniej Przystani”, czyli że oczywistym jest, iż ona już nie wróci.

– Myślę, że tak może być. Sir Jason powiedział, że mam zabrać Mirandę, a pieniądze będą przysyłane tutaj. A kiedy będzie miała pięć lat, co jeszcze nieszybko nastąpi, pomyśli o jej nauczaniu. Ale mała ma być wyłącznie pod moją opieką. Pomyślałam: a więc madam wyprowadza się. To znaczyło, że skończył z nią. Cóż, działy się tam różne dziwne rzeczy i z pewnością jestem zadowolona, że już mnie tam nie ma. Sir Jason powiedział do mnie: „Wiem, że można pani zaufać, pani Gittings. Nikt nie zajmie się tym dzieckiem tak dobrze jak pani”. Przegadał jej, na mój rozum. Nie, żeby ją to mogło obejmąć. Nigdy nie okazała najmniejszego nawet zainteresowania dzieckiem. Nie chciała małej. Chciała tylko jemu pokazać, że może mieć dzieci. Było przecież gadanie o tym, że on nie ma dziedzica i tak dalej. Tak się nie robi, tak się nie sprowadza dzieci na ten świat,

panno Grant.

– W najmniejszym stopniu nie jestem zaniepokojona o dobro Mirandy – powiedziałam. – Zgadzam się, że jest w bardzo dobrych rękach. Sir Jason ma rację. Z panią jest najszcześliwsza, a pani siostra też ją kocha. To widać.

– Cieszę się, że pani tak uważa, panno Grant. Kiedy panią zobaczyłam, bałam się, że przynosi mi pani wiadomość, że mam oddać Mirandę. Powie pani sir Jasonowi, jak jej tu dobrze, prawda?

– Jeśli go spotkam, z pewnością to zrobię. Właściwie przyjechałam po to, żeby się dowiedzieć, czy pani orientuje się, dlaczego pani Martindale wyjechała tak nagle.

– Z nią nigdy nic nie wiadomo... a po tym, jak Maisie odeszła rozniewana, zabierając te wszystkie wspaniałe suknie, przypuszczałam, że nie może już dłużej wytrzymać wiejskiego życia. Zawsze mówiła o Londynie.

Zdecydowałam, że muszę być zupełnie szczerą.

– Krążą plotki... przypuszczenia. Oczywiście nie są prawdziwe, ale ludzie dziwią się, dlaczego odeszła tak nagle. Czy mówiła coś o wyjeździe z „Gawroniej Przystani”?

– Zawsze mówiła o wyjeździe. To nie było nic wyjątkowego.

– Czy odwiedzał ją ktoś?

– Sir Jason przyjechał. Och, przypomniałam sobie. Pokłócili się okropnie. Było to na kilka dni przed tym, jak odeszła Maisie. Pani Martindale krzyczała, a on mówił, żeby była cicho. Maisie podsłuchiwała pod drzwiami. Złapałam ją na tym. Powiedziałam: „Nie masz prawa tego robić”. „Nie bądź niemądra”, odpowiedziała mi. „Jeśli tego nie zrobię, to skąd będę wiedzieć, co jest co?” Śmiała się, po czym powiedziała: „Przypuszczam, że to przytulne, małe gniazdko już nie na długo będzie nasze”. Odeszłam. To krótko po tym spotkałam sir Jasona. Przejechał, niby przypadkiem, a ja brałam Mirandę na jej codzienny spacer. Podjechał do mnie i powiedział: „Pani Gittings, czy byłaby pani gotowa zabrać Mirandę do swojej siostry i zostać tam z nią na dłużej?” Byłam taka zdziwiona, że nie mogłam ogarnąć tego, co mówił. A on siedział na swoim koniu i wykladał mi swoje plany. Miałam się tym zająć natychmiast. Pieniądze byłyby przesyłane do mnie regularnie co miesiąc i płacone z wyprzedzeniem. Gdyby cokolwiek Mirandzie było potrzebne, miałam powiedzieć o tym jemu bezpośrednio. Zapytał, czy sądzę, że moja siostra zgodziłaby się na to. Odpowiedziałam, że moja siostra będzie skakać z radości.

Był bardzo zadowolony i powiedział: „Jestem pani bardzo wdzięczny, pani Gittings. Rozwiązała mi pani wielki problem”.

– Jak zareagowała pani Martindale, kiedy jej pani o tym powiedziała?

– Wzruszyła ramionami i nie sprzeciwiła się w żaden sposób. Zająłam się więc pakowaniem i wyjechałyśmy. Powinna pani zobaczyć minę Ady. Nie miałam czasu zawiadomić jej o tym. Ciągle powtarzała: „Cóż, nigdy...” Potem uściskała Mirandę i powiedziała: „Cuda się jednak zdarzają, prawda, kruszynko?” Prawie płakała z radości. Ada tak to odebrała. Przecież była sama, odkąd nasz tata zmarł.

– Myślę, że dla Mirandy to wielkie szczęście, że ma was obie. Wiem o tym. Sama mam ukochaną ciotkę, która dała mi miłość, jakiej potrzebuje dorastające dziecko. Ale jedno, czego chciałabym się naprawdę dowiedzieć, to to, co się stało z panią Martindale.

– Musiała wyjechać wkrótce po nas.

– Nie mówiła, że wyjeżdża? Nie robiła żadnych starań w tym kierunku?

– Nigdy mi nie mówiła, że wyjeżdża. Nie mówiła nic o swoich planach.

Zaczęłam się bać. Spotkanie z panią Gittings tylko zwiększyło moje podejrzenia.

– Nie ma pani pojęcia, jakie to dla mnie szczęście, że tu jestem. Panno Grant –

ciągnęła – zapewniam panią, że praca dla pani Martindale to nie była sielanka. Czasami zachowywała się dziwacznie. Wszystkie się jej bałyśmy, nawet Maisie, która potrafiła stawić jej czoło. Ile to razy mówiła do Maisie, żeby się wynosiła! Ale Maisie chyba szachowała ją czymś. Byłam zaskoczona, że odeszła, ponieważ choćby nie wiadomo ile razy się kłóciły, zawsze się godziły. Myślę, że ten ostatni raz to było o ten raz za dużo. Maisie zwykle mówiła, że wszystko układa się dobrze. Z sir Jasonem i ze wszystkim...

– To jest takie dziwne, że wyjechała tak nagle.

– Jest i nie jest. Z panią Martindale nigdy nic nie wiadomo.

Rozmawialiśmy jeszcze, ale nie dowiedziałam się niczego więcej. Dick Cramm przyjechał po mnie. Ada przyszła ze szklarni i powiedziała, że było jej bardzo miło mnie poznać.

W drodze powrotnej myślałam o wszystkim, co usłyszałam, i czułam się bardzo nieswojo.

* * *

Wiedziałam, że nie uda mi się unikać Jasona. Był zdecydowany, żeby mnie dopaść, i nieuniknione było, że ewentualnie mu się to powiedzie.

Stało się to w cztery dni po mojej wizycie w Bristonleigh.

Miałam dwugodzinną przerwę i wzięłam na przejażdżkę jednego z koni. Jason dogonił mnie w pobliżu lasu, niedaleko „Gawroniej Przystani”. Prawdę mówiąc, myślałam, że jechał właśnie stamtąd.

– Unikasz mnie, Cordelio – powiedział z wymówką.

Jego bezczelność była zadziwiająca i zaśmiałam się tylko.

– Wyobrażał pan sobie, że zachowam się inaczej? – zapytałam.

– Nie... po moim przerażającym postępku, kiedy byliśmy ostatnio sami. Próbowałem zobaczyć się z tobą i prosić o przebaczenie.

– Zadziwia mnie pan.

– A więc, czy mi wybaczone?

– Nie chcę pana więcej widzieć. Nie zdaje pan sobie sprawy z tego, że mnie pan obraził?

– Obraziłem? Wręcz przeciwnie, to był z mojej strony najwyższy komplement, jakim mężczyzna może obdarować kobietę.

– Proszę nie mówić takich nonsensów – powiedziałam i pognałam konia.

Oczywiście, on dotrzymał mi kroku.

– Proszę pozwolić mi się wytłumaczyć. Przyjechałem, żeby poprosić cię o rękę.

Zaśmiałam się znowu.

– Bez upoważnienia z mojej strony – powiedziałam. – Działa pan bardzo pośpiesznie.

– Absolutnie nie. Wiele myślałem o tym kroku. Chcę ciebie... i tylko ciebie.

– W takim razie to raczej bardzo niefortunne dla pana. Do widzenia.

– Odpowiedzi „nie” nigdy nie przyjmuję do wiadomości.

– Musi pan pamiętać, że do małżeństwa potrzebne są dwie osoby. Być może pana przodkowie, z których jest pan tak dumny, zwykli zaciągać swoje narzeczone do ołtarza siłą i wymuszać wypowiedanie obietnic małżeńskich pod groźbą noża... ale ta metoda nie sprawdzi się w dzisiejszych czasach.

– Nigdy nie postępowaliśmy w ten sposób. Skąd taki pomysł? Zawsze byliśmy najlepszymi partiami w okolicy i to kobiety raczej próbowały nas zwabiać w małżeńskie

sidła.

– To wszystko nie ma sensu. Nie lubię pana. Nie ufam panu. Zachował się pan w stosunku do mnie po barbarzyńsku i jedynym sposobem dla pana, żeby uzyskać moje przebaczenie, to zniknięcie mi z oczu i niepokazywanie mi się nigdy więcej.

– Wygląda na to w takim razie, że muszę się obejść bez pani przebaczenia.

– Nie chcę mieć z panem nic do czynienia. Nie chcę, żeby myślano, że mam z panem coś wspólnego. Będę wdzięczna, jeśli zostawi mnie pan w spokoju.

– Nie będzie to proste z dwóch powodów: jeden to przedstawienie szkolne i nieoceniona panna Hetherington, drugi i ten nie do pokonania, to to, że jestem zauroczony panią.

– W takim razie proszę szybko znaleźć kogoś innego, komu może pan okazać swoje oddanie. Gdzie jest pani Martindale?

– W Londynie, jak sądzę.

– Jest pan kompletnie niewrażliwy? Wie pan, co się mówi o niej... i o panu?

– Proszę pozwolić mi zgadnąć. Zamordowałem ją. Tak?

– Takie są domysły. A zrobił pan to?

Zaczął się śmiać.

– Dobry Boże! Co za pytanie. Więc uważasz, że jestem mordercą, tak?

– Bardzo niedawno miałam okazję widzieć wyjątkowo paskudną stronę pańskiego charakteru.

– Droga Cordelio. Kocham panią. Próbowałem sprawić, żebyś była szczęśliwa.

– Jest pan rozbawiony. Nie wiem, co pana zdaniem jest takim dobrym żartem.

– Byłabyś taka szczęśliwa. Dalibyśmy wypowiedzenie tej sztywnej nauczycielce. Robilibyśmy wspólne plany. Byłoby cudownie. Pokazałbym ci »ową Cordelię.

– Ma pan wielkie mniemanie o sobie. Nie podzielałam tego zdania, a sądzę, że nie jestem w tym odosobniona.

– Chciałbym, żebyś dała sobie szansę poznania mnie.

– Nie uważam, żeby to było miłe doświadczenie, sądząc po tym, czego się dowiedziałam do tej pory.

– Posłuchaj mnie. Nie wiem, gdzie ona jest. Wyjechała. Tylko to jest dla mnie istotne. A ty jesteś w stosunku do mnie zbyt surowa. Zawsze myślisz o mnie jak najgorzej. Było tak od samego początku, kiedy kazałem wycofać powóz, którym jechałaś.

– Był to bardzo typowy gest. Zawsze w taki sposób traktujesz ludzi.

– Cordelio, pozwól, żebym ci wytłumaczył. Wiem, że sprawiaam wrażenie aroganta i samoluba. Jestem taki. Ale przy tobie mogę się zmienić. Ty możesz tego dokonać. Może nam być razem dobrze... ponieważ ja też mogę zmienić ciebie. Roztoczę przed tobą nowe horyzonty, Cordelio. Nawet tylko rozmawiając z tobą, czuję, że żyję. Uwielbiam sposób, w jaki smagasz mnie swoimi słowami. W Schaffenbrucken z pewnością nauczyli cię szermierki słownej. Jestem taki, jaki jestem, z powodu otoczenia, w jakim żyję. Zostałem wychowany w taki sposób. Chcę, żeby moje dzieci dziedziczyły moje posiadłości. To naturalne, prawda? Nie chcę żyć tak jak do tej pory. Chcę, żeby ktoś mi pomógł stać się takim, jakim chciałbym być. Wiem, że tym kimś jesteś ty. Opowiedziałem ci trochę o moim dzieciństwie. Nie było szczęśliwe. Mój brat i ja zostaliśmy wychowani bardzo surowo. Wiesz, że po tym, jak się ożenił, w dalszym ciągu mieszkał pod tym dachem, a teraz ja opiekuję się jego dziewczynkami. Moja żona była dobrą kobietą, ale nigdy nie byłem nią zainteresowany... nawet przed wypadkiem. Potem pochłaniały ją tylko jej dolegliwości. Ale nie to było najgorsze, ale fakt, że nie mieliśmy ze sobą absolutnie nic

wspólnego... nawet rozmawiać nie mieliśmy o czym. Możesz sobie wyobrazić, jakie to okropne. Zobojętniała na wszystko, a ja byłem czasami niecierpliwy. Miałem za złe losowi, że obarczył mnie nią. Nie mogła żyć ze mną jak żona. Nie przejmowałem się tym. Naturalnie były inne... wiele, ale żadnej szczególnej... być może to z tego powodu było ich tak wiele. Zrozumiałaś mnie, jak dotąd?

– Tak, oczywiście.

– I w dalszym ciągu mnie osądzasz?

– Nie robię tego. Po prostu nie chcę mieć z panem nic wspólnego.

– Zmarła... z powodu przedawkowania laudanum. Często mówiła, że odbierze sobie życie, jeśli ból stanie się nie do zniesienia. Inaczej nie zrobiłaby tego. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Wiedziała, że szukam pocieszenia u innych... i umarła.

– I sprowadził pan Marcie Martindale do „Gawroniej Przystań”. Dlaczego?

Milczał przez kilka sekund. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego stoję tu i rozmawiam z nim. Powinnam zawrócić konia i szybko odjechać. Jednak chęć zostania była silniejsza ode mnie.

Powiedział:

– Marcia była zabawna. Potrafiła zachowywać się skandalicznie. Zawsze grała jakąś rolę... i na scenie, i poza nią. Zaszła w ciążę i pod wpływem impulsu zaoferowałam jej „Gawronią Przystań”, żeby mogła tam pojechać od razu i w spokoju urodzić dziecko. Potem zorientowała się już tutaj, jak sprawy się naprawdę mają: żona inwalidka, posiadłość i tylko dwie dziewczynki jako spadkobierczynie... wygaśnięcie nazwiska Verringerów. To było dla niej jak sztuka teatralna. Wtedy to zdecydowała, że dziecko jest moje i że udowadnia mi właśnie swoją płodność, a ja, gdybym był wolny, powinienem się z nią ożenić. Zwykle mnie to bawiło. Być może nie podchodziłem do tego wystarczająco poważnie. Ona snuła swoje fantazje, odgrywała je, a jeśli podobały się jej, wierzyła w nie.

– I wtedy umarła pańska żona.

– Tak. I wówczas to zaczęło stawać się trudne.

– Domyślam się.

– Wierzyła naprawdę, że się z nią ożeni. Wyjechałem, mając nadzieję, że znudzi ją wiejskie życie i że wróci do Londynu.

– Ale zamiast tego pojechała do pana.

– Nie pojechała do mnie. Być może zrobiłaby to, gdyby wiedziała, gdzie jestem, ale zadbałem o to, żeby nie wiedziała.

– Ale wyjechała i mówiło się, że...

– Mówiło się! Zbudowałaś coś przeciwko mnie na podstawie tego, co było mówione?

– Czy naprawdę uważa pan, że po tym, co o panu wiedziałam, musiałam brać pod uwagę opinie innych? Czy nie miałam własnych doświadczeń?

– Musisz zrozumieć, że zachowałem się w ten sposób tylko dlatego, że tak desperacko cię potrzebowałem. Wiem, że gdyby mi się udało, otworzyłbym przed tobą... przed nami, nowy sposób na życie. Przestań, Cordelio, być tą świętoszkowatą nauczycielką. Nie jesteś nią. To fasada, za którą się ukrywasz. Zawróciłam, ale trzymał ręką cugle mojego konia.

– Musisz mnie wysłuchać. Musisz spróbować mnie zrozumieć. Kocham cię. Pragnę cię. Proszę, żebyś za mnie wyszła.

– To najwyższy honor – powiedziałam z sarkazmem.

– Dla mnie tak – odparł szczerze. – Kocham cię, Cordelio. Kochałbym cię bez względu na to, co byś zrobiła. Gdybyś zamordowała pannę Hetherington i rzuciła jej ciało rybem w stawie, kochałbym cię w dalszym ciągu. To jest właśnie prawdziwa miłość.

– Ujmujące – zadrwiłam i poczułam śmieszny żal w stosunku do niego. Nie rozumiałam, dlaczego tak się dzieje. Wyglądał na takiego mocnego, bezwzględnego, aroganckiego. Reprezentował sobą wszystko, czego najbardziej nie lubiłam, a jednak kiedy opowiadał o swojej miłości do mnie, prawie wierzyłam, że mówił prawdę. Sprawiał wrażenie chłopca, który po omacku szukał w ciemności kogoś, kto by go kochał i rozumiał, tak jak nikt nigdy dotąd.

Powodując się impulsem, powiedziałam:

- Proszę mi powiedzieć, co pan wie o tym, co się dzieje z Marcia Martindale.
- Nie wiem niczego. Podejrzewam, że jest w Londynie z Jackiem Martindale’em.
- Jackiem Martindale’em! Czy on nie był jej mężem?
- W pewnym sensie.
- Zginął na Atlantyku.

Zaśmiała się.

– Słyszałaś więc tę wersję. Jest też taka, która mówi, że zginął w pojedynku, oczywiście broniąc honoru Marcii. Inna z kolei to jego śmierć w pożarze teatru, kiedy to uratował życie wielu, w tym i Marcii. Zdaje się, że wrócił po jej pieska. To ta wersja, która ma najbardziej poruszać.

- Chce pan powiedzieć, że to wszystko kłamstwa? Że jej mąż żyje?
- Tego nie twierdzę. Mówię tylko, że mogła wrócić do niego.
- Mówiła, że to zrobi? Czy nie było to raczej nagłe posunięcie?

– Jeśli chodzi o jej standardy postępowania, to nie. Posłuchaj mnie, Cordelio. Byłem lekkomyślny, pozwalając jej tu przyjechać. Ale znalazła się w kłopotach... bez pracy z powodu ciąży. Nie miała gdzie się podziać. „Gawronią Przystań” stała pusta, więc sprowadziłem ją tu. Byłem bardzo przygnębiony. Sylvia, moja żona, miała silne bóle. Prawie jej nie widywałem. Nie wierzyłem, żeby z Fiony był jakiś pożytek w posiadłości, tymczasem ja starzałem się... i prawdę mówiąc, byłem niezadowolony z tego, co mi życie zgotowało. W Londynie prowadziłem, jak byś to ty nazwała, szaleńcze życie, życie, które, jak sądziłem, było zabawne... tak więc pod wpływem impulsu sprowadziłem ją tutaj. To było nierozumne, ponieważ ona natychmiast zaczęła mnie włączać w swoje fantazje. Wtedy kiedy Sylvia przedawkowała lekarstwo, zostałem brutalnie przywołany do rzeczywistości... i właśnie w dniu jej pogrzebu zobaczyłem ciebie. Wiedziałem natychmiast, że mam przed sobą kogoś zupełnie innego niż wszyscy... kogoś, kto mnie podniecał nie tylko w sposób fizyczny, ale i pod każdym innym względem. Zacząłem snuć plany. Wydawało mi się, że oto pojawiła się dla mnie możliwość nowego startu w życiu. Wszystko inne było poza mną. Niestety, była ta cholerna kobieta w „Gawroniej Przystani”.

– Tak – powiedziałam. – Proszę mówić dalej.

– Rozumiesz? Akceptujesz to, co czuję do ciebie?

– Nie. Zdaję sobie tylko sprawę z tego, że było w pańskim życiu wiele kobiet i że pomyślał pan sobie, iż dodanie do tej listy mnie byłoby bardzo zabawne.

– Czy jesteś ze sobą szczerą, Cordelio? Masz kontrolę nad swoimi uczuciami, wiem, jak na dobrą nauczycielkę przystało.

– Chciałabym, żeby przestał pan szydzić z nauczycielek.

– Szydzić z nich? Jestem dla nich pełen podziwu. To najbardziej zaszczytna profesja. Widzę jednak inną przyszłość dla ciebie.

– To ja sama będę decydować o mojej przyszłości. Chciałabym jednak dowiedzieć się, co się stało z Marcia Martindale.

– Możesz być pewna, że pojechała do Londynu. Zaczynała być bardzo drobnomieszczańska. Wiele razy mówiła mi, żebym poszedł do diabła, sądzę więc, że miała swoje plany. Zorientowała się, że jej zgrabna fantazja ma się ku końcowi.

– A jednak poczuł się pan odpowiedzialny za jej dziecko... aczkolwiek wydawał się pan pewny, że nie jest ono pańskie.

– Sądzę, że jest możliwość, iż jest moje.

– Byłam w Bristonleigh i widziałam się z panią Gittings. Patrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Pomyślałam, że może dowiem się czegoś o zagadkowej sprawie, na której temat plotkuje się w mieście.

– I pomyśleć tylko, że zadałaś sobie tyle trudu! – uśmiechnął się. – I czego się dowiedziałaś?

– Tylko tego, że pojechała tam zgodnie z pana instrukcjami na kilka dni przed wyjazdem Marcii Martindale z „Gawroniej Przystani” oraz że wysłał ją pan tam, obiecując, że będzie pan dbał o Mirandę.

– I jakie wnioski wyciągnęłaś?

– Takie, że wiedział pan, że Marcia... zniknie, i zdecydował pan usunąć bezpiecznie dziecko z drogi.

– Ach tak, rozumiem. Wszystko już rozpracowałaś. Mój kochany, inteligentny, mały detektyw. Co mam teraz zrobić? Wyznać wszystko? Udusiłem ją... nie, uderzyłem ją w głowę tępym przedmiotem. Zakopałem jej ciało w ogrodzie... Nie, zaciągnąłem ją nad stawy i wrzuciłem tam.

Zwróciłam się do niego szczerze:

– Jej kolczyk został znaleziony nad stawami.

Patrzył na mnie.

– Tak – ciągnęłam – jej kolczyk. Wiedziałam, że był jej. To ten, który zgubiła u pana w stajni, widziałam go więc wcześniej. Może pamięta pan to wydarzenie.

Skinał głową.

– Dlaczego... jej kolczyk miałby tam się znaleźć?

– Dlatego, że ona tam była.

– Gdzie jest ten kolczyk?

– W stawie. Znalazła go Teresa Hurst. Pokazała mi go i potem wrzuciła do wody.

– Dlaczego to zrobiła?

– Dlatego że niepokoiła się... o mnie. Myślała, że pan i ja... Cóż, ona nie ma zbyt dobrej opinii o panu i ostrzegła mnie przed panem...

Zaśmiał się.

– Co za misternie splątana sieć. Lubię Teresę. Oczywiście nie powinienem lubić swoich wrogów, ale to dobra dziewczynka i inteligentna. Lubię ją dlatego, że jest tak oddana tobie.

– Być może rozumie pan, dlaczego nie chcę mieć z panem nic więcej do czynienia poza szkolnymi sprawami. Kiedy i jeśli się spotkamy, proszę nie wyróżniać mnie, poświęcając mi więcej uwagi niż pozostałym. Tyle należy mi się od pana.

W dalszym ciągu wyglądał na skonsternowanego. Powiedział:

– Odesłałem Mirandę, ponieważ po scenie, jaka się między nami rozegrała, zorientowałem się, że Marcia planowała coś. Sądziłem, że pojedzie do Londynu. Nie zabrałaby ze sobą pani Gittings. Wiedziałem, że należy zająć się dzieckiem.

Zawróciłam. Widziałam, że był zszokowany moimi rewelacjami o kolczyku.

Kiedy pogalopowałam, nie podążył za mną.

* * *

W szkole nie mówiło się o niczym innym, tylko o pokazie. Daisy przypominała, że zostało coraz mniej czasu. Zdecydowała się ostatecznie na noc świętojańską. Wieczór powinien być widny. Jeśli los będzie nam sprzyjać, księżyc będzie w pełni. Chciała zobaczyć, jakie przygotowania poczyniłyśmy.

Postanowiłam, że powinnyśmy przygotować komentarz odczytywany przez trzy lub cztery starsze uczennice, a tam, gdzie to byłoby możliwe, włączymy krótkie scenki. Napisałabym je, opierając się na dawnych materiałach. Rozpoczęłabym od momentu przybycia emisariusza z Clairvaux z poleceniem od świętego Bernarda, aby znaleźć miejsce na wybudowanie opactwa. Położonego w odosobnieniu, z dała od miast.

Dziewczęta, przebrane za mnichów, będą śpiewać modlitwy, krążąc wśród ruin, a komentarz będzie wyjaśniał, jak mnisi pracowali przy kolejnych zadaniach. Potem dojdziemy do czasów Wielkiego Rozłamu i zniszczenia.

W części drugiej zajmimy się czasami elżbietańskimi, kiedy kraj rozkwitał, i przy użyciu części kamieni z ruin opactwa został wybudowany Dwór, a bracia świeccy odrestaurowali swój zakon. Dziewczęta w kostiumach z epoki Tudorów będą śpiewać madrygały i tańczyć.

Akt trzeci będzie opowiadał o czasach obecnych, o tym, jakie są osiągnięcia dziewcząt, co robią w szkole: ich śpiewy, tańce, ćwiczenia gimnastyczne, a na zakończenie odśpiewana zostanie szkolna pieśń.

Daisy stwierdziła, że to wspaniały plan, a ja muszę przyznać, że szybko dałam się w te przygotowania wciągnąć. To był najlepszy sposób, żebym przestała myśleć o wątpliwościach i obawach, od których tak bardzo chciałam się odizolować, a co mi się nie udawało.

Daisy przysłała do kalefaktorium, kiedy zebrałyśmy się tam. Wyglądała na bardzo zadowoloną.

– We Dworze odbędzie się przyjęcie – powiedziała. – Zwykle miało to miejsce w tym okresie, chociaż od jakiegoś czasu zarzucono ten zwyczaj. Raczej nie przyjmowano gości, kiedy lady Verringer była taka chora. Teraz jednak minął rok od tamtego smutnego wydarzenia i skoro pani Martindale wyjechała, być może wszystko wróci do normy. Zdecydowałam, żeby zaprosić gości na przedstawienie. Rodzice lubią, kiedy odbywa się coś takiego. Zostanie tam zorganizowany wieczór muzyczny. Przybędzie jakiś znany pianista czy skrzypek. Jak za dawnych dobrych czasów. Sir Jason zaprosił cały zespół nauczycielski, co zaakceptowałam w imieniu wszystkich. Odbędzie się to wieczorem, po przedstawieniu. Naturalnie, cała szkoła nie może w tym uczestniczyć, ale będą obecne Fiona i Eugenia. Być może zaproszą one swoich gości, najbliższe koleżanki... dwie lub trzy każda z nich. Tak zdecydowaliśmy wspólnie z sir Jasonem. Sądzę, że będzie to niezwykle interesujący wieczór.

Byłam zawstydzona uczuciem podniecenia na myśl o tym. Ale tak jednak było.

Przygotowania trwały. Odbywały się przymiarki kostiumów, komentowane bezustannie. Dziewczęta paradowały w białych habitach cystersów i towarzyszyła temu spora porcja śmiechów. Habity wyglądały najbardziej efektownie na najwyższych dziewczętach.

Fiona i Charlotta miały być w chórze mnichów. Obydwie miały dobre głosy. Pan

Crowe chciał, żeby śpiewały także madrygały, ale Daisy powiedziała, że wszystkie dziewczęta muszą mieć szansę pokazania się.

– Nie chcemy, żeby tylko niektóre dziewczęta zbierały laury. Jeśli przedstawienie zostanie powtórzone na zakończenie semestru, rodzice będą chcieli zobaczyć swoje pociechy... proszę więc: niech każda z nich ma swój udział.

Urządziliśmy próby na zewnątrz i odgrywanie scenek pośród ruin robiło wielkie wrażenie. Być może, byłam w ogóle rozkochana w słowie mówionym, ale kiedy usłyszałam Gwendolinę Grey odczytującą swoim pięknym głosem przypadającą jej część tekstu, poczułam się głęboko poruszona i byłam pewna, że pokaz odniesie wielki sukces.

Pan Crowe był bardzo podekscytowany pieśniami, które miały być zaprezentowane, i z pokoju muzycznego ciągle dobiegały odgłosy ćwiczeń. Próby odbywały się bezustannie. Wszyscy żyli oczekiwaniem na wielki dzień.

Pogoda była na razie idealna i chociaż do pokazu pozostawały jeszcze jakieś trzy tygodnie, dziewczęta już z niepokojem wpatrywały się w niebo, przewidując pogodę. Jakby nie mogła się ona zmienić nawet na pół godziny wcześniej! To było wszakże elementem ogólnie panującego podniecenia.

W pierwszym tygodniu czerwca przeżyliśmy szok. Panna Barston była jedyną nauczycielką, mogącą jechać z dziewczętami w czasie przerwy na jazdę konną. Wyruszyły około drugiej po południu i miały wrócić na czwartą, na herbatę.

O czwartej jeszcze ich nie było. Dziewczęta były bardzo zaabsorbowane swoimi sprawami, dotyczącymi głównie przedstawienia, z pozostałymi z nas było podobnie. Nie zauważyliśmy nieobecności tamtych aż do czasu, kiedy jedna z młodszych dziewcząt zapytała, gdzie jest panna Barston, ponieważ zaraz po herbacie miała się do niej zgłosić.

– A gdzie są Fiona i Charlotta? – zapytał pan Crowe. – Chcę, żeby dziewczęta przećwiczyły chóralne pieśni mnichów.

Wtedy to odkryliśmy, że grupa jeździecka jeszcze nie wróciła.

Była czwarta trzydzieści.

W tym momencie do holu wpadła panna Barston. Była bardzo podminowana. Razem z nią przybiegło kilka dziewcząt.

Zapytałam:

– Co się stało?

– Zgubiłyśmy dziewczęta Verringerów i Charlotte Mackay.

– Zgubiłyście je?

– Nagle zorientowałyśmy się, że nie ma ich w grupie.

– Chce pani przez to powiedzieć, że... po prostu zniknęły?

– Nie wiem, czy któraś wie, gdzie one mogą być. Nie chcą powiedzieć.

Dyscyplina nigdy nie była mocną stroną panny Barston, zapytałam więc:

– Ktoś musiał je widzieć. Może któraś z was, dziewczęta?

– Nie, panno Grant – zabrzmiał zgodny chór. Podejrzywałam, że nie wszystkie mówiły prawdę.

– Jeśli te dziewczęta oddaliły się celowo, zostaną ukarane – powiedziałam. – Wiedzą doskonale, że nie wolno im odłączać się od grupy. Jesteście pewne, że żadna z was nie widziała, jak odjeżdżały?

W dalszym ciągu nie otrzymywałam odpowiedzi. Oczywiście, punktem honoru było nie mówić za dużo, a miałam prawie pewność, że to jedna z tych okazji, kiedy ta zasada była przestrzegana.

Oświadczyłam:

– Wszystkie trzy są razem. Nic im się nie stanie.

– Chyba powinnam zawiadomić o tym pannę Hetherington – powiedziała panna Barston.

Nie można jednak było znaleźć Daisy i o zniknięciu dziewcząt nie została powiadomiona. Była chyba piąta, kiedy nadjechały.

Razem z panną Barston poszłyśmy do stajni.

– Dziewczęta... dziewczęta... – powiedziała histerycznie. – Gdzie byliście?

To Charlotta zabrała głos.

– Pojechaliśmy do lasu. Chciałyśmy sprawdzić, czy są jeszcze dzwonki.

– Nie wolno wam było odłączać się od grupy – powiedziałam.

– Tak, panno Grant – odparła arogancko Charlotta.

– Ale zrobiłyście to – odparowałam.

– Bardzo chciałyśmy zobaczyć dzwonki i zapomnialiśmy o wszystkim – powiedziała Fiona przeproszającym tonem.

Zauważyłam w jej zachowaniu coś dziwnego. Była zaróżowiona. Należała do najładniejszych dziewcząt w szkole, ale w tej chwili wyglądała po prostu pięknie. Nie była jednak ani trochę skruszona. Wydawało się to dziwne, ponieważ była dziewczynką, która zostawiona sama sobie nie lubiła drastycznych sytuacji.

– Zrobiłyście bardzo źle – powiedziała panna Barston.

– Postąpiłyście lekkomyślnie i nieładnie – dodałam. Wycofałam się. Była to sprawa panny Barston i nie chciałam, żeby wyglądało, że przejmuję jej obowiązki.

Panna Barston, jak sądzę, nie zgłosiła tego zajścia pannie Hetherington, ponieważ nie słyszałam o tym więcej, i puściłam to w zapomnienie aż do momentu, kiedy nabrało to specjalnego znaczenia.

* * *

Nadszedł wielki dzień. Przez tydzień było gorąco i sucho. Wyglądało na to, że taka pogoda utrzyma się jeszcze kilka dni. Dokładnie tego potrzebowałyśmy. Miałyśmy wielkie nadzieje. Próby zostały zakończone i wszyscy aktorzy powinni już znać swoje zadania. Wszędzie panował nastrój intensywnego podniecenia. Panna Barston robiła ostatnie poprawki kostiumów. Ze Dworu przysłano nam kilka kostiumów elżbietańskich. Mieli tam małą kolekcję tych strojów i teraz należało tylko znaleźć dziewczęta, na które byłyby one dobre. Panna Barston jednak stworzyła też własne kostiumy i były one całkiem ciekawe.

Rano przygotowałyśmy siedzenia dla publiczności. Na szczęście ruiny tworzyły naturalną scenę. W przedniej części nawy była duża pusta przestrzeń, stanowiąca rodzaj pokrytego trawą czworokąta. Na jego prawym boku od nawy znajdował się Dom Zgromadzenia Braci Świeckich i ich Bursa, potem z kolei była pusta przestrzeń granicząca z pomieszczeniami gościnnymi i izbą chorych od jednej strony a stajniami dopełniającymi bok kwadratu z drugiej.

Z tego zapewniającego perspektywiczny widok punktu rozciągał się wspaniały widok na zrujnowany kościół, centralną wieżę w stylu normandzkim i północny transept. Poprzez ściany murów zewnętrznych można było dostrzec otwarty krajobraz wiejski ze stawami i rzeką w tle.

Jason przyszedł rano. Liczyłam siedzenia wystawione na zewnątrz, kiedy nadszedł od strony stajni, gdzie zostawił swojego konia.

– Cordelia! – powiedział. – Ale mam szczęście!

Chciałam odejść i zostawić go tam, ale staliśmy w bardzo wyeksponowanym miejscu, a nie byłam pewna, kto mógł nas widzieć. Musiałam próbować zachowywać się tak, jakby między nami nigdy nie zaszło nic, co by wybiegało poza zwykłe kontakty towarzyskie.

– Sądzę, sir Jasonie, że przyszedł pan, aby zobaczyć się z panną Hetherington w sprawie dzisiejszego wieczoru.

– Jeśli przyjeżdżam tutaj, to tylko po to, żeby zobaczyć się z tobą.

– Jak zrozumiałam, przyprowadza pan gości na dzisiejszy wieczór. Chciałybyśmy wiedzieć ilu.

– Będę wypatrywał tylko ciebie i żyję oczekiwaniem od czasu, kiedy droga Daisy zaprosiła mnie i moich gości.

– Szczególnie mile widziani będą rodzice z dziećmi w wieku szkolnym.

– Jest kilkoro takich i postaram się zrobić, co w mojej mocy, żeby dzisiejszego wieczoru jak najlepiej przysłużyć się Daisy. Przede wszystkim jednak mam nadzieję być z tobą.

– Muszę tu być naturalnie, ale...

– Mogą zdarzyć się sprzyjające momenty. Czyż nie byłoby to dramatyczne, gdybyśmy dzisiejszego wieczoru zadeklarowali swoje intencje? Co powiedziałaabyś na to, gdybym stanął tam, pośród mnichów, i powiedział im wszystkim, że teraz szkoła i Dwór będą związane bardziej niż kiedykolwiek, ponieważ ich własna nauczycielka, panna Grant, zostanie moją żoną.

– Doprawdy pełne dramatyizmu! A także śmiesznie absurdalne. Pożegnaj pana. Mam jeszcze wiele pracy, a oto panna Hetherington. Sir Jason przyjechał, by się upewnić, że pomieścimy gości, których przyprowadzi.

– Z pewnością – potwierdziła ciepło Daisy. – Czy to nie piękny dzień? A dzisiaj będzie pełnia księżyca. Wolałabym, żebyśmy nie musieli zaczynać tak późno. Nie lubię, kiedy młodsze dziewczęta idą spać nie o swojej porze.

– Raz można zrobić wyjątek – powiedział sir Jason.

– Sądzę, że tak. Czy wszystko przebiega zgodnie z planem, panno Grant?

– Myślę, że tak. Wczoraj na próbach były jedno czy dwa potknięcia.

– To tak jak w profesjonalnych przedstawieniach – wtrącił Jason. – Mówi się, że jeśli próba generalna przebiegnie bezproblemowo, to premiera nie będzie udana.

Daisy zaśmiała się krótko.

– Trudno porównywać nasze przedsięwzięcie do profesjonalnych przedstawień, sir Jasonie. Mam jednak nadzieję, że zabawimy pańskich gości i że spędzą ten wieczór w niecodzienny sposób.

– Będą się świetnie bawić.

– A jutro przyjeżdża pana pianista z Londynu.

– Tak. Będzie dla nas grał Serge Polenski. Mam nadzieję, że pani i wszystkie nauczycielki dołączycie do nas. Po koncercie będzie kolacja, bufet z zimnymi przekąskami... a potem tańce.

– Jestem przekonana, że wszyscy z wielką przyjemnością zaakceptują pańskie zaproszenie. Jedna lub dwie panie będą musiały oczywiście zostać ze względu na dziewczęta. Pamiętam takie wieczory z dawnych czasów. Zwykle sprowadzano jakiegoś znanego muzyka, aby zabawił towarzystwo.

– To tradycja podtrzymywana od czasów, kiedy mieliśmy skrzypka, grającego na galerii.

– Tak, Verringerowie zawsze byli patronami muzyki.
– Robiliśmy, co w naszej mocy, chociaż nam samym nigdy nie udało się wyprodukować geniusza.

– Fiona bardzo ładnie śpiewa, a Eugenia jest utalentowaną rysowniczką. Panna Eccles twierdzi, że jest w tym bardzo dobra. Chodźmy do mojego gabinetu, sir Jasonie. Tam przedyskutujemy sprawę rozsadzenia gości. Panno Grant, panna Barston prosi panią do siebie. Jest jakieś zamieszanie z mnisimi habitami. Zdaje się, że czegoś brakuje.

Było to zawołane polecenie odejścia, powiedziałam więc:

– Pójdę do niej natychmiast.

Jason rzucił mi pełne żalu spojrzenie, a ja odeszłam, zostawiając ich. Pannę Barston zastałam bardzo zaniepokojoną.

– Zginął jeden habit.

– Musi gdzieś być.

– Szukałam go. Pytałam dziewczęta. Nikt nic o nim nie wie.

– Miała ich pani dwanaście, prawda?

– Tak, a teraz jest tylko jedenaście. Proszę policzyć.

Miała rację. Było ich jedenaście.

– Nie wiem, co zrobimy. Będzie tylko jedenastu mnichów. Na tak krótko przed przedstawieniem...

– Musi gdzieś być – powiedziałam. – Nie mógł po prostu zniknąć.

– Ale zniknął, panno Grant. Nie potrafię tego zrozumieć.

– Sądzi pani, że ktoś się zabawia w ten sposób?

– Zabawia się! Tuż przed przedstawieniem. Jeśli go nie znajdę, będzie tylko jedenastu mnichów.

– Nie sprawi to wielkiej różnicy.

– Oznacza to, że jedna z dziewcząt będzie musiała zrezygnować z roli. Która? Oczywiście Janet Mills, ma ona niezbyt dobry głos... Wybrałam ją tylko dlatego, że jest wysoka, a kostiumy są duże.

– Lepiej znajdziemy ten habit.

– Panno Grant, jeśli przyjdzie pani na myśl jakieś miejsce, gdzie można by go poszukać, proszę mi powiedzieć. Ja zrobiłam już wszystko.

– Jeśli go nie znajdziemy, będzie musiało ich być jedenastu. Trzeba to zaakceptować.

– Boże, to takie frustrujące.

– Podejrzewam, że odnajdzie się dzisiaj w ciągu dnia.

Pozostawiłam pannę Barston jej frustracjom i zajęłam się swoimi obowiązkami.

Później w ciągu dnia Daisy wezwała mnie do swojego gabinetu, żeby przedyskutować jeszcze sprawy organizacyjne.

– Chodzi o wieczór we Dworze. Fiona i Eugenia mogą wybrać koleżanki, które chcą zabrać ze sobą. Panna Barston i panna Parker zostaną w szkole. One i tak nie przepadają za kontaktami towarzyskimi. W dalszym ciągu krążą nieprzyjemne plotki, Cordelio. Bardzo niefortunna jest sprawa zniknięcia tej damy. Wiem, że nie ma potrzeby, aby ci przypominać o tym, byś zachowała szczególną ostrożność w kontaktach z sir Jasonem.

– Rozumiem.

– Szkoda, że cieszy się taką reputacją. Solidny, starszy dziedzic byłby o wiele lepszy dla szkoły. Wydaje się, że teraz nie jesteś tak przyjazna w stosunku do niego. Cieszy mnie to. Muszę przyznać, że miałam złe przeczucia. Ta sprawa ze zbiciem szyby przez ciebie.

– Przykro mi, panno Hetherington.

Machnęła ręką. Nie chciała słyszeć żadnych niemiłych rewelacji. Jedyne, czego pragnęła, *to* żeby wszystko przebiegło gładko i w sposób możliwie najkorzystniejszy dla szkoły.

– Obiecuję, panno Hetherington, że jeśli będzie to ode mnie zależało, nie zdarzy się nic, co mogłoby panią zaniepokoić.

* * *

Miałyśmy szczęście. Pogoda utrzymała się. Wydawało się, że wszystko przebiega bez problemów i to, co byłoby zwyczajnym, amatorskim przedstawieniem, wśród ruin i w świetle księżyca nabrało specjalnego wyrazu.

Głosy dziewcząt brzmiały świeżo i niewinnie w nocnym powietrzu. Przywoływały scenę budowania, powstawania Abbey i ogarniające wszystko zniszczenia. Zerwanie króla z Rzymem, jego potrzeby finansowe, nęcące bogactwo opactwa i potem Wielki Rozłam.

Rozejrzałam się po widowni, robiącej duże wrażenie. Damy ze Dworu w swoich połyskliwych sukniach, mężczyźni w powadze czerni i bieli, a wśród nich – pomyślałam – Jason, wyglądający bardziej dystyngowanie niż którykolwiek z nich. I nasze nauczycielki w sukniach przygotowanych specjalnie na tę okazję. Być może ich stroje wydawały się mniej wspaniałe niż te, które zdobiły panie ze Dworu, ale były nie mniej czarujące. A w środku pierwszego rzędu siedziała Daisy w sukni z jasnoszarej satyny, w złotym naszyjniku wokół szyi i z małym zegarkiem z perełkami przypiętym do staniczka. Wyglądała imponująco i w pełni kontrolowała sytuację. Po jej prawej stronie siedział Jason, a po lewej lady Sowerby (miała ona dwie córki, które dorastały do wieku, kiedy Akademia będzie dla nich najlepszym miejscem).

Na trawie siedziały po turecku młodsze dziewczęta. Nie było wystarczającej dla wszystkich liczby krzeseł, a tak czy inaczej dziewczęta mogły z tych miejsc widzieć więcej, były zaś na tyle młode, żeby nie mieć nic przeciwko niewygodzie. Poruszył mnie widok ich zapatrzonych twarzy, kiedy słuchały opowieści o początkach klasztoru. Widziałam, jak wstrzymały oddech, kiedy mnisi nadeszli od strony zrujnowanej nawy.

Obserwowałam, jak wolno kroczyli poprzez ruiny, i nagle przypomniałam sobie dramatyczne zaginięcie habitu. Policzyłam. Dwanaście. Panna Barston musiała więc odnaleźć ten brakujący.

To była scena robiąca rzeczywiście duże wrażenie. Miała w sobie tyle realizmu, że wydawało się, iż przeszłość rzeczywiście odżyła. Zapominało się, że otaczały nas ruiny. Opactwo znowu tętniło życiem, a to byli jego mieszkańcy idący na odprawianie modłów. Nawet najbardziej zblazowani z gości Jasona byli poruszeni, a brawa po pierwszym akcie były ogromne.

Potem nastąpiła scena w stylu elżbietańskim z panem Crowe grającym na lutni oraz dziewczętami tańczącymi tańce Tudorów i śpiewającymi madrygały. Głos w tle opowiadał o tamtych czasach jako o wieku odnowy. O tym, jak zostało zbudowane Manor House, a część kamieni z Abbey została użyta do jego budowy. Tak więc Dwór i Abbey były powiązane, jak to się działo poprzez stulecia i co potwierdzał ten wieczór.

Odezwały się jeszcze większe brawa.

W końcu nadeszła scena finałowa. Rekonstrukcja Domu Zgromadzenia Braci Świeckich i ich dormitorium oraz ufundowanie Akademii. Z kolei odtańczono taniec „Sir Roger de Coverley i Jenny Plack Pears”, w którym brały udział te dziewczęta, które nie

grały ról mnichów czy elżbietańskich dworzan.

W trakcie tańczenia „Sir Rogera” zauważyłam Janet Mills siedzącą na trawie. Patrzyłam na nią. Mnisi przecież byli ciągle w swoich habitach, oczekując na wyjście na zakończenie i ukłonienie się publiczności. Musiałam się pomylić. Tak nagle nie znalazłby się nikt, kto mógłby zająć miejsce Janet. Została wykluczona tylko dlatego, że nie było dla niej kostiumu. Musiałam źle policzyć. Musiało ich być tylko jedenastu.

Szkolna pieśń dobiegła końca. Rozbrzmiały oklaski. Wszyscy wykonawcy wyszli, żeby się uklonić. Najpierw elżbietanie, ośmiu, po czym mnisi nadeszli od strony nawy, modląc się, tak jak to robili w trakcie przedstawienia. Doszli na pokrytą trawą przestrzeń sceny i stali przed nami. Policzyłam ich. Jedenastu. Dziwne! W czasie przedstawienia doliczyłam się dwunastu. Musiało mi się przywidzieć.

Przedstawienie niewątpliwie odniosło sukces. Podano wino i lekkie przekąski, a goście spacerowali wśród ruin razem z mnichami i elżbietanami, bardzo podnieconymi sukcesem sprzed chwili i deklarującymi, że takiego wieczoru nigdy jeszcze nie przeżyli.

Usłyszałam, jak jedna z obwieszonych biżuterią dam zapewniała, że wszystko to było wspaniałe i absolutnie urocze. Nigdy nie widziała czegoś podobnego, a Jason był po prostu aniołem, że zorganizował tak zachwycającą niespodziankę.

Daisy była w swoim żywiole. Wieczór stał się większym sukcesem, niż się spodziewała. Była też zachwycona gośćmi i pewna, że zaowocuje to dodatkowym naborem uczennic. Jason zadbał o to, żeby zaprosić kilku znaczących rodziców, i widoczne było, że są oni zachwyceni tym, co się odbywało.

Daisy podeszła do mnie, żeby mi pogratulować części opisowych.

– Były takie poruszające – powiedziała. – Takie inspirujące. – Promieniowała zadowoleniem. – Chciałabym, żeby dziewczęta wkrótce wróciły do budynku – ciągnęła. – Nie podoba mi się, że biegają wśród gości. Nigdy nic nie wiadomo. Są w tak trudnym wieku... niektóre z nich. Sądzę, że dobrze by było, gdybyś ty i jeszcze któraś z pań zwołały je i powiedziały, że chcą, aby spokojnie poszły do swoich pokoi. Nie mam wątpliwości i jestem pewna, że będą oglądać wszystko przez okna, ale musimy przymknąć na to oko. Młodsze już wysłałam do łóżek. Teraz chodzi mi o to, żeby grające mnichów i elżbietanów znalazły się w środku.

– Zrobię, co się da.

Znalazłam trzy elżbietanki, które odeszły posłusznie. Mnichami były starsze dziewczęta i nie było łatwo je odnaleźć. Widziałam, że dwie z nich rozmawiały z gośćmi ze Dworu, i zdecydowałam zostawić je jeszcze na jakiś czas. Wtedy zobaczyłam, że jedna z grających mnichów idzie sama w kierunku nawy. Ruszyłam za nią, ale jak tylko znalazła się w miejscu, skąd goście jej nie widzieli, zaczęła biec. Zmierzała w kierunku świątyni i kaplicy z pięcioma ołtarzami.

Przyspieszyłam kroku. Ona teraz stąpała ostrożnie po kamiennych alejkach. Weszła do kaplicy i jak tylko się tam znalazła, na jej spotkanie wyszła wysoka postać w habitcie.

Zawołałam:

– Wy dwie. Macie iść do swoich sypialni. To polecenie panny Hetherington.

Przez kilka sekund postaci stały jak sparaliżowane. Znieruchomiały tak, że można by je wziąć za część kamiennych elementów znajdujących się wokół. Nagle wyższa z nich chwyciła niższą za rękę i pociągnęła ją. Kaplica nie miała ścian i ich droga odwrotu nie musiała wypadać obok mnie; wystarczyło tylko wybrać wśród kamieni odpowiadającą im trasę.

– Chodźcie tutaj – krzyczałam.

Ale postaci uciekały, jakby była to sprawa życia lub śmierci. Kaptur jednej z nich zsunął się z głowy i odsłonił płowe włosy Fiony Verringer.

– Fiona – wołałam. – Wracaj. Wracajcie obydwie.

W dalszym ciągu biegły. Uciekały do pomieszczeń kuchennych, a przypuszczałam, że tunele były już bardzo blisko.

Westchnęłam. Fiona zmieniała się. Zawsze była spokojną, dobrą dziewczynką. Czy możliwe, że to Charlotta Mackay była z nią? Wyglądało, że był to ktoś jeszcze wyższy, chociaż Charlotta była wysoka i mogła stać trochę wyżej.

Wróciłam do towarzystwa, żeby odnaleźć pozostałe aktorki przedstawienia i odesłać je do łóżek.

Było już po północy, kiedy goście zaczęli się rozchodzić. Współorganizatorzy imprezy zegnali ich, stojąc w pobliżu panny Hetherington, przyjmując podziękowania i gratulacje. Potem powozy odwiozły gości do Dworu.

Przed pójściem do łóżka musiałam zrobić obchód podległych mi sypialni. Kiedy weszłam do pokoju Fiony, przypomniałam sobie, że uciekła, kiedy ją wołałam... ona i jeszcze któraś.

Leżała w łóżku, udając, że śpi. Jej złociste włosy rozsypywały się po poduszce. Wyglądała niewinnie.

– Spisz? – zapytałam. Fiona nie odezwała się. Odpowiedziała mi Eugenia:

– Ja nie śpię, ale Fiona śpi. Była bardzo zmęczona. Oczywiście mogłam ją obudzić i udzielić jej nagany, ale zdecydowałam, że porozmawiam z nią rano. To było rzeczywiście przewrotne z jej strony uciec w taki sposób.

Wszystkie były w łóżkach. Większość z nich nie spała. Szeptaly o minionym wieczorze.

Czegóż innego można się było spodziewać po takich przeżyciach?

* * *

Następnego dnia wszyscy mówili o zaproszeniu do Dworu. Mademoiselle miała piękną suknię balową, pochodzącą z Paryża, jak mówiła.

– W tym nie uda nam się dotrzymać jej kroku – rzekła Eileen Eccles. – Plymouth jest dla mnie najbliższe wielkiej modzie.

– Powinnyśmy być wcześniej uprzedzone o przyjęciu – powiedziała Fraulein.

– Zaproszenie, które pojawia się niespodziewanie, jest bardziej ekscytujące – odparła mademoiselle.

Panna Parker i panna Barston czuły wielką ulgę, że zostały wybrane, aby zostać w szkole. Wszyscy byli więc zadowoleni.

Zastanawiałam się, co mam założyć. Ciotka Patty doradziła mi, żebym zabrała suknię wieczorową. Powiedziała, że zawsze może wypaść jakaś nietypowa funkcja i nigdy nie wiadomo, co może się przydać.

– Jedna stonowana i jedna olśniewająca, moja droga. Stosując taką zasadę, nie możesz wyjść na tym źle.

Zdecydowałam, że nie mam ochoty, żeby wyglądać niepozornie. Wybrałam więc tę olśniewającą. Była ona dosyć głęboko wycięta i miała niezwykle niebieskawozielony kolor. Zrobiona była z szyfonu i miała bardzo dopasowany, plisowany staniczek, a jej spódniczka pięknie fałdowała się od pasa w dół.

– Ta suknia ma w sobie wiele prostoty – powiedziała ciotka Patty – jednocześnie jest

na tyle dziwna, że robi wrażenie. Będiesz w niej królową balu, bez względu na okoliczności.

To bardzo podtrzymująca uwaga w chwili, kiedy miałam znaleźć się wśród bogaczy.

Moją suknię zaakceptowali wszyscy w kalefaktorium, a nawet i Daisy, sama jaśniejąca fiołkowo różowym aksamitem, pogratulowała mi dobrego gustu.

Część z nas do Dworu zawoził Emmet, a po resztę sir Jason przysyłał powóz. Być może wyjazd będzie się musiał odbyć w dwóch turach, ponieważ nie wydawało się możliwe, abyśmy mogły pomieścić się w dwóch powozach.

Fiona i Eugenia pojechały już po południu, gdyż zdaniem Daisy, był to ich dom i po części sprawowały funkcje gospodyń. Będzie to dla nich dobra praktyka na przyszłość. Ja miałam jechać z Emmetem i innymi nauczycielkami.

Na godzinę przed przyjazdem Emmeta, kiedy dopracowywałam ostatnie elementy swojego wyglądu, przyszła Elsa. Rzuciła mi ten konspiracyjny uśmiech, którym zawsze mnie obdarowywała, a który, jak sądzę, miał mi przypominać o naszych wspólnych dniach w Schaffenbrucken.

– Wygląda pani ładnie – powiedziała. – Mam to dla pani.

Wręczyła mi list.

– O tej porze? – zapytałam zdziwiona.

– Poczta była o normalnej porze, ale w tym zamieszaniu została zapomniana. Ja tylko roznoszę listy.

Powiedziałam:

– Dzisiaj wszystko jest wywrócone do góry nogami.

Wzięłam list, a ona wcale nie zamierzała wychodzić. W stosunku do kogokolwiek innego rzuciłabym chłodną zachętę do wyjścia. Z Elsą jednak było inaczej. Zawsze tak było. To wina wspomnień z przeszłości.

– Mam nadzieję, że będzie się pani dzisiaj dobrze bawić. Wyglądało to niemalże tak, jakby czekała, aż otworzę list. Odłożyłam go i odwróciłam się do lustra.

– Cóż... życzę miłej zabawy...

Jak tylko wyszła, wzięłam do ręki kopertę. Spojrzałam na nią nieufnie, ponieważ moje nazwisko i adres napisane były dużymi drukowanymi literami. Znaczek był z Colby. Kto mógł do mnie stamtąd pisać? Otworzyłam kopertę. W środku była pojedyncza kartka papieru, zapisana tym samym rodzajem pisma. Słowa były w oczy i uderzyły we mnie jak cios.

GDZIE JEST PANI MARTINDALE?

NIE MYŚL, ŻE MORDERSTWO UJDZIE CI PŁAZEM.

JESTEŚ OBSERWOWANA.

Wydawało mi się, że śnię. Oglądałam kartkę ze wszystkich stron. Zwykły kawałek papieru. Spojrzałam na charakter pisma. Każdy mógł to zrobić. Z pewnością zostało to tak napisane, aby ukryć charakter pisma. Ponownie spojrzałam na kopertę. To samo pismo. Znaczek z Colby. Co to oznacza? Jakaś niktoczna osoba sugerowała, że albo zabiłam Marcie Martindale, albo miałam w tym swój udział.

Jak mogli? Jakim motywem miałabym się kierować? Oczywiście... pomimo mojego postanowienia, żeby zachować rezerwę, zaczynałam być w to zamieszana. Uganianie się Jasona za mną nie było wcale dyskretne i ludzie odnotowali to. Czułam zamęt w głowie. Osoba, która napisała ten list, była przekonana, że Marcia Martindale była moją rywalką

i że obydwie chciałyśmy poślubić Jasona Verringera.

„Jesteś obserwowana”. Co za przerażające, okropne słowa.

Spojrzałam przez ramię. Nawet w moim własnym pokoju prawie czułam wpatrujące się we mnie oczy.

Przeczytałam kartkę ponownie i jeszcze raz.

Miałam zepsuty wieczór. Byłam wciągana coraz głębiej i głębiej w ten wir oszustw i niedomówień. Gdzie była Marcia Martindale? Gdyby tylko wróciła, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. Tylko to mogło powstrzymać plotki.

Znowu spojrzałam na kartkę. Mogła to napisać pani Baddicombe? Nie. Ona by się z pewnością nie posunęła aż do tego. Ona była specjalistką w „plotkach zza lady”. Nie należała do piszących anonimowe listy. A kto był właśnie takim człowiekiem? Tego nigdy nie można być pewnym. To leżało u podstaw takiego wstrętnego sposobu postępowania. Nigdy nie można mieć pewności.

Wcisnęłam list w staniczek sukni. Słyszałam odgłosy zamieszania dobiegające z dołu. Powozy już czekały.

Drogę do Dworu przejechałam, nie zdając sobie z tego specjalnie sprawy.

– Marzysz – powiedziała Eileen Eccles – o czekających przyjemnościach?

Wyrwałam się z zamyślenia i spróbowałam się uśmiechnąć.

Jason witał swoich gości. Ujął moją dłoń i pocałował ją. Nie było w tym nic niezwykłego, ponieważ wydawało się, że była to jego maniera witania większości dam.

– Cordelio – szepnął. – Cudownie gościć cię tutaj.

Miałam ochotę zakrzyknąć: „Dostałam list... okropny... okropny list i wszystko to z twojej winy”.

W rzeczywistości nie powiedziałam nic i usłyszałam, że jestem przedstawiana dżentelmenowi, którego nazwiska w oszołomieniu nawet nie wychwycałam. Wiele mówiło się o przedstawieniu z poprzedniego wieczoru i o znakomitości jego wykonania.

– Z tego, co mówił Jason, zrozumiałam, że to pani, panno Grant, była za nie odpowiedzialna – powiedziała młoda kobieta. – Musi pani być bardzo zdolną osobą.

Przyjęłam słowa uznania, a dżentelmen, którego nazwiska nie zapamiętałam, powiedział, że największe wrażenie robił moment, kiedy nagle wśród ruin ukazali się mnisi, śpiewając psalmy.

– Poczułam *frisson* – oświadczyła kobieta.

– Sądzę, że takie było zamierzenie – odparł mężczyzna. – Tak czy inaczej, wskrzesiliście ducha tamtych czasów.

– Naprawdę czuło się gęsią skórę. Proszę spojrzeć, przyjechał Serge Polenski. Mówią, że jest największym pianistą naszych czasów.

– To dlatego Jason go zaprosił. Bierze Londyn szturmem, a podobno właśnie wrócił z Paryża, gdzie odniósł wielki sukces.

– Jest dosyć niskim mężczyzną. Wyobrażałam sobie, że jest wyższy. Ale może wygląda tak niepozornie przy Jasonie.

– Kiedy rozpocznie się koncert? – zapytałam, czując, że powinnam coś powiedzieć.

– Sądzę, że już wkrótce. Jason zabiera go właśnie do pokoju muzycznego. Możemy pójść za nimi.

Przeszliśmy razem do mniejszego pokoju, gdzie na podium stało pianino koncertowe. Pokój był udekorowany na białą i purpurową, a na marmurowym cokole stała waza pełna czerwonych róż. Ich zapach wypełniał pokój. Okna były otwarte szeroko na zalane blaskiem księżyca trawniki. Dostrzegłam fontannę i klomby z kwiatami, a w oddali

widać było kępy krzewów. Była to sceneria pełna całkowitego wyciszenia, co stanowiło wyraźne przeciwieństwo w stosunku do stanu mojego umysłu.

Zauważyłam grupkę naszych dziewcząt stojących razem. Było ich osiem. Fiona i Eugenia mogły zaprosić każda po trzy koleżanki. Widziałam Charlotte Mackay, Patrycję Cartwright i Gwendolinę Grey.

Teresa powiedziała mi, że nie została zaproszona i że się tym nie przejmuje.

Charlotta podniosła wzrok i uśmiechnęła się do mnie. To samo zrobiły pozostałe dziewczęta.

Podeszłam do nich i powiedziałam:

– To będzie wspaniałe.

– O tak, panno Grant. Czekamy z niecierpliwością – powiedziała Gwendolina, która marzyła o tym, żeby zostać profesjonalną pianistką, a do którego to marzenia pan Crowe podchodził z niejakim sceptycyzmem.

– Będziesz mogła zobaczyć, jak powinno się to robić.

– Tak, panno Grant.

Wróciłam na swoje miejsce.

Koncert był rzeczywiście wspaniały i słuchając Serge'a Polenskiego grającego Chopina i Schumanna, na kilka chwil zapomniałam o przerażających podtekstach tego okropnego listu.

Skończyło się to zbyt szybko. Muzyk kłaniał się oklaskiwany entuzjastycznie, a Jason dziękował mu i wyprowadził go z pokoju.

Rozbrzmiały rozmowy, a wszyscy mówili: „Jak cudownie!” Zaczęliśmy się kierować ku sali balowej. W dalszym ciągu byłam w towarzystwie nieznannej mi damy i dżentelmena, a dołączył do nas jeszcze kolejny mężczyzna. Mówił on ze znanstwem o wspaniałym wykonaniu Serge'a Polenskiego. Usiedliśmy w pobliżu donic z palmami. Rośliny ze szklarni zostały przyniesione do pokoi i jako że rosły bujnie, ponieważ pora roku sprzyjała temu, robiły tu wielkie wrażenie. Wśród gości krążyli służący w niebieskozłotych liberiach, a większość z nich zniknęła co chwila w drzwiach prowadzących, jak sądziłam, do sali, gdzie miano podać kolację.

Nie widziałam Jasona i podejrzewałam, że w dalszym ciągu dotrzymywał towarzystwa pianiście. Z galerii rozległa się muzyka i jeden z towarzyszących nam panów poprosił mnie do tańca.

Rozmawialiśmy, tańcząc. Pochodził z Kornwalii.

– To jakieś piętnaście mil stąd. Tuż poza granicą. Przyjechałem tu z bratem. Dawniej często bywaliśmy w Colby. Oczywiście, nie było to takie proste w czasie ostatnich lat życia biednej Sylvii Verringer. Była tak bardzo chora.

– Tak – powiedziałam.

– To nie było łatwe dla Jasona. Może teraz... Minął już rok, odkąd Sylvia odeszła. Biedna dusza.

Chciałam powiedzieć Jasonowi o liście. Chciałam, żeby wiedział, jaką krzywdę mi wyrządza swoimi pochopnymi postępami. Już niemalże zbliżała się pora kolacji, kiedy znalazł się w pobliżu mnie.

– Cordelio – powiedział. – Jak miło gościć cię tutaj. Przez cały wieczór próbuję dotrzeć do ciebie. Zatańczmy.

Grali kolejnego walca. W Schaffenbrucken kładziono wielki nacisk na naukę tańca i byłam w tej dziedzinie naprawdę dobra.

Powiedział:

- Co sądzisz o Dworze?
- Jest bardzo okazały. Już go wcześniej widziałam.
- Nie tak dokładnie, jak powinnaś. Chcę cię oprowadzić po nim. Nie dzisiaj, ale przyjedź jutro.
- Dostałam list – rzuciłam.
- List?
- Jest przerażający. Oskarża mnie... – O co?
- O zamordowanie Marcii Martindale.
- Dobry Boże! To musi być sprawka jakiegoś szaleńca. Dlaczego... dlaczego oskarża ciebie?
- Czy to nie oczywiste? Ludzie uważają, że była moją rywalką. To takie potwornie podle.
- Masz ten list?
- Tak. Przyniosłam go ze sobą.
- Domyślasz się, kto mógł go wysłać?
- Nie. Jest napisany drukowanymi literami.
- Chcę go zobaczyć. – Poprowadził mnie w tańcu tak, że znaleźliśmy się w małym pokoiku, gdzie byliśmy częściowo osłonięci od sali balowej przez donice z roślinami.
- Przeczytał list.
- Nikczemne – powiedział.
- Zastanawiałam się, czy mogła go napisać listonoszka. Czasami mówi skandaliczne rzeczy.
- Takimi literami mógł napisać go każdy. Najwyraźniej miało to na celu ukrycie charakteru pisma. A może to dziewczynka, która znalazła kolczyk?
- Teresa? Nigdy nie zrobiłaby czegoś, co mogłoby mnie zdenerwować. Uważa się za moją obrończynię.
- Ale mimo wszystko miewa różne pomysły.
- Tylko dlatego, że boi się o mnie. Nigdy celowo nie sprawiłaby mi przykrości.
- Dziewczęta potrafią zachowywać się dziwnie. Najwyraźniej mówi się o tobie i o mnie. Najlepszą metodą powstrzymania tych plotek byłoby ogłoszenie naszych zaręczyn.
- Zaręczyny nie powstrzymają skandali. Najlepszą metodą, aby to zrobić, jest zaprezentowanie Marcii Martindale.
- Za nami rozległo się dyskretne kasznięcie. Odwróciłam się szybko. Za nami stała Charlotta Mackay.
- Charlotto – zawołałam.
- Szukam pani lub którejś z nauczycielek, panno Grant. – Z odrobiną rozbawienia w wyrazie twarzy przenosiła wzrok ze mnie na Jasona. Pomyślałam, czy mogę być pewna, że nie mówi się o tym w szkole, chociaż może rzeczywiście mówi się, dlatego że Teresa była tym zaniepokojona.
- O co więc chodzi, Charlotto? – zapytałam ostro.
- To Fiona – powiedziała. – Boli ją głowa i chce wracać do szkoły.
- Może położyć się tutaj – zaproponował Jason. – Ma przecież swój pokój.
- Mówi, że to nic wielkiego i że rano będzie się już dobrze czuła, ale chce teraz wrócić.
- Sądzę, że Emmet czeka z powozem. Może zabrać ją z powrotem.
- Ja z nią pojedę, panno Grant, i Eugenia też.

– Ale panna Hetherington powiedziała, że możecie zostać na kolacji. Pojedźcie zaraz po niej.

– Tak naprawdę, nie mamy ochoty na kolację, a Fiona mówi, że głowa boli ją coraz bardziej od tej muzyki i wszystkiego.

– Gdzie teraz jest Fiona?

– Siedzi na dole. Jest z nią Eugenia.

– Może lepiej będzie, jeśli zapytasz o to pannę Hetherington.

Poszłam z nią. Nie chciałam, żeby odeszła i opowiadała, że zostawiła mnie samą z Jasonem. Wystarczająco złe było, że zastała nas razem.

Panna Hetherington siedziała w towarzystwie starszego pułkownika i wydawało się, że miło spędzają czas. Powiedziałam jej, że Fiona chce wracać i dlaczego.

– Dobrze – odrzekła. – Emmet jest tutaj. Kto z nią pojedzie?

– Ja, panno Hetherington – powiedziała szybko Charlotta – i Eugenia też chce wracać. Nikt inny nie musi z nami jechać. Nie chcemy nikomu psuć wieczoru.

– Hm. Dobrze. Ale wyjdźcie, nie zwracając na siebie uwagi. Przecież w pewnym sensie Fiona i Eugenia są paniami tego domu. Mniejsza o to. Wymknijcie się po cichu.

Dziewczęta pojechały, a ja zostawiłam pannę Hetherington z jej pułkownikiem.

Ktoś poprosił mnie do tańca. Był to ostatni taniec przed kolacją i po nim poszliśmy do jadalni. Jason zarezerwował miejsce dla mnie przy swoim stole. Siedziały z nami cztery inne osoby, nie mieliśmy więc okazji, aby porozmawiać na osobności. Właściwie byłam z tego zadowolona. Miałam wrażenie, że nie brał zbyt poważnie sprawy anonimowego listu.

Ten wieczór, na który czekałam z taką przyjemnością, okazał się czymś w rodzaju sennego koszmaru.

Byłam zadowolona, kiedy dobiegł końca. W drodze powrotnej ze Dworu do szkoły byłam dosyć milcząca. Wszystkie pozostałe panie prowadziły ożywioną rozmowę i moje milczenie nie sprawiło specjalnej różnicy. Mam nadzieję, że nikt niczego nie zauważył.

Dziewczęta, które zostały po odjeździe Fiony, Eugenii i Charlotty, wróciły do szkoły zaraz po kolacji, tak że teraz powinny już być w łóżkach. Przed położeniem się będę musiała jeszcze rzucić na nie okiem.

Kiedy doszłam do pokoju Fiony i Eugenii, przypomniałam sobie ich wcześniejsze wyjście, i byłam ciekawa, czy Fionę przestała boleć głowa. Zajrzałam do środka. Natychmiast zauważyłam, że Eugenia nie spała, chociaż kiedy otworzyłam drzwi, prędko zamknęła oczy. Nie zrobiła tego jednak wystarczająco szybko.

– Nie śpisz więc, Eugenio – powiedziałam. Dopiero wtedy spojrzała na mnie.

– Nie, panno Grant.

– Jak się czuje Fiona? Zerknęła na sąsiednie łóżko.

– Była zmęczona. Zasnęła natychmiast. Rano będzie się już dobrze czuła.

– Dobranoc w takim razie – powiedziałam.

Pozostałe dziewczęta spały. Zazdrościłam im. Wiedziałam, że mam przed sobą bezsenłą noc. Jeśli zaczynałam myśleć o czymkolwiek, powracałam zawsze do tego samego pytania: „Gdzie jest Marcia Martindale i czy Jason to wie?”

* * *

Następnego poranka doznaliśmy wszyscy szoku. Wątpię, żeby kiedykolwiek w całej historii Akademii wydarzyło się coś gorszego.

Po nieprzespanej nocy wstałam wcześniej niż zwykle. Sądząc z odgłosów dochodzących z pokoi dziewczyńskich, one też już się budziły.

Eugenia przysłała do mojego pokoju. W oczach miała lekki wyraz triumfu.

– Fiona wyjechała – obwieściła.

– Wyjechała? Dokąd?

– Wyjechała, żeby wyjść za mąż.

– O czym ty mówisz?

– Wyjechała wczoraj wieczorem... prosto ze Dworu. Już tutaj nie wróciła.

Wpadłam do ich pokoju. Pod kołdrą na łóżku Fiony zobaczyłam stertę ubrań, którą wczoraj wieczorem wzięłam za jej śpiącą sylwetkę.

Powiedziałam:

– Natychmiast idziesz ze mną do panny Hetherington.

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby Daisy zabrakło słów.

Jej twarz poszarzała, a usta wykrzywiły się. Patrzyła to na mnie, to na Eugenię, jakby chciała sprawdzić, czy nie żartujemy.

W końcu przemówiła:

– Wyjechała? Fiona! Żeby sekretnie wyjść za mąż...?

– Wyjechała, żeby wyjść za mąż, panno Hetherington – powiedziała Eugenia.

– To jakaś potworna pomyłka. Idź i każ Fionie przyjść do mnie natychmiast.

Powiedziałam łagodnie:

– Sądzę, że to prawda, panno Hetherington. Nie ma jej w pokoju.

– Ale wróciła tu wczoraj wieczorem. Bolała ją głowa.

– Ból głowy był najwyraźniej pretekstem. Jak zrozumiałam, wyjechała prosto ze Dworu. Jej kochanek musiał tam na nią czekać.

– Jej kochanek! – wykrzyknęła Daisy. – Jednej z moich dziewczyńskich!

Zrobiło mi się jej żal. Była naprawdę przerażona. Widziałam, że próbowała zanegować tę historię, a jednocześnie zastanawiała się, jaki efekt to będzie miało dla szkoły. Nie byłaby jednak sobą, gdyby szybko nie przewyciężyła szoku.

– Lepiej opowiedzcie mi wszystko po kolei – powiedziała.

Ja zaczęłam, mówiąc, że kiedy robiłam obchód wczorajszego wieczoru, wyglądało tak, jakby Fiona była w swoim łóżku. Rano odkryłam, że to, co wczoraj wzięłam za Fionę, było w rzeczywistości stertą ubrań, a Eugenia powiedziała mi dokładnie to, co przed chwilą właśnie panna Hetherington usłyszała.

– Potwierdzasz to, Eugenio?

– Tak, panno Hetherington.

– Postąpiłaś bardzo źle. Należało natychmiast przyjść z tym do mnie lub do panny Grant.

Eugenia milczała.

– Kim jest ten człowiek?

– Jest bardzo przystojny i romantyczny.

– Jak się nazywa?

– Carl.

– Carl i co dalej?

– Nie wiem. To po prostu Carl.

– Gdzie go poznałyście?

– W lesie.

– Kiedy?

– Kiedy byliśmy na spacerze.
– Same na spacerze w lesie!
– Nie byliśmy same.
– Kto był z wami?
– Charlotta Mackay i Jane Everton.
– Kiedy to było?
– Pierwszego maja.
– Chcesz przez to powiedzieć, że rozmawialiście z nieznajomym?
– To nie było dokładnie tak. On zapytał o drogę... i zaczęliśmy rozmawiać.
– A potem?
– Pytał o szkołę i o dziewczęta, i o wszystko, i wydawało się, że najbardziej polubił Fionę. Potem znowu go zobaczyliśmy. Zawsze był w lesie. Interesował się drzewami i wsią. Przyjechał tu, żeby poznać się z naszą przyrodą.
– Chcesz powiedzieć, że nie był Anglikiem?
– Tak się wydawało. Przyjechał skądś... Nie wiem skąd.
– Wiedzieliście tylko, że miał na imię Carl. Nie wiedzieliście, skąd pochodził, i Fiona uciekła z nim!
– To była miłość od pierwszego wejrzenia – powiedziała Eugenia. – Była bardzo szczęśliwa.
– I spiskowałyście...
– To moja siostra. Musiałyśmy jej pomóc.
– My? Kto musiał jej pomóc?
– Przypuszczam, że chodzi o to, że Charlotta też pomagała – wtrąciłam.
– O Boże – powiedziała Daisy, przykładając dłoń do czoła. – Ktoś musi jechać do Dworu i powiadomić sir Jasona o tym nieszczęściu. Może jeszcze nie jest za późno.
Jasne było, że od Eugenii nie dowiemy się zbyt wiele. Może sir Jason będzie miał więcej szczęścia. Ja chętnie wymierzyłabym tej dziewczynie policzek. Stała, patrząc na nas kpiąco, a sposób, w jaki zaciskała usta, wskazywał, że nie zamierza wyjawić niczego.
Daisy wysłała ją do jej pokoju z poleceniem, aby została tam, dopóki nie zostanie wezwana. Pilnowanie jej powierzyła pannie Barston. Kiedy czekałyśmy, mówiła trochę chaotycznie.
– Wyjechali wczoraj wieczorem... Wtedy, kiedy one wyjechały ze Dworu. Ból głowy! Ach, ta dwulicowość dziewcząt! Niczego się tu nie nauczyły? To było przed kolacją, a kolacja była o dziesiątej. Dokąd mogli pojechać? Możliwe, że już teraz są małżeństwem? W dzisiejszych czasach człowiek nie spodziewa się takich rzeczy... I to jedna z moich dziewcząt! Sir Jason będzie wiedział, co zrobić. Przywiezie ją z powrotem, przypuszczam. Mam nadzieję, że nie mówi się...
To zaczynało być koszmarem. Wczoraj list, dzisiaj ucieczka Fiony. Zastanawiałam się, co się jeszcze stanie.
Jason przyjechał natychmiast i Daisy zagłębiła się w objaśnianie sprawy. Nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.
Kazał wezwać Eugenię i przepytał ją. Zaczęła od postawy buntowniczej, a potem załamała się i powiedziała, że Fiona zakochała się i miała prawo wyjść za mąż, jeśli tego chciała. Carl był cudowny. Kochał Fionę, a Fiona kochała jego. Byli szczęśliwi. Tak, wiedziała, że Fiona wyjeżdża. Charlotta pomagała jej. Fiona nie wsiadła razem z nimi do powozu, kiedy wracały do szkoły, ale poszła do Carla, który czekał na nią. Tak... zrobiła tak, żeby wyglądało, że Fiona leży w łóżku, by mnie wprowadzić w błąd, kiedy zajrzę do

ich pokoju.

Posłano po Charlotte. Była tak samo buntownicza. Stało się całkowicie jasne, że spiskowały i ten kochanek... ten Carl wykorzystał to.

Jednak pomimo gradu pytań, próśb i gróźb nie udało nam się wyciągnąć z nich nic więcej ponad to, że spotkały Carla w lesie, zapytał o drogę i zaczęły rozmawiać. Spotkał je ponownie. Raz pojechały, żeby się z nim spotkać, kiedy przygotowywali ucieczkę. Dobrze pamiętałam to wydarzenie i strach, jaki przeżyła panna Barston.

Jason powiedział:

– Ktoś musiał widzieć, jak wyjeżdżali. Pojadę na stację. Jeśli uda nam się dowiedzieć, gdzie pojechali, będzie to coś, od czego będziemy mogli zacząć.

Pojechał.

Tego dnia mało koncentrowano się na lekcjach. Wszyscy mówili o ucieczce Fiony. Jasne było, że dziewczęta były bardzo podekscytowane. Uważały, że była to najbardziej romantyczna rzecz, jaka wydarzyła się w Akademii Colby Abbey dla Młodych Panien.

Nie mogłam sobie znaleźć miejsca. W całym zamieszaniu dotyczącym ucieczki Fiony niemalże zapomniałam o liście, ale co jakiś czas dopadało mnie wspomnienie o nim i oburzenie wracało na nowo. Wydawało się, że wszystko wokół zmieniło się. Wspominałam spokój ostatniego semestru i nie mogłam uwierzyć, że w tak krótkim czasie mogła nadejść taka katastrofa.

Coś przyszło mi do głowy i poszłam poszukać Eugenii. Ponieważ pół godziny temu był obiad, a lekcje zaczną się dopiero o drugiej, domyśliłam się, że musi być na powietrzu. Znalazłam ją przy stawach. Była razem z Charlottą.

– Eugenio – powiedziałam – chciałabym zamienić z tobą słowo.

– Ze mną? – zapytała zuchwale.

– Być może obydwie będziecie mogły mi pomóc.

W sposobie zachowania ich obydwu było coś, co uznałam za obraźliwe. Nigdy nie wybaczyły mi tego, że rozdzieliłam je. Wtedy wydawało mi się, że to było moje wielkie zwycięstwo, ale w obecności tych dwóch dziewcząt zawsze czułam się niezręcznie. Teraz kiedy pomyślałam, że były w zмовie i najpewniej planowały ucieczkę razem z Fioną i jej wybrankiem, bardzo się o nie niepokoiłam.

Powiedziałam:

– Myślę o przedstawieniu. Pamiętacie, że pannie Barston zginął jeden kostium?

– Tak – odparła ze śmiechem Charlotta.

– Może powiesz mi, co cię tak bawi?

Milczały obydwie.

– Chodźcie. Lekcje zaraz się zaczną. Wiecie coś o tym kostiumie?

Eugenia spojrzała na Charlotte, która powiedziała wyzywająco:

– Fiona go wzięła.

– Ach tak. I w czasie przedstawienia ktoś go nosił. Czy może przypadkiem tym kimś był romantyczny Carl?

Zachichotały.

– To bardzo poważna sprawa. Czy Carl miał na sobie ten kostium? – zapytałam surowo.

Stały spokojnie, starając się ukryć wesołość.

– Nosił go? – wrzasnęłam.

– Tak, panno Grant – powiedziała Charlotta.

– I miał czelność wystąpić jako mnich?

– Musiał zobaczyć się z Fioną. Musiał jej powiedzieć o tym, co zaplanował.

– Rozumiem. A wy byliście w to wtajemniczone.

Milczały znowu. Myślałam o tamtej chwili, kiedy niemalże przyłapałam Fionę i jej kochanka. Gdyby się tak rzeczywiście stało. Gdybym zdemaskowała tego mężczyznę, może powstrzymałabym tę katastrofalną ucieczkę.

– Byliście bardzo niemądre – powiedziałam.

– Dlaczego? – zapytała agresywnie Eugenia. – Miłość to piękna rzecz, a Fiona jest szczęśliwa.

– Fiona jest bardzo młoda.

– Ma osiemnaście lat. Dlaczego miłość ma być dobra dla jednych, a niedobra dla drugich?

W ich oczach widziałam skierowane do mnie wyzwanie.

– Powiedziałam, że to bardzo poważna sprawa. Teraz wracajcie na lekcje.

Pobiegły, a ja podążyłam za nimi.

Jason pojawił się w szkole wieczorem. Panna Hetherington wezwała nauczycielki do swojego gabinetu, żeby usłyszały, co ma do powiedzenia.

Dowiedział się, że w chwili, kiedy o dziewiątej miał właśnie odjeżdżać pociąg do Exeter, na stacji pojawiły się dwie osoby. Mężczyzna, którego widział pracownik stacji, nie był mu znany. Nie rozpoznał on też towarzyszącej mu kobiety. Miała na sobie pelerynę, która całkowicie zakrywała jej głowę. Na stacji znajdowało się jeszcze dwóch innych pasażerów, byli to mężczyźni. To wszystko, co pamiętał.

– Mogli pojechać do Exeter lub do Londynu... wszędzie – powiedział Jason. – Zdaje się, że nie trafimy na ich ślad.

Nastroje w gabinecie były kiepskie. Sądzę, że większość z nas uznała, że ta ucieczka udała się Fionie.

Następnego dnia Jason pojechał do Exeter. Przeprowadził szeroko zakrojone poszukiwania, ale oczywiście działał po omacku.

Próbowaliśmy podjąć normalne życie, ale nie było to proste. Nigdy nie widziałam Daisy tak przygnębionej. Była bardzo zaniepokojona tym, jaki efekt cała sprawa wywrze na szkołę.

– W pewnym sensie – powiedziała – to błogosławieństwo, że właśnie o Fionę chodzi. Sir Jason wie dokładnie, jak to się stało, a w końcu ona uciekła właściwie ze Dworu. Sir Jason nie oskarża nas o niedopełnienie obowiązków. Mimo wszystko jednak dziewczęta mówią o tym i nie wiem, jak rodzice zareagują na tego typu wydarzenie.

Cztery dni po ucieczce Eugenia dostała kartkę pocztową od Fiony. Był to widoczek Trafalgar Square i miała ona londyński znaczek.

„Bawię się doskonale i jestem bardzo szczęśliwa. Fiona”.

Pocztówka została skonfiskowana, obejrzana dokładnie, a sir Jasona zaproszono do szkoły. W rzeczywistości jednak nie dawało nam to żadnych informacji poza tymi, że Fiona jest szczęśliwa i że jest w Londynie.

– A to tak – powiedziała Eileen – jakby szukać bardzo niejasno określonej igły w wyjątkowo dużym stogu siana. Nie ma sensu próbować jej znaleźć. Została uwiedziona. Może być już mężatką. Spodziewam się, że jest, ponieważ ma ładną fortunę. Być może to leży u podstaw całej sprawy. Fiona jest oczywiście uroczym dzieckiem... jest najprzyjemniejsza wśród tej trójcy, w której skład wchodzi jeszcze jej siostra i okropna Charlotta. Żałuję, że nie przytrafiło się to Eugenii albo Charlocie.

Była to próbka sposobu myślenia ludzi. Wszyscy zaczęli być znużeni tematem

wyjazdu Fiony. Jasne było, że wyjechała i nie wróci do szkoły.

– Zostawmy to – zakończyła Eileen. – W końcu nie jest pierwszą uczennicą, która uciekła z ukochanym. Sądzę, że w ostatnim stuleciu było ich niemało... i zawsze były to dziewcziczki, co jak przypuszczam, jest głównym przyczynkiem tych przedsięwzięć. Czyli że to tutaj nie odbiega od schematu.

Kiedy poszłam na pocztę, pani Baddicombe miała oczy okrągłe z ciekawości.

– Słowo daję – powiedziała – mamy tu do czynienia z prawdziwym życiem. Co pani sądzi o tej młodej paniencie uciekającej w taki sposób? Do czego ten świat zmierza? Mówią, że to był taki przystojny mężczyzna. Zauroczył ją. Wie pani, jakie teraz są dziewczęta. Nic ich nie powstrzyma. Podejrzewam, że było trochę zamieszania i w szkole, i we Dworze.

Wydawało się, że poruszenie wywołane ucieczką Fiony usunęło w cień zniknięcie pani Martindale.

Nadałam paczkę do ciotki Patty. Nie było właściwie takiej potrzeby. Znalazłam w Colby kilka sztucznych kwiatów i pomyślałam, że byłyby odpowiednie do przystrojenia jej kapelusza. Będzie zaskoczona, że je wysłałam, ale wyjaśnię to, kiedy ją zobaczę.

– Czy może pani napisać pokwitowanie drukowanymi literami?

– Drukowanymi literami? – wykrzyknęła pani Baddicombe. – A co to takiego?

– Wyglądają jak druk.

– Nigdy tego jeszcze nie robiłam. Zawsze pisałam pokwitowania zwykłym pismem.

– Będzie bardziej czytelne.

Obrzuciła mnie podejrzliwym wzrokiem i mozoląc się bardzo, spełniła moją prośbę. Wręczyła mi pokwitowanie i powiedziała:

– Ciekawa jestem, czy będziemy mieć jakieś nowe wiadomości. Ona ma charakter, trzeba jej to przyznać. Zawsze uważałam ją za tę spokojniejszą. Ale, z drugiej strony, jak mawiam do Baddicombe'a, nigdy nie można być niczego pewnym: te spokojne wody czasami okazują się najgłębsze.

Rzuciła mi porozumiewawcze spojrzenie.

Pożegnałam się i wyszłam z poczty, ściskając w dłoni pokwitowanie. To pismo nie przypominało liter z koperty, którą dostałam.

* * *

Ten semestr nie był łatwy. Skończył się okres upałów i prawie przez cały czas padało. Na apelu panna Hetherington miała przemowę do dziewcząt. Powiedziała im, że pod żadnym pozorem nie mogą podejmować rozmów z ludźmi, których nie znają. A gdyby ktoś chciał wciągnąć je w rozmowę, mają powiadomić o tym albo ją, albo którąś z nauczycielek.

Dziewczęta przyjęły to tak, jak należało, ale sądzą, że wszystkie myślały o tym, jaka to wspomniała rzecz przytrafiła się Fionie, i że one bardzo chciałyby stać się bohaterkami tak ekscytującego romansu.

Bardziej niż kiedykolwiek unikałam Jasona. Miałam zamęt w myślach. Nie mogłam zapomnieć o liście i czułam, że znalezienie Marcii Martindale było ważniejsze niż znalezienie Fiony. Desperacko marzyłam o tym, żeby móc już wyjechać ze szkoły. Nie mogłam się doczekać dwudziestego lipca.

* * *

Działo się to na dwa dni przed końcem semestru. Przygotowywaaliśmy się do odjazdu. Przyjechał Jason. Byłam razem z Daisy, kiedy go zaanonsowano. Dostał list od Fiony. Był nadany z miejscowości Werthenfeld w Szwajcarii.

– Zna pan to miejsce? – zapytała Daisy.

– Całkiem dobrze – odparł Jason. – Leży o kilka mil od Zurychu. Pisze, że jest szczęśliwa i nie musimy się o nią martwić. Wyszła za mąż i cieszy się życiem. Niech panie same przeczytają.

Zrobiliśmy to. Była szczęśliwa, nie nastęrczało to żadnych wątpliwości. Wyczuwało się to, czytając list. Była zakochana i była mężatką. Może rzeczywiście niepotrzebnie martwiliśmy się o nią?

Zobaczyłam dopisek: „Carl obiecał, że nauczy mnie jeździć na nartach”.

Spojrzałam na Jasona i powiedziałam:

– Wydaje się, że jest szczęśliwa.

– Carl – powtórzył. – Nie podaje nam jego nazwiska, może być obcokrajowcem. Myślę, że muszę pojechać do Werthenfeld. Jest moją wychowanicą i dziedziczką liczącej się fortuny. Może uspokoiłbym się, gdybym się dowiedział, kim on jest. Być może jest to najlepsza rzecz, jaka mogła ją spotkać. Zawsze trzymała się na uboczu. Inaczej niż Eugenia... a ja wiele myślałem o ich przyszłości, o wprowadzeniu ich w towarzystwo i tak dalej. Jeśli on dobrze się prezentuje, a ona jest szczęśliwa, to czym my się martwimy?

– Nie podobają mi się jego metody postępowania – powiedziała Daisy.

Jason wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie jest młody i bez wątpienia myślał, że taka ucieczka może być zabawną rzeczą.

– Dlaczego nie postawili sprawy otwarcie? – zapytała Daisy.

– W przypadku dziewczyny takiej jak Fiona musiałyby się odbyć wszelkiego rodzaju formalności. Przypuśćmy, że on dał się ponieść uczuciom.

– Dziedziczka, tak...

– To rzeczywiście wzbudza niejakie wątpiwości. Jest to właśnie jeden z powodów, dla których chcę podążać tym śladem.

– Ma pan rację – przytaknęła Daisy – i życzę, aby szczęście panu dopisało.

Nadszedł dwudziesty lipca... gorący, parny dzień. Wyprawiłam dziewczęta i przygotowałam się do mojego wyjazdu z Teresą.

Daisy stała na dziedzińcu, żeby nas pożegnać.

– Wszystkie potrzebujemy wypoczynku – powiedziała. – Dzięki Bogu, że ten semestr już się skończył. Nigdy w życiu jeszcze nie miałam takiego. Następny będzie nowym początkiem.

Niespodziewany gość

Ciotka Patty czekała na nas na stacji w kapeluszu zrobionym niemalże z samych fiołków.

– Mój Boże – powiedziała – teraz wygląda to trochę inaczej niż ostatnio. Pamiętasz, Cordelio? Wtedy nie było Teresy.

– Cieszę się, że już tu jestem – odparła Teresa.

– Nie mniej niż my z tego, że jesteś z nami. Violet jest w kiepskim stanie, bo ciągle zastanawia się, czy ci twoi kuzyni nie pokrzyżują nam planów w ostatniej chwili. Dopóki nie wrócimy, będzie w gorączce oczekiwania. Nie mogła zdecydować, czy jechać ze mną, czy zostać w domu, żeby dopilnować pieczenia ciasteczek. Mówi, że to twoje ulubione, i chce, żeby były gotowe, jak przyjedziesz.

– Jedźmy szybko do domu – powiedziała Teresa. Wsiadłyśmy do dwukółki, a ciotka Patty wzięła lejce.

– Jak minął semestr? – zapytała, kiedy już jechałyśmy.

– Był pełen niespodziewanych wydarzeń – odpowiedziałam szybko. – Działo się za dużo, żeby teraz o tym opowiadać.

– Cóż, poczekamy, aż będziemy wygodnie siedzieć – zgodziła się ciotka Patty. – A, przy okazji, odwiedził nas pewien dżentelmen. Chciał się z tobą zobaczyć.

– Kto taki?

– Violet z nim rozmawiała. Zrobił na niej wielkie wrażenie. Mówi, że to najprzystojniejszy i najbardziej miły dżentelmen, jakiego kiedykolwiek spotkała.

– Ale... jak się nazywał?

– Tego nie wie. To cała Violet. Była zbyt zajęta, próbując go oczarować i częstując go tym migdałowym ciastem, którym się zawsze chwali. Mimo wszystko jednak nie dał się namówić i nie wszedł. Podobno zatrzymał się w „King’s Arm”.

– Dziwne. Nie mam pojęcia, kto to może być.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to Jason zdecydował, że nie pojedzie do Szwajcarii i przyjechał tutaj. Ale on wiedziałby dokładnie, kiedy przyjeżdżam, i nie przyszedłby wczoraj. Co więcej, jego Violet znała.

– Dokładniej powie ci o tym Violet. Już prawie jesteśmy w domu. Ruszaj, Buttercup. Zawsze się ożywia, kiedy skręcamy w alejkę. Nie udałoby ci się go zmusić do minięcia domu, nawet gdybyś chciała.

I oto ukazał się nam dom. Umiejscowiony z dala od drogi, z zielonymi trawnikami i zasadzonym przez Violet żywopłotem. Przypominam sobie, że na początku, kiedy tu przyjechałyśmy, były to tylko małe, wiotkie witki. Pamiętam je. Już wtedy rosły szybko. Była tam też lawenda i budleja, cała w białych motylkach, i panowała atmosfera kompletnego spokoju.

Violet wybiegła w pośpiechu, wycierając ręce. Uściskała Teresę i mnie.

– Jesteście. Witajcie w domu. Cordelio, wyglądasz trochę blade. A ty, Tereso, jak się miewasz? Bałam się, że ci kuzyni znowu zaczną swoją starą śpiewkę. No, ale już tu jesteś i tu zostaniesz. Ciasteczka są gotowe, a jak tylko usłyszałam, że dwukółka skręca w alejkę, nastawiłam wodę.

– Dobrze być w domu – powiedziałam i weszłyśmy do środka.

Violet mówiła:

– Co powiecie na herbatkę na zewnątrz? Jest dosyć parno. Osy są w tym roku dokuczliwe. Może jednak zostaniemy w domu. Otworzymy wszystkie okna, tak żeby

widzieć ogród. Najlepszy ze światów, co? Potem będziecie mogły iść do swoich pokoi, ale najpierw wypijemy herbatkę.

– A jak wszyscy wiemy, słowo Violet jest prawem – powiedziała ciotka Patty, sadowiąc się wygodnie. – Opowiadajcie, co się działo? – ciągnęła.

– Największe wydarzenie to to, że Fiona Verringer uciekła z ukochanym. Stało się to tuż po przedstawieniu.

– Uciekła z ukochanym? Czy to ta dziewczynka ze Dworu?

– Tak, to jedna z sióstr.

– Kiedyś ktoś tu przyjechał – przypomniała sobie Violet. – Czy on nie był stamtąd?

– Tak, to jej wujek. Było wielkie poruszenie, prawda, Tereso?

– O tak, panna Hetherington była wściekła.

– Nigdy bym nie pomyślała – powiedziała ciotka Patty. – Ucieczka dziewczynki!

– To było bardzo romantyczne – wtrąciła z zazdrością Teresa.

– Zdaje się, że są gdzieś w Szwajcarii.

– Ciekawe, czy są gdzieś w pobliżu Schaffenbrucken – zastanowiła się Violet. – Proszę, Tereso, weź jeszcze jedno ciasteczko. Są zrobione specjalnie dla ciebie.

– Och, nie powinnam, Violet. Co będzie na kolację?

– Nie pytaj, a nie usłyszysz pokrętej odpowiedzi. Dobrze wiesz, że nie mówię o swoich daniach, dopóki nie ma ich na stole. Poczekaj, a zobaczysz... a to jeszcze trochę potrwa. Na twoim miejscu zjadłabym jeszcze jedno ciasteczko.

Teresa poczęstowała się, a ja byłam zaskoczona, widząc zmienność jej nastrojów. Sądziłam, że wyzbyła się tego w poprzednim semestrze. Zastanawiałam się, czy powinnam powiedzieć ciotce Patty o anonimie. Zaczekam i zdecyduję później. Nie chciałam mącić panującego tu spokoju. Dopóki tu byłam, mogłam przestać myśleć o tym.

– A przy okazji, Violet – powiedziałam – ciocia Patty mówi, że był tu ktoś.

– A tak, wczoraj. Taki miły džentelmen. Pięknie się wysławiał, miał świetne maniery, był wysoki i przystojny.

– I nie pamiętasz nazwiska tego chodzącego ideału?

– Przedstawił się. Ale zabij mnie, a nie pamiętam. Powiedział, że chce się widzieć właśnie z tobą... Mówił coś o przeszłości.

– Co masz na myśli, mówiąc... o przeszłości?

– Cóż, najwyraźniej znał ciebie już wcześniej.

– I nie zapamiętałaś nazwiska. Och, Violet...

– Podał mi je, kiedy przyszedł, ale wiesz, jak to u mnie jest z nazwiskami. Jutro się dowiesz. Powiedział, że przyjdzie. Jestem tego pewna. Wyglądał mi na człowieka dotrzymującego słowa i tak bardzo chciał się z tobą zobaczyć.

– Mówisz, że był wysoki?

– Wysoki blondyn.

Myślami znalazłam się w tamtym lesie. Pomyślałam, że nadszedł czas dziania się dziwnych rzeczy. On wrócił. Wyjaśni mi wszystko.

Ogarnęło mnie wielkie podniecenie. Pomyślałam sobie, że miło będzie znowu się z nim zobaczyć. Zapytałam:

– Czy to nazwisko to może Edward Compton?

Violet zastanawiała się.

– Być może. Nie powiedziałabym na pewno, że to nie to... a z drugiej strony nie mogę powiedzieć, że to było rzeczywiście to nazwisko.

– Och, Violet – powiedziałam rozdrażniona.

– Ale o co to całe zamieszanie? Dowiesz się wszystkiego jutro. Cierpliwość jest cnotą... a nie nawiązuję w tej chwili do twojego imienia Patty, mającego właśnie takie znaczenie.

Ciotka Patty uśmiechnęła się, nie zdradzając, że z ust Violet słyszała ten niby-dowcip setki razy.

Jutro, pomyślałam. To nie będzie takie długie oczekiwanie.

* * *

Ogarnął mnie spokój charakterystyczny dla Moldenbury. Rozpakowałam swoje rzeczy i poszłam na spacer z Teresą. Po kolacji usiadłyśmy w ogrodzie i rozmawiałyśmy luźno o tym, co się działo w wiosce. Dominowała jak zawsze coroczna wyprzedaż i jarmark kościelny. Panowała różnica zdań co do tego, czy dochody powinny zostać przeznaczone na wieżę, czy na dzwony. Ciotka Patty optowała za wieżą.

– Nie chcemy chyba, żeby zwała się nam na głowy – powiedziała.

Violet była za dzwonami.

– Lubię, jak dzwonią. Szczególnie w niedzielny poranek – mówiła.

– Nie na wiele przydadzą się dzwony, kiedy wieża się zawali – wytknęła ciotka.

I tak to się toczyło.

Kiedy wieczorem położyłam się już, ciotka Patty przysłała do mojego pokoju.

– Wszystko w porządku? – zapytała. – Pomyślałam, że jesteś odrobinę nieobecna myślami. Nie martwisz się chyba o tę dziewczynę, która uciekła? Mam nadzieję, że nie winią cię za to?

– Ależ nie. Daisy jest sprawiedliwa. Nie było w tym winy nikogo ze szkoły. Jeśli już, to dziewczęta mają coś na sumieniu. Kilka z nich stykało się z tym mężczyzną. Nie byłabym taka zaskoczona, gdyby przydarzyło się to Eugenii Verringer, ale żeby Fiona tak postąpiła... to nie było do niej podobne.

– To, jak sądzę, miłość. Mówią, że ona zmienia ludzi. Cordelio, czy powiesz mi, co zaprzęta twoje myśli?

Zawahałam się i w końcu wybuchnęłam:

– Dostałam anonimowy list. Był okropny. Sugerował, że jestem zamieszana w... morderstwo.

– Dobry Boże!

– To dotyczyło kobiety, która zniknęła nagle. Kiedyś była kochanką Jasona Verringera, a on...

– Wydawało się, że był raczej zainteresowany tobą, kiedy tu przyjechał. Pamiętam.

– Zgadza się – powiedziałam.

– A ty, co czujesz w stosunku do niego?

– Próbuję go unikać, jak tylko mogę, ale on nie należy do ludzi respektujących czyjeś życzenia, jeśli kolidują z jego zamiarami. Jest arogancki i bezwzględny. Wiele może. W Colby właściwie wszystko należy do niego... łącznie ze szkołą. Nawet Daisy Hetherington podlega mu w pewnym sensie...

Ciotka Patty z wolna skinęła głową.

– Podejrzewam, że jest wiele rzeczy, o których mi nie powiedziałaś.

Tak było. Nie mogłam wydusić z siebie opowieści o tej scenie, kiedy skaleczyłam dłonie o szybę. Ona ciągnęła łagodnie:

– Zawsze możesz wyjechać stamtąd. Wrócić tutaj. Później możesz zająć się czymś

innym, jeśli będziesz chciała. Szkoła Daisy to przecież nie jedyna taka instytucja w kraju.

– Opuścić szkołę? Wyjechać z Colby? Nie chciałabym tego. Poza tym powinnam dać wypowiedzenie na jeden semestr wcześniej. Tak więc w każdym razie muszę wrócić do tych wszystkich pogłosek i plotek. Nawet Teresa jest tym poruszona.

– Jakim sposobem jej to dotyczy?

– Widocznie musi się sporo mówić o Jasonie Verringerze i o mnie. Uważa, że on jest zamieszany w zniknięcie tej kobiety, i jak sędzę, martwi się o mnie. Wydaje mi się, że chce mnie przed nim ostrzec. Tak jakbym takiego ostrzeżenia potrzebowała!

Ciotka Patty patrzyła na mnie z zastanowieniem. Ciągnęłam dalej:

– Wiele się o tym mówi wśród dziewcząt. Wyolbrzymiają wszystko. Ona jest zdania, że Jason zabił tę kobietę. Dla dziewcząt w wieku Teresy są tylko ci dobrzy i ci źli... święci i wysłannicy piekieł.

– A ona umiejscowiła go w kategorii tych ostatnich, tak?

– Jak najbardziej.

– Ty też?

Poczułam lekkie zażenowanie. Nasunęło mi się tyle wspomnień o nim, a między innymi i to szczególne uczucie przyjemności, jaką dawała mi sama jego obecność.

– Pamiętam dobrze, jaki był, kiedy przyjechał do nas – ciągnęła ciotka Patty. – Nie zrobił na mnie wrażenia bardzo szczęśliwego człowieka.

– Nie sędzę, żeby kiedykolwiek był naprawdę szczęśliwy. Jego małżeństwo nie było udane i wyobrażam sobie, że wyrывая się z niego, obrał absolutnie złe kierunki.

– To dziwne – powiedziała ciotka Patty – jak wiele osób, które mają wszelkie dobra doczesne, nie zaznaje prawdziwego szczęścia. Jak sędzę, on jest bardzo majątny.

– O, tak.

– Zawsze uważałam, że prawdziwy sukces w życiu osiągają tylko ci, którzy wiedzą, jak być naprawdę szczęśliwymi. Możesz mieć wszelkie ziemskie bogactwa, ale jeśli nie znalazłaś szczęścia, nie spełniłaś się. W końcu wszyscy o to właśnie walczymy, prawda?

– Masz rację. Ty i Violet musicie być najbardziej spełnionymi kobietami na całym świecie.

– Śmiechu warte, prawda? Oto my, zakopane w naszym małym domku... nic nieznaczące dla świata... może tylko dla tych, którzy są blisko nas... a mimo wszystko, osiągnęłyśmy to, za czym wszyscy się uganiają. Tak, jesteśmy szczęśliwe. Drogie dziecko, chcę, żebyś ty była tak samo szczęśliwa. Być może dla mnie to było łatwiejsze. Zawsze byłam sama. Byłam panią swojego życia, sama je kreowałam. Miałam dobre życie.

– Ty to sprawiłaś.

– Wszyscy sami kreujemy nasze życie takim, jakim ono jest. Czasami mamy partnera, który nam w tym pomaga. Wtedy nie zawsze jest łatwo podążać wytyczoną sobie drogą. To tutaj kryją się czasami problemy. Ten biedny człowiek! To ciekawe... ale wyczuwam wokół niego jakieś ciemne sprawy. Nie jest szczęśliwą osobą. Ty nią jesteś, Cordelio. Pojawiłaś się u nas i od samego początku wszystko układało się dobrze. Obdarzyłyśmy cię miłością, ty ją przyjęłaś i w zamian też dałaś nam miłość. To było proste... żadnych komplikacji. Nie wyrażam się jasno, ale chcę, żebyś była bardzo ostrożna, kiedy nadejdzie moment, że będziesz chciała wybrać kogoś, kto będzie miał spędzić z tobą całe życie.

– Nie myślę o spędzaniu życia z kimkolwiek, ciociu Patty, poza tobą i Violet.

– Wiele myślisz o tym człowieku.

– Ja go nie lubię, ciociu Patty. Uważam, że jest najbardziej...

Uniosła dłoń.

- Jesteś taka gwałtowna.
- Też byś taka była, gdyby... Czekala, a ja nie kończyłam zdania.

Wtedy nagle pochyliła się do przodu i pocałowała mnie.

– Moja droga, wybrałaś sobie zawód, który lubisz. Jesteś stworzona do kierowania, pocieszania i opiekowania się kimś. On, jak sugerujesz, jest człowiekiem światowym, a czasami to tacy ludzie najbardziej potrzebują troski. Cóż, zobaczymy. Obecnie jesteś tutaj. Masz być rozleniwiona, masz odpoczywać i będziemy rozmawiać i rozmawiać. Teraz już jednak czas na spanie. Dobranoc, moja droga.

Padłam jej w ramiona, a ona ucałowała mnie. Potem wypuściła mnie z objęć i podeszła do drzwi. Żadna z nas nie starała się specjalnie okazywać głębi naszych odczuć, ale obie zdawałyśmy sobie sprawę z miłości i zaufania, jakimi się darzyłyśmy. Nie było potrzeby mówienia o tym.

Leżałam pod chłodną, pachnącą lawendą pościelą i myślałam o Violet pieczołowicie zbierającej płatki i pakującej je do saszetek, żeby nadawały zapach pościeli i ubraniom ciotki Patty. Taki spokój... a jakże ja mogłam się nim cieszyć!

Zaczęłam z kolei myśleć o dniu jutrzejszym i zapowiedzianej wizycie tajemniczego mężczyzny. Miałam przekonanie, że był to nieznajomy z lasu, który w końcu pojawił się, żeby mnie odnaleźć. Mogłam sobie wyraźnie przypomnieć jego twarz. Tak, bez wątplenia był przystojny. Blond włosy opadały z jego wysokiego czoła. Miał zdecydowane rysy twarzy i przesywające, niebieskie oczy; było w nim coś, co wyróżniało go wśród innych mężczyzn, coś niezupełnie z tego świata. Czy może wymyśliłam to sobie po moich niezwyklej doznaniach na cmentarzu w Suffolk?

Jakie to będzie dziwne, jeśli rzeczywiście znowu go zobaczę. Ciekawa byłam, jak będzie tłumaczył wszystko, co zaszło, i co będę czuła w chwili, kiedy stanę z nim oko w oko.

* * *

Zjadłyśmy śniadanie, a Teresa pomogła Violet w zmywaniu. Ciotka Patty miała iść na plebanie, żeby omówić wyprzedaż. Zastanawiała się, czy miałabym ochotę pójść tam razem z nią.

– Na pewno obarczyłby cię wzięciem jednego ze stoisk – powiedziała. – Na Boga, jeśli tylko ci się uda, nie bierz tego z białym słoniem. Pojawia się co roku i wszyscy już je znają.

– Słonie nigdy nie zapominają – zawołała Violet z kuchni. – A ludzie nigdy nie zapominają białych słoni.

– Violet jest dzisiaj pełna werwy – skomentowała ciotka Patty. – To dlatego, że ma zamiar zwerbować Teresę do pomocy w suszarni nasion.

– Wezmę płaszcz i pójdę z tobą – powiedziałam.

Kiedy zesłam na dół, ścieżką prowadzącą do domu nadchodził mężczyzna. Był wysokim blondynem i nigdy wcześniej go nie widziałam.

Violet dostrzegła go przez okno kuchenne.

– Przyszedł – zawołała. – Mężczyzna, który był wczoraj.

Wyszłam przed dom.

Powiedział:

– Pani musi być Cordelią... panną Grant.

– Tak – odparłam. – Obawiam się jednak, że nie znam...

– Nie zna mnie pani, ale ja czułem, że muszę przyjechać i zobaczyć się z panią. Jestem John Markham, brat Lydii. Pamięta pani Lydię?

– Lydię Markham? Ależ oczywiście. Jak miło pana poznać.

– Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe, iż przyszedłem tu niezapowiedziany.

– Cieszę się, że mnie pan odwiedził.

Pojawiła się ciotka Patty.

– Ciociu Patty – powiedziałam – to pan Markham. Pamiętasz, opowiadałam ci o Lydii, która była razem ze mną w Schaffenbrucken. To jej brat.

– Miło pana poznać. Czy to pan był u nas wczoraj? – zapytała ciotka Patty.

– Tak i powiedziano mi, że dzisiaj zastanę pannę Grant.

– Proszę wejść do środka.

– Czy pani nie miała właśnie wyjść?

– To nic takiego.

Wprowadziłam go do małego saloniku. Weszła Violet.

– A więc wrócił pan – powiedziała. – Proszę usiąść. Zaraz panu coś podam. Ma pan ochotę na kawę czy herbatę?

– Najpierw chciałbym, jeśli można, porozmawiać z panną Grant.

– Przyniosę coś później – zaproponowała Violet. – Wino z pasternaku udało się w tym roku wyjątkowo.

– Dziękuję.

– Pójdę już na plebanię. Wy możecie porozmawiać i spotkamy się wszyscy później.

Tak więc obydwie wycofały się i zostawiły nas samych.

– Mam nadzieję, że nie przyszedłem nie w porę – powiedział.

– Z pewnością nie. Tak się cieszę, że pana poznałam. Wiele myślałam o Lydii. Napisałam do niej i nie dostałam odpowiedzi. Co u niej słyhać? Szkoda, że nie przyjechała z panem.

– Lydia nie żyje – oznajmił.

– Nie żyje! Ale...

– Tak. To był dla nas wielki cios. Bardzo nam jej brakuje.

– Ale była młoda... Nigdy nie chorowała. Jak zmarła?

– To był wypadek. Zdarzył się w górach... w Szwajcarii. Była na nartach.

– Lydia na nartach! W szkole nigdy nie lubiła sportów zimowych. Zwykle nawet unikała gimnastyki, jeśli tylko jej się udało.

– Była razem z mężem.

– Z mężem! Czyli że wyszła za mąż!

– To dosyć długa historia. Chciałem zobaczyć się z panią, ponieważ ona często o pani mówiła. Wydaje mi się, że pani była jej ulubioną przyjaciółką ze szkoły. Wtedy napisała pani do niej. Znalazłem pani list i poczułem, że muszę napisać do pani i powiedzieć, co się stało, albo przyjechać tu. Tak zrobiłem.

– Przepraszam... nie mogę myśleć klarownie. To taki szok. Lydia... nie żyje?

– To tragiczne. Jej mąż bardzo rozpaczał. Nie byli małżeństwem dłużej niż trzy miesiące.

– Nie mogę w to uwierzyć. Myślałam, że miała być jeszcze przez rok w Schaffenbrucken.

– Tak, wiem. Miała zaledwie siedemnaście lat. Ale poznała tego mężczyznę i zakochała się w nim. Chcieliśmy, żeby odczekali jeszcze, lecz Lydia była temu przeciwna. Potrafiła być bardzo uparta. Ojciec nie miał do tego przekonania, ale Lydia

była jego ulubienicą. Mój brat i ja byliśmy starsi o kilka lat. Dbał o nas wszystkich, ale Lydię uwielbiał. Zmarł wkrótce po niej. Miał słabe serce, a szok po prostu go wykończył.

– Trudno mi wyrazić, jak bardzo mnie to smuci.

– To miło, że tak pani na niej zależało. Chciałem, żeby pani wiedziała o tym. Pomyślałem, że może pani znowu napisać do Lydii.

– Gdzie poznała tego młodego człowieka?

– Mark Chessingham zatrzymał się niedaleko od naszej farmy w Epping. Nie jesteśmy farmerami. Farmę prowadzi zarządca, a dla nas to tylko hobby. Mieszkamy głównie w Londynie, a na farmę uciekamy w czasie weekendów albo kiedy tylko się nam uda. On studiował prawo. Jego rodzina prowadzi firmę w Bazylei, a w Londynie mają filię. Przyjechał na wieś, żeby się uczyć do egzaminów. Nasza farma leży na skraju lasów Epping. To bardzo wygodne położenie. Niedaleko stamtąd do Londynu. Właściwie to przede wszystkim dlatego mój ojciec wybrał to miejsce.

Przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej:

– Spotkała go pewnego dnia. Zakochali się w sobie i chcieli się pobrać. Mój ojciec wolałby długie narzeczeństwo, ale Lydia nie chciała o tym słyszeć i zagroziła, że ucieknie z nim, jeśli nie uzyska zgody. W końcu ojciec poddał się... nie bez wielu obaw oczywiście. Ale Mark był uroczy i wydawało się, że to bardzo odpowiednia dla niej partia. Ponieważ wszystko odbyło się tak szybko, ślub był cichy.

– Nie napisała mi o tym.

– To naprawdę dziwne, bo często panią wspominała i była taka dumna z niego i z tego, że jest mężatką. To bardzo miły chłopiec. Lydia miała małą fortunę, która przypadła jej z chwilą wyjścia za mąż. W pierwszym momencie pomyślałem, że to może mieć z tym małżeństwem coś wspólnego. Wydawało się jednak, że jemu samemu powodziło się tak dobrze. Firma jego rodziny była znana, nawet w Londynie, a on nie okazał najmniejszego zainteresowania jej pieniędzmi. Wyjechali z Anglii niemalże od razu po ślubie, a w trzy miesiące później... nie żyła. Dostawaliśmy od niej tak radosne listy, że nawet mój ojciec doszedł do wniosku, że pomimo wszystko miał rację, że pozwolił na to małżeństwo. Pewnego dnia nadeszła wiadomość. Mark był zrozpaczony. Przesłał do nas list pełen największego żalu. Pisał, że była zbyt nieostrożna. Wiele razy ostrzegał ją, ale ona ryzykowała. Była tak pełna entuzjazmu, tak chciała błyszczeć dla niego i próbowała robić to, co robili najlepsi. Tak to się skończyło. Jej ciało odnaleziono dopiero tydzień po wypadku.

Milczałam, a on powiedział łagodnie:

– Przepraszam, że zasmucam panią w ten sposób. Może lepiej by było, gdybym nie przyjeżdżał!

– Nie, nie. Wolę wiedzieć. Ale to taki szok, kiedy zna się kogoś tak dobrze jak ja Lydię... nawet jeśli minęło już trochę czasu od naszego ostatniego spotkania...

– Cieszę się, że była pani tak bliska.

– Proszę mi powiedzieć – zapytałam – czy jest pan tu na wakacjach?

– Nie. Pracuję w Londynie, ale pomyślałem, że wezmę kilka wolnych dni, żeby zobaczyć się z panią. Czuję, że chcę to zrobić. Muszę wyznać, że przeczytałem pani ostatni list do Lydii i wiedziałem, że muszę panią powiadomić. Nie chciałem, by pani myślała, że Lydia nie zadała sobie trudu, by odpisać.

– Lydia wiele mówiła o swojej rodzinie. Tak was wszystkich kochała. Teraz to pan jest głową rodziny, jak sądzę.

– Można tak powiedzieć. U nas nigdy nie panowały patriarchalne zwyczaje. Wszyscy

jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

– Zajmujecie się bankierstwem, prawda? – Tak.

– W centrum Londynu? Skinął potwierdzająco.

– Mamy dom w Kensington i oczywiście farmę. Moja matka zmarła, ale dla Lydii zawsze na szczęście mieliśmy dobre guwernantki. W naszym domu było wiele radości. Ojciec był dla nas jak brat. Być może pozwalał nam na zbyt wiele... jeśli chodzi o Lydię... na przykład. Jeśliby poczekała... Jeśli nie byłaby taka nieostrożna...

– Była tak szczęśliwą dziewczyną. Sposób, w jaki mówiła o domu... widziało się, jak wiele to dla niej znaczyło.

– I odeszła z mężczyzną, którego ledwo знаła.

– Taka po prostu jest miłość – powiedziałam.

– Sądzę, że ma pani rację. Jeśliby tylko... to bardzo przykry temat. Proszę opowiedzieć mi o sobie. Lydia mówiła, że ma pani zamiar prowadzić wspólny interes z ciotką w jakiejś wspaniałej elżbietańskiej posiadłości.

– Myślę, że trochę wyolbrzymiłam wspaniałość tej posiadłości. Być może mam skłonność do przesady, jeśli jestem z czegoś dumna.

– Chyba wszyscy tacy jesteśmy.

– Chciałam, żeby dziewczęta myślały, że byliśmy szalenie bogate i że ta bezcenna posiadłość z odnoszącą sukcesy szkołą miała być rodzajem hobby. Kiedy wróciłam do domu na wakacje, dowiedziałam się, że moja ciotka ma problemy finansowe, sprzedaje dom, a ja powinnam objąć posadę w innej szkole.

– Co też pani zrobiła.

– Tak, w Devon, we wspaniałym liczącym lata miejscu, w samym środku zrujnowanego opactwa. Szkoła mieści się w dawnych kwaterach braci świeckich.

– To brzmi fascynująco.

– Tak, i jest takie.

– A pani bardzo to odpowiada.

– To pobudzające. Niezmiernie podziwiam moją przełożoną i sposób, w jaki prowadzi szkołę, a na wakacje uciekam tutaj.

– To uroczy dom. Nie wiem dlaczego... – urwał, mówiąc to. – Przepraszam, to mogło zabrzmieć...

Zaśmiałam się.

– To zabrzmiało jak słowa prawdy. To zwyczajny, mały dom... nie większy niż wiejski domek, ale ma w sobie coś, prawda? Jest pan tu nie dłużej niż pół godziny, a czuje pan to. To za sprawą mojej ciotki. Ona ma taki wpływ na miejsca.

– Mam nadzieję, że będę miał jeszcze możliwość spotkania się z nią.

– Kiedy musi pan wracać?

– Myślałem o tym, żeby wyjechać jutro.

– Cóż, jestem pewna, że będzie pan zaproszony na lunch, oczywiście tylko, jeśli rozegra pan to dobrze. Lada moment Violet... oddana przyjaciółka i towarzyszka mojej ciotki... pojawi się z tacą, na której będą szklanki i butelka jej wina z pasternaku. Jeśli wypije go pan z rozkoszą i jeśli posunie się pan do tego, że powie jej pan, że nigdy nie pił lepszego pasternakowego wina, będzie pan z pewnością poproszony o zostanie na lunchu.

– Czy to zadecyduje o zaproszeniu?

– Oczywiście nie. Ciotka zaprosi pana, a ja też już zdecydowałam się to uczynić. To wystarczy. Ale cała ta procedura sprawi przyjemność Violet. Niech pan nie będzie zbyt

entuzjastyczny. Ona jest podejrzliwa. Proszę po prostu posmakować, przechylić głowę na bok i powiedzieć: „ach!”. Jest taka kochana, a ludzie nie zawsze zdają sobie z tego sprawę. Lubimy się z nią droczyć, ale i sprawiać jej przyjemności.

– Dziękuję za wskazówki.

– A oto i Violet – powiedziałam – i zgadza się, oczywiście niesie wino pasternakowe.

– To był dobry rok dla win – oznajmiła Violet – a nikt nie zrobi dobrego wina bez dobrych zbiorów. Pan wiedziałby o tym, panie...

– Markham – dopowiedziałam.

– Ach tak, teraz sobie przypominam. Proszę tego spróbować, panie Markham. Tereso, przynieś te ciasteczka do wina.

– Rozpieszcza mnie pani – powiedział John Markham. Z należytym pietyzmem uniósł kieliszek do ust, wciągnął nozdrzami zapach, jakby to robił w piwnicy jakiegoś otoczonego winnicami *chateau*. Upił łyk. Panowała głęboka cisza.

W końcu wzniosł oczy ku sufitowi i powiedział:

– Wiedziałem, jeszcze zanim spróbowałem. Ma wspaniały bukiet i to rzeczywiście musiał być dobry rocznik.

Violet zaróżowiła się.

– Widzę, że należy pan do tych, którzy znają się na rzeczy.

– Sugerowałam panu Markhamowi, że może zjadłby z nami lunch – powiedziałam. – Zatrzymał się w „Kings Arm’s”.

Violet skrzywiła się.

– Słyszałam, że kiepsko tam karmią. Gdybym wiedziała... ale mamy tylko placek pasterski i tarte jabłkową.

– Nie mogę wymyślić niczego lepszego, na co miałbym ochotę, niż pasterski placek i jabłkowa tarta.

– Cóż – powiedziała z zadowoleniem Violet – gościć pana to będzie dla nas wielką przyjemnością. Przygotuję dodatkowe nakrycie.

Weszła Teresa i została przedstawiona.

Zanim wróciła ciotka Patty, John Markham zrobił wyjątkowo dobre wrażenie i na Violet, i na Teresie. Dla mnie był bratem Lydii i nie wydawał mi się obcy.

* * *

John został na lunch, po czym wrócił do hotelu, ale przed wyjściem dostał od nas zaproszenie na kolację.

Wiedziałam, że był w głębokim smutku po śmierci Lydii. Nie należał jednak do ludzi, którzy zaprzętały innych swoimi problemami. Był interesujący i wesoły. Opowiadał o swojej pracy, o życiu w Londynie i na farmie w Epping. Powiedział, że jego brat Charles przebywał w Londynie. Było miło móc pojechać na farmę, kiedy tylko mieli szansę się wyrwać.

– To zadziwiające – opowiadał – jaką przyjemność sprawia stawianie stogów siana i zwożenie zboża... zwłaszcza jeśli spędzało się dni w biurze na walce z cyframi i robieniu tego wszystkiego, co składa się na życie bankiera. Wieś jest fascynująca. To najpewniej sprawa odmiany... radość z podwinięcia rękawów, założenia starego roboczego ubrania, zrzucenia z siebie blichtru miasta w zamian za odrobinę wiejskiej aktywności.

Violet, wychowana na wsi, słuchała tego z uwagą. Nigdy nie widziałam, żeby przekonała się do kogoś obcego tak szybko. Miał do opowiedzenia tyle historii o farmie.

O tym, że dawniej nie miał najmniejszego pojęcia, jak sobie radzić. W jego ustach wszystko to brzmiało bardzo zabawnie.

Teresa także z wielkim zainteresowaniem słuchała jego anegdotek.

– Chciałabym mieszkać na farmie – powiedziała.

Po kolacji siedzieliśmy w ogrodzie.

– Chłód wieczoru to najlepsza pora dnia – stwierdziła Violet.

Wszystkie poszliśmy odprowadzić go do bramy i żalowałyśmy, że jego wizyta dobiegła końca.

Ale następnego poranka pojawił się znowu.

Violet była w ogrodzie. Obierała na powietrzu ziemniaki. Często to robiła, kiedy pogoda dopisywała. Teresa siedziała obok niej, wyłuskując groszek. Ciotka Patty była już ubrana do wyjścia, a ja miałam iść razem z nią do wioski po zakupy. I w tym momencie on się pojawił. Z okna mojego pokoju zobaczyłam, że nadchodzi alejką.

Zawołałam do niego:

– Dzień dobry, sądziłam, że pan wyjechał.

– Nie mogłem się do tego zmusić – powiedział.

– Proszę wejść do ogrodu – odparłam. – Zaraz będę na dole. Violet zawołała:

– A niech mnie! – I była aż zaróżowiona z radości, tak samo jak i Teresa.

– Prawdę mówiąc – powiedział – pomyślałem sobie, że zostanę jeszcze jeden dzień.

– Wszystkie jesteście zdecydowanie zadowolone z tego powodu – odpowiedziałam mu.

Ciotka Patty przyszła do ogrodu w kapeluszu ze słonecznikami.

– To miła niespodzianka.

– I miłe powitanie – odparł.

– Pan zostaje na jeszcze jeden dzień – oznajmiła Violet. – Tereso, pobiegnij i przynieś mi trzy ziemniaki. Myślę, że groszku wystarczy.

– Dziękuję – powiedział. – Chyba miałem nadzieję, że zostanę zaproszony.

– Jak pomyślę sobie o tym, co jest serwowane w jadalni „King’s Arms”, wiem, że byłoby nie w porządku nie wyciągnąć pana z tego – skomentowała Violet.

– Miałem nadzieję – powiedział – że mogę dostać takie zaproszenie z innego powodu.

– Z jakiego? – zapytała Teresa.

– Z takiego, że uznałyście moje towarzystwo za wystarczająco ciekawe, żeby chcieć przestawać ze mną jeszcze przez jeden dzień.

– Ależ tak jest – zakrzyknęła Teresa.

– A na kolację mamy pieczeń wieprzową – powiedziała Violet.

– Czy to stwierdzenie faktu, czy zaproszenie?

– Znając Violet – wtrąciła ciotka Patty – i to, i to.

– Zdaje się, że pojawiłem się akurat w chwili, gdy wychodziłyście panie – powiedział, patrząc na ciotkę Patty i na mnie ubrane do wyjścia.

– Wybierałyśmy się tylko do wiejskich sklepików. Miałyśmy jechać dwukółką. Pojechałby pan z nami? Kiedy ja będę robić zakupy, Cordelia może pokazać panu kościół, a wrócimy razem. Kościół jest wart obejrzenia, chociaż wieża w każdej chwili grozi zawaleniem.

– A dzwony są nadpęknięte – wtrąciła Violet. – Powinien je pan usłyszeć, panie Markham, albo raczej nie powinien pan. To wstyd.

– Myślę, że powinniśmy już iść, zanim zagłębimy się w spór: wieża kontra dzwony –

powiedziała ciotka Patty. – Chodźmy.

Był to miły poranek. John Markham i ja poszliśmy do kościoła i pokazałam mu witraże, które zostały odrestaurowane przez kogoś z okolicy, i figurki z brązu najbardziej znacznych mieszkańców, a także nazwiska proboszczów, począwszy aż od dwunastego wieku. Przeszliśmy przez przykościelny cmentarz, mijając stare nagrobki z napisami niemalże wytartymi przez czas i wpływ warunków atmosferycznych. Do momentu kiedy dołączyła do nas ciotka Patty, poczułam, że bardzo dobrze znam Johna Markhama.

Tego wieczoru przy kolacji oznajmił:

– Jutro powinienem wrócić do Londynu, a za dwa tygodnie mam jechać na farmę. Będę tam przez cały tydzień. Bardzo chciałbym, żebyście panie przyjechały ją obejrzeć.

– Co takiego! – zakrzyknęła Teresa. – My wszystkie?

– Mamy wiele pokoi i lubimy gości. Stary wiejski dom nie jest wystarczająco używany. Nasz zarządca, Simon Briggs, mieszka we własnym domu. Nigdy nie korzysta z tamtego... jest przeznaczony wyłącznie dla rodziny i zawsze mówimy, że powinien być bardziej wykorzystywany. I co w takim razie?

Ciotka Patty zerknęła na Violet, a Violet utkwiała wzrok w talerzu. Zwykle spodziewałabym się po niej znalezienia różnego rodzaju powodów, żeby nie jechać. Tym razem jednak nie robiła tego.

– Och, pojedźmy... – powiedziała Teresa.

– Jest pan pewien? – zapytałam. – Nas jest cztery.

– To nic dla „Forest Hill”. To domostwo pomieści bez problemu i dwadzieścia osób.

Więc co panie na to?

– To brzmi... zachęcająco... – oświadczyłam.

Wszyscy się zaśmiali i zaczęliśmy podnieceni planować wyprawę do leżącej na skraju lasów posiadłości Markhamów.

* * *

Tydzień spędzony w „Forest Hill” był jednym z tych, który na długo pozostanie nam w pamięci.

Często myślałam o Jasonie Verringerze i o tym, jak sobie radzi na kontynencie, szukając Fiony. Ciekawa jednak byłam, co robi, kiedy ją znajdzie. Jeśli wyszła za męża, raczej trudno będzie mu ją sprowadzić do domu. Przyszło mi na myśl, że po powrocie może przyjechać do Moldenbury, a nie chciałam, żeby pojawił się, kiedy będziemy w Epping. Napisałam więc do niego krótko, że mam nadzieję, iż znalazł satysfakcjonujące informacje o Fionie i że nie ma mnie w Moldenbury, gdyż jesteśmy z wizytą u przyjaciół.

Było wiele zamieszania z przygotowaniem do wyjazdu. Violet nalegała, żeby zrobić niewielkie wiosenne porządki.

– Ot tak, na wszelki wypadek, gdyby coś się stało. Nie chciałabym, żeby obcy ludzie przyszli i zastali nieporządek w naszym domu.

– Co masz na myśli, mówiąc: „gdyby coś się stało”? – zapytałam.

W odpowiedzi Violet zacisnęła usta i nie odezwała się, a znając ją, byłam pewna, że pomyślała o wypadku pociągu, w którym wszystkie ginie, lub innych tego typu okropnych wydarzeniach. W każdym razie miałyśmy zostawić dom tak, by mógł być gotowy na przyjęcie wyjątkowo ważnych gości.

Pozwoliłyśmy jej na to. Teresa i ja zapakowałyśmy nasze bagaże, dyskutując w nieskończoność, co mamy zabrać na tygodniowy pobyt na wsi. Ciotka Patty miała trzy

pudła na kapelusze, po dwa w każdym z nich. Nie komentowałyśmy tego, wiedząc, że ciotka Patty i jej kapelusze nie dadzą się rozdzielić.

Z Johnem Markhamem spotkałyśmy się w Londynie i wszyscy razem pojechaliśmy w dalszą drogę. Od momentu, kiedy dotarliśmy do Epping, wszystkie byłyśmy zauroczone tym miejscem.

Ponieważ lato było gorące, żniwa zaczęły się wcześniej i miałyśmy w nich swój udział. Z niepokojem spoglądaliśmy w niebo, wypatrując oznak zbliżającego się deszczu. Teresa i ja zanosiliśmy żniwiarzom butelki z zimną herbatą, chleb i ser. Siadałyśmy razem z nimi w cieniu i przysłuchiwałyśmy się ich rozmowom.

Robiłyśmy też, ja i Teresa, przejażdżki po lesie. Czasami spacerowałyśmy. Było pięknie, ale drzewa zaczynały już wykazywać oznaki jesieni. Buki, wiązy, brzozy i jawory były lekko naznaczone żółcią, a dęby zaczynały nabierać barw czerwono-brązowych. Pamiętam zapach wiciokrzewu, który rósł bujnie przy drzwiach wejściowych domku na farmie. Nawet teraz kojarzy mi się on z panującym tam nastrojem spokoju.

Nocą leżałam w moim pokoju i delektowałam się przyjemnym uczuciem fizycznego zmęczenia. Byłam odurzona słońcem i świeżym powietrzem. Spałam najlepiej od czasu dostania anonimowego listu i byłam zdziwiona, kiedy uświadomiłam sobie, że przez cały dzień ani razu nie pomyślałam o tym, jak też o tamtych plotkach czy skandalach. Byłam taka zmęczona i tak pełna wrażeń mijającego dnia, że nie odczuwałam dawnych obaw i przerażających myśli. Miałam wrażenie, że moje rany goją się.

Południowy posiłek jadaliśmy przy wielkim drewnianym stole kuchennym z oknami szeroko otwartymi na zapachy świeżo postawionych stogów zboża. Słuchaliśmy też i włączaliśmy się w rozmowy o żniwach.

– Szkoda, że nie będzie was tu w czasie dożynek – powiedział John. Tutaj był zupełnie innym człowiekiem niż ten nienaganny dżentelmen, który odwiedził nas w Moldenbury. Miałam wrażenie, tak samo jak i pozostałe z nas, że znamy go już od bardzo dawna.

– A może będziemy mogły być? – zapytała z nadzieją Teresa.

– Tereso – odpowiedziałam jej – już niedługo musimy wracać do szkoły.

– Proszę nie mówić o tym – powiedziała smętnie Teresa.

John opowiedział nam o dożynkach i o wiejskim święcie.

– To najprzyjemniejsza pora roku. Kiedy kukurydza jest już zebrana, dzieci robią z niej lalki.

– I tylko patrzeć zimowych zamieci – obwieściła Violet.

– Zawieszamy te lalki na ścianach. Są talizmanami, symbolizującymi naszą nadzieję na dobre zbiory w przyszłym roku.

– Robiliśmy to samo w moim domu rodzinnym – powiedziała Violet.

– To często spotykany zwyczaj – dodał John. – Zdaje się, że datuje się aż od czasów średniowiecza.

– To przyjemnie widzieć, że tradycja jest podtrzymywana – powiedziała Violet.

Myślę, że to właśnie ona zadziwiła nas sobą najbardziej. Naprawdę cieszyła się z pobytu w „Forest Hill”. Przejęła we władanie kuchnię. Zwykle, kiedy właściciele byli obecni, domem zajmowała się żona zarządcy. Tym razem była aż nadto szczęśliwa, mogąc pozbyć się tych obowiązków na rzecz Violet, a Violet znalazła się w swoim żywiole. Stała się dosyć sentymentalna, opowiadając nam o swoim dzieciństwie.

Pomimo szczęśliwych dni, jakie przeżywałyśmy, nie mogłam pozbyć się myśli o Lydii

i kiedy John powiedział mi: „Mieszka pani w sypialni Lydii”, wydawało mi się, że wyczuwam tam jej obecność i raz czy dwa śniła mi się.

Miałam wrażenie, że słyszę przez sen jej głos: „Nie martw się mną, Cordelio. Ja nie żyję”.

Przebudziłam się, a te słowa brzmiały mi w uszach. Wiatr, który się zerwał, porwał jasne zasłonki, które wydymały się na zewnątrz, ponieważ okno było szeroko otwarte. Wybudzona ze snu, sądziłam, że widzę stojącą tam zjawę.

– Lydio – zawołałam i usiadłam w łóżku.

Wtedy uświadomiłam sobie, co widziałam, wstałam z łóżka i przymknęłam okno. Miałam wrażenie, że jest całkiem chłodno.

Wróciłam do łóżka, ale już nie zasnęłam. Sięgałam myślą wstecz do dawno minionych dni, wspominając Lydię.

Rano jednak zapomniałam o niej, byłam na polach i śmiałam się ze wszystkimi.

John pojechał do Londynu razem z nami. Wybierał się do Kensington, co też uczynił, wsadziwszy nas uprzednio do pociągu jadącego do Moldenbury.

– To był wspaniały tydzień – powiedziała Teresa. – Naprawdę lubię Johna.

* * *

Wakacje kończyły się. Następnego dnia obydwie z Teresą miałyśmy jechać do Colby. Ostatniego wieczoru, kiedy wszyscy już poszli spać, ciotka Patty przyszła do mojego pokoju na jedną ze swoich pogawędek.

– W sumie były to bardzo miłe wakacje – powiedziała. – Lubię Markhamów.

– Tak, jaka to dobra rodzina. Myślę, że wszyscy przeżywają stratę Lydii.

Ciotka Patty milczała przez kilka chwil, po czym oświadczyła:

– Sądzę, Cordelio, że John Markham jest bliski zakochania się w tobie.

– Ależ, ciociu Patty, tak krótko go znam. Masz bardzo romantyczną naturę.

– Wiem, że uważasz mnie za ignorantkę w tych sprawach, gdyż jestem starą panną mieszkającą na wsi. Ale sprowadzam sobie z miasta różne trzytomowe powieści i to, co się w nich dzieje, otwiera oczy nawet takim niemądrym starym pannom jak ja.

Objęłam ją ramieniem i pocałowałam.

– Nie zezwalam na wygłaszanie tak lekceważących uwag o tobie, nawet jeśli to ty sama je robisz.

– To takie urocze domostwo. – Wyglądała na odrobinę zadumaną. – Często myślę o tobie jako o mężatce mającej dzieci. Wiesz, że mogłabym pokochać jakieś dzieciaczki.

– Och, kochana ciociu, tak mi przykro, że nie staję na wysokości zadania.

– Kiedyś to zrobisz, nie wątpię w to. Po prostu pomyślałam o tym, że to taki miły dom... przyjazny i łatwo można się wdroić do życia w nim. Uważam, że John Markham to taki dobry człowiek. Jemu można zaufać. Z nim wie się, że on znajdzie się zawsze tam, gdzie będzie potrzebny... i zrobi to, co najlepsze.

– Jestem pewna, że taki właśnie jest.

– Przypuszczam, że będziemy go widywać częściej. Zaśmiałam się.

– Ciociu Patty, wymyślasz klasyczny romans.

– Sądzisz, że to tylko wymysł? Oznaki są mi znane. Uśmiechasz się. To dlatego, że myślisz o moim braku doświadczenia w podobnych sprawach. Nie jestem taką zupełną ignorantką. Kiedyś o mało nie wyszłam za mąż... tyle tylko, że wszystko źle się ułożyło.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Nie było o czym. On poznał kogoś innego.

– Musiał być z niego nie lada głupiec.

– Był, jak sądzę, bardzo szczęśliwy. Życie polega na tym, żeby iść odpowiednią drogą w odpowiednim czasie. Odpowiednia chwila to kluczowa sprawa... okoliczności też... i te dwa czynniki muszą wystąpić jednocześnie. Ważne, aby rozpoznać te sprzyjające okoliczności, póki jeszcze czas po temu. Cordelio, kiedy nadejdzie dla ciebie taki czas, musisz dokonać właściwego wyboru. Dobranoc, kochanie.

Przytuliła mnie mocno do siebie.

– Zawsze dodawałaś mi otuchy, kiedy mnie tak obejmowałaś – powiedziałam. – Tak było i wtedy, kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy. Pamiętam twój kapelusz i zapach lawendy... i było dokładnie tak samo.

– I zawsze tak będzie, Cordelio – powiedziała.

Potem pocałowała mnie i wyszła.

Alarmujące odkrycie

Rozpoczął się nowy semestr. Daisy zwołała jak zawsze z tej okazji nauczycielskie zebranie i wszystkie zgromadziłyśmy się w jej gabinecie.

– Zrobimy, co tylko w naszej mocy – powiedziała – żeby zapomnieć o wydarzeniach, jakie miały miejsce w poprzednim semestrze. Dziewczeta mają być pilnie dozorowane, kiedy są poza szkołą... nawet jeśli jeżdżą konno. Miałyśmy szczęście, że dziewczynką zamieszaną w tamto wydarzenie była Fiona Verringer i że w efekcie uciekła, będąc we własnym domu, a nie w szkole. Gdyby dotyczyło to którejś innej uczennicy, mogłyby wyniknąć nieprzyjemne problemy z jej rodzicami. Jednakże musimy się mieć na baczności przed tego typu ewentualnościami. Z tego, co mówi sir Jason Verringer, wynika, że w dalszym ciągu nie wie, gdzie jest Fiona i jej mąż, chociaż był na kontynencie i szukał ich. Cóż, miejmy nadzieję na spokojniejszy semestr. Nie chcemy, aby dziewczeta jeszcze szeptały na ten temat. Nie należy więc wspominać tego incydentu. Dziewczeta mają skłonności do podziwiania tych, które postępują niemądrze. Następną taką ucieczka byłaby dla szkoły katastrofą. Tak więc... sprawa jest zamknięta.

Dobrze byłoby, żeby zaczęły przygotowywać jakiś program na uroczystości bożonarodzeniowe. Wydaje się, że to za wcześnie myśleć o tym, ale to zajmie ich umysły. Powiedzmy, sceny z Szekspira... niewielkie wyjątki, które mogłyby grać przed całą szkołą. Zastąpi to nadmierne ekscytacje i spekulacje i sprawi, że będą miały głowy zajęte czym innym.

Panno Grant, umieszczam ponownie Charlotte Mackay w jednym pokoju z Eugenią Verringer. Dawniej mieszkały razem i zawsze były przyjaciółkami. Pomyślałam, że to może pomóc Eugenii. Na pewno tęskni za siostrą. Wakacje spędziła u Mackayów na północy, niedaleko Berwick. Nie chcę, żeby Eugenia za dużo rozmyślała o siostrze. Pozwolenie jej na wyjazd do Mackayów było dobrym pomysłem. To lepsze rozwiązanie, niż gdyby została we Dworze i przypominała sobie co krok, że siostry już tam nie ma. Eugenia jest trudna w codziennych kontaktach, a tego typu dziewczeta potrafią być uciążliwe na wiele sposobów.

Mamy nową uczennicę, Margaret Keyes. Wydaje się, że to miła dziewczynka. Możemy ją umieścić na miejscu Charlotty z Patrycją Cartwright.

Kontynuowała omawianie innych spraw dotyczących semestru, aż w końcu pozwoliła nam udać się do naszych pokoi, abyśmy mogły, jak to nazwała, zadomowić się.

Tego wieczora zrobiłam swój zwykły obchód. Wszystkie moje podopieczne były w łóżkach i wydawały się wystarczająco wyciszone, nawet Charlotta i Eugenia. Charlotta spojrzała na mnie jednak trochę triumfująco, jakby chciała mi przypomnieć o tym pierwszym moim wieczorze w szkole, kiedy to nastąpiło niefortunne starcie dotyczące tego, kto ma spać w którym pokoju.

Pierwszych kilka dni minęło bez większych wydarzeń, aż do pewnej nocy, kiedy obudziłam się, widząc stojącą obok mojego łóżka postać, która mówiła nagłaco: „Panno Grant, panno Grant”.

Zerwałam się. To była Charlotta.

– Charlotto! – wykrzyknęłam. – Co się stało?

– Chodzi o Eugenię – powiedziała. – Jest chora.

W pośpiechu założyłam szlafrok i nocne pantofle i ruszyłam za nią do ich sypialni. Eugenia leżała na wznak. Była bardzo blada. Na jej czole widniały kropelki zimnego potu.

Powiedziałam:

– Idź natychmiast po pannę Hetherington.

Charlotta, wyglądająca na naprawdę wystraszoną, posłuchała natychmiast.

Już wkrótce przy łóżku Eugonii była i Daisy. Białe włosy miała splecione w dwa warkocze związane niebieskimi wstążkami, ale jak zawsze wiadomo było, że to ona tutaj dowodzi.

– Eugenia zachorowała – powiedziała. Nachyliła się nad nią.

– Czy sądzi pani, że powinniśmy wezwać lekarza? – zapytałam.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Jeszcze nie. To prawdopodobnie tylko atak wreczka żółciowego. Lepiej, żeby dziewczęta o tym nie wiedziały. One tak wszystko wyolbrzymiają. W moim pokoju są sole trzeźwiące. Możesz pójść i przynieść je, Charlotto? Są w kredensie po prawej stronie.

Charlotta wykonała polecenie.

– Najpewniej zjadła coś, co jej zaszkodziło – powiedziała Daisy. – To się zdarza od czasu do czasu. Co miały na kolację?

– Rybę. A potem przed snem dostały mleko i ciasteczka.

– To pewnie ta ryba. Dajmy jej pół godziny. Jeśli nie poczuje się lepiej, wezwę lekarza.

Wróciła Charlotta z solami trzeźwiącymi.

– Proszę bardzo – podsunęła Daisy. – O tak.

Eugenia otworzyła oczy.

– Jest ci już lepiej, kochanie? – zapytała Daisy swoim dziarskim głosem, który narzucał odpowiedź twierdzącą.

– Tak, panno Hetherington.

– Czulaś się chora, prawda?

– Tak, panno Hetherington... było mi niedobrze i kręciło mi się w głowie.

– Leż spokojnie. Ja i panna Grant zostaniemy tutaj, aż zaśniesz, i upewnimy się, że wszystko jest w porządku.

– Dziękuję – powiedziała Eugenia.

– Charlotto, powinnaś się położyć. Możesz pilnować Eugonii, ale my jeszcze tu pobędziemy przez chwilę. To tylko zwykły atak wreczka żółciowego. Widocznie nie powinna jadać ryby.

Jakaż była wspianiała nasza Daisy! Żaden generał nie potrafiłby dodać więcej otuchy swoim podkomendnym. Z Daisy u steru wiadomo było, że wszystko musi przebiegać zgodnie z planem.

A jednak... nastąpiła ta ucieczka. Ale o tym ona nic nie wiedziała, aż stało się to *fait accompli*.

Eugenia przymknęła oczy. Oddychała dużo łatwiej i wyglądała lepiej.

– Myślę, że zasnęła – powiedziała Daisy. – Wygląda już normalniej. – Dotknęła jej czoła. – Nie ma gorączki – szepnęła.

Po pięciu minutach ciszy wstała i powiedziała:

– Możemy chyba wrócić do naszych łóżek. Charlotto, gdyby Eugenia potrzebowała czegokolwiek, obudzisz pannę Grant. A jeśli to będzie konieczne, przyjdź po mnie.

– Tak, panno Hetherington.

– Dobranoc, Charlotto. Wiemy, że zwrócisz uwagę na Eugenię.

– Tak, panno Hetherington, dobranoc. Dobranoc, panno Grant.

Daisy zatrzymała się, kiedy doszłyśmy do mojego pokoju.

– Rano będzie się już czuła dobrze. Tak jak myślałam, to lekki atak wreczka.

Charlotta dobrze się spisała. Wiesz, ona zachowuje się o wiele lepiej, jeśli ma coś do załatwienia. Kiedy czuje się potrzebna... Co o tym sądzisz?

– Jestem tego samego zdania.

– Musimy mieć oko na nie obydwie – powiedziała Daisy. – Nie sądzę, żebyśmy były jeszcze niepokojone tej nocy.

Położyłam się. Byłam zmęczona i zasnęłam szybko.

Rano Eugenia czuła się lepiej – tak twierdziła. Ale ja uważałam, że potrzebuje wypoczynku. Nie chciała tego. Była raczej zawstydzona swoją chorobą.

– Naprawdę czuję się dobrze, panno Grant. Nie wiem, co to było, i czuję się tylko trochę dziwnie.

– Myślę, że po południu powinnaś odpocząć.

– Och nie, panno Grant.

– Zrobisz to, Eugenio. Taki atak osłabił cię bardziej, niż ci się zdaje. Nalegam, żebyś odpoczęła po południu. Możesz poczytać albo może Charlotta będzie chciała pobyć z tobą.

Przystąpiła na to bez większego entuzjazmu.

Była chyba trzecia po południu, kiedy poszłam do swojego pokoju i przypomniałam sobie, że Eugenia miała odpoczywać. Pomyślałam, że zajrzę do niej i sprawdzę, czy zastosowała się do mojego polecenia.

Drzwi były zamknięte, ale usłyszałam chichoty dobiegające ze środka. Domyśliłam się, że była z nią Charlotta.

Zawahałam się, ale zdecydowałam zajrzeć tam. Zapukałam do drzwi. Nastąpiła chwila ciszy, otworzyłam je więc i weszłam.

Eugenia leżała na łóżku, a Charlotta, wygodnie wyciągnięta, zajmowała swoje. Na krześle siedziała Elsa.

– Och – powiedziałam.

– Kazała mi pani odpoczywać – odezwała się Eugenia.

– Przyszliśmy, żeby ją rozweselić – dodała Elsa z grymasem uśmiechu na ustach.

– Wydaje się, że się wam to udało. Jak się czujesz, Eugenio?

– W porządku, dobrze – powiedziała Eugenia.

– Cieszę się. Możesz wstać, jeśli będziesz chciała.

– Dziękuję, panno Grant.

Kiedy wyszłam, zamykając za sobą drzwi, śmiechy rozległy się na nowo.

Myślałam o Elsie. Z pewnością nie zachowywała się jak służąca, a ja zastanawiałam się, jak to robiłam już przy kilku innych okazjach, czy powinnam ją upomnieć za przestawanie z dziewczętami i zachowywanie się, jakby nie należała do służby, a raczej była jedną z nich. Zawsze jednak udało jej się rzucić mi spojrzenie przypominające o naszych dawnych dniach spędzonych w Schaffenbrucken, kiedy to w towarzystwie moim i moich przyjaciółek zachowywała się podobnie jak teraz z Eugenią i Charlottą. To jeden z minusów bycia w takiej sytuacji jak moja, kiedy to był w moim otoczeniu ktoś, kto znał mnie jako uczennicę. Trudno było karcić kogoś za to, co się kiedyś robiło samemu. Być może jednak najdziwaczniejszym aspektem całej sprawy było to, że Charlotta, uważana przez nas wszystkich za wielką snobkę, była w tak przyjacielskich stosunkach ze służącą.

Jednakże temu incydentowi nie poświęciłam już wielu więcej myśli.

Dostałam list od Johna Markhama. Pytał, jakie to uczucie być znowu w szkole po wakacjach. „Spędziliśmy wszyscy razem niezapomniany tydzień – pisał. – Czułem się

tak, jakbyśmy wszyscy znali się od lat. Dlaczego Lydia nigdy nie zaprosiła pani do nas? Mogliśmy się poznać dużo wcześniej. Bardzo chciałbym się z panią zobaczyć. Czy odwiedziny w szkole to rzecz zakazana? Sądzę, że nie zostałyby to uznane za *comme il faut*. Czy nie istnieje coś takiego jak przerwa międzysemestralna? Czy jedzie pani wtedy do domu? A może to zbyt daleka podróż na tak krótki okres. Do Londynu byłoby o wiele bliżej. Chciałbym, żeby poznała pani mojego brata Charlesa. Może pani i Teresa mogłybyście nas odwiedzić? Proszę o tym pomyśleć”.

Rzeczywiście pomyślałam i była to bardzo nęcąca propozycja. Nie wspomniałam o tym Teresie, ponieważ nie chciałam robić jej nadziei, kiedy nie byłam jeszcze pewna, czy uda mi się pojechać.

W dalszym ciągu dochodziłam do siebie po szoku spowodowanym zajściem z Jasonem Verringerem w „Diabelskiej Kwaterze” we Dworze w Colby. To wydarzenie poruszyło mnie nawet bardziej, niż wtedy sądziłam. Nie mogłam przestać o nim myśleć. Wyobrażałam sobie, co mogłoby się stać, gdybym nie wykonała dramatycznego gestu rozbicia dłońmi szyby. Tak czy inaczej gest ten nie na wiele by się zdał, gdyby Jason był zdecydowany, aby mnie dopaść. Nigdy nie zdołałabym mu się wymknąć. A gdyby udało mi się dostać do okna, czy wyskoczyłabym ze szczytu wieży? Swoim postępkami sugerowałam, że wolałabym śmierć niż ulec mu. To było szaleństwo. Jednak mimo wszystko otrzeźwiło go to. Widok krwi na moich dłoniach był dla niego naprawdę szokujący.

Przestań o nim myśleć, nakazałam sobie. Zapomnij o nim. Było to tylko niemiłe przeżycie, z którego wyszłam bez szwanku. Nawet rany na moich dłoniach już się zagoiły. W Colby byłam jednak otoczona przez ruiny minionych czasów i wszystkie te smętne legendy i okropne cierpienia, jakie musiały tu mieć miejsce. Byłam przytłoczona atmosferą kataklizmu i zatracenia.

Tutaj działały się dziwne rzeczy. Wydawało się, że Jason Verringer jest zawsze w pobliżu. Co naprawdę przydarzyło się jego żonie? Gdzie była Marcia Martindale? Tam gdzie był Jason, tam zawsze pojawiały się znaki zapytania. Człowiek ten miał ponure sekrety. Można było niemalże uwierzyć, że diabeł był jednym z jego przodków.

Jakże inaczej to wyglądało w Epping. Słońce, zapach kukurydzy, prostota wszystkiego: sposobu życia, ludzi. Czyste, świeże i łatwe do zrozumienia. Spokój... to było to, co oferowało Epping... i właśnie teraz spokój był bardzo ponętny. Chciałam tam być, a jednocześnie... niemalże wbrew mojej woli, coś ciągnęło mnie ku ciemnym wieżom Dworu w Colby i ruinom Abbey.

Tym, co w końcu zdecydowało, że przyjąłam zaproszenie Johna, był jeszcze jeden list, jaki dostałam. List od Monique Delorme, który przekazała mi ciotka Patty.

„Droga Cordelio – pisała po francusku. – Nie jestem już panną Delorme. Jestem panią de la Creseuse. Tak. Wyszłam za Henriego. Życie jest piękne. Przyjeżdżamy do Londynu. Przyjaciele Henriego użyczyli nam swojego domu na dwa tygodnie. Tak więc od trzeciego w przyszłym miesiącu będziemy w waszej stolicy. Byłoby cudownie móc się z tobą zobaczyć. Napisz do mnie na mój londyński adres, podam ci go. Cieszę się z góry na usłyszenie wszystkich nowinek od ciebie. Proszę, przyjeźdź.

*Zawsze kochająca cię, wierna przyjaciółka.
Monique”.*

Powiedziałam Daisy, że dostałam zaproszenie od przyjaciół, u których

przebywałyśmy w czasie wakacji.

– Mieszkają w Londynie, ale my byliśmy przez tydzień z nimi na wsi. Mogłabym pojechać do nich w czasie przerwy międzysemestralnej. Tylko na pięć dni, licząc w tym i weekend. Pomyślałam, że dobrze byłoby wykorzystać tę możliwość.

Daisy zamyśliła się.

– Tylko kilka dziewcząt pojedzie do domów. Oczywiście lekcji nie będzie. Nie sądzę, aby inne nauczycielki planowały wyjazd. Tak, myślę, że może uda ci się wyrwać.

– Teresa jest także zaproszona.

– Och, to będzie dla niej przyjemność.

– W takim razie, mogę zacząć wszystko planować?

– Sądzę, że tak. Zajmij się tym.

Tak też zrobiłam. John odpisał mi, że jest zachwycony. Napisałam też do Monique, na adres, który podała mi w liście. Zawiadomiłam ją, że odwiedzę ją, kiedy będzie w Londynie.

* * *

John czekał na stacji Paddington i już wkrótce jechaliśmy do jego domu w Kensington. Był to wysoki budynek zbudowany na bazie kwadratu, strzeżony przez dwa groźnie wyglądające kamienne lwy. Białe stopnie prowadzące do dębowych drzwi lśniły, a mosiężne elementy błyszczały niczym złoto.

Kiedy otworzył drzwi swoim kluczem, w holu pojawił się wysoki, młody człowiek.

– To Charles – powiedział John. – Nie może się doczekać, żeby was poznać. Słyszał wszystko o waszym pobycie na farmie.

Była to taka sama twarz: przystojna i pełna otwartości. Natychmiast polubiłam Charlesa. Nadeszła służąca.

– Saro – powiedział John. – Panie będą chciały pójść do swoich pokoi. Tereso, twój pokój jest obok pokoju Cordelii.

Weszłyśmy po schodach bogato wyłożonych dywanem w odcieniu ciepłej purpury. Dotarłyśmy do podestu. Służąca otworzyła drzwi i znalazłam się w jasnej sypialni z wielkim łóżem z baldachimem. Ani trochę nie przypominała ona sypialni z ciężkimi aksamitnymi zasłonami, jaką mieli we Dworze. Tutaj zasłonki były jedwabne, udrapowane na obydwu krańcach łóżka i podpięte jasnymi, fiołkoworóżowymi satynowymi kokardami. Gałki i poręcze były mosiężne i lśniły świeżością. Umeblowanie tworzyły delikatne, eleganckie sprzęty, wyglądające na osiemnastowieczny wyrób francuskich mistrzów. Było to urocze wnętrze. Podeszłam do okna i wyjrzałam na mały, wypielegnowany ogród. Rosły w nim zieleniejące się krzaczki, które na wiosnę i w lecie musiały tworzyć oazy kolorów. Pod ścianą z szarego kamienia w dalszym ciągu kwitły chryzantemy i michałki.

Weszła Teresa. Promieniała radością. Miała śliczny mały pokój, z którego prowadziły drzwi łączące go z moim. Weszłam tam, żeby go obejrzeć. To najwyraźniej była kiedyś garderoba.

– Czy nie jest piękny? – wykrzyknęła.

Była taka szczęśliwa. Nie tylko dlatego, że opuściła szkołę, ale dlatego, że znalazła się tu z Johnem. Należała do dziewcząt, które mocno trzymały się uczucia, kiedy już znalazły obiekt admiracji. Ku mnie zwróciła się w desperacji, a z naszych kontaktów wywodzili się ci wszyscy, na których zależało jej najbardziej: ja, ciotka Patty i Violet. A teraz do tego

grona dodała także Johna. Było to aż przytłaczające dla niej, dotąd niemającej nikogo bliskiego, a naraz tak wielu.

Obawiałam się, że miała tendencję do lekkiego dramatyzowania. Nigdy nie zapomnę, jak wrzuciła do stawu kolczyk Marcii Martindale. Teresa miała jeszcze niewiele lat i nie kontrolowała swoich emocji, a jako osoba niedoświadczona, dzieliła ludzi na bardzo dobrych albo bardzo złych. Istniały diabły i anioły... i nic pośredniego. Będzie kiedyś musiała się tego nauczyć, ale w najbliższym czasie będzie przebywać z tymi, których kocha, których podziwia i z którymi jest szczęśliwa.

Kolacja tego wieczoru była emocjonującym przeżyciem. Okna przytulnej jadalni wychodziły na ulicę. Podczas jedzenia słyszeliśmy stukot przejeżdżających konnych powozów i od czasu do czasu pokrzykiwania gazeciarzy, sprzedających wieczorne wydanie gazet.

Rozmawialiśmy o tygodniu spędzonym na wsi, o szkole, o Londynie i o tym, co powinniśmy robić w czasie naszego pobytu.

– Tyle rzeczy powinnyście obejrzeć – powiedział John. – Co najpierw?

– Mam się spotkać z koleżanką ze szkoły – powiedziałam. – Zaprosiła mnie do siebie. Na pojutrze.

– Dobrze, a w takim razie co z jutrzejszym dniem? Masz jakiś pomysł, Tereso? Zoo to zabawne miejsce.

– Lubię zwierzęta – wykrzyknęła Teresa.

– W porządku. Jutro rano zoo. Tereso, chciałabyś przejechać konno główną ulicą?

Teresa podeszła do tego trochę mniej entuzjastycznie. Tak naprawdę nigdy nie doszła do siebie po tamtym upadku, chociaż wpłynęłam na nią, żeby znowu zaczęła jeździć.

– Dobrze – powiedziała z wahaniem.

Wszystko było więc uzgodnione.

Spędziliśmy wspaniałe przedpołudnie. Nie tylko Teresie podobały się zwierzęta. Obserwowaliśmy karmienie fok, zachwycaliśmy się lwami i tygrysami. Zaśmiewaliśmy się, patrząc na błazeństwa małp. Sączyliśmy lemoniadę na tarasach i myślałam o tym, jaka jestem szczęśliwa. Nie chciałam, żeby ta wizyta dobiegła końca.

Kolacja była bardzo wesołym przedsięwzięciem. Wszyscy próbowali mówić jednocześnie, teraz, kiedy już się z nami oswoili. Siedzieliśmy w eleganckim salonie, przypominającym bardziej jadalnię, tyle tylko, że położonym na tyłach domu, a nie od frontu. Jego wielkie, francuskie okna wychodziły na ogródek, tworzący małe patio.

Rozmawialiśmy, aż staliśmy się bardzo senni. Raczej niechętnie rozeszliśmy się do łóżek, ponieważ oznaczało to zakończenie kolejnego, szczęśliwego dnia.

* * *

Następnego poranka John musiał pojechać do swojego banku i po drodze zawiózł mnie pod adres, który podała mi Monique.

Był to elegancki dom przy ulicy Albemarle, odchodzącej od Piccadilly. Przejechaliśmy przez Hyde Park, który uznałam za czarujący. Potem skręciliśmy w Piccadilly, gdzie przechadzali się modnie ubrani ludzie, przejeżdżały konie i powozy, tworząc malowniczy korowód wzdłuż głównego traktu miasta.

John zaprowadził mnie do środka. Sprytna młoda służąca powiedziała, że madame czeka na mnie. Zostaliśmy wprowadzeni do saloniku i oto miałam przed sobą Monique, wyglądającą rzeczywiście ślicznie w turkusowoniebieskiej, plisowanej sukni.

Przedstawiłam Johna, a Monique prosiła go, żeby napił się z nami odrobinę kawy lub wina, ale powiedział, że ma do załatwienia sprawy w śródmieściu i że przyjedzie po mnie za dwie godziny.

– Tak szybko? – odezwała się Monique w swoim nietypowo brzmiącym angielskim.

– Będę musiała wracać – wyjaśniłam – ponieważ zaplanowaliśmy na to popołudnie wycieczkę statkiem po rzece.

John wyszedł, a my usiadłyśmy wygodnie.

– Jaki to czarujący mężczyzna! – powiedziała Monique. – Henri też wyszedł załatwiać interesy. Miał nadzieję, że pozna cię, kiedy wróci. Tyle mówiłam mu o tobie.

– Małżeństwo ci służy, Monique – zauważyłam.

– Ach, Henri... on jest taki dobry.

– Wszystko w takim razie ułożyło się pomyślnie... Pamiętasz, zwykle mówiłaś o tym jako o twoim *mariage de convenance*.

– A tak, zdecydowano o nim, kiedy my byliśmy jeszcze w kołyskach. Ach te dokumenty, ci prawnicy... kontrakt... spory.

– Ale udało się!

– A ten pan Markham... on nadaje się dla ciebie.

– Ależ nie. To tylko przyjaciel. Powinnam ci była powiedzieć. To brat Lydii.

– Oczywiście... Lydia Markham. Gdzie w takim razie jest Lydia?

– Ach... to ty nic nie wiesz... Lydia nie żyje.

– Niemożliwe!

– To był wypadek na nartach.

– Lydia... na nartach! Jestem zaskoczona. Ale to okropne, że nie wiedziałam o niczym.

– Cóż, sądzę, że i ja nie dowiedziałabym się o tym, gdybym nie napisała do niej. Jej brat przeczytał mój list i potem przyjechał, żeby się ze mną zobaczyć. Byłam wtedy u ciotki.

– A tak, u ciotki. Ile opowiadałaś nam o ciotce! Jak ona miała na imię?

– Ciotka Patty.

– Dobra ciotka Patty.

Weszła służąca z kawą. Kiedy odeszła, Monique obsłużyła nas.

– Nie mogę przestać myśleć o Lydii... zginąć w ten sposób. Trudno w to uwierzyć.

– Tak, to potworny szok. Byłam zaskoczona, kiedy jej brat powiedział, że wyszła za mąż.

– Wiedziałam o tym. Lydia napisała do mnie. Była niesamowicie szczęśliwa.

– Do mnie nie napisała.

Monique milczała i popatrzyłam na nią przenikliwie. Usta miała zaciśnięte. Pamiętałam, że był to jej dawny zwyczaj. Oznaczało to, że wiedziała o czymś, o czym nie powinna mówić.

– Zastanawiam się, dlaczego nie napisała do mnie – powiedziałam. – Kiedy napisałam do ciebie, napisałam jednocześnie i do niej. Dostałam odpowiedzi od ciebie i Friedy, ale nie od Lydii.

– Nie napisała do ciebie, ponieważ...

– Ponieważ co?

– Och... nie sądzę, żeby to teraz miało jakiegokolwiek znaczenie. Uważała, że mogłoby to być dla ciebie trochę nieprzyjemne.

– Nieprzyjemne? Dlaczego?

– No cóż, dlatego, że uważałyśmy, że to ty byłaś wybranką.
Czułam się zakłopotana.

– Jestem pewna, że teraz to nie ma żadnego znaczenia. To ty mogłaś być tą, która miała wypadek na nartach. Ale nie sądzę, żeby tobie się to mogło przytrafić. Ty byłabyś w tym lepsza.

– Nie rozumiem tego wszystkiego, Monique.

– Cofnij się myślami. Pamiętasz Else?

– Tak, a co śmieszniejsze, ona teraz pracuje w mojej szkole.

– Elsa... w twojej szkole! To naprawdę dziwne. O czymś takim mówi się oczywiście, że to przypadek.

– Powiedziała, że Schaffenbrucken znudziło ją i przyjechała do Anglii. Miała wcześniej pracę, której nie lubiła, i wyłudowała w końcu w mojej szkole.

– Bardzo dziwne, ale życie przecież takie właśnie jest.

– Mówiłaś o Lydii.

– Pytałam, czy pamiętasz, jak Elsa powiedziała nam, że jeśli w czasie Księżyca Łowców pójdziemy do lasu, możemy spotkać przyszłego męża?

– Tak, byłyśmy głupią gromadką i uwierzyłyśmy w to.

– Cóż, coś w tym było. Pamiętasz mężczyznę, którego nazywałyśmy Nieznajomym?

– Tak, tak, pamiętam go.

– Myślałyśmy, że polubił ciebie. Tak się wydawało. To dlatego Lydia nie chciała, żebyś się dowiedziała, że wyszła za męża. Uważała, że dotknie cię to, że to jednak nie ty byłaś jego wybranką. Była nią Lydia.

Pokój wokół mnie zawirował. Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszałam.

Powiedziałam:

– On nazywał się Edward Compton.

– Nie, to nie było to nazwisko. Nazywał się... niech pomyślę... Mark Jakiśtam. Mark Chessingham... czy – ton... albo jakoś tak.

– To niemożliwe.

– A jednak. Była taka podekscytowana. Mówiła, że to była prawda, to o spotkaniu przyszłego męża. Elsa miała rację. Ale Lydia powiedziała, że nie mówi tobie, bo myśli, że mogłaby cię urazić. O co chodzi?

– O nic. Wydaje mi się to takie dziwne...

– To nie jest ci obojętne, Cordelio. Rzeczywiście myślałaś, że on...

– Prawie o nim zapomniałam. Wmówiłam sobie, że on w ogóle nie istniał.

– Ależ istnieje jak najbardziej. Był mężem Lydii. Biedna Lydia! Był bardzo przystojny, prawda? Widziałam go tylko raz, ale był naprawdę... fascynujący. Proszę, napij się jeszcze kawy.

Mówiła w dalszym ciągu, ale nie słuchałam jej. Mogłam tylko myśleć. Tak więc on odszedł i poślubił Lydię. Ale dlaczego powiedział, że nazywa się tak jak ktoś, kto nie żył od dwudziestu lat?

Sądzę, że Monique uznała, że moja wizyta nie była tak pobudzająca, jak się tego spodziewała. John przyjechał po mnie, tak jak to było ustalone, i poczułam niezmierną ulgę, kiedy pożegnaliśmy się z Monique i jej mężem, który wrócił tuż przed naszym odjazdem.

Kiedy jechaliśmy do Kensington, powiedziałam:

– Dokonałam alarmującego odkrycia.

Opowiedziałam mu wtedy o mężczyźnie z lasu, o tym, jak spotkałam go na statku

i potem znowu w Grantley. O tym, jak zniknął nagle, a kiedy pojechałam do wioski w Suffolk, gdzie jak twierdził, mieszkał, odkryłam, że dwór, który miał być jego domem, jest spalony, a nazwisko, jakie mi podał, widniało na nagrobku człowieka nieżyjącego już od dwudziestu lat. I mężczyzną tym, zgodnie z opowiadaniem Monique, był mąż Lydii.

John wysłuchał mnie uważnie. Powiedział, że jest to niesamowita historia, i zastanawiał się, co mogła oznaczać.

– Powiem ci, co zrobimy – ciągnął. – Pojedziemy do tej wioski w Suffolk, gdzie widziałas nagrobek, i spróbujemy się czegoś dowiedzieć.

* * *

Następnego dnia rano o ósmej trzydzieści odchodził pociąg do Bury St Edmunds. Zdecydowaliśmy, John i ja, że pojedziemy nim. Charles zabierał Teresę na przejażdżkę po rzece od Schodów Westminsterkich aż do Hampton Court. Mogliśmy być spokojni, że mają zajęcie.

Wielką ulgą dla mnie było to, że mogłam rozmawiać z Johnem o tym dziwnym wydarzeniu, ponieważ teraz czułam, że dotyczyło ono nie tylko mnie, ale i Lydii.

Poprosił, żebym opisała tego mężczyznę. Nie było to proste, dlatego że taki opis mógł odpowiadać wyglądowi wielu osób. W żadnym razie nie dlatego, że miał pospolitą urodę. Jednak jasne, kręcone włosy, niebieskie oczy, zdecydowane rysy twarzy... wielu mężczyzn wyglądało w ten sposób, a ujęcie w słowa jakości jego innych przymiotów nie było łatwe.

Mówiłam sobie, że musiała zajść jakaś pomyłka. Lydia mogła sobie wyobrazić, że jej ukochany był romantycznym nieznanym spotkanym w lesie w czasie Księżyca Łowców.

– Nie mogę uwierzyć, żeby mogło się tak stać. Lydia nie była marzycielką. Mocno stąpała po ziemi.

– To prawda. Jak rozpoczniemy poszukiwania?

– Nazywa się Edward Compton albo Mark Chessingham.

– Ale dlaczego używał dwóch nazwisk?

– Nie wiem. Tego musimy się dowiedzieć. Wymienił nazwę tej miejscowości: Croston w Suffolk, i nazwisko Edward Compton. Pojechałaś tam i znalazłaś to nazwisko na nagrobku. Musi istnieć jakieś powiązanie.

– A tak naprawdę był Markiem Chessinghamem.

– Bardzo dziwne. Musimy ustalić, jak rozpoczniemy nasze dochodzenie.

– Były tam jakieś domy. Może moglibyśmy zapytać o niego?

– Zobaczymy, jak się to ułoży.

Wysiedliśmy z pociągu i małą linią lokalną pojechaliśmy do Croston. Ogarnęły mnie wspomnienia. Najpierw poszliśmy na cmentarz i pokazałam Johnowi nagrobek z nazwiskiem Edwarda Comptona.

– Co dalej? – zapytałam.

– Na placu zauważyłem dosyć duży dom. Powiedzmy im, że próbujemy kogoś odnaleźć. Może będą mogli nam pomóc.

Poszliśmy tam. Dom był najbardziej znacznym w wiosce. Drzwi otworzyła nam służąca i John zapytał, czy mogliby rozmawiać z panią lub panem tego domostwa. Możliwość zobaczenia się z nimi zawdzięczaliśmy z pewnością pełnym profesjonalizmu manierom Johna i jego wzbudzającej respekt powierzchowności.

Pani Carstairs była przyjemnie wyglądającą kobietą w średnim wieku, najwyraźniej

trochę zaintrygowaną tym, iż jacyś nieznajomi chcą się z nią widzieć. Grzecznie poprosiła, żebyśmy usiedli i przedstawili swoją sprawę. Widać było, że wielkowiejskie maniere Johna robiły na niej wrażenie. Wręczył jej swoją wizytówkę z nazwą banku.

– Poszukujemy mężczyzny, który, jak sądzimy, mógł mieszkać kiedyś w tej okolicy. Niestety tak się niefortunnie składa, że nie jesteśmy pewni jego nazwiska. Może ono brzmieć Mark Chessingham.

Odczekał chwilę. Nasza rozmówczyni nie wykazała żadnych oznak, by to nazwisko było jej znane.

– Lub Edward Compton – dodał John.

– Och, może chodzić o rodzinę, która zamieszkiwała dwór. On już teraz nie istnieje. Został doszczętnie spalony. Mówiło się o jego odbudowie, nigdy jednak do tego nie doszło. Ale Comptonowie mieszkali tam. To była tragedia. Zdaje się, że kilku członków rodziny zginęło w tym pożarze. W tej chwili nie pozostali już żadni Comptonowie.

– Mój Boże – powiedział John. – Ślad się więc urywa. Może istnieje jakaś boczna linia rodziny?

– Nigdy o tym nie słyszałam. Nie sądzę, abym mogła państwu pomóc. Mówicie państwo o ludziach, którzy, jak się zdaje, nie żyją już od bardzo dawna.

– Niezmiernie nam pani pomogła. Wiedzieliśmy, że stoi przed nami trudne zadanie.

– Tutaj trzeba żyć przez stulecia, żeby być rozpoznawanym przez mieszkańców. Nas uważają niemalże za obcych, chociaż mieszkamy tu już prawie piętnaście lat. Ale chwileczkę. Jest tu stara pani Clint. Ona wie wszystko. Mieszkała tu całe życie, a musi mieć chyba dziewięćdziesiątkę. Będzie pamiętała pożar. Jeśli chcecie się państwo dowiedzieć czegokolwiek o ludziach, którzy tu mieszkali, to właśnie ona może wam udzielić informacji.

– To bardzo miłe, że chce nam pani pomóc. Gdzie możemy ją znaleźć?

– Odprowadzę państwa do drzwi i pokażę. Jej domek jest akurat po przeciwnej stronie placu. Na pewno jest w domu.

Teraz już nie bardzo może się poruszać. Przychodzi do niej córka i robi to, co konieczne.

– Dziękujemy bardzo.

– Żałuję tylko, że sama nie mogłam bardziej państwu pomóc.

Stojąc przy drzwiach, pokazała nam ten domek.

– Proszę zapukać – powiedziała. – Powinna zawołać, żebyście państwo weszli. Lubi gości. Problem tylko w tym, że kiedy zacznie mówić, nie wie, kiedy przestać. Mam nadzieję, że nie spieszycie się państwo za bardzo!

– Mamy cały dzień do dyspozycji – powiedział John. Przecieliśmy plac.

– Cóż – powiedział John – nie zawiedliśmy się kompletnie. Było dokładnie tak, jak nam powiedziano. Zapukaliśmy i zostaliśmy zaproszeni do środka.

Pani Clint leżała w łóżku. Była dziarską staruszką w białym czepku, spod którego wymykały się piękne siwe włosy. Na chudych, przypominających szpony dłoniach nosiła wełniane mitynki.

– Myślałam, że to moja córka z rosołem, który miała mi przynieść na obiad – powiedziała. – Kim jesteście?

– Przepraszamy, że panią niepokoi – powiedział John. – Ale pani z dużego domu po przeciwnej stronie placu powiedziała nam, że pani może nam pomóc.

– To pani Carstairs z Londynu. Oni są nietutejsi. Czego chcecie ode mnie? Proszę dać krzeselko młodej pani, a pan może usiąść na tym plecionym. Przepraszam, ale jest trochę

chwiejne. Stary Bob nie pojawił się w tym roku, żeby wszystko naprawić. Nie rozumiem dzisiejszych ludzi. Zawsze przychodził regularnie jak w zegarku. Reperował krzesła i ostrzył nożyczki. Kiedyś można było na nim polegać. Czego szukacie?

– Marka Chessinghama albo Edwarda Comptona.

– Mark Jakiśtam... nie. A jeśli szukacie Edwarda Comptona, to odpowiednim miejscem jest cmentarz.

– Może mamy złe nazwisko – wyjaśnił John. – Mężczyzna, którego szukamy, jest wysokim blondynem. Ma lekki akcent... Może być Niemcem. Ten akcent jest nikły... ledwo zauważalny.

– Tak – powiedziała zdumiona. – Przypominam to sobie. Rzeczywiście. Więc ty też to zauważyłeś.

Pani Clint podrapała głowę przez materiał czepka.

– Dwadzieścia lat temu albo więcej cały dom spłonął. Dzieci... To był cios dla wioski. Ale teraz niewielu już o tym pamięta... tylko my starzy. – Zamilkła. – Mówicie, że miał lekki akcent i że tu mieszkał... Tylko raz kiedyś słyszałam niemiecki akcent. Mój syn Jimmy miał ucho do tego typu rzeczy. Był budowniczym i pojechał ze swoim szefem na jakąś wielką budowę za granicę. Kiedy wrócił, powiedział, że Dowlingowie mają niemiecki akcent. Ich matka była Niemką. Dowling... nic dobrego z niego nie było. Kiedyś pracował w wielkim domu. Pił, to był... Ten upadek. Nigdy więcej nie miał już pracy, odkąd dworu nie było.

– Kto miał niemiecki akcent? – zapytał John.

– Ona. Niewiele mówiła po angielsku. Nie zawsze potrafiłam ją zrozumieć. Mój Jimmy mówił, że jeśli idzie o nią, można to wytłumaczyć, ale młodzi, tutaj urodzeni, tu wychowani... można by myśleć, że z nimi będzie inaczej.

– Powiedziała pani, że jak się nazywali?

– Dowling.

– Moglibyśmy się z nimi zobaczyć?

– Jeślibyście wiedzieli, dokąd się przenieśli, to moglibyście. – Wydała z siebie przyduszony chichot. – Powstrzyma was jedynie to, że tego nie wiecie. Oni wyjechali... wszyscy. Mieli chłopca i dziewczynkę... bardzo ładne dzieci obydwójce. Niektórzy mówili, że wyjechali do Niemiec. Stary Dowling zmarł do tego czasu. Tak samo i ona. Wypił więcej niż zwykle i spadł ze schodów. Trzymał się jeszcze kilka miesięcy. Potem przyszedł na niego koniec. To było wiele lat temu. Zawsze byli razem... brat i siostra. Byli, jak to można powiedzieć, oddaną sobie rodziną.

– Bardzo nam pani pomogła, pani Clint.

– Tym, co powiedziała teraz? Cieszę się.

– Dziękujemy bardzo. Będziemy już musieli ruszać w drogę. Życzymy miłego dnia.

– Pożytecznie spędzony poranek – powiedział John, kiedy znaleźliśmy się już na powietrzu.

– Uważasz więc, że odkryliśmy coś?

– Tylko tyle, że Dowlingowie byli w połowie Niemcami, i chociaż mąż Lydii nigdy tego nie powiedział, myślałam o tym.

Były to bardzo ciekawie spędzone chwile i jak zawsze cieszyłam się, że mogę być razem z Johnem. W Suffolk dowiedzieliśmy się w sumie niewiele i nie orientowaliśmy się nawet, czy informacje te rzeczywiście miały jakieś znaczenie. Zagadka pozostawała tak nieprzenikniona jak dotąd. Teraz jednak przynajmniej wiedziałam, że mój nieznajomy odszedł ode mnie do Lydii, i ciągle zadawałam sobie pytanie, dlaczego przyszedł najpierw

do mnie i podał fałszywe nazwisko; i dlaczego było to nazwisko kogoś, kto od dawna nie żył?

Zagadkowe i alarmujące było to, że udał się prosto do Lydii, a z mojego horyzontu zniknął, nie powiedziawszy nawet słowa.

Z pewnością było to tajemnicze. Ciągłe miałam niejasne wrażenie, że on może nie był ludzką istotą, ale pokutującą duszą, może duchem tego chłopca czy też mężczyzny, którego życie urwało się nagle i który leżał teraz na cmentarzu w Croston. Dziwaczny tok rozumowania, ale przecież cała ta sprawa była dziwaczna.

Daisy powitała mnie miło i dała mi do zrozumienia z ledwie zauważalnym odcieniem wymówki, że brakowało im mnie. Ale przecież to była przerwa międzysemestralna i jeśli ktoś miał możliwość, mógł ją wykorzystać.

– Kiedy cię nie było, Eugenia znowu źle się czuła – powiedziała mi. – Charlotta przysłała, żeby mnie obudzić.

– To trochę niepokojące – zauważyłam. – Mam nadzieję, że nie jest to zapowiedź jakiejś choroby.

– Problemy były tego samego rodzaju... nudności i zawroty głowy. Tym razem wyglądało to gorzej niż ostatnio. Wezwałam lekarza, żeby ją zbadał.

– Co powiedział?

– Tak jak się spodziewałam. Że nie posłużyło jej coś, co zjadła.

– Ale to zdarzyło się już drugi raz.

– Widocznie niedomaga któryś z jej organów wewnętrznych. Musi być coś, czego ona nie trawi.

– Znowu była ryba?

– Nie. To dziwne, ale mieliśmy gulasz. Nikt poza nią nie chorował. Ja też go jadłam. Był bardzo dobry.

– Nie sądzi pani, że to sprawa nerwów, prawda? To mogłoby dawać taki efekt.

– Wspomniałam o tym doktorowi. Widocznie musi tęsknić za siostrą.

– Chociaż zawsze była bardziej zżyta z Charlottą niż z Fioną.

– Cóż, „krew nie woda”, jak to się mówi. Może czuje się zmęczona. Szkoda, że Fiona nie sprowadziła tego swojego męża do Dworu. Wtedy wszystko wróciłoby do normy. Myślę, że to by pomogło.

– Jestem tego pewna i może z czasem tak się stanie.

– Będziemy obserwować Eugenię i może uda nam się dowiedzieć, co ją niepokoi.

– Oczywiście, to dobry pomysł.

Kiedy wyjechałam na popołudniową przejażdżkę, spotkałam Jasona Verringera. Wyraźnie czekał na mnie.

– Dzień dobry – powiedziałam i pogalopowałam dalej. On jednak dotrzymał mi kroku.

– Zwolnij. Chcę z tobą porozmawiać.

– Ja nie mam ochoty na rozmowę z panem – rzuciłam przez ramię.

Podjechał swoim koniem tuż przed moim, tak że musiałam zwolnić.

– Mam tego dosyć – powiedział ze złością. – Ile to już czasu minęło, odkąd cię widziałem?

Poczułam, jak ogarnia mnie podniecenie, i znowu uświadomiłam sobie, jak bardzo lubię te moje potyczki z nim. Może mógł mnie zastraszyć swoją większą siłą fizyczną, ale nigdy sprawnością psychiczną. Byłam równą mu przeciwniczką i nie mogłam sobie odmówić przyjemności uświadomienia mu tego.

– Spodziewałeś się, że złożę ci wizytę? Zostawię swoją wizytówkę z wylewnymi podziękowaniami?

– Najdroższa Cordelio, jak to cudownie być znowu z tobą! Byłem taki znudzony... taki nieszczęśliwy...

– Zawsze sądziłam, że masz skłonności do użalania się nad samym sobą. Teraz muszę już wracać do szkoły.

– Dopiero stamtąd wyjechałaś.

– To taka krótka przerwa.

– Słyszałem, że masz nowych, uroczych przyjaciół. Markhamów. Znam to nazwisko. To bankierzy z Londynu. Bardzo szanowana rodzina.

– Jesteś wyjątkowo dobrze zorientowany!

– Dbam o to, żeby wiedzieć, co robisz.

– Tracisz czas, ponieważ to nie może być dla ciebie w żadnym stopniu istotne.

– Przestań. Wiesz, że jest to dla mnie w najwyższym stopniu istotne. Jedźmy do lasu. Przywiążemy konie i będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

– Musisz mnie uważać za bardzo naiwną, jeśli sądzisz, że jeszcze kiedykolwiek pozwolę na to, żebym znalazła się bezbronna w twojej obecności.

– Nigdy mi tego nie zapomnisz?

– Nigdy.

– Jeśli nie byłabyś taką tradycjonalistką, mógł to być przełomowy moment. Mogłem ci uświadomić, co tracisz.

– Uświadomiłeś mi to bardzo jasno. To dlatego proszę cię, żebyś nie nalegał, abym kiedykolwiek spotykała się z tobą sam na sam. Wiem, że ze względu na szkołę pewne nasze kontakty są konieczne i nie da się ich uniknąć, nie chcę jednak niczego więcej ponad to.

– Oczywiście miałaś wspaniałe letnie wakacje, prawda?

– Zgadza się.

– Słyszałem o tym od Eugonii.

– Teresa opowiadała, prawda?

– Rozumiem, że ten młodzieniec z banku ma wszelkie moralne przymioty. Słyszałem, że jest czymś w rodzaju brylantu bez skazy.

– To wersja Teresy. Ma zwyczaj gloryfikowania osób, które lubi.

– I wiesz o psy na tych, których nie lubi.

– To przywara młodości.

– Cordelio, przerwij to wszystko. Musimy porozmawiać. Na nic się zda twoje udawanie, że jestem ci obojętny. Czy sądzisz, że nie wiem, co czujesz? Gdybyś przestała być tak powściągliwa, przyszłabyś do mnie natychmiast. Przecież tego chcesz. Lecz ty tak się kontrolujesz... jesteś nauczycielką aż do przesady. Ale nie jesteśmy w klasie. Jesteśmy dwójką ludzkich istot... mężczyzną i kobietą, i bycie razem jest dla nas rzeczą najbardziej naturalną.

– Zupełnie mnie nie rozumiesz.

– Ależ rozumiem. Chcesz mnie... mnie. To ja jestem mężczyzną dla ciebie, a ty ciągle walczysz z tym. Dlaczego? Ponieważ na przeszkodzie stoją ci powszechne zasady, nagłające cię, żebyś nie wiązała się z mężczyzną, który może pomóc zejść z tego świata jednej kobiecie i zamordował inną, gdyż była mu zawadą. Dajesz posłuch plotkom. Oskarżasz mnie... a przez cały czas mnie chcesz. Mogę ci udowodnić, że chcesz mnie tak samo...

albo prawie tak samo... jak ja chcę ciebie.

Bałam się go, kiedy mówił tak jak w tej chwili. Dlaczego stałam tu z nim? Dlaczego podniecał mnie aż tak? Czy powodem było to, co mówił?

Ciągnął dalej:

– Jesteś przekonana, że zabiłem żonę... przedawkowanie opium to takie proste. A potem kolejna sprawa... uduszenie... cios w głowę... i zakopuję jej ciało w lesie, nie, wrzucam je do stawów. To był lepszy pomysł. To już kiedyś zrobił członek mojej rodziny. Pomimo tego wszystkiego, pomimo plotek, skandalu i twojego braku wiary we mnie, chcesz mnie. Co może być silniejszym symptomem? Odwracasz się ode mnie, ale nie uda ci się ukryć prawdy. Chciałaś mnie wtedy, w „Diabelskiej Kwaterze”. Pragnęłaś mnie. Chciałaś, żebym wziął cię siłą. Wtedy mogłabyś pogodzić się ze swoim sumieniem. Ale stare dobre zasady są na posterunku u twojego boku. „Ucieknij – mówią. – Zbij szybę. Wskocz”. Wszystko dla usatysfakcjonowania dobrych starych zasad. Czy sądzisz, że to by mnie powstrzymało?

– Tak się stało. – Zaczęłam się śmiać. Nie mogłam się powstrzymać, a on śmiał się razem ze mną.

Mówił dalej:

– Och, Cordelio, odpychasz od siebie to, czego chcesz najbardziej. Jeśli mnie odrzucisz, będziesz tego żałować przez całe życie. Ten rycerz w błyszczącej zbroi... ten Galahad, ten symbol czystości, ten godny pożałowania bankier, który zawsze prawidłowo dodaje swoje słupki, nigdy nie miał nawet jednej kochanki i jest bez skazy... sądzisz, że on jest dla ciebie odpowiedni?

Śmiałam się znowu.

– Nie bądź śmieszny – powiedziałam. – Jestem pewna, że on ubawiłby się, gdyby usłyszał, jak go opisałeś. Z pewnością nie ma nic nagannego w prawidłowym dodawaniu słupków, a jestem przekonana, że zarządzanie posiadłością w dużej mierze opiera się właśnie na tym. Wydaje się, że bardzo chcesz wydać mnie za męża. Mogę ci powiedzieć, że nie zostało to zasugerowane, i jestem zaskoczona, że słuchasz paplaniny uczennic.

– Ta propozycja padnie. Bankierzy zawsze wiedzą dokładnie, jak długo odczekać i co zrobić, żeby uzyskać właściwą odpowiedź.

– To ludzie godni podziwu.

– Och, jestem zmęczony twoim mentorskim podejściem do życia. Boisz się życia... boisz się skandalu.

– Czego ty się nigdy nie obawiałaś. Widzisz więc, jak się różnimy. Nigdy nie pasowalibyśmy do siebie.

– Nie tak jak ty i twój bankier. Dokładność, stereotypowość, porządek w domowych rachunkach, uprawianie miłości w każdą środę wieczorem, posiadanie czwórki dzieci, co jest prawidłową cyfrą. Śmiejesz się. Ciągłe się do mnie uśmiechasz. Jesteś ze mną szczęśliwa, prawda?

– Do widzenia – powiedziałam i pogalopowałam w stronę szkoły.

W pewnym sensie miał rację. Jeśli nie byłam w jego towarzystwie prawdziwie szczęśliwa, to byłam ożywiona jak z nikim innym. Nie. Szczęśliwa z nim nie byłam. Z drugiej jednak strony nie byłam też szczęśliwa, kiedy znajdowałam się z dala od niego.

Czułabym się lepiej, gdybym nigdy nie była z nim sam na sam. Wyrzuciłabym go natychmiast z pamięci. Pamiętałabym tylko te pełne spokoju dni spędzone na farmie.

Poszłam prosto do swojego pokoju, żeby się przebrać przed rozpoczęciem lekcji.

Na schodach przy nim stała Elsa. W dłoni miała ściereczkę do kurzu.

- Dzień dobry, panno Grant – powiedziała z dobrze mi znanym uśmiechem.
- Dzień dobry, Elso.
- Już miałam ją wyminąć, kiedy zapytała:
- Panno Grant, czy Eugenia Verringer czuje się dobrze?
- Eugenia? Dlaczego pytasz?
- Cóż, chorowała, prawda? Już dwa razy. Martwiłam się o nią.
- Nic jej nie jest. To były tylko ataki woreczka żółciowego.
- To dobrze. Czasami człowiek przywiązuje się do niektórych dziewcząt... tak jak ja w Schaffenbrucken. Tam była pani, ta Francuzka i Niemka, i ta druga Angielka.
- Lydia – powiedziałam. – Lydia Markham. Na pewno będzie ci przykro usłyszeć, że ona zginęła w wypadku na nartach.
- Elsa kurczowo uchwyciła się drzwi i wyglądała na bardzo poruszoną.
- Czy to ta Lydia...
- Tak, ona. Dowiedziałam się dopiero niedawno. Jej brat przyjechał i powiedział mi o tym. Wyszła za męża.
- Była taka młoda.
- Wystarczająco dorosła, żeby wyjść za męża. A przy okazji, Elso. Pamiętasz naszą wyprawę do lasu? Opowiedziałas nam O Księżycu Łowców i tym wszystkim.
- To były takie głupstwa, ot żeby was zabawić.
- Wtedy miałaś rację. Spotkałyśmy mężczyznę, a on kontynuował potem znajomość z Lydią. Ożenił się z nią.
- Niemożliwe!
- To dosyć dziwne, prawda?
- I potem zginęła w taki sposób. Powiedziała pani, że to był wypadek na nartach? Nie sądziłabym, że lubiła takie rzeczy.
- Ja też nie. Widocznie zmieniła się pod wpływem męża.
- Och, panno Grant, to prawdziwy szok dla mnie. Oczywiście minęło wiele czasu, odkąd ją widziałam po raz ostatni...
- I pomyśleć, że ot tak, spotkała pani jej brata. To musiało być dla pani przeżycie.
- Potworne. Widziałam się z Monique... pamiętasz ją? To ona powiedziała mi o Lydii. Lydia nie napisała do mnie.
- O Boże, to wszystko ułożyło się w dziwny sposób... To, że pani nie wiedziała i wszystko inne. Ale tak naprawdę, chciałam panią zapytać o Eugenię. Słyszałam, że wzywali do niej doktora. Co powiedział?
- Powiedział, że to nic poważnego. Zdaje się, że ma skłonności do ataków woreczka żółciowego.
- To dobrze. Dziwiłam się, że nastąpiło to już drugi raz. Ma do tego skłonności, widocznie tak to jest.
- Tak, ale Eugenia jest młoda. Może po prostu martwi się czymś. Zorientujemy się, co to jest, i położymy kres tym niepokojącym atakom. Takie przypadłości czasami się zdarzają.

- Na pewno. Cieszę się, że to nic poważnego. Zaczęłam się zastanawiać... A o tej Lydii to wielki szok.
- Tak – przyznałam i weszłam do pokoju.

* * *

Nadszedł listopad, przejmująco wilgotny, ponury i smętny. Ciotka Patty napisała, że Markhamowie zaprosili nas do siebie na Boże Narodzenie. Uważała, że to wspaniały pomysł.

– To coś w rodzaju Bożego Narodzenia w leśnej głuszy. Możesz to sobie wyobrazić? Zaproszenie dotyczy oczywiście także i Teresy.

Zastanowiłam się. To byłoby miłe. Kiedy powiedziałam o tym Teresie, zachwycona zaklaskała z uciechy.

– Och, pojedźmy tam. Pojedźmy.

Ciągle jeszcze otrząsałam się po moim spotkaniu z Jasonem i pomyślałam o tym, jak pełne spokoju byłyby święta spędzone na farmie w Essex. Pod wpływem impulsu napisałam do ciotki Patty, że musimy zaakceptować tę propozycję.

Czułam, że coś mnie coraz bardziej i bardziej przyciąga do Johna Markhama. Jason miał rację: on nie będzie działał impulsywnie. Jego życie będzie uporządkowane, toczące się po spokojnych wodach, a po wydarzeniach ostatniego miesiąca bardzo mi taki stan rzeczy odpowiadał.

W szkole mieliśmy masę zajęć. Zaczęła się, jak to Eileen nazywała, przedświąteczna gorączka. Trwało zamieszanie dotyczące tego, kto będzie grał kogo w przygotowywanych przedstawieniach: w „Romeu i Julii” i „Kupcu weneckim”. Eileen powiedziała, iż wolałaby, żeby panna Hetherington okazała nam odrobinę litości i zamiast wyznaczać nam urywki dwóch sztuk, pozwoliła skoncentrować się na jednej.

– „Kupiec” wystarczyłby w zupełności. I jestem zaskoczona, że droga Daisy uważa, iż widok Julii pijącej łapczywie to, co wtrąci ją za chwilę w trans, będzie odpowiedni dla dziewcząt o wybujałej wyobraźni.

Wydawało się, że próby trwają bezustannie i że znajdujemy się raczej w teatrze, a nie w szkole.

– Sprawimy tym przyjemność rodzicom. Odbędzie się to na dzień przed końcem semestru – zdecydowała Daisy. – Jednak tydzień wcześniej też damy przedstawienie, żeby upewnić się przed Dniem Rodziców, że wszystko jest w porządku.

Eugenia miała kolejny atak. W środku nocy. Nie przejełyśmy się tym za bardzo. Teraz już przyzwyczaiłyśmy się do tego. Powodem musiało być coś, co jej nie służyło.

– Musimy się dowiedzieć, co to jest – powiedziała Daisy. – Wydaje się, że biedne dziecko ma po prostu wrażliwy żołądek... to nic poważnego. Jeśli będziemy wiedzieć, co jest przyczyną, powstrzymamy te ataki.

Sama Eugenia również nie przejmowała się specjalnie tymi problemami i już w dwa dni później z wielką werwą grała Julię.

W miasteczku panował przedświąteczny nastrój. Wystawy sklepowe prezentowały swoją ofertę i zachęcały klientów do wcześniejszych zakupów świątecznych. Okno wystawowe pani Baddicombe wyglądało wyjątkowo interesująco: było pełne kart świątecznych, a biała bawełna, uformowana w kulki zawieszona na sznureczkach, miała imitować padające płatki śniegu.

Kiedy weszłam do środka, zapytała:

– Podoba się pani moja dekoracja? Świątecznie, prawda? A jak tam teraz w szkole? Przygotowujecie się do ferii. Jeszcze co prawda cały miesiąc przed nami.

Powiedziałam, że u nas wszystko w porządku i mam nadzieję, że u niej jest tak samo.

– Mamy duży ruch – oświadczyła – a sądzimy, że będzie jeszcze większy. Jak się czuje ta panna Verringer? Słyszałam, że było z nią kiepsko. Ta służąca od was mówiła, że

biedne dziecko było bardzo chore i że nie zdziwiłaby się, gdyby to był początek jakiejś choroby.

– To nonsens. Po prostu ma wrażliwy żołądek, i to wszystko.

– Wrażliwy żołądek może być oznaką czegoś gorszego, zgodnie z tym, co mówiła ta służąca.

– Która służąca?

– Ta, która wygląda trochę jak cudzoziemka. Och, tak naprawdę nie jest cudzoziemką, ale jest jakaś inna. Elsa... tak ma na imię?

– Wiem, o kogo chodzi. Mówiła o panie Verringer, tak?

Pani Baddicombe potaknęła.

– Jeśli chce pani znać moje zdanie, to ona martwi się tym, że jej siostra uciekła w taki sposób. Nikt nie wie, gdzie ona się podziewa, prawda?

– Przypuszczam, że w odpowiednim czasie sprowadzi swojego męża do domu – powiedziałam.

– Oby tylko się okazało, że go ma.

– Pani Baddicombe, nie powinna pani...

– Ale pani wie, jacy są mężczyźni. Albo może i pani nie wie. Kiedyś się jednak pani dowie. – Puściła oczko. – Już wkrótce. Wcale bym się nie zdziwiła.

Poczułam, że wzbiera we mnie oburzenie. Nie chciałam, żeby snuła domysły na temat choroby Eugenii, zawałam się więc i powiedziałam:

– Panna Verringer miewa się całkiem dobrze. Nie mamy żadnych obaw co do jej zdrowia.

– Nikt nie mógłby się z tego ucieszyć bardziej niż ja. Jeśliby mnie pani zapytała, to ta dziewczyna... jak ona ma na imię... Elsa?... uważam, że to pociuch.

Nie wytrzymałam i uśmiechnęłam się, a pani Baddicombe ciągnęła dalej:

– Ona jest nawet ładna. Myślę, że ma kogoś gdzieś za granicą, przypuszczam.

– Co pani przez to rozumie... ma kogoś?

– Podejrzewam, że przyjechała tu po to, żeby odłożyć sobie pieniądze na ślub. Ciągłe pisze do kogoś... i to jest mężczyzna. Widzę nazwisko na kopercie, kiedy przykleja znaczek. Pan Jakiśtam... Nie mogę dokładnie odczytać nazwiska. Nie tak łatwo czytać do góry nogami. W żartach powiedziałam do niej: „Co, następny miłosny liścik, tak?”, a ona tylko się uśmiechnęła i nie powiedziała ani słowa. Kiedy się pomyśli, jak to ona przychodzi tu i opowiada... Niektórzy potrafią milczeć o sobie, a o innych są gotowi mówić aż nadto. Ale wiem, że ma kogoś. Zawsze pisze do niego. A on chyba podróżuje... czasami to taki kraj, czasami inny. Muszę sprawdzać cenę znaczka. Francja... Niemcy... Austria... Szwajcaria... takie miejsca. Ostatnio była Austria.

– Może ma ukochanych w tych wszystkich krajach – powiedziałam.

– Nie, to ten sam z tego, co widzę. Czasami bierze znaczki i nie przykleja ich na ladzie. Wtedy nie wiem nic.

– Co za złośliwość z jej strony.

– Cóż, takie jest życie, prawda? Pani pojedzie niedługo do domu, jak mi się zdaje. To miło.

Kupiłam znaczki i wyszłam.

Zawsze czułam, że w jej nienormalnej ciekawości jest coś groźnego. Ale pomyśl, żeby sprawdzać, jakie znaczki ludzie kupują, i nie tylko spekulować na temat adresatów, ale dyskutować o tym z każdym, kto wejdzie do sklepu!

Z końcem listopada zaczął padać śnieg.

– W tej części świata przechwalają się, że śnieg widzą raz na siedemnaście lat – skomentowała to Eileen. – My mamy go już drugi raz z rzędu. Zdaje się, że przed nami kolejna epoka lodowcowa.

Dziewczęta cieszyły się pogodą. Wielką atrakcją było to, że byliśmy przez kilka dni odcięci od świata. Z naszych okien ruiny wyglądały jak coś nie z tej ziemi: ulotne i delikatnie piękne.

– Chciałabym, żeby wiatr się uciszył – powiedziałam. – Kiedy wieje z północy, dziwnie zawodzi. Jak potępione dusze.

– To na pewno wszyscy ci mnisi, powstający w proteście przeciwko staremu Henrykowi, niszczącemu ich Abbey – fantazjowała Eileen.

– To jeszcze nie powód, żeby nam się uskarżać – wytknęłam jej.

– Uskarżają się na niesprawiedliwości tego świata – odparowała Eileen. – Zauważ, że czasami wszystkie tak to odbieramy.

– Och, Eileen, ty masz w sobie wystarczającą ilość samozadowolenia.

– Dopiero będę miała, kiedy zaczną się ferie świąteczne. Wyobraź sobie, co za rozkosz. Żadnego robienia wybitnych twórców z ludzi, którzy nie umieją nawet narysować równej linii. Jediną osobą tutaj, która ma odrobinę talentu, jest Eugenia Verringer, chociaż Teresa Hurst też radzi sobie całkiem nieźle. Żadnych kochanków z Werony ani tej nieszczęsnej rąbanki słownej. Głos Clary Simpson brzmi bardziej jak głos rzeźnika niż obiecującego młodego prawnika. Wielkim błędem było danie jej roli Porcji.

– Ma dwie młodsze siostry, kandydatki na uczennice Akademii – przypomniałam jej.

– Nie zapominaj, że na wyczelowanym już przedstawieniu będą rodzice.

– Kto wie, może to wystarczy, żeby pozbyć się ich na dobre. Muszę przyznać, że Charlotta jest niezłym Romeem. Ta dziewczyna jest całkiem dobrą aktorką. Nie sądzę, żeby Eugenia nadawała się na Julię, ale przecież biedaczka straciła siostrę. Zastanawiam się, jak sir Henry Irving rozdzieliłby role, żeby usatysfakcjonować Daisy?

– Och, Eileen, to tylko szkolne przedstawienie!

Eileen przybrała pozę udawanej rozpaczki.

– Jak można ode mnie oczekiwać, abym stworzyła arcydzieło, kiedy ty, moja współkonspiratorka w tym skazanym na niepowodzenie zadaniu, postrzegasz je li tylko jako szkolne przedstawienie!

I tak to się toczyło. Sesje w kalefaktorium były wielkim wytchnieniem, a Eileen zawsze nas rozweselała. Nie było nikogo, kto nie wyczekiwałby z nadzieją na ferie Bożego Narodzenia.

Nastał początek grudnia. Mróz utrzymywał się, ale mogłyśmy wychodzić na zewnątrz. Panna Hetherington zezwoliła na zjeżdżanie na sankach łagodnym zboczem i dziewczęta lubiły to niezmiernie. Ogrodnicy zrobili dodatkowe sanki, tak że kilka dziewcząt mogło rozkoszować się tą przyjemnością jednocześnie.

I wtedy pewnej nocy zostałam obudzona. Tym razem przez Eugenię.

– Panno Grant! Panno Grant! – Potrząsała mną. – Proszę się obudzić. Charlotta. Ona zachorowała... zupełnie tak jak ja.

Szybko założyłam szlafrok i nocne pantofle i poszłam do ich pokoju.

To było gorsze niż ataki Eugenii. Charlotta skręcała się z bólu. Wyglądała na bardzo chorą. Twarz miała białą jak pościel, w której leżała.

– Sprowadź natychmiast pannę Hetherington – powiedziałam.

Daisy przyszła i widziałam, że nawet ona była przerażona. Teraz sprawa wyglądała już inaczej. Eugenia mogła mieć do tego skłonności, ale jeśli kolejna dziewczynka chorowała, to już była poważna sprawa.

– Musimy sprowadzić natychmiast lekarza – powiedziała do mnie. – Pójdź do stajni i spróbuj znaleźć Toma Rolta. Wyślij go jak najszybciej. Załóż najpierw coś ciepłego na siebie. Nie chcę, żebyś nabawiła się zapalenia płuc.

W pośpiechu włożyłam buty i płaszcz i wybiegłam na zewnątrz. Moje kroki skrzypiały na śniegu, wiatr targał mi włosy. Odnalazłam Toma Rolta, który mieszkał nad stajnią. Był niezadowolony, że wysłała się go po nocy, a przygotowanie dwukółki zabrało mu nieco czasu. Wziął ją, ponieważ, jak powiedział, będzie mógł w ten sposób od razu przywieźć lekarza ze sobą.

Zrobił to, ale zanim przyjechał, minęło półtorej godziny od chwili, kiedy Eugenia mnie obudziła, i Charlotta czuła się już wtedy trochę lepiej. Ból zniknął, a ona leżała spokojnie, blada jak papier.

Lekarz był odrobinę poirytowany, że został wyciągnięty z łóżka do, jak uważał, kolejnego ataku wreczka żółciowego. W pierwszej chwili myślał, że wezwano go do Eugonii, i był zaskoczony, kiedy zorientował się, że chodzi o inną dziewczynkę.

– To takie same dolegliwości – powiedział. – Musi być tu coś, co je wywołuje.

– Zapewniam pana, doktorze – oświadczyła Daisy z odcieniem słusznego oburzenia w głosie – że nie ma w tej szkole niczego, co by mogło szkodzić moim dziewczętom.

– To coś w ich pożywieniu. Widzi pani, panno Hetherington, symptomy są identyczne. Jest coś, co je zatruwa, i naturalnie ich organizmy odrzucają to.

– Coś, co je zatruwa! Nigdy nie słyszałam czegoś takiego! Wszystko, co tu jemy, jest najlepszej jakości. Mamy warzywa z własnej hodowli. Może pan zapytać ogrodników.

– Teraz jest wiele nowych wymysłów, panno Hetherington. Są rzeczy, które są trujące dla jednych, a nieszkodliwe dla innych. Wydaje się, że te dwie dziewczynki odrzucają coś, co jest w ich pokarmie.

– Atak Charlotty jest o wiele silniejszy niż Eugonii.

– Być może ona nie ma na to tak dużej odporności. Jest bardzo słaba. Sądzę, że będzie dochodzić do siebie przez tydzień.

– Och, to smutne. Będziemy musiały znaleźć nowego Romea.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, chociaż martwiłam się, widząc, że Charlotta jest taka chora. Bóg jeden wie, że była dla mnie utrapieniem, ale teraz wyglądała patetycznie: była cieniem dawnej, aroganckiej Charlotty.

– Musi być ostrożnie karmiona, kiedy będzie zdrowieć – powiedział lekarz. – Tylko lekka dieta. Gotowana ryba, mleczne puddingi...

– Oczywiście – powiedziała Daisy. – Mówi pan, że powinna leżeć w łóżku?

– Tak, aż poczuje się na tyle mocna, że będzie mogła wstać. Jest poważnie osłabiona. Najważniejsze, to uważać na to, co jej się daje do zjedzenia. Musi być coś, co nie służy dziewczętom.

– To dziwne – zauważyłam – że przydarza się to dwóm dziewczynkom z tego samego pokoju.

Doktor rozejrzał się po pokoju, jakby szukając czegoś okropnego w obrębie tych czterech ścian.

– To najpewniej przypadek – powiedział. Patrzył na Eugenię, która siedziała na

swoim łóżku. Wyglądała na przestraszoną. – Chora powinna bardzo dobrze wypocząć. Dam jej środek uspokajający i prześpi noc, a chciałbym też, żeby przespała i jutrzejszy dzień. Byłoby lepiej, gdyby była w jednoosobowym pokoju.

Panna Hetherington wyglądała na zakłopotaną.

– Wszystkie pokoje są w tej chwili pełne...

– Łóżko Eugenio można przesunąć do mojego pokoju – zaproponowałam.

– To wspomniałaś pomysł, panno Grant. Zrobimy to jutro. Przez kilka nocy, Eugenio, będziesz spała w pokoju panny Grant. Rano zabierz jak najciszej to, czego będziesz potrzebowała. – Zwróciła się do mnie. – Zrobimy to tylko na kilka nocy. Potem wszystko wróci do normy.

– Dobrze – powiedział lekarz. – Już śpi. Rano będzie się czuła lepiej... ale ma wypoczywać, a potem proszę zachować bardzo ostrożną dietę.

– Możemy być spokojni – powiedziała Daisy. – Za tę sekcję jest odpowiedzialna panna Grant, a ona dopilnuje, aby wszystko było tak, jak pan nakazał.

– Z pewnością zajmę się tym, panno Hetherington.

– Cóż, przykro mi, doktorze, że musiałam pana wezwać – ciągnęła Daisy.

– Och, nic się na to nie poradzi, panno Hetherington.

– Myślę, że zanim Rolt pana odwiezie, powinien się pan napić odrobinę brandy.

– Dziękuję. To byłoby miłe.

Wyszli, zostawiając mnie w pokoju z dwiema dziewczętami.

– Powinnaś spróbować się teraz przespać, Eugenio – powiedziałam.

– Tak się bałam, panno Grant. Wyglądała na taką chorą, że myślałam, iż umrze. Czy ja też tak wyglądałam?

– Nie wyglądałaś najlepiej... a popatrz, jak wydobrzałaś. Teraz idź spać, a rano twoje łóżko przeniesiemy do mojego pokoju.

– Dobrze, panno Grant.

Była bardzo wyciszona i niepodobna do Eugenio, jaką znałam.

Pod wpływem nagłego impulsu przytuliłam ją i ucałowałam, jakbym miała przed sobą małe dziecko. Zganiłam się zaraz za to, ale, co dziwne, Eugenia wyglądała na zadowoloną. Uśmiechnęła się i powiedziała łagodnie: „Dobranoc, panno Grant”.

* * *

Rano Charlotta w dalszym ciągu była bardzo słaba i zmęczona. Daisy sprowadziła dwóch mężczyzn ze stajni, żeby przenieśli łóżko; zostało to zrobione cicho i szybko. Doktor przyszedł ponownie i widziałam, że był bardziej zatroskany niż w nocy. Sądzę, że wtedy był trochę poirytowany nocnym wezwaniem i skłonny uznać niedyspozycję Charlotty za błąd.

– To przypadek dosyć poważnego zatrucia pokarmowego – powiedział.

Daisy była przerażona. Lubiała dziewczęta, chociaż Charlotta z natury nigdy nie była ujmującą istotą, ale prawdziwie niepokoiła się o szkołę. Ucieczka w poprzednim semestrze. Śmierć z powodu zatrucia w tym! To mogłoby się okazać fatalne dla Akademii.

Tego pierwszego dnia Charlotta była bardzo chora i Eugenia rzeczywiście przeżywała to. Byłam zaskoczona, że potrafiła tak okazać swoje uczucia, nawet jeśli chodziło o najlepszą przyjaciółkę, ponieważ nigdy nie uważałam jej za szczególnie wylewną dziewczynkę.

W pewnym sensie czyniło to ją bardziej bezbronną, bardziej uległą i co dziwne, wydawało się, że to u mnie szukała pocieszenia w tym wszystkim. Kiedy byliśmy już w łóżkach, ona w swoim, stojącym pod wykutym w ścianie krzyżem, i ja po przeciwnej stronie pokoju, leżała, nie mogąc zasnąć. Wyczuwałam, że bardzo chciała porozmawiać.

– Panno Grant – powiedziała pierwszego wieczoru. – Czy wyjdzie pani za mojego wujka?

Zaskoczyła mnie kompletnie. Zająknęłam się:

– Moja droga Eugenio, skąd ten pomysł?

– Wiem, że on tego chce. I zawsze starał się przebywać w pani towarzystwie... chociaż ostatnio może mniej. Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby tak się stało. Byłaby pani dla mnie czymś w rodzaju ciotki, prawda? Chociaż może to pani by nie odpowiadało. On nie jest zbyt miły. A Teresa mówi, że pani wyjdzie za innego pana, Johna Jakiegostam. Mówi, że on jest uroczy...

– No cóż – odparłam, starając się, żeby zabrzmiało to lekko – wy dziewczęta już, zdaje się, zdecydowałyście o moim przeznaczeniu.

– Panno Grant, czy Charlotta umrze?

– Oczywiście, że nie. Za kilka dni poczuje się lepiej.

– Przypuśćmy, że umrze. Ona chciałaby wyznać wszystko o... o tym liście.

– O jakim liście?

– Tym o pani Martindale.

– Wy go wysłałyście. Ty... i Charlotta!

– Tak. Byliśmy takie złe na panią za to, że rozdzieliła nas pani, kiedy tu pani przyjechała. Charlotta powiedziała, że odegramy się. Powiedziała, że nie będziemy się spieszyć. Tak też zrobiłyśmy. Wyglądało, że to może być prawda, i nie wydawało się to takie okropne.

– To był nikczemny postęp.

– Wiem. To dlatego musiałam to pani wyznać... na wypadek gdyby Charlotta miała umrzeć, mając to na sumieniu. Ona by tego nie chciała.

– Przede wszystkim przestań mówić o śmierci Charlotty. Za kilka dni będziesz się z tego sama śmiać. A co do listu. To było niemądre i nieprzyjemne, a anonimowo wysyłają tylko podli ludzie. Wasze oskarżenia były całkowicie nieprawdziwe. Twój wujek powiedział, że pani Martindale wyjechała do Londynu. Jeśli chciała to zrobić, nikogo nie powinno to obchodzić. Nigdy więcej nie rób czegoś takiego.

– Ale pani wybacz nam?

– Tak, ale zapamiętaj... to było podłe, okrutne i nikczemne.

– Dobrze. Powiem o tym Charlotcie, jak tylko poczuje się lepiej.

– Zrób to i powiedz jej, że uważam, iż zachowałyście się jak niemądre, niedorosłe dziewczynki... i na tym skończmy tę sprawę.

– Och, dziękuję, panno Grant.

Miałam wrażenie, że od tej chwili Eugenia była mi całkiem przyjazna, a i ja bardziej ją lubiłam. Niepokoiła się sprawą tego listu i w efekcie objawiły się też i lepsze strony jej natury. Już zapomniałam, jak bardzo mnie to wtedy zdenerwowało i jak naprawdę zmieniło to moje uczucia do Jasona. Czułam jednak ulgę, że nareszcie wyjaśniła się ta przykra sprawa.

Następnego dnia Charlotta czuła się trochę lepiej. Tak się wydawało. Ciągle była jednak bardzo słaba i właściwie nie zauważyła nieobecności Eugenii w ich pokoju.

To była druga noc, którą Eugenia spędzała u mnie. Wtedy to dokonałam

druzgocącego odkrycia. Otworzyło mi ono oczy i uświadomiło, że znajdowałam się w samym środku jakiejś złowrogiej i niebezpiecznej zмовy.

Eugenia leżała już w łóżku, gotowa do naszej wieczornej pogawędki, co stało się regułą i było oznaką nowej jakości naszych kontaktów.

– Charlotta czuła się dobrze na dzień przed tym, jak zachorowała, śmiała się i żartowała. Mówiła, że musi spróbować, czy uda jej się zjechać na sankach ze zbocza „na śledzia”, i że sprawdzimy, czy będziemy mogły jeździć na łyżwach po stawach. Były wtedy zamarznęte.

– Wątpię, żeby panna Hetherington pozwoliła na to.

– Byłyśmy pewne, że nie pozwoliłaby.

– Ale nie byłybyście na tyle niemądre, żeby próbować tego, nie pytając o zgodę.

– O nie, panno Grant, tego byśmy nie zrobiły.

– Wiesz, że to mogłoby być bardzo niebezpieczne.

– Myślę, że to dlatego ten pomysł podobał się Charlotcie. Żartowała na ten temat. Czuła się tak dobrze. Wzięła dokładkę zupy. Powiedziała, że była za słona i że chce jej się pić. To dlatego później wypila moje mleko i swoje też. Ja i tak nie chciałam go pić, więc nie miało to żadnego znaczenia.

Myślałam o zamiarze dziewcząt jeżdżenia na stawach i nagle usiadłam gwałtownie.

– Co powiedziałaś? Ona wypila twoje mleko?

– Tak, bardzo chciało jej się pić. Zupa była za słona.

Poczułam, że robi mi się zimno. Charlotta wypila mleko przeznaczone dla Eugenie i zachorowała w taki sam sposób jak wcześniej Eugenia... kiedy to przypuszczalnie wypila swoje mleko.

– Zasnęła już pani, panno Grant?

– Nie... nie – powiedziałam słabo.

Myślałam o mleku podawanym dziewczętom. Mleko i dwa zwykłe herbatniki – ostatnia rzecz, jaką dostają przed snem, zanim pójdą do swoich pokoi. Wyobrażałam sobie służące krążące pomiędzy stołami i puszkę z herbatnikami. Służące brały ją po kolei, żeby spełnić ten obowiązek.

Usłyszałam, że mówię:

– Czyli że... Charlotta wypila twoje mleko?

– Tak. To świadczy o tym, jak dobrze się czuła, bo wypila też i swoje.

– Kto dał wam mleko? Pamiętasz?

– Nie pamiętam... Jedna ze służących. Nie zwracałam na to uwagi, bo Charlotta mówiła o tym pomyśle ślizgania się na stawach.

– Żałuję, że nie pamiętam.

– Nie zawsze zwraca się uwagę na służbę, prawda? One i tak wyglądają podobnie w tych czarnych sukienkach i białych czepkach.

Myślałam, czy to mi się śni? Eugenia chora trzy razy... a kiedy Charlotta wypija mleko przeznaczone dla Eugenie, choruje także. Wolałabym, żeby Eugenia przestała trajkotać bezładnie i skoncentrowała się na tym.

– Jest wesola i inteligentna. Wszystko udało się dobrze, chociaż na początku uważaliśmy to za żart.

– Co takiego? – powiedziałam nieobecna myślami.

– Och, ona zna wiele legend. – Wtedy zorientowałam się, że mówi o Elsie. – Czy pani w nie wierzy, panno Grant? Powiedziała, że jeśli pójdziemy do lasu w czasie pełni księżyca, jedna z nas spotka przyszłego męża... i to się przydarzyło Fionie.

– Co? – krzyknęłam i usiadłam w łóżku.

– Co się stało, panno Grant?

Pomyślałam, że muszę działać ostrożnie. Zaczynałam się bać.

– Opowiedz mi o tym – poprosiłam.

– Był pierwszy maja. W dawnych religiach to wyjątkowa noc. U druidów chyba. Elsa powiedziała, że różne rzeczy mogą się wydarzyć w pewne określone dni i jeśli poczekamy do pełni księżyca i pójdziemy do lasu, nawet w dzień, a i tak tylko wtedy mogliśmy tam pójść, spotkamy mężczyznę... Śmiałyśmy się i nie wierzyłyśmy w to. Postanowiłyśmy, że pójdziemy do lasu, a po powrocie powiemy Elsie, że spotkałyśmy mężczyznę. Ale kiedy tam poszłyśmy, naprawdę spotkałyśmy go...

Zaschło mi w ustach i trudno mi było wydobyć z siebie głos. W końcu powiedziałam:

– A więc spotkałyście tego mężczyznę i Fiona z nim uciekła.

– Tak. To było takie romantyczne.

– Eugenio, jak nazywał się ten mężczyzna?

– To był Carl.

– Carl i co dalej?

– Nigdy nie słyszałam jego nazwiska. Fiona, mówiąc o nim, zawsze mówiła Carl.

– A ty i Charlotta pomogłyście jej uciec.

– Tak. Tego wieczoru, kiedy byliśmy we Dworze.

– I wynalazłyście mnisi habit, żeby on mógł przyjść na przedstawienie?

– To było takie ekscytujące. Musiał się z nią zobaczyć tego wieczora, żeby jej powiedzieć, o której godzinie musi się z nim spotkać. Najpierw mieli jechać do Londynu. Uważałyśmy, że była to fantastyczna historia.

– Eugenio – powiedziałam spokojnie – panna Eccles mówi, że masz prawdziwy talent do rysowania.

– Naprawdę? Uwielbiam to. To mój ulubiony przedmiot. Chciałabym móc to robić ciągle.

– Mogłabyś mi narysować męża Fiony?

– Och... mogłabym spróbować. Zrobię to rano.

– Chciałabym, żebyś zrobiła to teraz.

– Teraz, panno Grant? W łóżku?

– Tak – powiedziałam. – Teraz. Chcę zobaczyć go zaraz.

Wstałam i znalazłam ołówek i papier. Eugenia usiadła w łóżku i używając książki jako podkładki, zaczęła rysować, krzywiąc twarz w koncentracji.

– On jest bardzo przystojny. Trudno to uchwycić. Ale to jest trochę podobne do niego. Tak, jest bardzo przystojny. Jest blondynem. Włosy trochę mu się kręczą... o tak. Jego twarz jest niepodobna do twarzy innych ludzi. W jego spojrzeniu jest coś takiego... nie mogę tego oddać.

– Rysuj dalej. Już coś widać.

I tak też było. Twarz, która patrzyła na mnie z rysunku, bardzo przypominała twarz nieznanego z lasu.

Wzięłam tę kartkę od niej i pieczołowicie schowałam ją do szuflady. Jeszcze nie byłam pewna, co zrobić. Dokonałam tak zaskakującego odkrycia, że byłam jak sparaliżowana.

Trudno mi było sobie wyobrazić, co ono oznaczało.

– To dziwne, że chciała pani, żebym rysowała go teraz – zaczęła Eugenia.

– Robi się już późno – powiedziałam. – Myślę, że powinniśmy iść spać.
Położyła się i zamknęła oczy.

– Dobranoc, panno Grant.

– Dobranoc, Eugenio.

Mówiłam sobie w myślach: mąż Fiony był mężem Lydii. Lydia zginęła, jeżdżąc na nartach, a on uczył tego Fionę. Teraz byłam pewna, że ktoś próbował otruć Eugenię i że tym kimś musiała być Elsa, głęboko zamieszana w tę makabryczną historię.

Muszę działać szybko. Ale jak?

Spotkanie w górach

W nocy nie spałam wcale, a pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam rano, było pójście do Daisy. Zdecydowałam, że muszę wyłożyć jej całą sprawę. Zaczęłam od zdania relacji z mojego spotkania w lesie z nieznanym. Słuchała w milczeniu. W końcu powiedziała:

– Sądzę, że powinniśmy natychmiast pojechać do Dworu i opowiedzieć całą tę fantastyczną historię sir Jasonowi. Zdaje się, że Eugenia może być w niebezpieczeństwie.

Przyznałam jej rację i poczułam się o wiele lepiej niż przez całą noc.

Pomimo wczesnej pory pojechaliśmy do Dworu. Sir Jasona nie zastałyśmy. Był na porannej przejażdżce, co najwyraźniej robił zawsze przed śniadaniem. Kiedy wrócił, był zaskoczony naszym widokiem.

Panna Hetherington powiedziała:

– Lepiej będzie, Cordelio, jeśli opowiesz całą historię, tak jak opowiedziałas ją mnie.

Zrobiłam to.

– Wydaje się jasne – stwierdziła Daisy – że ta nasza służąca ma jakiegoś rodzaju powiązania z mężczyzną, który specjalizuje się w spotykaniu dziewcząt w lesie i przypuszczalnie rozkochiwaniu ich w sobie.

– To wystarczająco jasne – zgodził się Jason. – Oczywiście jest, że miał zamiar zgotować taki sam los tobie, Cordelio.

– Myślę, że wiem, dlaczego zniknął tak nagle. Stało się to wtedy, kiedy dowiedział się, że moja ciotka sprzedaje Manor.

Wówczas zajął się Lydią, a teraz Fioną. Czy jest coś, co wytłumaczyłoby ten obecny atak na Eugenię?

– Coś przychodzi mi do głowy – powiedział Jason. – Fiona odziedziczy całą fortunę, która przypada dziewczętom, w przypadku śmierci Eugenii.

– Elsa próbuje się więc pozbyć Eugenii. Co za szatański plan!

– Potem przyjdzie kolej na Fionę.

– Ten człowiek jest wielokrotnym mordercą! – powiedziała Daisy, blednąc.

– Myślę, że to właśnie nam się objawia – próbowałam zrozumieć. – Jego współpracowniczka pracuje w eleganckich szkołach, gdzie uczą się bogate, młode panny. Wybiera te najbardziej odpowiadające ich celom, opowiada im legendę i sprawia, że idą tam, gdzie pojawia się mężczyzna. On zabiera się do oczarowania ich i wybiera następną ofiarę. Lydia miała niewielką fortunę. Zginęła na stoku narciarskim. Zdaje pan sobie sprawę z tego, że teraz on uczy Fionę jazdy na nartach?

– Mój Boże! – powiedział Jason. – Musimy ją odnaleźć.

– Jak? – zapytałam. Milczeliśmy wszyscy.

– Opowiadał mi, że mieszka w Suffolk. Pojechałam tam. Dowiedziałam się, że żyła tam rodzina o nazwisku Dowling. Mieli syna i córkę, a mężczyzna, o którego nam chodzi, mógł być tym synem. Powiedział mi, że nazywa się Compton, ale Comptonowie nie żyją od dwudziestu lat. Myślę, że podał mi to nazwisko przypadkowo, ale fakt, że wybrał je właśnie i tamto miejsce, świadczy o tym, że w jakimś momencie miał z tamtym rejonem coś wspólnego. Sądzę, że powinniśmy się dowiedzieć czegoś więcej o tej rodzinie. Ale co zrobimy do tego czasu?

– Musimy odnaleźć Fionę – powtórzył Jason.

– Pojechał pan jej szukać i wrócił pan z niczym. Coś mi przychodzi na myśl. Zdaje się, że dopóki Eugenia żyje, Fiona jest bezpieczna. On chce całości fortuny... nie tylko

połowy. To jest zabezpieczenie dla Fiony.

– Myślę, że Eugenia powinna być stąd zabrana – powiedziała Daisy.

– Też tak uważam – potwierdziłam. – Elsa... jeśli to Elsa... próbowała ją otruć. Teraz rozumiem. Robi to stopniowo, tak żeby w chwili, kiedy zaaplikuje ostateczną porcję, uznano, że Eugenia miała kolejny atak, bardziej dotkliwy niż te dotychczasowe. Być może porcja, którą dostała Charlotta, miała być właśnie tą końcową. Charlotta chorowała bardzo i mogło się zdarzyć, że Eugenia, tak osłabiona jak teraz, mogłaby tego nie przetrwać.

– Trudno byłoby uwierzyć, gdyby nie istniała wystarczająca liczba dowodów na potwierdzenie tego – powiedział Jason. – Musimy działać szybko.

– Chciałabym tylko wiedzieć, jak to zrobić – zastanowiłam się.

– Przemyślmy to. Spróbujmy dopatrzeć się wszystkich ukrytych podtekstów. Ten mężczyzna ma Fionę. Ożenił się z nią. Nie wiemy, jakiego nazwiska użył. Nie wiemy, gdzie jest.

– Dla Lydii Markham był Markiem Chessinghamem.

– Nie użyje tego samego nazwiska po raz kolejny.

– To prawda. Eugenia mówi o nim jako o Carlu Jakimśtam. Nigdy nie słyszała jego nazwiska.

– Co zrobimy? Znowu zaczniemy szaleć po Europie, szukając mężczyzny o imieniu Carl, mającego żonę o imieniu Fiona? Obawiam się, że nie na wiele się to zda. Sądzę, że powinniśmy zawiadomić policję. Tego mężczyznę trzeba szybko odnaleźć.

– Pomyślałam o czymś – powiedziałam.

Spojrzeli na mnie wyczekująco.

– Być może pani Baddicombe na coś się przyda. Uważałam ją za niemądrą starą intrygantkę, ale teraz zaczynam być z niej całkiem dumna. Elsa koresponduje z kimś z zagranicy... Pisuje dosyć regularnie. On nie zawsze przebywa w tych samych krajach, ponieważ Elsa musi pytać panią Baddicombe o cenę znaczków. Stąd nasza listonoszka wie, że pisuje ona do Szwajcarii, Francji, Niemiec czy Austrii, zna także plec adresata tych listów. To mężczyzna. A teraz, skoro Elsa pisze listy do swojego współnika, a sądzę, że to z tym właśnie mamy do czynienia, najprawdopodobniej on jej odpisuje.

– Rozumiem – powiedziała Daisy, patrząc na mnie z aprobatą.

– Jeśli moglibyśmy przechwycić jeden z tych listów, dowiedzielibyśmy się czegoś.

– Dosyć łatwo będzie można to zaaranżować – powiedziała Daisy. – Jak wiecie, jeden z mężczyzn pracujących w stajni jeździ i odbiera codziennie pocztę, ponieważ dla listonosza to za daleko przyjeżdżać aż tutaj. Zwykle zostawia ją u którejś ze służących. Mogę wydać polecenie, żeby przyniósł ją wprost do mnie.

– Podejrzewam, że Elsa wypatruje powrotu człowieka z pocztą.

– Z tym łatwo możemy sobie poradzić. Zmienię czas odbioru poczty, tak że ona nie będzie niczego podejrzewać. Co o tym myślicie? – Daisy patrzyła na Jasona.

– Tak, proszę to zrobić – zgodził się. – Ale nie możemy czekać tylko na pocztę. Powiniennem już dzisiaj pojechać do Londynu, a tymczasem Eugenia musi wrócić do Dworu.

– Powinniśmy mieć dobry powód, tłumaczący takie postępowanie, i wiarygodną historyjkę dla dziewcząt – powiedziała Daisy.

– Możemy powiedzieć, że spodziewa się pan ważnych gości i chce pan, żeby ona ich poznała, z tego też powodu rozpocznie ferie tydzień wcześniej niż reszta szkoły – dodałam.

– Wymyślimy coś – powiedziała Daisy. – A co z Charlottą? Trochę się o nią niepokoję.

– Przenieśmy je obydwie do Dworu. Teraz już jest w stanie odbyć podróż i może dotrzymać towarzystwa Eugenii. Sądzę, że będziemy musieli to wytłumaczyć dziewczętom... myślę o Charlotte i Eugenii.

Daisy spojrzała na mnie.

– Ty je dobrze znasz.

– Tego nie jestem pewna. Ale myślę, że w obecnym stanie ducha Eugenii będę mogła z nią porozmawiać. Jeśli chodzi o Charlotte, to jest zbyt słaba, żeby oponować. Możemy im powiedzieć, że zabieramy je na przejażdżkę, zawieźć je do Dworu i powiedzieć, że mają tam zostać.

– Zostawiam to tobie, Cordelio – powiedziała Daisy, akcentując to w sposób ostateczny, co kończyło całą sprawę, tak jak to się zwykle działo, kiedy obarczała podwładnego trudnym zadaniem.

– Proszę w takim razie przywieźć ją dzisiaj rano – powiedział Jason. – Ja przygotuję się do wyjazdu do Londynu, żeby przedsięwziąć jakieś kroki. Tak niewiele można zrobić.

– Mocno wierzę w list – powiedziałam. – Myślę, że korespondencja musi być dosyć intensywna.

Poszłam na górę do swojego pokoju. Charlottą siedziała na krześle. Wyglądała blado i apatycznie. Zapytałam ją, jak się miewa, i usłyszałam, że czuje się zmęczona przebywaniem przez cały dzień w swoim pokoju.

– Chciałabyś pojechać na przejażdżkę?

Poweselała i przytaknęła.

– W takim razie poproszę Eugenię, żeby pojechała razem z nami.

Jak na razie, wszystko układało się pomyślnie. Teraz, kiedy zaczęłam działać, poczułam się o wiele lepiej.

Eugenia była zachwycona możliwością nieuczestniczenia w lekcjach i pojechania z Charlottą.

– Dokąd pojedziemy? – zapytała Eugenia.

– Pojedziemy do Dworu.

– Żeby zobaczyć się z wujkiem Jasonem?

– Nie wiem, czy tam jest.

– Wczoraj był – powiedziała Eugenia.

– Zobaczymy – odparłam.

Kiedy przyjechałyśmy na miejsce, weszłam razem z dziewczętami do środka. Charlottą była najwyraźniej wyczerpana, więc poprosiłam jedną ze służących, aby zaprowadziła nas do przeznaczonego dla niej pokoju.

– Będę się mogła położyć? – zapytała.

– Masz na to ochotę, prawda?

– Tylko na chwilę.

– Ty połóżysz się, a Eugenia i ja posiedzimy przy tobie. Chcę powiedzieć wam o czymś.

Kiedy już leżała, otworzyłam drzwi łączące ten pokój z sąsiednim, też będącym sypialnią.

– Chciałabym, żebyście wysłuchały mnie teraz uważnie. Zostaniecie tu na jakiś czas.

– Zostaniemy tutaj? – wykrzyknęła Eugenia. – A co ze szkołą?

– Cóż, obydwie byliście bardzo chore... były to dosyć zagadkowe choroby. Sądźmy,

że będzie lepiej, jeśli zostanieie tu aż do ferii. Nie wiem, jakie plany miała potem Charlottą, ale ty, Eugenio, i tak byś tu przyjechała.

– Co powie na to panna Hetherington?

– Ona wie o tym. Prawdę mówiąc, jest to pomysł jej, mój i twojego wujka. Chcemy, żebyście zostały tu, ponieważ w szkole może być coś, co nie wpływa na was dobrze.

Milczały, patrząc jedna na drugą. Widziałam, że żadna z nich nie była niezadowolona ze skrócenia semestru.

– Ja wiem, co to jest – powiedziała Eugenia. – To kanalizacja.

– Kanalizacja?

– Tak, czasami to jest powodem zachorowań. Ja chorowałam i Charlotta też, a oni myślą, że powinniśmy wyjechać. Powodem jest coś, co znajduje się w naszym pokoju. Tak sędzę. Gdzieś w okolicach okna.

Pomyślałam, że to wygodne wyjście z sytuacji, gdyż nie chciałam im mówić, że obawiamy się próby zamachu na życie Eugenii.

– Cóż, będziecie się tu razem dobrze bawić, a ty, Eugenio, musisz doglądać Charlotty, w porządku? Będiesz miała ręce pełne roboty.

Spojrzały na siebie i zaśmiały się.

– A co z „Romeem i Julią”?

– Biedny Romeo – powiedziała Eugenia. – Byłaś całkiem dobra, Charlotto. Ja nigdy nie mogłam wypowiedzieć swoich kwestii bez pomyłek. Kto zajmie nasze miejsca?

– Myślę, że w ogóle zrezygnujemy z tego. „Kupiec wenecki” będzie im musiał wystarczyć.

Charlotta wyglądała na rozczarowaną.

– Ty nie wydobrzałaś do tego czasu – tłumaczyłam. – Pomyśl, jak nieprzyjemnie by ci było, gdyby ktoś inny dostał tę rolę.

Po chwili zastanowienia Charlotta zaakceptowała tę decyzję. Jeśli Romeem nie mogła być Charlotta Mackay, to nikt inny nie powinien nim być.

– Muszę wracać – powiedziałam. – Przypuszczam, Eugenio, że twój wujek będzie z powrotem za dzień lub dwa.

Wróciłam do szkoły. Kiedy opowiedziałam Daisy, jak sprawy się potoczyły, w pierwszej chwili była oburzona, słysząc o jakichkolwiek wątpliwościach co do prawidłowego funkcjonowania kanalizacji w szkole, ale wkrótce ochłonęła po tych przeżyciach i stwierdziła, że było to lepsze niż powiedzenie im prawdy.

– Czuję się bardzo nieswojo, jeśli chodzi o tę dziewczynę, Elbę – powiedziała.

– Rozumiem, ale myślę, że to konieczne, by nie wiedziała, że cokolwiek podejrzewamy. Przez jakiś czas nie musi wiedzieć o wyjeździe Eugenii i Charlotty.

– A kiedy się dowie?

– Myślę, że wtedy może się zacząć zastanawiać. Musimy bardzo na nią uważać.

– Wolałabym, żeby ją natychmiast aresztowano.

– Pod jakim zarzutem? Wszystko to głównie podejrzenia. Potrzebne nam są dowody. Liczymy na to, że wkrótce będziemy je mieć. A do tego czasu obserwujemy Elbę.

* * *

Następnego dnia dziewczęta już mówiły o wyjeździe Eugenii i Charlotty. Wytłumaczyłam im, że Charlotta wymagała rekonwalescencji, a Eugenia, która była jej

najlepszą przyjaciółką, dotrzymywała jej towarzystwa. Elsa szybko się o tym dowiedziała i zastanawiałam się, do jakich wniosków dojdzie. Może nie będzie niczego podejrzewać. Z drugiej jednak strony nie będzie mogła realizować zaplanowanego morderstwa... jeśli mieliśmy rację, sądząc, że to właśnie robiła.

Po dwóch dniach Jason wrócił z Londynu. Miał niewielkie nadzieje na odnalezienie Fiony i jej męża. Wyjaśniono mu, że oni mogą być w dowolnym miejscu w Europie i że jedyną informacją, jaką dysponowaliśmy, było to, że on miał na imię Carl, a jego żona – Fiona.

Próbowałam zaskoczyć Elbę zadaniem kilku pytań. Chciałam dowiedzieć się, co myśli. Z niczym się nie zdradziła i wbrew sobie, zaczęłam się zastanawiać, czy nie myliłam się co do niej. Była w Schaffenbrucken, a teraz znalazła się tutaj. Z pewnością jednak nie przyjechałaby do Colby, gdyby wiedziała, że ja tu jestem. Opowiedziała historię o spotkaniu mężczyzny w lesie. Czy możliwe, żeby to był przypadek? Och, nie... to zbyt misterne. Była w to zamieszana. Z pewnością.

Zapytałam, czy jedzie do domu na święta.

– O tak, jadę do siostry. To daleko stąd. Na północy.

– A gdzie?

– W Newcastle.

– To rzeczywiście daleko.

– Tak, ale to moja jedyna siostra. Rodziny muszą się trzymać razem, prawda? Jestem szczęśliwa, że mam dokąd pojechać. Pani też chce być z rodziną w czasie świąt. Teresa mówi, że jedzie z panią.

– Tak...

– Mam nadzieję, że panna Charlotta czuje się dobrze.

– Wierzę, że tak.

– Biedna dziewczyna. Było z nią źle. A teraz panna Eugenia jest z nią. To dobrze. Nerozłączne papużki te dwie.

Bezładnie potrząsała swoją ściereczką do kurzu, jak to zwykle robiła. Trudno było ją podejrzewać.

Był początek przedświątecznego tygodnia, a środa była ostatnim dniem szkoły. Próby zostały zakończone i wielki dzień zbliżał się. Miał być grany tylko „Kupiec wenecki” i jak twierdziła Eileen, było to błogosławieństwem. Nikt nie dziwił się temu, że Charlotta wyjechała, żeby dojechać do siebie, i że Eugenia była z nią. Eileen zaś cieszyła się, że uwolniła się od „Romea i Julii”.

Daisy wezwała mnie do swojego gabinetu. Kiedy tam weszłam, trzymała w dłoni list. Był zaadresowany do panny Elsy Kracken i miał austriackie znaczki.

– Sądzę – powiedziała – że to jest to, na co czekaliśmy. Nie otworzyłam go. Myślę, że trzeba się z nim obejść ostrożnie, bo może będzie konieczne, żeby go jej oddać, a nie powinna się dowiedzieć, że widzieliśmy go. Dlatego też mam zamiar otworzyć go nad parą, bardzo delikatnie. Wtedy, jeśli to będzie konieczne, będziemy mogli zakleić go ponownie.

Usiadłyśmy obok siebie i zaczęłyśmy czytać:

„Droga siostrze,

Co za klęska! Nie możesz jednak winić siebie. Takie rzeczy zdarzają się, a mówiłam ci wiele razy, że jeśli robimy, co w naszej mocy, a sprawy się nie układają, nie

ponosimy za to winy. Ale to było bardzo niefortunne i zaczynam się niepokoić. Wyczułem niebezpieczeństwo, jak tylko dowiedziałem się, że ta kobieta tam jest. Może powinnaś była wyjechać, kiedy zrealizowaliśmy pierwszą część planu. Gdyby tak się stało, teraz już na pewno zakończylibyśmy całą sprawę. Tak właśnie zrobimy. Zawiadom ich natychmiast, że rezygnujesz z pracy i że nie wrócisz już po świętach. Powiedz, że przyczyną są sprawy rodzinne. Postaraj się, żeby wyglądało to naturalnie. Rozumiesz, o co mi chodzi.

Wiem, kiedy należy powiedzieć sobie «dosyć». Zadowolimy się tym, co mamy. Nasz ptaszek jest świetnie wyposażony i zaakceptujemy tylko połowę, bo najwyraźniej próbowanie zdobycia reszty staje się niebezpieczne. Powiniennem załatwić ten projekt raz na zawsze. Może będzie to już ostatni i będziemy mogli kupić gdzieś naszą małą posiadłość... gdziekolwiek. Będzie taka wspaniała jak Compton, taka, o jakiej zawsze marzyliśmy. Ale tutaj to my będziemy jej panami. Z nami nie będzie tak jak z naszym ojcem. Nie będziemy niewolnikami bogaczy... Będzie odwrotnie...

Przede wszystkim, kochana siostrzo, nie pozwolę, żebyś oskarżała się. W tym wypadku okoliczności były przeciwko nam. Powiniennem być bardziej ostrożny, kiedy dowiedziałem się, że ta kobieta tam jest. Ona jest naszym złym duchem. Na początku wprowadziła mnie w błąd i jeśli dzięki temu poczujesz się mniej winna, pozwól, że ci przypomnę, że ja też popełniłem błędy. Niewybaczalne błędy. Tak łatwo się je robi, kiedy człowiek nie ma się na baczności. Lekkożylnie podałem jej to nazwisko, które w przeszłości tyle dla nas znaczyło... i nie tylko nazwisko, ale i nazwę miejscowości. Natychmiast zorientowałem się, że była to wielka nieostrożność, ale jak już mówiłem, wszyscy czasami bywamy lekkożylni. To mnie bardzo niepokoi, zapewniam cię. Ale mówię o tym teraz, żeby ci przypomnieć o błędach, jakie możemy popełnić, kiedy przez chwilę nie pilnujemy się.

To nie była twoja wina. Postępowałaś prawidłowo. Skąd miałaś wiedzieć, że tamta dziewczyna wypije mleko? Jeśli próbowałabyś ją powstrzymać, co, jak mówisz, miałaś zamiar zrobić, mogłoby to być nawet bardziej zgubne.

Nie, musisz przestać się oskarżać. Wyjedź stamtąd, a ja wykonam cały plan i będziemy wolni.

Realizowaliśmy nasze plany z wielkim powodzeniem i jeśli tym razem odnieśliśmy tylko połowiczny sukces, zadowolimy się tym.

Już wkrótce będziesz razem ze mną. Jak tylko będziesz mogła wyjechać, nie wzbudzając podejrzeń, przyjedź do tego hotelu. Będę tu przez jakiś czas. Do chwili, aż będę mógł powiedzieć: skończone.

Zawsze kochający cię, najdroższa siostrzo,
Twój brat

PS Będzie dobrze mieć przy sobie siostrę, która może pocieszyć mnie w mojej żalobie”.

Spojrzałyśmy na siebie.

– To wszystko prawda – wykrzyknęła Daisy. – Co za nikczemność! I Fiona...

– Fiona jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie – powiedziałam. – Ale proszę spojrzeć, mamy adres.

– Ale nie mamy nazwiska.

– Adres jest najważniejszy. Myślę, że muszę natychmiast dać ten list sir Jasonowi.

Skinęła głową i w ciągu dziesięciu minut byłam już w drodze do Dworu.

Jason był wstrząśnięty, kiedy przeczytał list.

– Co zrobisz? – zapytałam.
– Muszę pojechać do Londynu i iść na policję, a potem muszę jechać tam. Nie mogę zwlekać. Kto wie, co może przydarzyć się Fionie.
– Och, Jasonie – powiedziałam. – Niech cię Bóg prowadzi. Znieruchomiał na chwilę, po czym objął mnie i pocałował.
– Muszę jechać natychmiast. Ja wróciłam do Akademii.
Dwa dni później w szkole pojawił się mężczyzna. Chciał się widzieć z Daisy Hetherington. Odbił z nią krótką rozmowę w cztery oczy, a kiedy odjeżdżał, towarzyszyła mu Elsa.
– Byli bardzo uprzejmi – powiedziała Daisy. – Zrobili, co należy, tak dyskretnie, jak to możliwe.
– Czy to było aresztowanie? – zapytałam.
Przytaknęła.
– Została aresztowana pod zarzutem współudziału w morderstwie.
Poszliśmy do jej pokoju. W szafce znalazłyśmy szereg butelek i jakieś suszone zioła. Daisy powąchała je i powiedziała:
– Sama musiała robić truciznę. To sprytna dziewczyna. Szkoda, że jej zdolności zostały tak źle ukierunkowane.

* * *

„Kupiec wenecki” odniósł niemały sukces i rodzice, którzy przyjechali, żeby obejrzyć przedstawienie, byli pod wrażeniem.

Wyprawiłyśmy dziewczęta na ferie Bożego Narodzenia. Następnego dnia Teresa i ja jechałyśmy do Moldenbury.

– Myślałam, że nie przeżyłam jeszcze tak niesamowitego semestru jak poprzedni – powiedziała Daisy – ale ten pobił nawet tamten. Ciekawa jestem, co zdziałał sir Jason. O Boże, chciałabym, żeby ta okropna sprawa już się zakończyła. Jak na razie, na szczęście, szkoła nie ucierpiała. Mam nadzieję, że nie będzie się zbyt wiele mówić o tym, że ta dziewczyna tu pracowała. Kiedy uświadamiam to sobie, nie mogę spokojnie myśleć o następnym semestrze.

Teresa była w świetnym nastroju, spekulując, w jakim kapeluszu będzie ciotka Patty i jakie ciasto do herbaty upiecze Violet.

W pociągu wiozącym nas do Paddington przeprowadziłam rozmowę z Teresą, ponieważ miałyśmy własny przedział. Pomyślałam, że wygląda na trochę spiętą, i zapytałam, czy martwi się czymś.

– Teraz już nie – powiedziała. – Myślę, że teraz już wszystko będzie w porządku. Wspaniale, że jedziemy na święta do Epping.

– Jestem pewna, że będzie bardzo miło.

– Ciocia Patty, Violet, pani i ja... John i Charles. Będzie wspaniale.

– Nie rozumiem, dlaczego jeszcze przed chwilą byłaś smutna, mając przed sobą taką perspektywę.

Milczała przez kilka sekund. Przygryzała wargę i patrzyła na przesuwane się za oknami pociągu pola.

– Jest coś, o czym powinnam pani powiedzieć. Teraz to już nie będzie miało żadnego znaczenia. To już skończone. Może...

– Lepiej będzie, jeśli wyrzucisz to z siebie – powiedziałam.

– Tak, teraz jest już bezpiecznie. Jest Epping i John... a uważam, że on jest uroczy. Jest po prostu taki, jak trzeba.

– Powiedz, Tereso, o co chodzi.

– Tego kolczyka nie znalazłam nad stawami.

– Jak to?

– On był w pokoju Eugenii. Znalazła go w stajni we Dworze i miała go oddać pani Martindale, ale zapomniała. Długo leżał w szufladzie w jej pokoju. Więc go wzięłam.

– Ach, Tereso... skłamałaś.

– Tak – powiedziała – ale myślę, że tak naprawdę to było dobre kłamstwo. To niktzemny człowiek, Cordelio, a wszyscy wiemy, że chciał ciebie.

– Jak mogłaś, Tereso?

– Ludzie mówili, że on się jej pozbył. A oni nie wiedzieli o kolczyku. Powiedziałam to tylko tobie. Żeby cię zatrzymać, żeby ci pokazać...

Milczałam.

– Jest pani na mnie bardzo zła? – Teresa wpatrywała się we mnie z nadzieją. – Uważałam, że pani go też raczej nie lubi... a on jest niktzemny. Ma w sobie diabła. Eugenia tak powiedziała. Powiedziała, że pani i on... To dlatego rzuciłam w nią butem. Pani, panno Grant, nie chce mieć z nim nic wspólnego. A jest Epping i John... a Violet mówi, że nie zdziwiłaby się, gdyby on już wkrótce się oświadczył.

– Powinniśmy zaraz dojeżdżać do Paddington – powiedziałam.

– Jest pani na mnie bardzo zła?

– Nie, Tereso – odparłam. – To, co zrobiłaś, zrobiłaś z miłości. Sądzę, że tym usprawiedliwia się większość postępów.

– Jak dobrze. Czy mam zdjąć bagaże?

Ciotka Patty uścisnęła nas z pełną radości czułością.

– Pojutrze jedziemy do Epping – powiedziała. – Pomyślałam, że będziecie chciały mieć trochę czasu w Moldenbury na przygotowanie wszystkiego.

– Będzie tyle radości – powiedziała Teresa. – Chciałabym, żeby śnieg się nie rozpuścił.

– Mogłoby być trudno podróżować, moja droga. Mogłoby być tak źle, że nie udałoby się jechać – przypomniała jej ciotka Patty.

– W takim razie cieszę się, że go nie ma.

– Ale pamiętaj – ciągnęła ciotka Patty – że las w śniegu wyglądałby bardzo pięknie.

Violet powitała nas z radością okraszoną smętkiem i obwieściła, że z pewnością jesteśmy niesamowicie spragnione herbaty.

– Czeka na nas gorący tost. Jest nad pojemnikiem z wodą, dzięki czemu dobrze nasiąknie masłem i jednocześnie będzie gorący – wyjaśniła. – A na potem mamy maślane ciasteczka, bo jakiś mały ptaszek podszeptał mi, że to ulubione ciasteczka Teresy.

Takie samo jak zawsze przytulne domowe ciepło. Trudno było uwierzyć, że istnieje to tuż obok przerażającej śmierci.

Następnego dnia dostałam list. Jak tylko zobaczyłam austriacki znaczek, zaczęłam drzeć. Przez kilka sekund bałam się go otworzyć.

Napisany był przez nieznaną mi osobę i informował, że miał miejsce wypadek. Sir Jason nie był zdolny do podróżowania i prosił, żebym przyjechała. Był w takim stanie, że nie powinnam z tym zwlekać.

Podpisany był nazwiskiem, którego nie mogłam odcyfrować, ale pod spodem widniał

dopisek „Doktor”.

Weszła ciotka Patty. Popatrzyła na mnie, po czym wzięła z mojej dłoni list.

– Stało się coś strasznego. Czuję to – powiedziałam.

Od razu zrozumiała, o co mi chodzi, bo poprzedniego wieczoru opowiedziałam jej o wszystkim. Teraz patrzyła na mnie, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Pojedziesz? – spytała. Skinęłam głową.

– Nie możesz jechać sama.

– Ale ja muszę – nalegałam.

– Dobrze – odparła. – Pojadę z tobą.

* * *

Była to długa i nieciekawa podróż przez całą Europę. Dłużyła się tym bardziej, że niecierpliwiłam się, chcąc jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

Niełatwo było wyrwać się z Moldenbury. Violet była zdezorientowana i powiedziała, że jesteśmy szalone. I żeby robić coś takiego tuż przed świętami! Teresa była niezadowolona i posępna.

Próbowaliśmy wyjaśniać, ale nie było to łatwe, aż w końcu Violet powiedziała, iż skoro Patty mówi, że to słuszne, to widocznie tak jest. Ciotka Patty orzekła, że Violet i Teresa powinny pojechać do Epping bez nas. Było wiele dyskusji na ten temat, ale wreszcie zostało uzgodnione, że to właśnie powinny zrobić.

W czasie podróży ciotka Patty była cudowna. Mówiła niewiele, bo wiedziała, że tego właśnie potrzebowałam. Pozostawiła mnie samą z moimi myślami, które krążyły wyłącznie wokół Jasona Verringera.

Wiele nauczyła mnie ta podróż. Przez cały czas myślałam o tym, że mogę przyjechać za późno i nigdy już nie zobaczyć go żywego. Wiedziałam, że był w niebezpieczeństwie; mówiły o tym sformułowania w liście doktora. Patrząc z okien pociągu na wzgórza, rzeki i majestatyczne góry, próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądałoby życie bez niego. Unikałam go, ale jak by to było, gdyby nagle okazało się, że już go nie ma i nie muszę go unikać?

Gdyby jego tam nie było, nie chciałabym wracać do Abbey. W moim życiu zapanowałby głęboki smutek i zostały wspomnienia, których chciałabym się wyzbyc. A byłoby to niemożliwe.

– Nie sądzę – powiedziała nagle ciotka Patty – żeby doktor sugerował ci odbycie tak długiej podróży, gdyby nie było jakiejś nadziei.

Wiedziała, jak mnie pocieszyć. Nie zniosłabym ostrożnych pytań, współczucia, wyrazów sympatii. Powinna była wiedzieć, że ciotka Patty zrozumie, co działo się w moich myślach, i nie będzie próbować odwrócić mojej uwagi ku rzeczom, o których nie chciałam myśleć.

I w taki oto sposób w końcu dotarliśmy do Trentnitz.

Był to mały hotel położony w połowie stoku, w jednym z mniej znanych zimowych kurortów. Do domu wypoczynkowego zostałyśmy zabrane z przystanku kolejowego czymś w rodzaju sań. Skoro tylko weszłyśmy do drewnianego stylowego budynku i powiedziałyśmy, kim jesteśmy, poinformowano nas, że doktor jest teraz z sir Jasonem i że natychmiast zobaczy się z nami. Na wszelki wypadek zarezerwował dla nas pokój, w którym możemy zamieszkać obydwie.

Przyszedł do nas. Mówił całkiem dobrze po angielsku i nie było wątpliwości, że

bardzo cieszył się z naszego przyjazdu.

– To jest to, czego potrzebuje nasz pacjent – powiedział. – Chce, żeby pani z nim była. Jest pani jego narzeczoną, jak sędzę. To z pewnością bardzo pomoże.

– W jakim on jest stanie?

– W bardzo ciężkim. Wypadek był... – Uniósł ramiona, próbując dobrać słowa. – To było wielkie szczęście, że nie zginął razem z tamtym. Ale najpierw... nasz pacjent.

Natychmiast poszłam do niego. Leżał w pokoju, którego okna wychodziły na góry. Wszystko wokół było białe i sterylne.

On sam był niesamowicie blady i przez kilka sekund trudno mi go było rozpoznać.

– Cordelia – powiedział.

Podeszłam do łóżka i uklękłam przy nim.

– Przyjechałaś – szepnął.

– Jak tylko się dowiedziałam. Jest ze mną ciotka Patty.

– Jest chyba Boże Narodzenie? – zapytał. – Tak.

– Powinnaś być w Epping.

– Sędzę, że powinnam być tutaj.

– Jestem nieźle poturbowany.

– Od doktora dowiedziałam się jeszcze niewiele. Przyjechałyśmy przed chwilą i od razu przyprowadził mnie do ciebie.

Skinął głową.

– Będę musiał od nowa uczyć się chodzić.

– Nauczysz się.

– Ale jego dostałem. Fiona jest tutaj. Musisz się nią zająć. Jest w złym stanie. Leży w łóżku. Zamieniliśmy to miejsce w regularny szpital.

– Co zaszło?

– Odnalazłem go. Skoro wiedziałem gdzie, to nie było trudne. Po prostu przyszedłem tu. Carl i Fiona... Tylko tego potrzebowałem. Byli razem. Kiedy ich zobaczyłem, miałem ochotę udusić go gołymi rękami. To z powodu tego, jak on się zachowywał w stosunku do niej. Był taki czuły, taki kochający, a ona... wpatrzona w niego jak w jakiegoś bożka. Zobaczyłem ich dużo wcześniej, zanim oni mnie spostrzegli. Wychodzili na narty i uderzyła mnie pewna myśl. Mógł chcieć zrobić to teraz. Mógł zabrać ją tam i sfingować wypadek. Tamta dziewczyna zginęła w ten sposób... i teraz mogła być kolej Fiony. Poszedłem więc za nimi. Kiedy Fiona zobaczyła mnie, krzyknęła przerażona. On odwrócił się gwałtownie. Zadziwiające było, jak wyglądała jego twarz. Ona zawołała: „Wujek Jason”... i on już w tym momencie wiedział. Powiedziałem: „Ty plugawy morderco...”, i ruszyłem na niego. Zaczęliśmy walczyć. Wiedziałem, do czego zmierza. Chciał mnie zrzucić w dół zbocza. Orientował się w tamtym terenie. Wiedział, jak poruszać się w śniegu. Miał przewagę. Ale ja byłem zdecydowany, żeby go dopaść. Miał mnie na krawędzi zbocza... pomyślałem, że jeśli zacznę spadać, pociągnę go za sobą. Nie będzie miał szansy, żeby kontynuować swoją morderczą grę. I runęliśmy razem...

– Powinieneś poczekać – powiedziałam. – Policja dostałaby go. Byli na jego tropie. Aresztowali Elbę.

– Kiedy by go dopadli? Po tym, jak zamordowałby Fionę. Nie. Mieliśmy do czynienia z wprawnym mordercą, człowiekiem, którego zajęciem było mordowanie. Wiedziałem, że w jakimś momencie przyszliby po niego, ale musiałem znaleźć się tam... od razu... jak tylko się dowiedziałem. Nie mogłem pozwolić, żeby było za późno.

– Co się stało z tamtym?

– Najlepsze, co się mogło przydarzyć. Miał szczęście. Skręcił kark. Ja jestem połamany w wielu miejscach, ale mój kark jest cały. Wylądowałem w zaspie śniegu... zostałem w niej zagrzebany. On spadł na twardą skałę.

– Denerwujesz się, kiedy o tym mówisz? – zapytałam.

– Nie. To mi nawet dobrze robi. Ale martwię się Fioną.

– Zobaczę, może uda mi się coś na to poradzić.

– Spróbuj jej wyjaśnić. Nie będzie ci wierzyć, ale musisz sprawić, żeby uwierzyła. Wiem, że to trudne, ale nie może w dalszym ciągu odwracać się od prawdy. Cordelio, wspaniale, że przyjechałaś. Chyba musiałem cię wołać, kiedy nie wiedziałem, co mówię.

– Czy wołałbyś mnie tylko w malignie?

– Wiedziałem o Epping. Eugenia nie omieszkała mnie dokładnie poinformować.

Reszty się domyśliłem.

– Cóż, ale ja przyjechałam tutaj.

– Niemądrze.

– Sądzę, że to był raczej rozsądny krok. Pamiętasz, kiedyś poprosiłeś, żebym wyszła za ciebie?

Uśmiechnął się słabo.

– Byłem trochę zadufany w sobie, prawda?

– Czy ta propozycja jest w dalszym ciągu aktualna?

Nie odpowiadał i mówiłam dalej:

– Ponieważ jeśli jest aktualna, postanowiłam ją zaakceptować.

– Ponoszą cię emocje. Litość dla mężczyzny, który nigdy już de będzie taki jak dawniej. Nie tak powinno być między nami. Czeka na ciebie ten wzór wszelkich cnót. On da ci wszystko, czego może chcieć kobieta.

Zaczęłam się śmiać.

– Co tak cię śmieszy? – zapytał.

– Przez długi czas mówiłam ci, że nie chcę cię więcej widzieć, a ty nalegałeś, że nie mogę tego zrobić. Teraz ja mówię, że chcę tego, a ty wynajdujesz powody, dla których powinnam poślubić kogoś innego.

– Jaka z nas przewrotna para. Zmieniliśmy się. Kompletnie się wszystko odwróciło. Ty zostawiłaś w Anglii pozę praktycznej nauczycielki, a ja gdzieś w połowie stoku zgubiłem buńczuczny łotra. Jak to możliwe, żeby ludzie zmienili się aż tak bardzo?

– To nie tak. Po prostu uwidaczniają się pewne strony ich charakterów. Naprawdę mnie kochasz?

– Muszę odpowiadać?

– Chcę jasnej odpowiedzi.

– Doprawdy? Widzę, że nauczycielka jeszcze nie oddaliła się zbyt. Jeśli odpowiedź nie będzie prawidłowa, sto linii jak do przepisania za karę. Oczywiście, kocham cię.

– W takim razie to już ustalone. Możesz być niegodziwym łotrem z diabelską przeszłością, ale czyż nie wiedziałam zawsze, jak sobie z nim radzić?

– Nawet w „Diabelskiej Kwaterze”.

Milczeliśmy. Nie śmieliśmy spojrzeć sobie w twarz w obawie, że zdradzimy się z głębią naszych uczuć. Wzięłam jego dłoń i przytuliłam ją do swojego policzka.

Powiedziałam:

– Wiele myślałam o nas od tamtego wydarzenia, a kiedy jechałam tu pociągiem, nie wiedząc, co zastanę, zrozumiałam siebie... moje uczucia... i to, czego chcę. Jeśli zastałabym cię nieżywego, nie zależałoby mi na moim własnym życiu. Uświadomiłam

sobie, że nigdy nie czułam, że tak kocham życie, jak wtedy, kiedy walczyłam z tobą. Myślę o naszych słownych utarczkach. Najbardziej ekscytującą rzeczą, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła, było gwałtowne rozbudzenie się mojego oporu przeciwko tobie. Uświadomiłam sobie, że moje życie byłoby bez tego bardzo nudne i nie miałyby większego sensu. Myślę, że antagonizm czasami jest przykrywką dla zainteresowania.

– Mówisz głupstwa – powiedział. – Ponosi cię sentyment. Moja kochana mała nauczycielka robi to, co uznaje za „rzecz właściwą”.

– Jeśli nie chcesz słuchać tego, co mówię, to pójdę sobie.

– Zostań.

– To zabrzmiało jak rozkaz.

– Ty nie lubisz rozkazów. Decydujesz sama.

– Tak i zdecydowałam, że zostanę tak długo, jak będę chciała. Wyzdrowiejesz. Dopilnuję tego, a jedyną metodą, żebym mogła to zrobić skutecznie, jest poślubienie ciebie. Powstrzymać mnie może tylko jedno: jeśli powiesz, że mnie nie chcesz.

– Posłuchaj – powiedział. – Musisz poczekać, Cordelio. Musisz zobaczyć, w jakim jestem stanie.

– Uratowałeś Fionę. Pamiętaj o tym.

– Ona mi za to nie podziękuje.

– Z czasem zrobi to. A więc jaka jest twoja odpowiedź?

– Lepiej by ci było z twoim bankierem.

– Mam więc tam wrócić?

– Nie – powiedział. – Zostań. Przypuśćmy, że wyjdiesz za mnie. Będziesz miała pewność, że nie podam ci porcji laudanum?

– Podejmę to ryzyko.

– A przypuśćmy, że zamorduję cię i wrzucę do stawów albo zakopię twoje szczątki w ziemi Abbey?

– To ryzyko też podejmę.

– A ten skandal! Pani Baddicombe będzie miała dzień chwały.

– W tej chwili jestem raczej wdzięczna pani Baddicombe. Z przyjemnością dostarczę jej kilku nowych elementów do jej repertuaru.

– Nie mówisz poważnie?

– Jestem śmiertelnie poważna. Idę do lekarza. Chcę dokładnie wiedzieć, w jakim jesteś stanie. Zostanę tutaj z tobą aż do chwili, kiedy będziemy mogli wyjechać razem.

Odwróciłam twarz. Nie chciałam, żeby widział moje łzy, a kiedy spojrzałam na niego, w jego twarzy było coś na kształt zdziwienia i niesamowita radość.

Epilog

Dopiero na wiosnę poślubiłam Jasona. Wtedy mógł już chodzić z pomocą laski. Byłam z nim w Austrii przez trzy miesiące. Po trzech tygodniach ciotka Patty wróciła do domu. Powiedziała, że uważa, iż dam sobie radę bez niej, a chce sprawdzić, co wyprawia Violet.

Wiele pomogła mi przy Fionie, która nie chciała wierzyć niczemu innemu, tylko temu, że była żoną romantycznego bohatera, jakim był dla niej jej czuły i kochający mąż. Myślałam o tym, jakie to wszystko dziwne, i po raz kolejny zaskakiwała mnie zawilść ludzkiej natury. Podejrzewam, że przy niej był taki, jak mówiła, a jednocześnie przez cały czas czekał na możliwość zabicia jej. Zastanawiałam się, jakiego rodzaju człowiekiem musiał być, żeby grać przekonująco tak różne role.

W gazetach wiele pisano na temat sprawy „Szatańskiego Narzeczonego”. Ujawniono, że Hans Dowling był synem Niemki i Anglika. Zamordował dwie kobiety. Przed Lydią była jeszcze jedna ofiara. Najwyraźniej przyjął taką metodę zdobywania bogactwa, ponieważ każda z zamordowanych kobiet zostawiała mu w spadku pieniądze. Zamordowanie Fiony i jej siostry miało być tym wielkim skokiem. W jego wyniku dostałaby mu się nie tylko fortuna Fiony, ale też jej siostry, której pieniądze odziedziczyłaby Fiona w chwili śmierci Eugenii. Fiona żyła tylko dzięki perspektywie zdobycia pieniędzy Eugenii. Gdyby nie to, pozbyto by się jej już dawno temu.

Jason stanowił ośrodek mojej uwagi. Razem koncentrowaliśmy się na doprowadzaniu go do zdrowia. Odbywaliśmy całe godziny ćwiczeń, w których mu pomagałam. Spędzałam z nim całe dni. Często prowadziliśmy te stymulujące słowne batalie, które stanowiły charakterystyczny rys naszych stosunków.

Kiedy tylko dowiedziałam się, że Jason wyzdrowieje, poczułam się tak szczęśliwa jak nigdy dotąd. Często zdumiewałam się, że z tak wielkiej ilości zła mogło wyniknąć tak wiele szczęścia.

Daisy ciężko przeżywała to, że nie wróć do szkoły i że ze szkolnej wizytówki zniknie część chwały, jakiej przysparzały jej moje koneksje z Schaff enbrucken. Niemniej jednak Daisy dała wyraźnie do zrozumienia rodzicom, że młoda dama, która zaszczepiła w jej szkole ducha Schaffenbrucken, zostanie lady Verringer, żoną najbardziej możnego właściciela ziemskiego w Devon. Myślę, że fakt ten był dla niej niejaką pociechą.

Dokonano ekstradycji Elsy i stanęła ona przed sądem w Austrii. Ona nie zamordowała, ale została oskarżona o usiłowanie morderstwa i o współudział w morderstwie. Wyznała wszystko i pomogło to Fionie pogodzić się z rzeczywistością. Elsa została skazana na długoletnie więzienie.

W Colby na pewno musiało się dużo o tym mówić, a wyobrażam sobie, co odbywało się na poczcie w trakcie obrad poprzez kontuar. Daisy napisała do mnie, bardzo zadowolona z faktu, że nikt z rodziców nie pojawił się, żeby zabrać córkę ze szkoły.

Tak więc wróciliśmy do domu i wzięliśmy ślub w kościele w Colby, a dzwony biły z całkiem innej okazji niż ta, którą obwieszczały kiedyś, w dniu mojego przybycia tutaj.

Elsa okazała się wzorowym więźniem i po pewnym czasie uzyskała przywileje, które pozwoliły jej na napisanie książki o własnym życiu. Ujawniła w niej wszystko.

Opowiedziała, jak jej rodzina żyła w biedzie w małej wiosce Croston. Ich matka była oszczędną kobietą, a ojciec rozrzutnym pijakiem. Przed pożarem pracował dla dziedzica, Edwarda Comptona, a kiedy dwór spłonął doszczętnie, miał zajęcie tylko sporadycznie, w końcu zaś zapił się na śmierć. W domu dzieci mówiły po niemiecku, a w wiejskiej

szkole po angielsku. Porozumiewały się więc płynnie w obydwu językach. Elsa i jej brat byli sobie bardzo bliscy. Zwykle bawili się razem w wypalonych ruinach. Wyobrażali sobie, że są właścicielami takiego dworu i żyją w nim w dostatku. Hans przyrzekł sobie, że kiedy dorośnie, znajdzie sposób na zdobycie podobnej posiadłości i zamieszka tam razem z Elsą. Było to marzenie, które towarzyszyło mu nieustannie przez wszystkie trudne lata życia w biedzie. Czuł zawzięty gniew w stosunku do bogaczy. Chodził czasami na cmentarz i patrzył na grób Edwarda Comptona. „Zostałeś spalony żywcem – mawiał. – Dobrze ci tak. Miałeś wszystko. My nie mieliśmy nic. Ale pewnego dnia będę miał, czego tylko zapragnę... Elsa i ja, my obydwój”. Chodzili do kościoła i stawali przed tablicami poświęconymi pamięci Comptonów... to było postanowienie. Powiedział Elsie, że była to batalia między takimi jak oni a bogaczami. Jeśli bogacze musieliby umrzeć, żeby oni mogli dostać to, czego chcą, będą w takim razie musieli umrzeć.

Elsa pamiętała wieczór, kiedy poszła z Hansem do ruin. On spojrzął w księżyc i powziął bardzo uroczyste postanowienie. Księżyc był wtedy w pełni... był to czas Księżycy Łowców. Powiedział: „Jestem łowcą. Poluję na to, co zamierzam posiadać, a kiedy będę to miał, podzielę się tym z tobą, droga siostrze”. Potem poszedł do kościoła i tam równie uroczysto obwieścił swoje zamiary. Mieli swoje zawołanie: „Pamiętaj, wieczór Księżycy Łowców”.

Elsa zobowiązała się, że mu pomoże. Po pierwszym zabójstwie, które miało miejsce w Norwegii, przestraszyła się, ale uszło im ono na sucho. Małżeństwo, wypadek w górach, pogrążony w żalobie pan młody, który inkasuje pieniądze żony. To pierwsze zabójstwo przyniosło niewielki zysk. Hans zdecydował, że musi mierzyć wyżej. Wtedy usłyszał o Schaff enbrucken, jednej z najbardziej ekskluzywnych i najbardziej kosztownych szkół w Szwajcarii. Wszystkie panny uczące się tam mają około piętnastu lat... to wiek jak najbardziej odpowiedni do małżeństwa. Obmyślili więc plan.

Czytało się o tym ciekawie, a książka ujawniała też w jakimś stopniu elementy charakteru Elsy. Lubiła ludzi, była radosna i lubiła śmiech. Nie do wiary wprost, że osoba tego typu mogła z lekkim sercem myśleć o morderstwie.

Przyznała, że obydwój popełniali obciążające ich błędy. Błędem jej brata było to, że nie uzyskał wystarczających informacji co do mojej sytuacji majątkowej, i to, że bezmyślnie przedstawił mi się jako Edward Compton. Miał niemalże mistyczną wiarę w to, że w moim przypadku odniesie sukces, ponieważ spotkaliśmy się w porze Księżycy Łowców. Był to dla niego wyjątkowy dzień, co spowodowało, że stał się nadmiernie pewny siebie i w efekcie... lekkomyślny. Jej błędem było zostanie w szkole, kiedy dowiedziała się, że jakimś zrzędzeniem losu pracowałam tam ja.

„Była to jedna z przewrotnych igraszek losu – pisała – że musieliśmy akurat wybrać szkołę, w której uczyła jedna z naszych niedoszłych ofiar”.

Obydwój z bratem mieli zwyczaj zbierania polnych kwiatów, które porastały ruiny dworu Compton. Czytali o różnych właściwościach tych roślin. Leczniczych, ale nie tylko. Odkryli, że wiele z nich, uważanych przez ludzi za pospolite kwiatki, może po przetworzeniu stać się śmiertelną trucizną. Skierowali się na drogę morderczego procederu i mogli potrzebować trucizny. Dowiedzieli się, że naparstnica zawiera toksyny i pomimo że może być stosowana jako środek leczniczy, w większych dawkach stanowi śmiertelne zagrożenie dla życia. Igły i nasiona cisu także zawierają substancje toksyczne. Różne grzyby rosnące w lasach mogą być również nośnikami śmierci. Elsa stała się ekspertem w tej materii. Destylowała wywary i wypróbowywała ich działanie na zwierzętach.

„Co dziwne – pisała – lubiłam Eugenię. Była moją faworytką wśród dziewcząt, ale kiedy musiałam się jej pozbyć, nie myślałam o niej jako o Eugenii. Traktowałam ją po prostu jako obiekt, powstrzymujący chwilę, w której staniemy się posiadaczami dworu, o którym marzyliśmy. Hans powiedział, że on odbierał to tak samo. Lubił swoje ofiary. Był do nich bardzo przywiązany, a kiedy popełniał morderczy akt, robił to z zimną krwią, zachowując pewnego rodzaju rezerwę. Nie było w nim niechęci w stosunku do ofiar. Konieczność usunięcia ich była po prostu częścią jego wielkiego planu”.

Ten dokument ujawniał wiele. Wyjaśniał to, nad czym się dotychczas zastanawialiśmy. Oczywiście, nie rozumiałam Elsy. Ale, prawdę mówiąc, kto potrafi w pełni zrozumieć inną istotę ludzką?

W dwa lata po mojej eskapadzie do Austrii Teresa poślubiła lorda Markhama. Miała wtedy dziewiętnaście lat. Została wydana za mąż z Moldenbury, jako że jej rodzice w dalszym ciągu przebywali w Rodezji. Uwielbiała swojego męża i była w najwyższym stopniu szczęśliwa. Byłam pewna tego, że stanowili idealne małżeństwo, ponieważ John, nawet jeśli kiedyś myślał o ożenieniu się ze mną, co, jak sądzę, miało miejsce, i nawet jeśli był zawiedziony, kiedy wyszłam za Jasona, zaakceptował to, co się stało, i znalazł szczęście gdzie indziej. Był typem człowieka, który odnosi sukces we wszystkim, co pojawi się na jego drodze życiowej, a dotyczyło to także jego uczuć. Dla Teresy będzie takim samym pogodnym, kochającym i czułym małżonkiem, jakim byłby dla mnie. A tego właśnie potrzebowała Teresa.

Ale to miało się dopiero zdarzyć w przyszłości.

Tymczasem istniało tylko moje małżeństwo i radosna świadomość tego, że Jason i ja należeliśmy do ludzi, którzy nigdy nie byłiby naprawdę szczęśliwi z nikim innym, tylko ze sobą.

Jak śmieliśmy się z podniecenia, jakie ogarnęło miasteczko. Nasze małżeństwo absolutnie usunęło w cień zagadkowe morderstwo, które dotyczyło w jakimś stopniu szkoły.

Ożyły wspomnienia dawnych wydarzeń.

„Co z jego pierwszą żoną? Czy ta nauczycielka wie? I z kolei była ta pani Martindale. Tak, jednak on nim jest. Czy nie mówiło się, że Verringerowie mają w sobie diabła?”

Śmiałyśmy się z plotek. Byłam z tego raczej zadowolona. Stanowiło to niewątpliwie świadectwo, że dla Jasona byłam w stanie zaakceptować wszystko. Chciałam, żeby wiedział o tym i żeby zawsze o tym pamiętał.

Działo się to w okolicy świąt Bożego Narodzenia, dwa lata po naszym ślubie. Byliśmy już wtedy dumnymi rodzicami naszego synka.

Jason bardzo chciał, żebyśmy pojechali do Londynu.

– Możesz zrobić zakupy – powiedział. – Na pewno potrzeba ci wielu rzeczy.

Nie byłam temu przeciwna. Miałam wspaniałą nianię dla małego Jasona i nie obawiałam się zostawienia go z nią.

Kiedy przyjechaliśmy do naszego londyńskiego domu, Jason powiedział, że chce mnie zabrać do teatru, ponieważ grali tam sztukę, którą szczególnie chciał obejrzeć. Kiedy przyjechaliśmy na spektakl, z rozbawieniem zobaczyłam, że sztuka nazywała się „Wschodnie Lynne”. A kiedy spojrzałam w program, uderzyły mnie nazwiska aktorów: „Marcia Martindale i Jack Martindale. Znowu razem w swoich dawnych rolach”.

Kurtyna poszła w górę i oto miałam ją przed sobą. Lady Isabel.

Nie wiem, jak udało mi się wysiedzieć przez całą sztukę. Kiedy się skończyła, poszliśmy za kulisy, żeby zobaczyć się z nią i z Jackiem.

– Cudownie powstały ze swojego morskiego grobu – powiedziałam.

– Och, on należy do tych, którzy zwyciężają wszystko – odparła z patosem Marcia.

Powiedzieliśmy jej, jakie domysły krążyły po Colby na temat jej wyjazdu. Uznała je za szalenie zabawne. Tak samo podszedł do sprawy niezniszczalny Jack.

– Powiem wam, co zrobimy – powiedziała. – Pojawimy się tam w czasie świąt. Czy to nie będzie zabawne, Jack? Przejedziemy ulicami i pokażemy wszystkim tym plotkarzom, że ciągle jeszcze gościmy na tym padole.

Zrobili tak. Marcia nalegała, że pokaże Jackowi „Gawronią Przystań” i pojedzie na wrzosowiska odwiedzić swoją „małą dziecinę”.

Byliśmy zachwyceni, kiedy wyjechali, i śmialiśmy się często, przypominając ich sobie.

– Przejdą przez życie, zawsze grając – stwierdził Jason.

– Jestem ciekawa, o czym teraz będzie mówić pani Baddicombe.

– W pewnym sensie czuję żal – powiedział. – Mawiałem sobie: ona musi mnie bardzo kochać, żeby wyjść za mnie, kiedy wisi nade mną ta chmura podejrzeń.

– Cóż, teraz możesz sobie powiedzieć, że nigdy nie było powodu, żeby w ciebie wątpić.

– Nie było, ale w dalszym ciągu nie przestaje mnie to dziwić. Nie wiesz o mnie wielu rzeczy.

– Cieszy mnie to – odparłam. – Mam w perspektywie doskonalenie swojej edukacji.